

Thriller z aferą FOZZ w tle



FUNDUSZ

M.M. PETLIŃSKA



FUNDUSZ

M.M. PETLIŃSKA

 **Fabryka
sensacji**
Warszawa 2013

Autorka
M. M. Petlińska

Redakcja
Jacek Ring

Korekta
Magdalena Gotdanowska

Projekt graficzny i okładka
Krzysztof Kielbasiński

Skład
TYPO

© Copyright by GWF sp. z o.o., Warszawa 2013

ISBN 978-83-7670-602-3



GRUPA WYDAWNICZA
ul. Foksal 17 00-372 Warszawa

www.buchmann.pl
www.wab.com.pl
www.wilga.com.pl

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Hipoteza

Dedykacja

Cytat

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

Epilog

O autorce

A jeśli pieniądze z FOZZ nie zaginęły, ale zostały zainwestowane i przez lata pracowały na rzecz swoich właścicieli?

Danielowi

Tylko krowy chodzą stadem. Lwy zawsze samotnie.

Istota, którą człowiek najmniej zna, której zawsze zawiera,
która go prawie zawsze zdradza, jest to on sam.

Stefan Witwicki

PROLOG

Warszawa, rok 1989

Waga państwa

Spotkanie trwało już blisko dwie godziny i nic nie wskazywało na jego szybkie zakończenie lub tym bardziej, pomyślał Kawecki, wypracowanie jakiegoś porozumienia. Od kilkunastu minut powstrzymywał się od zabrania głosu, bardziej przypatrując się, niż słuchając toczącej się dyskusji. Siedzieli w komfortowo urządzonym saloniku w budynku PHZ Universal, w biurze przewodniczącego FOZZ Franciszka Klamka. Choć może „salonik” to zbyt wyszukane słowo na określenie dwunastu metrów kwadratowych, wyposażonych w miękką sofę, trzy fotele, kilka krzeseł i ławę ze szklanym blatem. Niewątpliwie jednak zaletą tego miejsca była cisza. I brak podsłuchu. Chociaż, kto wie?

Żałował, że dał się Waldkowi namówić na tę robotę. Inicjatywa ludzi dobrej woli, jak usłyszał. Jasne. Znał obecnych z widzenia, z niektórymi nawet wymieniał się poglądami. Znajdowali się wśród nich przedstawiciele Ministerstwa Finansów, Ministerstwa Handlu Zagranicznego oraz Narodowego Banku Polskiego. Sam Klamek był także członkiem Rady Nadzorczej Banku Handlowego. Przypadkowo zawarte przyjaźnie i wpływowe sojusze w elicie władzy. Nie zmieniało to jednak faktu, że byli dziwną zbieraniną reprezentantów różnych profesji, których łączyło jedno: polityka.

I oni mieli decydować o przyszłości tego kraju! Kto im dał do tego mandat?!

- .. .a co powiecie państwo na to, że Kościół katolicki lada chwila otrzyma osobowość prawną? Zmiany są nieuchronne! Musimy iść z ich duchem czasu, odpowiedzieć na wołanie narodu i wykorzystać szansę, przed którą stanęliśmy!

Kawecki popatrzył na mówcę. Bogusław Abrończyk przemawiał z pasją godną młodego powstańca. Gdyby jednak zobaczył krzesło, które niebezpiecznie zaczynało wyginać się od ciężaru jego ciała i pseudodynamicznych ruchów lub... naporu jego ego. Z tego grubiotkiego chłoptasia będzie za kilka lat kawał polityka skurwysyna, pomyślał. Bardziej jednak niebezpieczna była mina siedzącej obok kobiety, zastępczyni przewodniczącego. Wiera, bo tak miała na imię, zdążyła wstać i energicznie gestykulując, zaczęła wyrażać swoje poparcie, gotowa zaraz unieść się i odlecieć na fali polotu własnych słów. Popatrzył na Waldka, który gotów był spijać słowa z jej ust. Trzeba będzie z nim w wolnej chwili pogadać. Ta kobieta nie podobała się Kaweckiemu. Przyjrzał się twarzom pozostałych obecnych. Niektóre wyrażały

niepokój, inne przejęcie, każda zaangażowanie. Niedobrze.

- ...rozmawiałem z kilkoma osobami - kontynuował grubas. - Za kilka tygodni wyjdzie pierwszy numer nie- podlegającego władzom pisma. Oficjalnie! Wolne media, rozumiecie?! Wolność kraju jest tuż za rogiem! Ludzie wreszcie dowiedzą się, co naprawdę tu się dzieje, a naszym obowiązkiem jest i będzie ich informować!

- No, ale nie można nie brać pod uwagę fatalnej sytuacji gospodarczej naszego kraju - włączył się Dostański. - Słuchajcie, przecież coraz więcej ludzi wyjeżdża z kraju. Wedle ostatnich danych liczba wydanych wiz rośnie wręcz lawinowo. W zeszłym roku ponad milion Polaków postanowiło zostać za granicą, w tym roku może ich być dwa razy tyle!

- Dobrze, będzie mniej chętnych do podziału pieniędzy - mruknął przewodniczący.

Kawecki zerknął na niego. Pieniądze! Wokół nich wszystko się kręciło! Stanęli przed wyzwaniem, o jakim kilka lat temu mogli tylko pomarzyć. Mieli w zasięgu ręki biliony złotych, miliardy dolarów, które mogli wykorzystać na odbudowę kraju. Pieniądze, które mogą zadecydować o przyszłości Polski, sprawić, by po tylu latach każdy normalny człowiek czuł się bezpiecznie w swoim domu. By kobiety mogły rodzić dzieci, które będą miały zapewnioną edukację, a przedsiębiorcy zakładać firmy, wiedząc, że nikt im ich nie znacjonalizuje. By każdy mógł wyznawać taką wiarę, jaką mu nakazuje rozum, sumienie i tradycja.

Od wielu lat setki ludzi, i on także, angażowało się w charytatywną działalność na rzecz uzdrowienia państwa, co zabierało im młodość, a niekiedy rodzinę i życie. Niejeden z nich stracił rodziców podczas wojny, niejeden zrezygnował z łatwych zarobków i poważania w okresie rozkwitu komunizmu w Polsce. Ważna była godność i poczucie obowiązku. Czuli się - przez głowę Kaweckiemu przemknęło, że właściwie to może tylko on to czuł - mężami stanu, odpowiedzialnymi za losy kraju. Wiedzieli więcej, myśleli szybciej, więc i działali za innych. Był dumny z tego powodu, wiedział, że tak trzeba, że nie można inaczej. Przy tym samym stanowisku trwali również ludzie siedzący teraz wokół niego. Tak przynajmniej mu się wydawało.

No bo jak inaczej, do cholery, wytłumaczyć ten zlot srok, który się tu właśnie odbywał?!

W jego oczach to, co chcieli zrobić obecni tu ludzie, to kolejny rozbiór Polski, o tyle bolesny, że kraj miał szansę właśnie się podnieść, i o tyle przykry, że byli to ludzie, którym ktoś kiedyś zufała. Właściwie, pomyślał, należałoby to doprecyzować: chcieli dokonać grabieży lub przestępstwa w zależności od tego, czy uważali, że pieniądze należy rozdysponować pomiędzy elitę ktaju, czy też w ogóle nie ingerować w dotychczasową działalność funduszu. Nawet jak na jego skąpe doświadczenie trzydziestu lat życia na tym świecie było to pogwałcenie wszelkich praw.

- Krzysztof, a jak wygląda sprawa długów? - rzucił w jego stronę Klamek. Dziwne swoją drogą, że gość odpowiedzialny za działanie tego całego cyrku nie ma zielonego

pojęcia o danych, na podstawie których ma pracować.

Jako skarbnik Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego Krzysztof Kawecki był osobą najlepiej poinformowaną o kapitale i statucie funduszu, którego celem miało być gromadzenie środków przeznaczonych na obsługę zadłużenia zagranicznego Polski oraz gospodarowanie tymi środkami. Dodajmy, pomyślał, pieniędzy z budżetu państwa, których wydawania nikt nie kontrolował. Skąd się wzięły te pieniądze? Były, po prostu były. Polska przecież nie miała prowadzonej księgowości. Państwo u progu jednych z najważniejszych zmian w swojej historii nie miało jednego spójnego systemu rachunkowego. Lata zaniedbań wychodziły teraz jak rak płuc u wieloletniego palacza. Tyle że pojawiły się osoby, które uznały, że można coś z tym zrobić. I za wiedzą oraz zgodą władz stworzono fundusz, który miał skupować na rynku wtórnym po znacznie obniżonych cenach dług zagraniczny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przyświecająca twórcom FOZZ wspaniałomyślna idea działania ku zadowoleniu obu stron - Polski, bo zmniejsza swój dług, i wierzycieli, którzy zgadzali się na utratę części długu w zamian za szybkie odzyskanie stosunkowo niewielkiej jego części - została szybko przez Kaweckiego zweryfikowana. Uprzytomnił sobie, że oto jego zmysł finansowy i talent techniczny są kołem zamachowym największej maszyny do robienia pieniędzy, jaka kiedykolwiek w Polsce istniała. FOZZ nie prowadził ewidencji zobowiązań i należności, ani też transakcji, które w jego ramach przeprowadzano. W świetle prawa międzynarodowego działalność Funduszu była nielegalna. A to oznaczało, że stosunkowo łatwo można było wyciągać bezkarnie pieniądze z puli państwowej i szastać nimi według własnego uznania.

Należało coś z tym zrobić. Tyle, że Kawecki nie był głupi - podnieść krzyk z tego powodu oznaczało skazać siebie i prawdopodobnie rodzinę na banicję społeczną jako wrogów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Codziennie stawiał czoła rzeczywistości realnego socjalizmu wymagającej od człowieka absurdalnego wysiłku, żeby w ogóle przeżyć. A cóż dopiero zrobić coś więcej?

- Według różnych szacunków - zaczął spokojnie - jest tego około czterdziestu sześciu miliardów dolarów, z czego dwanaście należy się Londynowi, a reszta Paryżowi. FOZZ dysponuje majątkiem, który powinien wystarczyć na pokrycie zadłużenia Klubu Londyńskiego. A przy dobrym gospodarowaniu za kilka lat może i Paryż spłacimy....

- Za kilka lat! Przecież nie mamy tyle czasu! - wzburzył się Abrończyk. - Teraz, kiedy FOZZ jest niezależny od Ministerstwa Finansów? Kiedy ma swój statut i może działać samodzielnie?! Za chwilę ktoś może to ukrócić! Musimy teraz zacząć działać! Coś zrobić! Cokolwiek!

- To może założymy firmy - zaproponował przewodniczący. Kilka osób z zaciekawieniem pochyliło się w jego kierunku. - Podniesiemy PKB, damy pracę...

- Drodzy państwo, przypomnę raz jeszcze cel działania FOZZ - przerwał Kawecki. -

Fundusze, których mamy zadanie strzec, należą do państwa polskiego. Tajemnicą poliszynela jest cel działania FOZZ. Co ważne jednak, pieniądze pochodzą z budżetu państwa, a to oznacza, że składali się na nie nasi rodzice i dziadkowie. Jesteście tu, ponieważ podobnie jak ja uważacie, że działając na skróty, można czasami zyskać. Ale to nie znaczy zyskać dla siebie. - Krzysztof wstał i zaczął chodzić po pokoju. - Nie można oddać tych pieniędzy w ręce garstki wybrańców. Dlaczego? - Wskazał na Abrończyka. - Bo przecież sam pan mówił, że stoimy u progu demokracji. Wszystko musi być zgodne z prawem. A to znaczy, że ludzie będą chcieli wiedzieć, na co poszły te pieniądze i kto zdecydował, że to właśnie tamci, a nie oni je otrzymali. Kto się czuje na silach, żeby rozdysponować te fundusze? Pytam, kto!?

Ostatnie słowa przybrały formę krzyku, po którym zapadła cisza. Krzysztof popatrzył na twarze obecnych, ale każdy błdzi! wzrokiem po gołych i brudnych ścianach saloniku. Kawecki usiadł i sięgnął po kubek z wystygłą kawą. Upił łyk i skrzywił się. Zmielone ziarna taniej kawy zalane wrzątkiem smakowały paskudnie nawet na ciepło.

Klamek wpatrywał się w niego przez chwilę, zanim zaczął mówić. Nie mógł sobie wyobrazić lepszego argumentu.

- Moi drodzy - zaczął cicho i powoli. - Moim zdaniem Krzysztof ma rację i nie możemy przeciwdziałać zmianom, do których sami dążymy. Władza niesie za sobą odpowiedzialność, której ciężar właśnie przyszło nam poczuć. Skoro statut FOZZ został ustanowiony wbrew prawu międzynarodowemu, to powinniśmy go postawić w stan likwidacji. - Zawiesił na chwilę głos, potęgując dramatyczność chwili. - Ale to oznacza, że pieniądze utkną w biurokratycznej maszynie politycznej i w najlepszym wypadku trafią do ZSRR.

- Co więc proponujesz?

Zdawało mu się, że głos Wiery zdradzał wyraźne zdenerwowanie.

- Możemy wykorzystać potencjał funduszu. Zwiększyć możliwości produkcyjne. Stworzyć nowe rynki...

Kawecki nie słuchał. Miał dość tyrad przesyconych żądzą pieniędzy i naiwnością. Bali się, ale też wzrok przysłaśniała im chciwość. On też się bał, ale ten strach był inny. Oni chcieli się tylko obronić. On zaś walczył, a walka niesie ze sobą ryzyko. Widział to, czego inni chyba nie dostrzegali. Transformacja będzie ciężka i bolesna. Bezrobocie co prawda jest jeszcze niskie, ale niebawem będą zamykane nierentowne zakłady, a wtedy piętnaście, może nawet dwadzieścia pięć procent Polaków zostanie bez pracy. Ludzie wyjdą na ulice, zaczną się strajki i protesty, rozkwitnie szara strefa. I korupcja.

Jeśli teraz właściwie nie zagospodaruje się tych pieniędzy, to rozejdą się one na zapomogi i datki dla biednych. Lub, co gorsza, staną się podwaliną majątków elity biznesowej kraju, obecnej notabene w tym pomieszczeniu. Polska potrzebowała mocnej strategii i realnego wsparcia, aby powstać z kolan.

Spojrzał na Waldka. Ten kiwnął mu głową. Spotkanie miało się ku końcowi.

Późny poniedziałkowy wieczór okazał się nadzwyczaj chłodny nawet jak na połowę kwietnia, co widać było po skulonych sylwetkach mijających ich przechodniów. A może to tylko efekt bardzo ciepłego weekendu, który dopiero co minął, oraz przeświadczenia, że to ostatnie chłodne dni tej wiosny? Szli w ciszy aż do skrzyżowania z Kruczą. Wyglądali jak dwóch urzędników tyrających przez cały dzień w pracy. Kawecki, wyższy, miał atletyczną budowę ciała i szerokie ramiona. Znad szerokiego kołnierza wystawała czarna czupryna. Dostański był niższy i drobniejszej postury, co przy jego krótszych nogach i szybszym tempie kroku sprawiało wrażenie, jakby w półbiegu próbował nadążyć za krokiem towarzysza. Odezwał się pierwszy.

- Wiesz, Krzychu... chyba nie było to zbyt mądre. Będą chcieli wypisać cię z klubu.

- Nie dbam o to - mruknął Kawecki.

- A powinieneś. Ktoś musi zadbać o gospodarowanie pieniędzmi.

- Wyprowadź mnie z błędu, jeśli się mylę. - Zatrzyma! się i spojrzał na przyjaciela. - Czy jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy nie chcą tej kasy dla siebie?!

Dostański zamrugnął i otworzył usta, ale nic nie powiedział. Odezwał się dopiero po chwili.

- Nie wygląda to za dobrze. - Ruszyli dalej.

- A co słyhać na korytarzach? - Krzysztof miał na myśli Ministerstwo Finansów, w którym to na stanowisku zastępcy szefa jednego z departamentów pracował Dostański.

- Słabo. Mówi się, że czeka nas hiperinflacja. Już teraz inflacja gwałtownie przyśpieszyła, a najgorsze dopiero przed nami. Ludzie będą się burzyć... Rozmawiałem z Balcerowiczem kilka dni temu. Mówił coś o terapii szokowej. Dziwna nazwa jak na proces, który ma trwać całe lata. Ale chcą szybko zacząć. Wszystkie reformy naraz. Wiesz, prawo, podatki i tak dalej.

- Sądysz, że im się uda?

- Jemu? Tak. Im? Nie wiem. Sam zresztą chyba rozumiesz. Rząd...

- Tak, tak. - Krzysztof uśmiechnął się ponuro. - Nie ma go.

Dostański kiwnął głową.

- Nie ma u władzy ludzi zdolnych porwać tłum, którym ten tłum zaufa. Gdzie tylko spojrzysz, jakiś ekonomista: Balcerowicz tu, Bielecki tam. To dobrze. Ale ludzie potrzebują czegoś więcej niż tabele i wykresy. Chcą przywódcy. Wiesz, silnego, mądrego i dobrego. A tu co? Robotnicy. - Westchnął. - Będzie ciężko z tym funduszem, co?

Krzysztof nie odpowiedział. Skręcili na skwer przy wjeździe w Smolną i usiedli na ławce przodem do siedziby Komitetu Centralnego PZPR. Tu zwykle się żegnali. Kawecki ruszał przed siebie w kierunku Alei Ujazdowskich, Dostański jechał

dwudziestką piątką na Pragę.

- Chcesz to zrobić, prawda? - spytał Krzysztof, który odwrócił głowę i wskazał podbródkiem budynek partii.

- A mam inne wyjście? - rzucił.

- Plan B?

- Mniej więcej. - Wzruszył ramionami.

- Dobrze. - Dostański zawahał się. - Jesteś na to gotowy? Co z Marią i...?

- Przecież nie mam wyboru! - warknął Krzysztof. Wstał i zaczął chodzić wzdłuż ławki. - Tu nie chodzi o mnie czy o ciebie, czy nawet o nasze pokolenie. Tu chodzi o to cholerne państwo, które ktoś gnoił przez tyle lat tak mocno, że teraz jest bankrutem! Bankrutem jest bank rozliczeniowy! Nie ma nic, żadnej infrastruktury rachunkowej, żeby móc sprawnie gospodarować mieniem, które zostało! A ten cały FOZZ - machnął w kierunku, z którego przyszli - to jakaś żenada! Co z tego, że nie jest już wewnętrzną kasą Ministerstwa Finansów? Czy wiesz, że rozpoczął działalność bez ustalonych stanów początkowych aktywów i pasywów? Nikt nie prowadzi księgi należności i zobowiązań państwa, wszystko jest na oko! Nie mamy nawet planu kont! A mnie każą kontrolować kasę, z której każdy bierze, na co chce i kiedy chce, i to bez pokwitowania!

- No tak, ale....

- Czekaj - przerwał przyjacielowi Kawecki, wciąż chodząc w kółko. - Te dupki od audytu śmieją się nam w oczy i mówią: „Everything is OK”. Tylko że wiesz co? Z zagranicy wciąż płyną do nas miliony dolarów, a Okęcie ledwo nadąza z obsługą przylotów. Dlaczego tak się dzieje? - Choć starał się kontrolować głos, mówił z coraz większą werwą. - Bo w interesie wszystkich zainteresowanych jest, aby Polska nie upadła! - Nachylił się nad Waldkiem i zaraz wyprostował. - Pomyśl! Nowy rynek zbytu, miliony konsumentów spragnionych kolorowych opakowań, niezagospodarowana ziemia, wszystko w centrum Europy! Tylko że to nie wystarczy, żeby wyjść na prostą. W tej chwili nawet Rosja ma wyższy PKB na mieszkańca niż Polska. Niemcy mają trzykrotnie wyższy. Możemy ich gonić całe wieki. - Krzysztof usiadł i dodał szeptem: - Lub dokonać skokowego rozwoju... I dlatego muszę to zrobić. - Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia. - Pomożesz mi?

Dostański kiwnął głową. Krzysztof przez chwilę oddychał głęboko, w tym czasie przyjaciel wstał.

Porozmawiali jeszcze trochę, potem pożegnali się i każdy ruszył w swoją stronę. Żaden z nich nie zauważył drobnej postaci w jasnym płaszczu, która obserwowała ich z przystanku autobusowego przy Alejach Jerozolimskich, a potem ruszyła nieśpiesznie w kierunku nadjeżdżającego tramwaju.

Droga do domu wydawała mu się dziwnie krótka. Poszedł na piechotę przez Plac

Trzech Krzyży, Alejami Ujazdowskimi, a następnie skręcił w Piękną. Boże, ile bym dał, rozmarzył się Krzysztof, żeby tak iść całe życie, a nie musieć robić tego, co przypadło mi w udziale. Wiedział, że nie darowałby sobie, gdyby postąpił inaczej. Ale opuścić rodzinę, być może na długie miesiące, w imię prowadzonej w konspiracji walki dla ojczyzny?

Było to zadanie potworne, tym bardziej, że sam je sobie narzucił.

Otworzył bramę i wszedł na podwórze. Mieszkali na trzecim piętrze kamienicy z oknami wychodzącymi na ulicę. Mieszkanie było małe, ale schludne. Ot, czterdzieści metrów kwadratowych podzielonych na salonik z aneksem kuchennym, łazienkę i sypialnię. Wszedł, nie zapalając światła, odwiesił płaszcz na wieszak i zdjął buty. Nasłuchiwał jakichś oznak życia, ale obie kobiety jego życia już spały. Usiadł przy sekretarzyku i zapalił starą pordzewiałą lampkę. Wyrwał ze skoroszytu kartkę, wziął długopis i zaczął pisać. Jednak słowa, które cisnęły mu się na usta, nie chciały przylgnąć do papieru. Po półgodzinie zgniótł kartkę i wyrzucił do kosza w kuchni. Poukładał rzeczy na sekretarzyku, tak aby wyglądały na nieruszane. Po chwili namysłu wrócił do kuchni, wyjął kartkę z kosza i schował do kieszeni. Żadnych śladów.

Ukucnął i odchylił dywan na środku pokoju. Podniósł jedną z wielu obluzowanych desek, wsunął rękę aż po łokieć i wyciągnął zawiniątko, w którym znajdował się mały kluczyk. Poprawił dywan i poszedł do łazienki. Zawsze był dumny z kasetonów na suficie, w dużym stopniu przyczynił się do tego fakt, że sam je układał. Uważał, że nadają takim miejscom jak łazienka szlacheckiej wytworności. Stał na krawędzi wanny i przesunął jedną z listewek. Odsłonił się stary zamek, w który włożył kluczyk. Gdy go przekręcił, jeden z kasetonów opadł na zawiasach. Wyjął skrzynkę, która znajdowała się w podwieszonym suficie, i zajrzał do środka. Pomyśleć, że wszystko, co potrzebne jest do zawładnięcia funduszami FOZZ, znajdowało się w tym pojemniku. Zamknął schowek i wrócił do salonu.

Spojrzał na zegarek w chwili, gdy wskazówka miała pokazać północ. Przebrał się w czyste rzeczy, po czym dokładnie sprawdził, czy ma ze sobą wszystkie dokumenty. Kiedy obejmował funkcję skarbnika FOZZ, dostał paszport dyplomatyczny. Wówczas nawet nie podejrzewał, jak szybko będzie mu potrzebny. Chwycił torbę, w której wcześniej wylądowała skrzynka, i zerknął na drzwi sypialni. Kusiło go, żeby zajrzeć, pocałować, przytulić. Nacisnął jednak klamkę, wyszedł i zamknął drzwi. Żadnych wątpliwości.

Na zewnątrz było chłodno, ulice opustoszały. Odszukał wzrokiem fiat Waldka i ruszył w jego kierunku. Wsiadł bez słowa i ruszyli. Po kilku minutach zatrzymali się przy Alejach Jerozolimskich 44, skąd wyszli dwie godziny wcześniej. Dwie godziny? Boże, a jakby minęły całe wieki.

Kawecki wszedł cicho na górę i otworzył drzwi. Jako skarbnik miał prawie wszystkie klucze, a hasła, czeki i dewizy były w... otworzył znajdujący się za obrazkiem

sejf i wyciągnął z niego teczki. Po kolei wkładał je do torby. Po chwili wszystko zamknął, sprawdził, czy nie zostawił żadnych śladów, i szedł na dół do auta.

Warszawskie ulice były opustoszałe, więc na lotnisko dojechali w kilkanaście minut. Dostański zatrzymał się przy chodniku i zgasił silnik.

- Masz - powiedział i wcisnął Krzysztofowi plik dolarów. - Przyda ci się.

- Nie musiałeś... Dziękuję.

- Nie ma sprawy. - Uśmiechnął się i zerknął na torbę Krzysztofa. - Zwrócisz zawiązką.

- Taa... - Kawecki spojrzał przed siebie. Noc była ciemna, wokół żadnego znaku życia. Jedynie kilkanaście metrów za nimi na postoju samotnie stała podniszczona taksówka. - Zaopiekujesz się nimi? Maria może być w dużym szoku.

- Oczywiście. - Kiwnął głową i spojrzał mu w oczy. - Ty... wrócisz, prawda?

- No coś ty, Waldek! - Krzysztof aż się uśmiechnął, ale po chwili spowaźniał. - Nie wiem, ile to potrwa. Miesiąc? Kwartał? Zobaczymy, jak się tutaj sprawy ułożą.

- Masz tam kogoś?

- Tak, ale odezwę się dopiero, jak wyląduję. Nie chcę pozostawić żadnych śladów.

- Czy ja... mam coś zrobić? - Głos Waldka był dziwnie cichy.

- Ten cały Universal jest przykrywką dla Rosjan. - Kawecki kątem oka dostrzegł, że przyjaciel pokiwał głową. - A zdaje się, że i nasz Klamek dobrze żyje z prezesem tej firmy. Jeśli masz kogoś, to wyślij go tam. Niech im dołoży do pieca.

- W porządku. Na początek spuszczę na Universal skarbówkę. - Dostański uśmiechnął się, ale zaraz spowaźniał. - No, leć już. - Uścisnęli się.

- Pilnuj tu wszystkiego.

- Powodzenia!

- Wzajemnie. - Krzysztof otworzył drzwi i ruszył sprężystym krokiem w kierunku terminalu. Nie było odwrotu. Czy podjął słuszną decyzję? Czy miał wybór? I co teraz? - pomyślał, patrząc na tablicę odlotów. Co teraz będzie?

Powoli, jakby walcząc z oporem powietrza, ruszy! w kierunku okienka kasowego PLL LOT. Pocieszał się, że LOT to nieformalna siedziba wojskowych służb wywiadowczych, więc trochę wody w Wiśle upłynie, zanim informacja o jego wyjeździe przecieknie do „cywilnych” ministerstw. A wtedy będzie już za późno.

Wiedział, że swoim czynem wstrząśnie podwalinami niejednej instytucji i niejedna głowa poleci za jego ucieczką.

Ale nie mógł przypuszczać, że jego powrót przeciągnie się jak odyseja, a przyczyną będzie nie sam wyjazd, a słowa, które wypowiedział na końcu.

ROZDZIAŁ I

Warszawa, rok 2011

Pokorny poker

Ten majowy wtorek miał być z wielu powodów inny niż pozostałe. Po zamieszczeniu na giełdzie, do jakiego doszło poprzedniego dnia, dyrektor działu przekazał mu obsługę prywatnego rachunku maklerskiego Mateusza Karasowicza. Właśnie JEMU. Wreszcie twarde miliony do inwestowania, a nie marne kilkaset tysięcy oszczędności wyściubionych od całej rodziny. Dwa lata sumiennej pracy - w tym kurwidołku, punkcie obsługi, z przyklejonym codziennie do twarzy uśmiechem kierowanym do skąpych, bojaźliwych i maluczkich klientów - wreszcie zaczęły procentować. I proszę: bach! Ledwo tydzień temu przeniesiono go do działu klientów indywidualnych, a już przydzielono mu do obsługi największych graczy. Karol Lewiński pomyślał, że oto na jego oczach urzeczywistnia się zasada rządząca giełdą, gdzie jeden musi stracić, aby inny mógł zyskać. Szkoda było mu tego maklera - jak mu tam, chyba Tomek - który polecał ostatnio, ale cóż, taki rynek.

Uśmiechnął się. Jeśli tylko uda mu się wyprowadzić rachunek na prostą, czego był absolutnie pewien, to może liczyć na solidną premię. Może nawet Karasowicz powierzy mu inne aktywa w zarządzanie. Kto wie? Spojrzał na swoje odbicie w oknie autobusu. No i zawsze może liczyć na wzrost własnych notowań, rzecz jasna. Kiedyś, jeszcze podczas studiów na uniwersytecie, usłyszał, że sława dla młodych ludzi oznacza powodzenie. Chyba dotyczy to tych żółtodziobów, co to zarobią trochę grosza i uważają, że cały świat mają u stóp. Prychnął. Miał prawie trzydziestkę na karku i od kilku lat zasuwał do roboty. Jaka to młodość? Ale dziś wstał wcześniej niż zwykle, poszedł pobiegać, a potem nawet zjadł śniadanie. Zaprosi więc tę śliczną analityczkę z bankowego na kolację i pokaże jej, jaką fantazję potrafią mieć maklerzy. Musi tylko najpierw dojechać do biura, a z tym robi! się problem.

Warszawa budziła się tego dnia wolno i z ociąganiem, jak gdyby próbowała uciec w sen przed czekającymi ją wydarzeniami, którym musiała stawić czoło. Budziki z rozmysłem ignorowano, podobnie jak pikanie telefonów czy płacz dzieci. Kiedy jednak rozsądek nakazał w końcu otworzyć oczy, powróciła adrenalina, a z nią pośpiech ograniczający poranne czynności do niezbędnego minimum. Mieszkańcy miasta i okolic

ruszyli do pracy. Jedni kierowcy bardziej agresywnie niż zwykle zajeżdżali sobie drogę, wbijając się na najbardziej oblegane pasy ruchu. Inni, stojąc w korku, z ociąganiem podjeżdżali kolejne kilka metrów, co irytowało właścicieli aut stojących za nimi. Powietrze było niemal gęste od nadmiaru stresu i testosteronu. Postronny obserwator mógłby zauważyć, że spokój i skupienie ludzi malały wprost proporcjonalnie do odległości dzielącej ich od centrum miasta. Na moście Poniatowskiego, tuż przy zjeździe w prawo na Wisłostradę, zderzyły się dwa auta osobowe i jeden wóz dostawczy, skutecznie blokując wjazd w stronę centrum. Sięgający aż do Grochowskiej korek niektórzy kierowcy próbowali ominąć, skręcając w lewo, w kierunku Trasy Łazienkowskiej. Tam jednak, prawie aż do zjazdu na Aleje Ujazdowskie, można było posuwać się, i to powoli, tylko jednym pasem ruchu, gdyż drugi był zablokowany przez zepsute i czekające na pomoc drogową auto prowadzone przez kobietę. Mijający ją kierowcy tylko kręcili głowami. Dlaczego ktoś nie zatrzyma się i nie zepchnie jej na bok? Trzeci pas, przeznaczony dla autobusów, obstawiła policja, która tego dnia zanotowała nadzwyczaj wysoki utarg.

Ci, którzy jechali z północy, wskutek remontu rozsypujących się ulic Marymonckiej i Popiełuszki skazani byli na wiecznie zakorkowaną aleję Prymasa Tysiąclecia lub tylko im znane boczne drogi dojazdowe. Spokojniej było na południu Warszawy. Z powodu wiosennego oberwania chmury i zalania kilkudziesięciu metrów kwadratowych terenów zabudowanych oraz kilku ważnych arterii, w tym alei KEN i ulicy Puławskiej oraz metra, część osób w ogóle nie wyjechała do pracy, a ci, którzy bardzo chcieli bądź musieli wyruszyć, utknęli prawdopodobnie jeszcze w samym Piasecznie. Od strony zachodniej wjazd do miasta wyglądał jak co dzień. Z tą jednak różnicą, że stojący w korkach w alei Krakowskiej kierowcy obserwujący sznur wyjeżdżających z Warszawy samochodów zastanawiali się, czy aby od razu do nich nie dołączyć.

Najbardziej ludzkim miejscem, gdzie nie cichły rozmowy ani śmiech, były tramwaje i autobusy. Podenerwowani maturzyści, rozprawiający o czekających ich egzaminach, skupiali na sobie uwagę tych wszystkich, którzy potrzebowali zapewnienia, że normalne życie toczy się dalej. Wrażenie to mijało, gdy pojazdy zatrzymywały się na przystankach przy placu Trzech Krzyży lub rondzie de Gaulle'a. Rozmowy cichły, a na wysiadających patrzono jak na skazańców lub - o zgrozo! - na winowajców.

- Przepraszam za spóźnienie - rzucił Lewiński, wchodząc. - Korki i... - urwał w połowie zdania.

W dziale nie było jeszcze nawet połowy pracowników, a miny obecnych nie zachęcały do dyskusji. Bez słowa rzucił swoją teczkę na krzesło. Jak chcą się umartwiać, to ich problem. Ruszył w poszukiwaniu kawy. W kuchni było pusto, co dziwne jak na 8.40, kiedy każdy jest spragniony kofeinowego dopalacza. Wyjął z szafki

kubek, jeden z tak zwanych niczyich, wsypał dwie łyżki kawy rozpuszczalnej, tyle samo cukru, zalał do połowy mlekiem i dopełnił ciepłą wodą z dystrybutora. Zadowolony ruszył z powrotem do pokoju.

Chociaż obsługiwali największych klientów indywidualnych tego biura i generowali znaczną część jego przychodów, trudno było nazwać miejsce ich pracy bardzo wygodnym. Niewątpliwym plusem było to, że nie pracowali w pomieszczeniu typu open space podzielonym ściankami o wysokości metr osiemdziesiąt. Mieli osobny pokój, z oddzielną klimatyzacją i wejściem. To pierwsze oznaczało, że nie muszą znosić nadmiernego chłodu lub duchoty, którymi potrafił potraktować współpracowników „właściciel” pokręta klimatyzacji. Drugie było bardziej przyziemne - liczba potencjalnych złodziei portfeli czy telefonów komórkowych zamykała się na pracownikach tego pokoju. I jak nie nazwać tego miejsca luksusowym?

Pracowali w dziewięciu: pięciu z licencją maklerską, trzech doradców inwestycyjnych i jeden chłopczyk na praktykach, przyuczający się głównie w przynoszeniu kawy. Każdy z pracowników miał do dyspozycji cztery monitory, ustawione piętrowo w dwóch rzędach. Siedzieli w niewielkiej odległości od siebie, przy podłużnym blacie w kształcie litery L. Za plecami mieli dwie duże plazmy: na jednej zazwyczaj nastawiano TVN CNBC, na drugiej Bloomberg lub CNN. Poniżej stał stolik, na który powinna być dostarczana świeża prasa. Powinna - ale w całym biurze znacznie zredukowano liczbę zamawianych papierowych wydań tytułów prasowych, wskutek czego otrzymywali jedynie „Parkiet” i „Puls Biznesu”, ale dopiero po tym, jak najpierw przejrzał je zarząd. Po lewej od wejścia znajdował się maleńki gabinet ich dyrektora. Ściana dzieląca pomieszczenia była przeszklona, co wyraźnie sugerowało pracownikom, czym mają się zajmować w trakcie pracy.

Chłopak usiadł przy swojej części stołu, włączył komputer, wysypał okruchy z klawiatury i przesunął papiery ułożone wokół, robiąc tym samym miejsce na kubek z kawą. Radość i pewność siebie, którą przejawiał kilka minut temu, błyskawicznie ustąpiły miejsca suchemu, aczkolwiek jeszcze nie w pełni dojrzałemu profesjonalizmowi. Za dwie dziesiąte napięcie i podniecenie, które ogarniały wszystkich w pomieszczeniu, były już prawie namacalne.

Zerknął w kierunku dyrektora. Chodził po pokoju, konferując z kimś ostro przez telefon.

O dziewiątej tysiące osób w mieście i kraju wstrzymało oddech, z czujnością wypatrując jakiegokolwiek symptomu ruchu notowań akcji i indeksów w dół. Te drgnęły i na otwarciu WIG20 zanotował 1901 punktów. Dzień wcześniej ten sam indeks, skupiający największe i najbardziej płynne spółki na warszawskim parkiecie, zanotował spadek prawie o 398 punktów. Notowania niektórych instrumentów zamrażano, co jeszcze bardziej zwiększało napięcie na giełdzie. Nigdy wcześniej nie widziano bowiem, aby tak ogromny zjazd na wartości indeksu dokonał się w tak

krótkim czasie. Nawet podczas bessy w latach 2007-2008 spadek indeksu o 500 punktów trwał kilka dni. Tego poranka WIG20 zaczął o półtora punktu wyżej niż dzień wcześniej na zamknięciu i choć nie było to spektakularne wydarzenie, towarzyszyło mu ciche westchnienie ulgi.

Nie jest źle, pomyślał Karol i zerknął raz jeszcze na zawartość portfeli podopiecznych klientów. Akcje, które posiadali, po bardziej lub mniej licznych spadkach również odnotowały powolny ruch w górę. Dobrze, dokupujemy.

Lewiński zaznaczył na monitorze zlecenie kupna akcji i przycisnął enter. Zlecenie zostało dołączone do karnetu zleceń biura maklerskiego i jako całość przekazane do CAP, aplikacji certyfikowanego dostępu do systemu notującego WARSET. Z CAP zlecenie powędrowało do systemu HUB, a stamtąd do komputera centralnego. Ten przyjął zlecenie, zweryfikował jako poprawne, i wysłał do HUB informację o jego przyjęciu, skąd trafiła ona drogą powrotną do biura maklerskiego i komputera nadawcy. W tym samym momencie należący do architektury systemu notującego moduł Indexator obliczył nową wartość indeksów. System notujący wysłał te informacje do systemu dystrybucji informacji giełdowych DIFF, skąd zostały przekazane do różnych odbiorców, w tym do Komisji Nadzoru Finansowego, Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych, biur maklerskich i dystrybutorów informacji.

Ponieważ zamieszczenie zlecenia w arkuszu zleceń było równoważne ze zobowiązaniem inwestora do zawarcia transakcji na określonych przez siebie warunkach, zlecenie zostało pomyślnie zrealizowane.

Można było się rozluźnić i zacząć dzwonić do klientów. Zapowiadał się ciekawy dzień.

O ile cisza przed burzą jest zjawiskiem powszechnie znanym i rozpoznawalnym, o tyle tej katastrofy nic nie zapowiadało. Kiedy już zapracowany naród finansistów zaczął oswajać rynek - i samych siebie - nagle wszystko runęło. Potem mówiono, że symptomy przypominały nowotwór: najpierw jest ból, na przykład w nodze, wizyta u lekarza, brak właściwej diagnozy. Kiedy jednak widać już przerzuty, a choroba dosłownie pożera cały organizm, na leczenie jest za późno.

O tym, że popełnił błąd w ocenie, Lewiński zorientował się o dwie minuty za późno. Najpierw indeks obniżył się o 1 punkt. Nic wielkiego, może ktoś wpadł w popłoch. Kupujemy. Jednak po kilku sekundach spadł o kolejne trzy punkty. Potem o jedenaście, szesnaście. Jak w marazmie młody makler obserwował powiększającą się przestrzeń dzielącą poziomą linię wskazującą poziom zamknięcia WIG20 z dnia poprzedniego od jego obecnej wartości. Zerknął na inne indeksy. Także rozpoczęły gwałtowne i ostre szukanie dna. Przez kilka sekund jego umysł wypierał ze świadomości obrazy widziane oczami. 1873 punkty... 1841... 1807... Oprzytomniawszy, zerwał się z fotela i wpadł do

gabinetu dyrektora.

- Szefie! Musi pan to zobaczyć...!

Jakby na zawołanie odezwała się najpierw jedna z komórek w pokoju, po czym zaczęły dzwonić inne telefony. Dyrektor wyskoczył z pokoju, zaczął krzyczeć i wydawać jakieś polecenia. Karol nie słuchał. Patrzył na wyświetlacz swojej komórki. Dzwonił Karasowicz, zapewne z informacją, że błyskotliwa kariera maklerska Lewińskiego właśnie dobiegła końca.

Tego dnia dźwięk brzęczących telefonów niósł się przez całą Warszawę: od Puławskiej przez Wołoską, Wspólną, Marszałkowską, Senatorską, aż do placu Trzech Krzyży. Wiesław Rozłucki, kiedy był jeszcze prezesem GPW, powiedział, że to panika sprawia, iż ludzie tracą, bo pieniądze na giełdzie są przecież wirtualne. Tylko jak to wytłumaczyć człowiekowi, który wczoraj miał na koncie kilka jak najbardziej realnych milionów złotych, a dziś ledwie kilkanaście tysięcy? Specjaliści od finansów oraz inwestycji chwycili za słuchawki i z całych sił starali się uspokoić swoich klientów, co i tak nie miało większego znaczenia, bo prawie nikt nie wiedział, co się dzieje.

Ci, którzy wstali po dziesiątej rano, oszczędzili sobie złudzeń, że giełda - i ich portfele - odrobnią straty. W ciągu kilku godzin WIG20 spadł o kolejne 192 punkty, ciągnąc za sobą pozostałe indeksy warszawskiego parkietu. Akcje blue-chipów przypominały ubrania na wyprzedaży z zeszłorocznej kolekcji na via dei Condotti. Nikt ich nie chciał.

Jak gryzby po deszczu zaczęły wokół budynku GPW wyrastać ekipy dziennikarzy. Wozy transmisyjne TVN24 i TVN CNBC, Polsat News, TVP1 oraz TVP Info obstawiły Książęcą od Rozbrat po Nowy Świat. Reporterzy zajęli miejsca przy wszystkich wejściach i wyjściach. Co pięć metrów można było spotkać znajomą twarz, która nadawała na żywo lub przeprowadzała wywiad z nieszczęśnikiem, który wpadł w sidła mediowych najeźdźców.

Oblężenie przeżywały także punkty obsługi klientów. Od rana wszystkie stanowiska składania zleceń były zajęte przez stałych bywalców, zaniepokojonych wydarzeniami dnia poprzedniego. Teraz masowo dołączali do nich ci, którzy nie mogli dodzwonić się do swoich maklerów lub złożyć zleceń przez mocno obciążony system. Ale nawet w tych biurach maklerskich, które zapobiegawczo wzmocniły szeregi swoich pracowników w POK-ach, trudno było zapanować nad coraz większym chaosem i paniką. Do pracowników docierały urywki pytań w rodzaju: „Jak to nie mogę sprzedać?”, „Co to znaczy, że koszyk zleceń kupna jest pusty?”, „Dlaczego spółka nic nie robi?!”, a jeszcze mniej rzetelnych informacji, które mogłyby nieco załagodzić

atmosferę. Tłumy w POK-ach gęstniały z minuty na minutę i nie było możliwości zapobiec temu, aby rozpacz inwestorów, tracących właśnie masę pieniędzy, przerodziła się we wściekłość na biura maklerskie, które przecież obracały tymi pieniędzmi. Ponieważ szlag trafił wszelkie zakazy nagrań i transmisji telewizyjnych z punktów obsługi klientów, w wieczornych wiadomościach widzowie mogli zobaczyć, jak dochodzi do szarpanin i rękoczynów. W całej Polsce podpalono kilka POK-ów, a w kilkunastu wybito szyby. W Warszawie do gabinetu prezesa jednego z dużych biur maklerskich wdarła się grupka inwestorów - a za nimi ekipa telewizyjna - domagających się zwrotu swoich pieniędzy. Pogotowie i straż pożarna wyjeżdżały kilkanaście razy, a policyjne areszty wypełniły się po brzegi zadbanymi zwykle jegomościami, tym razem w poszarpanych marynarkach.

O godzinie dwunastej, gdy indeks WIG20 zanotował 1657 punktów, a spadki kursów akcji publicznych spółek wyniosły średnio sześćdziesiąt procent, zarząd GPW zawiesił notowania odbywające się na wszystkich rynkach. Dopiero pod koniec dnia pojawiły się pierwsze nieoficjalne doniesienia, że straty inwestorów - wskutek zadziałania instrumentów pochodnych - sięgały ponad tysiąca dwustu procent.

Pomimo blisko dwudziestoletniego programu edukacji na temat rynku kapitałowego tego dnia środowisko maklerskie zostało zgodnie nazwane bandą przygłupów i nierobów. Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie zyskała miano bezsilnego i bezwładnego wałka, który można toczyć w dowolnym kierunku, a Komisja Nadzoru Finansowego została ochrzczona prostytutką rynku kapitałowego, która daje temu, kto ma więcej.

- Moim zdaniem mamy do czynienia z nowym rodzajem ataku terrorystycznego. Wszelkie dane, jakimi dysponujemy w chwili obecnej, wskazują, że była to manipulacja rynkiem finansowym na niespotykaną dotąd skalę.

- Ale czy to możliwe, żeby ktoś był w stanie wyłożyć tak olbrzymi kapitał?

- W Polsce być może nie, ale proszę pamiętać, że kapitalizacja spółek warszawskiej giełdy to raptem pięć procent LSE czy NYSE Euronext...

Na telefonie leżącym na biurku zamajaczyło światełko „sekretariat”. Odebrał.

- Panie premierze - odezwał się głos w słuchawce - panowie: przewodniczący Dostański i prezes Maciejewski do pana.

- Zapraszam.

Antoni Riks wyciszył pilotem głos w telewizorze i poprawił marynarkę. Po chwili w drzwiach pojawiły się dwie znajome, wyjątkowo dziś blade i zmęczone twarze.

- Witam panów. Proszę. Nie, Kasiu, dziękujemy za kawę.

Bez zbędnych grzeczności premier wskazał im sofę, a sam zajął miejsce w stojącym nieopodal fotelu. Nie trzeba psychologa, żeby stwierdzić, że przyjmował generałów po

przegranej bitwie. Prezes giełdy, Jerzy Ksawery Maciejewski, miał worki pod oczami, a zwykle elegancko nażelowane blond włosy były dziś rozczochrane. Rzucił się na sofę, jak gdyby ostatnio siedział na krześle elektrycznym. Na wygniecionej marynarce miał kilka plam po kawie. Waldemar Dostański, przewodniczący KNF, zachował nieco więcej klasy, ale i on wyglądał na mocno wyczerpanego. W tym przypadku premier stwierdził to bardziej po minie niż po ubiorze, bo wiedział, że zarówno w swoim gabinecie, jak i w aucie Dostański miał zawsze kilka zapasowych koszul.

- Co nowego wiemy? - zapytał gospodarz.

- Panie premierze - zaczął szef KNF - szczerze mówiąc, nie wiemy, co się stało. Być może to nagły odpływ kapitału zagranicznego, choć wydaje się to mało prawdopodobne, bo sytuacja gospodarcza kraju jest dobra.

Co do tego ostatniego nikt nie miał wątpliwości. Rozpoczęte dwa lata temu przez nowy rząd reformy powoli przynosiły pozytywne efekty: bezrobocie malało, spadała inflacja, opieka zdrowotna stała się dobrem ogólnie dostępnym. I wystarczyło posadzić na właściwych stołkach ludzi, którzy wzięli się do roboty, pomyślał premier.

- Inne możliwości?

- Badamy to - odparł Dostański. - Nie możemy wykluczyć manipulacji, ale chciałbym się powstrzymać od wygłaszania nieuprawnionych sądów.

Maciejewski się wyprostował.

- Moim zdaniem cała GPW stała się poligonem walk pomiędzy olbrzymimi instytucjami finansowymi - wtrącił. - Być może nie chodzi nawet o przejęcie kontroli nad giełdą czy zbadanie stanu rynku, ale o wypróbowanie jakichś nowych metod...

- No dobrze, a dlaczego tak późno zareagowaliście?

- Proszę? - Maciejewski chrząknął.

- Przecież przepisy zobowiązują was do zawieszenia notowań, gdy tylko przekroczą określony pułap, prawda? - Prezes GPW miał wrażenie, że premier przewierci go wzrokiem na wylot.

- No tak... ale sądziliśmy, że się odbije...

- Odbiło to chyba tobie, Jurku! - Riks wstał i zaczął krążyć po pokoju. - Wiesz, co zrobią inwestorzy? Zechcą się procesować! Zażądają zwrotu pieniędzy, i będą mieli rację! I kto za to zapłaci?! Bo chyba nie myślisz, że państwo!

- System nie działał tak, jak trzeba - zaczął niepewnie Maciejewski. - Mieliśmy problemy techniczne. Większość notowanych na giełdzie instrumentów przekroczyła dopuszczalne widełki. Zaczęliśmy zamrażać notowania każdego z nich, ale komputer się zawiesił. Więc chwilę dłużej to trwało, zanim wyłączyliśmy wszystko...

Premier spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Zawieszaliście notowania każdego z instrumentów osobno?

- Nie. - Maciejewski energicznie zaprzeczył ruchem głowy. - Znaczący, na początku tak. To jest normalna procedura. Ale potem, gdy znów komputer zaskoczył, a akcje

dawały nura, zawiesiliśmy wszystkie notowania...

- I co zamierzacie zrobić? Przeprosić?

- Nie wiem na razie, czy jest za co. - Szef GPW wzruszył ramionami. - KDPW mieli u siebie wszystkie transakcje. Pewnie jeszcze długo nie dowiemy się, kto nam tak namieszał na parkiecie.

- Chwileczkę - wtrącił się Dostański. - Powołałem specjalny zespół, który ma przeanalizować wszystkie transakcje przeprowadzane na GPW w ciągu ostatnich tygodni i porównać je z danymi światowymi. Jeśli było to działanie umyślne, za kilka dni nie będzie co do tego wątpliwości.

- Ico?

- Jeśli dowiemy się, kto za tym stoi, to będzie od kogo ściągać chociażby ewentualne odszkodowania.

Premier się zamyślił. Takie sytuacje zawsze wymagają specjalnych ekip dochodzeniowych. Może rzeczywiście lepiej, żeby pracowali nad tym znający się na rzeczy finansiści niż dobrzy w kręceniu filmów ludzie z CBA?

- Kto nad tym pracuje? - zapytał po chwili.

- Najlepsi z...

- Dostaniesz jeszcze kogoś od Abrończyka.

Co prawda Ministerstwo Finansów zarządzane przez Bogusława Abrończyka zaczęło wreszcie działać sprawnie, i to bardzo, ale to nie znaczy, że ma się mieszać w sprawy innych instytucji. Dostański już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale premier tylko podniósł rękę i zwrócił się do Maciejewskiego.

- A jak nastroje w biurach?

- Uspokoilo się - odparł rzeczowo Maciejewski. Po Sodomie i Gomorze, która miała miejsce w ciągu dnia, wieczór przyniósł ostudzenie emocji. Zarządzone przez prezydenta Warszawy i wprowadzone również w innych większych miastach kontrole policyjne nie donosiły o żadnych znaczących występkach, wyłączając nadmierne spożycie alkoholu, co w sumie było jakoś dla wszystkich zrozumiałe.

- A co na to same spółki?

Prezes GPW westchnął.

- Żądają powołania komisji śledczej. Kilka grozi pozwami o nienależyte dopełnienie przez giełdę i nadzór swoich obowiązków w zakresie kontroli rynku kapitałowego. - Poprawił się na sofie. - Nic nowego w takiej sytuacji. Spotykamy się jutro po południu.

- Dobrze. - Riks zerknął na zegarek. Dochodziła dwudziesta. - Rano mam konferencję prasową. Co w końcu powiedzieć dziennikarzom? Że dwa dni się opieprzamy?

Cisza.

- Notowania zostają zawieszane do końca tygodnia, gdyż wtedy poznamy wyniki analizy prowadzonej przez KNF - wybełkotał w końcu Maciejewski. - Z pomocą

ministerstwa na pewno zdążycie, prawda? - Ostatnie, lekko zjadliwe zdanie skierował do szefa KNF.

- Tak - rzekł Dostański. - Ale w przyszłości lepiej pilnujcie własnego podwórka.

Premier popatrzył na nich z ukosa.

- Dziękuję panom za spotkanie. - Wstali.

Obaj mężczyźni czuli się jak po wizycie na dywaniku i obaj mieli pewne refleksje na ten temat. Gdy jednak jeden poprzysiągł sobie, że za wszelką cenę należy złapać i ukarać winnych całego zamieszania, drugi przede wszystkim zastanawiał się, co było jego przyczyną.

Tłum przelewający się w kierunku Tiefer Graben zaczął gęstnieć, co przypominało Ulrikowi von Schwaltzkemu, że nad Innere Stadt zapada zmrok i pora kończyć kolejny dzień pracy. A raczej swoją zmianę, poprawił się, bo przy Wallnerstrasse 8 rzadko kiedy gaszono światła.

- Sądysz, że możemy trochę podgrzać atmosferę? - pytanie Erwina wyrwało go z zadumy. Tak, zastanawiał się nad tym. Z jednej strony oczywiście istniało ryzyko, że to tylko chwilowa, choć trudno wytłumaczalna, korekta. A Maciejewski, bez względu na to, jakim jest palantem, zna się na finansach i szybko się z tym upora. Z drugiej strony, rynek finansowy oferował tak szeroki wybór narzędzi, że grzechem byłoby ich w takiej sytuacji nie wykorzystać. Zwłaszcza że można by rzucić kośćmi i w sprzyjających okolicznościach zgarnąć całą pulę, nie wchodząc jednocześnie do gry.

- *Vielleicht*. Połącz mnie z Pragą.

Gdy o dwudziestą trzecią przyszła ekipa sprzątająca, w gabinecie prezesa Wiener Boerse wciąż paliło się światło.

Gdy w Europie zapadła głęboka noc, a wszystkie sprawy urzędowe i biznesowe żyły co najwyżej w snach przepracowanych ludzi interesu, nad wybrzeżem Punta Cana na Dominikanie wschodziło słońce. Bavaro słynęło z pięknych plaż, ale również z nowoczesnej infrastruktury informatycznej, o której sąsiadnie Haiti - zwłaszcza po trzęsieniu ziemi na początku 2010 roku - mogło tylko pomarzyć.

Mężczyzna około pięćdziesiątki siedział samotnie w wiklinowym fotelu wyłożonym poduchami w jednej z kilku lepszych, czynnych całą dobę plażowych restauracji dla stałych bywalców. Na stoliku stały świeży koktajl z owoców i popielniczka. Mężczyzna ubrany w białą lnianą koszulę i krótkie beżowe szorty, wyglądał z lekkim czarnym zarostem i włosami przyprószonymi siwizną, jak typowy milioner na wakacjach, co szczególnie podkreślał trzymany przez niego „Financial Times”.

Przeglądał właśnie część poświęconą rynkom i notowaniom kursów giełdowych, gdy

w kieszeni poczuł lekkie wibrowanie. Numer nieznany.

- Robert.

- Załatwione.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Dobrze. Kiedy?

Po chwili zakończył rozmowę i spojrzął na horyzont. Woda jak zwykle miała odcień turkusowy, na niebie nie było żadnej chmurki. Zapowiadał się piękny dzień. Szkoda stąd wyjeżdżać.

ROZDZIAŁ II

Nadzór

Młody mężczyzna wysiadł z autobusu linii 520 na przystanku Centrum i rozpiął kurtkę. Musiał się ochłodzić po podróży w tłoku. Kurtka, wyglądająca trochę jak popularny flek z lat dziewięćdziesiątych, była w istocie dość droгим upominkiem od jednej z jego byłych dziewczyn. Prezent ów zyskał aprobatę obdarowanego tylko dlatego, że metka Hugo Bossa widniała jedynie po wewnętrznej stronie kołnierzyka. Ciemnogrnatowa, z lekkim połyskiem i ładnie wykończona mogłaby przyciągnąć wzrok niejednej stylistki, gdyby nie kontrastowo dobrane jasne bojówki, niemal puszczające oko do ludzi śledzących z nadmierną uwagą najnowsze trendy. Mężczyzna przecesał dłonią swoją czarną czuprynę i ruszył przed siebie.

Co prawda, mógł skorzystać z metra, z którego zdążono już odpompować wodę - chwala Bogu, że podczas jego budowy ostatecznie nie zrezygnowano z instalowania kosztownych śluz - ale pociągi wciąż kursowały z opóźnieniem. Niejednokrotnie zastanawiał się nad tym, że w Warszawie tempo życia jest odwrotnie proporcjonalne do prędkości realizacji prac remontowo-budowlanych. Trudno. Ponieważ jednak nie miał zamiaru zrywać się wcześniej z łóżka, przestój w metrze oznaczałby potencjalne spóźnienie. A pierwszego dnia nie wypada się spóźnić. Przynajmniej pierwszego.

Całą szerokością chodnika pod Domami Centrum płynął tłum śpieszących się jak zawsze o tej porze ludzi. Choć większość pieszych preferowała ruch prawostronny, to zawsze istniała groźba oberwania łokciem od jakiegoś „wyprzedzającego” czy zostania zachlapanym kawą z Coffee Heaven przez „skręcającego”. Rzucone w biegu „przepraszam” niosło ze sobą tyle empatii co oburzenie ludzi, którzy z braku miejsca na hamowanie wpadali na owego nieszczęśnika.

Na szczęście mężczyzna, cały i czysty, skręcił w prawo w przesmyk między budynkami i ruszył pasażem Wiecha. Trochę luźniej. Rozciągający się od Rotundy PKO BP do ulicy Sienkiewicza pasaż Wiecha bywa określany także jako granica dzieląca zabieganą Warszawę od normalnego świata, gdzie matki wywieszają na balkonach świeże pranie, a dzieci bawią się w chowanego. Co bardziej światłych może zainteresować nieco pretensjonalna architektura pasażu, na którą składa się dziewięć megalatarni, każda wysokości prawie dwudziestu metrów. Zapatrzeni w wieńczące je

dziwaczne skrzydła mogą zostać szybko i dosłownie sprowadzeni na ziemię przez wystające kanty granitowych płytek. Od przewrócenia się na „przecież prostym” pasażu gorsze jest tylko szukanie toalety. W okolicy jest tylko jedna toaleta publiczna, znana przede wszystkim jako miejsce spotkań mniejszości seksualnych. Jednakże poszukujący mocniejszych wrażeń nie muszą udawać się do wychodków. Odnajdą je w małych lokalikach oferujących „fuli body massage with happy ending”. Butiki przy pasażu Wiecha i w jego obrębie stanowią pewien precedens dowodzący, że wynajmując piętnaście metrów kwadratowych w centrum miasta, można dzięki własnej przedsiębiorczości utrzymać się nawet ze sprzedaży minerałów.

Mężczyzna doszedł do zniszczonego neonu nieczynnego już kina Relax i popatrzył na zrujnowany front. Byłem tam na „Gladiatorze”, wspomniał, ile to już lat? Będzie ponad dziesięć. Zanotował w pamięci, żeby dokupić film do swojej skromnej kolekcji DVD. Każda dziewczyna na nim płacze.

Po kilkunastu metrach skręcił w lewo w plac Powstańców Warszawy i stanął naprzeciw budynku Komisji Nadzoru Finansowego.

Siedziba KNF nie zachwycała ani skalą, ani rozmachem. W przeciwieństwie do Giełdy Papierów Wartościowych, mogącej pochwalić się nowoczesnym gmachem na tyłach Centrum Bankowo-Finansowego, czy nawet siedziby Ministerstwa Gospodarki, który został wyróżniony Państwową Nagrodą Artystyczną w roku 1950, budynek KNF jawił się jako zwykły peerelowski szarak. Być może to wpływ ponurego, bo przypominającego trumnę, stojącego po sąsiedzku budynku Narodowego Banku Polskiego. A może wyrosła jeszcze z czasów komunizmu niechęć do oddawania całkowitej kontroli w ręce jakichkolwiek państwowych instytucji, tak mocno wyzierająca z poszarzałych szyb obu budynków. Bo plac Powstańców Warszawy można uznać za nadzorcze zagłębienie stolicy - z jednej strony Komisja Nadzoru Finansowego oraz Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, z drugiej Narodowy Bank Polski, a czterysta metrów dalej Świętokrzyską na wschód - Ministerstwo Finansów. Tyle że gmach tego ostatniego odstaje wyraźnie od reszty towarzystwa, gdyż wzniesiony na wzór pałaców francuskich, z otwartym na ulicę dziedzińcem paradnym i fontanną pośrodku, należy do grona najładniejszych budowli w Warszawie. Socrealistycznych, rzecz jasna.

Powstała jesienią 2006 roku Komisja Nadzoru Finansowego przejęła obowiązki Komisji Papierów Wartościowych i Giełd oraz Komisji Nadzoru Ubezpieczeń i Funduszy Emerytalnych, łącząc kompetencje obu organów, sprawując tym samym nadzór nad sektorem bankowym, rynkiem kapitałowym, ubezpieczeń i emerytalnym w

Polsce. Dużo władzy w rękach jednego człowieka, którą mógł sprawować dzięki pracy i wiedzy swoich dziewięciu- set pracowników.

Mężczyzna skierował się do wejścia, które to z kolei przypominało zwykłą klatkę schodową. Wszedł więc schodkami na półpiętro, przeszedł przez bramkę z wykrywaczami metali i podszedł do strażnika, który niechętnie oderwał się od codziennego rytuału picia kawy zalewajki.

- Dzień dobry. Ja do prezesa eee... przewodniczącego. Miałem zgłosić się do recepcji - powiedział, wyjmując z portfela dowód osobisty i podając go strażnikowi. Ten wziął dokument do ręki, i nie patrząc na przybysza, zaczął przeglądać leżącą na biurku księgę w poszukiwaniu właściwej rubryki z nazwiskiem.

- Nie ma tu pana - odrzekł po chwili, sam jakby zaskoczony tym faktem.

- Pewnie dlatego, że dostałem dyspozycję dopiero wczoraj.

- Psze chwilę poczekać. - Strażnik stęknął i sięgnął po telefon. A kawa stygnie!

- Do prezesa. Tak, z Ministerstwa Finansów. Dobrze. - Odłożył słuchawkę - Zaraz ktoś do pana zejdzie.

- Rozsiadł się ponownie w fotelu, ujął kubek i wrócił do lektury „Super Expressu”.

Po kilku minutach zjawiała się na młodziutka blondynka i powitała przybysza promiennym uśmiechem, zbyt zachęcającym jak na urzędnicze standardy.

- Dzień dobry, pan Piotr z ministerstwa...?

Nie. Z Al-Kaidy. Ale dziękuję za przykrywkę.

- Tak, jestem młodszym doradcą ministra. Piotr Myl- czek, miło mi.

- Mnie również. - Oczy blondynki świeciły jak perełki - Zapraszam na górę.

Ruszyli schodami. Piotr starał się patrzeć na boki, ale mimo wszystko musiał przyznać, że Dostański na pewno zna się na wszystkim również od hmm... dupy strony. Zatrzymali się dopiero na trzecim piętrze. Kobieta podeszła do drzwi po prawej stronie, i posyłając Piotrowi promienny uśmiech, delikatnie zastukała i nacisnęła klamkę.

- Pani Zosiu, gość z Ministerstwa Finansów do pań - powiedziała, wychylając się bokiem i jeszcze mocniej napinając i tak już obcisłą na biuście koszulę.

Jakich tu oni gości przyjmują?!

Jego rozważania przerwało pojawienie się w drzwiach „pani Zosi”, która okazała się dwudziestoparoletnią, wysoką brunetką o regularnych, ładnych rysach twarzy i zielonych oczach. Swoim długim prostym włosom pozwalała swobodnie opadać na wąskie ramiona. Klasyczny szary kostium i niebieska koszula - zestaw, który zwykle ma w sobie tyle samo seksu co podkolanówki - podkreśla! jej wąskie, ale ładnie zaokrąglone biodra i zgrabną talię.

Piotr przesunął się w drzwiach i wyciągnął rękę.

- Miło mi panią poznać.

- Witam i zapraszam. - Zdecydowany uścisk dłoni. Mocne spojrzenie, które po chwili przesunęło się w bok.

- Dziękuję, Olu. Jeśli będziemy potrzebować więcej estrogenu, nie omieszkać po ciebie zadzwonić.

Dziewczyna zaświergotała radośnie i zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

W pokoju była obecna jeszcze jedna osoba. Korpulentna, dobiegająca czterdziestki pani Ela, urzędniczka z wieloletnią praktyką zawodową. Dzięki uśmiechowi i pogodnemu spojrzeniu nie wyglądała na zgorzkniałą, co było częstą dolegliwością urzędników. A energia i żywiołowość świadczyły o tym, że musi należeć do frakcji tych optymistów-idealistów, którzy wierzą, że cierpliwą pracą i wytrwałością zmienią świat. Pomimo sporej nadwagi i stosunkowo niskiego wzrostu poruszała się lekko i zwinnie, przypominając w tym podskakującą piłeczkę. Odruch poprawiania okularów czy odgarniania spadających na oczy krótkich włosów przywoływał mu na myśl pokemona. Uśmiechnął się więc jeszcze szerzej, ściskając jej dłoń. Dwie kobiety, jedna ładna, druga zabawna

- czego chcesz więcej?

Pokoik był nieduży, ledwo mieścił trzy zestawione razem biurka. W oknach wisiały rolety, po lewej stała wysoka metalowa szafa. Żadnych paprotek, rysunków, zdjęć, kalendarzy. Zwykła przechowalnia. Tak, tak, droga Komisjo, chroń swoje informacje przed ministerstwem.

- Tu jest twoje biurko. - „Ładniejsza” wskazała Piotrowi miejsce po lewej od siebie, tyłem do wejścia. Monitoring monitora w cenie. - Laptop, telefon, wszystko powinno działać. Loginy i hasła znajdziesz na karteczce przy sprzęcie, tam też masz numer do help desku.

- Dziękuję. - Usiadł przy biurku. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby ocenić sprzęt na jakieś pięć lat z hakiem. Co nie było takie złe jak na państwowe standardy: jego pierwszy pecet w ministerstwie pamiętał chyba jeszcze czasy Enigmy. - To co, zaczynamy od razu?

Zosia popatrzyła na niego z ukosa.

- Chyba że wolisz najpierw konferencję prasową. - Jej słowa ociekały jadem.

- Tak, ale to już po tym, jak rozgryziemy ten orzeszek. - Uśmiechnął się, szczerząc zęby.

Był na to przygotowany. Pół roku temu z NewConnect na rynek główny GPW przeniósł się dom maklerski z Katowic. Analizując podmiot pod kątem współpracy przy prywatyzacjach planowanych przez ministerstwo, Piotr dopatrywał się, że jego właściciele zbudowali swoistą piramidę finansową. Mechanizm był prosty: najpierw przeprowadzali pre-IPO dla zaprzyjaźnionych inwestorów, potem wprowadzali spółkę na NewConnect. Inwestorzy zarabiali, bo wycena spółek była windowana w kosmos. Jeśli jednak nie zarabiali, można było ich spłacić, emitując akcje w innej spółce z grupy

lub upubliczniając kolejne podmioty. A ponieważ kasa była filtrowana przez spółki zarejestrowane na Cyprze, trudno było od razu dopatrzeć się niepokojących powiązań. Sprawa trafiła na łamy prasy, biuro maklerskie splajtowało, a właściciele wciąż gęsto tłumaczą się przed prokuraturą. A on? Piotr zyskał rozgłos, o który nigdy nie zabiegał, uściski dłoni i wyróżnienie od samego Maciejewskiego. W konsekwencji stał się prawie takim samym symbolem niezłomnej walki pracownika państwowego jak Łodzią Milicjantka.

Najgorsze było to, że popularność zaczynała mu ciążyć. Nie żeby nie miał frajdy, gdy wchodził do klubów bez kolejki czy spotykał ludzi, których do tej pory znał jedynie z gazet... Ale te dziewczyny! Wszystkie piękne, wystrojone, bogate i lecące na niego jak charty na zającą. No, może ostatnia była miłsza... Ale żeby zaraz razem mieszkać?!

- Jesteś bardzo pewny siebie - zauważyła sucho dziewczyna i usiadła za swoim komputerem.

- Po prostu uważam, że nie ma rzeczy niemożliwych. Wystarczy ciężko pracować.

- Taaa? - Wychyliła się zza monitora z uśmiechem powątpiewania na twarzy.

- Słuchaj, nie jestem tu po to, żeby się pindrzyć. - Ileż można udawać, że nie wkurzają go te podjazdy! - Może to ja mam pomóc wam, może wy mnie, ale cel mamy jeden i ten sam, i skupmy się na nim, a nie na wzajemnych animozjach! Okej?!

Spiorunowała go wzrokiem.

- Dobrze. Liczymy jednak na twoją dyskrecję.

Do kurwy nędzy, co za paskudny, niereformowalny babsztyl!

- Spokojnie. - Popatrzył na nią twardo. - Ostatnio przerzuciłem się z reporterek na modelki.

- Obyś się niczym nie zaraził, bo robota nam nie pójdzie...

Piotr zaczął dyszeć i już otwierał usta, żeby się jej odgryźć, gdy nagle gęste powietrze rozbrzmiało serdecznym śmiechem Eli. Jej piersi i brzuch zaczęły falować rytmicznie, czemu towarzyszyły kolejne wybuchy niepohamowanej wesołości.

- No już dobrze, dobrze - zaczęła po chwili, ocierając łzy z kącików oczu. - Nie ma sensu się ciskać, skoro będziemy tu razem pracować. Tylko wiesz co Piotrze? - Jej spojrzenie powędrowało pod biurko, co wzbudziło u Piotra dziwne uczucie. Wstyd? - ...Może KNF to nie jest najelegantsze miejsce po tej stronie Wisły - znów uśmiechnęła się szeroko - ale w pracy obowiązuje nas *dress code*. Więc wybaczone, ale w tym urzędzie bojówki, T-shirt i trampki to nie jest strój do pracy.

- Cóż... - odwrócił głowę i spojrzał na Zosię. - Szykowałem się na wojnę i jak widać, nie pomyliłem się.

Zabrali się w ciszy do pracy. Nie mógł jednak nie dostrzec lekkiego uśmiechu, który zagościł na twarzy dziewczyny. Może i jest łajzą, ale przynajmniej oswojoną. Po kilku minutach chrząknął.

- To na czym stoimy?

Gabinet przewodniczącego KNF, choć nie odbiegał standardem wykończenia od całego budynku, w którym zacieki na suficie, nieszczelne okna czy zamarzająca w kaloryferach woda były czymś tak oczywistym jak trzynasta pensja i bony na święta dla pracowników, znacznie jednak różnił się od gabinetów zajmowanych przez osoby z jego pozycją. Tuż przy wejściu rzucały się w oczy wołające o nowy lakier lub chociażby dywan do przykrycia pościerane drewniane klepki podłogowe. Po prawej stronie dożywał swoich lat obity zamszem fotel, o którego minionej świetności świadczyły jedynie misternie zdobione dębowe nóżki. Naprzeciwko niego stała niedomy- kająca się drewniana komoda. Największą uwagę wchodzącego przykuwało zwaliste mahoniowe biurko, które choć było maksymalnie dosunięte pod okno - tak, by umożliwić jego drobnemu właścicielowi wejście i wyjście - to i tak dzieliło je od drzwi wejściowych niewiele ponad dwa metry. Białe, gołe ściany oznaczały zazwyczaj, że jest to pomieszczenie przejściowe. Oszczędność w zakresie prezentacji własnych, zresztą licznych, dyplomów, nagród i pamiątek, nie wynikała jednak ze skromności Dostańskiego, ale z jego sposobu życia. Mający pięćdziesiąt parę lat przewodniczący, zwany też „prezesem”, znany był z tego, że mało ktokolwiek o nim wiedział. Co prawda w google’u pojawiało się kilka pokaznych stron na hasło wyszukiwania „Waldemar Dostański”, ale były to głównie informacje o jego opracowaniach naukowych, książkach na temat finansów czy publikacjach zbiorowych. Pewne było, że zanim zaczął pracować w KPWiG jako zastępca prezesa - skąd przeszedł do KNF, obejmując w 2008 roku funkcję przewodniczącego - przebywał za granicą. Ponoć wykładał na europejskich uniwersytetach. Ponoć, ponoć... Mówiono, że zanim wyjechał, pracował w Ministerstwie Finansów. Ale nikt jakoś nie zadał sobie trudu, żeby gruntownie sprawdzić te dane i uporządkować wiarygodne CV. W powszechnej opinii uchodził za samotnika. Nie miał rodziny, mieszkał sam na Powiślu. Jako szefa oceniano go skrajnie: jedni uważali, że dba o urząd jak lwica o młode. Inni - szczególnie przyjaciele tej setki, którą bez mrugnięcia okiem zwolnił z dnia na dzień, gdy premier zarządził odchudzenie administracji państwowej - byli zadnia, że liczą się dla niego tylko prawo i przepisy.

Jedni i drudzy nie mają racji, pomyślała Zofia. Gdy patrzyła na niego, jak teraz siedzi i rozmawia przez telefon, błędząc wzrokiem po ekranie laptopa, wydawało się, że prawie znika w ramionach olbrzymiego ciemnego fotela. Trzydzieści centymetrów nad jego głową wisiała duża drewniana okiennica, przypominająca o przyczynie ciągłych migren właściciela tej klitki. Ciekawe, czy to ta listwa jest tak spróchniała, czy szef ma tak mocną czaszkę, że jeszcze mu nie pękła od uderzeń.

- Przepraszam, że musiała pani czekać - rzekł uprzejmie, odkładając słuchawkę.

- Nie szkodzi.

- Jakie postępy w pracy?

Co jest?! Dziś zaczęliśmy!

- Zbieramy informacje. - Usiadła wygodniej, starając się nie rozpraszać gestami rozmówcy, który używając ekranu laptopa jako lusterka próbował ułożyć swoje szpakowate włosy. - Ela Górka zajęła się analizą danych z ostatniego miesiąca, tak jak pan prosił. Dostaliśmy już materiały z KDPW. Bankowy ściągnie nam zestawienia transakcji od domów maklerskich. Mamy je dostać dziś do trzynastej, wcześniej powinny spłynąć dane z giełdy... Aha, no i czekamy na zagranicę, ale to z dzień jeszcze potrwa.

- Okej. - Skinął. - A nasz gość? Co to za facet?

- Przysłali bystrzaka. - Uśmiechnęła się. - Ale zna się na rzeczy. To ten koleś od Katowickiego...

- Proszę, proszę. - Dostański rozparł się w fotelu. - Abrończyk chce kolejnego medialnego show?

- Pewnie tak. Ale facet myśli, więc nie powinno z nim być problemów.

- Tak, wiem, słyszałem.

Aha. Tu cię mam.

- Wie pani - kontynuował - że jestem jedynym prezesem instytucji rządowej, który nie został odwołany po wyborach? - Usiadł prosto i zaplótł ręce na biurku. Jakież on ma małe dłonie, prawie kobiece! Ciekawe, jaki nosi rozmiar buta... 36? O mało nie parsknęła śmiechem. - Zmieniają się ludzie, ale cele pozostają te same - kontynuował. - KNF musi stać na straży prawa i porządku. Nie możemy podlegać naciskom żadnej z instytucji, nawet jeśli będzie to instytucja rządowa. - Pokręcił głową, widząc jej pytające spojrzenie. - Nie, nie ma na mnie nacisków i nie podejrzewam ani premiera, ani innych ministrów o tego typu praktyki. Ale zawsze na każdego można znaleźć haka. I choć może być to tylko nieprawdziwa plotka, jeśli przedostanie się do mediów, może zniszczyć każdego.

- Nie rozumiem...

- Jak każdy mam wrogów. A chciałbym, żeby ta sprawa została doprowadzona do końca. Rozumiesz?

Nie, wcale nie, ale kiwnęła głową potakująco.

- Miej oczy szeroko otwarte. I zawiadom mnie pierwszego, jeśli coś wygrzebiesz.

- Może pan na mnie liczyć.

Zabawne, że użył słowa „jeśli”.

- Cieszę się, Zosiu, że mam panią u siebie. - Uśmiechnął się ciepło. - Ucałowania dla Joanny.

- Dziękuję.

Zofia Maria Paul знала Waldemara Dostańskiego znacznie dłużej, niż wynosił staż jej pracy w KNF. Po jego powrocie do kraju już jako nastolatka miała okazję przysłuchiwać się dyskusjom, które prowadził z jej ciotką. Nieraz słuchała, a nieraz podsłuchiwała.

Jakie życie potrafi być przewrotne. Gdyby po samobójstwie matki nie zaadoptowała jej ciotka, dziewczyna prawdopodobnie nigdy nie poznałaby ani kawałka historii swoich rodziców. Zabawnie jest myśleć „rodzice” i widzieć dwie obce osoby. Nawet matka, z którą żyła prawie dziewięć lat, była dla niej kimś dalekim i właściwie trudnym do zniesienia. Neurotyczna i pogrążona w depresji, urodę i talent malarski, a właściwie i życie zagubiła wraz z utratą ukochanego, który po prostu odszedł. Jej siostra Joanna była Zosi od zawsze bardziej bliska. Ciepła i pełna energii, wyzwolona i zaradna. W dodatku nie bała się świata, pół życia spędziła w Stanach czy - jak sama mawiała - „w 1’Ameryce”. Jej duże mieszkanie w kamienicy na Saskiej Kępie zawsze było pełne artystów i polityków, przedsiębiorców i bankierów. Rzadko zdarzał się weekend bez spotkań, podczas których omawiano ważne dla kraju sprawy; spotkania te zazwyczaj kończyły się potańcówkami na tarasie lub w ogrodzie. Częstym gościem bywał również i Dostański, którego czasem, dla zabawy, nazywała wujkiem.

Jednakże za każdym razem, gdy siadała naprzeciw niego tak jak teraz, a on zwracał się do niej per „pani” i widział w niej - przynajmniej jej zdaniem - jedynie ulepszoną, bo mówiącą, wersję narzędzia do analizy, zastanawiała się, czy to efekt profesjonalizmu, czy skomplikowanej natury tego człowieka.

Problemem był wybór miejsca. GPW obstawiona wciąż przez dziennikarzy, nie zapewniała ani dyskrecji niezbędnej do tego typu spotkań, ani tym bardziej spokoju potrzebnego przy omawianiu wielu delikatnych, wciąż czekających na rozstrzygnięcie kwestii. Kłopotem był także charakter owej lokalizacji - z jednej strony każdy z gości powinien czuć się tu na tyle swobodnie, żeby bez obaw można było prowadzić rozmowy, z drugiej należało mieć świadomość, kto jest gospodarzem spotkania. Po kilkunastu telefonach i szybkich konsultacjach udało się wybrać miejsce neutralne, ale wciąż w zasięgu władzy rządu.

Wychodzący punktualnie o szesnastej pracownicy banku nie mieli szansy ani zobaczyć przygotowań do szykującego się wydarzenia, ani się o nich dowiedzieć. W tym finansowym molochu również informacja przepływała w tempie lodowca, co wynikało zarówno z traktowania jej jako produktu deficytowego mogącego otworzyć - lub zamknąć - niejedne drzwi, jak i z narosłej przez lata niechęci, obawy i obojętności ludzkiej na cokolwiek wykraczające poza czubek własnego nosa. Po co ruszać gównem i znosić jego smród przez najbliższe miesiące?

Co najwyżej kilkunastu dyrektorów opuszczających podziemny garaż zdziwiło się, widząc wjeżdżające eleganckie samochody. Ale i oni, dołączając do korka wyjazdowego z miasta, byli już myślami przy czekających ich zakupach lub rodzinie w domu.

Zebrali się w niedużej sali konferencyjnej przylegającej do gabinetu prezesa banku. Na środku stał masywny owalny stół, wokół którego ustawiono eleganckie krzesła. W kącie umieszczono niewielki barek zapewniający bogaty wybór trunków, którymi można było się delektować, podziwiając wspaniały widok na centrum miasta, rozpościerający się przez całkowicie przeszkloną ścianę.

Jednak ani panorama Warszawy, ani alkohol nie wzbudziły większego zainteresowania przybyłych. Prowadzone zwykle na stojąco w dwu-, trzyosobowych grupkach rozmowy były tego dnia niezwykle ciche i właściwie odbywały się bardziej z potrzeby usłyszenia, że ktoś ma gorzej, niż podsłuchania jakiejś plotki czy opinii. W powietrzu wyczuwało się napięcie. Zebrani goście coraz częściej ostentacyjnie zerkali na swoje drogie zegarki. Kilka osób bezmyślnie bębniło ołówkami z logo banku w blat stołu, jakby odliczali sekundy do rozpoczęcia spotkania.

Prezes Maciejewski wszedł punkt siedemnasta do sali i położył na stole wielgachną teczkę.

- Witam panie, witam panów. - Ukłonił się uprzejmie wszystkim zgromadzonym o wrogich i zasepionych twarzach. - Dziękuję za przybycie. I dziękuję również prezesowi, że zgodził się gościć nas u siebie.

Ten uśmiechnął się grzecznie, choć dusza mu śpiewała. W życiu nie przegapiłby okazji ściągnięcia tyłu zbłąkanych owieczek na swoje podwórko. Jednakże jego emocje pozostały niezauważone, gdyż z kątów sali rozległy się pierwsze znudzone szepty i chrząknięcia.

- Ostatnie dwa dni na giełdzie nas nie rozpieszczały - zaczął szef GPW. - W związku z tym pozwoliłem sobie zaprosić was na to krótkie spotkanie, aby wyjaśnić wszelkie niecierpiące zwłoki sprawy. Czy...

- Przepraszam cię, Jerzy. - Barczysty mężczyzna z pierwszego rzędu nawet nie wstał. - Ale moja żona zaraz rodzi, jakbym nie miał za dużo problemów. Powiedz po prostu, o co w tym wszystkim chodzi!

- Właśnie usiłuję to zrobić. - Maciejewski niezrażony mówił dalej spokojnie. Tylko w spokoju nadzieja. Jedna iskierka mogła podpalić lont bomby, na której wszyscy siedzieli. - GPW stała się przedmiotem manipulacji...

- Nie chrzań jak komunista! - Mężczyzna podniósł się i zaczął wymachiwać pięścią. - Wszyscy dobrze o tym wiemy, tylko wy tracicie czas na powoływanie jakiegoś pseudozespołu ekspertów! Gówno prawda! Chcę mieć z powrotem swoją firmę, swoje

akcje i swoją kasę, rozumiesz?!

Kilka osób podniosło się z krzesel.

- Hej, Cezary, spokojnie! - Maciejewski cofnął się o krok, rejestrując jednocześnie w pamięci, ile kroków dzieli go od drzwi. - Groźbami niczego nie osiągniesz!

- No przecież to nie Jurek wywalił indeksy, no nie? - krzyknął ktoś z sali.

- Siadaj i daj porozmawiać - dodała kobieta z lewej.

Mężczyzna burknął coś, ale wrócił na swoje miejsce.

W sumie nie ma co mu się dziwić, pomyślał Maciejewski. Jego grupa medialna straciła blisko osiemdziesiąt procent na wartości, prawie najwięcej ze wszystkich.

- Prezesie - kontynuowała kobieta - czy to może być próba wrogiego przejęcia GPW?

Tył sali poruszył się i zabujał złowrogo.

- Jeśli tak, to ja się nie piszę na białego rycerza...

- Naszym kosztem?

- Chronicie inwestorów, a co z emitentami?

- Jak ja mam spłacić kredyty?

- Możemy je zawsze cofnąć...

Prezes Maciejewski zaczął tracić kontrolę nad sytuacją, a co gorsza, zaczął tracić kontrolę nad sobą. Próbował jeszcze przekrzyczeć tłum, ale kilka osób się podniosło i zaczęło popychać nawzajem. Czas się zbierać.

- Dokąd, skurwielu?! - krzyknął mężczyzna, który odezwał się pierwszy.

- Ty, Baginsky, spływaj do siebie. Przecież krew się leje, no nie? - zarechotał Idzikowski, właściciel kancelarii.

Mężczyzna podbiegł w pół sekundy i rąbnął prawnika pod żebro tak, że ten zgiął się wpół, próbując złapać oddech. Kilka osób rzuciło się, żeby odciągnąć mężczyznę od siebie, ale w tym samym momencie jeden z bankowców wyzwał właścicielkę firmy biochemicznej od dzieciobójczyń, na co ta go spoliczkowała. Zszokowany mężczyzna postanowił zachować klasę i skierował się w kierunku drzwi, co inni odczytali jako sygnał, że spotkanie dobiegło końca. Nikt nie przewidział, że prezesi blue-chi-pów, prawie wszyscy absolwenci renomowanych uczelni, z nienagannymi manierami i obyciem, rzucają się sobie do gardeł w windzie, wzajemnie oskarżając o manipulacje, wyciąganie kasy ze spółek i posiadanie nielegalnych kont w Szwajcarii.

W pomieszczeniach zajmowanych przez dział techniczny i informatyczny niektórzy byli zdziwieni wzmożoną aktywnością prywatnej windy prezesa banku. Prezes często przyjmował gości i to późnymi wieczorami, ale niezwykle rzadko użyczał swojej windy. Tymczasem ta jeździła prawie non stop, i to w obie strony, przez blisko dwie godziny. Dopiero o dziewiętnastej wszystko się uspokoiło i pracownicy mogli wrócić

do swoich codziennych, rutynowych czynności.

Nikt też nie przewidział, że awantura nie skończy się na piętrze, ale będzie kontynuowana w podziemnym garażu i zaowocuje wgniecionymi błotnikami, stłuczonymi lampami i licznymi rysami, które później towarzystwa ubezpieczeniowe wycenią na kilkaset tysięcy złotych

Anna Kałasznikowa wyciągnęła się w fotelu. Zazwyczaj uważała takie zachowanie za zbyt swobodne, ale w jej boksie nie było już nikogo, a i redakcja świeciła pustkami. Wychyliła głowę zza ścianki działowej. U naczelnego ciemno. Pewnie pije piwo z koleżkami ze studiów. Tak, trzeba będzie się zbierać, tu niczego nie wymyślę, a w domu czekał do zrobienia obiad dla syna. Rzuciła jeszcze okiem na ekran monitora. Nagranie z porannej konferencji premiera i mowa o jakimś połączonym zespole KNF i Ministerstwa Finansów, co to ma rozwikłać tę sprawę w ciągu kilku dni. *Bullshit*, mruknęła i wyłączyła komputer. Chwyciła torbę od Louisa Vuit- tona i energicznie ruszyła w kierunku windy.

Choć miała już trzydzieści sześć lat, wciąż była atrakcyjna i jako jedna z najbardziej rozpoznawalnych dziennikarek, w dodatku najlepszych, dodała w duchu, nie omieszkała tego wykorzystywać. Zawsze elegancko ubrana - pokazną część jej szafy wypełniały białe bluzki i żakiety - nosiła wysokie szpilki, które optycznie wysmuklały jej bądź co bądź kobiece kształty. Pikanterii dodawały jej blond loczki i umalowane zawsze na czerwono usta. Znana wśród kolegów z redakcji jako Marilyn była postrachem polityków. Jej artykuły na okładce zwiększały sprzedaż o piętnaście procent. Tyle że od ostatniej akcji minęło już kilka miesięcy, a jej dotychczasowi informatorzy nabrali wody w usta lub nie mieli dostępu do Czegoś Interesującego.

Zeszła na dół i skierowała się w stronę swojej czerwonej alfy romeo giulietta. Piknął alarm i usadowiła się wygodnie w fotelu kierowcy. Telefon. Kogo o tej porze niesie?

- Anna Kałasznikowa. Tak, to ja. Dziś... dobrze. O której? Podjadę do was. Siedziba w Rondo 1? Tak, do widzenia.

Pomalowała usta i założyła okulary. Dochodziła dziewiętnasta, miała więc jeszcze chwilę, żeby podjechać do Złotych Tarasów i kupić jakąś nową bluzkę. Musi się przebrać. Czekal ją wywiad.

[lojal]

Ja ci mówię, że to ustawka i tyle. Niby nie wiedzą, niby ofiary, a i tak ktoś zgarnął ładną kasę.

[dyrektor5]

ty, lojal, co ty hahaha od wczoraj grasz na giełdzie, że masz takie głębokie przemyślenia?

[lojal]

wkur wia mnie to po prostu, że zostałem okradziony. I to w świetle prawa.

[dyrektor5]

jaki tam okradziony. Po prostu przegrałeś, sam sobie jesteś winien. Ciebie przynajmniej nie wypieprzyli z roboty za to, że szefowi stopniały aktywa o połowę.

[cwal8]

ja pierd o lę, możecie jeszcze siedzieć? Dymani jesteście przez kilku gostków takich jak wy, którzy są na górze tylko dzięki temu, że mają jaja zamiast ci pek

[longwatch]

co przez to rozumiesz?

[cwal8]

że goście uzbroili się po zęby, kasę mają ma Bahamach i im w to graj ta cała atmosfera

[dyrektor5]

ty, cwal8, nie pieprz, bo i tyle może poprzekładać co i robotnik na budowie

[cwal8]

i tu wasz błąd, bo nie widzicie, jak można przejąć inicjatywę

[lojal]

no dobrze, to skąd ściągniemy tych gangsterów do mordowania? Pruszków?

[cwal8]

debil

[longwatch]

cwal8, no to co proponujesz?

[cwal8]

słuchajcie...

ROZDZIAŁ III

Kibice i kibole

PREZESI SKACZĄ SOBIE DO GARDEŁ

Spotkanie prezesów największych spółek z szefem GPW zakończone bójką

Wczoraj między godziną 17.00 a 19.00 miało miejsce spotkanie prezesów spółek z indeksu WIG20 z szefem warszawskiego parkietu, Jerzym Ksawerym Maciejewskim. Jak udało się ustalić „Rz” celem spotkania było uspokojenie nerwowej sytuacji na rynku, wywołanej drastycznymi spadkami kursów akcji. Początkowo łagodnie przebiegające spotkanie przerodziło się w kłótnię, a w konsekwencji awanturę, która miała swój ciąg dalszy na podziemnym parkingu w siedzibie banku.

Jednym z uczestników spotkania był Romuald Idzikowski, prezes Kancelarii Idzikowski Sp.k., z którym udało się porozmawiać naszej reporterce.

- Jak ocenia Pan działania rządu w obliczu sytuacji, jaka miała miejsce na giełdzie dwa dni temu?

- Pani redaktor, o jakich działaniach w ogóle możemy mówić? Jak wskazują fakty, co najwyżej podjęto kilka mniej lub bardziej trafnych decyzji, z przewagą tych pierwszych.

- A czy mocno ucierpiały Pana aktywa podczas ostatnich spadków na giełdzie?

- Podobnie jak wszystkich innych inwestorów. Zawsze jednak uważałem, że mam nosa do giełdy, więc przeczuwając załamanie, wycofałem wcześniej część zaangażowanego kapitału.

- Doprawdy? Przecież nic nie wskazywało na te spadki.

- Pani redaktor, mogę się tłumaczyć dobrym instynktem i latami praktyki.

- A co Pan sądzi o pomysle ograniczenia możliwości korzystania z rajów podatkowych przez przedsiębiorstwa działające na terenie Unii Europejskiej?

- Uważam, że pomysł nie jest chybiony. Odpływ kapitału nigdy nie jest korzystny dla gospodarki.

- Co w takim razie z pana oszczędnościami? Przecież znaczna część Pana spółek jest zarejestrowana w Limassol na Cyprze? Nie boi się Pan podatków, które będzie Pan musiał zapłacić? Czy nie ucierpi na tym Pana kancelaria? Czy może to wpłynąć na fee

ponoszone przez Pana klientów, które nie należą do najniższych na rynku? Planuje Pan zmianę siedziby na mniej ekskluzywną?

Sześć kolumn gazety zaczęło mu się zlewać przed oczami, tworząc obraz zaciśniętej pięści z wyciągniętym środkowym palcem. Tfu, splunął na dębową podłogę. Przeklęty babsztyl. To miał być jego wywiad, a nie jej autolaurka! Nie dość, że wiadomo, kto doniósł tej przebrzydłej babie o całej sprawie, to jeszcze wyciągnęła na wierzch takie brudy z przeszłości. Mógł to autoryzować... Mógł.

Od dzieciństwa był skazany na tę firmę. Jedyne syn pary wybitnych prawników - którzy zaczynając od kan- ciapy przy Marszałkowskiej, stworzyli jedną z najlepszych kancelarii w Polsce, konkurującą znajomością zagadnień prawnych i liczbą wygranych spraw sądowych z międzynarodowymi firmami doradczymi - nie dostał się na studia prawnicze. Dopiero interwencja rodziców u dziekana przyniosła oczekiwane skutki. Właściwie to nieraz zastanawiał się, co podziałało lepiej: znaczne wsparcie finansowe dla uniwersytetu, zapewniające kancelarii honorową tabliczkę darczyńców, czy też przeświadczenie dziekana, że jakiegokolwiek szanse na znalezienie pracy w branży prawniczej ma tylko osoba wywodząca się z tego hermetycznego środowiska. Dla Romualda Idzikowskiego pierwsze trzy lata studiów były okresem ślizgania się pomiędzy portfelem rodziców a gabinetami profesorów. Imprezy, własna kapela rockowa, wyjazdy na chałtury. Dlatego też dobrze pamięta, kiedy wszystko się skończyło: podczas przesłuchania przed festiwalem w Opolu jeden z jurorów powiedział mu, żeby odpuścił sobie muzykę, a zaczął hodować rybki. Wraz ze śmiercią jego muzycznej duszy umarta naiwna wiara w to, że rodzice zawsze mu wszystko załatwią.

Gdy rozpoczął praktyki w rodzinnej kancelarii, zatrudniała ona nieco ponad trzydziestu adwokatów i radców prawnych. W wieku trzydziestu lat dorobił się stanowiska partnera, a dwa lata później, po tragicznej śmierci rodziców, odziedziczył udziały i przejął całkowitą władzę nad firmą. Teraz, kilka lat po wprowadzeniu zmian, pracowała dla niego ponad setka osób, które nie wyobrażały sobie, że jego fotel mógłby zająć ktoś inny. A nawet jeśli sobie wyobrażały, to w rzeczywistości statut firmy nie dawał możliwości odwołania go ze stanowiska nawet partnerom.

Nie był jednak tyranem. Przez te wszystkie lata dbał o firmę i jej rozwój, zyskując sobie miano jednego z najbardziej skutecznych menedżerów na rynku. Jego żona również nie narzekała. Gdyby jednak próbowała, to intercyza nie pozostawiała wątpliwości, przy kim zostaną pieniądze. Tyle jeśli chodzi o partnerskie relacje w związku.

Spojrzał na gazetę i poczuł jeszcze większą odrazę. Wszystkie kobiety są takie same, żadnej nie można ufać. Dobrze, że największą poczytność wśród dzienników ma „Fakt”. Jest szansa, że nie wszyscy przeczytają ten artykuł. A nawet o tyle mniej, że po

wczorajszej jatce kilka osób mogło zdecydować się na wzięcie dnia wolnego.

Ponieważ kancelaria świetnie sobie radziła, kilka lat temu zdecydował, że pora pomnażać pieniądze na jeszcze inne sposoby. Zainwestował w fundusze, wypłacając wszystko z zyskiem osiemdziesięciu siedmiu procent dosłownie w ostatniej chwili, przed krachem w 2007 roku. A pomyśleć, że zawdzięczał to nie jakimś tam przeciekom czy dobrym układom, ale własnemu zdrowemu rozsądkowi. Inwestowanie na giełdzie jest takie proste! Gdy inwestorzy i analitycy trąbią na prawo i lewo: „The sky is the limit!”, należy po cichu wycofać się ze wszystkich pozycji. Tyle.

Ale dwa dni temu stało się coś wbrew jego woli. Wbrew rynkowi. Jego portfel wart trzydzieści milionów złotych stopnia! do... nawet nie chciał patrzeć na saldo rachunku maklerskiego. Rzucił gazetę na biurko. Strony zaszeleściły, gazeta się otworzyła i zatrzymała na krawędzi mebla, ukazując junior page z dobrze znanymi purpurowymi barwami i hasłem „Kancelaria Idzikowski - najlepszy doradca w czasach zmian”.

- Kurwa mać, a ja jeszcze sponsoruję tę dziwkę!!! Wywalić PR menedżera!

- Pan mnie wzywał?

Jak spod ziemi wyrosła jego dwudziestoparoletnia asystentka. Romuald zawsze dobiera! je tak, żeby żona wiedziała, gdzie jej miejsce.

- Tak. Połącz mnie z Irkiem...

Odcięli ich od świata. Zdaniem prezesa KNF było to konieczne, aby zapewnić im pełną neutralność i brak stronniczości. Dziwne jak na robotę, która polegała na znalezieniu twardych dowodów na coś, czego wszyscy oczekiwali. Ba, wszyscy byli pewni, że tak być musiało. A oni, pewni czy nie, musieli szukać. Informację o odcięciu od mediów przyjęli całkowicie obojętnie. Mniej szumu, więcej skupienia. Tylko po co to całe tłumaczenie o naciskach? Wiadomo, polskie media miały tyle wspólnego z obiektywizmem, co prostytutka z higieną osobistą. To jednak nie przeszkadzało korzystać ludziom z usług jednych i drugich.

Bzdura z tą izolacją. Przecież wracali do domów - fakt, po to tylko, żeby wziąć prysznic i przespać się kilka godzin - ale włączali radia i telewizory, gdzie nie trąbiono o niczym innym. Nawet odcinki „Klanu” specjalnie zmieniono i wpleciono w losy bohaterów wątek spadków na GPW. Jak miło. Plus był taki, że przynajmniej w godzinach pracy nie denerwowali się, że rząd KOMPLETNIIE nic nie robi i wszystko jest rzeczywiście na barkach ich trójki.

Piotr spojrział na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta trzydzieści. Przez moment przyszła mu do głowy zabawna myśl, że klockowaty budynek KNF musi śmiesznie wyglądać z jednym zapalonym światelkiem na trzecim piętrze. Potem jednak uświadomił sobie, że ich okna wychodzą na podwórze, więc raczej nikt nie doceni ich bohaterskiej pracy po godzinach. Bo punktualnego wyjścia urzędnika z pracy można

było być tak pewnym jak nieodśnieżonych ulic w pierwszy dzień zimy w Warszawie.

- Jak wam idzie? - rzucił.

Ela ziewała już od jakiegoś czasu, starając się dyskretnie zakrywać usta dłonią. Dzielnie jednak znosiła nadgodziny, przyzwyczajona zapewne do tego, że nie wychodziła z pracy przed szefem.

Z podkrążonymi oczami sprawnie manewrowała dokumentami pomiędzy kubkami po kawie, których liczba rosła w zatrważającym tempie.

Zosia poderwała głowę, jakby ktoś ją trącił niespodziewanie w bok. Piotr zdążył zarejestrować tylko, że jej źrenice po chwili się zwężyły.

- Za wolno. - Westchnęła i spojrzała na koleżankę. - Ela, dużo masz jeszcze na dziś?

- Pospisuję wyciągi i ideę. Muszą mi oczy odpocząć.

- Dobrze. Ty też się zbieraj - rzuciła do Piotra. Boże, pomyślała, nawet on przygaś! Tyle zapału, tyle energii, a teraz co? Ledwo daje radę... Nie była jednak pewna, czy jest tym usatysfakcjonowana, czy rozczarowana.

Wyszedł tuż przed nią. Początkowo zadanie, które przed nimi postawiono, wydawało mu się banalne. To, że doszło do manipulacji na GPW, było więcej niż pewne, więc ochoczo zabrał się do roboty. Gdy jednak zaczął przeglądać materiały, okazało się, że wiedzą bardzo niewiele na temat potencjalnych manipulacji - doszło już do tego, że używał słowa „potencjalne” w stosunku do czegoś, co było obiektywnie prawdą! Przecież giełda nie runęła sama z siebie, musiało istnieć jakieś wytłumaczenie. I pomimo wielu godzin pracy nie natrafili jeszcze na żaden sensowny ślad. Znaleźli co prawda kilku drobnych insidetradowców, ale brakowało im śladu głównego prowokatora wydarzeń. Coś musieli przeoczyć... Ale co?

Droga do domu upłynęła mu nadzwyczaj szybko. Miał wrażenie, że ledwo zdążył złapać oddech po wyjściu z biura, a już przekraczał próg swojego mieszkania. Właściwie to nie swojego, tylko wynajmowanego, o czym jasno świadczył chociażby sposób urządzenia poszczególnych pomieszczeń, które przypominały składowiska zbędnych mebli rodem z PRL-u z półkotapczanem i me- blościanką włącznie. No i stopień zużycia garnków. Bo to po kuchni i śmieciach można zazwyczaj nie tylko rozpoznać liczbę domowników, ale także ich płęć.

- Cześć, Michał.

- A, cześć, Piter.

Jego współlokator nie oderwał nawet oczu od telewizora, w którym leciał jakiś mecz. W rękę trzymał puszkę żywca, na ziemi walała się paczka po chipsach. Aha. Koniec zmiany na posterunku.

- Kto prowadzi?

- Czesi. Ale Wisła jest lepsza technicznie i częściej przy piłce. Powinni wyrównać.

Piotr spojrział na ekran. Pięćdziesiąta druga minuta. Szanse były.

Michał Smoliński pochodził z Krakowa i od najmłodszych lat był kibicem Wisły Kraków, w czym nie przeszkadzały mu nawet docinki ze strony kolegów, zagorzałych Legionistów. Mając za wzór Dariusza Nowaka, rzecznika prasowego Małopolskiej Komendy Policji, skończył Wyższą Szkołę Policji w Szczytnie i w 2005 roku rozpoczął pracę w Komendzie Stołecznej Policji w Warszawie. Z Piotrem poznali się dwa lata później podczas przesłuchania w sprawie wykrytych nieprawidłowości podczas audytu jednej z firm. Po początkowym okresie wzajemnej nieufności obdarzyli się czymś na kształt męskiego szacunku, a w końcu i przyjaźnią. Michał wprowadził się „na chwilę” przeszło rok temu, zaraz po tym, jak rzuciła go narzeczona i nie miał głowy do szukania nowego lokum. Po dwóch miesiącach dogadali się co do podziału opłat za czynsz i rachunki. Bardzo prosto: pół na pół. Piotr był zadowolony, lubili się i nie wchodzili sobie w drogę. Z drugiej strony zdarzały się chwile takie jak ta: oglądanie meczu było dla Michała czasem uświęconym.

Piotr poszedł więc do swojego pokoju, rozebrał się i w samych bokserkach skierował do łazienki. Gorący prysznic podziałał kojąco na jego obolałe i zastałe od siedzenia w jednej pozycji mięśnie, a z twarzy zniknęły niezdrowe przebarwienia i obrzęki. Dochodzące do niego co jakiś czas okrzyki: „Kurwa! Strzelaj frajerze!”, „Nie teraz, mopem cię chyba robili!”, „A gdzie prawy obrońca?! No przecież chłopaki wydymają cię w szatni za takie coś!” uprzytomniły mu, jak bardzo tęsknił za życiem pozagiełdowym. Wyszedł z łazienki.

- Fiuty pojebane! - krzyknął Smoliński na widok kolegi. - Sam lepiej bym ich poprowadził. Pięć dni w tygodniu nic nie robią, tylko kopią! A jak już wyjdą na boisko, to zachowują się jak dziewice podczas bunga- bunga! - Sędzia odgwizdał koniec meczu. Dziewięćdziesiąt dwie minuty, dwa zero dla Czechów. Michał fuknął, splunął, chrząknął, wziął swój laptop i wstukał zapewne wislakrakow.com, by dać upust swoim emocjom na forum kibiców.

Piotr wziął z ławy pilota, przełączył na TVN CNBC i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Więc pana zdaniem warszawski parkiet nie jest bezpieczny dla inwestorów?

- Tego nie powiedziałem. Sądzę jednak, że inwestorzy mogą czuć niepewność co do stabilności systemu na GPW, a w konsekwencji szukać pewniejszych inwestycji. Dla dużych firm oznacza to wyjście z regionu Europy Środkowo-Wschodniej, co nie byłoby korzystne dla nikogo. Dlatego tak ważne jest, aby inne giełdy wsparły GPW i nie pozwoliły na odpływ znaczącego kapitału, co teraz już ma miejsce...

Napis na niebieskim pasku grzmiał „Wiener Boerse wyływa na spadkach GPW”. Piotr skrzywił się. Co to ma być?

Michał zerknął na telewizor.

- O, lanser.

- Co?

- Cały dzień o nim trąbią. Facet rano udzielił Reuterowi wywiadu, który teraz wszyscy puszczaają. W skrócie: uważa, że inne giełdy z regionu, w tym również i pieprzeni Czesi - Michał poczerwieniał - powinny przejąć inwestorów z GPW.

- Żartujesz? A co na to nasz rząd? I giełda?!

- Na razie mają za duży burdel tutaj, żeby zajmować się swoim PR-em za granicą. - Michał zrobił pauzę i spojrział spode łba na Piotra. - Idzie wam jakoś?

- Jakoś. - Piotr zapatrzył się w telewizor. Prezes Wiener Boerse rzeczywiście rozprawiał nad oplakaną sytuacją regionu. Czy rzeczywiście była oplakana?

- To ja ci coś powiem, stary. - Michał popatrzył na Piotra poważnie. - Siedzicie po gównu w jakiś bzdurach, a nie szukacie tam, gdzie trzeba. - Piotr wyciągnął rękę. - Czekaj, daj mi powiedzieć. Założę się, że od wczoraj nie posunęliście się ani o krok. Albo jeszcze bardziej pograżyliście się w analizowaniu papierków. Znam trochę sposób działania Komisji: za dużo szczegółów, za mało konkretów. Zaczęliście od dupy strony. Sekcja zwłok może przynieść wskazówki, ale tylko w „CSI”. Zastanów się lepiej: gdy ty byś zrobił coś takiego na giełdzie... O, wrzucili nagrania bramek! - Michał wlepił oczy w ekran laptopa. - Jezu, jak można dostać taki wpierdol od Czechów! Patrz, był spalony, a sędzia Angol nie zareagował!

Piotr kiwnął głową, ale myślami był daleko. Nie zastanawiał się wcześniej nad odpowiedzialnością, jaka wiąże się z postawionym przed nim, nimi, zadaniem. Ot, zagadka finansowa do rozwikłania. Tymczasem brak jednoznacznych rozstrzygnięć co do wtorkowych wydarzeń mógł oznaczać odpięcie kapitału zagranicznego z Polski. Mniej pieniędzy, mniej kredytów, mniej inwestycji. Marginalizacja giełdy to jedna z pochodnych. Zastanawiając się mocniej nad tą kwestią, doszedł do wniosku, że nie ma się co dziwić. Nikt nie ma monopolu na prowadzenie giełdy papierów wartościowych, żeby móc windować ceny w kosmos. Giełdy też ze sobą konkurują, a to oznacza... To oznacza, że wybuchł nam w fabryce pożar, który konkurencja podlewa benzyną. Trzeba się śpieszyć.

Może Michał ma rację? Próbowali wyjść od skutków i konsekwencji, doszukać się przyczyn manipulacji w zyskach, jakie ktoś osiągnął. No bo ktoś musiał zarobić. Tymczasem mogło chodzić o coś zupełnie innego.

Wstał i poszedł do kuchni. Wyjął z lodówki półlitrową colę i pociągnął długi łyk z butelki. Potem ruszył do swojego pokoju i bez zapalania światła rzucił się na wysłużony tapczan.

Cholera, a może kontrakty? Dzięki dźwigni finansowej można tysiącrotnie zwiększyć wynik finansowy. Podobnie z opcjami... tak, ktoś kupuje opcje sprzedaży, jeśli chce grać na spadkach. Wystawca ma nieograniczoną stratę, co by się zgadzało z zachowaniem rynku. Tyle że spadki na instrumentach bazowych musiało coś wywołać. Wciąż mu brakowało czynnika pierwszego.

Swoją drogą Świnia z tego Ulrika von coś tam, że jeździ po GPW jak po łysej kobyle. Robi z nas pośmiewisko na oczach całego świata! Ciekawe, czy Maciejewski już szykuje ofensywę. Bo przecież obu stronom wolno. Na tym polega gra na giełdzie: ktoś zyskuje, ktoś traci. Ale równowaga musi być zachowana: w ostatecznym rozrachunku wszystko musi wynieść sto procent. Zaraz, zaraz.. . Piotr otworzył szeroko oczy. To może być to!

Wyskoczył z łóżka i zapalił światło. Usiadł przy laptopie i wstukał adres www.gpwinfostrefa.pl. Tak, to mogło być to. Czemu wcześniej na to nie wpadł? Zerknął na zegarek. Dochodziła północ. Sięgnął po komórkę i wybrał numer. Przez moment miał wyrzuty sumienia, ale z drugiej strony sama dała mu swój numer, podkreślając, że w sprawach służbowych może dzwonić o każdej porze. Ciekawe, czy tylko dlatego dała mu swój numer...?

- Halo? - odezwał się cichy, ale nie zaspany głos.

- Cześć! - Zosiu? Zosia? Zofio? Niech to szlag! - Tu Piotr... Piotr Mylczek. Przepraszam, że tak późno, ale chyba coś mam. Chodzi o to, że...

- Czekaj, czekaj - chwila pauzy - chodzi o pracę?

- Yhm.

- Dobrze. Możemy się spotkać w biurze?

- WKNF?

- Tak. Powiedzmy za pół godziny?

- Okej... przyjadę.

- Na razie.

W sumie dobry pomysł. Sprawdź od razu, czy ma rację.

Założył dzinsy i bluzę. Wychodząc, krzyknął jeszcze do współlokatora, że jest geniuszem.

- Ale mi nowina - odparł Michał i przewrócił się na kanapie na drugi bok.

Budapeszt od Wiednia dzieli niecałe dwieście pięćdziesiąt kilometrów, a ponieważ połączenie drogowe jest bardzo dobre - najpierw autostradą A4 przez Austrię, a dalej węgierską M1 - to pomimo dużego tłoku trasę w obu kierunkach można pokonać w dwie, trzy godziny. Co prawda, daleko jeszcze tym drogom do autostrad w Niemczech, gdzie ludzie mogą pozwolić sobie na komfort dojeżdżania codziennie nawet i sto pięćdziesiąt kilometrów do pracy, gdyż zajmuje im to ledwie do godziny w jedną stronę. Ale trasa z Wiednia do Budapesztu miała niewątpliwie inną zaletę: została poprowadzona tak, jakby życzyli sobie tego szefowie giełd należących do CEESEG. Omijała Bratysławę, która nie dołączyła do środkowoeuropejskiego konsorcjum giełd papierów wartościowych. Niech się udławią tym swoim euro. Po przyjęciu w 2009 roku przez Słowację wspólnej unijnej waluty kraj ten zbliżył się do Europy, ale odczuł skutki

kryzysu gospodarczego równie mocno jak inne państwa. O ile nie mocniej. I dobrze.

Podróż miała spokojnie, więc Ulrik von Schwartzchke miał czas spokojnie wszystko przemyśleć. Jego kierowca szybko pojął zakres swoich ograniczonych do prowadzenia pojazdu obowiązków i nie niepokoił go żadnymi zbędnymi pogaduszkami. Zresztą dzieliła ich kulooodporną szyba, więc ten mógł sobie nawet słuchać muzyki z radia, nie narażając się na gniew szefa.

Koncepcja von Schwartzchkego powoli nabierała kształtów. Pragi nie trzeba było długo przekonywać. Między narodami polskim i czeskim istniała ogromna przepaść, choć ze sobą sąsiadowały. Większą niechęć odczuwali Czesi, bo Polacy Czechów lubili, jeździli na weekendy do Pragi, chętnie pili ich budweisera i pilsnera urquell. Ale też śmiali się z języka czeskiego, który - na ile von Schwartzchke poznał obydwu - wydawał się trochę karykaturą polskiego. Jak to szło? *Burza cennych papirii Praha* oznaczała „giełda w Pradze“, a zdaje się, że burza to po polsku zawierucha z deszczem i piorunami. W obecnej sytuacji to czeskie określenie było bardzo trafne.

Półgodzinna rozmowa z Antonim Vackiem, prezesem praskiej giełdy, wystarczyła aż nadto. W kilku dobitnych słowach von Schwartzchke uprzytomnił mu, jak się sprawy mają. A kolorowo nie było. Świat się zmieniał, a z nim i rynki, które stawały się coraz bardziej konkurencyjne. Podobnie jak rynek giełd papierów wartościowych. Wbrew pozorom - bo chociaż konkurencji między nimi nie widać tak jak w sektorze FMCG, to na spotkaniach Federacji Europejskich Giełd Papierów Wartościowych szefowie, gdyby tylko mogli, na pewno poderżnęliby sobie nawzajem gardła. Wszyscy oni piastują urzędy, których działalność polega na osiąganiu zysku i podlega ocenie: teraz przez inwestorów, a w przyszłości przez historyków. I co mają powiedzieć jednym i drugim? Że nie robią nic, bo „nie wypada“? Bzdura, wyjdzie na to, że nie wiedzą jak, nie potrafią, a więc ich kadencja zostanie zaliczona do nieudanych. Dlatego muszą zacząć działać. Zwłaszcza że nie mieli żadnego wpływu na to, co się w Warszawie wydarzyło.

Tu sięgnął do swojego drugiego i ostatecznego argumentu. Nie mogli zmienić tego, co zaszło. Wsparli GPW w miarę możliwości, zaoferowali pomoc, oficjalnie potępili działania szkodzące rynkom kapitałowym. Tylko że były to puste słowa, a prawda wyglądała tak, że najsilniejsza giełda z ich konsorcjum, wiedeńska, była pod względem kapitalizacji spółek krajowych czy nawet wysokości obrotów wciąż mniejsza niż warszawska GPW. A to oznaczało, że i oni mogą paść ofiarą takiej manipulacji.

Von Schwartzchke nie sądził jednak, że tak się stanie. Co prawda, istniało teoretycznie takie ryzyko, ale zdawał sobie sprawę - co potwierdzały też doniesienia z mediów - że na GPW chodziło o grubszą sprawę niż zwykły zarobek na spadkach. Trudno, choć ich szkoda.

Ale oto teraz wszystkie giełdy z regionu stanęły przed wyzwaniem: muszą przecież nie tylko chronić, ale i rozwijać swoje rynki.

Nie każdy jednak członek sojuszu to rozumiał.

Giełda w Budapeszcie, choć znacznie mniejsza od wiedeńskiej czy nawet praskiej, nie raz już dała się poznać jako twardy negocjator i wymagający współnik. Poza tym Węgrzy ze wzajemnością lubili Polaków - ci kupowali węgierskie „sikacze”, biały tokaj i czerwony egri bikaver, które w dodatku rząd polski promował podczas polskiej prezydencji w Unii Europejskiej. A przecież polskie wino z okolic Zielonej Góry - która klimatem nie odstaje od Szampanii - jest również niczego sobie. Dziwny kraj ta Polska.

Dlatego właśnie Von Schwartzchke osobiście pofatygował się na spotkanie. Poza tym mógł połączyć przyjemne z pożytecznym: w Four Season Hotel Gresham Palace, w którym zawsze się zatrzymywał, przyjmował najlepszy masażysta w promieniu pięciuset kilometrów od Wiednia. Kręgosłup szefa wiedeńskiej giełdy wysyła! coraz bardziej niepokojące sygnały, a ponieważ jego właściciel dźwigał coraz więcej problemów, mógł łatwo się ugiąć pod ich ciężarem. Być może pomogłaby tu zmiana diety, więcej ruchu, zgubienie jakichś dwudziestu kilogramów - według lekarzy taką miał nadwagę - ale zawsze były ważniejsze sprawy. Teraz jednak okaże się dobrym pacjentem i odda się w ręce najlepszego masażysty.

Po dotarciu na miejsce i zameldowaniu, skierował się w stronę wind, którymi dojechał na dziesiąte piętro. Za każdym razem zaskakiwał go ten kontrast między przepychem pięciogwiazdkowego hotelu a prostą i mało profesjonalną obsługą. Może to taki węgierski zwyczaj, jeszcze jedna rzecz w tym kraju, której nie był w stanie pojąć. Naukę języka węgierskiego odpuścił sobie już dawno. Nie potrafił wymówić nazw ulic, skwerów i placów. Dlatego tak lubi ten hotel: należący do międzynarodowej sieci w prostą nazwą, pięknym widokiem na Dunaj i dobrym wyjazdem z miasta. A i Arpadowi było po drodze. Szef giełdy budapesztańskiej mieszkał po drugiej stronie rzeki, którą mógł przejechać stosunkowo szybko mostem Széchenyiego, na który wjeżdżało się tuż za hotelem.

Von Schwartzchke wszedł do pokoju i odkręcił kran nad wanną. Mógł wziąć prysznic w spa, tuż przed masażem, ale wolał samotność. Poza tym nadal nie wiedział, jak przekonać Arpada do swojej decyzji. Zanurzył się w wodzie po sam czubek głowy i przez kilkanaście sekund na powierzchnię wydobywały się jedynie bąbelki powietrza. Po chwili usiadł, umył się, po czym wyszedł z wanny i założył szlafrok. Dochodziła dziewiętnasta. Spotkanie miał umówione na dwudziestą. Sięgnął po słuchawkę telefonu.

- *Guten Abend*. Mam taką nietypową prośbę... Jestem umówiony na spotkanie, a zaraz zaczynam masaż. Chciałbym wynagrodzić mojemu gościowi czas oczekiwania... Tak, tak... Macie państwo u siebie taki znakomity masaż. Tajski... Zgadza się... Oczywiście. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę. Von Schwartzchke aż wybuchnął śmiechem. Budapeszt.

Porządne miasto pachnące gulaszem w dzień. Nocą - europejska stolica seksu.

Taksówka z Arpadem Nagym w środku zatrzymała się na hotelowym podjeździe dwie minuty przed czasem. Wysoki, nalany na ciełe i twarzy, z ciemnymi włosami, wielkimi oczami i szerokimi ustami stanowił książkowy przykład Węgra w średnim wieku. Przeszedł szybko przez roziskrzony światłami hol, zmierzając w kierunku recepcji. Co za bałwan umieścił ją na końcu korytarza? Nie miał nastroju na pogaduchy z von Schwartzchem. Tym bardziej, że cały dzień mijał mu na równie bezproduktywnych spotkaniach, w pracy roboty tyle, że nie wie, w co ręce włożyć, a w domu może liczyć jedynie na obiad z mikrofalówki. Ciche dni z żoną zaczynały się przedłużać i męczyć. Kobiety i te ich fochy! Jeśli wszystkie uwijają się z pracą jak ta babka w recepcji, to nic dziwnego, że świat funkcjonuje jeszcze tylko dzięki mężczyznom.

- *Jóestet*. - Kobieta uśmiechnęła się do niego i uprzejmie skinęła głową - W czym mogę pomóc?

- Jestem umówiony na spotkanie ze znajomym, gościem waszego hotelu.

- Nazwisko gościa, *kéreml*

- Von Schwartzke.

Kobieta wystukała coś w komputerze.

- A tak. Pan von Schwartzke dostał nagłego bólu kręgosłupa i jest w trakcie masażu z rehabilitantem. Prosił, żeby pana przeprosić, ale naprawdę nie mógł się poruszać.

- Tak, jasne. - Nagy pokiwał głową z politowaniem - Dobrze, ile to potrwa?

- Jeszcze... czterdzieści pięć minut.

- Czekam więc w barze. - Ruszył przed siebie. Kiedyś mieli tu dobrą whisky.

- Nie, proszę poczekać - kobieta wychyliła się z za lady. - Pan von Schwartzke zasugerował, żeby skorzystał pan z naszej oferty spa... Na jego koszt, oczywiście. Mamy bardzo dobre masażystki. - Kobieta mrugnęła porozumiewawczo.

Nagy zawahał się. Ma kilka telefonów do załatwienia, ale z drugiej strony... dobra okazja, żeby trochę się odprężyć i to za pieniądze tego austriackiego hrabiego. Uśmiechnął się.

- A co mi pani proponuje?

Czuł rękę masażysty gdzieś między czwartym kręgiem a sercem. Przeogromny ból, jaki jeszcze chwilę temu palił mu łopatkę, przeszedł w stronę ramienia i ręki. Po kilku chwilach masażysta odgiął jego dłoń na płasko i okrążył stół. Von Schwartzke czuł się już o niebo lepiej, ale wciąż się zastanawiał, czy zwierzyzna chwyci przynętę. Może to go tak ciśnie w odcinku lędźwiowym?

Byli w małym, dyskretnym pokoiku relaksacyjnym dla VIP-0W, zorganizowanym na potrzeby spotkań takich jak to. Okno co prawda było zasłonięte - jak wcześniej von Schwartzchke zdążył się przekonać, wychodziło na kamienice - ale pomieszczenie było urządzone gustownie, włączając wygodne leżaki, barek, telefon i kilka zestawów piśmienniczych.

- Jak kręgosłup? - zaczął Nagy, gdy już usiedli z drinkami w rękach.

- O wiele lepiej. - Von Schwartzchke uśmiechnął się szeroko. Była to prawda, czuł się wyśmienicie, miał też wrażenie, że wszystko inne potoczyło się równie gładko. - Co prawda wolałbym masażystkę, ale ten Laszlo jest bezbłędny, jeśli chodzi o moje plecy.

- Ano masz rację. Byłem kiedyś u niego, ze dwa lata temu, rzeczywiście, dobry chłopina.

- A dzisiejszy masaż? - No, powiedzże coś!

- W porządku, dziękuję. - Było lepiej niż dobrze, ale Nagy nie chciał dawać von Schwartzchkemu satysfakcji - Ale o czym to chciałeś rozmawiać?

Rozsiadł się wygodnie, i popijając drinka, spojrzał von Schwartzchkemu w oczy. Nie tędy droga, przyjacielu.

Szef wiedeńskiej giełdy poprawił szlafrok i odstawił szklanę.

- Zaniepokoiła nas sytuacja w Warszawie. - Podniósł głowę. - Razem z Pragą jesteśmy zdania, że odpływ kapitału jest wielce szkodliwy dla interesów naszego regionu.

- Ameryki nie odkryłeś, przyjacielu. - Nagy zaśmiał się przyjaźnie. - Oczywiście popieram tę opinię. Dlatego właśnie rozmawiamy z Maciejewskim i zastanawiamy się, jak im pomóc.

- Naszym zdaniem możemy zrobić znacznie więcej.

- To znaczy?

- Pomóc... nam samym.

Nagy obrócił się w fotelu i spojrzał na rozmówcę.

- Nie zezwolę na działania szkodzące Warszawie.

- Ależ nikt o tym nie mówi! Arpad, zlituj się! - Von Schwartzchke prawie wykrzyczał ostatnie słowa. - Mówię jedynie o tym, że możemy... że CEESEG może zyskać, nie szkodząc jednocześnie nikomu.

- Jak niby chciałbyś to zrobić?

- Przez wywiady prasowe. Reklamy. Niższe opłaty dla inwestorów i więcej produktów...

Nagy poderwał się.

- Przecież chcesz tym sposobem ściągnąć na nas gniew połowy świata, Ulriku!

- Nie dramatyzuj! Co ty jesteś, Matka Teresa z Kalkuty? GPW to nasz konkurent, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Co chcesz zrobić w ramach tej swojej pomocy? Może

wdrożyć Xetrę za *free*?

- Ulriku, mam po prostu zastrzeżenia co do samej metody. - Nagy usiadł. - Nie dobija się leżącego.

- Słuszna uwaga. Ale pomyśl nad tym. Szkoda się poświęcać, gdy inni zbijają na tym kokosy.

- Ktoś już...?

- To rynek, nie monopol. - Von Schwartzchke westchnął. - Nie mamy specjalnego wyboru.

Siedzieli przez chwilę w ciszy, siorbiąc napoje.

- Rozważę to. Ale póki co, na nic się nie zgadzam. Muszę się zbierać do domu - rzeki Arpad. Von Schwartzchke poczuł, jak sytuacja zaczyna mu się wymykać spod kontroli. - Huk roboty przede mną, a i rodzina czeka.

- Taak. Ja też już idę. - Szef giełdy wiedeńskiej wstał pierwszy. - Pozdrowienia dla małżonki. Chyba miała imieniny, prawda?

- W marcu. - Nagy zaczął zbierać swoje rzeczy.

- Ale ten czas leci. - Od drzwi dzieliły go trzy metry. - A, i odbierz zdjęcia.

Nagy popatrzył na niego z ukosa.

- Jakie zdjęcia?

- Z masażu. - Uśmiech von Schwartzchkego był triumfalny. - W tym hotelu mają porąbane w głowach. Nagrywają masaże tajskie dla domowego użytku klientów. No wiesz... - Wyciągnął rękę i zrobił wulgarny gest masturbacji.

Wyszedł w momencie, w którym twarz szefa buda- pesztańskiej giełdy robiła się biała, a oczy zaczęły wychodzić mu z orbit. Bingo!

- No to co za bombę przyniosłeś? - spytała, gdy tylko weszli na klatkę schodową.

Czekał na nią przed wejściem. Strażnik patrzył spode łba na młodą parkę wchodzącą po północy do budynku, ale skwitował to tylko wzruszeniem ramion. Nie jego sprawa. Obie przepustki były czyste, a nawet jeśli przyszli coś przeszkrobać, to i tak wszyscy dowiedzą się o tym za dziewięć miesięcy. Lub z kamer monitoringu. Strażnik rozwalił się na krześle, nasunął czapkę na oczy, wyprostował nogi, splótł palce i oddał się spokojnej drzemce.

- Wieczorem pomyślałem, że może zabieramy się do wszystkiego nie tak jak trzeba - powiedział, gdy szli korytarzem. - W pracy zawsze koncentrujecie się na bezpośrednim wykryciu sprawcy przestępstwa finansowego. Co jest, rzecz jasna, słuszne. - Weszli do pokoju. - Tyle że obecna sytuacja to nie jest zwykły inside trading czy wachlowanie rekomendacjami analitycznymi. Nasz błąd polegał na tym, że zastosowaliśmy sprawdzone metody do niespotykanej dotąd sytuacji. Dlatego okazały się totalnie bezużyteczne.

Dziewczyna słuchała go bez słowa. Akty oskarżenia kierowane do sądów przez KNF dotyczyły najczęściej naruszenia norm prawnych artykułów od 180 do 183 ustawy o obrocie instrumentami finansowymi, dotyczących manipulacji nimi oraz ujawnianiem i wykorzystaniem informacji poufnych.

- To wykres notowań z wtorku - powiedział, gdy włączyli komputery i na monitorze zajaśniał znajomy obraz przedstawiający indeks WIG20, który najpierw lekko się unosił, żeby potem momentalnie opaść. - Początkowo myślałem, że na GPW ktoś chce zarobić jak bin Laden na jedenastym września...

- Gra na spadki?

- Właśnie. - Mechanizm gry był stosunkowo prosty. Inwestor mógł skorzystać z krótkiej sprzedaży, a więc zyskać na różnicy pomiędzy wcześniej zawartą umową sprzedaży akcji a ceną ich kupna w terminie późniejszym albo z szeregu instrumentów pochodnych. - Ale GPW jest za mała, żeby ktoś tak ją obstawiał, brakuje też mocno zaawansowanych instrumentów finansowych.

- Czyli szukaliśmy trupów w niewłaściwej szafie?

- Raczej pod niewłaściwym adresem i nie tych trupów, co trzeba. - Pochylił się nad klawiaturą.

- Ale przecież o to chodzi! - Westchnęła głośno. - Wymaga się od nas, żebyśmy rozgryźli tę sprawę!

- Dokładnie. Ale wymagają od nas przede wszystkim, żebyśmy potwierdzili, że była to manipulacja. Ściganie przestępców to zadanie dla prokuratury. - Przełączył strony. - Cały czas mieliśmy przed oczami mechanizm, ale byliśmy zbyt skupieni na sprawcach, żeby go dostrzec.

- Zaraz, o czym ty mówisz? - Dziewczyna przysunęła się do niego.

- Popatrz. - Pokazał jej palcem na ekranie wykres kołowy podzielony na kilka nierównych części. - Wszystkie spółki notowane na giełdzie mają podzielony akcjonariat, prawda? Dwadzieścia procent zarząd, piętnaście *free float*, dziesięć fundusze, czasami Skarb Państwa, to bez znaczenia. Pamiętasz, które akcje najpierw poleciały w dół?

- Należące do zarządów spółek... zaraz, chcesz powiedzieć, że szefowie spółek sami doprowadzili do takiej sytuacji?

- Może i tak.... - zastanowił się. - Ale jeśli to prawda, co mówią o tej awanturze, to musi być coś jeszcze. - Popatrzył na ekran komputera. - Przyjrzyjmy się im bliżej.

Na Sri Lance obcokrajowcy mieli trudne życie. Obawiać się mogli właściwie wszystkiego i to z każdej strony. Podawany w dobrej restauracji kurczak smakował jak gołąb lub koń i mógł nim w istocie być, co nie raz wywoływało drżenie nadgarstków i żołądków u co wrażliwszych smakoszy. Odporniejsi zwykle wymiękali przy drinkach,

podawanych z lodem zamrożonym wprost z kranówki zanieczyszczonej brudem i odchodami jak cała wyspa. Nieprzyjazna była również natura: hasające po hotelowych alejkach warany gryzły spacerowiczów, którzy wierzyli w dobrą naturę smoczych potomków. A ugryzienia te goiły się długo i boleśnie. Niebezpiecznie było także w miastach, w których prowadzące wojnę domową Tamilskie Tygrysy podkładały bomby. Władze były bezradne i bezmyślne: gdy w 2004 roku Stany Zjednoczone wysłały do Colombo ostrzeżenie o zbliżającym się tsunami, władze kraju przygotowały świętą powitalną na lotnisku w oczekiwaniu na... pana Tsunami.

A jednak ludzi coś ciągnęło do tej słynącej z przypraw i herbaty wyspy. Według krążącej historii Brytyjczycy dopłynęli do wyspy zwabieni ze statku handlowego zapachem cynamonu. Obiecali ostatniemu królowi Hindusów, że pozbędą się Holendrów z wyspy. Kraj bardzo szybko zamienił się w Cejlon Brytyjski.

Piękna i biedna wyspa, rządzona przez głupiutkich ludzi. Kraj, w którym turyści - pchający się do europejskich kościołów zwykle w krótkich spodenkach - przed wejściem do buddyjskiej świątyni zdejmują klapki. Kraj dziki, brudny, zagubiony na mapie świata.

Właśnie dlatego było to idealne miejsce na przesiadkę.

Krzysztof usiadł w kącie słomianej chaty przerobionej na restaurację i zamówił butelkę coli. Opalony, z zarostem i zapuszczonymi włosami, w rozchełstanej koszuli i wytartych, lekko przybrudzonych bermudach mógł spokojnie uchodzić jeśli nie za tubylca, to chociaż za wieloletniego mieszkańca tego kraju. Najważniejsze jednak, że zmienił swój wygląd.

Nie miał wątpliwości co do tego, że musi się ukrywać. Przemieszczanie się z miejsca na miejsce jest dobrą formą ucieczki, ale rodzi też ryzyko natrafienia niepowołanych osób na jego trop. Określenie „osoba niepowołana” było tu kluczowe. Chociaż nie był oficjalnie poszukiwany przez żadne służby policyjne ani wywiadowcze (przynajmniej nikt mu o tym nie doniósł), to jego zdjęcie i dane ujawnione podczas rutynowej kontroli mogłyby go zdemaskować. Niewłaściwi ludzie mogliby się szybko zorientować, gdzie i kiedy zaczął działać. A na to Krzysztof nie mógł sobie pozwolić. Jeszcze nie.

Nagle zabręczała jego komórka. Skrzywił się. Prosił o telefon tylko w nagłej sytuacji. Odebrał połączenie.

- Halo.

- Mamy problem.

Słuchał przez chwilę słów rozmówcy, a potem zastanowił się.

- Nie atakuj, Jurij - powiedział w końcu cicho. - Może się przydać. Zrób tak, żeby sam do ciebie przyszedł.

- Dobrze - usłyszał odpowiedź. - Do zobaczenia.

Po chwili w drzwiach pojawił się niewysoki Syngalez. Był boso, ale jego twarz zdobiły nowiutkie czarne okulary przeciwsłoneczne. Zauważył Krzysztofa i podszedł do

stolika.

- Pan to zostawił u mnie w taksówce, sir - rzekł, wręczając mu małe skórzane zawiniątko.

- Ach, dziękuję - odpari z uśmiechem zakłopotania Krzysztof i wyciągnął portfel. - Proszę, to za fatygę.

- Tu, na Sri Lance, szanujemy cudzą własność. - Syn- galez wyszczerzył zęby, wziął pieniądze i ruszył do wyjścia.

Krzysztof zajrzał do środka sakiewki. Na pierwszy rzut oka wszystkie dokumenty wyglądały jak trzeba. Zostawił zapłatę z napiwkami za colę i ruszył do wyjścia. Ostatnia wpadka o mało wszystkiego nie zniszczyła. Na Karaibach postarał się o fałszywy paszport. Skąd miał wiedzieć, że należał on do turysty, który nieszczęśliwie, kilka tygodni wcześniej, spanikował, nurkując wśród raf, i wyciągnął sobie ustnik prawie piętnaście metrów pod wodą? Nie miał szans. Na urlop przyjechał sam, więc jego rzeczami zajęły się pokojówki, które część zostawiły dla siebie, a resztę, w tym dokumenty, sprzedały. Na szczęście dla Krzysztofa aktualizację w bazach linii lotniczych przeprowadzano stosunkowo rzadko. Ma pan bilet, to pan leci. Zwłaszcza, że nie ma pana na liście poszukiwanych. Sprawa wyszła dopiero w hotelu na Sri Lance, ale gruba koperta dolarów załatwiła sprawę. Dobrze, że wybrał okreśną drogę. Gdyby wylądował w Europie, sprawa nie poszłaby tak gładko. Teraz czekała Moskwa. I Paryż.

Kolejna, miał nadzieję, że już ostatnia w jego życiu, zmiana tożsamości.

ROZDZIAŁ IV

Wirus

- Co o tym sądzisz? - Zofia pokazała mu kolejny wykres, jednocześnie tłumiąc ziewanie.

- Wygląda na to, że i oni szukali inwestora.

Dochodziła druga w nocy i ich organizmy coraz częściej domagały się należnego odpoczynku. Również i umysły nie były tak sprawne jak za dnia, co sprawiało, że mnóstwo wysiłku wkładali w coraz mniej udane próby zachowania jako takiej koncentracji. I nie wiadomo, czy to przemęczenie, czy też wspólny cel sprawiły, że odeszła gdzieś wzajemna niechęć i upór. Poprawka, pomyślał Piotr, uprzedzenie to była domena jego towarzyszk. Była, ponieważ minęła jak ręką odjął. W odstawkę poszedł służbowy strój i grzeczny uśmiech. Zośka już kilka godzin wcześniej rzuciła w kąt bluzę dresową i siedziała w wyciągniętym T-shir- cie. Nie miała makijażu, a gumka ściągająca jej włosy w koński ogon systematycznie zsuwała się, uwalniając kolejne pasma. Piotr, nie będąc gorszym, siedział z nogami zarzuconymi na stojący obok obrotowy fotel.

- Moim zdaniem to klasyczny przykład umówionej niepakietowej transakcji kupna-sprzedaży... - powiedział po chwili, przeciągając się w fotelu.

- ...podczas której kupujący nie dotrzymał zobowiązań.

- Yhm. Ciekawe tylko, czy mają na to jakieś papiery...

Uśmiechnęła się.

- To już na szczęście będzie zadanie prokuratury.

Kilka godzin intensywnej pracy wystarczyło za cały tydzień. Odkryli dopiero wierzchołek góry lodowej, ale przynajmniej wiedzieli już, gdzie ona jest.

- No jasne. - Spojrzał na nią. Pomimo zmęczenia wzrok miała bystry. - Tylko nadal nie wyjaśnia to sprawy tak nagłych spadków. - Wstał i powoli zaczął krążyć po pokoju. Zawsze lepiej mu się myślało, gdy chodził, a ponadto w tym wypadku czuł, że to jest najlepsza droga do utrzymania przytomności umysłu. - Bo wiesz, załóżmy, że ktoś te wszystkie spółki podpuścił, żeby sypnęły akcjami, których następnie nie pozbiarał. To nadał za mało, żeby wywołać lawinę.

- Myślisz, że sam dołożył do pieca? - Początkowo ledwo migająca czerwona lampka zapaliła się w jej głowie jak latarnia morska.

- Właśnie. - Staął i pochylił się nad komputerem. - Moim zdaniem gość skupował

akcje kilka tygodni wcześniej, żeby potem mógł z nich gładko wyjść.

- Na stratach? - Pokręciła głową. - To nie trzyma się kupy...

- Chyba że miał w tym swój głębszy cel.... - Kolejne ziewnięcie.

Dziewczyna popatrzyła na niego spode łba.

- Ale z tym to chyba już nie dziś. - Uśmiechnęła się. - Zbieramy się.

Patrzyła, jak Piotr pakuje swoje rzeczy. Gdyby i ona mogła tak po prostu zebrać się i wyjechać. A może?

Zastanowiła się. Joanna od tak dawna namawiała ją na wyjazd do Paryża. Może miała rację z tym gadaniem o odpoczynku. Tak, nie byłby to najgłupszy pomysł. Zanim to jednak nastąpi, musi coś jeszcze zrobić.

Pożegnali się przed budynkiem i każde ruszyło w swoją stronę. Zosia była w połowie drogi do swojego auta, gdy sylwetka Piotra zniknęła za rogiem. Odwróciła się na pięcie i skierowała się z powrotem do biura.

- Pani już na dzienną zmianę? - rzucił strażnik, gdy pojawiła się w drzwiach.

- Nie, o czymś zapomniałam. Późno już, więc i myślenie gorsze. - Uśmiechnęła się słabo.

- To prawda.

Strażnik wpuścił ją na górę, po kilku minutach siedziała już przy komputerze i intensywnie pisała. Literówki sypały się jak złotówki na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, ale nie zwracała na to uwagi. Powieki ciążyły jej przeokrutnie i była gotowa oddać miesięczną pensję za kwadrans drzemki.

- Matko - mruknęła - Jeszcze tylko chwila.

Miała wrażenie, że czas wlecze się niemiłosiernie. Gdy wstukała ostatnią kropkę i włączyła drukowanie dwóch kopii, dochodziła czwarta nad ranem. Roześmiała się słabo, gdy do niej dotarło, że jeszcze chwila i pomacha na dzień dobry pracoholikom z NBP.

Wydrukowane kartki włożyła w dwie białe koperty i zakleiła. Jeszcze tylko adres. Praca w urzędach ma tę zaletę, że ktoś na górze wierzy jeszcze w potęgę książek telefonicznych i zawsze ich sporo zamawia. A może dostaje za to wyjazd na Seszele? Dla zdrowia psychicznego lepiej trzymać się tej pierwszej wersji.

Wyszukała właściwe nazwisko i sprawdziła adres. Nie jest źle, mieszka całkiem blisko. Włożyła koperty do torby i ruszyła w kierunku gabinetu Dostańskiego. Wsunęła mu jedną pod drzwi. Gdy wychodziła z biura, strażnik coś mruknął pod nosem, ale tym razem nie zdobyła się nawet na skinienie głową, traktując go jak powietrze. Co mi tam! Jak wybuchnie wrzawa, pewnie i tak mnie udupią. I wywalą.

Chociaż o tej porze ulice Warszawy były puste, minął kwadrans, nim znalazła właściwą bramę w całkiem nowym bloku mieszkalnym w Śródmieściu. Odszukała

właściwy numer na skrzynce pocztowej i wepchnęła kopertę do środka.

No i co, trudne to było? - zadźwięczało jej w głowie pytanie, gdy wsiadała do auta. Niby nie. Tylko że właśnie popełniła kilka wykroczeń. Pracą za bardzo się nie przejmowała. KNF nigdy nie pozwoli na zszarganie swojej reputacji. Prędzej załatwi sprawę po cichu: dostanie wilczy bilet i grant za milczenie. Poza tym ufała adresatce swojej przesyłki, że należycie zajmie się sprawą. Była przecież najlepsza w swoim fachu.

Ale czy warto? Zbyt wiele razy widziała, jak ważne dla ludzi sprawy giną w mroku biurokracji. Wiedziała, jak działają urzędy państwowe: jeśli sprawa okaże się poważna, będą starali się zamieść wszystko pod dywan. Przy takiej postawie nawet sprzeciw Dostańskiego na nic się nie zda. A przecież setki tysięcy ludzi straciło miliony na transakcjach, które były przeprowadzone wbrew prawu. Może to zabrzmiało patetycznie, ale naprawdę czuła ciężką na niej odpowiedzialność. Tak, ludzie mają prawo wiedzieć, co się stało z ich pieniędzmi. Tym na szczęście różnią się czasy obecne od tych sprzed dwudziestu lat.

Ale było jeszcze coś. Jeśli instynkt jej nie myli, to teraz jest pionkiem w nie swojej grze. A Zofia Maria Paul nigdy nie lubiła, kiedy nią sterowano. Może to efekt sieroctwa, a może rozpieszczenia, trudno stwierdzić. Musiała coś zrobić. Do zmiany układu sił potrzebna jej była pomoc kogoś z zewnątrz. Kogoś takiego jak Anna Kałasznikowa.

Wyjęła telefon i napisała szybko jeden SMS, po czym włączyła silnik i ruszyła w kierunku Saskiej Kępy.

Gdy otworzył oczy, miał wrażenie, że położył się spać ledwie kilka minut wcześniej. Tymczasem cisza w domu i za oknem sugerowały, że współlokator jest już na służbie, a poranne korki dawno minęły. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

Wstał i poszedł do łazienki. Pomimo zarwanej nocy, a może dzięki niej, czuł się dziwnie lekko. Chłodny prysznic pomógł mu jednak utwierdzić się w przekonaniu, że zawsze można poczuć się jeszcze lepiej. Zajrzał do lodówki: trzy piwa w folii z czteropaku (albo Wisła przegrała, albo policja nie pije - jak milicja w PRL), mleko i mielonka. Po chwili namysłu zrezygnował ze śniadania. Kto wie, ile czasu te rzeczy stoją w lodówce? Ubrał się, zamknął drzwi i ruszył w kierunku pracy.

Raz uwolnione endorfiny dość długo utrzymują we krwi wysoki wskaźnik hormonu szczęścia, co zwykle owocuje tłumieniem negatywnych bodźców docierających z otoczenia do mózgu. Pierwsze zaskoczenie przyszło, gdy okazało się, że jego przepustka straciła ważność.

Nieporozumienie. Tak, tak, nikt nie jest nieomylny, systemy informatyczne też. Nie ma sprawy, ja pana pamiętam. Strażnik był bardzo uprzejmy. Bardzo proszę. Bardzo dziękuję.

Widok pokoju idealnie wyczyszczonego z materiałów i sprzętu komputerowego wzbudził w nim zdziwienie. Gdzie, do cholery, nas przeniesiono?! Ale nie zdenerwował się. Stał w korytarzu pod ścianą i zaczął szukać w telefonie znajomego numeru. Poczta głosowa. Jeszcze raz. Nagle kątem oka dostrzegł znajome zaokrąglone kształty.

- Ela! - krzyknął i ruszył w jej kierunku. - Eeelu!

Kobieta odwróciła się. W rękach miała stos segregatorów.

- O, dzień dobry! Gratulacje, dobra robota, choć żałuję, że mnie ominęła. - Skrzywiła się lekko, ale twarz miała rozpromienioną. - Przez to muszę odwalić to. - Podniosła segregatory.

- To nasze?

- Nie... takie tam. - Zmieszała się. Przecież obowiązuje ją tajemnica służbowa. - A ty co?

- Jak to co? Przyszedłem do pracy. - Uśmiechnął się. - Gdzie nas przeniesiono? Tam - wskazał dotychczasowy pokój - już raczej nas nie chcą.

- To nad czym teraz pracujesz?

Popatrzył na nią badawczo.

- No przecież ciągle nad tym samym. - Nagle poczuł się bardzo niepewnie. - Przecież nie skończyliśmy!

- Nie... mylisz się. - Pokręciła głową i cofnęła się o krok. A może mu się wydawało?
- Zosia rano złożyła raport.

- Jak to... złożyła raport?! Gdzie ona jest?! - Dlaczego tu jest tak duszno?

- Wyszła przed kilkunastoma minutami... ale nie złapiesz jej tutaj - dodała, uprzedzając pytanie. - Wzięła dwa tygodnie wolnego. Powiedziała, że musi odpocząć i wyjeżdża na urlop.

W tym momencie zabręczała mu komórka. Przeprosił kobietę na chwilę i odszedł krok, aby odebrać.

- Halo.

- Halo, halo! Tu centrala. Jak wieść niesie, udało się wam odkryć przeszłość dla nas. - Bartosz Figuralski był jego bezpośrednim przełożonym i szefem departamentu finansów skarbu państwa.

- No, niezupełnie...

- Daj spokój, Piter. Rozgryźliście ich, przecież wiem. Dostański zdążył już pochwalić się przez Abrończykiem. - Zarechotał. - Wpadaj do biura, huk roboty tu na ciebie czeka.

- Nie, słuchaj Bart. Mam problem. Nie skończyliśmy wszystkiego, a tu zwijają żagle...

- Daj spokój, Piter. Ten twój współlokator tak cię nakręcił? Od ścigania przestępców są specjalne służby.

- Nie! Posłuchaj. Nie rozumiesz. Ktoś wyłączył myślenie. Złożony raport nie jest kompletny, nie ma na nim mojego podpisu, brakuje danych...

- A! O to ci chodzi! - Mężczyzna zaśmiał się serdecznie. - Woda sodowa uderza nam do głowy? Spokojnie, dział prasowy dostał prikaz, kogo ma uwzględnić w pracach nad raportem. Nie martw się, oblejemy to!

- Nie rozumiesz. Bart, do cholery!

W słuchawce zaległa na chwilę cisza.

- Bardzo dobrze rozumiem, chłopcze. - Głos mężczyzny był suchy. - I wiem też, że pracowaliście po nocach. Dobry z ciebie chłopak, ale nie wypalaj mi się. Weź kilka dni wolnego.

- Kurwa mać! Nie chcę!

- Przekleństwa tylko świadczą o tym, że tracisz kontrolę, stary. Niniejszym wysyłam cię na urlop. - Był to najbardziej oschły i niepodlegający dyskusji komunikat, jaki Piotr kiedykolwiek od niego usłyszał. - Od sprawy wara. - Figuralski zawiesił głos, a po chwili dodał już nieco przyjaźniej: - Ale jak zmienisz zdanie co do piwa, to daj znać.

Połączenie zostało przerwane.

Sterta naczyń w zlewie i brudna podłoga nie zachęcały do wejścia do kuchni. Rzuciła okiem na kanapę. Książka, laptop i kocyk - jej ulubiony domowy rekwizyt - leżały gotowe na swoich miejscach. A gdyby tak... nie, nie, najpierw obowiązki. Przywołana przez samą siebie do porządku, Anna Kałasznikowa z ociąganiem weszła w papuciach na kuchenną terakotę. Naciągnęła rękawiczki i zabrała się do pakowania naczyń do zmywarki. Co prawda większość garnków wymagała odmoczenia, ale miała zbyt ładne paznokcie, żeby je zniszczyć podczas szorowania.

- Cześć, mami. - Cmoknięcie w policzek.

- Cześć... a co ty tak wcześniej?

Jej jedenastoletni syn zdążył już chwycić półlitrową miskę, wypełnić ją w trzech czwartych płatkami zbożowymi i zalać po brzegi mlekiem.

- Przecież piętnaście po ósmej zaczynam - wymamrotał, pakując do ust pierwszą łyżkę zupy mlecznej.

- Okej... zrobić ci kanapki? - Zerknęła na wiszący na lodówce plan lekcji. Ciekawe, przez ile jeszcze lat będzie wiedziała, o której jej syn wróci do domu. Nie tak dawno szedł do zerówki... - Dziś masz osiem lekcji.

- Nie, zjem w stołówce. - Pochłonął szybko resztkę chrupek, dopił mleko, chwycił plecak i z rzuconym w locie „pa!” jak strzała wypadł z mieszkania. Tyle energii z samego rana... No, ale dzieci teraz są karmione inaczej, niż kiedy ona chodziła do

szoły. Mleko, owoce, dużo warzyw, kasze i ryże, ryby i sery. Ona jeszcze na studiach wozila ze sobą kanapki, bo te własnej roboty zawsze były lepsze niż kupne. Z drugiej strony, pomyślała, przynajmniej mam pewność, że syn nie jada jakichś dziwactw na mieście. Szczególnie że za ruchem nie przepadał. Jako zapalony informatyk spacer po szkolnych korytarzach uważał za szczyt swoich osiągnięć sportowych.

Włączyła zmywarke i ruszyła do łazienki. Choć jako jedna z nielicznych dziennikarek w redakcji mogła pracować w domu, to nigdy nie siadała do komputera bez prysznic. Ot, taka prosta zasada, żeby nie porosnąć w domu brudem. Poza tym oczekiwała gościa.

Pół godziny później rozległ się dźwięk dzwonka.

- Otwarte! - krzyknęła. - Wchodź.

Drzwi trzasnęły, po czym usłyszała odgłos zrzucanych z nóg butów.

- Cześć, Aniu. - W progu ukazał się mężczyzna, na oko czterdziestolatek. W rzeczywistości miał kilka lat więcej, co jednak doskonale maskowała czarna czupryna gęstych włosów bez oznak siwizny (nigdy nie potwierdził, że poddaje się jakimkolwiek zabiegom) i elegancko przystrzyżona kozia bródka. Szczupły, ubrany zawsze wygodnie i na luzie, Ireneusz Lipiński był redaktorem naczelnym „Rzeczpospolitej”. Z Anną znali się jeszcze ze studiów i choć mieli wtedy ze sobą przelotny romans, to oboje doszli do wniosku, że lepiej sprawdzają się jako partnerzy w pracy niż kochankowie w życiu prywatnym.

Ireneusz wszedł do salonu i usiadł w fotelu. Mieszkanie Anny Kalasznikowej nie było zbyt duże - sześćdziesiąt pięć metrów podzielone na dwie sypialnie, salon z kuchnią i łazienkę - ale miało dwa zasadnicze plusy: było ciche i w centrum miasta. To pierwsze oznaczało, że mogą spokojnie porozmawiać. To drugie, że mogą skutecznie to pierwsze, kiedy tylko chcą. Poza tym mieszkanie było jasne i przestronne, urządzone gustownie (Ireneusz nawet nie chciał dociekać, kto płacił za architekta, wykończenie i meble), więc miło się w nim przebywało.

- Proszę, częstuj się - powiedziała, wchodząc do salonu z tacą z filiżankami i półmiskiem. - Czekoladowe cantuccini.

- Dzięki. - Sięgnął po filiżankę. - Mały w szkole?

- Tak. Ledwo zdążyłam go zobaczyć rano. Wiesz, dzieci tak szybko rosną.

- Yhm - przytaknął i przez chwilę chrupał ciastko w ciszy. - Ale im przywalałaś - zaczął powoli, sięgając po kolejne.

- Straciłeś reklamodawców? - spytała jakby od niechcienia, ale oboje wiedzieli, że to niezwykle delikatna kwestia. Bycie dziennikarzem to nie tylko zbieranie i publikowanie faktów, ale także zarządzanie tymi informacjami. Gazety utrzymują się z reklam, a jeśli nieuważny redaktor nadeptnie na odcisk ważnej osobie i reklamodawcy w jednej osobie, to przeniesienie reklam wartych kilkaset tysięcy złotych do konkurencji jest prawie pewne.

- Nie, choć stary się wkurzył... - rzekł Lipiński z lekkim uśmiechem, mając na myśli wydawcę. - Czy to pewne informacje?

Anna spochmurniała. Odstawiła filiżankę

- Wiesz, że nie publikuję informacji wyssanych z palca.

- Okej, okej. - Podniósł ręce w obronnym geście. - Nie wkurzaj się. Ja też się tłumaczę przed szefami. A ty miałaś do wyboru wiele możliwości przedstawienia tematu, a wybrałaś atak. Jesteś zbyt dużą profesjonalistką, żeby przedkładać własne animozje ponad wartość artykułu, więc muszą być inne powody.

Wstała i wyszła do sypialni.

Mężczyzna wziął z tacy kolejne ciasteczko. Kto powiedział, że nie są dobre na śniadanie?

Wróciła po niecałej minucie i rzuciła mu lekką kopertę. W środku było zaledwie kilka kartek. Spojrzał na nią pytająco.

- Mam cynk, że szefowie spółek mogą być zamieszani w całą tę sprawę na giełdzie.

- Żartujesz...

- Nie. Nie wiem, co upublicznia, ale to - wskazała na teczkę - jest kopia raportu roboczego z badania KNF i Ministerstwa Finansów.

Historia tramwajów warszawskich sięga 1822 roku, kiedy to pojawiły się pierwsze omnibusy komunikacji miejskiej. Choć od tego czasu minęło blisko dwieście lat, niejedyn przyjezdny jadący tramwajem w Warszawie zastanawiał się, czy aby nie trafił do zabytku, który nadal kursuje w wybrane świąteczne dni. Warszawska sieć tramwajowa obejmuje ponad dwieście siedemdziesiąt kilometrów pojedynczych torów, po których porusza się ponad osiemset trzydzieści wagonów tramwajowych. Największą część taboru stanowią modele z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku produkowane przez chorzowskie zakłady Konstal.

Wszystkie starsze wagony tramwajowe mają kilka cech wspólnych. Na przykład zupełnie nie są przystosowane do przewozu osób niepełnosprawnych, ponieważ do tramwaju wchodzi się po schodkach, bardzo wąskich i często przedzielonych poręczą. Brakuje w nich także klimatyzacji, a każdy z wagonów ma średnio jedno miejsce siedzące na pięć stojących, w sumie dwadzieścia miejsc siedzących i sto stojących. Jednym z nieodłącznych, charakterystycznych elementów jazdy tramwajem jest nagle hamowanie, które wprowadza postawione luzem pakunki oraz nieostrożnych podróżnych w stan nieważkości, a to powoduje liczne straty materialne i większe lub mniejsze uszczerbki na zdrowiu. Zimą tramwaje przypominają dworcową toaletę - jest w nich mroźno i duszno. Latem nazywane są jeżdżącymi saunami, w których chwilę wcześniej odbyła się balanga zakrapiana wszystkimi trunkami świata, a imprezowicze chyba zapomnieli umyć się przed przyjściem.

Mimo to wśród warszawiaków panuje przekonanie, że najgorsze, co można zrobić przyjeźdnemu do stolicy, to wpakować go w stołeczny autobus. Zarówno nowe solarysy, jak i stare ikarusy mają podobny problem - ich trasa jest bardzo kręta i mało przewidywalna. Dlatego mieszkańcy kochają tramwaje, których tory są tak samo proste jak drogi przez Warszawę: dziesięć kilometrów prosto, potem w prawo, dalej pięć kilometrów i jesteś na miejscu. Ponadto motorniczy tramwajów są ludzcy i zawsze, kiedy tramwaj stanie z powodu awarii, to otworzą drzwi i wypuszczą ludzi na jezdnię, żeby szukali innego środka transportu.

I to przytrafiło się Piotrowi.

- Niech to szlag! - mruknął pod nosem, przepuścił staruszkę w drzwiach i zeskoczył ze stopni na asfalt. Staruszka stanęła na środku drogi i próbowała podnieść swój wózek na zakupy. - Pomogę pani - powiedział i chwycił za rączkę.

- Ooo, jaki korek! Niech pan patrzy. - Wskazała palcem. - Aż do Waszyngtona!

Zerknął przez ramię. Rzeczywiście, tramwaje stały w równym rzędzie. Pewnie z sześć albo siedem ich tu utknęło. Postawił wózek na chodniku.

- Poradzi sobie pani?

- Tak, tak. Ja do Rembertowa na bazar jechała, ale teraz to już chyba zawrócę. Dziękuję, młodzieńcze.

- Nie ma za co. Do widzenia.

Ruszył w kierunku prawego brzegu Wisły. Jak dobrze, że ludzie potrafią być jeszcze życzliwi i Ela wyszperała w kadrach adres zamieszkania Zosi. Opierała się, mówiła, że nie powinna, ale on prosił, właściwie błagał, że musi się z nią zobaczyć. Może sobie pomyślała, że...? Uśmiechnął się. Właściwie czemu nie? Byli młodzi, bez zobowiązań. Taaa. Ale czy na pewno? Czy ona miała kogoś? Nie wiedział. A może dzieci...? Przecież to możliwe. Właściwie to ile ona ma lat? Uświadomił sobie, że tak naprawdę to nic o Zośce nie wie. Ale wpadłeś, chłopie...

Kurwa, co ja robię?! Przywołał się do porządku. Laska wydymała mnie w biały dzień z tym raportem, a ja myślę o jej tyłku. Skup się. O, stadion.

Rzeczywiście, Stadion Narodowy lśnił pięknie w promieniach popołudniowego majowego słońca. Otulony koroną zielonych drzew, których liście były świeże i soczyste, w niczym nie przypominał ruin dawnego targowiska, na którego gruzach powstał. Piotr pokręcił głową. A pomyśleć, że kilkanaście lat temu przyjeżdżałem na Jarmark Europa po dzinsy.

Minął zjazd na Wał Miedzeszyński i po chwili dotarł do ronda Waszyngtona. Wyciągnął ze spodni kartkę z na-bazgranym przez Elę adresem. Ulica Francuska. To pewnie w prawo. Po dziesięciu minutach, tuż za Obrońców, znalazł właściwy budynek. Kamienica nie była nowa, wyglądała na więcej niż czterdzieści lat, ale sądząc po beżowej elewacji, zadbanej fasadzie i czystym wejściu, lokatorzy należeli raczej do osób zamożnych. I mających gust, pomyślał, naciskając na jeden z czterech eleganckich

czarnych przycisków na mosiężnej tarczy domofonu ze żłobionymi numerami od 12 do 18. Wziął oddech i czekał. Cisza. Nacisnął ponownie. Nic. Znów. I znów.

- Pan do Stupińskiej?

Za jego plecami stała kobieta z torbą zakupów i podejrzliwie mu się przyglądała.

- Słucham?

- Dzwoni pan pod czternastkę, tak? Tam mieszka Stupińska, ale nie ma jej...

- A, nie, nie. To chyba pomyłka. Ja szukam Zofii... Zofii Paul... Czy wie pani... ?

Spojrzenie kobiety się rozpuściło.

- Ona też tam mieszka. Kawaler?

Piotr zaczerwienił się.

- Tak, tak jakby. Poznaliśmy się jakiś czas temu.

- Jest w cukierni, to kawałek stąd. - Kobieta machnęła ręką. - Chciałam jej kupić rogale, ale powiedziała, że sama coś wybierze. Nie dziwię się, mają wspaniałe wypieki. Powinna jeszcze być w środku.

- Dziękuję! - ruszył przed siebie.

Cukiernia „Truskawka” znajdowała się o kilka kroków dalej. Piotr stanął przy wejściu i spojrzał przez szybę. Rzeczywiście, dziewczyna stała wewnątrz, choć w bawełnianej sukience i z upiętymi włosami w niczym nie przypominała wyprasowanej urzędniczki z poprzednich dni czy zdeterminowanej pracoholiczki z minionej nocy. Zapłaciła w kasie, wzięła pakunki i ruszyła do drzwi.

Gdy go zauważyła, w pierwszym momencie na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie, ale po chwili doszła do siebie.

- Witam! Dobrą cukiernię wybrałaś na świętowanie - zaczęła wesoło, choć głos jej trochę drżał.

- Nie przyjechałam tu świętować, bo i nie ma czego. - Przez jego słowa przemawiały wszystkie targające nim emocje.

Dziewczyna spochmurniała, ale nie zatrzymała się.

- Nie wiem, jakie masz pretensje i do kogo - zaczęła cicho. Po co robić scenę przed sąsiadami? - Ale sprawa została zamknięta.

- Nie została zamknięta, bo nie jest skończona!

Kilka ciekawskich głów odwróciło się w ich stronę.

Dziewczyna przyśpieszyła kroku.

- Czego chcesz?

- Wyjaśnię.

- Dobrze. - Zatrzymała się. - Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

- Nie podaję namiarów na swoich informatorów. - Uśmiechnął się lekko, ale zaraz spoważniał. - Co z raportem?

- Kiedy jechałam do domu, zadzwoniłam do Do- stańskiego. Jest szefem, więc musi wiedzieć o takich rzeczach...

- O drugiej w nocy... ?!

Zosia zignorowała pytanie i ciągnęła:

- Kazał mi wrócić i wszystko dokończyć. Powiedział, że są naciski, żeby zamknąć temat jak najszybciej... no więc szczęśliwa czy nie, podreptałam tam z powrotem, spisałam to, co ustaliliśmy, i punkt dziewiąta zameldowałam o wykonaniu zadania...

- Zaraz, ale jak to? Przecież mieliśmy jeszcze zbadać spółki, ściągnąć dane...

Wzruszyła ramionami.

- Powiedziałam o tym. Ale szef chciał raport. Nie wiem, co postanowił. Być może trzeba będzie jeszcze nad tym posiedzieć.

- Jasne. Już to widzę.

- Słuchaj, sam mówiłeś, że to już zadanie dla prokuratury.

- Tylko że prokurator nie zbada za nas nowych wątków.

- Piotr - spojrzała na niego - przykro mi, jeśli liczyłeś na aferę szpiegowską, ale w urzędzie pracuje się trochę inaczej. Weź poprawkę, że tu odpowiedzialność jest rozmyta, a winnych nie ma. I proszę cię, wyśpij się, bo wyglądasz jak nieszczęście.

- Hop, hop! - dobiegi Piotra sympatyczny okrzyk. Odwrócili się. Chodnikiem szła w ich kierunku kobieta.

- Moja ciocia - powiedziała Zosia, machając do niej. - Mieszkamy razem.

Kobieta była już dwa kroki od nich i czujnie mierzyła Piotra wzrokiem.

- Cześć, kochana! Pan do nas? - Uśmiechnęła się do niego. Choć na twarzy widać było pierwsze zmarszczki, patrząc z tyłu można było ją wziąć za trzydziestoparolatkę. W białych lnianych spodniach i obcisłym, eksponującym biust topie wyglądała na koleżankę Zosi.

- Pan już idzie - rzekła sucho dziewczyna. - Omawialiśmy ostatnie sprawy z pracy.

- A to szkoda... chodź, trzeba się pakować. Paryż czeka - zaświergotała ciotka, pożegnała się i ruszyła przodem.

- Paryż, no proszę. - Spojrzał na nią drwiąco. - Uzupełniasz piwniczkę?

- Tak jakby.

- Baw się dobrze.

- Dziękuję.

Dziewczyna ruszyła ku drzwiom. Nie musiała nawet naciskać klamki. Joanna zdążyła już otworzyć.

- Kto to jest? Czego szukał? - Wydawało się, że słowa padają szybciej, niż poruszają się wargi.

- Niczego. - Zosia weszła do środka. - Pracowaliśmy teraz razem...

- Ale czego chciał? - nie ustępowała ciotka.

- Daj mi spokój, dobrze? Masz jakąś paranoję, przecież mówię, że omawialiśmy ostatnie sprawy z pracy.

Weszły do mieszkania. Joanna odsunęła lekko firankę i spojrzała przez okno za

odchodzącym mężczyzną.

- Nie chcę po prostu, żeby Dostański albo ktoś od niego wpakował cię w jakąś kabałę.

- On nie jest od Dostańskiego, tylko od Abrończyka...

- Jeszcze gorzej. - Kobieta zerknęła znów przez okno. - O, zobacz, dzwoni dokądś.

- Pewnie po taksówkę - rzekła Zosia, nie patrząc na Piotra. - Nie mieszka w tej okolicy. I w ogóle to zastanawiam się, czy jechać. Wiesz, będzie teraz tyle pracy...

Ciotka odeszła od okna i objęła ją ramieniem.

- Zosiu, moje dziecko, kiedy byłeś ostatnio na urlopie? Nie pamiętasz? Ja też nie. - Uśmiechnęła się. - Poza tym sama wiesz, że nie powinno cię teraz tu być.

- Ale jeśli to tylko takie gadanie?

Ciotka spiorunowała ją wzrokiem.

- Nasze życie nie jest jakiś wymysłem chorego człowieka. To się dzieje naprawdę.

- Ale...

- Żadnych ale. A teraz się pakuj. - Głos kobiety znów stał się miły i serdeczny. Objęła siostrzenicę. - Zośka, to przecież Paryż. Ty kochasz Paryż!

- Tak, ale wiesz... Sama? - Dziewczyna spojrzała na nią krzywo.

- Może poderwiesz jakiegoś Francuza. - Ciotka puściła do niej oko i ruszyła w kierunku kuchni. - A jeśli to cię nie przekonuje, to pamiętaj, że bilety masz już wykupione. Zaparzę herbatę, zdążysz jeszcze wypić.

- Cześć Tom, tu Piotr, mam ogromną prośbę. Jestem na mieście, a muszę coś sprawdzić.

- Jasne, nie ma problemu.

Odkąd policję wyposażono w palmtopy, mobilność ich służby nabrała dosłownego sensu.

- Chodzi mi o połączenia z Okęcia do Paryża.

Plan był prosty i zdaniem Piotra stanowiło to jego największą zaletę. Stać, patrzeć, wypatrzeć, wymusić informację. Nie wziął jednak pod uwagę, że odlotów do Francji będzie wieczorem kilka, w dodatku na różne lotniska (Charles'a de Gaulle'a? Orly?) i to z dwóch różnych terminali. Ponieważ nie mógł i nie chciał nikogo prosić o pomoc, krążył w kółko korytarzem, pokładając wszelką nadzieję w swojej intuicji i szczęściu.

Stał oparty o ściankę kantoru w terminalu A, gdy zauważył znajomą sylwetkę na tle innych podróżnych. Jest! Miała sporą walizkę na kółkach, a więc musi ją pewnie odprawić. Przynajmniej jeśli chodzi o to, nie kłamała. Ruszył w jej stronę.

Kucnęła i mocowała się z kółkiem walizki, które wykręciło się pod dziwnym kątem i

utknęło w kratce przy wejściu.

- Może pomogę?

Odwróciła się raptownie.

- Co tu robisz?

- Pomyślałem, że pożegnaliśmy się i przy okazji dokończymy naszą rozmowę. -
Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- A może jednak? - Kółko wreszcie udało się uwolnić. - Bo inaczej będę musiał wrócić do twojej ciotki, czy jak tam ją nazywasz, i spytać o to samo? Jeśli to nie poskutkuje, pójdę do Dostańskiego. Będę jak wrzód na tyłku i będziesz musiała mnie zabić, żeby się mnie pozbyć.

- Może i jest to jakieś rozwiązanie - mruknęła, sięgając po rączkę walizki.

- Mówiłaś coś?

- Nie, nie. - Zerknęła na niego. Wzrok miał nieprzyjemny. Westchnęła i spojrzała na zegarek. Mogła przyjść później, ale zawsze trzymała się zasady, aby być dwie godziny przed odlotem na lotnisku. Przecież z jakiegoś powodu ludzie wymyślają takie rzeczy, nie? Poza tym chciała już wyjść z domu pełnego ciotczyńskich jęków i kwękań.

- Dobrze, mamy kwadrans.

- Świetnie. Znalazłem dla nas miłą ławeczkę.

Ławeczka okazała się wygodną kanapą w jednej z kawiarni w łączniku między terminalami. Zamówił dwie duże cafe latte, podał jej jedną i usiadł naprzeciwko.

- Tylko nie próbuj mnie zbyć. Nigdzie nie polecisz, jeśli będziesz kłamała.

- Piotr, ja nie kłamałam.

- Tylko nie mówiłaś całej prawdy? - Podniósł kubek do ust.

- Co chcesz wiedzieć?

- Co dałaś Dostańskiemu?

- To, co wiedziałam, co udało się nam w nocy ustalić. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Rano powiedziałam mu, że to nie wszystko, że potrzebujemy czasu, ale nie pozwolił. Kazał sprawę zamknąć, i tyle.

- Dlaczego?

- Nie wiem, ja...

- Dobrze wiesz!

Zamieszała kawę.

- W porządku - powiedziała wreszcie. - Jest taka historia... Pod koniec lat osiemdziesiątych zdefraudowano znaczną sumę państwowych pieniędzy za pośrednictwem państwowego funduszu...

- Mówisz o FOZZ?

- Tak. - Skinęła głową i popatrzyła na niego. - Co ci wiadomo na ten temat?

- Hmm. - Zastanowił się chwilę. - Że fundusz został powołany w celu wykupywania

polskich długów na rynku międzynarodowym. Że operacje były nielegalne, więc nie było prowadzonej księgowości. Na czym oczywiście zyskało wiele osób. Kilka chyba poszło siedzieć. - Wzruszył ramionami. - Generalnie jedna z wielu afer trzeciej RP. Do końca nie wiadomo, co jest prawdą, a co fikcją, łącznie ze śmiercią osób badających później działalność FOZZ.

- A gdybym... a gdybym ci powiedziała, że to było trochę inaczej? Że historię przeinaczono nie celowo, ale dlatego, że nie było wyboru? Że FOZZ nie dlatego nie miał księgowości, że był nielegalny, ale dlatego że wówczas cała Polska nie miała prowadzonych ksiąg rachunkowych? I wreszcie, że to, co urwali ci, co poszli siedzieć, to ułamek procenta kwoty, którą zawiadywał FOZZ?

- Mów dalej...

Dziewczyna poprawiła się na siedzeniu i pochyliła, teraz mówiła z prawdziwym przejęciem.

- Wyobraź sobie przełom osiemdziesiątego dziewiątego i dziewięćdziesiątego roku. Przemiany w Polsce to jeszcze mrzonka. We wszystkich instytucjach są wtyczki z KGB. Gospodarka jest w opłakanym stanie, a ludzie nie mają pracy. I nagle z państwowej kasy wyparowują biliony ówczesnych złotych.

- Żartujesz?!-krzyknął.

- Ciiiiiszej. - Przyłożyła palec do ust. - Ale tylko wyobraź sobie... Rok później zaczyna się tym interesować Najwyższa Izba Kontroli. W 1991 NIK przedstawiła nawet raport z kontroli FOZZ. Same błędy, nie tylko w rozliczeniach funduszu, ale także pomiędzy FOZZ, bankiem rozliczeniowym a Skarbem Państwa. A u władzy wyszarpniętej z rąk ZSRR są ludzie, którzy nie mają pojęcia, co się działo przez kilka miesięcy z państwową kasą. Bo i skąd mogli wiedzieć? Inni może i coś tam wiedzą, ale wszyscy boją się o swoje tyłki... I o to, co będzie, rzecz jasna. Pamiętaj, że nikt nie był pewien, czy na pewno Polska wyjdzie cało z tej całej transformacji. Więc wszyscy milczą, zbywają, udają, że nie wiedzą, o co chodzi... No co, mają przyznać, że nie panują nad sytuacją? Że bank rozrachunkowy, czyli ówczesny Bank Handlowy, jest bankrutem? Równie dobrze mogliby poprosić Rosję o zbrojne zajęcie terenów aż do Odry. Więc rozpuszczają historię o defraudacji, winią za wszystko ludzi, którzy gdzieś tam zniknęli, lub KGB. Łapią miej lub bardziej winnych i organizują pokazowe procesy. Wszystko po to, żeby zyskać na czasie.

- I sądzisz, że te manipulacje na GPW to sprawka...?

- Wiele na to wskazuje. - Wzruszyła ramionami. - Oczywiście nie ma jasnych dowodów. Ale tłumaczy to naciski na szybkie zamknięcie sprawy i wyczyszczenie wszelkich dokumentów. - Przygryzła dolną wargę. Było to kłamstwo, ale nie chciała, żeby poznał szczegóły wypadków minionej nocy. Czuła się trochę jak zdrajca.

- Nie. - Piotr wyprostował się, kręcąc przecząco głową. - To jakaś bujda! Przecież wciąż działa likwidator FOZZ! Jak przez tyle lat mógł nie dojść do prostego wniosku,

że...

- Że co? - Popatrzyła na niego znad kubka. - Nikt nic nie wie, więc do czego mógł dojść? Skoro najwyższe władze zabiegały o zbadanie tej sprawy i do tej pory nikt nic poważnego nie znalazł, to musielibyśmy mieć do czynienia ze zмовą na najwyższym szczeblu. Co jednak jest niemożliwe chociażby z tego powodu, że o odzyskanie środków walczyły wszystkie ugrupowania polityczne, które były u władzy. Gdyby ktoś podwędził kasę, prędzej czy później poszedłby przeciek.

Dopiero po chwili zorientował się, że przestała mówić i zajęła się zbieraniem zastygłej pianki ze ścianek kubka.

- Nie miałem pojęcia...

- Wiem. - Popatrzyła na niego smutno. - I dlatego nie chciałam ci mówić. Jak wdepniesz w takie bagno, to zostawiasz ślady już do końca życia.

- Skąd o tym wiesz?

- Pochodzę z dziwnej rodziny finansistów i polityków. Poznałam Joannę. Jest moją prawdziwą ciocią i jedyną rodziną. Moi rodzice nie żyją. Dostański jest dobrym znajomym Joanny od wielu lat. W dzieciństwie, zamiast bajek na dobranoc, słuchałam opowieści o kampaniach politycznych, aferach rządowych i problemach gospodarczych. Nie miałam wyboru.

- Dostański jest w to zamieszany?

- Piotrze - rzekła wolno. - W tym kraju nie ma dojrzałego polityka, który nie byłby w to zamieszany.

Należało coś z tym zrobić. Bez względu na to, co myśleli i uważali inni, komunizm już minął, żyli w niepodległym państwie i należało bronić tej wolności. Nie obawiał się konsekwencji - co, zwolnią go z pracy w ministerstwie? Ma takie kwalifikacje, że bez trudu znajdzie etat w jakiejś firmie doradczej lub kancelarii. Albo założy własne przedsiębiorstwo i będzie miał ten cały cyrk głęboko w dupie. Ale nie chodziło tylko o to, prawda?

Spojrzał na rozkład jazdy wiszący pod wiatą przystanku. Za dwie minuty powinien przyjechać autobus. Co powinienem zrobić?

Wciąż szumiały mu w głowie słowa dziewczyny.

Łatwo jest oceniać i być historykiem, prawda? Pomyśl o Wałęsie - kawał dobrego chłopca, który zrobił dla tego kraju więcej niż którykolwiek z jajogłowych przez ostatnie pięćdziesiąt lat. I co? Okazało się, że był agentem SB o kryptonimie Bolek. I być może był, bo tak trzeba było, żeby coś zmienić. Ale to nie znaczyło, że był zły, że był komuchem. Walczył o Polskę i to mu się udało. Tylko jakim kosztem? Dwie dekady po transformacji musi znów stawać do walki, o tyle nierównej, że prowadzonej z własnymi rodakami. W imię czego? Obrony własnego imienia! Tak, jakby ludzie nagle

zapomnieli, jak to w rzeczywistości było. To jakbyś stwierdził, że w niedzielę masz realny socjalizm: nie wolno iść do kościoła, wszystkie sklepy są zamknięte, bo i tak w nich pusto. A w poniedziałek pomyślałbyś: pójdę po zakupy do Almy, bo tam mniejsze kolejki niż w Tesco. I dziwił się, że ludzie kupują na potęgę cukier, mleko i szynkę, nie dlatego, że tyle jedzą, ale dlatego, że jest w sklepach.

Pożegnał się z nią kilka minut wcześniej. Odleciała do Paryża, tak jak zapowiedziała. Po co? Na urlop. Odwiedzić znajomych z Erasmusa, połączyć po muzeach, spojrzeć z dystansu na świat ze szczytu wieży Eiffla.

Ale bzdury. Uwierzył w jej opowieści na temat FOZZ. Uwierzył? Phi, raczej wziął je pod uwagę. Potem jednak kłamała. Poznał ją trochę, troszeczkę, ale był pewien, że podobnie jak on, Zośka nie należy do osób, które łatwo odpuszczają. Ale czy na pewno? Raz jest stuprocentową, merytoryczną, profesjonalną urzędniczką, a za chwilę miga się i papla głupoty niczym byle celebrytka. Wkurwiająca osóbka. Co ona ukrywa? Czy... czy przypadkiem go nie wykorzystuje? Mieszanka półprawd i kłamstw nigdy nie jest lekkostrawna, ale u niego powodowała dodatkowo frustrację i złość. Ta dziewczyna zachowuje się jak dziecko, które pierwszy raz zostało zabrane do Disneylandu, tyle że bardziej ukrywa swoje uczucia. Więc co? Bawi się jego kosztem?

I skąd wie tyle na temat spraw, które miały miejsce, gdy ona była co najwyżej małym dzieckiem? Bez sensu było także to, że pozwoliła Dostańskiemu zamknąć sprawę, a potem wszystko opowiedziała jemu, Piotrowi. Przecież wspominała, że znają się z szefem KNF, więc spokojnie mogła go przycisnąć.

Pewne były cztery rzeczy. Po pierwsze: ktoś wiedział coś więcej od niego. Po drugie: raczej na pewno nie podzielił się z nim tą wiedzą. Po trzecie: Piotr nie był pewien, kim była ta osoba. I wreszcie po czwarte: czy to aby na pewno jest w ogóle prawda?

Wsiadł do autobusu i zajął miejsce przy oknie. O tej porze na Żwirki i Wigury był mały ruch, pomimo licznych osiedli powstających w błyskawicznym tempie od strony Mokotowa. Tak, ale ci, którzy płacą po dwanaście tysięcy za metr mieszkania, nie jeżdżą autobusami. Wolą stać w korkach w swoich samochodach. Snobizm na miarę warszawki. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że ludzie ci w większości należą do klasy, która zawsze się dokądś śpieszy. Swoją drogą, to ciekawe, że kupują mieszkania w tak głośnej okolicy. Jakby mało mieli hałasu z powodu przejeżdżających aut, to zawsze mogą liczyć na lądujące na niedalekim Okęciu samoloty. W dodatku najbliższy park - Pole Mokotowskie - już teraz w weekend przypomina jedyny na wsi plac zabaw. Więc cóż dopiero będzie za kilka lat? Zagrodzone pod budowę działki ciągnęły się aż po horyzont.

Piotr zamyślił się. A może niepotrzebnie pcha się tam, gdzie go nie chcą? Przecież ledwo co potrafił rozwinąć nazwę FOZZ, a o całej aferze wie tyle, co przeczytał w podręcznikach Roszkowskiego. A ten był przecież PiS-owcem! Cholera!

Dam sobie spokój, wrócę do pracy jako bohater, z laurami.

- Tylko co z tego? - mruknął do siebie.

Wszyscy wiedzą, że raport jest zasłoną dymną, a on przejdzie do historii jako człowiek, który przyczynił się do jego powstania, a następnie uchylił się od odpowiedzialności, żeby coś z tym zrobić. O ile sprawa z FOZZ to prawda.

I co on ma niby zrobić? Jak to szło? Są góry, które trzeba przejść, inaczej droga się urywa. Wyciągnął komórkę. Wstukał nową wiadomość: „Znajdziesz chwilę, żeby się spotkać jeszcze dziś?”. Odbiorca: Bart. Wysłane.

Na odpowiedź czekał niecałe dwie minuty. Schował po tym telefon i spojrzał dokładnie, dokąd jedzie ten autobus.

- Humor, widzę, już lepszy? - zaczął Bartosz, przysiadając się z kuflem pszennego niemieckiego piwa. Umówili się w małym pubie przy skrzyżowaniu Alei Jana Pawła II i Solidarności. Bar był samoobsługowy, a jedzenie ohydne, ale był cichy, o tej porze pusty, no i miał całkiem pokaźny wybór europejskich piw.

- Nie narzekam. - Piotr pociągnął łyk swojego guinnessa.

- Sprawa z KNF, mam nadzieję, zamknięta?

- O tym właśnie chciałem pogadać.

Bartosz westchnął i pokręcił teatralnie głową.

- Cóż, tego się obawiałem. Wal, stary.

Figuralski był o dziesięć lat starszy od Piotra. Niski, szczupły, ale z lekkim brzuszkiem, uchodził za faceta bardzo zrównoważonego. Rzadko kiedy tracił zimną krew, dzięki czemu zdobył poważanie wśród podwładnych i szacunek przełożonych. Powszechnie uważano go za dobrego dyplomata lub - wedle uznania - śliskiego lawiranta. Prawda była jednak taka, że nikt inny nie utrzymał się na jego stanowisku tyle lat, od kiedy zmienił się obóz rządzący. Bartosz był dobry w swoim fachu i umiał skrzętnie wykorzystywać swoje umiejętności oraz okazje, które podsuwał mu los. Ponieważ połowę młodzieńczego życia spędził w Stanach, zażyczył sobie, aby nazywano go w stylu amerykańskim - „Bart”, skrótem jego imienia. Co ważne, jak nikt inny mógł spojrzeć z dystansu na wydarzenia transformacji systemowej. Nie było go wtedy w Polsce, a więc istniała realna szansa, że był czysty. Chyba, że...

- Mam... mam powody przypuszczać, że w manipulację na GPW są zaangażowane środki pieniężne należące do Skarbu Państwa.

Bartosz odstawił kufel, który właśnie podnosił do ust.

- Co ty bredzisz?

- Nie zrozum mnie źle - powiedział szybko Piotr. - To tylko podejrzenia. Ale sądząc po informacjach, jakie otrzymałem, wydają się absolutnie słuszne.

- Co masz na myśli?

- Kojarzysz sprawę FOZZ?

W miarę snucia opowieści kufle zostały opróżnione, więc Piotr zszedł na dół do baru i wrócił z drugą kolejką piwa.

- I co ty na to? - spytał, stawiając dwa piwa na stole.

- Rozumiem całą historię. Załóżmy, że jest prawdziwa. Ktoś zrobił duże kuku naszej gospodarce. Szukamy winnego. I nagle: wow! Okazuje się, że to my jesteśmy winni, bo pieniądze, które namieszały na giełdzie, są nasze! Co robimy? - Rozparł się wygodnie. - Zastanawiamy się, jak wyciszyć całą sprawę i ściągnąć kasę do siebie.

- Dokładnie - przytaknął Piotr.

- Chłopie, ty wiesz, o czym w ogóle mówisz?! - Bartosz aż parsknął śmiechem. - Upublicznienie tego to jak otwarcie puszki Pandory... większość instytucji państwowych, włączając banki, straci swoich szefów, ponieważ oni też byli zamieszani w FOZZ. Europa przypomni sobie o naszych długach i zamrozi wszelkie dotacje z Unii. Rosja będzie domagać się zwrotu całej sumy, ponieważ de facto był to majątek komunistów! Polski rząd upadnie w ciągu kilku dni! Co dalej?! Rozbiory?!

- Bart, spokojnie, bez apokaliptycznych wizji. - Piotr machnął uspokajająco ręką. - Nie mam zamiaru biec z tym do prasy. Ale zostawić tego też nie mogę.

Bartosz poprawił się na krześle.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Pomocy. Sam powiedziałeś, że w FOZZ byli zamieszani prawie wszyscy finansiści, którzy teraz zajmują najwyższe stołki w państwie. Oni nie pisną nikomu ani słówka. A to oznacza, że ktoś może do woli szantażować ten kraj i robić z gospodarką, co chce. A stąd tylko jeden krok do totalitaryzmu.

- A myślisz, że premier i rząd tego nie wiedzą?

- Właśnie obawiam się, że wiedzą, i to bardzo dobrze - odparł Piotr.

Zapadła chwila ciszy.

- Piotr, dobrze ci teraz radzę. Jako przyjaciel, nie szef: zostaw ten temat. Nie baw się w *hero*. Tu nic nie zdziałasz. Jesteś na nich za malutki.

- No, proszę cię... - Przewrócił teatralnie oczami. - O co ci znów chodzi?

- O to, że błędzisz jak dziecko we mgle! - Pochylił się nad stolikiem. - Zgadzam się, że afera FOZZ nie powinna się zdarzyć, podobnie jak to całe zamieszanie. Ale nie możemy nic poradzić na to, że kraj jest taki, a nie inny. Chcesz usunąć Bieleckiego, Stypułkowskiego, Dostań- skiego, Maciejewskiego? Kogo jeszcze? Abrończyka? Kogo dasz na ich miejsce? Kogo, pytam?! - Odsapnął i chwycił kufel. - Nie możemy pozwolić sobie na komfort budowania państwa od nowa. Zaczynać wszystko od początku oznaczałoby nie tylko zmarnować pracę poprzedniego pokolenia, ale także stracić to, co udało się im osiągnąć. Co ci zostanie. Nauczka? Nią dzieci nie wyżywisz.

- Kurwa mać, Bart! Przecież ja nie chcę niczego złego! Po prostu chcę wiedzieć, dlaczego w tym cholernym wolnym kraju nie można wyjaśnić pewnych spraw. Po co trzymać trupy w szafie, skoro można je nocą zatopić w Wiśle! W imię czego?

- Ja pierdolę, albo jesteś tak naiwny, albo kompletnie nie rozumiesz. - Mężczyzna przetarł dłońmi twarz. - Chcesz się zająć FOZZ?! To proszę. Mało masz poprzedników? Falzmann, pierwszy, który poszedł w tej sprawie po radę do świętego Piotra! Kolejni: jego szef, Walerian Pańko, prezes NIK, a wkrótce potem jego kierowca, który cudem wtedy uszedł z życiem z niby-wypadku, podczas gdy w samochodzie tak naprawdę wybuchła bomba. Policjanci, którzy pierwsi przybyli na miejsce zdarzenia i zapewne poznali prawdę, wkrótce zapomnieli ruchów krawla i potonęli. A byli dobrymi pływakami. Jeszcze ci mało trupów? Piotr, w tej sprawie nie ma ludzi nietykalnych, rozumiesz? - Figuralski przerwał na moment. - Słuchaj, wolny kraj, tak? Gdzie znajdziesz taki, w którym rozwiązano wszystkie tajemnice? Spójrz na USA: śmierć Marilyn Monroe, zabójstwo Kennedy'ego. A w Europie? Zamach w Gibraltarze, w którym zginął Sikorski? Wiesz, kto to zrobił? Obstawiają jeden do jednego, że Rosjanie albo Anglicy. A zamach na naszego papieża kto zlecił? KGB? A może nasze SB? Może dopiero nasze wnuki lub prawnuki poznają tę prawdę, a wiesz dlaczego?

- No?

- Bo tacy idealisci, jak ty, albo maniakalni terroryści będą niszczyć jako tako ułożony świat w imię - podniósł dłonie i narysował palcami w powietrzu cudzysłów - „świętej prawdy”! Ludźmi rządzą emocje, czego najlepszym przykładem jest warszawska giełda. Co więcej, ludzie popełniają błędy. Łatwo oceniać decyzje, ale o wiele trudniej je podejmować.

- Więc po co ta cała szopka? Dlaczego w ogóle zatrudniono mnie do tego projektu? Nie pchałem się przecież, to ty mnie wyznaczyłeś! Po co? Przecież wiedziałeś, że zacznę grzebać, dopytywać, drążyć... Po co?!

- Ponieważ premier chciał najlepszego specja od takich spraw. - Bart dopił piwo i spojrzał mu w oczy. - Musiałem więc wystawić ciebie.

- Rząd... oni nie mają nad tym kontroli, prawda? - spytał Piotr cicho wpatrzony w ciemną piankę, która pozostała na ścianie szklanki. - Nie wiedzą, co się tak naprawdę dzieje?

- Piotrze, FOZZ to nie jedyny dramat transformacji. Co wiesz o masowej wymianie rubli transferowych za granicą, hmm? A o Bagsiku? A JTT?

- Bart, JTT w to nie mieszaj, oni mieli rację i wygrali...

- Ale dla skarbówki w tamtych czasach dopuścili się przestępstwa! I oczywiście walczą o swoje, i słusznie, ale czy nadal z punktu widzenia prawa ich działalność nie była dwuznaczna? Tam, gdzie jest biznes lub polityka, nie ma spraw czarnych i białych. Są tylko różne odcienie szarości.

Bart wstał powoli, wziął kurtkę i klepnął przyjaciela w ramię.

- Nie mieszaj się, Piter, naprawdę. To nie twoja liga. Niech stare sprawy wyjaśnią się same. Wyjedź na dwa tygodnie, daję ci urlop. Tu nie czeka cię nic dobrego.

I wyszedł.

Brak obiadu, stres i dwa duże piwa zrobiły swoje, pomyślał, patrząc na bałagan w mieszkaniu. Naprawdę żyję w takim chlewie? Zamknął drzwi tylko na klamkę? Klamka, zaraz. Drzwi powinny być zamknięte na klucz! Na pewno by o tym nie zapomniał. Odwrócił się. Jego mieszkanie zostało... przeszukane! Szuflady i szafki były pootwierane, na podłodze rozrzucono papiery, dokumenty i ubrania. Materac z kanapy został wyciągnięty i pocięty nożem. Dywan leżał odsunięty na bok i zwinięty w bezwładną masę.

Jego pokój przedstawiał się jeszcze gorzej. Tapczan przewrócony, wymięta pościel leżała na ziemi. Ze ścian zerwano obrazki, pocztówki i tablice korkowe, za to na wykładzinie pełno było szkła i śmieci. Z biurka zniknął jego laptop.

No dobrze, a teraz co? Policja. Tomek. On będzie wiedział, co robić. Ze słuchawką przy uchu ruszył do drzwi. Nie odbierał. Zostawić mu wiadomość? Nie, zdenerwuje się. Spróbuje jeszcze raz później. Zresztą on dzisiaj ma nockę. Co dalej? Przespać się i zjeść. Potem pomyśli. Musi najpierw odpocząć. Ale nie tutaj.

Wyszedł z bloku i ruszył w kierunku postoju taksówek. Miał do przejścia kilka przecznic osiedlowych, musiał zatoczyć przy tym dziwne półkole, którego nijak nie dało się ominąć ze względu na fantazję projektantów i oszczędność budowlańców. Co jakiś czas rozglądał się dyskretnie dookoła, ale nie zauważył niczego niezwykłego. No, może poza tym mercedesem, który wlecze się kawałek za nim. Może czegoś szuka. Tutaj, na osiedlu? Był piątek wieczór, ludzie odsypiali lub oglądali telewizję. Z kilku balkonów dochodziły śmiechy imprezowiczów, którzy postawili na zabawę, nie obawiając się wizyty straży miejskiej. Zerknął przez ramię. Auto wciąż jechało w odległości kilkuset metrów od niego.

Piotr skręci! w uliczkę w prawo pomiędzy budynkami i zatrzymał się. To tylko ostrożność, tłumaczył sobie. Strzeżonego... i tak dalej. Ciemna, szklana witryna sklepu po przeciwnej stronie drogi, którą szedł przed chwilą, niczym lustro odbijała wszystko, co działo się wokół. Zobaczył więc jak auto przyśpiesza, hamuje kawałek przed jego kryjówką, drzwi się otwierają, a ze środka wychodzi dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn. Nie oglądając się, ruszył biegiem przed siebie.

Przebiegł przesmyk i kawałek drogi, skręcił w prawo i... trafił na bramę. No wspaniale! Wyjrzał z zaułka. Prześladowcy stali pośrodku drogi i rozglądali się czujnie. Zdjął kurtkę, zarzucił ją przez ramię i jak gdyby nigdy nic ruszył chwiejnym krokiem, kierując się w prawo. To ostatnie nie przyszło mu trudno. Co prawda cały alkohol wyparował z niego wraz z przyływem adrenaliny, ale ta z kolei wywołała drżenie kończyn oraz przyśpieszone bicie serca. Zerknął dyskretnie przez ramię. Mężczyźni ruszyli w jego kierunku. Dobra, koniec zabawy. Zaczął biec.

Wypadł na drogę i w tej samej chwili przeraźliwie oślepiły go jakieś światła, a

bębenki w uszach zatrzęsły się od dźwięku klaksonu. *O ff...fiick!* Poczłł mocne uderzenie w bok i pieczenie w ramieniu. Zaparłł mu dech w piersi, a w ustach poczuł smak krwi. Przeturlał się i otworzył oczy. W uszach dzwoniłł mu jak w kościele podczas Bożego Ciała. Zderzenie z samochodem nie było mocne, ale spanikowany kierowca zahamował tak gwałtownie, że Piotra odrzuciłł kilka metrów do przodu. Rozejrzał się. Napastnicy biegli już w jego kierunku. Wciąż lekko zamroczony, dźwignął się i złapał równowagę. Nie zwracając uwagi na przerażonego kierowcę, który powoli zaczął otwierać drzwi auta, Piotr ruszył truchtem w kierunku Lasu Kabackiego.

Przebiegł kilkadziesiąt metrów i schował się w krzakach. Serce waliłł mu jak młot pneumatyczny. Każdy oddech był jak połłkanie kolców kaktusa. Dotknął dłonią usta i poczuł, że krwawi mu pęknięta warga. Wychylił głowę. Napastników ani śladu. Wstał ociężale i ruszył jak najciszej przed siebie. Rachubę czasu stracił już dawno, więc nie zdziwił się, że po długim marszu ujrzał światła Instytutu Onkologii.

Może... dlaczego nie? Zgłosi napaść, odpocznie. A potem pomyśli nad tym, co się stałł. Ramię go bolałł coraz bardziej, ale mógł nim poruszać. To oznacza, że nie było złamania ani wylewu. A może takich rzeczy się nie czuje? W głowie wciąż mu szumiałł, a nogi coraz bardziej się plątały. Czy tak się człowiek czuje po przebiegnięciu maratonu? Zdaje się, że pierwszy facet, który tego dokonał, zmarł. Super, nie ma co.

Wywłóklł się na chodnik i skierował w stronę Instytutu. Po chwili dobiegł go dźwięk silnika samochodowego. Odwrócił się, gotowy w każdej chwili skoczyć w krzaki. Spostrzegłszy jednak toyotę yaris w kolorze jakrawożółtym, zamachał ręką.

- Dobry wieczór... - zaczął, gdy auto zatrzymałł się obok. Kierowca minimalnie uchylił szybę. - Miałem wypadek. Czy mogliby państwo podwieźć mnie do szpitala?

Mężczyzna miał kaukaskie rysy twarzy, ale spojrzenie przyjazne, a ponadto nie zdjąłł nogi z gazu, co mogłł świadczyć o ostrożności, z jaką potraktował przypadkowego włóczęgę. O tak, wreszcie normalny, wystraszony człowiek. Obok zauważył drugiego pasażera: drobniejsza sylwetka, pewnie kobieta. Jej twarzy nie dostrzegł, ale usłyszał ciche słowa, które wyszeptała.

- Przecież nie możemy go tutaj zostawić...

Słyszał gdzieś ten głos?

- Proszę, pomogę panu, drzwi się czasami zacinają. - Mężczyzna wygramolił się ze środka i uchylił tylne drzwi.

- Dziękuję, bardzo pan mity i ...

Poczłł mocne uderzenie w kark, a potem mu się wydawałł, że gwałtownie spada w przepaść. Zanim zapadła nad nim ciemność, przypomniałł sobie, że głos kobiety słyszał już dziś na Saskiej Kępie.

ROZDZIAŁ V

Przebudzenie

- Drogi Darinku, sam rozumiesz, że nie mamy wyjścia.

- Tak, Ulriku, ale stawiacie mnie w sytuacji bez wyjścia. Nie mam przecież prawa głosu. - Darinko Savić odstawił porcelanową filiżankę na srebrną tacę i rozparł się w fotelu. Właściwie dlaczego przyjechał na to spotkanie? Przecież to Ulrik miał sprawę do obgadania... Nie, wiedział dlaczego. Dlatego, że Ljubljana nie generowała nawet dziesięciu procent obrotów Wiednia. I zdawał sobie z tego sprawę także Ulrik von Schwaltzchke, który zawsze wiedział, jak okazać swoją łaskę takim maluczkim jak słoweńska giełda. - Sojusz miał być oparty na demokratycznych zasadach, tymczasem ja dowiaduję się ostatni. Po tym, jak już uzgodniłeś wszystko z Pragą i Budapesztem.

- Darinku, sprawy toczą się tak szybko... - Szef Wiener Boerse uśmiechnął się ze skruchą. - Była okazja, porozmawialiśmy. Wybacz, ale nie zawsze jest czas i sposobność na organizację okrągłego stołu czy nawet wideo- konferencji. Nie te lata. - Kurwa mać, a to gnojek! Kto wybiera takich ludzi na szefów giełd papierów wartościowych?! Słoweńcy, ot kto.

- Nie chodzi mi o to, tylko o sposób podejmowania tej decyzji...

- Mam więc rozumieć, że popierasz inicjatywę pozostałych członków CEESEG?

- A mam wybór? - Szef giełdy słoweńskiej wzruszył ramionami. - Tak, popieram. Nie zgadzam się natomiast z trybem, w jakim to się odbywa...

Gadaj zdrów, chłopcze. Von Schwaltzchke rozsiadł się wygodnie i upił z kieliszka łyk tokaju. Teraz już możesz mówić do woli, a i tak nie ma to żadnego znaczenia. Całkiem niezłe to wino.

[longwatch]

no i co? Cisza w eterze

[dyrektor 5]

znasz przysłowie: krowa co dużo muczy, mało mleka daje

[lojal]

spie przaj dziadu [cwal8]
ech ludzie małej wiary!!!

[lojal]
o jesteś. I?

[cwal8]
jest dobrze. Mamy sprzymierzeńca.

Rada Europejska jest często mylona z Radą Unii Europejskiej i Radą Europy, chociaż różnice wydają się proste. Na spotkania Rady Unii Europejskiej zbierają się ministrowie spraw zagranicznych (wtedy jest to Rada Ogólna) lub ministrowie jednego resortu z każdego z państw Unii (czyli Rada Branżowa). Z kolei Rada Europy nie jest *de facto* związana z Unią - to międzynarodowa organizacja rządowa skupiająca kraje również spoza Unii, której celem jest przede wszystkim ochrona praw człowieka.

Posiedzenia Rady Europejskiej to najbardziej znane spotkania w Unii, tzw. szczyty UE. Zjeżdżają na nie premierzy z wszystkich dwudziestu siedmiu krajów Unii, z wyłączeniem Cypru, Francji, Litwy i Rumunii, których reprezentują prezydenci. Rada Europejska ma za zadanie wyznaczanie głównych kierunków rozwoju Unii i jej priorytetów politycznych. Posiedzenia odbywają się w Brukseli, w budynku Justus Lipsius, nieopodal ronda Roberta Schumana.

Biorąc jednak pod uwagę fakt, że funkcjonowanie całej Unii Europejskiej opiera się na siedmiu głównych instytucjach, do których oprócz Rady Europejskiej i Rady Unii Europejskiej należy Parlament Europejski, Komisja Europejska, Trybunał Sprawiedliwości UE, Trybunał Obrachunkowy oraz Europejski Bank Centralny, a także na organach pomocniczych, takich jak Komitet Regionów i Komitet Ekonomiczno-Społeczny - dla przeciętnego mieszkańca Europy połapanie się w biurokratycznej maszynie Unii graniczy z cudem.

Premier Antoni Riks spojrzął na zegarek. Dochodziła dwudziesta, posiedzenie rady dobiegało końca, będzie miał więc czas na drinka zanim pójdzie spać. Dobrze. W Brukseli wszystko załatwia się podczas kuluarowych rozmów i chyba tylko w Waszyngtonie - ze względu na wielkość i bogactwo kraju - mają one jeszcze większe znaczenie niż tutaj. Chwycił teczkę i skierował się do wyjścia.

Dzień był długi i męczący, a rozmowy trudne. Zresztą jak zawsze, gdy dotyczyły podatków. Podatki były zmartwieniem ludzi i przedsiębiorstw. Firmy działające w skali międzynarodowej mogą mieć więcej problemów chyba tylko ze zmiennymi kursami walut. Ale to podatki są głównym czynnikiem decydującym o lokalizacji siedziby, organizacji produkcji czy sieci sprzedaży. Teoretycznie podatki służą opłacaniu usług

świadczonych przez rząd. Ale w obliczu nadmiernej biurokracji, przerostu zatrudnienia oraz braku widocznych efektów działań administracji rządowej powszechne jest przekonanie o utrzymywaniu przez podatki setek tysięcy urzędników, których jedynym celem jest utrudnianie ludziom życia.

Trudno jest znaleźć właściwy poziom podatków. Ogólnie im niższe, tym lepiej. Wysokie podatki obniżają oszczędności, stopę inwestycji w gospodarce oraz powodują wzrost bezrobocia. Nie można ich podwyższać w nieskończoność, co zostało udowodnione na krzywej Laffera - zbyt wysokie opodatkowanie zmniejsza wpływy do budżetu, ponieważ ludzie nie podejmują żadnych nowych prac ani inwestycji. Obniżka podatków jest zawsze korzystna: prowadzi do rozwoju sektora prywatnego, wzrostu produkcji i tworzenia nowych miejsc pracy. W konsekwencji może to przynieść wzrost dochodów budżetowych oraz możliwość obniżenia deficytu.

Dlaczego więc nie obniżać podatków, skoro to takie dobre?

Ano dlatego, że z czegoś trzeba opłacić pensje nauczycieli i lekarzy, emerytury i renty, wyposażyć i utrzymać szpitale i kliniki, uzbroić, wyszkolić i wypłacić pensje żołnierzom, policjantom, straży miejskiej i strażakom, oświetlić ulice, a w zimę je odśnieżyć, wybudować mosty, autostrady, chodniki, skwery i place zabaw. Wszystko z jednego worka, do którego nikt nie chciał się dorzucać, włącznie z wyżej wymienionymi beneficjentami. Nie było więc optymalnego wyjścia z sytuacji. Bo w zakresie optymalizacji to sektor prywatny wiódł prym.

W Polsce jednym z najbardziej rozpowszechnionych sposobów optymalizacji podatkowej była - głównie wskutek znacznej emigracji młodych Polaków do pracy w Wielkiej Brytanii - eliminacja podwójnego opodatkowania zagranicznych dochodów. Polski rezydent mógł więc odliczyć podatek zapłacony za granicą, zostać wyłączonym z opodatkowania bądź skorzystać z abolicji podatkowej.

Pracując za granicą, niektórzy starali się o zmianę rezydentury - wtedy w Polsce były opodatkowane dochody tylko tam uzyskiwane. Inni zakładali zagraniczne spółki, fundacje bądź trusty. Były to najczęściej duże przedsiębiorstwa z wysokimi przychodami, z racji czego stawały się naturalnym obiektem zainteresowania finansistów. I rządów, rzecz jasna. No bo jeśli polski rezydent zakładał za granicą fundację, którą wyposażał w akcje bądź udziały, to robił to bez płacenia podatku. Działalność fundacji również nie była opodatkowana w Polsce. Ponadto udziały bądź akcje mógł sprzedać za granicą lub przekazać je członkowi swojej rodziny w Polsce.

Rozbój w biały dzień? Tak, i to w majestacie prawa.

Wszystko jednak zdawało się mieć swój kres. Wyprowadzanie środków finansowych, udziałów i akcji powodowało coraz silniejsze kurczenie się dochodów budżetowych. Ponieważ jedni coraz częściej uciekali ze swoimi pieniędzmi za granicę, inni musieli uzupełniać powstałą w ten sposób lukę. Kiedy sprawa dotyczyła tylko Polski, Węgier i kilku innych mniejszych państw, nikt nie brał tego zagrożenia na

poważnie. Każdy mówił: „załataj dziurę”, „macie burdel”, „zetrnij koszty”.

Sytuacja uległa diametralnej zmianie, gdy na skraju bankructwa stanęło kilka krajów Unii Europejskiej, a Europejski Bank Centralny wydał miliardy euro na ratowanie zagrożonych bankructwem banków. Nagle wszyscy jakby przejrzeni na oczy i zobaczyli, że zahartowani w biznesie przedsiębiorcy przelewają setki milionów „z rajów do rajów” pod boki polityków. Zaczęto rozważać pomysł ograniczenia możliwości korzystania z rajów podatkowych przez przedsiębiorców.

Tylko jak to zrobić?

- Wasza inicjatywa chyba zyskuje na popularności?

Odwrócił się.

- Chcesz powiedzieć, że się boisz? - Riks uśmiechnął się. - Masz czego. Jeszcze będę schodził z mównicy przy burzy oklasków.

- Tonący brzytwy się chwyta?

- Raczej szuka winnych.

- Dobry wieczór, Antoni.

- Witaj, John.

Podali sobie ręce i nieśpiesznie ruszyli korytarzem. John Brown, premier Wielkiej Brytanii, był wysoki, chudy i nosił wielkie korekcyjne okulary. Z pozoru chłodny i zdystansowany, jednak potrafił jak nikt inny umilać czas podczas nudnych debat.

- Jak prace dochodzeniowe? - spytał Brown.

- Sprawnie, nawet jak na tak skomplikowany proces. - Może niedokładnie to wynikało z przesłanego mu przez KNF raportu, ale co zrobić? Polski premier uśmiechnął się szerzej. - W każdym razie manipulator pożałuje, że namieszał nam w kotle.

- To dobrze. Wiesz, niepokojące byłoby, gdyby sytuacja na rynku kapitałowym w Polsce zaczęła mieć wpływ na nastroje inwestorów w innych krajach.

Ależ eufemizm! Jakby nie wiedział, że cały Zachód poleciał na łeb na szyję dzień po zamknięciu GPW.

- John, nie zrozum mnie źle, ale my nie kontrolujemy indeksów. Pamiętasz rok 2007? Nikt wam nie wypominał, że sypaliście złotówką jak forintem.

Premier Wielkiej Brytanii kiwnął głową. Zabawnie było patrzeć, jak stworzona w celu integracji Europy instytucja staje się poligonem walk o suwerenność i niezależność każdego z jej członków.

- Å propos Węgrów. Też nie byli zadowoleni... - Brown zawiesił na chwilę głos. - Wiesz, Grecja dała nam ostro popalić. Włochy, Hiszpania, Portugalia również... A Wielka Brytania nie ma budżetu bez dna. Raje podatkowe to pułapka, którą sami na siebie zastawiliśmy. - Pokręcił głową z rezygnacją. - Nawet na Wyspy Dziewicze nie możemy już liczyć.

Przystanęli przed windami. Od jednej z grup odłączył się grubawy facet, pomachał

i ruszył w ich kierunku. O wilku mowa, premier Grecji Spyros Kastrisofias w całej okazałości.

- Mogę cię zapewnić, że z naszej strony zrobimy wszystko, żeby uporządkować sprawy podatkowe w Unii. I... - Riks spojrzął w oczy Brownowi - dziękuję za poparcie. A polskim rynkiem kapitałowym się nie martw, sytuacja jest pod kontrolą.

- To dobrze.

- Jak Mary? Pozdrów ją, proszę..., a właściwie ich ode mnie.

- Dziękuję. - Twarz Browna rozpromienił uśmiech. - Na pewno się ucieszy.

Spojrzeli na siebie i kiwnęli głowami.

- Dzień dobry panom. - Kastrisofias uśmiechnął się, odsłaniając rząd lekko pożółkłych od papierosów zębów i skierował się od razu do premiera Wielkiej Brytanii. - John, mogę przeszkodzić na chwilę? Chodzi o tę pożyczkę...

Z lekko zażenowaną miną Brown pożegnał się i Antoni został sam. Chwilę później wszedł do windy. Jeszcze przed spotkaniem zauważył w holu znajomą twarz. Pora się przywitać z europejskim lobby. Mogą sobie nawzajem pomóc.

Paryż można zwiedzać na wiele sposobów. Obowiązkowe atrakcje turystyczne, takie jak wieża Eiffla, katedra Notre Dame, Luwr, Pola Elizejskie z Łukiem Triumfalnym i sklepem Louisa Vuittona czy cmentarz Père La- chaise z grobem Fryderyka Chopina, oddalone są od siebie niejednokrotnie o wiele kilometrów. Niektórzy więc zwiedzają całe miasto z przewodnikiem. Inni decydują się na objazd specjalnym autobusem. Ponieważ cały Paryż usiany jest sławnymi zabytkami i pomnikami, to jego zwiedzanie przypomina trochę grę w kostki domina. Bo czy można być pod wieżą Eiffla i nie zwiedzić Inwalidów? Lub wjechać na Łuk Triumfalny, a na Wielki Łuk w dzielnicy La Defense już nie? I obejść Montmartre, a odpuścić sobie plac Pigalie? I czy można w ogóle wyjechać z Paryża, nie zwiedzając Wersalu? W tym mieście można spędzić kilka lat, a ono i tak wciąż będzie zaskakiwało.

Jedną z najbardziej uroczych, a zarazem spokojnych tras jest ta wiodąca wzdłuż brzegu Sekwany, od Muzeum Radio-France, wzdłuż Avenue du PT Kennedy, przechodzącej w Avenue de New York, na wysokości pałacu Chaillot po lewej, a po prawej wieży Eiffla. Idąc dalej bulwarem, dochodzi się do placu i skrzyżowania, z którego wszystkie uliczki, choć odchodzą w różnych kierunkach, to prowadzą do Pól Elizejskich. Dalej można dojść do Placu Zgody i ogrodów Tuileries ciągnących się aż do Luwru. Długi odcinek z nużącym widokiem krzewów wynagradza widok pięknie odrestaurowanego Muzeum Orsay na drugim brzegu rzeki. Większość podróży kończy trasę przy katedrze Notre Dame, odbijając w lewo w stronę Centrum Pompidou i zaszywając się w jednej z wielu knajpek, popijając czerwone bourdeaux, a pod stołem wyciągając obolałe nogi.

Zofia Maria Paul stała samotnie przy Pont de la Concorde, obserwując sznur samochodów jadących bulwarem. Pomimo weekendu oraz pięknej pogody część paryżan musiała wsiąść w auta i odstać swoje w korku, jakby maksymalne zmęczenie graniczące ze z mordowaniem potwierdzało wartość użytkową człowieka dla społeczeństwa.

Teraz żałowała, że zgodziła się na to spotkanie. Skąd on w ogóle wiedział, że tu jest? I jak ją odnalazł po tym, jak lata temu zmieniła nazwisko? Pamięta, że Joanna się temu wtedy opierała, chciała „ciągłości rodu”. Ale w końcu zaakceptowała decyzję siostrzenicy. Twoje życie, mówiła, rób, jak chcesz. Nawet pomogła w urzędzie przy „przepychaniu” papierów. Więc wybrała sobie nowe nazwisko. Tylko co z tego, skoro teraz ktoś próbuje brutalnie wejść w jej życie w podkutych żelastwem buciorach!

Niespecjalnie się zdziwiła, kiedy kilka lat temu Joanna oznajmiła, że jej ojciec żyje. Dla osieroconej nastolatki wychowywanej przez ciotkę ojciec był obcym człowiekiem i nawet gdyby zjawił się w progu ich mieszkania, potraktowałyby go jak nieproszonego gościa. I to uczucie się nie zmieniło. Tym bardziej, gdy dowiedziała się, dlaczego wyjechał. Jakie to było proste. Z powodu pieniędzy! Ciotka zawsze starała się bronić ojca, ale co ona tam wiedziała. Zosia wyrobiła sobie własne zdanie na ten temat i nie zamierzała go zmienić.

Więc dlaczego stała teraz tutaj i czekała na niego? Może to ciekawość? Rozejrzała się, ale dostrzegła tylko kilka zaciekawionych spojrzeń. Wyglądała na samotną spacerowniczkę, co oczywiście przyciągało wzrok równie samotnych spacerowiczów.

- Witaj, moja droga - rozległ się głos tuż za jej plecami.

Odwróciła się.

- Cześć. Dzień dobry... - Krzysztofie? Tato? Ojczy? Nieznajomy? Psiakrew! Nie pomyślała o tym, jak się do niego zwracać! I jak przywitać! Podać rękę, uścisnąć go, a może tylko dygnąć? Ale było już za późno.

Stał teraz przed nią, wyprężony i pewny siebie. Nie od razu go poznała. Rysy twarzy miał lekko zmienione, nos stracił swój orli kształt. Ale oczy pozostały te same. Niechętnie przyznała w duchu, że czas zadziałał na jego korzyść. Pomijając opaleniznę, wyglądał lepiej niż na zdjęciu: bardziej zdecydowanie, męsko, spokojnie. Ubrany w zwykłe dżinsy i koszulkę polo mógłby wzbudzić zazdrość u niejednego kulturysty. Z jego oczu biła siła i poczucie własnej wartości, a jednocześnie wielkie doświadczenie, lecz nie pycha.

- Przejdziemy się? - spytał po chwili. Bez uścisków, bez czułości na powitanie. - Pogoda jest doprawdy wspaniała.

Kiwnęła głową. Ruszyli bulwarem. Poczucie, że w każdej chwili może zwinąć się i uciec, dodawało jej odwagi. Dobrze, że nie zgodziła się na spotkanie w żadnym zamkniętym miejscu.

- Jak tu pięknie - ciągnął. Głos miał niski i ciepły. - Wiesz, że jeszcze kilkadziesiąt

lat temu powietrze w Paryżu było tak zanieczyszczone, że miastu groziło wyludnienie? A teraz? Teraz jest czysto, pięknie, inaczej...

- Daruj sobie. - Sama się zdziwiła, słysząc szorstki ton swojego głosu. - Czego chcesz?

- Żebyś wróciła do domu - rzekł spokojnie.

- Co?

- Do domu. Do mnie. - Nie spojrział jednak na nią. Patrzył przed siebie, w jakiś odległy punkt na horyzoncie. Wzięła głęboki oddech. Przed spotkaniem obiecała sobie dwie rzeczy: że się nie rozklei i że się nie zdenerwuje.

- Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek był częścią mojego domu.

- To się zmieni, Zosiu. - Uśmiechnął się blado. - Wracam do kraju.

- Po co?

- Wiesz... A co Joanna ci mówiła na temat mojego wyjazdu?

- Niewiele. - Wzruszyła ramionami lekko zaskoczona jego bezpośredniością. Wzięła głęboki oddech - Że zabrałeś kasę z tego przeklętego funduszu i zniknąłeś, bo cię szukali.

- Niech będzie - odrzekł po chwili, a potem spojrział na nią. - Sądzę, że ciotka powiedziała ci o wiele więcej, ale nie o to teraz chodzi. - Uśmiechnął się lekko. - Dobrze wykorzystałem daną mi szansę. Zbudowałem olbrzymi fundusz, który ma zainwestować te środki w Polsce. Ruszą roboty, budowy... Zobaczysz! To będzie inny kraj.

- Taa, kompletnie inny - burknęła. - Ludzi nie zmienisz.

- A może jednak?

Popatrzyła na niego z ciekawością, ale miał nieodgadnione spojrzenie.

- Czego ode mnie chcesz? - powtórzyła.

- Jak już mówiłem...

- Przestań - głos zaczął jej drżeć. - Przez ciebie mama nie żyje, a ja wychowywałam się jako sierota. Jak możesz prosić mnie o cokolwiek?!

- Zosiu... Ja nigdy nie wybaczę sobie tego, jak was skrzywdziłem. Ale gdybyś była na moim miejscu, podejrzewam, że zrobiłabyś podobnie. - Spuścił głowę. - Nie możesz winić żołnierzy, że zostawiają rodzinę w domu i idą ginąć na wojnie za swój kraj.

Już otwierała usta, ale nic nie powiedziała. Szli przez chwilę w ciszy.

- Nie ufam ci.

- Zaufaj Joannie.

- Hmm? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Joanna jako jedna z ostatnich pomagała mi w tych trudnych latach na wygnaniu i nadal to robi. Nie tylko opiekując się tobą. Ufamy sobie.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że ona wiedziała o naszym spotkaniu?!

- Wiedziała znacznie więcej. Ale nie gniewaj się na nią, proszę. - Pierwszy raz jego

głos zrobił się smutny. - Miała okropne wyrzuty sumienia, zatajając przed tobą część prawdy. Ale robiła to z miłości.

Co dziwne, Zosia nie poczuła się dotknięta. Zupełnie jakby jakaś część jej organizmu była martwa. No tak, mogła się domyślić. Jakie to było proste.

- Więc czego potrzebujesz? Darmowej siły intelektualnej? - wycedziła.

- Nie... Zdaję sobie sprawę, że więzy krwi to jedyne, co nas łączy. Ale wiem też, że jesteś ambitna i zdolna, a przy tym zadaniu będziesz miała szansę się wykazać. Może to być początek czegoś nowego. Także w naszych relacjach.

Zacisnęła powieki.

- Chyba... nie. Nie mogę.

- A jesteś szczęśliwa?

- Co ci do tego?! - Przystanęła. Fala emocji zalała ją niczym poranny przypływ. - Pojawiasz się nagle w moim życiu po dwudziestu paru latach i uważasz, że potrafisz rozpoznać moje uczucia? Poznać mnie? A sam jesteś szczęśliwy?! Zostawiłeś mamę, zostawiłeś mnie! W imię czego?!

- Wiesz dobrze, że to uproszczenie - rzekł po chwili spokojnie. - Zrobiłem to dla ciebie i twojego pokolenia. Dla przyszłości...

- Tylko wiesz co. Nie wzięłeś jednego pod uwagę! Kiedy chcę, żeby było mi lepiej, to pakuję walizkę i przyjeżdżam tutaj. Nie chcę tej zasranej Polski ani twoich idei, wiesz?!

- Zdaję sobie sprawę, że nie wszystko poszło tak, jak powinno. Ale masz wybór. - Spojrzał na nią. - Możesz wyjechać lub zostać. Ja go nie miałem.

Ruszyli w milczeniu. Dziewczyna starała się pohamować szloch i czkawkę, która pojawiła się dosłownie po kilku sekundach łkania. Miała przy sobie tylko jedną chusteczkę higieniczną, która w tej chwili, ściskana w dłoni, zamieniła się pod wpływem łez i wilgoci w zbitą bryłę.

- Nie chciałem cię zranić - powiedział i dodał po chwili: - Dziękuję, że się ze mną spotkałaś.

Podał jej małą kartkę i jakiś drobny przedmiot. Kluczyk.

- Pod tym adresem i telefonem będę dostępny w Warszawie. Gdybyś wróciła... - Uśmiechnął się smutno. - Nie będę ci już zajmować czasu. I, Zosiu... Przepraszam.

Skinął lekko głową i skręcił w lewo. Dziewczyna patrzyła za nim chwilę, zanim odwróciła wzrok. Zamknęła oczy i oparła się o barierkę. Cholera, że też zgodziła się z nim spotkać! Dobrze chociaż, że to Paryż. To miasto przyniesie jej ukojenie, uspokoi, przywróci równowagę. Tylko dlaczego nie przytuli?

Znów zaniósła się szlochem.

Telefon obudził go tak nagle, że przez moment nie wiedział, gdzie się znajduje.

Dopiero po chwili rozpoznał znajome kasetony na suficie, przebijające przez satynowy baldachim. Spojrzał na budzik. Dochodziła szósta trzydzieści. Ale Boże, dziś była niedziela! Każdy miał prawo do wypoczynku, nawet premier.

- Halo - rzucił zły, że ktoś go budzi o tej porze.

- Antoni Riks? Mówi Robert Cavasky. Chyba powinniśmy porozmawiać na temat tego, co zdarzyło się we wtorek na warszawskiej GPW.

Przykre wrażenie zmysłowe powstałe wskutek bodźców, które uszkodziły tkankę, jest odczuciem typowo subiektywnym, a więc nazywane jest tak wszystko to, co chory uważa za ból, i to bez względu na objawy. Według klasyfikacji neurofizjologicznej ból może być receptorowy, nocycyptywny oraz niereceptorowy, neuropatyczny. Ta druga grupa obejmuje przede wszystkim allodynię, czyli sytuację, kiedy chory w wyniku uszkodzenia układu nerwowego odczuwa ból na skutek bodźców, które u zdrowych osób bólu nie powodują. Typowy ból jest zaklasyfikowany do grupy pierwszej - nocycceptor to inaczej receptor bólowy o wysokim progu pobudliwości, który w momencie uszkodzenia ciała zostaje pobudzony, wskutek czego z tkanek wydzielane są enzymy proteolityczne, dokonujące hydrolizy wiązań peptydowych, indukujące wydzielanie kinin i prostaglandyn. Cały proces trwa kilka milisekund - kininy jako hormony tkankowe powodują rozszerzanie naczyń krwionośnych i zwiększenie przepuszczalności naczyń włoskowatych. Prostaglandyny działają silnie i różnorodnie, a w zależności od rodzaju bólu pobudzają lub hamują skurcze mięśni gładkich, podobnie hamują wydzielanie soku żołądkowego lub nawet pobudzają ruchliwość plemników. A wszystko po to, by przez neurony popłynął do mózgu sygnał o uleczeniu podrażnionych tkanek.

Ból jednak nie ustępował. Co więcej, pulsowanie stawało się coraz silniejsze i bardziej wyraźne. Był przejmujący jak zgrzyt metalu o stal, charakteryzujący się wysoką częstotliwością. Wszelako było w nim także coś oczyszczającego - uświadamiał człowiekowi, że nie umarł. I choć istnieje cała masa lepszych posłańców życia niż rozrywające czaszkę grzmoty, w jednej jedynej chwili miał ochotę zaśmiać się ze szczęścia, że wciąż żyje. Potem jednak radość ustąpiła miejsca bólowi.

Rzucił się, ale podłóże było miękkie i gładko zamortyzowało jego ruchy. Powoli podniósł ręce i poruszył nogami: zaszeleściła pościel, poczuł też dotyk miękkiego koca z flauszu. Otworzył oczy. Malowidła na suficie układały się w jakieś nieznanne mu florale. Podniósł się i oparł na łokciach. Po chwili już na tyle wyostrzył mu się obraz, że dostrzegł inne szczegóły pomieszczenia.

Pokój wyglądał zwyczajnie. O ile można tak powiedzieć o obcym pomieszczeniu, w obcym domu, nie wiedząc, dlaczego się w nim znalazło. Gorzej niż po imprezie, choć ogromne pragnienie, ból głowy i urwany film by pasowały...

Rozejrzył się. Pokój, choć nie był duży, urządzono gustownie. Ściany pokrywała biało-niebieska drapowana tapeta w stylu angielskim, okno udekorowano kilkoma warstwami białych firan i złotych zasłon zakończonych lambrekinami. Znaczną część pokoju zajmowało ustawione pod oknem szerokie mahoniowe biurko, z prawej strony połączone z ciągnącym się od sufitu do podłogi regałem wypełnionym oprawionymi w skórę grubymi księgami. Pod ich ciężarem półki dosłownie się ugięły, a jedna, na samej górze, leżała po skosie złamana. Widać nikomu nie przeszkadzała ta drobna dysharmonia.

Na środku pokoju stało drewniane krzesło z haftowanym obiciem, na którym leżały poskładane w kostkę (wyprane?) jego rzeczy. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że leży tu całkowicie nagi. I raczej nie wyglądało na to, że znajdował się w sali szpitalnej. To gdzie?

Zerknął w prawo. Na nocnej szafeczce stała taca z całą apteczką leków, ciśnieniomierzem i jakimś pudłem. Kardiomonitor? Dziwne. Za nim zauważył dwie pionowe rurki. Odprowadził je wzrokiem do samego szczytu, na którym zauważył trzy butle, w tym jedną pustą. Aha, stojak do kroplówek. Z butli ciągnęły się kable, których końce znikają pod jego kołdrą. Odgarnął ją.

Do piersi miał przyklejone elektrody, z prawej dłoni wystawał mu wenflon. Super. Spojrzał na kroplówki. Z jednej wciąż miarowo sączył się płyn. Podniósł się i wyciągnął ku niej rękę. Poczuł, jak świat mu w głowie wiruje, i upadł na łóżku. Usiadł i schylił głowę. Po chwili, już wolniej i spokojniej, wstał i zakręcił kranik w kroplówce. Potem usiadł i odszukał na szafeczce zawleczkę od wenflonu. Nigdy tego wcześniej nie robił, ale nieraz widział to na filmach. Oby w nich nie kłamali. Sięgnął do nadgarstka i odwracając z obrzydzeniem głowę, wyciągnął końcówkę kabla, wtykając w jej miejsce zawleczkę. Uff, chyba się udało.

Założył ubranie i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku drzwi.

Dom, podobnie jak jego pokój, nie był zbyt duży, ale cały elegancko urządzony. Chyba jakiś miszmasz stylu staropolskiego i starofrancuskiego, a na jednym i drugim Piotr znał się tyle, co na chirurgii. Trzymając się dębowej, głęboko żłobionej balustrady, powoli zszedł na dół.

Klatka schodowa wychodziła na duży przechodni salon. Na środku podłogi pokrytej haftowanym dywanem stały fotele i sofa, skupione zapewne wokół szklanej ławy, której ze schodów widać było zaledwie koniuszek. Po prawej stronie stał kominek. Dopiero po chwili zorientował się, że dziwne przytłumione światło panujące w salonie jest efektem zaciągniętych jasnych rolet, które z miejsca, w którym stał, były prawie niewidoczne. W lewym kącie salonu Piotr zauważył dębowy stół i jakiś prześwit. Może tam jest wejście do kuchni? Ruszył w jej kierunku.

Nie miał pojęcia, jak i, co więcej, po co się tu znalazł, ale przynajmniej jednego był pewien: ponieważ w całym domu panował nieskazitelny porządek, również i kuchnia

powinna być wyposażona jak należy. Jak należy, to znaczy w leki przeciwbólowe i wodę.

- Szukasz czegoś?

Niespodziewany dźwięk słów, który świadczył o obecności kogoś jeszcze - nieznajomego! - w tym samym pomieszczeniu, w jednej chwili wywołał u niego taki przypływ adrenaliny, że prawie podskoczył. Odwrócił się.

- Słucham?

Zza fotela wysunęła się owłosiona męska ręka.

- Zapraszam do mnie na śniadanie.

ROZDZIAŁ VI

Sojusze

Sala Notowań GPW znajduje się na drugim piętrze biurowca przy ulicy Książęcej. Choć konferencja prasowa miała się rozpocząć o dziesiątej rano, już o dziewiątej trzydzieści wszystkie miejsca siedzące - dział prasowy GPW przygotował ich ponad czterdzieści - były zajęte. Ci, którzy kończyli później spotkanie redakcyjne lub dojeżdżali z bardziej odległych redakcji, jak chociażby z wydawnictwa Axel Springer na Domaniewskiej, musieli zadowolić się miejscami stojącymi, których ubywało w postępie geometrycznym wraz z pojawianiem się kolejnych ekip telewizyjnych. Najlepiej zrobili ci, którzy przyszli na końcu. Nie mając innego wyjścia, zajmowali miejsca pomiędzy rzędami siedzących kolegów z konkurencyjnych redakcji. Dziesięć minut przed rozpoczęciem sala była pełna, a gwar prowadzonych rozmów niósł się aż do parteru.

Wejście prelegentów nie zostało obwieszczane żadnym dzwonem, nie zapadła też cisza zwiastująca oczekiwanie. Ot, zwykła rzecz, należy sobie zyskać przychylność audytorium. Przy stole prezydialnym pojawiły się trzy osoby, a przygotowane dla nich koziołki wyraźnie obwieszczały rangę wydarzenia: Jerzy Ksawery Maciejewski - prezes GPW, Bogusław Abrończyk - minister finansów oraz Waldemar Dostański - przewodniczący KNF.

Dwóch ostatnich panów usiadło, a Jerzy Maciejewski wziął mikrofon i podszedł do ekranu plazmowego.

- Witam państwa i dziękuję za tak liczne przybycie na dzisiejsze spotkanie. Dziękuję również za przybycie panu ministrowi Abrończykowi i przewodniczącemu KNF, panu Dostańskiemu - kiwnął głową - którzy będą zarówno w trakcie prezentacji, jak i po jej zakończeniu do państwa dyspozycji i omówią szczegóły prowadzonego badania w sprawie manipulacji na GPW, możemy to już oficjalnie potwierdzić, do jakiej doszło w dniu...

W jednej chwili nadawany na żywo obraz w TVN CNBC został zaciemniony plecami tłumu, który poderwał się z miejsc, a przygotowany przez prelegenta wstęp został zagłuszony sypiącym się gradem pytań i krzyków dziennikarzy.

Ach, ten Maciejewski! Zawsze miał dar do publicznych wystąpień. Premier Antoni Riks sięgnął po pilota i ściszył dźwięk w telewizorze.

Sprawa wydawała mu się taka prosta. Wystarczyło wziąć kartkę, ołówek i zakreślić

kilka kręgów. Nagle okazywało się, że matematyka służyła polityce nie tylko procentami prezentującymi szansę wygrania wyborów. Zerknął na ekran. Atmosfera na giełdzie trochę się uspokoiła, prezes GPW z przejściem prezentował kolejne slajdy raportu.

Tak, matematyka ma wiele zastosowań. Na przykład zbiory. Wystarczy określić zasoby zbioru A i zbioru B oraz wyznaczyć ich część wspólną. Zasób zbioru A: zagrożenie manipulacjami na giełdach przez posiadające aktywa w wielu krajach fundusze, których struktura jest skomplikowana i nieraz wielokrotnie przefiltrowana przez raje podatkowe. Zasób zbioru B: unijna ustawa mająca ograniczyć wykorzystywanie rajów podatkowych do unikania opodatkowania oraz ułatwić kontrolę i penetrację aktywów w nich zgromadzonych. Część wspólna: prawie wszystko. Jakże łatwo przełożyć to na życie!

- Panie prezesie, jak należy rozumieć twierdzenie, że co prawda dokonano manipulacji na GPW, co jest przestępstwem, ale nie wszczęto jeszcze postępowania w prokuraturze? Czy rząd nie za bardzo ociąga się ze złożeniem materiału dowodowego?

- Jak już mówiłem, celem niniejszego opracowania było potwierdzenie, że doszło do naruszenia prawa, co zostało bezwarunkowo potwierdzone. Ze względu na skalę przestępstwa...

- Jakiego znowu opracowania? - oburzyła się jedna reporterka, szybko kartkując otrzymany materiał. - Przecież to tylko ogólniki, tu nie ma żadnych wniosków ani wskazań...

Ma rację, choć to bez znaczenia, pomyślał Riks. Początkowo chcieli się podzielić z mediami wszystkimi informacjami i danymi, jakie udało im się zebrać i ustalić. Wszystko zmienił wczorajszy telefon i kilkunastominutowa rozmowa z niejakim Robertem Cavaskym. Nie żeby Riks w ciemno zaufał nieznanemu człowiekowi. Kazał go skrupulatnie sprawdzić i już na wieczór miał gotową analizę. Słowa Cavasky'ego znalazły pełne potwierdzenie w danych wywiadu. Również jego rekomendacje były jasne i przejrzyste. Oskarżenie spółek o manipulacje na GPW może spowodować tylko pogorszenie sytuacji. Lepiej zagrać na zwłokę, niż później żałować przedwczesnych sądów. Święta prawda. Tyle, że nie Cavasky, tylko Riks teraz nadstawia! karku.

Powrócił do swojego rysunku. Część wspólna stanowiła klucz do obecnej sytuacji. Do stabilności politycznej w Europie. I na świecie.

- .. szefowie spółek mogą zostać oskarżeni o przyczynienie się do malwersacji na giełdzie?

Riks podniósł głowę.

- To pozostaje w gestii prokuratury. Tym razem odpowiedział Dostański. - Przypuszczam, że niektóre osoby mogą zostać poproszone o złożenie wyjaśnień.

- ...inwestorami indywidualnymi? Czy oni także mogą domagać się roszczeń w trybie pozwu zbiorowego?

- ...a biura maklerskie, które niewłaściwie naliczyły prowizje od zrealizowanych transakcji? Na ile szacujecie straty biur i banków z tytułu odszkodowań?

Premier uśmiechnął się lekko. Bardzo dobrze odgrywacie swoje role, chłopcy. Tylko dlaczego z tymi zbiorami nie idzie tak łatwo! A jeśli zbiór A ma również część wspólną z innym zbiorem, na przykład C? I jeśli będzie ona większa od części wspólnej A i B, to która zostanie wybrana? I przez kogo? Czyj interes się liczył? Znowu spojrzał na ekran. Prezes Maciejewski wciąż stał na podium i wskazując ręką kolejnych dziennikarzy, szybko odpowiadał na pytania. Przy stole siedział Dostański razem z Kałasznikową. Cholera, ta baba wszędzie się wciśnie. Abrończyk gdzieś zniknął. Po chwili Riks odnalazł jego rudą czuprynę wśród tłumu przeciskających się dziennikarzy. Dobrze, że kamera była wysoko, zobaczył zamieszanie, które na szczęście go ominęło.

Ależ ci dziennikarze robią szum wokół tej całej afery! Czy nie widzą, że naprawdę ważne sprawy dzieją się obok? Media są takie głupie i naiwne... Niby „czwarta władza”. Ale prawdą też jest, że nie widzą niczego. Nie patrzą dalej niż dwa metry przed siebie, postrzegają wszystko jednowymiarowo. Przypomniał sobie siebie samego sprzed dobrych kilkunastu lat, gdy żył tylko pracą, bez dzieci, bez porannego biegania, oglądania meczów i wycieczek w Beskidy. W pewnym momencie człowiek traci zdolność racjonalnej oceny sytuacji, sam nie wie, gdzie się znajduje i ile dzieli go od mety. Zdolność spojrzenia na rzeczywistość z dystansu pozwala określić nie tylko właściwą odległość, ale i kierunek drogi.

Wstał z fotela i ruszył! do drzwi. Konferencja zakończona. Za chwilę pojawią się pierwsze komentarze w telewizji, wszyscy usłyszą, że rząd nie radzi sobie z sytuacją, a premier chowa głowę w piasek. Depesze agencyjne pewnie skoncentrują się na faktach, czyli na... niczym. Bo to, co opublikowali, to zwykły żart: jedynym faktem było potwierdzenie, że na giełdzie rzeczywiście doszło do manipulacji. Ale za to w jutrzejszej prasie przeczyta o niewywiązywaniu się rządu z poczynionych obietnic. Tak, tak. Niewątpliwie był to smaczny kąsek. Dokładnie tak, jak zaplanowali.

Wczorajszej rozmowy co prawda nie planował, ale jako doświadczony polityk nauczył się mieć oczy dookoła głowy i zmieniać zdanie oraz decyzje, jeżeli było to potrzebne. I korzystne. Nie dla niego oczywiście, ale dla kraju. Czy to, co zdecydował się zrobić, będzie dobre? Nie był pewien i wciąż czuł wątpliwości. Ale czy miał wyjście? Jak wiele rzeczy w jego życiu, tak i to zdarzenie było naturalną konsekwencją zbiegu okoliczności i przypadkowych zdarzeń, na które nie miał wpływu.

- Kasiu - rzucił do sekretarki przez otwarte drzwi. - Zaproś, proszę, do mnie Pawia, muszę z nim porozmawiać. Za piętnaście minut.

- Dobrze, panie premierze.

Paweł Jedliński był rzecznikiem prasowym rządu i bliskim współpracownikiem premiera jeszcze z czasów poselskich. Sumienny, pracowity i bystry, nie należał co prawda do przyjaciół Antoniego, ale wynikało to bardziej z różnicy wieku niż

charakterów. Chłopak miał jednak szansę na karierę, więc należało go odpowiednio przeszkolić, żeby nie dał się zjeść dziennikarzom, którzy na pewno już pędzą pod kancelarię.

Duża cafe latte na chudym mleku, bez cukru, przypomniała Elżbiecie Górskiej o dwóch sprawach: po pierwsze, czas wrócić do diety, po drugie, przez dwudzieścia lat pracy nic w jej życiu się w zasadzie nie zmieniło. No, może nie do końca: wyszła za mąż, urodziła dwóch wspaniałych chłopców (o których myśli w ten sposób tylko wtedy, gdy ich nie słytać i nie widać), skończyła studia podyplomowe. Wciąż jednak miała nadwagę, z którą - trzeba to przyznać wprost - walczyła równie skutecznie jak PZPR z alkoholizmem: krok do przodu, dwa kroki w tył. Chwała Bogu, pomyślała, że nie tyje aż w takim tempie, w jakim rosła wówczas liczba met z wódką, bo miałabym już przyznaną grupę inwalidzką i rentę państwową... Choć z drugiej strony tych kilka dodatkowych groszy od państwa...? No właśnie, państwo. Pracowała w instytucji państwowej na stanowisku eksperta za marne trzy i pół tysiąca złotych miesięcznie na rękę, bez szansy na awans, podwyżkę czy samochód służbowy. Pensja męża, który pracował w banku, była o tysiąc złotych wyższa, ale odbywało się to kosztem wielu nadgodzin (za które nikt mu nie dopłacał), co też oznaczało, że prowadzenie całego domu było na jej głowie. A więc w kółko to samo: robienie zakupów, wnoszenie ich na trzecie piętro, rozpakowywanie, gotowanie, potem zmywanie, odrabianie lekcji z chłopcami, sprzątanie, pranie. Najgorsze były weekendy, bo wtedy nie mąda ucieczki od tego kieratu, tylko zasuwała całą sobotę i niedzielę jako darmowa pomoc domowa.

Matko, o czym ja myślę, skarciła się. Chyba jestem zmęczona tym wszystkim. Zerknęła na kalendarz pełen zakreślonych kółek z notatkami. Wywiadówka, zapłacić za kolonie, kupić nowe garnitury dla chłopców. A może tylko spodnie w kant? Za rok i tak będą za krótkie. Co prawda nie miała mieszkania na kredyt, ale i tak pod koniec miesiąca portfel świecił pustką. Lepiej nie szaleć z wydatkami.

Tylko jak poczuć, że się żyje, do cholery!

Siedziała w swoim ciemnym pokoiku, dzielonym z dwiema innymi urzędniczkami w podobnym wieku, które zawsze odbijały kartę przy wyjściu równo po ośmiu godzinach pracy. Mimo że był poniedziałek, kobiety siedziały zatopione w papierach lub tak przywykły do nie- wciskania nosa w nie swoje sprawy, żeby przypadkiem nie zwalono im więcej roboty, że nawet nie zauważyły - lub nie skomentowały - że ona siedzi beczynn timer od dobrych trzydziestu minut i siorbie gorzką kawę.

Chwilę temu skończyła się pewnie konferencja na GPW. Nawet jej nie obejrzała. Może potem przeczyta coś w internecie. Ostatni tydzień pracy z Zosią i Piotrem przewrócił jej uporządkowane życie do góry nogami. Odżyły w niej dawno zapomniane emocje, z którymi zaczynała pracę jeszcze w KPWiG: chęć usprawnienia systemu,

naprawy zbyt skomplikowanych przepisów, pomocy ludziom... Znow poczuła krew pulsującą w żyłach, a z nią zapal i energie, dawno uspione przez biurokratyczna, urzednicza machine. I choc w pelni zdawala sobie sprawe, ze nie byla na pierwszej linii frontu, to jednak nalezala do TEGO zespolu. Zespolu, ktory Mial Rozwiazac Zagadke. Wreszcie zrobic COS konkretnego. Szybkie ladowanie na planecie Ziemia nastapilo, gdy wrócila do swojego pokoju i zobaczyła stos dokumentów, jaki nagromadzil się podczas jej „oddelegowania do pracy przy projekcie” - jak to okreslila jej szefowa. Bo to byl tylko projekt, prawda? Chodzilas, dziecinko, na szkolenia, wiesz, ze projekty maja to do siebie, iz sa nadprogramowa praca z wyraźnym poczatkiem i koncem, a codzienna robota i tak na ciebie poczeka. Probowała pocieszac się, ze tyle dobrego, iz w ogole wziala w tym udzial. A teraz trzeba wrócic do siebie i zajac się rzeczami, ktore nie moga czekac. Czy aby na pewno? Spojrzala na segregatory. Dla wiecezosci tych spraw nie mialo znaczenia, czy zajmie się nimi dzis, czy za tydzien. Ustawodawca, okreslajac tryb i czas trwania procedur urzedniczych, albo zrobil ludziom paskudny zart, albo wierzył w niedobór zatrudnienia w administracji państwowej.

Upila łyk kawy i skrzywila się. Nie bedzie się tak katowac. W zyciu trzeba miec jakies przyjemnosci. Wziala kubek i powoli poczlapala do kuchni. Tam wygrzebala z szuflady trzy saszetki brazowego cukru (Bóg zaplac dobrym duszom, ktore je przynosza z Coffee Heaven!), wysypala do kubka i zamieszala. Pycha. Od razu lepiej.

A to co? Jej wzrok przykuła wyrwana z gazety, chyba z „Parkietu”, strona, przypieta niezdarnie na jednej pinezce do tablicy ogloszen. W jednej czwartej kolumny bylo zamieszczone ogloszenie o tresci „Pozew zbiorowy przeciwko Gieldzie Papierów Wartościowych w Warszawie i Komisji Nadzoru Finansowego. Wszystkich zainteresowanych inwestorów, którzy stracili pieniadze w związku z manipulacją, jaka miala miejsce na GPW w dniu tym i tym, zaprasza się do wzięcia udzialu w pozwie zbiorowym...”.

- Co, niezle zamieszanie się szykuje? - uslyszala za plecami.

Odwrócila głowę. W drzwiach stala Kamila Wysocka, jej szefowa. Byla to kobieta o aparycji budzacej strach wśród podwładnych, tak kobiet, jak mężczyzn. I nie chodzilo o to, ze nosila się jak Anna Wintour, legendarna redaktor naczelna amerykanskiego Vogue’a. Bylo w niej cos odpychajacego i niepokojacego. Typ „nie zadzieraj, bo gryzę”. Elzbieta zmusila się, zeby zamiast patrzec na jej zlosliwy usmieszek i waska talie, zacząc myslec.

- Maja juz pewnie minimum, skoro się ogłaszaja... - zaczęła niepewnie, ale kobieta tylko delikatnie skinęła głową. Oho, wiadomo juz, kto zastawia pułapkę. - Podali adres strony internetowej, więc pewnie ludzie walą do nich drzwiami i oknami. Ale prawdziwy dym dopiero przed nami.

Składajacy pozew zbiorowy, ktorych musialo być minimum dziesięciu, byli zobowiązani do opublikowania na koszt własny informacji w ogólnopolskiej gazecie na

temat pozwu, w tym o możliwości przystąpienia do ich grupy, maksymalnie przez trzy miesiące. Okres ten można było skrócić. A ponieważ inwestorzy potracili niejednokrotnie wszystkie oszczędności, a wielu tonęło w długach, Górska była przekonana, że lada chwila zaleją ich pierwsze papiery.

Wysocka zmrużyła oczy.

- Pracowałaś kiedyś nad pozwami zbiorowymi?

Dlaczego na wysokich stołkach sadza się takich idiotów! Roszczenia w trybie pozwów zbiorowych funkcjonują w Polsce raptem od połowy 2010 roku, kiedy weszła w życie ustawa o dochodzeniu roszczeń w postępowaniu zbiorowym z dnia 17 grudnia 2009 roku. Jak dotąd nikt jeszcze KNF nie pozwał.

- Nie, i chyba nie chciałabym być pierwszą, która oberwie po nosie ze strony inwestorów. - Uśmiechnęła się lekko i wzięła kawę.

Kobieta pokiwała głową.

- Uważaj na cukier - powiedziała, po czym wyszła z kuchni.

Ela oparła głowę o szafkę i zamknęła oczy. Powinna się wściekać, że taka suka z jej szefowej. A tymczasem chciało się jej śmiać. Właśnie dlatego, że tamta jest suką, dostanie te pozwy. I zacznie robić coś więcej, niż odwalać tylko nudną robotę. Tak, miała się z czego cieszyć. Zadowolona dopiła kawę i ruszyła w kierunku pokoju. Teraz może być już tylko lepiej.

- Herr Ulrik, nie sędzę, żeby to było rozsądne posunięcie. - Głos Roberta Karningtona, prezesa NYSE Eu-ronext, był spokojny, ale zdradzał niepokój.

- Drogi Robercie, w pełni popieram twoje obawy. - Von Schwartzchke odetchnął głęboko. - Choć niezupełnie rozumiem, dlaczego kierujesz je do mnie.

- Sugeruję jedynie, że twoje wypowiedzi w mediach mogą mieć negatywne skutki dla całego regionu.

- Ale to właśnie o interes regionu chodzi! - Nie była to tak do końca prawda, ale Ulrik zdawał sobie dobrze sprawę, że Austria nie jest samotną wyspą i nie może sprawnie funkcjonować w całkowitym oderwaniu od świata i sąsiadów. - A co, inwestorzy pękają z radości, że Warszawa znów się zamknęła na spadkach? Wątpię.

- Polska jest naszym partnerem, Ulriku. - Czyżby ostrzeżenie?

- Zdaję sobie z tego w pełni sprawę i dlatego też robię co w mojej mocy, żeby inwestorzy się nie wycofali. Ale nie możemy za nich decydować, gdzie będą inwestować, prawda?

- Z mojej strony możesz być pewien, że Stany Zjednoczone nigdy nie będą się biernie przyglądały jakimkolwiek działaniom zakłócającym spokój, także gospodarczy, w Europie. - Ostatnie słowa mocno zaakcentował. - Nie zostawiamy sojuszników w potrzebie.

- Rozumiem, ale zapewniam cię, Bob, nie będzie takiej potrzeby.
- Ufam twoim słowom, Ulriku. Dobranoc.
- Miłego dnia, Bob.

Die Schlampe. Niech spierdala za ten swój ocean. Ulrik von Schwartzchke rzucił słuchawką i zaczął krążyć po pokoju. Jak on, pierdolony Amerykaniec z jakichś Karningtonów z Teksasu, co to jeszcze sto lat temu utrzymywali się z rzucania lassem, śmiał jemu – potomkowi wielkiego rodu von Schwartzchke - grozić?! I to tylko dlatego, że ktoś wymyślił! demokrację i karierę od pucy- buta do milionera, gdzie nie liczyła się ani rodzina, ani majątek. I ten oto prostak stał na czele NYSE Euronext. Mógł być sobie nawet papieżem albo królową angielską! Najbardziej jednak irytował von Schwartzchkego fakt, że groźby były realne, a NYSE Euronext była zbyt silną instytucją, żeby ją lekceważyć. Wiedeń już został zmarginalizowany do roli giełdy dla spółek spadochronowych. *Nie chcą cię wpuścić na NYSE? Ani do Londynu? Nawet Warszawa cię nie chce? Przyjedź do stolicy Austrii, u nas dostaniesz wszystko podane na tacy, z obsługą prawno-podatkową za półdarmo włącznie.*

Trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy. Wiedeń był na krawędzi i tylko w jego rękach pozostawała decyzja, czy Wiener Boerse będzie giełdowym dyskontem, czy finansowym Harrodsem. Co prawda alians z Pragą, Budapesztem i Ljubljaną miał nieco wzmocnić jego notowania, ale raptem we czwórkę osiągnęli tyle, co GPW sama. *Hure.*

Może zadzwoni do Tonda? Czas przyśpieszyć działania. Tak, koniecznie. Już sięgał po słuchawkę, gdy na aparacie zaświeciła się lampka.

- Panie prezesie, dzwoni prezes Clark z Londynu...

- Połącz, proszę. - Von Schwartzchke zaczął gorączkowo myśleć. Jeszcze tylko brakowało mu LSE na głowie. - Halo? *Guten Morgen, Herr Clark.* W czym mogę ci pomóc?

- *Good morning.* Raczej w czym ja mogę pomóc tobie?

Po piętnastu minutach rozmowy prezesa dwóch europejskich giełd odwiesili słuchawki. Choć dzieliło ich blisko tysiąc pięćset kilometrów, na twarzach obu mężczyzn zagościł uśmiech. I choć powody zadowolenia były zgoła odmienne, podobnie jak cele, które im przyświecały, to ich alians przypieczętowało posiadanie wspólnego wroga.

Śniadanie przypominało te, jakie podawano w dobrych restauracjach hotelowych: było obfite i różnorodne. Szklaną ławę równo zastawiono półmiskami z wędlinami, rybami, sałatkami i dipami. Obok stał podłużny stół ciągnący się aż do okna. Na jego środku umieszczono dwa zgrabne, domowe parowary, w sam raz na dwie, trzy osoby: jeden z krojoną kielbaską podsmażaną z cebulką i majerankiem, drugi z naleśnikami z wiejskim serem. Po obu stronach parowarów znajdowały się kosze z francuskimi

rogalikami, bagietkami, bułkami i razowym chlebem. Na końcu stołu wylaniało się coś na kształt piętrowego, wijącego się świecznika, w którego miseczkach, zamiast lampionów, tkwiło masło, miody i dżemy, obstawione misami z dwoma rodzajami pełnoziarnistych chrupek. Z obu stron stały miseczki z bakaliami, plastikowe kubki z jogurtami o kilku smakach oraz dzbanki z herbatą i gorącym mlekiem. Kawa najlepiej smakuje z ekspresu, później wyjaśnił gospodarz.

Tym wszystkim najadłaby się spora rodzina, pomyślał Piotr, sięgając po pieczywo. Czuł ssanie w żołądku, które, jak się okazało, było w pełni uzasadnione. Spał dwa dni! Dwa dni tylko na kroplówkach i jakichś dziwnych lekach. Dogłądany przez znajomego lekarza, doszedł szybko do siebie. Ponoć to tylko wycieńczenie, stres, no i efekt uderzenia w głowę. Co prawda brzuch miał idealnie płaski, z widocznym „kaloryferkiem”, ale na samych elektrolitach długo by nie pociągnął.

Nawet z obolałą głową czuł wyśmienity zapach parzonej kawy oraz słodko-maślany posmak croissantów. Przełamał jeden z nich i powoli żuł, wpatrując się w gospodarza. To na jego prośbę usiadł do śniadania. Rozmowa? Jeszcze będą mieli na nią czas. Człowiek kiepsko myśli z pustym żołądkiem - tego też dowiedział się od gospodarza.

- Więc gdzie jestem? - spytał Piotr, gdy zjadł już trochę naleśników i sałatki owocowej.

- W moim domu - odparł spokojnie mężczyzna, nie przerywając jedzenia kielbaski z cebulką. - A właściwie to - wytarł serwetką usta - w jednym z moich domów. W Warszawie, całkiem blisko metra. Dwie stacje od twojego mieszkania. Dojedziesz w dziesięć minut. - Wrócił do jedzenia.

Piotr dawno nie spotkał się z taką szczerością. I bezczelnością. Gdy schodzi! na dół, piątkowe wydarzenia powróciły do niego z siłą huraganu. Nie tak wyobrażał sobie wyjaśnienie zagadki manipulacji na GPW. A został porwany. I pobity. Mógł zgłosić to na policję, mógł oskarżyć ich, mógł... tylko czy tego chciał? Mężczyzna, obcy mężczyzna, który siedział naprzeciw niego, był kompletną zagadką. Piotr go nie znał, a darzył pewnego rodzaju... szacunkiem? Poważaniem. Po siwych włosach i kurzych łapkach wokół oczu dało się poznać, że miał ponad pięćdziesiątkę. Ale na pierwszy rzut oka wyglądał młodziej. Ot, chociażby energiczne ruchy, zapewne efekt intensywnych ćwiczeń, o których świadczyły także przebijające się przez T-shirt obszerne bicepsy i widoczne spod szortów szerokie mięśnie czworogłowe ud.

- Dlaczego tu jestem?

- Wyglądasz na inteligentnego faceta. - Mężczyzna spojrzał na niego spode łba. - Przecież sam rozpytywałeś o TO.

Piotr miał ochotę wstać i krzyknąć, ale się powstrzymał. Czuł się obrażony, ale może i słusznie? Wrodzona duma kazała mu wyjść, a hodowany od najmłodszych lat upór zostać i karnie nadstawić uszu.

- Nie musi pan ze mnie pokpiwać. Niewiedza nie jest powodem do wstydu. Jest nią

głupota. - Choć powiedział to spokojnie, ręce mu się trzęsły i czuł wyraźną chęć odszukania barku z czymś, co by go uspokoiło. Może pomogłoby i na ból głowy?

Mężczyzna popatrzył na niego, mrużąc oczy, wziął kolejną kajzerkę, przekroił i posmarował masłem.

- Ponieważ zadawałeś pytania, na które chciałeś znać odpowiedzi.

- No więc?

- No więc mogę ci ich udzielić, ale pod jednym warunkiem. - Mężczyzna oparł sztucę o talerz i popatrzył na Piotra uważnie. - Po pierwsze, wysłuchasz do końca tego, co mam do powiedzenia; po drugie, wszystko, co usłyszysz, zachowasz dla siebie. - Wrócił do smarowania kajzerki.

- Tylko tyle?

- Albo aż tyle. Wiesz, kiedyś chciałem nauczyć swoje dziecko dobrych manier. Nie tylko przy stole, ale w ogóle. Efekt był taki, że w kółko marudziła, krzyczała i uważała mnie za nudziarza. Co mogłem zrobić? - Podniósł nóż, którym rozkroił świeżego pomidora. - Bez zaufania nie masz po co pchać się w dorosłe życie.

- Ale czy to nie jest tak, że kto ma miękkie serce...

- ...ten ma twardy tyłek. Oczywiście, że tak. - Mężczyzna uśmiechnął się. - Ale, jak powiedział Steve Jobs, chyba nie chcesz być najbogatszym facetem na cmentarzu? Człowiek musi żyć dla kogoś.

- Więc... więc powie mi pan wszystko, ot tak?

- Ot tak.

- A jeśli nie zgodzę się na dochowanie tajemnicy?

- To przynajmniej dokończ śniadanie. Jurij zawiezie cię do domu.

W tym momencie Piotr kątem oka dostrzegł jakiś ruch w korytarzu i zobaczył człowieka, który tak okrutnie przyłożył mu w kark. Mimochodem złapał się za wciąż bolącą szyję.

- Przepraszam za to. - Jurij Tempienko uśmiechnął się dobrodusznie, dostrzegłszy Piotra w fotelu. - Nie chciałem mocno...

- O Jurij, jesteś. - Mężczyzna obrócił się w fotelu. - Nasz gość właśnie decyduje się, po czyjej stoi stronie.

- Oby po naszej - rzekł Tempienko. Jego słowom towarzyszył dziwny ton groźby, który nie uszedł uwagi Piotra.

- Przypuśćmy... przypuśćmy, że się zgadzam... - powiedział powoli Piotr.

- Jurij, zgaś silnik! I dołącz do nas za chwilę! - krzyknął mężczyzna.

- .. .ale też mam warunek - zaznaczył Piotr.

- Słucham.

- Wy wiecie o mnie prawie wszystko. Ja też chciałbym wiedzieć, z kim mam do czynienia.

- Nazywam się Krzysztof Ferdynand Kaweckie. Byłem skarbnikiem FOZZ.

Piotr nadstawił uszu.

- Przykro mi, ale zdaje się, że historia pominęła pana udział w wydarzeniach związanych z FOZZ. - Piotr czuł się jeszcze bardziej zmieszany. Dźwięczące mu jeszcze w uszach słowa mężczyzny brzmiały jak deklaracja niepodległości jakiegoś kraju. O którym on, niczym ignorant, nie miał zielonego pojęcia.

- Nie uważasz, że to dobrze?

- Słucham?

- Przecież FOZZ to największy przekręt III RP. - Mężczyzna uśmiechnął się chytrze.

- Pan... Pan mnie wkręca?

- Oczywiście. I mów mi po imieniu. Taki stary to nie jestem.

- Więc czym był FOZZ? - spytał po chwili Piotr.

Krzysztof wyprostował się w fotelu.

- FOZZ był w istocie tworem *stricte* teoretycznym - zaczął powoli. - To jakby rozpocząć produkcję bomb atomowych bez udziału inżynierów i fizyków. Taka kolejna faza eksperymentu, który trwał w Polsce od zakończenia wojny do 1989 roku.

- I chcesz powiedzieć, że... - Piotr aż otworzył szerzej oczy - te pieniądze... Że FOZZ... To wyprowadzone fundusze z PRL?

- Nie. Chcę powiedzieć, że pieniądze z FOZZ miały zasilić elitę PRL już po upadku socjalizmu. Właściwie to pomysłów na ich zagospodarowanie było wiele. FOZZ nie dostał od banku rozliczeniowych szczegółowych informacji o wierzycielach czy zobowiązaniach, więc cała akcja z wykupieniem długu zaczynała przypominać farsę. Część osób postanowiła wykorzystać fundusz jako zasłonę dymną... Ja im to uniemożliwiłem. Wyprowadziłem pieniądze... nie, „wyprowadziłem” to złe słowo. Schowałem je. Pozwoliłem im rosnąć i mnożyć się.

Siedzieli nadal we dwóch. Jurij, jak stwierdził Krzysztof, gdzieś wsiąkł, co było najwyraźniej zupełnie normalne. Godziny mijały nie wiadomo kiedy, przerywane tylko krótkimi telefonami do gospodarza, który wtedy dyskretnie zniknął w gabinecie. „Przepraszam, interesy”.

- Co byś zrobił, gdybyś miał do dyspozycji kilka miliardów państwowej kasy? - spytał Krzysztof.

- Nie wiem. Wyjechał na Bahamy?

- Państwowej.

- Okej, okej. Zainwestowałbym je pewnie.

- W co? - dopytywał się Krzysztof.

- Nie wiem. W papiery wartościowe?

- No, ale w jakim celu? To kasa państwowa.

- No... żeby postawić infrastrukturę drogową na nogi, zbudować chodniki, dofinansować służbę zdrowia i szpitale, edukację, nowoczesne firmy IT...

- Sam? Ale przecież to państwo, a nie firma.

- Do czego zmierzasz?! Przecież o to mnie pytałeś! - Piotr lekko się zirytował.

- Spokojnie. - Krzysztof uśmiechnął się szeroko. - Sam widzisz, że rządzenie odbywa się według pewnych zasad. Gdybyś dał temu czy innemu rządowi na tym świecie taki budżet, w ciągu kilku miesięcy zostałby on przejechany. ZMARNOWANY. Ludzie pobiliby się, walcząc choćby o kawałek tego kapitału. A rząd nic by nie zdziałał. I nie byłaby to jego wina, ale systemu.

- Co więc zamierzasz?

- To, co powiedziałeś. Inwestować. Oczywiście z pomocą innych.

- A jaka miałyby być moja rola?

Krzysztof popatrzył na niego przez chwilę.

- Mam te pieniądze. Obaj mamy pomysły. Potrzebny jest ktoś, kto zna na tyle realia gospodarcze i polityczne Polski, że nakreśli i wdroży realny plan wprowadzenia tych funduszy do gospodarki.

- To znaczy?

- Plan wydatkowania kolejnych sum. Terminarz inwestycji. Ale przede wszystkim sposób rozliczania się z państwem. I zarządzanie całym tym budżetem. Mnie do tego brakuje już serca. - Uśmiechnął się.

Piotr zamyślił się. Sprawa była interesująca, bardzo interesująca, na tyle go zafrapowała, że prawie stracił z oczu najważniejszy cel.

- A manipulacje na GPW? Jesteś w to zamieszany?

Krzysztof westchnął.

- I tak, i nie. Chciałem... początkowo miałem pomysł, żeby zainwestować w blue chipy na GPW. Wiesz, solidne doładowanie dla innowacyjnych firm i tak dalej. Gdy okazało się, że większość kont bankowych tych spółek jest zlokalizowana za granicą, wycofałem się z inwestycji. Nie chcę robić z Polski kanału przesyłowego dla tych pieniędzy, ale ostatecznego beneficjenta. Problem w tym, że ktoś zajął moje miejsce...

- Tak po prostu? Kto?

- Tego nie wiem. Wiesz, w tym kraju, a tym bardziej na tym świecie, jest dużo osób, które mają możliwość i fundusze, żeby załamać czyjś rynek ot tak, dla rozrywki. Ale nie myśl, że ty jeden prowadzisz swoje prywatne śledztwo w tej sprawie. Gdy raje podatkowe stracą na znaczeniu, szybko znajdziemy winowajcę.

- Więc to ty...

- Nie. - Zmierzy! Piotra wzrokiem. - Jedynie lob- bowałem za tym. To dobra ustawa. - Zawiesił na chwilę głos. - Za parę dni mamy spotkanie z premierem. Wypada chyba, żebyś miał nowy garnitur. A tymczasem odpocznij. Lekarz zaraz tu zajrzy.

Piotr siedział i wpatrywał się gdzieś w dal.

- A to przeszukanie mojego mieszkania - zaczął, podnosząc głowę. - To też...?

- Piotrze. - Krzysztof uśmiechnął się pod nosem. - Tylko głupi nie sprawdziliby dokładnie człowieka, z którym ma pracować. Trochę nam przeszkodziłeś i stąd to

zamieszanie... - Wzruszył ramionami, starając się usprawiedliwić. - Ale nie martw się. Jurij zdążył wszystko posprzątać, zanim wrócił twój współlokator.

Świetnie, pomyślał Piotr. Teraz nie mam żadnego dowodu na to, że to wszystko dzieje się naprawdę.

ROZDZIAŁ VII

Negocjacje

Na ulicach panował zgiełk. Normalne o tej porze: ludzie pędzili do pracy, a biorąc pod uwagę okolice - w większości biurowców swoje siedziby miały urzędy, przedsiębiorstwa i kancelarie - pośpiech był ze wszech miar wskazany. Jednakże w tym przelewającym się przez ulice tłumie tkwiła jakaś złowroga siła. Pogoda była piękna, zresztą cały tydzień miał być słoneczny, około dwudziestu paru stopni. Nawet weekend - pozostało do niego jeszcze kilka dni - zapowiadał się udany. Warszawka pewnie chmarą ruszy nad Zalew Zegrzyński, wystawiać blade ciała na pierwsze mocniejsze promienie słońca. Nawet korki na Modlińskiej i Żołnierskiej nie będą tak irytujące jak w dni powszednie.

A i za chwilę, trochę ponad miesiąc, zrobi się luźniej na ulicach. Rodzice dostaną dwumiesięczną dyspensę od codziennego dowożenia swoich pociech do szkół, nauczyciele i pedagodzy ruszą na kolonie sportowe i obozy językowe, a studenci wyjadą podbijać Europę w ramach *work & travel* lub *au pair*.

Jednak zdawało się, że ani perspektywa błęgiego odpoczynku, ani mniejszych korków nie działały łagodząco na ciężką atmosferę panującą wśród społeczeństwa.

Zewsząd dochodziły coraz gorsze wieści. Chociaż spadający kurs złotówki i spadki na giełdzie (co prawda już niewielkie, ale kolor czerwony na kolejnej sesji pogłębia! i tak już duży psychiczny dołek inwestorów) wciąż były dla wielu osób wartościami *stricte* teoretycznymi, to jednak interesowały one blisko półtora miliona posiadaczy rachunków inwestycyjnych. A ile milionów osób pracuje w największych polskich przedsiębiorstwach dotkniętych przez obecny kryzys? Większość spółek notowanych na Rynku Głównym GPW docelowo będzie musiała obniżyć prognozy wyników finansowych. Ponieważ akcje spółek były mniej warte, inwestorzy wyprzedawali je, upychając swoje pieniądze w skarpetach. Nawet nie na bankowych lokatach czy w obligacjach skarbowych. W skarpetach! A dlaczego? Ano dlatego, że banki też są notowane na giełdach i ich akcje również tracą. Może zbankrutują? Co wtedy z pieniędzmi na rachunkach? Z kolei państwo jest mało wiarygodne, bo nie wie, co się dzieje. Koło się więc zamknęło. Wzrośnie inflacja. Spółki będą zaciągały mniej kredytów. Już teraz część przedsiębiorstw chce wstrzymać rozpoczęte inwestycje, a inni redukują zatrudnienie. Firmy nienotowane na giełdzie nie są w lepszej sytuacji. Co dzień prasa donosi o cofaniu zamówień na towary i surowce. W szczególnie zlej

sytuacji są firmy z Dolnego Śląska, które wyrosły na fali dotacji z Unii Europejskiej, mając w zanadrzu zaklepane kontrakty na podwykonawstwo lub dostawy surowców przy budowach prywatnych odcinków autostrad, mostów oraz wieżowców. Prace utknęły w miejscu, bo główni wykonawcy cierpią na brak płynności finansowej. A ponieważ tamci muszą rozliczyć się z funduszy, na gwałt szukają kupców poza Polską.

Tragedia. Wszyscy uciekają z kraju, który jeszcze kilka lat temu był zieloną wyspą.

Nic dziwnego, że ludzie unikają kontaktów i zaszywają się w swoich domach, oglądając wieczorne wydania „Faktów” oraz programy TVN CNBC i TV Biznes, jak gdyby były to thrillery sensacyjne. Przed nowym rodzajem wojny, w której bronią jest niepewność, a orężem informacja, klękają najlepsi stratedzy i dowódcy. I choć brakuje w niej rozlewu krwi i zniszczeń budynków, spustoszenie, jakie powoduje, jest porównywalne z wybuchem bomby atomowej - zagłada to tylko kwestia czasu i odporności. A świadomość, że istnieje potencjalne ryzyko destrukcji, wywołuje tylko kolejne próby odbudowania choć minimalnego poczucia bezpieczeństwa. Kluczem jest więc nie tyle likwidacja samej możliwości unicestwienia, ile dysponowanie równie potężną bronią.

Waldemar Dostański odszedł od okna i usiadł przy swoim biurku. Kolejny dzień pracy, a problemów wciąż przybywało. Bardzo dobrze rozumiał zmartwienia swoich rodaków - sam miał podobne. Nie bez kozery mówi się, że giełda jest barometrem gospodarki. Agencje już obniżyły ratingi Polski do BBB, a zapowiada się i BB. Zagraniczni inwestorzy, sprowadzeni w ostatnich latach głównie dzięki wysiłkom Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych, wycofują się - mówią to otwarcie - i szukają lokalizacji bardziej na Wschód. Po co im Polska, która stała się nagle bardzo droga, skoro mają blisko taniutką Ukrainę lub Białoruś? A sytuacja gospodarcza jest prawie ta sama.

Można to było przewidzieć. Podobnie jak wybuch paniki. Wszędzie wrzało. Nawet „Rzeczpospolita”, zwykle wypowiadająca się ostrożnie na tematy polityczne i gospodarcze, zaczęła przyjmować postawę roszczeniową. Przeprowadziła nawet sondaż, w którym ponad połowa respondentów opowiedziała się za koniecznością rozwiązania Sejmu i ogłoszenia nowych wyborów. Dobrze, że sondaże mają słabą i małą próbę. A swoją drogą głupcy z tych Polaków. Nie wiedzą, ile budżet państwa kosztują wybory?! Ponad sto dwadzieścia milionów złotych! A teraz liczy się każda złotówka. No, ale gdyby wszyscy byli mądrzy, to każdy z nich mógłby zasiąść w fotelu przewodniczącego KNF.

Tymczasem należało zwyczajnie popracować. Otworzył swój laptop, którego ekran momentalnie rozbłysnął jasnym światłem. Wciąż miał problem z przyzwyczajeniem się do klawiatury maców, która co prawda jest oparta na układzie QWERTY, ale dodatkowy klawisz funkcyjny między altem a spacją zmienia nieco sposób pisania. Nigdy jednak nie pisał, nie patrząc na klawiaturę, więc stosunkowo szybko polubił

nowy sprzęt. Otworzył przeglądarkę i wpisał adres witryny. W wątku poświęconym pozwowi zbiorowemu przeciwko KNF wrzało. W tym momencie aktywnych było kilkuset uczestników forum, a przecież to środek dnia. Wieczorem, gdy wszyscy wrócą z pracy, liczba ta może dojść do kilku tysięcy. Czy można to jakoś sprawdzić? Zośka pewnie by wiedziała, jak i gdzie... No, ale ona dała nogę. Zgodził się na ten urlop, bo widział, że jest wykończona. A i Joanna nalegała na jej wyjazd. Zofia była jednak dobrym pracownikiem i brakowało mu jej. Zwłaszcza iż czuł, że problem tkwi gdzie indziej i jest znacznie poważniejszy. Zabrał się do pracy.

Pałac Namiestnikowski, zwany także Pałacem Prezydenckim, zajmuje szczególnie miejsce w historii Polski. W 1955 roku podpisano w nim Układ Warszawski, w 1970 roku układ o normalizacji stosunków PRL z NRD. W 1989 roku toczyły się w nim obrady Okrągłego Stołu. Po 1990 roku, po remoncie, pałac stał się oficjalną siedzibą prezydenta RP. Jako pierwszy zamieszkał w nim w 1994 roku prezydent Lech Wałęsa, który miał do dyspozycji swojej i rodziny drugie piętro. Trzy lata później prezydent Aleksander Kwaśniewski podpisał w pałacu Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej. W 1999 roku ten sam prezydent ratyfikował akt o przystąpieniu Polski do NATO, a w 2003 roku do Unii Europejskiej.

Stojący między hotelem Bristol a kościołem pokarmelickim pałac został wzniesiony w XVII wieku przez hetmana wielkiego koronnego Stanisława Koniecpolskiego i jego syna Aleksandra. Ten barokowy pałac w stylu genueńskim jako pierwszy w Warszawie miał ogród typu włoskiego, schodzący wówczas aż do Wisły. W 1778 roku w pałacu odbyła się premiera pierwszej polskiej opery *Nędzia nieszczęśników* Macieja Kamieńskiego. Cztery dekady później kupił go rząd Królestwa Polskiego z przeznaczeniem na siedzibę namiestników, z których urzędował tu tylko jeden, Józef Zajączek. Podczas powstania listopadowego w pałacu mieszkał generał Józef Chłopicki, rezydował w nim też Rząd Narodowy. W 1879 roku w Sali Kolumnowej wystawiono po raz pierwszy obraz Jana Matejki *Bitwa pod Grunwaldem*. Podczas drugiej wojny światowej wnętrza pałacu stanowiły ośrodek społeczno-kulturalny dla Niemców, w tym luksusowy hotel i kasyno. Po odbudowaniu za czasów PRL pałac służył celom reprezentacyjnym.

Na dziedziniec wjeżdżała właśnie limuzyna, gdy w głównych drzwiach wejściowych ukazała się twarz szefa Kancelarii Prezydenta. Z powodu nagłego wiosennego deszczu oficjalne powitanie zaplanowano w Sieni Głównej, co miało dobre strony, choć dziennikarze koczujący od kilku godzin na Krakowskim Przedmieściu byli innego zdania.

Nad głową wysiadającego z samochodu niemieckiego kanclerza Rudolfa Clausena rozpostarł się szeroki czarny parasol i po chwili gość zniknął wewnątrz pałacu. Lakierowana posadzka wydawała się niepokojąco mroczna, na szybach tworzyły się smugi od rozpryskujących się kropli deszczu. Skromne umeblowanie sieni w pełni

ukazywało proste piękno obecnych tam eksponatów. Pierwszy w oczy rzucał się narożny marmurowy kominek, usytuowany po lewej stronie, pomiędzy krótszą ścianą a tą dłuższą naprzeciwko wejścia. Po przeciwnej stronie stała barokowa szafa w stylu gdańskim, na ścianie wisiał obraz Januarego Suchodolskiego.

W sieni na kanclerza czekał już prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Jerzy Mościcki. Pomimo swojego niskiego wzrostu oraz lekkiej nadwagi poruszał się szybko i zwinnie. Gdy drzwi się uchyliły, drgnął i powoli wykonał dwa kroki do przodu.

- Kanclerzu Clausen, witam w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. - Wyciągnął rękę do gościa.

- Panie prezydencie, jestem zaszczycony - odrzekł kanclerz Niemiec z uśmiechem, oddając jednocześnie mocny uścisk dłoni. - Dziękuję za zaproszenie.

- Tędy proszę.

Z sieni odchodzi czworo drzwi: na lewo do Sali Hetmańskiej, w której prezydent podpisywał najważniejsze dokumenty oraz pozował do oficjalnych zdjęć. Na prawo znajdowały się drzwi do Sali Rycerskiej, służącej rozmowom plenarnym prowadzonym przez delegacje państw. Drzwi naprzeciw wejścia prowadziły do trzech komnat: jadalni, w której wydawano uroczyste obiady, Sali Rokoko, przeznaczonej na spotkania małżonek głów państw, oraz Sali Białej, w której odbywały się oficjalne spotkania prezydenta z gośćmi. I właśnie do tej ostatniej udali się prezydent Polski i kanclerz Niemiec.

Sala Biała miała wystrój cukierkowy. Drapowane białe firany spływały z prostych beżowych lambrekinów, z których każdy był bogato haftowany. Poprzecinane białą sztukaterią beżowe ściany harmonijnie łączyły się z fikuśnymi gzymsami na suficie. Mdłe kolory przełamywały zdobiące dywan róże z licznymi fioletowo-różowymi zdobieniami. Dopełnieniem wystroju wnętrza były eleganckie meble, na które składały się wygodne fotele oraz krzesła i sofy ze złotymi ramami. Z jednego z nich podniósł się mężczyzna i podszedł do gospodarza oraz jego gościa.

- Panie kanclerzu. - Antoni Riks uśmiechnął się szeroko. - Miło mi pana znów widzieć.

- Panie premierze, cieszę się ze spotkania.

Usiedli. Obecność premiera, choć nieco niezgodna z protokołem, nie stanowiła dla nikogo zaskoczenia. Kanclerz został wcześniej o wszystkim poinformowany. Inicjatywa tego swoistego trójstronnego spotkania wyszła od prezydenta Mościckiego - wbrew obiegowej opinii o toczącej się wojnie pomiędzy obozem rządzącym a prezydenckim, liderzy obu grup potrafili współpracować mimo dzielących ich różnic. Sprawę waloryzacji rent i emerytur oraz pozostałe kwestie, w których mieli odmienne poglądy, postanowili przełożyć na bardziej dogodny czas, a teraz chcieli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi kilkanaście minut podczas tej wizyty -

zaczął premier.

- Herr Riks, zawsze z chęcią się z panem spotkam.

- Miło mi to słyszeć. Mam nadzieję, że podróż dobrze minęła?

- A i owszem, *danke*. - Kanclerz upił łyk gorącej kawy z porcelanowej filiżanki, którą chwilę wcześniej przyniosła obsługa. - W czym wam mogę pomóc?

- Chciałem omówić pewne kwestie...

- Giełdowe?

- Nie. Podnoszone podczas spotkania w Brukseli.

- Ach, raje podatkowe.

- Zgadza się - przytaknął Riks i zerknął na Mościckiego. Prezydent siedział na swoim miejscu i powoli popijał kawę. Wpatrzony był w widok za oknem, ale na pewno bacznie słuchał. Dobre i to. Przynajmniej nie starał się „pomagać”.

- Niemcy są neutralne wobec tej kwestii - odrzekł kanclerz. - Jeśli dla dobra większości nastąpi ograniczenie możliwości korzystania z tej formy hm... optymalizacji podatkowej, poprzemy to rozporządzenie.

- Miło mi słyszeć tę deklarację. - Riks w duchu odetchnął. Z poparciem kanclerza Niemiec przegłosowanie ich projektu było prawie pewne.

- Niemniej w chwili obecnej uważam, że nie ma szans na wprowadzanie istotnych zmian w tym zakresie - dodał Clausen.

- A czemuż to nie? - Cholera.

- Zbyt wiele zysków osiągają w ten sposób Wielka Brytania, Cypr, Wiochy i Hiszpania, aby wprowadzać jakiegokolwiek drastyczne rozwiązania.

Mościcki zerknął na Riksa, ale ten nawet nie drgnął.

- Premier Brown przychyła się do naszego projektu - zaczął powoli polski premier. - Cypr i Wiochy potrzebują dofinansowania Unii, więc nie będą mocno protestowały. A Hiszpania... cóż. - Wzruszył ramionami. - Po ostatnim kryzysie na rynku budowlanym z chęcią przygarnie firmy, które wyemigrowały na wyspy. Oraz ich pieniądze. To nie jest problem.

- Hm. - Clausen upił kolejny łyk kawy. - A nie chcecie pójść dalej z tym projektem?

- To znaczy?

- Zakładacie bardzo delikatną interwencję w przepisy dotyczące optymalizacji podatkowej. Żadnych zakazów, właściwie tylko...

- ...normalizacja - dokończył za niego Riks. - To mamy właśnie na celu. Nie chcemy nikogo siłą ściągać do kraju, a jedynie wyrównać szanse gry. Ci, którzy mają siedzibę w Niemczech i płacą tam podatki, chyba nie powinni mieć gorzej niż ich koledzy z Bahamów?

- Taaak - przytaknął Clausen bez przekonania. Riks miał niemiłe wrażenie, że trzyma w ręce lasso, z którego w przyszłości ktoś będzie chciał zrobić kajdanki.

Kolejny kwadrans zaplanowanej półgodzinnej rozmowy upłynął na tematach mniej

lub bardziej związanych z gospodarką i polityką. Do sprawy rajów podatkowych nie wracali. Riks nadal siedział z nimi i kilka razy się odezwał, jednak bardziej z grzeczności niż z potrzeby wyrażenia własnej opinii. W końcu przyszedł na to spotkanie w jednym celu. Już dawno stwierdził, że pomysł z rajami podatkowymi to jakaś dziwna historia. Jak można ludziom czegokolwiek zabraniać? Ale po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że możliwe jest skonstruowanie ustawy w taki sposób, aby zyskały na tym wszystkie gospodarki, w tym również i polska. Ot, choćby obniżając opodatkowanie dla spółek, które „powrócą z emigracji”, czy wprowadzając nową usługę na tynku bankowym, gwarantującą zabezpieczenie finansów prawie jak w szwajcarskim banku. Ponadto obniżce miałyby ulec opłaty adwokackie i notarialne. Obecnie jego sztabowcy majstrują też przy podatkach, tak aby różnicę pomiędzy PIT lub CIT w Polsce a zagranicą można było sobie odliczyć przy odpowiednim poziomie inwestycji czy zatrudnienia. Wszystko tak skonstruowano, żeby zyskały obie strony. Ustawa miała więc być otwartymi drzwiami dla państw członkowskich, a nie taranem.

Ale też zdawał sobie sprawę, że sytuacja w kraju robi się coraz mniej ciekawa. Minął tydzień od krachu na GPW i pilnie potrzebowali pieniędzy. I to wszyscy: rząd, prywatne firmy oraz pojedynczy ludzie. Nawet jeśli uda mu się sprawę z rajami szybko przepchnąć - w sensie prawnym - to i tak miną miesiące, zanim będą widoczne jakiegokolwiek efekty.

A państwo potrzebowało gotówki. I to już.

- To niedługo święto, panie premierze? - wyrwał go z zamyślenia głos kanclerza. Odwrócił się.

- Tak. Okrągłe urodziny. A kilka lat temu obiecałem żonie, że dam sobie wyprawić prawdziwy bal.

- No tak. - Clausen się uśmiechnął. - Nam, politykom, nie wypada kłamać, prawda?

[lojal]

Jak atmosfera?

[dyrektor5]

zależy o co pytasz

[lojal]

wpisaleś się na pozew?

[dyrektro5]

jak wszyscy

[lojal]
ja chyba nie

[dyrektor5]
jak to ty nie?!

[cwal8]
bo to szczur jest i tyle

[lojal]
wpisałem

[dyrektor5]
dobrze. A widziałeś ilu chętnych. Chyba kilkuset

[cwal8]
ponad 200. Czekam jeszcze parę dni

[longwatch]
a co z tym, co mówiłeś?

[cwal8]
spokojna głowa, wszystko gra

[longwatch]
gra?

[dyrektor 5] jesteś pewien?

[cwal8]
tak, do chol er y

[longwatch]
spokojnie, a widziałeś karasowicza? Spada znów, trzeba zbierać

[cwal8]
a może się przyłączy

[dyrektor 5]
żartujesz?

[cwał 8]
nie. Kto wie? Zapytam.

Karol Lewiński siedział przy biurku już od dziewięciu godzin i choć kark go bolał od schylania głowy, nie śpieszył się z wyjściem do domu. Nie żeby nie mógł opędzić się od klientów - to akurat by się przydało. I to bardzo. Jednak telefon milczał jak zaklęty, a on musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, aby utrzymać się na stoiku. Sześć dni mu jasno do zrozumienia, jaka jest opinia domu maklerskiego i banku na temat zatrudnienia w ich dziale. Co prawda nikt nie mógł przewidzieć zawalenia się giełdy, ale nie są instytucją charytatywną, żeby utrzymywać nierobów. Lewiński miał więc miesiąc na zdobycie „sponsorów wynagrodzenia”, jak mówiono o podstawowym portfelu klientów. I kolejny miesiąc na wypracowanie zysku. Dla biura, oczywiście. W tym znaczeniu korzyści dla klientów traktowano jako wartość dodaną, generowaną przy okazji świadczonych usług. Ileż prawdy było w stwierdzeniu, że makler to tylko sprzedawca z dyplomem! Nie po to jednak kończy! studia, żeby pracować jako handlowiec. Pewnie sprzedając jakieś komputery albo serki dla dzieci, zarabiałby więcej, ale gdzie prestiż? Poza tym wrodzona duma, charakterystyczna dla młodych ludzi z pokolenia „Y”, nie pozwalała mu odpuścić. Poprzysiął sobie zostać jednym z najlepszych maklerów na rynku i zamierza dopiąć swego.

Zdawał sobie także sprawę z czegoś jeszcze innego. Rynek nie działa! na jego korzyść. Nawet gdyby zdecydował się przejść do innego domu maklerskiego, miałby nikłą szansę na zaczepienie się w którymś z nich. Ekonomia i administracja były wciąż jednymi z najbardziej obleganych kierunków w Polsce - w roku akademickim 2009/2010 na tych kierunkach studiowało łącznie prawie pół miliona studentów. Większości marzyła się praca w bankowości i finansach. Tymczasem w Polsce funkcjonowało około pięćdziesięciu banków komercyjnych, zatrudniających sto czterdzieści tysięcy pracowników w dziesięciu tysiącach placówek. Wygląda to słabo, nie biorąc nawet pod uwagę liczby prowadzonych rekrutacji ani tego, że wcześniejsze emerytury odchodzą do lamusa. W przypadku jego specjalizacji było jeszcze gorzej - działalność maklerską prowadziło jedynie czternaście banków. Co prawda niezależnych domów maklerskich było ponad pięćdziesiąt, ale... No właśnie: ale.

O ile przybankowe domy maklerskie mogły w trudnych czasach - takich jak te - liczyć na pewne wsparcie ze strony banku, o tyle samodzielne jednostki, aby zachować płynność, musiały redukować koszty. Mógł więc wynaleźć sobie niezły etacik w jakimś maleńkim biurze, ale po pierwsze, stanowiska gwiazd w tych biurach były już

obsadzone, a po drugie, mógł znów bardzo szybko znaleźć się na lodzie. Cała więc nadzieja w biurokratycznej maszynie, w której trybikach się obracał - może komuś pomyślą się papiery i zwolnienie z pracy nie wylądować na jego biurku, tylko w niszczarce. Marna pociecha, ale wystarczająca, żeby podtrzymywać morale pracowników.

Przerzucał kolejne strony na monitorze. Po krachu na giełdzie i panice, która potem nastąpiła, przyszło oczekiwane opanowanie, a z nim potężny kac. Ponieważ notowania zostały zawieszane, instytucje finansowe po złapaniu pierwszego oddechu rzuciły się do liczenia zysków i strat, niestety z przewagą tych ostatnich. Tylko ich dział był kilka milionów złotych na minusie. Na korytarzu usłyszał, że *asset management*, czyli popularne zarządzanie portfelem papierów wartościowych, cofnęło się o kilkanaście milionów. Nie lepiej było również w bankowym *wealth management* i funduszach inwestycyjnych. Wiedział o tym, bo w bankowej kantine, wbrew etyce zawodowej, nie mówiono o niczym innym. Jakby tego było mało, do pieca planowali dorzucić sami inwestorzy - pozwami zbiorowymi... Było to dla nich o tyle niebezpieczne, że - jak się okazało po szybkim podsumowaniu - ich biuro także naliczyło błędnie ponad kilka tysięcy opłat i prowizji. Błędnie jak błędnie: jeśli prowizja była wzięta od transakcji, to musiała zostać pobrana bez względu na wynik. Jeśli od zleceń, to liczyło się ich wykonanie. Zdaniem Lewińskiego problem dotyczył etyki, a on nie czuł się na tyle mocny, żeby bawić się w rozstrzyganie takich kwestii. W sumie to dlaczego by im tego nie zwrócić? Dobrze jednak znał odpowiedź. Z czego? Boże...

Pocieszające, że podobnie było u konkurencji. Pocieszające? Słabe określenie. Wszyscy cierpieli na to samo schorzenie. Usługi świadczone przez biura maklerskie są wyceniane za pomocą dwóch rodzajów zapłaty - opłat i prowizji, ujmowanych zazwyczaj razem w podzielonej na dwie części tabeli, zwanej taryfą. Opłaty obejmują pozycje takie jak: prowadzenie rachunku maklerskiego, przygotowanie historii rachunku i zestawienia transakcji, wystawianie zaświadczeń zawierających na przykład wycenę portfela, przechowywanie instrumentów finansowych, przenoszenie instrumentów finansowych na inne rachunki czy też dostęp do notowań giełdowych w czasie rzeczywistym. Prowizje są pobierane od zleceń kupna bądź sprzedaży papierów wartościowych. Wysokość prowizji jest ustalana odmiennie w zależności od sposobu składania zleceń: przez internet, za pośrednictwem urządzeń mobilnych, telefonicznie bądź osobiście w punkcie obsługi klientów, jak również samej metody naliczania prowizji - od wartości realizowanego zlecenia, od wartości obrotu lub od wartości transakcji. Standardowa wysokość prowizji wynosi zazwyczaj między 0,25 a 0,39 procent. Obie wartości zazwyczaj maleją wraz ze wzrostem kwoty zlecenia, obrotu lub transakcji.

Choć opłaty i prowizje są podstawowym narzędziem walki konkurencyjnej pomiędzy biurami maklerskimi, to jednak nie jedynym. W interesie inwestorów jest

ponoszenie jak najniższych kosztów na rzecz biura maklerskiego, ale równie ważna jest funkcjonalność i sprawność systemu informatycznego tego biura. Wobec popularności, jaką zyskały rachunki maklerskie z dostępem online i możliwością „samodzielnego” składania zleceń maklerskich, system informatyczny stał się oczkiem w głowie zarządców i marketingowców. Tylko informatycy co chwila zachodzą w głowę, dlaczego nagle ktoś zaczyna wtrącać się im do pracy.

Jeszcze kilka lat temu rynek biur maklerskich przeżywał dualizm technologiczny i był podzielony pomiędzy dwóch wielkich polskich dostawców: Sygnity (system Sidorna) i Prokom (przejęty później przez Asseco Poland; Promak z jego kolejnymi wersjami ePromak Plus; mPro- mak). Obecnie do czołówki oprogramowania dla biur maklerskich zalicza się także Comarch, które to systemy informatyczne są wdrożone w trzech, powszechnie uznawanych za najlepsze, biurach maklerskich na polskim rynku: Biuro Maklerskie Alior Banku, Dom Maklerski BZ WBK oraz Dom Maklerski BOŚ.

Traktowane trochę po macoszemu przez spółki-matki banki, biura maklerskie rozwijały się powoli lub funkcjonowały w ogóle na granicy opłacalności, ponieważ jedynie „wypadało, aby taki a taki bank miał swoje biuro maklerskie”. Sytuacja zaczęła się zmieniać w czasie kryzysu finansowego i w późniejszych latach, kiedy nastąpiło kilka dużych i udanych prywatyzacji, w tym również upublicznienie samej Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie. Tysiące inwestorów, którzy ruszyli po akcje, oczekiwało sprawnej obsługi i dobrej oferty, jak w supermarkecie. Maklerzy i doradcy rzucili się w wir pracy, próbując wyłowić co większe rekiny finansjery. Zbiegło się to w czasie z wprowadzaniem dyrektywy MiFID. Zaczęto wprowadzać zmiany w funkcjonowaniu biur, modernizowano systemy informatyczne pod kątem nowych wymagań rynkowych. Jak się okazało, były to działania prowadzone za wolno i zbyt późno.

Gdy doszło do manipulacji na GPW, wszystko runęło. Systemy informatyczne biur maklerskich pobrały prowizje od zleceń klientów, które nie zostały zrealizowane. Nowo wdrożone update'y uszczupliły konta inwestorów o gigantyczne sumy związane z wartością wygenerowanych obrotów.

Tymczasem kadra zarządzająca i szefowie poszczególnych departamentów tego banku zamienili się w sztab kryzysowy, siedząc z prawnikami od rana do wieczora w salach konferencyjnych i debatując nad możliwością odrobienia strat.

A on, niedoszła gwiazda tego biura, został oddelegowany do śledzenia poczynąń konkurencji, która robiła dokładnie to samo, co oni. Oczywiście było to jego nadprogramowe zadanie - powinien przede wszystkim pozyskiwać klientów. Tylko jak tu rozmawiać z rzucaną z hukem słuchawką? Nie był też poradnią psychologiczną, żeby wysłuchiwać żalów i krzyków ludzi, którzy stracili cały dobytek, z domem włącznie, zastawionym pod kupno „pewnych na sto procent” akcji. Nie jego wina, że ludzie nie myślą. Zwykle odpuszczał sobie po kilku telefonach i wyjściach na miasto,

gdzie w klubach i restauracjach prawie rzucono biotem na dźwięk słowa „makler”. Ale mimo to dzień w dzień uparcie powtarzał swój rytuał, pewien, że tak trzeba.

Zerknął na otwarty portal. Równie dobrze mógłby umówić się z kolegami ze studiów - aktualnie pracującymi w innych biurach maklerskich - na piwo i w pół godziny wymienić się z nimi nowymi wiadomościami. Może to jest myśl? Tylko że gówno warta. Przecież to jasne jak słońce, że nikt teraz nic nie robi, tym bardziej nie opublikuje tego na stronie www! Wszyscy czekają na decyzję KNF i giełdy. Jakąkolwiek decyzję, bo cisza znad Książęcej aż dźwięczy w uszach. Od wczorajszej konferencji nie dali znaku życia. W dodatku, pomyślał, śledzeniem konkurencji zwykle zajmuje się dział marketingu, a nie oni, maklerzy! Tymczasem dział marketingu w osobie atrakcyjnej pani menedżer siedział w salce konferencyjnej wraz z całą świtą i obmyśla! plan ratunku finansów tego przeklętego banku.

Spojrzał na plaketkę nad biurkiem. „Jestem oazą spokoju. Kurwa, pierdolonym kwiatem lotosu na tafli błękitnego jeziora”. Wziął głęboki oddech, gdy nagle poczuł szarpnięcie za rękaw.

- Ty, popatrz. Szef londyńskiej giełdy. Mówi o nas.

Albert Kamiński, jego kolega, siedział odwrócony bokiem i wpatrywał się w plazmę. Ten ma dobrze, została mu garstka oddanych klientów, pomyślał Lewiński i odwrócił się w stronę ekranu

- Kto to?

- Von Schwaltzchke z Wiednia... a ten drugi to Winston Clark. Ten to ma niezłe jaja. - Kamiński zaśmiał się. - Wiesz, że w zeszłym roku nie pozwoli! wejść na „swoją” giełdę kilku spółkom z Francji? Ponoć uważał je za mało wiarygodne.

- Taa, iście brytyjskie poczucie humoru - Lewiński się skrzywił. Co go to obchodzi? Zerknął na ekran. Reporterka BBC miała około czterdziestki, istniała więc szansa, że wie coś o rynku kapitałowym. - Daj głośniej.

- *...warszawska giełda została dotknięta w sposób druzgocący dla dotychczasowej idei funkcjonowania rynków kapitałowych. Zagrożenie manipulacją jest nieuniknioną konsekwencją bogacenia się społeczeństwa, ale nie możemy poddać się paranoi -* perorował Clark.

- *Uważa pan, że Polska nie radzi sobie z własnymi zasobami?*

- *To by oznaczało, że system nadzoru jest niesprawny, co oczywiście jest nieprawdą. Znam bardzo dobrze osoby odpowiedzialne za funkcjonowanie polskiego rynku kapitałowego i ręczę, że należą do światowej elity w tej dziedzinie.*

Lewiński i Kamiński spojrzeli po sobie. O co chodzi? Taka laurka.

- *...dlatego przyczyny oraz skutki tego przestępstwa nie mają konsekwencji dla innych giełd.*

- *A co ze słabnącymi nastrojami inwestorów? Przecież inne giełdy, także ta w Londynie i Wiedniu, również odnotowują spadki.*

- Pani redaktor - zaczął prezes wiedeńskiej giełdy - proszę popatrzeć z dystansu na obecne wydarzenia. Naturalnym zjawiskiem w sektorze giełd papierów wartościowych jest nie tylko zwiększona konkurencja, ale także znaczna konsolidacja. Tradycyjne funkcje giełdy znacznie ewoluują. Obsługa emitentów, obsługa obrotu i sprzedaż informacji zależą w dużej mierze od sprawnego systemu transakcyjnego, nowoczesnych narzędzi IT i zdolności pozyskania przez giełdę nowych inwestorów. Oznacza to, że nawet jeśli gospodarka jest mała i chwiejna, a giełda należy do grupy, która zapewni emitentom finansowanie, płynność instrumentów finansowych i dostęp do szerokiego grona odbiorców, może stać się bardziej atrakcyjna od innych.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że problem GPW tkwi w braku partnera strategicznego?

- Nie. Obrazuję tylko tendencje, które występują na całym świecie i które mogłyby pomóc inwestorom odzyskać utracone aktywa...

- Tak, najlepiej składając pozew - mruknął Lewiński do telewizora.

Albert, zapatrzonej w monitor kiwnął głową.

- Ale wiesz... z tym światem to może i ma rację? Może faktycznie chodzi o wrogie przejęcie.

- Od tego są akcje GPW i Maciejewski.

- Przecież również spadły. Może dlatego milczy?

Lewiński zastanowił się. Niewykłuczone. Wszedł na stronę Wiener Boerse. Oooo CEESEG. A fakt, utworzyli takie coś... Ładny PR sobie robi w BBC. Przejrzał podstrony. Dzięki Bogu po angielsku, nie cierpiał niemieckiego. A to co? *Member list*. Ciekawe, co robią ich biura maklerskie? I kliknął na pierwszy link.

- Ja pierdolę... Albert!!!

Kamiński znalazł się przy nim w sekundę.

- Widzisz?!

- Ty, kurwa... oni...

- Chyba tak. - Lewiński opanował się. - Spójrz! Kolejna. Drukujemy!

Karol Lewiński był w swoim żywiole, zanosząc kartki do szefa. Odkrył COŚ. Prawdziwą bombę! Należy powiadomić o tym wszystkich! Tak, może nie wiedzą, co się dzieje, może coś ukartowano, może, może...

Skąd miał wiedzieć, że jego pełna poświęcenia praca zostanie wykorzystana w zgoła innych celach?

W tym samym budynku kilka pięter wyżej pracownicy również trwali na posterunkach, co prawda mniej zmotywowani, ale równie przejęci sytuacją.

- Panowie, więc uważacie, że na razie nie mamy się czego obawiać? - drążył prezes Chojnacki.

- Tego nie powiedziałem. - Jeden z prawników poruszył się na krześle. W tym banku liczono doświadczenie według czasu pracy w tej instytucji, nie biorąc pod uwagę rzeczywistego stażu. Choć był w zawodzie od piętnastu lat, to w banku dopiero od roku, dlatego odnosił wrażenie, że wciąż traktuje się go jak świeżaka. - Sądzę jednak, że należy przede wszystkim wyjaśnić całą sprawę z prezesem Maciejewskim, żeby giełda zajęła jednoznaczne stanowisko w tej kwestii. Jeśli i organ nadzoru odniesie się do sytuacji, ukręci to łeb wszelkim spekulacjom...

- To nie spekulacje, tylko fakty - ucięła zastępczyni dyrektora banku odpowiedzialna za bankowość inwestycyjną. - Nie możemy pozostawać obojętni wobec faktu, że nasze aktywa się skurczyły o bodajże kilkaset milionów, a ponadto grozi nam proces o równie wysokie odszkodowanie. Zdajesz sobie zapewne sprawę z tego, że należy to ująć w najbliższym raporcie.

- Tak, ale do niego jeszcze tydzień, a, jak pokazuje rzeczywistość, wiele przez ten czas może się zmienić - odbił piłeczkę prawnik.

- Dobrze, wystarczy. - Chojnacki spojrzął na zegarek. - Za kwadrans mam spotkanie z Maciejewskim, zobaczymy, co on powie. Zapraszam jutro o tej samej porze.

Spotkanie się skończyło. Pozbierał swoje papiery, zadowolony, że nikt nawet nie zająknął się na temat ostatniej awantury szefów spółek, do jakiej tu doszło. Uśmiechnął się pod nosem. Może i niespecjalnie go lubią, ale dobrze wychował sobie pracowników. Zauważył zbliżającą się postać. Zmarszczył brwi? Kto to, do cholery... Aa.

- I jak tam nasze błyskawice? Dają chłopaki radę coś odkuć?

- Tak. Powoli, ale do przodu. - Andrzej Małecki był w tym banku dyrektorem departamentu obsługi klientów strategicznych biura maklerskiego już od siedmiu lat, ale w spotkaniu „na szczeblu” brał udział dopiero po raz trzeci, w zastępstwie chorej dyrektora zarządzającej. Swoją drogą nie mogła sobie znaleźć lepszej pory na grypę żołądkową, pomyślał. - Jeden z moich chłopaków wyniuchał to w internecie - powiedział, podając szarą teczkę prezesowi.

- Co to?

- Wydruki ze stron. Zdaje się, że biura maklerskie...

Send someone to love me I need to rest in arms... rozległ się dzwonek telefonu. Chojnacki podniósł rękę w przeproszającym geście, drugą odebrał telefon, i zabierając teczkę, ruszył ku drzwiom.

Małeckiemu nie pozostawało nic innego, jak zrobić to samo. Wychodząc, pomyślał, że dział marketingu powinien zmienić dzwonek w telefonie prezesa. Na coś poważniejszego niż Robbie Williams.

Papiery wylądowały na tylnym siedzeniu luksusowego lexusa. Choć jako prezes banku Chojnacki miał do dyspozycji własnego szofera, lubił czasem sam poprowadzić.

Zwłaszcza takie auto. Przynosiło mu to ulgę i pomagało zebrać myśli. Wielokrotnie pokonywał tę trasę i wiedział, że siedzibę banku od GPW dzieliło dokładnie dwa kilometry i trzysta metrów, co za dnia oznaczało około trzydziestu minut stania w korkach. Teraz było już po godzinach szczytu, więc trasę pokonał w kilka minut. Zaparkował na parkingu od strony Centrum Bankowo- -Finansowego i ruszył ku drzwiom wejściowym.

Prezes Maciejewski siedział pogrążony w papierach i dopiero zgrzyt otwierających się drewnianych drzwi uświadomił mu, że sekretarka zapowiadała gościa. Trzeba będzie dać jej urlop, pomyślał. Albo zapłacić za nadgodziny, bo tyle tu przesiaduje.

- Witaj, Tadeuszu, zapraszam. - Wskazał mu fotel naprzeciwko swojego biurka.

- Cześć, Jurku. Słabo wyglądasz - rzekł prezes banku, siadając.

- Dziękuję, trzymam się.

- Coś nowego? - zaczął przybysz bez zbędnych grzeczności.

- Gdzie tam! - Prezes giełdy machnął ręką. - I jeszcze Karnington zawraca mi dupę o jakieś podzespoły do tego nowego systemu notującego... No, ale co tam u was?

- Słuchaj... niepokoi mnie ta cała sprawa z pozwami zbiorowymi.

Maciejewski wygiął się w fotelu, rozprostowując obolałe ramiona.

- Zupełnie niepotrzebnie - wyjącał. - Przecież mówiłem, sprawa dotyczy KNF, a wy...

- Pozwy mają być złożone także na biura maklerskie.

- Cóż. - Szef GPW przekręcił głowę, aż coś strzyknęło. Chojnacki pomyślał, że nie ma bardziej irytującego faceta. No, może ten gość z Ich Troje. - Przepraszam cię, ale tkwię tu od siódmej rano. Wracając do tematu: to prawo inwestora. Jeśli dom maklerski go oszukał, ma prawo domagać się swojego.

- Tyle że dotknie to całego sektora bankowego! - krzyknął Chojnacki, ale zaraz ściszył głos. - Słuchaj, tu mowa o milionach. Na spadkach TWOJEJ giełdy banki straciły dużo, przez duże „D”. Jeśli mamy jeszcze coś wypłacić, może to zachwiać systemem finansowym.

- Od tego są rezerwy, prawda? - Maciejewski uśmiechnął się lekko. Był zbyt zmęczony, żeby dać się sprowokować. - Powiedzmy sobie wprost: jeśli biura maklerskie naliczyły w sposób niezgodny z przepisami jakiegokolwiek opłaty lub prowizje i pobrały je od inwestorów, to złamały prawo. Czego ode mnie oczekujesz? Że ja też je złamię?!

- Nic podobnego! - Chojnacki się obruszył. - Ale chciałbym wiedzieć, jakie jest stanowisko giełdy i KNF w obecnej sytuacji, żeby móc podjąć decyzje najlepsze z możliwych...

- Stanowisko giełdy jak zawsze jest zgodne z literą prawa i pozostaje niezmienione - odrzekł Maciejewski, wyraźnie akcentując każde słowo. Wpatrzył się uważnie w rozmówcę.

- To zagrozi bezpieczeństwu finansowemu Polski - wycedzi! wolno Chojnacki.
- E, tam! - Maciejewski znów machnął ręką. - Od tego są *stress testy*, ale dziękuję ci za cenną sugestię.

Mężczyźni patrzyli jeszcze chwilę na siebie, po czym Chojnacki wstał.

- Do widzenia, panie prezesie. - Dupek.

- Dziękuję za wizytę. - Frajer.

Chojnacki prawie dobiegi do swojego samochodu. Kurwa jego mać! Wsiadł, otworzył okno i zapali! cienkiego davidoffa, trzymał je w schowku właśnie na takie okazje. Dobrze, spokojnie. Wyjął komórkę. Wszystko można rozegrać inaczej.

Idzikowski nie odzywał się, wyczuwając nastrój kierowcy. Zresztą było mu to na rękę. Nie tylko banki miały problemy. W ciągu trzech ostatnich dni jego kancelaria straciła kilku dużych ważnych klientów. Nie, nie z powodu słabej obsługi czy niezadowolenia z wyników. Wie pan, koszty i tak dalej. Musimy dbać o płynność finansową, a dostawcy nam nie płacą. Chcemy wybudować nową siedzibę, ale bank odmówił nam kredytu, stopy procentowe poszły w górę... Musieliśmy sprzedać kilka działek... Zwolniłem część załogi...

Idzikowski miał głowę pełną uprzejmych i szczerych, choć dla niego samego całkowicie bezwartościowych wyjaśnień, które sprowadzały się do jednego - do giełdy. Akcje dały nura, a z nimi całą gospodarkę szlag trafił. I oto on, budowniczy swojego imperium, musi szukać nowej siedziby, bo koszty wynajmu w Rondo 1 przewyższają po raz pierwszy w historii jego przychody. Nie zyski. Przychody! A wszystko z powodu giełdy, którą rządzi jakiś palant, oraz nadzoru, który nie potrafi zapanować nad sytuacją. Na szczęście trafiła mu się ta obsługa pozwów zbiorowych. Początkowo zastawiał się, czy w ogóle brać tę sprawę. I nie chodziło o zyski, lecz o to, czy staje na pewno hmm... po dobrej stronie mocy. Im dłużej jednak o tym myślał, tym bardziej był pewien, że to nie ma nic wspólnego z patriotyzmem. Inwestorzy pozywający KNF i biura mają szanse na wygraną, a on na utarg. Kropka.

- A ty co o tym myślisz? - odezwał się Chojnacki. Przejechali Trasę Łazienkowską i byli już na Ostrobramskiej. Jechali tylko we dwóch, mogli więc spokojnie porozmawiać.

- O czym dokładnie?

- No, o tych pozwach? - Prawnik przygryzł dolną wargę i podziękował Bogu za tajemnicę zawodową. Nikt jeszcze nie wie. Trzeba ładnie wybrnąć. - To jak zimny prysznic dla rozgrzanego tłumu - rzekł po chwili. - Ochłodzi atmosferę, ale i tak ludzie będą śmierdzieć.

- Aha... poczekaj chwilę.

Zjechali na stację benzynową i Chojnacki wyszedł zatankować.

- Masz gdzieś te papiery dla Karasowicza? - spytał Idzikowski, wychylając głowę przez okno. Chodziło o analizę rynku teleinformatycznego. Bank przygotowywał specjalne publikacje i udostępnia! je wybranym klientom. Kancelaria Idzikowskiego również do nich należała.

- Tak, leżą z tyłu - rzucił Chojnacki, odwiesił pistolet i ruszył do kasy.

Idzikowski odwrócił się i zaczął grzebać w dokumentach na tylnym siedzeniu.

- Zebrała mu się tu ładna biblioteczka - mruknął. - Zaraz. A to co? - Nie powinien przeglądać innych materiałów, ale to był tylko wydruk... I to ze strony internetowej. Ale zaraz. Przyjrzał się uważnie. Czyżby oni...? A może tak?

Zanim Chojnacki wrócił do auta, wszystkie dokumenty wróciły na swoje miejsce. Idzikowski ostatnie metry do siedziby firmy Bagińskiego przemilczał. W głowie kiełkowała mu pewna myśl.

- Witaj, Czarku.

- Tadeuszu, Romku. - Gospodarz gestem zaprosił mężczyzn do środka swojego przestronnego gabinetu. W środku był już Mateusz Karasowicz.

- Dzień dobry panom - rzekł, wyciągając rękę do każdego.

- Cześć. A to materiały, o które prosiłeś. - Chojnacki wręczył mu plik dokumentów razem z szarą kopertą pod spodem.

- Dziękuję.

Mężczyźni rozsiedli się wygodnie i poczekali, aż asystentka naleje kawy i wyjdzie za drzwi. Nie była zbyt atrakcyjna, ale zapewne nie o to chodziło jej pracodawcy. Zresztą nie mieli problemów z zawieszeniem na czymś oka. Z okna rozpościerał się przepiękny widok na wschodnią panoramę Warszawy.

- Ładny, prawda? - Baginsky wskazał głową w kierunku okna. - Kiedy chcę kogoś przekonać do finansowania swoich wizji, to zapraszam go tutaj. Bardzo poszerza perspektywę.

- A ostatnio jak ci idzie?

- Bywało lepiej, ale nie narzekam. - Uśmiechnął się smutno. - Co na to wszystko giełda?

Chojnacki streścił im w kilku zdaniach przebieg swojej rozmowy z Maciejewskim.

- A to gnojek! Bandyta!!! - Baginsky poderwał się na nogi. Jego wielki brzuch zahaczył niebezpiecznie o ławę, przechylając ją o kilka stopni, ale na szczęście ta szybko powróciła do poziomu.

- Słyszałem, że Maciejewski staje okoniem w stosunku do całego świata, ale w ten sposób nie zdobędzie przychylności rynku!

- Ani nowych emitentów - dodał Idzikowski.

- Z drugiej strony trudno mu się dziwić. - Karasowicz wzruszył ramionami. - Dba o

swoje.

- Dokładnie... ech... - Baginsky zwał się na fotel. - Wszystko to gówno warte.

- Może niekoniecznie. - Myśl, która tkwiła w głowie Idzikowskiego od kilkunastu minut, zaczęła nabierać konkretnej formy. - A gdybyśmy tak... hipotetycznie... rozważyli przeniesienie na inne giełdy?

- Co ty gadasz, zwariowałeś?! - krzyknął Baginsky.

- Mów dalej. - Chojnacki nadstawił uszu.

- Możemy porozmawiać z innymi i...

- Ale nie tak jak z Kałasznikową, co? - Baginsky zarechotał. „Rzeczpospolita” jednak nie straciła czytelników. Może chciał się odegrać za „ścięcie” podczas spotkania w banku?

- Nie - odpowiedział sucho Idzikowski. Zagotował się w środku, ale zachował kamienny wyraz twarzy. - Panowie. Chyba możemy powiedzieć sobie otwarcie, że nasza strata jest tym większa, że wszyscy liczyliśmy na zyski.

Na chwilę zapadła cisza, ale w głowach czterech mężczyzn zakotłowało się od nadmiaru myśli. Idzikowski wstrzymał oddech. Jeśli dobrze wyczuł atmosferę, to nie tylko on sypnął swoimi akcjami w ten pechowy wtorek.

- Mogę się przychylić do tej opinii - zaczął Karasowicz. - Do czego zmierzasz?

- Sprawdźcie swój akcjonariat. Pogadajcie z ludźmi. Po cichu, ale dokładnie - ciągnął Idzikowski. Tak, czasy świetności ma jeszcze przed sobą. - Możemy przenieść spółki na inne giełdy. Z tego, co wiem, wszystkie cierpią na brak nowych emitentów. Porządnych emitentów. Przy odpowiedniej promocji wasze spółki mogą zdobyć nowe środki liczone w milionach i, co najważniejsze, uzyskać właściwą wycenę, która umożliwi prowadzenie dalszych inwestycji. - Zakończy! wypowiedź jak rasowy prawnik.

- Wiesz co, Romek - zaczął Baginsky. - Podobasz mi się, chłopie! - Klepnął go po plecach, po czym wstał i podszedł do barku.

- Whisky?

Wypili po jednej szklaneczce i chwilę później Chojnacki ruszył do samochodu sam, przeklinając w duchu, że nie wziął kierowcy. Nie był podпиты, powinien więc jechać prosto. Poza tym weźmie gumę do żucia, a w razie kontroli drogowej ma komu sprzedać punkty. Na razie czuł we krwi adrenalinę, a w mięśniach podniecenie - nowa giełda, nowe zyski.

Karasowicz postanowił wrócić taksówką. Nie miał ochoty na żadne pogawędki z Chojnackim, który proponował mu podwiezienie. Choć nie odezwał się ani słowem, pomysł wycofania się z GPW i wejścia na inną giełdę ani trochę nie przypadł mu do

gustu. Opuszczanie tonącego okrętu nie wchodziło w grę i miał zamiar uczynić wszystko, aby do tego nie dopuścić.

Idzikowski ruszył w kierunku centrum handlowego „Promenada”. Powiedział, że musi podzwonić, pozałatwiać kilka spraw. Musiał też pomyśleć. Informacje, które otrzymał, to tylko strzępy, ale do czegoś prowadzące. Czyżby spółki z GPW utraciły kontrolę? Baginsky tak zeszywniał, jak mówiłem o akcjonariacie. Chojnacki też nie był hop do przodu. A Karasowicz? Ciemna masa. Z nim to nigdy nie wiadomo. Idzikowski, co prawda, nagrał właśnie kilka potężnych transakcji - nie było wątpliwości, kto je będzie obsługiwał od strony prawnej - ale miał swój rozum. Czy to możliwe, żeby inne giełdy podkupywały - dosłownie - spółki z GPW? Po co? Żeby przejąć GPW? Bez sensu.

Miało to jednak sens i Idzikowski jako prawnik bardzo dobrze o tym wiedział.

Baginsky pożegnał gości i wrócił za biurko. Spodobał mu się pomysł Idzikowskiego, ale ostatnie doświadczenia nauczyły go ostrożności. Nigdy nie zaszkodzi się ubezpieczyć. Sięgnął po komórkę i wybrał numer przewodniczącego KNF.

- Halo? Cześć, Waldek, tu Cezary. Tak, dzięki, wszystko w porządku. Byłem właśnie na ciekawym spotkaniu. Pomyślałem, że może cię zainteresować propozycja, jaką wysunął szef kancelarii, Idzikowski...

ROZDZIAŁ VIII

Taryfa nieulgowa

- Musimy dalej zmieniać Polskę, musimy zwyciężyć! To my mamy rację, przekonajmy więc do niej innych. Nie dopuścimy, aby Polska była rządzona przez ludzi nieudolnych i słabych: nieudolnych, bo niepotrafiących kształtować nową rzeczywistość, słabych w zakresie zmian ustanowionego wcześniej prawa. Naszym nadrzędnym zadaniem jest...

- Ależ on pieprzy!

Premier Rijs skierował wzrok w kierunku malkontenta, ale tylko skinął głową. Wystąpienie Kowalskiego dobiegało na szczęście końca i zaraz miało się zacząć rutynowe czytanie sprawozdań wszelakich komisji.

Z tyłu sali doszedł go jakiś szelest. Pewnie ktoś wy- mięka, zapewne ci z SLD... Tak, słuchanie wypowiedzi polityków ze skrajnej prawicy wywoływało nadkwasotę nie tylko u „lewusów”. Po chwili jednak usłyszał, że ktoś się zbliża i puste miejsce obok niego zajęła pokaźna sylwetka Bogusława Abrończyka.

- Teorii spiskowej ciąg dalszy? - spytał minister finansów.

- Na to wygląda - odrzekł krótko premier. - Co u naszych przyjaciół znad Sekwany?

Wszechobecne kamery telewizyjne i czule dziennikarskie mikrofony uwrażliwiły polityków na stosowane epitety, zwłaszcza te naładowane stereotypami. Choć na język cisnęły się określenia takie jak „żabojady”, „brudasy” czy „bydło”, na Wiejskiej oficjalnie mówiono odpowiednio o Francuzach, Arabach lub dresiarzach. I chociaż obecnie na sali panował taki zgiełk, że nikt nie usłyszałby rzuconych półgłosem niepoprawnych politycznie określeń, premier nawiązał do polsko-francuskiej przyjaźni z całym przekonaniem.

Dzień wcześniej wysłał swojego ministra na poufne rozmowy z prezydentem Francji, dotyczące ograniczenia możliwości korzystania z rajów podatkowych. Jeśli Mont zdecyduje się poprzeć Polskę w tej sprawie, hasło „przyjaciele” nabierze nowego znaczenia.

- Dobiliśmy targu - rzekł Abrończyk. Resztę jego słów zagłuszył niesamowity zgiełk, który nagle podniósł się z ław. Kowalski schodził z mównicy oklaskiwany przez swoje, mające w Sejmie zaledwie piętnaście mandatów, ugrupowanie i wygwizdywany przez przedstawicieli pozostałych partii. Rijs odnosił wrażenia, że idea tworzenia koalicji przy takim układzie sił jest bezsensowna - lepiej by było, gdyby cała scena polityczna podzieliła się oficjalnie na dwie i tak już istniejące frakcje - popierające PiS oraz mu

przeciwne. I o ile prościej by się rządziło, mając taką opozycję.

- Jeszcze raz - poprosił ministra o powtórzenie.

- Mont chce, żebyśmy poparli jego projekt zakupu nowych helikopterów dla Unii Europejskiej.

- Ale przecież Unia ma helikoptery!

- No tak, ale on chce nowe.

- I pewnie z Eurocoptera?

- Tak.

Minęła chwila ciszy, nim premier znów się odezwał.

- Jaki tu widzisz problem?

Tłum nieco ochłonął, a marszałek odczytał kolejny punkt posiedzenia.

- Przede wszystkim finansowy. Ale też polityczny. Mont chce dofinansować Eurocoptera. EADS grozi, że go zamknie. Wiesz, jacy ci Francuzi są dumni ze swojej armii. - Premier przytaknął, ale zaraz spytał:

- No a Brytyjczycy?

- Niechętnie, ale się zgadzają. - Abrończyk zawahał się. - Oni tylko gadają, że woleliby coś od Boeinga, bo NATO krzywo patrzy na zbrojenie Unii i chcieliby oczyścić atmosferę. Jednak w gruncie rzeczy wisi im to, czym będą latali europejscy żołnierze.

- Więc generalnie wszystko klepnięte?

- W rzeczy samej.

- To dobrze. Głosowanie dziś wieczorem. - Riks zerknął na zegarek. Do Brukseli dotrze w cztery godziny, łącznie z dojazdami. Boże, znowu lot! Czasami miał wrażenie, że kręci się między Brukselą a Warszawą jak na karuzeli. Pomysł ze śmigłowcami mu się nie spodobał, ale też nie miał czasu na dłuższą dyskusję.

Marszałek Sejmu ogłosił kilkunastominutową przerwę. Posłowie, których na sali było mniej niż połowa z wszystkich czterystu sześćdziesięciu, żwawo ruszyli w kierunku wyjść, co dziwnie kontrastowało z leniwym od rana - wyłączając wystąpienie Kowalskiego - przebiegiem obrad. Premier spojrzął na Abrończyka.

- Z mojej strony jest zielone światło dla tych śmigłowców. - Lekko pochylił się ku rozmówcy. - Tylko żadnego barteru. Z tego może być jeszcze niezła chryja, a my nie chcemy się upaprać. - Ruszył przodem.

Abrończyk popatrzył za nim i skinął głową. Niektórzy mogą być tylko ministrami w rządach premierów.

Umówili się w Chianti. Nie na jedzenie, które choć było smaczne, to bez polotu i fantazji. W zlokalizowanej przy Foksal włoskiej restauracji rodziny Kręglickich stosunkowo często spotykali się ludzie ze świata polityki i biznesu. Obecność kolejnego

nie robiła więc na nikim wrażenia. Ponadto lokalizacja lokalu sprawiała, że było do niej zewsząd blisko. Łatwo przychodziło wmieszać się w tłum na Nowym Świecie i dyskretnie rozstać z partnerem, z którym nie chciano być zauważonym. Tak się przynajmniej wszystkim wydawało.

Rosnąca w zastraszającym tempie liczba czytelników brukowców i plotkarskich portali stworzyła nową niszę dla zawodu fotoreportera. O ile jeszcze kilka lat temu na okładki trafiały zdjęcia gwiazd, aktorów, piosenkarzy i prezenterów, o tyle w tej chwili fotografowano każdego i każdą, jeśli tylko twarz lub nazwisko już się gdzieś przewinęły w mediach. Co kilka minut na portalach *Plotek.pl* i *Pudelek.pl* musiał się pojawić nowy news. Tytułom prasowym, takim jak „Fakt”, „Viva” czy „Super Express”, przybyła konkurencja w stylu „Party”, „Show” i „Flesh”. Wszystkie skoncentrowane na życiu ludzi popularnych lub prawie nieznanymi. Kolo się zamykało: stworzono przestrzeń, którą należało wypełnić świeżymi informacjami. Ponieważ polski rynek wciąż był stosunkowo maty oraz młody, paparazzi prześcigali się w zdobywaniu nowinek o życiu celebrytów.

Jednym z najstarszych sposobów - po opłaceniu taksówkarzy i prostytutek - było obstawianie miejsc, w których takie osoby się pojawiały. Nikogo więc nie zdziwiło, gdy w pewnym momencie siedzący w kawiarni na rogu Foksal i Nowego Świata mężczyzna wyciągnął podręczny aparat i pstryknął kilka fotek, po czym wstał i ruszył w głąb ulicy.

Dostański przyszedł kilka minut przed czasem, miał więc komfort wyboru stolika. Do Chianti schodziło się po schodkach. Naprzeciw wejścia, w głębi, znajdowała się antresola. Na jej końcu stał mały dwuosobowy stoliczek, a siedzący przy nim goście czuli się prawie jak na prywatnym balkoniku. Dostański podszedł do niego, ale usiadł przy stoliku obok, tyłem do ścianki. Tak, aby móc swobodnie obserwować wnętrze, samemu jednocześnie będąc niewidzianym.

Po kilku minutach na schodach pojawiła się znajoma blond grzywka.

- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać. - Wstał z krzesła i wyciągnął rękę, gdy Anna Kałasznikowa zbliżyła się do stolika.

- Nie pozostawił mi pan specjalnego wyboru - odparowała, ale szybko się uśmiechnęła i usiadła. Kelner już brał karty, żeby przynieść im do stolika. Po chwili zawahał się i ruszył w kierunku wyjścia. Pogoda była przepiękna, więc restauracyjny ogródek, na który składało się kilka ciasno ustawionych stolików między chodnikiem a jezdnią, przeżywał obłęzenie. Za to w środku było pustawo.

- O co więc chodzi, panie przewodniczący? - Zaczęła bez ogródek dziennikarka.

- O cierpliwość.

- Z całym szacunkiem, nie mam czasu na takie gierki. - Anna wymownie chwyciła rączkę od torebki. - Mam cały raport, a wy niezły przeciek. Dlaczego nikt niczego nie

powiedział o podejrzeniach pod adresem samych spółek? Ze to one mogły namieszać na giełdzie?

- Łakomy kąsek dla dziennikarza - zauważył spokojnie Dostański.

- A i owszem. - Anna obruszyła się. O co mu chodzi?

- Dlatego zaproponowałem pani to spotkanie. - Uśmiechnął się. - Obiecałem grubszy temat i mam zamiar dotrzymać słowa.

- Słucham z największą uwagą.

- Zapewne wie pani, że przy negocjacji umowy o dostawę systemu transakcyjnego od NYSE, GPW korzystała z usług kancelarii Idzikowski?

Anna skinęła głową.

- Zgadza się. Idzikowski został mocno skrytykowany za tę transakcję.

- Właśnie... - Dostański zrobił pauzę i spojrzał dziennikarce prosto w oczy. - Może miał w tym swój interes.

- Co pan chce...

- A gdybym powiedział pani, że Romuald przymierza się do przeniesienia polskich spółek na inne giełdy?

- Żartuje pan.

- Nie. - Dostański się wyprostował. Co prawda była to plotka, na dodatek niepotwierdzona, ale jedynie tym w tej chwili dysponował. W mieście, w którym ściany mają uszy, a każdy zabezpiecza się na kilku frontach, dobrze mieć oczy zawsze otwarte.

- I idzie mu to całkiem nieźle. Ale potrzebuje czasu. Ja również.

- Tydzień. Na wyłączność. Oba tematy.

Dostański uśmiechnął się. Może jeszcze działa na kobiety?

- Znakomicie. Kelner, poprosimy kartę dań.

Młody paparazzo wyszedł zadowolony. Twarzy pierwszego nie rozpoznał, ale za to Annę Kałasznikową znał każdy student dziennikarstwa. Kto wie, może powiesi sobie odbitki w pokoju, jeśli ładnie wyjdą. Jednak na wszelki wypadek, gdy wróci do redakcji, to pokaże zdjęcia szefowi.

Jeszcze chwilę wcześniej Ireneusz Lipiński nie był zadowolony, że właśnie dziś przypadł mu ten dyżur. No ale musiał rano odwieźć córkę do szkoły. Zanosilo się na deszcz, a on nie chciał wyjść na tyrana przed swoją nastoletnią jedynaczką, której aktualnie ulubione obuwie stanowiły sandały na szpilkach. Jak w ogóle można coś takiego nosić? Przecież to się ledwo stopy trzyma.

Zerknął przez okno. Dzień był jak ta pogoda: szary, posepny, nudny. Kiedy padał deszcz, redakcja przypominała mu cmentarzysko. Nie żeby zabrakło w niej życia, ale co druga twarz podświetlona była na biało od lampki, a w obliczu mar, którymi się

zajmowali, doczesność naprawdę traciła na znaczeniu. Teraz było jeszcze gorzej: czuł się jak na pogorzelniku, w którym prawie słycać wycie przepracowanych kolegów o chorej ambicji oraz wybijałym ego. Brylujących w towarzystwie zarozumiałców, których wypociny co chwila spadały lub co najwyżej zdobiły redakcyjne „górkę”. W swojej przeszło trzydziestoletniej karierze widział niejedno: upadek PZPR, obrady Okrągłego Stołu, kształtowanie się pierwszego niekomunistycznego rządu, afery polityczno-gospodarcze, wejście Polski do NATO i Unii... Nie tylko to przeżył, ale miał i zaszczyt - tak, zaszczyt - przekazać owe przeżycia innym. Były to sprawy ważne nie tylko dla dziennikarza, ale i dla kraju, dla całego świata. A teraz? Byle student mianowany przez niewiele starszego wydawcę opisuje z zachwytem godnym Sienkiewicza, jak Asseco Poland zakłada nową spółkę. Kolejną. Też mi coś.

Naprawdę cieszył się, że jest sam w biurze. Miał czas na zebranie myśli. Potrafił docenić dobrą pracę. Duma w nim rosła, kiedy widział, jak dziennikarze przeistaczają się z żądnych krwi poszukiwaczy tajemnic w odpowiedzialnych ludzi przekazujących informacje oraz w zdystansowanych komentatorów. Tak postrzegał Annę Kałasznikową. Największą nadzieję, a teraz chyba jego największe rozczarowanie. Jak mogła dać się podejść zwykłemu szczeniakowi z aparatem? Należą się podziękowania staremu kumplowi i szefowi tego szmatławca, że mu wcześniej przekazał tę fotkę. Ale nie zmieniało to faktu, że jutro w „Super Expressie” pojawi się zdjęcie jego reporterki podpisane: „randka po włosku z KNF” lub jakoś w tym stylu. Cholera! Głupia, głupia, GŁUPIA!

Przez te wszystkie lata Lipiński nauczył się również, że w świecie dziennikarzy istnieje tylko jeden, powtarzający się rytmicznie jak cykl koniunkturalny, pewnik: wzloty prawdziwych gwiazd i ich bolesne upadki. Ta praca tak ma, nigdy nie wiesz, kiedy padnie na ciebie. Teraz jednak czuł podwójny żal: raz, że trafiło się to Annie, dwa, że uciekło jej coś sprzed nosa. Wiedział, że gwiazda musi spaść.

Ale czy miał się do tego przyczynić?

Nie zadzwonił do niej do tej pory, bo był wściekły. A może i nie miał ochoty. Był jej jednak coś winien, jeśli nie jako szef, to jako przyjaciel. Sięgnął po komórkę.

Anna odłożyła słuchawkę i usiadła na kanapie. Po chwili jednak szybko się podniosła i ruszyła do kuchni. Musiała pomyśleć, a nic tak nie pomagało jak ruch. W tym wypadku gotowanie, bo syn niedługo wróci i będzie domagał się kolacji. Co by tu zrobić, hmm? Może lazanie? Wymaga sporo pracy i jest sycąca... Jednak na myśl o włoskim jedzeniu przewróciło się jej w żołądku. Chyba lepsze będą pierogi ruskie. Wyjęła garnek i wstawiła wodę na ziemniaki. Tylko właściwie, dlaczego tak się tym zdenerwowała? Lipiński, kurde, Pierwszy Panikarz Rzeczypospolitej, jak zwykle robi z igły widły. Chodzi zbyt podminowany. Czy to pierwszy raz pojawi się w serwisie

plotkarskim? Kiedyś ktoś wyhaczył ją tylko w stringach na balkonie. Afery obyczajowej nie było, a i nagle okazało się, że rozmiar 40 też jest piękny. Zaczęła obierać kartofle. Pierwszy, drugi...

Dlaczego nie napisała wcześniej o tych cholernych spółkach? No, ale chciała być dokładna, sprawdzić swoje tajne źródło. Poza tym Dostański ją podpuścił. Po co właściwie powiedział jej o tym całym Idzikowskim? Może tu chodzi jeszcze o coś innego? Może zadzwoni do Lipińskiego, uspokoi go i zapyta przy okazji o Idzikowskiego, przecież studiowali razem... Nagle otworzyła szerzej oczy i popędziła do gabinetu.

Po czterdziestu minutach do mieszkania wrócił Klaudiusz i wyłączył ogień pod resztką gotującej się wody w garnku. Matka wciąż siedziała u siebie. Sięgnął po telefon i zamówił pizzę. Coś muszą zjeść na kolację.

- Co to, do kurwy nędzy, oznacza?! - ryknął Karasowicz. - Jak to, do jasnej cholery, nie wiemy, kto jest w naszym akcjonariacie?! - Chociaż był przeciwny pomysłowi przenosin na zagraniczne giełdy, postanowił skorzystać z propozycji Idzikowskiego i sprawdzić, kogo ma w drużynie. Jak się okazało, była to słuszna decyzja.

- Wiemy, szefie, wiemy. - Struchlały *investor relations manager* jeszcze bardziej wbił się w fotel, zastanawiając się jednocześnie, czy aby na pewno zrobił dobry deal, dając się headhunterowi podkupić kilka miesięcy wcześniej z agencji public relations. Może chociaż trzeba było krzyknąć sobie parę stów więcej. - Tylko że Marsylia ma problem z ustaleniem, ze skontaktowaniem się z nabywcą...

- No właśnie o tym mówię! - Karasowicz rzadko dawał się ponieść emocjom, ale jak widać, ta chwila nadeszła. Młody menedżer nawet nie zareagował na ten ton - szczęśliwy, że na końcu wypowiedzi nie został dodany żaden epitet określający jego osobę. - Jak te skurwysyny mogły sprzedać pakiet akcji i nawet nas o tym nie poinformować!

Menedżer już miał powiedzieć, że był taki raport bieżący i jak zawsze wysłał e-mail do całego zarządu z informacją, ale tylko zacisnął zęby. Nic by to nie zmieniło, a jeszcze może pogorszyłyby jego sytuację. No bo czy naprawdę sądził, że ludzie pokroju Karasowicza mają czas czytać wszystkie e-maile? Tym bardziej od byle menedżera? Powinien przyjść, powiedzieć! Nic to, że pracował po dwanaście godzin, łącznie z sobotami, a dotarcie do gabinetu szefa bez zaproszenia było równie możliwe jak niezapowiedziany obiad z emirem Kuwejtu.

- Łączyć mnie tu z tym Herve'em!!! - huknął Karasowicz do aparatu i zerknął spoje łba na młodego menedżera. Starał się z całych sił zapanować nad nerwami. Nienawidził, gdy sprawy wymykały mu się spod kontroli. A w tym wypadku owe „sprawy” były wyceniane na kilkaset miliardów złotych. - No to jak z tym

akcjonariatem?

- Mamy łącznie trzydzieści sześć procent. Marsylia sprzedała pakiet około piętnastu procent. Około dwudziestu jest w rękach instytucji dysponujących mniej niż pięcioma procentami każda.

Ulokowany w Marsylii francuski fundusz inwestycyjny Dogo Capital Investment podczas debiutu spółki Esco SA w 2006 roku kupił pakiet dwudziestu procent akcji, stając się tym samym inwestorem strategicznym dla Karasowicza. Co więcej, fundusz realnie inwestował w firmę, nie licząc na szybki zwrot, lecz długofalowe korzyści. Współpraca przebiegała wyśmienicie, Karasowicz nawet polubił ich szefa, Dominica Herve'a. Aż do teraz.

- Czyli się nie ujawniają. - Było to stwierdzenie.

- Właśnie - przytaknął chłopak. - I reszta we *free float*.

Karasowicz wziął kilka głębszych oddechów. Szlag by trafił tych Francuzów! Nie mieli kiedy sprzedawać! Musiał zwołać walne, ale jak tu zaprosić akcjonariuszy, skoro nie wiedział, kogo ma w składzie. Oczywiście nie był to problem techniczny. Wystarczyło się ogłosić i zainteresowani się zjawią. Dlatego był taki wściekły - do tej pory znał swoich akcjonariuszy i przeforsowanie jakiegokolwiek poważnej decyzji nie stanowiło problemu. A tak, to każdy mógł mu się zwalić na walne i wszystko zablokować. Sprawę należało najpierw wyjaśnić. Porozmawia z Herve'em i wyjaśni wszystko. Tak będzie dobrze.

- To wszystko - rzekł biznesmen. - Przepraszam za ten ton.

Menedżer skinął tylko głową, zabrał swoje papiery i szybko wyszedł z biura.

Karasowicz odchylił się w fotelu i zamyślił. Nie powinien tracić panowania nad sobą, ale naprawdę nie lubił być wystawiany do wiatru. Boże, dlaczego ludzie nie myślą? Przetarł twarz dłońmi i omiótł wzrokiem biurko. Jego wzrok padł na dziwną szarą teczkę wystającą spod sterty papierów.

- A to co za cholera? - mruknął i sięgnął do niej. Ach, dostał to od Chojnackiego, tyle że... Zaczął przeglądać papiery i znów poczuł pulsowanie w głowie.

- A to skurwysynki - wycedził i sięgnął po słuchawkę, bo sekretarka właśnie przełączała rozmowę z Herve'em.

Ogłoszeniu decyzji dotyczącej przyjęcia stanowiska Rady Unii Europejskiej w sprawie rajów podatkowych nie towarzyszył ani błysk fleszy przy składaniu podpisów pod dokumentem, ani wspólne zdjęcie ustawodawców. Jak gdyby był to kolejny, jeden z tysięcy dokumentów, które po zakończeniu obrad przekładano na biurko do podpisu Wysokiego Przedstawiciela Unii Europejskiej do Spraw Zagranicznych i Polityki Bezpieczeństwa, pełniącego jednocześnie funkcję przewodniczącego Rady. Po złożeniu podpisu dokument przejmował sekretariat, gdzie go skanowano, a następnie wędrował

już w formie elektronicznej do innych instytucji i urzędów Unii, w tym i do Biura Prasowego. Tam z kolei redagowano go na zrozumiały dla mediów i świata komunikat. Po akceptacji działu prawnego komunikat razem ze skanem podpisanego dokumentu miał pojawić się na stronie internetowej Rady Unii Europejskiej, skąd mogły go pobrać agencje informacyjne z całego świata. Przy dużych wydarzeniach zwykle organizowano konferencje prasowe, podczas których dziennikarze mogli na gorąco uzyskać komentarze i opinie unijnych polityków. W tym jednak wypadku zrezygnowano ze spotkania. Choć podjęta decyzja nie miała mocy prawnie wiążącej, brak dyplomatycznych fanfar nie oznaczał braku zainteresowania mediów tematem.

Wręcz przeciwnie.

Athene Cashir, która zastąpiła na stanowisku Wysokiego Przedstawiciela Unii Catherine Ashton, dłużej niż zwykle przyglądała się podpisanemu właśnie dokumentowi. Za przyjęciem decyzji było 298 głosów na 345. Ponieważ głosowano kwalifikowaną większością, która oznaczała minimum 255 głosów z co najmniej dwóch trzecich państw reprezentujących 62 procent ludności, decyzja została przegłosowana i uznana za ważną.

Aż dziw, że tak gładko poszło. Przeciw opowiedziały się tylko Cypr, Belgia, Luksemburg i Hiszpania. Tylko, bo jeszcze niedawno sama Wielka Brytania uznawała siebie za raj podatkowy. W ogóle tematyka rajów podatkowych była i jest mocno kontrowersyjna. Na świecie było ponad czterdzieści państw z niskimi lub wręcz znikomymi obciążeniami podatkowymi. Terytoria *offshore*, będące oczkiem w głowie przedsiębiorców, jednocześnie stawały się solą w oku polityków. Tym bardziej, że aby korzystać z rajów podatkowych, nie trzeba było ruszać się ze starego kontynentu. Najpopularniejszymi europejskimi rajami podatkowymi były Andora, Monako i Liechtenstein oraz terytoria zamorskie Wielkiej Brytanii, jak Guernsey, Sark, Alderney, Gibraltar i Jersey. Jakie to przewrotne, biorąc pod uwagę to, że według wyliczeń sprzed kilku lat budżet Wielkiej Brytanii traci na rajach podatkowych ponad trzydzieści miliardów funtów rocznie.

Ciekawe jednak, że od lat nic z tym nie robiono. To znaczy, podejmowano różne działania. Po aferze w Niemczech z 2008 roku, kiedy okazało się, że część niemieckich urzędników unikała płacenia wysokich podatków, zakładając konta w Liechtensteinie, Komisja Europejska wydała wojnę rajom podatkowym. Paradoks polegał na tym, że z urzędniczej chciwości sprawa się zaczęła i na niej się skończyła. O ile bowiem unikanie płacenia podatków jest przestępstwem, o tyle optymalizacja podatkowa jest dobrem powszechnie dostępnym i wskazanym. Dotychczas podejmowane przez Unię działania uwydatniały tylko zacofanie i gnuśność jej urzędników. Rajy podatkowe zmieniły front już na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, na co nie miały wpływ miał upadek banku Dextera w Stanach Zjednoczonych oraz stanowcze działania przeciw *inside trader*'ow. Zamiast więc kusić oszustów tajemnicą bankową, rajy podatkowe

postawiły na promocję niskich stóp podatkowych. Niezmiennie numerem jeden w tej lidze jest Szwajcaria, w której kantony rywalizują pomiędzy sobą, a obniżanie podatków jest jednym z podstawowych rodzajów oręża w tej walce. W dodatku osoby ze statusem rezydenta mogą same negocjować ryczałtowo płacone stawki podatków. Nie każdego jednak Szwajcarzy wezmą pod swoje skrzydła. Tam bogactwo i majątek mierzy się inną, znacznie dłuższą miarą. Najdobitniej przekazuje to stary dowcip: *Przychodzi facet do szwajcarskiego banku założyć konto. Bankier pyta go uprzejmie, ile chciałby wpłacić na konto. Ten odpowiada półgłosem: milion euro. Bankier na to: Proszę głośniej. U nas biedy nie ma się co wstydić.* Tyle w tym temacie.

Jednakże nie bez powodu mówi się, że coś jest pewne „jak w szwajcarskim banku”. Politycy mogą mówić swoje, a i tak do najsłynniejszych szwajcarskich banków mogą po prostu... nie trafić. W Zurychu bankierzy mają krótkie godziny pracy, w dodatku często same banki są po prostu zamknięte. Interesanci muszą się umówić, aby zostali w ogóle wpuszczeni do budynku.

Jeśli jednak Unia miałaby ukarać jakiekolwiek państwo czy instytucję za zachowanie pełnej tajemnicy bankowej, to co z tymi, którzy ją nagminnie łamią? Co w ogóle z tajemnicą zawodową? Przecież wystarczy przejść się nieopodal do Parku Leopolda w porze lunchu, żeby wysłuchać najnowszych rekomendacji analitycznych, możliwości wystąpienia potencjalnych transakcji, wykrycia chorób nowotworowych u znanych biznesmenów czy oszustw księgowych w danych spółkach. Ludzie rozmawiający podczas posiłków, joggingu czy spaceru chyba w ogóle nie mają pojęcia, że są w miejscach publicznych! A może wszystko jest już publiczne?

Athene Cashir zerknęła jeszcze raz na dokument. Może i dobrze, że nie zdecydowała się nawet na *briefing* z dziennikarzami. Pismo sformułowano niemal w błagalnym tonie. Co z tego, że każda firma, która „wróci” z rachunkami z Cypru czy z Wysp Dziewiczych, zostanie objęta „pakietem wyrównującym”? A tym, którzy „zostali”, obieca się zwolnienia z obowiązkowych składek na ubezpieczenia społeczne? Należy dodać, że aby wszystko w budżecie się zgadzało, składki te mają być opłacone z funduszy spółek powracających. Już czuła, że decyzja wywoła falę krytyki za brak bardziej zdecydowanych działań; za kolejny rozrost administracji państwowej, a także oskarżeń o naruszanie prawa do wolności wyboru.

Ale z drugiej strony, jeśli dzieci psują swoje zabawki i nawet czerpią z tego radość, to rodzice muszą powiedzieć: „Dość!”. Bo kto naprawi te zabawki? Kto kupi nowe? No przecież na to też potrzebne są środki.

Chyba ten młody PR-owiec, który odradził jej *briefing*, zasługuje na premię. Przecież media zjadłyby ją żywcem. Swoją drogą ciekawe, kto pierwszy to przeczyta. Pewnie stażyści i młodszy asystenci dziennikarzy. Słyszała, że kiedyś w redakcjach karą za spóźnienie lub słaby tekst było pisanie horoskopów. Teraz pewnie czasy się zmieniły.

Chociaż kto to wie?

Dochodziła dwudziesta, komunikat pojawi się na stronie Rady najpóźniej za godzinę. Część redakcji mogła już zamknąć wydania. Tym lepiej, nie będzie to zmasowany atak, ale pojedyncze kopniaki. Jakoś to znieś. Sięgnęła po następny dokument.

Pomimo późnych godzin wieczornych wzduż Whitehall i Parliament Street ciągnął się sznur samochodów, a przez chodniki przelewała się masa ludzi powoli zmierzających w kierunku domów. Pogodny zachód słońca i ciepłe powietrze przetrzymywało co swobodniejszych na świeżym powietrzu, a nawet ci śpieszący się zwalniali krok. Uśmiechnięci turyści fotografowali się na tle London Eye, znajdującego się po drugiej stronie Tamizy, przepraszając okupujących bulwary Victoria Embankment biegaczy za stawanie na drodze i wchodzenie pod nogi. Zdawało się, że w całym Westminsterze humoru nie mieli jedynie ci, którzy liczyli na pamiątkowe zdjęcie przy Downing Street 10. Być może nastrój poprawiłby im się o wiele szybciej, gdyby wiedzieli, że i lokator tego słynnego budynku miał powody do narzekań.

Budynek przy Downing Street 10 pełnił funkcję rezydencji i biura premiera Wielkiej Brytanii - czyli oficjalnie siedziby Pierwszego Lorda Skarbu, która to funkcja została w 1905 roku połączona ze stanowiskiem szefa rządu w Wielkiej Brytanii - a także siedziby rządu Jej Królewskiej Mości. Wielokrotnie przebudowywany i gruntownie remontowany, jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych budynków w Wielkiej Brytanii i na świecie.

Dla zamkniętego w swoim gabinecie premiera Johna Browna pogoda miała ogromne znaczenie. Uważał, że w dni słoneczne i pogodne łatwiej się negocjuje, ludzie są bardziej aktywni i myślą szybciej oraz kreatywniej. Deszcz z kolei sprzyjał budowaniu relacji, nawiązywaniu koleżeńskich stosunków czy wyjaśnianiu wszelkich nieporozumień. Często, o ile mógł sobie na to pozwolić, dopasowywał ruchome części planu dnia do prognozy pogody. A ta w Wielkiej Brytanii była równie nieprzewidywalna jak codzienny deszcz o piątej po południu. Niestety, tego dnia nie wiedział nawet, czy słońce wzeszło, a już na pewno nie był pewien, czy zaszło. Od rana siedział nad papierami, nawet lunch kazał sobie przynieść do biura. Jego żona Mary, będąca w szóstym miesiącu ciąży i znaczną część dnia poświęcająca na przygotowanie pokoju dla bliźniąt, które miały niebawem się pojawić, oburzała się na takie praktyki. Przecież dzieliło ich raptem kilka ścian, a przez jego pracoholizm oboje jadal w samotności. Nic to, że ona zaglądała do lodówki co dwie godziny... Ale praca to praca, dzięki niej może ktoś kiedyś wynajdzie lek i na kobiece zachcianki.

Jeszcze wczoraj czuł, że oto naprawdę zrobi coś dla swojego państwa. Znalazł metodę na odzyskanie przepływów pieniężnych i kapitału gromadzonego do tej pory

przez Brytyjczyków w rajach podatkowych. Ci pewnie nie byli najszcześliwsi, że muszą wracać do kraju, ale będą mieli łagodne lądowanie - już on się o to postara. Ulgi, zwolnienia i dotacje. Wielka Brytania ponownie stanie się rajem podatkowym dla swoich mieszkańców. Nie żeby nie myślał przy tym o ponownych wyborach... Jednak najważniejsze było to, że zachowa się w pamięci potomnych jako człowiek, który usprawnił brytyjską gospodarkę, załatał dziurę budżetową i nadał nowe tempo rozwojowi gospodarczemu. Satysfakcja była dlań już prawie namacalna, żywa. Ileż rzeczy mógłby dzięki temu zmienić! Ot, obniżyłby choćby czesne za studia, tak nierozważnie podniesione przez parlament. Zwalczyłby gangi narkotykowe, przygotował nowe miejsca pracy dla absolwentów. Tyle do zrobienia!

Tymczasem wszystko mogło się zapaść!

A wszystko przez durny system finansowania Unii Europejskiej! Opierał się on na zmodyfikowanym systemie jeszcze z lat 70. Finanse Unii napływały z trzech źródeł: z ceł, pobierane przez państwa członkowskie w imieniu Unii, z wpływów z podatku VAT oraz ze środków opartych na dochodzie narodowym brutto. Ze względu na najwyższy udział Wielkiej Brytanii w finansowaniu Unii w wypłacie dochodu narodowego brutto na mieszkańca, wprowadzono specjalny system korekt, mający zwrócić jej 66 procent dotychczasowych wpłat.

Teraz jednak, ponieważ dochód narodowy Wielkiej Brytanii ma dokonać gwałtownego skoku, Unia rozważa całkowitą rezygnację z przyznanego rabatu. Bez sensu! Jak on ma walczyć o swój kraj, skoro musi zwiększyć o połowę daninę na biurokrację, której wysokość i tak przekraczała wszelkie ludzkie wyobrażenia. A na co idą te pieniądze? Na doszkalanie Europejczyków z francuskiego i włoskiego, bo nie radzą sobie z angielskim! Banda nierobów i naciągaczy.

Przeciagnął się i odłożył papiery na bok. Ostatnia teczka. Eurocopter. Zakup nowych śmigłowców dla Unii był od miesięcy sporną sprawą, która uległa zaostrzeniu w ostatnich dniach. Francja od dawna lobbowała na rzecz nowego modelu Tiger Eurocopter typu FLAP, którego koszt wahał się w granicach czterdziestu milionów dolarów. Z drugiej strony nic dziwnego, że zależy im na promocji tych maszyn - jak wieść niesie, Eurocopter Group cienko przedzie.

Premier Wielkiej Brytanii przejrzał material. W innych okolicznościach nie miałby nic przeciwko zakupowi tigerów: nie były gorsze niż amerykańskie apache czy black hawki. Nawet rozmawiał o tym z polskim premierem, że warto zainwestować w europejską produkcję uzbrojenia. Czyż wyniszczająca wojna pomiędzy Boeingiem a Airbusem nie przyczyniła się do wielkich innowacji w przemyśle lotniczym?

Problem tkwił gdzie indziej. Francja była jednym z głównych orędowników likwidacji rabatu dla Wielkiej Brytanii w finansowaniu Unii. Zakup tigerów mógł być jedyną i ostatnią kartą przetargową. Musi więc ich przetrzymać. Zastanowił się. A gdyby tak kazać im przeprowadzić testy? Na przykład podczas manewrów... Zyskałby

na czasie, a i Montowi trochę utarłby nosa. Bo, że potwierdził zgodę na zakup helikopterów, to prawda. Klamka zapadła, decyzja została podjęta. Ale formuły zakupu nie określili, a przecież przetarg jest najpowszechniejszą formą zakupów w administracji publicznej.

- Jak to testy?! - krzyknął do słuchawki premier Riks.

- Normalnie - odrzekł spokojnie Kazimierz Smuka, minister obrony narodowej. - Adams powiedział, że przy zakupie sprzętu wojskowego o tak znacznej wartości warto przetestować inne modele.

Thomas Adams był odpowiednikiem Smuki w Wielkiej Brytanii. No ładnie...

- Tak? Przecież sam rozmawiałem z Brownem! Wyraził pełną aprobatę dla tego pomysłu!

- Wiem, Antoni. Ale to było przed głosowaniem w sprawie rajów podatkowych.

W słuchawce dało się słyszeć kilka szybko rzuconych przekleństw.

- A Francja?

- Na razie milczy.

- Mont pewnie zadzwoni, kiedy wybiega swoją frustracją. - Riks westchnął. - Dobrze. Dziękuję, Kazik, informuj mnie na bieżąco.

- Jasne. Na razie.

Premier Riks odłożył słuchawkę. Co to, do kurwy nędzy, miało znaczyć?! Przecież wszystko wydawało się być ustalone, załatwione. A teraz? Anglia się miga, Francja wścieka. A ja wychodzę na idiotę! Nie można robić z gęby cholewy!

No, lepiej być nie może! Ale co się zmieniło? Musi istnieć jakieś wytłumaczenie!

[longwatch]

i co?

[lojal]

jeszcze czekamy

[cwal8]

nie, zamykamy

[lojal]

?????????

[dyrektor 5]
nie lepiej poczekać? Możemy mieć więcej chętnych

[cwal8]
po co?

[lojal]
może i tak

[cwal8]
ruszamy

Wszystko nagle stało się takie proste, choć zupełnie inne od jego dotychczasowego życia. Piotr czuł, jakby nagle ktoś wsadził mu głowę pod zimny prysznic, który nie tylko otrzeźwił mu umysł, ale pomógł również otworzyć oczy. Bo jakimże ślepcem był do tej pory! Żyjąc w bezpiecznej przystani, łatwo zapomina się o sztormach. A czy mogło być pocieszeniem, że działo się to na masową skalę? Kolejny rzut choroby społecznej, przyczyny typowej dla Polaków solidarności i braterstwa w sytuacji zagrożenia oraz apatii i wzajemnej niechęci w okresie pokoju?

Usiadł na łóżku. Nadmiar wrażeń oraz pozostałości po uderzeniu w głowę wciąż dawały o sobie znać w postaci lekkiego ćmienia w skroniach. Niespecjalnie pocieszające były też słowa lekarza, który co prawda stwierdził, że nic mu nie dolega, ale bóle mogą potrwać jeszcze kilka dni. Trudno, trzeba z tym żyć. Wystukał znajomy numer. Wcześniej, gdy powiedział Krzysztofowi, że musi się skontaktować z przyjacielem, bo pewnie go szukają, usłyszał, że przecież nie jest w więzieniu. No tak. Niby normalnie, a jakże odmiennie.

- Halo? Michał? Cześć, tu Piotr...

- Piotr?! - krzyknął tamten. - Gdzieś ty się podzie- wał? Prawie uznaliśmy cię za zaginionego!

- Spokojnie, wszystko okej - zaczął się tłumaczyć, starając się, by głos mu nie drżał z emocji. - Przepraszam, że się nie odzywałem. Pilne sprawy mi wypadły.

- W porządku. Nie wnikam w twoje perwersje - dał się udobruchać Michał Smoliński. - Co się dzieje? Gdzie jesteś?

- Nic takiego. Nocuję u... znajomego. Chwilowo.

- Ale nie zachlałeś?

- Nie, no co ty?!

- No dobrze. Nie chcesz mówić, to nie mów. Ja i tak mam urwanie głowy bez twoich problemów. Przez tę imprezę u premiera wszyscy dostali sraczki jak przy epidemii

grypy żołądkowej.

- U premiera?

- Tak, ochramiamy podjazd. Wiesz jakiego teraz mają wszyscy bzika na punkcie zamachu terrorystycznego.

- To do zobaczenia.

- Będziesz miał mi chyba dużo do opowiedzenia.

Odłożył słuchawkę. Po chwili zszedł do salonu, ale nie było tam Krzysztofa. Zapukał do gabinetu.

- Proszę! Wejść! - usłyszał przez drzwi.

Krzysztof siedział za ogromnym biurkiem, na którym leżał jedynie laptop. Mężczyzna uśmiechał się do niego zza okularów.

- Siadaj. - Wskazał mu miękki fotel po lewej stronie. - Co tam nowego? - Wrócił do pisania.

W pokoju panował półmrok, spowodowany przez szczelnie zaciągnięte grube zasłony. Po prawej stronie od wejścia stała prosta, zamykana szafa, a obok komoda. Z tyłu, za biurkiem, znajdowała się potężna całkiem pusta biblioteczka.

- Zastanawiałem się, co z pracą - rzekł Piotr, gdy usiadł na miejscu. - Muszę się jakoś usprawiedliwić.

- Przecież masz urlop, prawda? - Krzysztof nie przerwał pracy. - Zdaje się, że całe dwa tygodnie.

- No tak... - Piotr zastanowił się, czy jest coś, o czym oni nie wiedzą. - Zupełnie zapomniałem. - Zaczął wstawać.

- Spokojnie. - Krzysztof uśmiechnął się i poprosił go, żeby jeszcze usiadł. - Mam kilku znajomych w ministerstwie. Kiedy byłeś na górze, poprosiłem o sprawdzenie twojego czasu pracy. Ja również bardzo poważnie do niej podchodzę - wytłumaczył się. - A tymczasem - zerknął na zegarek - powinien już przyjść twój krawiec...

- Krawiec?

- No tak. - Mężczyzna zdjął okulary i przetarł dłonią zmęczone oczy. - Po koszulki na zmianę mogę wysłać Jurija, ale garnitur na imprezę musisz mieć porządnym.

- Jasne. - Ruszył do drzwi. Nie dość, że weźmie udział w jakiejś fecie u premiera, to jeszcze w szytym na miarę garniaku. Ale Michał będzie miał ubaw z tego bur- żujstwa, jak się tylko dowie.

Bronisław Kaczkowski przyszedł parę minut później i od razu zaprosił Piotra do szerokiej garderoby na pierwszym piętrze. Chłopak posłusznie rozebrał się do bokserów i stanął przez wysokim lustrem. Krawiec okazał się niskim i sędziwym, ale żwawym człowiekiem, o surowym wyrazie twarzy i zimnych dłoniach, które raz po raz wędrowały wraz z centymetrem a to po nerkach Piotra („teraz mierzymy szerokość ramion oraz długość pleców od łopatek do pasa”), a to po udach („długość nóg mierzy się od pachwin do stóp”). Po kilku minutach krawiec skinął z aprobatą głową, a Piotr

odetchnął.

- To doprawdy niedorzeczne, że dano mi tak mało czasu na przygotowanie garnituru - rzekł, podchodząc do wieszaka z garniturami. - Nie spotkałem się dotąd z takim protekcjonalizmem, ale świat ponoć idzie do przodu. Choć nie we właściwym kierunku - mruknął i przyjrzał się metkom. - Och, jest! - zadowolony wyciągnął jeden z garniturów i pokazał Piotrowi. - To William Fioravanti. Nie kupisz go, co prawda, na Savile Row, ale ma niezłą linię i dobre materiały. Skrócimy rękawy i będzie idealny prêt-à-porter.

- Zapewne - przytaknął Piotr, bo nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Do tej pory kupował garnitury w centrach handlowych. Ostatnio nawet zapamiętał, że lubi modele RageAge.

Czy przez kilka dni tak wiele się zmieniło?

ROZDZIAŁ IX

Fuzje i przejęcia

Nie każdy obywatel Unii Europejskiej jest świadomy, że Wspólnota ta posiada własny program bezpieczeństwa i siły obronne, których łączny budżet wynosi ponad 290 miliardów dolarów. Być może wynika to ze stosunkowo ubogiej historii operacji unijnych, w dodatku o mało medialnym charakterze. Choć Unia prowadziła przede wszystkim działania stabilizacyjne i akcje policyjne, w skład jej sił obronnych wchodzi kilkanaście instytucji, organów i jednostek, z których tylko najważniejsze to: Europejska Agencja Obrony, Centrum Satelitarne UE, Instytut Studiów nad Bezpieczeństwem, Europejskie Grupy Bojowe, Europejski Plan Rozwoju Zdolności Bojowych, Europejski Cel Operacyjny UE, Europejskie Siły Szybkiego Reagowania oraz Europejska Polityka Bezpieczeństwa i Obrony (ESDP).

Początki unijnej polityki obronnej sięgają lat 50. XX wieku i planu René Pleven, premiera Francji, który wyszedł z pomysłem włączenia RFN do europejskich struktur obronnych. Miało to zapobiec odrodzeniu się militarizmu w Niemczech i z jednej strony zwiększyć siły obronne Europy wobec ZSRR, a z drugiej uniezależnić ją od pomocy Stanów Zjednoczonych. Idea ta nigdy jednak nie weszła w życie, przewrotnie odrzucona przez Zgromadzenie Narodowe Francji.

Pomysł budowy wspólnej polityki obronnej powrócił na dobre w latach dziewięćdziesiątych. Na mocy traktatu z Maastricht w latach 1992-1993 powstały europejskie siły zbrojne Forces Armées Européennes de Sécurité (FAWEU), podległe Unii Zachodnioeuropejskiej. W 2003 roku Rada Europejska przyjęła wspólną Europejską Strategię Bezpieczeństwa, której celem była budowa autonomii Unii Europejskiej w dziedzinie bezpieczeństwa i obrony. Dokument definiował potencjalne zagrożenia dla Unii oraz określał rolę i formę działań prewencyjnych. W 2006 roku na siły wojskowe Unii składało się dwa tysiące jednostek, wykorzystywanych zarówno przez Unię, jak i NATO. Nadal jednak przede wszystkim w operacjach policyjnych.

W 2007 roku przyjęto traktat lizboński, który nie tylko zreformował Wspólną Politykę Bezpieczeństwa i Obrony, ale także określił *casus foedens* - przypadek zobowiązujący państwa sprzymierzone do podjęcia akcji zbrojnej.

Początkowe kroki krajów europejskich w zakresie autonomii wojskowej spotkały się z niechęcią NATO, widzącego w nowych formacjach silną konkurencję. Obecną współpracę Unii z NATO w zakresie bezpieczeństwa i obrony oparto na

porozumieniach z marca 2003 roku, zgodnie z którymi UE otrzymała między innymi gwarancję wglądu w plany operacyjne NATO, dostęp do określonych możliwości i wspólnych zasobów NATO, a także stanowisko zastępcy głównodowodzącego siłami NATO w Europie.

Polski Premier wiedział o tym wszystkim, a mimo to stał bezradnie jak dziecko przed zbyt wysokim murem.

Odkąd pamięta, powtarzano mu, że jeśli bardzo się czegoś chce, można to osiągnąć. Czasami trzeba odejść od muru, żeby znaleźć drabinę. Czasami trzeba podrosnąć, żeby się wspiąć. A czasami wystarczy spojrzeć bardziej trzeźwo, żeby przekonać się, że muru wcale nie trzeba przeskakiwać, a na jego drugą stronę można się dostać, okrążając go. Tak, cierpliwość i konsekwencja to największe zalety mądrego człowieka.

Teraz jednak zupełnie nie wiedział, co robić.

Zawsze był świadomy różnic kulturowych, jakie istnieją nie tylko pomiędzy różnymi regionami świata, ale i sąsiadującymi ze sobą krajami. Czujny obserwator łatwo dostrzegał te różnice, przejawiające się chociażby w języku, ubiorze, obyczajach, religii i historii. Riks widział je i rozumiał, również te głębsze elementy kultury, które niejednokrotnie wykorzystywał podczas wizyt państwowych czy podczas negocjacji.

Nigdy jednak nie przypuszczał, że różnice kulturowe staną się katalizatorem destrukcji wzajemnego zaufania. A wszystko przez to, że Francuzi podchodzą do wszystkiego bardziej emocjonalnie. Typowa natura ekstrawertyczna. Nie to co Polska. Porządna, powściągliwa Polska. Tylko co z tego? Prawda była taka, że musiał poprzec te manewry.

Z samego rana, ledwo zdążył przekroczyć próg kancelarii, miał już oczekujące połączenie z Paryża. Na gorącej linii. Nigdy jeszcze nie słyszał Jacques'a tak wściekłego. A może potwornie wystraszonego? Musi się im budżet sypać, skoro tak zabiegają o sprzedaż tych tigerów. Warto sprawdzić, zanotował Riks w pamięci.

Ostatecznie prezydent Mont zaakceptował pomysł organizacji manewrów z udziałem nowych modeli tigerów Eurocoptera i apache'ów Boeinga. Ale czy miał wybór? Też nie. Wściekły nie na żarty ustalił termin manewrów na początek najbliższego tygodnia. Niech już dostawcy i technicy się martwią, jak to zorganizować w tak krótkim czasie. A zaczęło się tak niewinnie! Miała to być typowa umowa. Przecież traktat o rajach podatkowych jest prawem korzystnym dla wszystkich państw Unii! I zamiast teraz wspólnie świętować, oto co właśnie robili. Odcinali kupony z lewej loterii. Ciekawe, kiedy ktoś doniesie na policję.

Riks przetarł okulary i wyprostował się na krześle. Czuł efekty stresu i napięcia w każdym odcinku swojego dotkniętego przez skoliozę kręgosłupa. Poruszał głową na boki i poczuł, jak strzyka mu w karku. W gruncie rzeczy pewnie i tak wszystko rozbije

się ostatecznie o biurokratyczną maszynę Unii.

Nie przypuszczał, że może być jeszcze gorzej.

Dzień jak co dzień, tyle że słońce wędrowało coraz wyżej, więc i ludzie byli jakby pogodniejsi. Jeśli ktoś zapytałby Elżbietę Górską o zdanie, to była zdania, że dzień i noc mogłyby trwać równo po dwanaście godzin. Nie znosiła, gdy zmordowana po całym dniu pracy, zakupach i staniu w kolejkach docierała do mieszkania, gotowała obiad i zjadała go razem z kolacją, siadała przed telewizorem, a na dworze nadal było widno. Człowiek ma wtedy wyrzuty sumienia, że dochodzi dwudziesta pierwsza, a on, wyprany z energii, leży na kanapie. Powinien korzystać z długiego dnia, iść na spacer, uprawiać jakiś sport, choćby jazdę na rowerze. Przecież od dziecka wpajano jej, że czas letni to ten dobry, kiedy trzeba cieszyć się życiem. A po ostatnim weekendzie października można, za przykładem całego narodu, zapaść w zimową chandrę.

Największe kłamstwo naszych babć? Nie jedyne zresztą.

Pozew był napisany jasno i klarownie. Widać, że powód skorzystał z profesjonalnego doradcy prawnego. W pierwszej chwili, gdy Wysocka rzuciła jej teczkę z tą sprawą na biurko, Eli przyszło do głowy, że może popełniła ogromny błąd, chcąc przerwać monotonię w pracy. Już zresztą widziała, jak to jej ślęczenie do nocy wywołuje protesty ze strony jej rodziny. Mąż wścieka się, że znów na obiad zamawiana pizza, chłopcy tyją na potęgę, w domu piętury się kurz i niepozmywane gary, a słodkoszyderczy uśmiech szefowej robi się coraz szerszy. Po bliższym zapoznaniu się z pismem Ela doszła do wniosku, że co prawda sprawa będzie trudna, ale jej nocne nadgodziny nie są jeszcze przesądzone. Na tyle, ile zrozumiała z dokumentu, który równie dobrze mógłby być żywcem wycięty z zestawu prawniczych casusów, pozwano jednocześnie KNF i GPW. Dobrze i to, przynajmniej nie będzie głowić się nad tym sama. Musi jednak zrozumieć cały tekst, a do tego potrzebna jej specjalistyczna pomoc. Wystukała na klawiaturze telefonu czterocyfrowy numer wewnętrzny i podniosła słuchawkę.

- Cześć, Paweł, masz chwilę? - zaczęła miło, gdy po drugiej stronie linii odezwał się głos.

- Dla ciebie zawsze, Elu. - Uśmiechnęła się. Lubiła Pawła. Choć był starszy od niej o jakieś sześć, siedem lat i zjadł zęby na procesach sądowych, to miał naturę pogodną i serdeczną. Oczywiście w stosunku do tych osób, które szanował i lubił. Bo bywały osoby - Eli przez głowę przemknęła twarz Wysockiej - które uważały go za ostatniego gbura i chama. - A o co chodzi?

- O pozew zbiorowy. Właśnie dostałam pismo i potrzebuję kogoś, kto mi przetłumaczy z polskiego na nasze.

- Okej. - Paweł się uśmiechnął. Jak każdy mężczyzna lubił być chwalony, a Ela potrafiła zawsze zrobić to w sposób niezwykle subtelny. - Mam jeszcze kilka maili do załatwienia... Tak za pół godziny?

- Świetnie. Dzięki.

Odłożyła słuchawkę. Dobry czas na colę. Podniosła się z fotela.

- Dziewczyny, idę do kiosku. Chcecie coś? - rzuciła do koleżanek.

- Nie, dziękuję - zachichotała Marta, najmłodsza z zespołu. - Ale Oldze przyda się valerin.

Olga, którą uważały za najstarszą i najpoważniejszą - Ela z przykrością uświadomiła sobie, że była raptem rok od niej młodsza - siedziała zwinięta na obrotowym krześle ze słuchawką telefonu przyciśniętą do twarzy, próbując stłumić podniesiony głos. Według niepisanych zasad każda z kobiet starała się rozmawiać i pracować jak najciszej, nie przeszkadzając innym.

- O co chodzi? - spytała Ela.

- Jakaś dziennikarka koczuje przed wejściem i zaczyna się awanturować, a nie ma kto z nią porozmawiać... - Marta uśmiechnęła się, lekko rozbawiona, ale ze współczuciem popatrzyła na koleżankę. - ...więc już trzeci raz dzwonią z recepcji do Olgi i starają się ją namówić.

Ela spojrzała na Olgę, która czując poparcie koleżanek, podniosła głos.

- Nie, nie będę z nikim rozmawiała, ani tym bardziej się spotykała! Co mnie to obchodzi?! - Zakryła mikrofon ręką i spojrzała na koleżanki oczami wielkości piłeczek pingpongowych. - No i co ja mam zrobić?! Mam pójść, tak?!

Panikę i stres miała wymalowane na twarzy, a same słowa świadczyły o tym, że zaczyna się łamać. Z tego, co Ela zauważyła, nikt w KNF - łącznie z przewodniczącym i rzecznikiem prasowym - nie lubił rozmawiać z dziennikarzami. Może ze względu na wzajemne uprzedzenia, może problemy, których takie rozmowy zwykle dotyczyły. Pracownicy instytucji publicznych mogli udzielać wypowiedzi publicznych w granicach, które wyznaczała tajemnica zawodowa bądź poufność sprawy. Nie oznaczało to jednak, że dziennikarze trzymali się tej samej zasady. Ponadto urzędnicy byli o tyle w gorszej sytuacji, że musieli wypowiadać się nie tylko merytorycznie, żeby nie zbłąźnić ani siebie, ani instytucji, w której pracowali, co wcale nie było takie proste, lecz także powinni zachować poprawność polityczną swojej wypowiedzi, co wielokrotnie po prostu nie było możliwe. Dlatego tym bardziej osoby piastujące wyższe stanowiska w instytucjach państwowych unikały mediów jak ognia. Jedno niefortunne słowo mogło zniweczyć wszystkie lata wspinaczki po śliskich szczeblach kariery urzędniczej.

Do mediów wysyłano „eksperta” lub „specjalistę”, zazwyczaj z długim stażem pracy w jednym urzędzie. Nawet jeśli ten by spanikował i się zaciął, stosunkowo łatwo można było wszystko wyprostować, zwalić winę na chorobę, a samego delikwenta odstawić na boczny tor. W zasadzie istniały tylko dwie sytuacje, w których szkody były

nieodwracalne i mierzone na zwolnienia. Pierwsza, kiedy ekspert podzieliłby się z dziennikarzami informacjami poufnymi. Zdarzało się to stosunkowo rzadko i zazwyczaj było powodowane rozzaleniem i zawodowym wypaleniem się owego nieszczęśnika oraz chęcią odwetu na dotychczasowych pracodawcach. Jeśli rozmowa toczyła się na żywo, należało wprowadzić sztab kryzysowy, by wymienić całą strukturę ochrony tajemnicy, która właśnie stała się jawna. Jeśli jednak rozmowa była jedynie nagrana, ale nie została jeszcze wyemitowana, istniała szansa dokonania wymiany pomiędzy urzędem a redakcją. Co prawda tajemnica i tak została złamana, więc należało wprowadzić nowe środki ochrony, ale skutki były mniej drastyczne. Do tego dochodziła sprawa honorarium dla dziennikarza: przekazanie w zamian innych informacji, dostęp do „pewnych” danych i tak dalej.

Druga sytuacja to taka, w której ekspert zapuszczał się na nieznane wody. Do legendy przeszedł przypadek, gdy kilka lat temu do TVN CNBC zaproszono gościa z ministerstwa finansów. Redaktor chciał porozmawiać na temat obligacji hurtowych. Tymczasem ów pan był ekspertem, ale od obligacji detalicznych. Ot, zwykle niedomówienie przy ustalaniu tematu rozmowy. Zamiast jednak wyjaśnić nieporozumienie już na samym początku wywiadu, który był emitowany na żywo, ekspert brnął dalej, dając ostatecznie niebagatelny popis własnej wyobraźni. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że brat tego eksperta był jednym z szefów działów w przedsiębiorstwie państwowym. Obaj znaleźli się na czarnej liście. I dziennikarzy, i polityków.

Ela popatrzyła na Olgę. Nie był to najlepszy pomysł, ale co mogła zrobić? Przynajmniej była bardziej opanowana.

- Powiedz im, że zejść zaraz do tej pani.

I zanim błogi wyraz ulgi zagościł na twarzy Olgi, Ela ruszyła ku drzwiom.

Kobieta stała w niewielkim holu między wejściem a recepcją.

- Dzień dobry, Elżbieta Górka. W czym mogę pani pomóc? - zaczęła uprzejmie. - Proszę tędy.

Poprowadziła ją do małej salki na końcu korytarza, zwanej SAGA, od słów *say whatyou want and get out*.

- Dziękuję. Anna Kałaszniakowa z „Rzeczpospolitej”. Chciałabym zamienić słówko z jednym z waszych ekspertów. Ale zdaje się, że macie państwo tutaj taki pożar, że nawet pan Filip jest nieosiągalny. - Oczy dziennikarki iskrzyły jak sztuczne światła na wiejskiej potańcówce.

Weszły do pokoju. Ela westchnęła w myślach. Czy te baby z recepcji nigdy się nie nauczą, że czasy PRL już się skończyły i pewne rzeczy można - a wręcz trzeba, zwłaszcza przed dziennikarzami - nazywać po imieniu? Tym bardziej jeśli dotyczyło to ich rzecznika prasowego.

- Pan Filip jest chory - powiedziała Ela spokojnie Napije się pani czegoś?

- Nie, dziękuję. - Dziennikarka usiadła naprzeciwko i uśmiechnęła się chytrze. - Pragnę jedynie informacji.

O Boże, pomyślała Ela i prawie przewróciła oczami. Sądząc po uczesaniu i stroju, chyba nie tylko. Nie знаła tej dziennikarki, ale prawda była też taka, że rzadko zaglądała do prasy.

- W jakiej sprawie pani przyszła?

- Chodzi o pozwy zbiorowe.

- Tak? - Ela się zdziwiła. Sprawa dopiero ruszyła. Co jest w tym takiego nadzwyczajnego, że budzi emocje wśród dziennikarzy? - A co konkretnie panią interesuje?

- Zaangażowanie przewodniczącego komisji w cały proces.

- Nie rozumiem...

- To może jaśniej. - Dziennikarka wyprostowała się i założyła nogę na nogę. Przy tej atrakcyjnej kobiecie Ela poczuła się jak stara szara mysz. Kobiety mają szczególny dar wyczuwania pewnej chemii, jaka panuje między ludźmi. Cóż, trudno było się oszukiwać, że zapalają do siebie sympatią. Dziennikarka kontynuowała: - Pozew złożyli inwestorzy reprezentowani przez Kancelarię Prawną Idzikowski. Tak się składa, że prezesi Idzikowski i Do- stański są znajomymi - żeby nie powiedzieć kolegami - jeszcze z czasów studenckich.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Co ona bredzi?

- Naturalnie. Jak również i o wielu innych aspektach sprawy, o której, jeśli dobrze rozumiem naturę tego spotkania, powinna pani wiedzieć.

- Do czego pani zmierza?

- Chciałabym uzyskać komentarz prezesa Dostań- skiego na temat niezależności pracy komisji jako pozwanego wobec powoda.

- To niedorzeczne!

- Kwestia sporna, droga pani - rzekła lekko dziennikarka. - Ludzie, którzy się lubią w biznesie, bardzo często są ze sobą powiązani na innych płaszczyznach. Nie od dziś wiadomo, że KNF przymykała oko na sprawozdania finansowe spółek wprowadzanych przez Idzikowskiego na giełdę. Swego czasu nawet minister Abrończyk zaczął się burzyć na ten syf, który lądował na warszawskim parkiecie. Sama pani widzi, że istnieje potencjalne ryzyko - zakończyła, rozkładając ręce.

- Proszę pani, domysły i spekulacje nie są moją mocną stroną. A decyzję o upublicznieniu spółki podejmuje GPW, a nie KNF. - Wzięła oddech, próbując zachować spokój. - Niemniej przekażę naszemu rzecznikowi pani prośbę i, jeśli będzie taka możliwość, także przewodniczącemu KNF.

- Rozumiem - rzekła Anna po chwili, a potem uśmiechnęła się. - Nie będę zabierała pani już więcej czasu. Zostawię swoją wizytówkę. - Położyła małą karteczkę na stole. - Dziękuję za rozmowę.

- Ja również dziękuję. - Wstały. - Odprowadzę panią.

Kobiety pożegnały się w holu i rozeszły w swoje strony. Ela obejrzała się jeszcze za dziennikarką. Ciekawa historia...

Ostatnie dni dały mu popalić. Przymusowe szkolenia zwykle go cieszyły, były urozmaicheniem codziennej służby. Ale tym razem odhaczał każdą godzinę, którą musiał spędzić w ośrodku. Miał sprawę do załatwienia, a człowiek kiepsko myśli i jeszcze gorzej strzela, jeśli jedną nogą jest gdzieś indziej. Pomimo uspokajającego telefonu od Piotra czuł przez skórę, że coś tu śmierdzi. Był przecież policjantem, miał nosa do takich rzeczy! Piotr nigdy nie nocował poza domem. Na noc uciekał nawet od swoich pańienek! A dziś przez telefon był taki dziwny... Cholera, a ich mieszkanie? Lśniło czystością.

A Piotr ma dwie lewe ręce do sprzątania. Coś tu nie grało. I najwyższa pora, żeby się tym zająć.

Michał Smoliński dobrze wiedział, gdzie znajduje się budynek KNF, choć nigdy jeszcze nie miał okazji wejść do środka. Dobrze, że przyjechał radiowozem i to z partnerem, bo nie miał przynajmniej problemu z zaparkowaniem. I ze zmianą ciuchów. Służbowy strój leżał teraz na tylnym siedzeniu, a jego miejsce zajęły dżinsy i T-shirt. Po co prowokować pytania?

- To jak, poczekasz chwilę? - spytał, wysiadając.

- No, spadaj już - rzucił kierowca. Tomasz Kiślewski służył w policji już dobre dziesięć lat i wciąż był sierżantem. Z lekką nadwagą i zamiłowaniem do samochodów rajdowych, był kwintesencją hipokryzji policjanta z drogowki: choć sam uważał jazdę dwieście kilometrów na godzinę za niezwykle fascynujące doznanie, kierowcę, który przekraczał dozwoloną prędkość o pięćdziesiąt kilometrów, nazywał piratem drogowym. Lubił jednak swoją pracę i swoje życie. Kiepski przykład kariery, za to oddany kompan i dobry kolega. - Masz kwadrans. Tylko nie rozwal nikogo w środku! - zarechotał. - A, i legitka! Może ci się przydać!

- Nie wiem po co... - Ale złapał w locie rzuconą plakietkę. Rozejrzał się w lewo, w prawo i ruszył na skos przez plac Powstańców w kierunku budynku Komisji Nadzoru Finansowego.

Anna Kałasznikowa wyszła przez obrotowe drzwi i zamyślona ruszyła w lewo, w kierunku postoju taksówek. Trzeba znaleźć dodatkowe źródło... Auć! Zza rogu wypadł mężczyzna i potrafił ją ramieniem.

- Przepraszam panią! - rzucił, odwracając się z wyciągniętą ręką, i ruszył przed siebie.

- Nie szkodzi - powiedziała odruchowo i już miała iść dalej, gdy spojrzała za nim ponownie. Zaraz... co on trzymał w ręku?

- Dzień dobry. Szukam pracownika Ministerstwa Finansów, który był oddelegowany do pracy u państwa. Nazywa się Piotr Mylczek.

- Sprawdzę... - Kobieta zerknęła na niego podejrzliwie i pochyliła się nad grubą, zaplamioną kawą książką. - Pan skąd?

- Z policji. - Smoliński uśmiechnął się i pokazał legitymację. - Sprawa jest... poufna, stąd ten nieformalny strój.

- Rozumiem. Mylczek... tak, pracował tu. W zespole, chyba z Zośką Paul i Elżbietą Górską. Ale o co chodzi? - Kobieta spojrzała na niego spode łba.

- Czy mógłbym z którąś z tych pań porozmawiać? Może z obiema. - Smoliński uśmiechnął się. Nic tak nie działa na nieprzyjemnego babsztyla jak uprzejmy, młody mężczyzna.

- Zośki nie ma, wyjechała... Ale Górską jest. Poproszę ją tu na dół.

- Bardzo pani dziękuję.

Anna Kałasznikowa była zbyt doświadczoną dziennikarką, żeby nie czuć, że coś było na rzeczy. Już sam fakt, że policjant bez służbowego munduru wchodzi do KNF jest zaskakujący. Co prawda, to historia na miarę brukowca, ale... Normalnie pewnie by oduściła, zajęta własnymi problemami i sprawami. Chciała jednak tam wrócić. Może coś przeoczyła?

Grzebiąc w torebce, przeszła przez drzwi akurat w chwili, by móc usłyszeć rozmowę w recepcji. Oho!

- Wie pan co... - zaczęła mówić do strażnika wciąż z jedną ręką w torbie. - Chyba zostawiłam gdzieś tu klucze...

- Elu, ktoś do ciebie. - Boże, co tym razem? Dopiero co zdążyła usiąść przy biurku.

- Coś ważnego?

- Nie wiem. Pan jest z policji - odpowiedziała aż nazbyt uprzejmie recepcjonistka.

Gdy Elżbieta Górską schodziła na dół, do głowy przyszła jej zabawna myśl, że niezły mają timing: ledwo skończyła rozmowę z dziennikarką, a już ją ścigają. Potem jednak stwierdziła, że to wcale nie jest śmieszne. A może dotknęła jednej z TYCH spraw, z którymi lepiej nie mieć nic wspólnego? Kto to wie, różne rzeczy się zdarzają.

- Pan do mnie? Elżbieta Górską. - Przywitani się. Młody, spokojny, sympatyczny. Chyba nie przysłali go po to, żeby ją aresztował?

- Możemy gdzieś zamienić dwa słowa?

Odeszli w głąb korytarza.

- Nazywam się Michał Smoliński. Przykro mi, jeśli moja wizyta jako policjanta panią zdenerwowała. - Uśmiechnął się lekko. - Proszę się niczego nie bać, jestem tu półprywatnie.

- Nie, oczywiście, że nie. - Kobieta zaśmiała się, próbując zagłuszyć dźwięk spadającego jej z serca kamienia. - W czym mogę pomóc?

- Szukam swojego przyjaciela, Piotra Mylczka. Zna go pani?

- Tak... pracowaliśmy razem.

- Kiedy po raz ostatni pani go widziała - spytał policjant uprzejmie.

- Zaraz... - Zaczęła się zastanawiać. - Był tu chyba w piątek.

- Mówił coś? Dokąd się wybiera, co planuje? - dopytywał się Smoliński.

- Chciał spotkać się z Zosią... - Zawahała się. - To koleżanka, chyba wpadła mu w oko. - Przypomniała sobie wyraz jego twarzy, jak usłyszał, że Zosia wyjeżdża. - Tak, na pewno.

- Powie mi pani, gdzie ona mieszka?

- Zaraz, ale o co chodzi? Coś się stało?

- Tego nie wiem. - Smoliński wyprostował się. - Ale mam pewne podstawy przypuszczać, że potrzebuje mojej pomocy.

- Ale ze mnie gapa! Były jednak w płaszczu! - Dziennikarka uśmiechnęła się promiennie do strażnika. - Bardzo panu dziękuję za pomoc!

Chwała budowniczym tego budynku, że postanowili nie kłaść nowych płytek podłogowych. Odgłos zbliżających się kroków z głębi korytarza zasygnalizował koniec rozmowy. Co prawda nie słyszała jej treści, ale sprawa stawała się coraz bardziej klarowna. Kobieta, która zajmowała się pozwami, interesowała się policja. A to oznacza, że istniała jakaś tajemnica, a Anna Kałasznikowa była specjalistką od ich odkrywania. Ruszyła do wyjścia.

- Dziękuję pani raz jeszcze za pomoc. - Mężczyzna uśmiechnął się i wręczył jej wizytówkę. - Zostawiam na siebie namiary. Gdyby coś się pani przypomniało, będę wdzięczny za wszelkie informacje.

- Rozumiem. Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni. Powodzenia.

- Do widzenia.

Ela ruszyła na górę z kolejną wizytówką w rękę. Chwilę temu miała wrażenie, że mignęła jej blond czupryna tej dziennikarki. Co też ona znowu miałyby tu robić? Zanim jednak doszła do pokoju, drobiazg ten uleciał jej z głowy, zastąpiony przez smętne rozważania na temat dziwnych zdarzeń mających tu miejsce ostatnio. Pociąg wciąż gnał do przodu, a ona nie знаła ani kierunku jazdy, ani stacji przesiadkowych.

- I jak?
- Jedziemy dalej. Na Saską Kępe - odpowiedział Michał, spoglądając za siebie.
- Coś się stało? - spytał funkcjonariusz, patrząc jednocześnie w lusterko wsteczne i zapalając silnik.
- Nie... Nie, coś mi się wydawało. Jedziemy.

Duża damska torba, choć może i przyczynia się do niedokrwistości rąk oraz skrzywienia kręgosłupa, jest jednak niezastąpiona. Anna Kałasznikowa schowała do swojej pakownej torby wyjętą chwilę temu „Rzeczpospolitą”, którą elegancko zasłoniła swoje oblicze, i powoli ruszyła za policjantem. Szedł szybko, ale jego ruchy nie były nerwowe - raczej typowe dla człowieka pewnego siebie, który idzie w określonym kierunku. Tempo nie było więc spacerowe, ale także nie biegł na złamanie karku.

Przeszła pomiędzy samochodami i zwolniła kroku, widząc, jak mężczyzna wsiada do radiowozu i po chwili odjeżdża. I co teraz? Swoje auto zostawiła w serwisie, a do redakcji przyjechała taksówką. No i nie będzie ściagała policji! Może zawsze wrócić do budynku i jeszcze raz pogadać z tą kobietą. Wyglądała na porządną, może szepnie jej jakieś słówko w zaufaniu? Tylko jakie? Czy tu w ogóle o coś chodziło? Tego przestała być Kałasznikowa pewna.

Kiedyś czytała, że często osoby pracujące w zawodach, w których stres i emocje odbiegają od przyjętych norm, uzależniają się od wysokiego poziomu hormonów. Człowiek mający przez dłuższy czas zbyt wysokie stężenie na przykład adrenaliny przyzwyczaja się do jej obecności. Oznacza to, że spadek stężenia hormonu organizm odczytuje jako coś negatywnego i zagrażającego życiu lub zdrowiu. Natychmiast dopomina się brakujących substancji, a ten gwałtowny głód wpływa negatywnie na inne funkcje życiowe. Podobne objawy przeżywają palacze rozstający się z nikotyną. Drżenie rąk, zaburzenia odżywiania i wahania masy ciała to tylko objawy zewnętrzne. Gorzej jest z mózgiem. W sytuacjach krytycznych dochodzi do zaburzeń uniemożliwiających delikwentowi dalsze funkcjonowanie. Doszukiwanie się teorii spiskowych przez weteranów służb wywiadowczych lub byłych żołnierzy bardzo często jest następstwem poważnej choroby psychicznej. Do grup ryzyka zalicza się także dziennikarzy.

Czy to oznacza jej koniec?

Kałasznikowa zawsze była dumna ze swojego nosa zarówno do ludzi, jak i spraw. Ale sama przed sobą musiała przyznać, że ostatnio coś ją „przytknęło”.

Może rzeczywiście się wypaliłam i powinnam pójść na urlop? Zabrać Klaudiusza do Afryki, pojechać na sawannę... Co robić?

Zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i wsiadła szybko na tylne siedzenie. Już miała poprosić kierowcę, żeby zawiózł ją na Prosta, gdy bokiem minęła ich czarna limuzyna Chevrolet z przyciemnionymi tylnymi szybami. Zerknęła na numery rejestracyjne.

Akurat te dość dobrze pamiętała. Hmm... właściwie to nic mi nie szkodzi spróbować. Myślała nawet o tym, żeby do niego zadzwonić...

- Za tym czarnym autem proszę. - Uśmiechnęła się przyjaźnie. - Śledzę niewiernego męża.

Kierowca wzruszył ramionami, włączył kierunkowskaz i ruszył do przodu. Nie jego sprawa.

Przed Dostańskim otworzyły się drzwi i wszedł do środka zacisznego sushi baru przy Alei Jana Pawła II. Blisko i bezpiecznie. Minął stoliki, z których zajętych było tylko kilka, i skierował się w stronę wąskiego korytarzyka. Prowadził on do drugiego pomieszczenia podzielonego na ustronne boksy, które były idealne do przeprowadzania poufnych spotkań. Po kilku krokach odnalazł lekko uchylone drzwiczki, tak jak się umówili. Wszedł i bez zbędnych grzeczności zaczął:

- To jak tam, Romualdzie? Czym sobie zasłużyłem na to zaproszenie?

- Chodzi o te przenosiny. - Idzikowski nie pofatygował się, żeby wstać. - Brakuje mi jeszcze oficjalnych komunikatów ze strony spółek, ale większość materiału mam już opracowaną. - Wiedział, że on wie. I tak było prościej.

- Szybko się uwinąłeś - mruknął Dostański, wpatrując się w kartę dań. Ośmiorniczki na makach z surowymi przepiórczymi jajami nie zachęcały go do jedzenia, więc szukał dalej.

- Nie mam wyjścia. Ktoś musi w tym kraju zająć się tym bajzłem. - Idzikowski wyszczerzył zęby.

Dostański odłożył kartę. Pora co prawda lunchowa, ale zarówno dania, jak i towarzystwo były zbyt ciężkostrawne.

- No więc o co chodzi?

- Czy... czy procedura przenosin nie zostanie zakwestionowana przez komisję?

Szef KNF popatrzył na rozmówcę. Odezwał się dopiero po chwili.

- To zależy od was - powiedział bardzo wolno. - Jeśli dokumentacja zostanie przygotowana właściwie, a proces nie wzbudzi żadnych zastrzeżeń, nie widzę przeciwwskazań do takich działań.

- A co z politycznym aspektem sprawy?

- Nie rozumiem.

- Wiesz, Waldku, ponoć w demokracji wszystko, co nie jest zakazane, to jest dozwolone. Ale ja jestem patriotą.

Idzikowski na chwilę się wyprostował i drgnął, tak jakby chciał położyć sobie dłoń na klatce piersiowej, ale zrezygnował. Dostański uśmiechnął się lekko na myśl o tym teatralnym geście

- Nie chciałbym zaszkodzić swojemu krajowi nawet za cenę takiego zysku - ciągnął

prawnik.

- Romualdzie, cenię twoją szczerść i powagę, ale zapewniam, że gdyby giełda mieszała się z polityką, to mielibyśmy realny socjalizm, a nie demokrację.

Mężczyźni przyglądali się sobie przez chwilę badawczo. Ciszę przerwał szef kancelarii.

- Zamówisz coś? Mają tu świetną zupę z tofu.

- Nie, dziękuję. - Dostański uśmiechnął się. - Spieszę się na zebranie.

- W takim razie dziękuję ci za przybycie. - Tym razem Idzikowski wstał.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Uścisnęli sobie ręce, po czym Dostański wyszedł, a Idzikowski przywołał kelnera. Nie było jeszcze czego świętować, ale znów zrobił mały kroczek do przodu. Kaizen działa na jego korzyść.

Anna delikatnie wyłączyła nagrywanie na swoim iPhone. A jednak instynkt jej nie zawiódł! Oparła się wygodnie i uśmiechnęła na myśl, że jej podporą są plecy człowieka, który już zawsze będzie dźwigał jej ciężar... Choć to znaczne uproszczenie, ponieważ ona tylko przekaże jego słowa dalej. Upewniwszy się, że szef KNF już wyszedł z pomieszczenia, wyslizgnęła się z boksu i ruszyła korytarzem w stronę kuchni. Lepiej nie ryzykować, że ktoś ją tutaj zobaczy. Na szczęście szef lokalu był jej starym znajomym. Jak dobrze, że nie zlikwidował tego wyjścia i nie wymienił ścian boksów na dźwiękoszczelne. Anna sama mu to odradzała.

Wtem zabręczała jej komórka. Wychodząc chyłkiem, odebrała połączenie.

Tego dnia pani Wiesia poczuła pierwszy raz zmęczenie swym bagażem lat. Zaczęło się z samego rana. Gdy tylko włączyła telewizor, coś błysnęło, gruchnęło, poszedł dym i tyle widziała z powtórki *M jak miłość*. Ponieważ męczyła się z tym szkaradnym, ponaddwudziesto-letnim pudłem - jak się okazało, i tak na próżno - później niż zwykle wyszła na zakupy. W piekarni skończyły się jej ulubione bułki, a na bazarze nie było glosterów. Tylko championy i ligole. Takie jabłka to świnię tylko jedzą?!

Pani Wiesia zdawała sobie sprawę, że to poddenerwowanie, które ją opanowało z powodu tak błahych spraw, to pierwszy objaw nadchodzącej starości. No, może niezupełnie nadchodzącej. Jej osiemdziesięcioletnia twarz była poprzecinana zmarszczkami, a włosy, choć nadal gęste i mocne, całkowicie posiwiały. Sylwetka straciła dawną gibkość i zaczęła niebezpiecznie przyginać się do ziemi, gdzie za parę, może paręnaście lat i tak ją złożą. Przyzwyczała się już, że dla jej ciała grawitacja nie ma litości. Najważniejsze, że umysł wciąż miała giętki, a pamięć znakomitą. Codziennie rano przypominała sobie, co robiła poprzedniego dnia, jeszcze poprzedniego i tak dalej.

Każda staruszka pamięta, co działo się w czterdziestym piątym, ale większość nie ma pojęcia, co jadła wczoraj na obiad. Pani Wiesia była inna.

Oczywiście dla swoich wnuków i prawnuków czyniła wyjątki. Jak na przykład ta cała akcja z robieniem na drutach. Przecież ona nawet tego nie lubiła! No, ale ktoś kiedyś wymyślił, że babcie robią na drutach skarpety oraz szaliki, którymi potem obdarowują całą rodzinę. Więc i ona tak siedziała w domu, patrzyła w okno i sumiennie dziergała. A potem obdarowywała dzieci. Te, niezmiennie, aż za bardzo, cieszyły się z wełnianych prezentów, które - była tego pewna - prawie zawsze lądowały na dnie szafy. No bo kto by chciał nosić jakiś serdak w gwiazdki... Nie, teraz to się nazywa kardigan. A gwiazdki to nawet widziała na sweterku Kasi z serialu. Tak, tego serialu, którego dziś nie obejrzała! Ech, dość. Robi na drutach - źle. Nie będzie robić na drutach - powiedzą, że babcia się kończy. Głupie te dzieciaki, choć kochane, bo swoje.

Skończyła się jej włóczka, więc podreptała do stojącej w dużym pokoju opałki i wróciła z nowym kłębkim. Zrobię te gwiazdki, a co! Usiadła na stołku, chwyciła za druty i zaczęła przekładać włóczkę, zerkając jednocześnie na ulicę.

Do domofonu zbliżał się właśnie młody mężczyzna. Stał przez chwilę, ale widać nikogo nie zastał. Coś ostatnio dużo się ich tutaj kręci.

Uchyliła lufcik.

- Pan do kogo? - zagadnęła.

- Dzień... dobry. - Mężczyzna zauważył ją po chwili i uśmiechnął się przyjaźnie. - Szukam pani Zofii Paul.

- A nie ma, wyjechała.

- Nie wie pani dokąd?

- Nie znam pana - burknęła.

- Jestem z policji. - Wyjął legitymację. - Teraz mi pani pomoże?

- Chyba muszę, choć pewnie niespecjalnie to panu coś da. - Przełożyła nitkę na drugą stronę. - Wiem tylko, że jest gdzieś za granicą.

- A ktoś inny z domowników? Mieszka z kimś?

- Z ciotką. Ale też jej ostatnio nie widziałam. - Popatrzyła na druty. Spadło jej kilka oczek. - Może też gdzieś wyjechała? - Wzruszyła ramionami.

Mężczyzna pożegnał się uprzejmie i ruszył w poprzek jezdni. Dopiero teraz zauważyła stojący przy krawężniku radiowóz. Dziwnych przyjaciół ma ta Joanna.

- Halo? - Tempienko usłyszał zniecierpliwiony ton w słuchawce.

- Dzwonił do niej Karasowicz. Umówili się na spotkanie.

- Karasowicz? To ten od IT?

- Tak. Z WIG20. Ma przyjść do jego biura, dziś wieczorem.

- Dobrze. - Cisza w słuchawce trwała zaledwie sekundę. - Pilnuj ich dokładnie. Jeśli

coś beknie, wiesz, co masz robić.

- Jasne.

- Jurij? - Kawecki zawahał się.

- Tak?

- Tylko delikatnie. Nie chcemy pogrzebu, tylko straszaka.

- Sie rozumie.

Odłożył komórkę na siedzenie obok. Współczesne systemy podsłuchowe nie są już tylko zarezerwowane czy zastrzeżone dla wybranych instytucji. Jurij Tempienko miał do dyspozycji cały arsenał profesjonalnej aparatury szpiegowskiej, którą wykorzystywał przy różnych działaniach zleczanych mu przez Krzysztofa Kaweckiego. Najchętniej jednak używał prostych urządzeń, które można było kupić prawie wszędzie, a już na pewno przez internet. Jego ulubieńcem był telefon komórkowy Nokia z oprogramowaniem SpyPhone Tracer, umożliwiającym podsłuchiwanie i nagrywanie rozmów przychodzących i wychodzących, i to bez wiedzy użytkownika, przekierowywanie i pobieranie SMS-ów, dostęp do bazy kontaktów i listy połączeń, słuchanie i nagrywanie dźwięków w bliskim sąsiedztwie telefonu, informowanie o lokalizacji telefonu za pomocą systemu GPS z dokładnością do pięciu metrów czy zdalne robienie zdjęć i nagrywanie filmów. Piękne to były czasy, gdy obdarowani nowym modelem telefonu dziennikarze, politycy, nawet biznesmeni nie zdawali sobie sprawy, że ich perwersyjne romanse i tajemne sekreciki służą rozrywce większej liczby osób. Do czasu.

W 2009 roku jeden z dziennikarzy otrzymał wykrywacz podsłuchów od jednej ze szwedzkich firm, która chciała wejść na polski rynek. Przesyłanie do przetestowania dziennikarzom telefonów, aparatów fotograficznych, laptopów, nawet telewizorów jest powszechnie stosowaną praktyką, bo zyskują na tym wszyscy - dziennikarze mogą poszpanować gadżetami, na które ich nie stać, a firmy zyskują bezpłatne, mniej lub bardziej pozytywne publikacje na temat swoich produktów. Jednak w tym wypadku zwykła z pozoru „transakcja” miała daleko idące konsekwencje. Gdy okazało się, że połowa redakcji ma telefony na podsłuchu, zapanowała konsternacja. Afera nie wybuchła tylko dlatego, że oznaczałoby to podważenie wiarygodności mediów. Poza tym dziennikarzom trudno było przyznać się samym przed sobą, że zrobiono ich w balona. Gorliwość tych, którzy chcieli biec ze sprawą do prokuratury, szybko więc została ukrócona przez co bystrzejszych przełożonych. Sprawa rozeszła się jedynie w środowisku dziennikarskim i odtąd wszyscy raz dziennie sprawdzali swoje telefony pod kątem podsłuchu.

Tempienko poprawił słuchawki w uszach. Na szczęście są inne zabawki.

Zamontowanie listwy zasilającej w gabinecie Karaso- wicza było dziecinnie proste. Zwłaszcza że zajął się tym osobiście, w przebraniu montera. W pełni funkcjonalna listwa zasilająca na pięć gniazdek na stałe zagościła pod stopami prezesa, zasłonięta od

wejścia tylną dębową ścianką biurka. Listwa umożliwiała podsłuch na żądanie z dowolnego telefonu komórkowego - wystarczyło zadzwonić pod numer wbudowanej w listwę karty SIM. Tempienko udoskonalił ten model - połączenie trwało non stop, a zbierane przez czuły mikrofon dźwięki z pomieszczenia były od razu nagrywane na oznaczone płyty CD. Aparat zagłuszający wykluczał możliwość wykrycia. Listwa zabezpieczona była nawet przed brakiem zasilania - akumulator wystarczał na siedem dni pracy. W tym czasie zawsze można coś wymyślić: awarię wodociągu, alarm pożarowy. Cokolwiek, żeby móc wejść i ponownie podłączyć listwę do zasilania.

Gdy zakładali podsłuchy kilkanaście miesięcy temu, traktowali to jako inwestycję - prewencyjnie zastosowali takie zabiegi w siedzibach wszystkich większych spółek w Polsce, stając się największą w kraju bazą danych na temat świata biznesu i jego słabości. I skutecznie z tego korzystali.

No i akurat teraz u Karasowicza znów się przyda, pomyślał Tempienko regulujący głośność, gdy usłyszał powitanie z Anną Kałasznikową.

- Dziękuję, że zechciała pani się ze mną tak szybko spotkać.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekła Kałasznikowa, ściskając wyciągniętą dłoń.

- Kawy?

- Z chęcią, espresso. - Usiadła we wskazanym przez gospodarza fotelu.

Nie знаła do tej pory Mateusza Karasowicza - nie osobiście. Należał on do klubu tych biznesmenów, którzy robią swoje i bardzo rzadko zabierają głos publicznie. No, chyba że mają coś do sprzedania, jak Gołębiowski fabrykę TaGo. Tyle, że Karasowicz był od niego młodszy. I przystojniejszy. Patrzył na nią badawczo, ale bez wrogości. Raczej... z ciekawością? Dawno nie widziała tego w oczach swojego rozmówcy. Szeroki uśmiech, gładko ogolona twarz, piwne oczy, kontrastujące z blond czupryną prostych włosów. Ruchy miał spokojne, ale znamionujące pewność siebie, żadnej nerwowości czy paniki. Silny, ale serdeczny uścisk dłoni. I jak przyjemnie zwraca się do sekretarek, pomyślała dziennikarka, słuchając, jak zamawia przez interkom kawę. Rozejrzała się po gabinecie. Był inny od wszystkich siedzib prezesów, jakie do tej pory miała okazję oglądać. Biurko zasypane było stosem papierów i segregatorów. Po lewej stronie na ścianie wisały cztery monitory plazmowe, wszystkie włączone i prezentujące notowania, kursy i serwisy informacyjne z całego świata. Po drugiej stronie stała mała komoda z kilkoma zdjęciami w ramkach. Jediną oznaką przepychu, stwierdziła po chwili Anna, były dwa skórzane fotele, z których jeden zajmowała ona.

- To żona i córka - powiedział Karasowicz, wychwyciwszy skupione na fotografiach spojrzenie Anny.

- Bardzo piękna rodzina - odrzekła taktownie.

- Obie nie żyją. Zginęły w wypadku kilka lat temu.
- Przepraszam. - *Fuck!* Rzeczywiście przypomniała sobie, że było coś takiego. -
Przykro mi.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Jak kawa?

O dziwo, mimo, że podana w zastawie z Ikei, kawa była pierwsza klasa.

- Wyśmienita. - Spojrzała na niego. - Ale nie o kawie chciał pan porozmawiać?
- Zgadza się. - Odstawił filiżankę na biurko, przesunął fotel i usiadł. - Otóż zaistniały pewne okoliczności, które jedynie z pani pomocą można uporządkować.

- Może jaśniej?

- Oczywiście. - Karasowicz poprawił się w fotelu. Nie nawykł do rozmów z dziennikarzami. - Zakładam, że dostała pani kopię raportu KNF dotyczącego badania na temat manipulacji na GPW, z którego wynika, że i same spółki giełdowe miały swój udział w tym zamieszaniu...

- Skąd pan...?!
Machnął ręką i uśmiechnął się łobuzersko.

- Ponoć jest pani najlepsza - usprawiedliwił się i sięgnął po kawę. - Oboje znamy się bardzo dobrze na swojej robocie. Gdyby była pani na moim miejscu, to pewnie chciałaby wiedzieć, dlaczego i gdzie wyfrunęło kilka milionów z pani konta. Gdybym ja był na pani miejscu, cóż... - Upił łyk kawy.

Kiwnęła głową.

- Słucham uważnie. Mogę? - Wyjęła z torebki iPhone'a.

- Wolałbym zaufać pani pamięci niż nośnikom technicznym. Poza tym wszelkie mikrofony bardzo mnie peszą - dodał po chwili.

Kałasznikowa zawahała się. Powinna nagrać tę rozmowę, żeby mieć twarde dowody. Ale z drugiej strony...

No risk, no fun.

- W porządku. - Schowała dyktafon.

- Dziękuję.

- To jak to pana zdaniem wygląda?

- Z tego, co wiem, każda z tych spółek osobno, nie w zмовie - to ważne - miała sprzedać dość duży pakiet akcji. Wszystkie transakcje umówione były na ten feralny wtorek. A kupujący...

- ...się nie zjawił.

- Właśnie. Więc wszyscy stracili.

- Więc i odpowiedzialność jest nieoczywista.

- Tak. Mnie niestety niepokoi inna rzecz. Mianowicie pomysł, aby część spółek giełdowych przenieść na giełdy zagraniczne.

Kałasznikowa zmrużyła oczy. Aha.

- Wie pan co... zagrajmy w otwarte karty. - Odchyliła się na oparcie fotela i

przechyliła lekko głowę. - Dla mnie wygląda to tak, że ma pan upakowane w tych spółkach środki finansowe i boi się pan strat albo ze względu na ich niskie wyceny, albo rozdrobnienie kapitału. Mam rację?

- Oczywiście. - Karasowicz uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. - Nie powiedziałem, że chcę na tym stracić. Ale sama pani wie, że jest prawda, tylko prawda i cała prawda. W polskich spółkach mam zaledwie trzydzieści procent całego kapitału. Jeśli stracę na tym, to odkuję się w Stanach lub w Chinach. Nie są to więc tylko partykularne interesy. Może to pani łatwo sprawdzić.

To prawda i trzeba będzie to zrobić, pomyślała.

- Dobrze, przypuśćmy, że wierzę w pana patriotyzm. Nadal nie rozumiem...

- Pani Anno - mogę tak? - Skinęła głową. - Pani Anno, jestem biznesmenem. Widziałem tu różne rzeczy. Ale dobrze mi się w Polsce pracuje i nie chciałbym przenosić się na przykład do jednego z moich biurów w Emiratach. Gdyby nagle ktoś zakazał wolnych mediów w Polsce lub chciał zamknąć „Rzeczpospolitą”, tak łatwo by pani odpuściła i wyjechała? Czy może próbowała o to walczyć? Oboje wiemy - spojrzał na nią twardo - że GPW się podniesie. Przenosiny blue-chipów na inne giełdy to nie uciekanie z płonącego domu, ale dobijanie lekko krwawiącego.

Minęła chwila, zanim przetrawiła wszystkie informacje.

- Dobrze. Czego pan chce w zamian?

- Anonimowości. - Wzruszył ramionami. - Nie potrzebuję rozgłosu.

- Zgoda. Ma pan moje słowo. - Uśmiechnęła się lekko. Okładkę i tak dostanę, a poza tym mam potwierdzenie tych faktów od samego Dostańskiego.

Karasowicz odprowadził ją do drzwi i ucisnęli sobie dłonie. Zjechała windą i ruszyła do wyjścia. Budynek przy Chłodnej 51 należał do najwyższych w Warszawie, a biura Mateusza Karasowicza zajmowały trzy ostatnie piętra. Miała teraz wrażenie, jakby wykonała skok ze spadochronem. Nic to, trzeba coś przekąsić i zabrać się do pracy. Miły facet ten Karasowicz.

Taksówki stały po drugiej stronie jezdni. Wsiadła i ruszyli w stronę Towarowej. Ruch był niewielki, więc na zielonym ruszyli pierwsi. Taksówka brała zakręt w lewo, gdy kątem prawego oka dostrzegła rozpędzone auto gnające wprost na nich. Przez moment jej wzrok padł na kierowcę. Zabawne, że pomyślała o *Czterech pancernych*... Taka ruska twarz.

- Co to, kurw...!

Nagle poczuła, jak coś wgniata ją w szybę, a potem świat zaczął wirować. Wtem na kilka sekund wszystko się uspokoiło, tylko poczuła straszny ciężar na plecach. Czy umiera? Czy już umarta? Klaudiusz, Boże! Nie teraz, nie już! Po chwili znów usłyszała wrzask i przenikliwy hałas, a w głowie poczuła coś na kształt impulsu elektromagnetycznego. To koniec, pomyślała. Potem nie było już nic.

- Uważaj, jak jedziesz. Neeee taaak!!! - ryknął mechanik, ale było już za późno.

Kołyszący się na boki nowy model śmigłowca AH-64 Apache wpadł w wir i uderzył bokiem tylnej części kadłuba w krawędź hangaru. Głuchemu plaśnięciu towarzyszyło głośne „Kurwa mać!”. Mechanik w kilku susach znalazł się przy śmigłowcu. Po chwili dobiegł i operator holownika.

- Pojechało cię?! - wrzasnął ten pierwszy. - To maszyna za pięćdziesiąt kafli, a ty bawisz się w kręgle?! Ślepy jesteś czy co?

- Zagapiłem się - odrzekł tamten i popatrzył na śmigłowca. - No, ale chyba nic się nie stało?

Obeszli maszynę dookoła. W miejscu zderzenia widniało niewielkie wgniecenie na kadłubie, ale poza tym nie było żadnych znaków. Nawet lakier był nienaruszony.

- Chyba nie....

- Powinniśmy to zgłosić, co?

Mechanik zastanowił się. Był starszy i miał większe doświadczenie od kolegi. Wiedział więc, że w tym zawodzie nie ma miejsca na pomyłki i błędy. Jak nic obaj polecą z roboty, jeden za nieuwagę, a drugi dla zasady.

- Wiesz, wygląda na to, że wszystko jest okej... Darujmy starym trochę nerwów. - Ruszył w stronę kolejnego śmigłowca i rzucił do kolegi: - A ty bierz się do roboty! Tylko z głową!

Wracając na stanowisko pracy, mechanik zastanawiał się, czy aby na pewno nic się nie stało. Słyszał o wielkiej odporności tych śmigłowców na pociski i strzały, ale jednocześnie o ich delikatnej konstrukcji. Znaczna część wypadków lotniczych była powodowana uszkodzeniami, które powstają jeszcze na ziemi.

- Nic to. - Uspokoił się w końcu. - Poza tym i tak przejdą przegląd przed lataniem, prawda?

Nie mógł wiedzieć, że śmigłowca miał wziąć udział jedynie w testach, do których maszyny przygotowuje się znacznie krócej i tym samym dość pobieżnie, a obłuzowana podczas uderzenia przesłonka, oddzielająca bak od górnych części układu paliwowego, w końcu wpadnie do pustego baku.

ROZDZIAŁ X

Sypanie i skupowanie

- Nie do wiary! W tym kraju już nic nie wolno! - krzyknął Idzikowski, rzucił gazetę na biurko i zaczął chodzić po pokoju. Zawsze się tak zaczyna. Wielkie sprawy mają skromne początki. Zaraz któryś z mniej inteligentnych biznesmenów palnie, że trzeba wracać z kasą do kraju. I płacić podatki. A inni mu zawtórują. Ktoś doda, że potrzebna ustawa. Maciejewski stwierdzi, że to w interesie giełdy. A Dostański zacznie sprawdzać konta spółek... Nie! Nie! Nie! Nie teraz! Boże, nieeee!!!

Opadł na fotel. Jeszcze chwilę temu wydawało mu się, że sprawa jest pod kontrolą, że da sobie radę. Ale teraz? Czy miał wybór? Wiener Boerse może nie była liderem, ale warto sprawdzić, co skrywa ich wiedeński serniczek pod warstwą marketingowego lukru.

Włączył interkom.

- Aniu, połącz mnie, proszę, z giełdą wiedeńską. Z szefem jakiegoś departamentu współpracującego ze spółkami z zagranicy.

- Dziękuję pani za poświęcony czas - rzeki uprzejmie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Herr Idzikowski. Gdyby miał pan dodatkowe pytania, bardzo proszę o kontakt.

- Na pewno skorzystam. Do usłyszenia.

- Dziękuję. Do usłyszenia.

Zakończył połączenie. Kobieta mówiła płynną angielszczyzną, choć jej twardy, niemiecki akcent był mocno wyczuwalny. Będzie musiał się przyzwyczaić. Odwrócił się na fotelu i spojrzał na panoramę miasta. Polska w budowie, Warszawa w rozkładzie. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont ciągnęły się dźwigi i żurawie budowlane, których miejsca zakotwiczenia były równie trudne do odszukania, jak granice placów budowy. Od wieżowców po osiedla domów jednorodzinnych - wszystkie zaoszczędzone pieniądze płynęły szerokim strumieniem w inwestycje budowlane. Zasada była prosta: im bliżej centrum, tym w pionie wyżej, im dalej od centrum, tym w poziomie szerzej. Ta sama zasada tłumaczyła także przyczynę ograniczania dostępu do dziennego światła niższym zabudowaniom oraz konieczność codziennego stania w korkach. Te stały się jeszcze większe przez budowę metra, z powodu której zamknięto kilka głównych skrzyżowań w centrum Warszawy.

Ciekawe, ile to jeszcze potrwa, zanim ktoś się zorientuje, co tu naprawdę się dzieje.

W ekonomii istnieje zjawisko pułapki płynności. Jest to sytuacja, w której rynkowa stopa procentowa kształtuje się na tak niskim poziomie, że popyt na pieniądź staje się nieskończenie duży. Do takiej sytuacji doszło w Japonii po recesji lat dziewięćdziesiątych. Obniżenie stóp procentowych miało pobudzić japońską gospodarkę, a ponieważ recesji towarzyszyła deflacja, czyli spadek poziomu cen, nie istniało ryzyko nadmiernego ich wzrostu. Od września 2001 roku oficjalna stopa dyskontowa w Japonii wynosiła 0,1 procenta. W społeczeństwie zapanowała opinia, że większe jej obniżenie nie jest możliwe. Z kolei wzrost stóp procentowych pociągnąłby za sobą spadek rynkowych cen obligacji. W takiej sytuacji większość mieszkańców zaczęła gromadzić pieniądze, ograniczając tym samym wydatki i inwestycje.

Polska najwyraźniej przespała tę lekcję z historii gospodarczej świata.

Idzikowski nieraz sobie myślał, że panujący w Warszawie zapał budowlany może mieć paskudny koniec. Wystarczy, że ludzie odwrócą się od miasta i zaczną je traktować jak przymusowy obóz pracy. Tylko czy już tak nie jest? Dojazdy do pracy są koszmarem nie tylko w centrum i głównych dzielnicach, jak Mokotów, Ursynów czy Żoliborz, ale także w pobliskich miasteczkach. Dopiero trzydzieści, czterdzieści kilometrów od miasta życie zaczyna płynąć jakby normalniej, może nie powoli, ale też nie w tak szaleńczym tempie. Coraz więcej osób zaczyna pracować w domach. Coraz częściej ludzie zastanowią się dwa razy, zanim kupią jeden z czterdziestu identycznych segmentów na strzeżonym osiedlu. Skutki choroby wywołanej niedoborem powierzchni mieszkaniowej w latach dziewięćdziesiątych zaczynały ustępować. Tylko że ozdrowieniu może towarzyszyć klęska i upadek zaangażowanych w proces leczenia lekarzy i znachorów.

Kiedyś może poruszyłoby go to bardziej, ale teraz nie miało już aż takiego znaczenia.

Od dawna nie czuł się tak lekko na duszy. Wszystko wydało mu się nagle jakieś inne, świeższe. Może właśnie dlatego, że te obie myśli - poczucie, że został zdradzony, i widoki na klęskę tego zdrajcy - nałożyły się na siebie, dając wyraźny drogowskaz, co czynić dalej. Zdrada była niepodważalna: próba ograniczenia jego swobody nie może zostać nazwana inaczej, zgodnie z zasadą, że wolność jednego człowieka kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego. Co z tego, że budżet państwa tracił na jego zagranicznych kontaktach i rachunkach? Przecież kancelaria Idzikowskiego odprowadzała do kasy podatki, i to niemałe. Płacił nawet ZUS, choć jego zdaniem za kilka lat jedynym śladem po tej instytucji będzie rzesza bezdomnych i ubogich emerytów. Tak, demokracja z całym systemem to mrzonka teoretyków, podobnie jak komunizm i socjalizm. Jedyne systemy rządzenia, które mają jakikolwiek sens, to monarchia konstytucyjna. Człowiek uczy się od dziecka, jak rządzić, a gdy już zostaje mu dana należąca władza, ogranicza go mądre i rozsądne prawo.

Podobne zasady Idzikowski stosował u siebie w kancelarii. Przecież uczył się nie

tylko, jak być prawnikiem, ale także menedżerem i przedsiębiorcą. A łącząc jedno z drugim, mógł stanowić stosowane później prawo. Z tym był jednak kolejny problem.

Wprowadzane przepisy prawne może były i trochę bardziej dopasowane do potrzeb podatników, ale cóż z tego, skoro opierały się na błędnych założeniach? Przypominało mu to przechodzenie na dietę - bo choć wiele diet umożliwia osiągnięcie celu, jakim jest utrata zbędnych kilogramów, to większość i tak prowadzi do efektu jojo. Chodzi bowiem o zmianę przyzwyczajzeń, a to nigdy nie jest łatwe. Zwłaszcza w polityce i biznesie.

Mimo wszystko czuł się patriotą. Patrzył na miasto w budowie i wiedział, że od hurraoptymizmu do przegrzania gospodarki był tylko krok. Nie jego problem, ale ludzi, którzy nieudolnie rządzą. On pracuje i zarabia.

A propos tego ostatniego. Chwycił słuchawkę.

- Aniu, połącz mnie, proszę, z Chojnackim.

- Oczywiście. - Dziewczyna zamilkła, aby oddzwonić po kilkunastu sekundach. - Pan prezes Chojnacki na linii.

- Witaj, jak zdrowie?

- Nieźle, dziękuję.

- To dobrze, bo i nasze sprawy ruszyły do przodu.

- To znaczy? - zapytał Chojnacki.

- To znaczy, że wiedeńska giełda przyjmie nas z otwartymi rękoma. Niskie koszty przenosin, darmowe doradztwo prawne. No i gwarantowana subemisja.

- Brzmi nieźle. - Głos w słuchawce był jednak daleki od entuzjazmu. Może jest zbyt zapracowany, zastanowił się Idzikowski. Trzeba go poklepać.

- Jest dobrze, mówię ci. - Przerwał na moment i rzucił jakby od niechcienia: - A jak u was? Kiedy walne?

- Za kilka tygodni.

- Nie macie jeszcze terminu? - Idzikowski zorientował się, że ostatnie zdanie wypowiedział trochę zbyt głośno i natarczywie.

- Spokojnie. Porządkujemy sprawy - odparł spokojnie Chojnacki. Tak, to na pewno przepracowanie i stres.

Daj znać, jak będziesz znał jakieś szczegóły.

- Nie ma sprawy. Za dzień, dwa podeślę ci wstępne oferty.

Idzikowski wstał od stołu i przeszedł do sali odpraw, jak nazywał nieduży pokój, do którego prowadziło tylko jedno wejście, i to bezpośrednio z jego gabinetu. Na środku pomieszczenia stał podłużny dębowy stół o zaokrąglonych kantach oraz sześć prostych drewnianych krzeseł, po dwa przy dłuższych bokach stołu i po jednym u każdego z jego krańców. Ściana po prawej stronie była cała przeszklona, a naprzeciwko wisiała plastikowa tablica oprawiona w szeroką ramę z czarnego szkła. Obok, po lewej, stał flipchart. Podłoga wyłożona była białą marmurową terakotą, z sufitu zwisał kryształowy

zyrandol. Idzikowski zawsze uważał, że jest wyjątkowy na rynku, jeśli chodzi o budowanie atmosfery podczas wizyt „na dywaniku”. Jego pokój do coachingu, tudzież opierdalania pracowników, sprawiał wrażenie salki balowej.

Podszedł do prostej komody - jedynego dodatkowego mebla, jaki stał w rogu sali - przekręcił w zamku kluczyk, wysunął szufladę i wyjął z niej metalową skrzynkę. Usiadł przy stole, otworzył ją i przyjrzał się plikom dokumentów. Zawierały jego notatki na temat podziału prac poszczególnych osób i całych zespołów w kancelarii. Nie były to więc materiały tajne, może co najwyżej poufne. Idzikowski, nie zawierając własnej pamięci, a mając na uwadze wścibstwo sekretarek i sprzątaczek, wolał trzymać dokumenty w bezpiecznym miejscu, poza zasięgiem osób postronnych.

Przy emisji akcji spółki mają obowiązek zatrudnienia firmy inwestycyjnej, czyli biura maklerskiego, oraz biegłego rewidenta. Dodatkowo mogą skorzystać z usług doradcy finansowego, doradcy prawnego, doradcy public relations oraz subemitenta. Teraz to wszystko zapewniała Wiener Boerse. Oprócz doradcy prawnego, rzecz jasna. A więc koszty emisji będą znacznie niższe - jeśli dobrze pamięta, na GPW koszty emisji wynosiły 5-7 procent pozyskanego kapitału. Ale na przykład w przypadku HTL-Strefy było to tylko 1,10 procenta przy emisji na dziewięćdziesiąt siedem milionów złotych. Tak, to się podobało. Ponadto Wiedeń przychylił się do stanowiska orzecznictwa polskiego Naczelnego Sądu Administracyjnego, zgodnie z którym koszty poniesione bezpośrednio w związku z podwyższeniem kapitału zakładowego nie stanowią kosztów uzyskania przychodu. Oznaczało to, że od podstawy opodatkowania będą mogły być odliczane pośrednie koszty związane z pozyskaniem kapitału. Co prawda, istniało małe prawdopodobieństwo, że każda spółka będzie chciała od razu organizować emisję, ale z drugiej strony... Miały potencjał, a oferta była za pół darmo.

Do tej pory, jako doradca prawny, tylko raz przeprowadzał operację przenosin spółki z jednej giełdy na drugą, z LSE na GPW. Huk roboty, człowiek nie śpi po nocach, do końca niepewny, czy o wszystkim pamiętał.

Teraz miało być jeszcze gorzej: nie dość, że przenosiny miały odbyć się na giełde zagraniczną, a nie „swoją”, z której organizacją, zasadami działania oraz systemem prawno-podatkowym wszyscy w większym lub mniejszym stopniu byli już zaznajomieni, to miały dotyczyć nie tylko jednej spółki, ale kilku, i to w bliskim terminie. Idzikowski wziął ołówek. Trzeba poprzesuwać ludzi, zrezygnować z małych zamówień, może nawet zwiększyć zatrudnienie w kancelarii? Będzie musiał zorganizować specjalny zespół do tych projektów. Zabrał się do pracy.

- Hannah?

- *Guten Morgen, Hen Ulík.* Dzwonię w sprawie warszawskiej giełdy - zaczęła kobieta.

Von Schwartzchke przesunął wzrok z ekranu komputera na zestaw głośnomówiący w eleganckim telefonie stacjonarnym, zamontowanym na stałe do jego biurka, i pochylił się.

- Tak, słucham.

- Przed chwilą skończyłam ciekawą rozmowę z prawnikiem z jednej z tamtejszych kancelarii. Zdaje się, że część spółek myśli o przeprowadzce na inną giełdę...

- Słucham?!

- No tak... - Kobieta zawiesiła głos, a po chwili dodała: - Mam na niego zamiary, prosił o przesłanie podstawowych dokumentów. Zastanawiałam się, czy...

- Tak, tak. Proszę to zrobić. - Von Schwartzchke zamilkł na chwilę. - A jeśli będzie pani jeszcze raz z nim rozmawiać, proszę go do mnie przełączyć.

- Oczywiście. Jesteśmy umówieni po południu.

- Fantastycznie. Dziękuję za informację i do usłyszenia. - Von Schwartzchke przerwał połączenie.

Jakie to dziwne. Wręcz zdumiewające. Nadawanie kształtu wydarzeniom, na które teoretycznie nie powinno się mieć wpływu. A teraz wszystko idzie do przodu i to o wiele lepiej, niżby sam wymyślił. Tak, do przodu. I co teraz? Spółki zaczną przechodzić na jego parkiet... mniej obrotów, mniejsza kapitalizacja - warszawska GPW stanie się słaba. I mało wiarygodna. Maciejewski - o ile się utrzyma - będzie potrzebował wsparcia... A gdyby się nie utrzymał? Kto go zastąpi? Przez chwilę szukał w głowie właściwego kandydata. Z drugiej strony, pomyślał, gdyby tamten nawet się utrzymał, to co zrobi z giełdą? Jak zareaguje NYSE? Niczym rycerz?

Pomasował palcami skronie, zastanawiając się, czy aby za bardzo nie zapędził się w swoich przypuszczeniach.

Przejęcie... GPW?

Przechowalnia KNF, ze starymi aktami, gazetami i materiałami, choć dla miłośników historii stanowiłaby pasjonującą skarbnicę, to w niczym nie przypominała biblioteki ani nawet porządnego magazynu. Była po prostu zwykłą graciarnią, pełną niepodpisanych pudeł i płóciennych worków. A ponieważ nigdy oficjalnie nie istniała w ewidencji zasobów KNF, nie było też kogoś, kto dbałby o całą zawartość. Jedyнным wyrazem troski było wydanie przez przewodniczącego KNF w 2008 roku zarządzenia, w którym zakazał wnoszenia jakichkolwiek dokumentów z przechowalni, a wszelkie kserokopie należało wykonywać w obecności strażnika lub jemu to zlecić. Ci z kolei dostawali specjalny bonus, jeśli udało im się przyłapać kogoś na próbie wnoszenia stamtąd czegokolwiek.

Ela weszła na drabinkę i zdjęła z górnej półki kolejne pudełko. Poszukiwania były o tyle trudniejsze, że sama nie wiedziała, czego szuka. Dowodu? Chyba tak. Ale na co?

Tego nie była już pewna. Jednak zasiane przez dziennikarkę ziarno wątpliwości zaczynało w niej kiełkować. Dossier Dostańskiego było dość ogólne i pełne niedomówień, nawet jak na lata PRL, kiedy właściwie nic nie wydawało się czarne ani białe, ale wszystko było przede wszystkim szare. Ela żyła w tamtych czasach i wiedziała swoje. Trochę to było tak jak z pędzeniem bimbru: jedynie cztery stopnie Celsjusza dzielą temperatury wrzenia etanolu i metanolu i dopiero gdy człowiek oślepnął, orientował się, że wypił to, czego nie powinien.

Przeglądała właśnie jakieś stare gazety, gdy jej uwagę przykuło małe zdjęcie po prawej stronie. Podpis brzmiał: *Krzysztof Kawecki, skarbnik FOZZ, z Waldemarem Dostańskim odpowiedzialnym za....* Dalej napis był nieczytelny.

Nagle usłyszała za sobą jakiś hałas. Cofnęła się za róg regału. Z prawej nic, z lewej też czysto. Odwróciła się, pisnęła i wzdrygnęła, bo przed nią wyrosła wielka sylwetka.

- Przepraszam, przestraszyłem panią. - Mężczyzna uśmiechnął się dobrodusznie.

- O rany, rzeczywiście. - Ela próbowała złapać oddech, co dodatkowo utrudniała jej tusza. - Ale nie szkodzi. - Popatrzyła na jego strój. Nie miał munduru strażnika. - Pan nowy?

- Tak, dziś zacząłem pracę w ochronie. Szef kazał zejść na dół i spytać, czy pani nie pomoć.

- Nie... A właściwie... - Podała mu gazetę. - Może mi pan odbić tę stronę? Sprzątnę te rzeczy i odbiorę dokument w stróżówce.

- Jasne, już się robi. - Mężczyzna wziął gazetę i ruszył w kierunku wyjścia.

Z materiałami uwinęła się szybko. Po prostu wszystko wrzuciła do jednego pudła. Czy dla kogoś to będzie miało jakieś znaczenie? Chyba nie. Ruszyła na górę. Na parterze rozejrzała się, ale nigdzie nie dostrzegła mężczyzny. Może jeszcze nie skończył? Podeszła do stróżówki.

- Cześć, Henryku, ten wasz nowy miał mi skserować gazetę. Nie wiesz, czy już skończył?

- Nowy? - Mężczyzna podniósł głowę.

- No tak. Wysoki, metr osiemdziesiąt, barczysty, trochę ruska twarz - dodała z uśmiechem.

- Nie ma tu nikogo takiego.

- No przestań, śpieszy mi się - dodała ze zniecierpliwieniem. Czemu wszyscy strażnicy są tacy powolni. - Masz te materiały czy nie?

- Ela, naprawdę. - Przysunął się na krzesło i wskazał jej leżący obok grafik. - Dziś jestem tylko ja i Rafał. Nie ma nikogo nowego.

Kobieta zerknęła na tabelę. Rzeczywiście...

- Ale chwilę temu... - Wskazała na drzwi. - Wychodził tędy. Przecież był tam ze mną!

Mężczyzna powoli pokręcił głową.

- Odkąd tam weszłaś, przez te drzwi nikt nie przechodził.
Elżbietę Górską po raz drugi dziś przeszedł dreszcz.

Jurij Tempienko prześlizgnął się przez lufcik na klatce schodowej prowadzącej z parteru do przechowalni i zeskoczył na ziemię po drugiej stronie. Był zadowolony z siebie: miał gazetę i nikogo przy tym nie pobił. Szkoda byłoby skrzywdzić kolejną kobietę w tym tygodniu. Zawyżyłaby mu niechlubną średnią. Wbrew pozorom Jurij był dobrze wychowany.

Zofia Paul uwielbiała zaciszne paryskie zakątki wokół prestiżowej Avenue Montaigne oraz gwar Pól Elizejskich. Całymi dniami mogła włóczyć się bulwarami wzdłuż Sekwany lub siedzieć w jednej z tysięcy knajpek po prawej stronie rzeki.

Jednak tego dnia wędrowała smutna. Nie była zadowolona z tego, co musiała zrobić. Wszystko przez NIEGO. Od dziecka nic nie czuła do swojego ojca. Zero. Bo co można czuć do obcego człowieka? To się jednak zmieniło. Jego pojawienie się wywołało nie tylko nienawiść i ból, ale także poczucie... pustki? Nie dane jej dotąd było zaznać czegoś tak oczywistego jak ojcowska miłość. Ta świadomość dotknęła ją do żywego. Ciotka zawsze jej powtarzała, że dom jest tam, gdzie ludzie, których się kocha. W domyśle rodzice. A więc i ojciec. Ale ona go nie kochała. Ona go nienawidziła. Więc weźmie teraz odwet za to, że zawsze była na drugim miejscu. Czyż nie po dzieciach najlepiej poznaje się rodziców? Poza tym ciotka... Zawiodła Zosię na całej linii.

Jednak pomimo tego wszystkiego czuła, że robi coś wbrew sobie. Może by tak odwołać wszystko? Wymyśli jakąś wymówkę. Może...

Może nie powinna była dzwonić? Przecież mogła nie zadzwonić! Najgorsze było jednak to, przyznała, że wcale nie musiała tego robić. Chciała.

Stała przed drzwiami kawiarni Le Petit Paris, gdy zza okna dosięgnął ją wzrok trzydziestoparoletniej Francuzki machającej do niej energicznie. Trudno, pozamiatane.

- *Moi Amor! Cia Bella! Comment ca va ?!* - Kobieta rzuciła się jej na szyję, gdy Zosia zbliżyła się do stolika.

- *Ca va bien, merci.* - Uściskała ją także.

Brigitte Le Brun była średniego wzrostu szatynką o piwnych oczach, karminowych ustach i bardzo wychudzonej sylwetce. Włosy miała cienkie, spięte w luźny kok. W prawej dłoni trzymała niedopałek papierosa (w Le Petit Paris siedziały w specjalnej salce dla palących), w lewej ołówek do notowania. Była praworęczna, ale jak to kiedyś wyjaśniła Zosi, nie wypada, żeby dama paliła lewą ręką. Więc nauczyła się sprawnie pisać lewą.

Kochana, wyglądasz przepięknie!

- *Merci*. - Zosia uśmiechnęła się. Francuzki są takie bezpośrednie. - Jak Pierre?

- Och, Pierre. - Brigitte machnęła teatralnie dłonią.

Rozwiedliśmy się.

- *Non!*

- *Oui*, zdradził mnie ze swoją sekretarką...

- Och, tak mi przykro.

- Trudno.

Kelner przyniósł dwa cappuccino i croissanty, obdarzając obie kobiety uroczym uśmiechem.

- Tego kwiatu to pół świata. - Zosia zachichotała, widząc, jak Brigitte odprowadza wzrokiem kelnera, gapiąc się na jego całkiem zgrabne pośladki.

- Może. - Dziennikarka westchnęła. - To jak tam u was? Widzę, że nie zamknęli rynku, skoro tu jesteś?

- Wiesz, jak jest. - Zosia wpatrzyła się w swoje cappuccino.

- A tam! Tylko trochę! Wasz raport nie rzuca zbyt wiele światła na sprawę.

- Bo to dopiero zarys. To jest grubsza sprawa.

- Ale nie tak jak ja. - Brigitte rozsunęła ręce na pół metra. - Przez tego Pierre'a przytyłam dwa kilo!

Zosia uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała.

- Słuchaj, kochana. - Brigitte położyła rękę na jej dłoni. - Nie przejmuj się tak bardzo, bo i tak jesteś za chuda. Stres cię zżera.

Siedziały przez chwilę w milczeniu, siorbiąc kawę. Pierwsza odezwała się Zosia.

- Interesuje cię ta sprawa. - To nie było pytanie. - Ale to nie twoja działka.

- Mnie interesuje wszystko, co ważne. - Kobieta mrugnęła.

- No dobrze... - Zosia wzięła głęboki oddech. Gardziła sobą i nie czuła nic ze słodkiego smaku zemsty, o którym myślała, umawiając się z Brigitte. Że mówiąc jej co nieco, dopiecze swojemu „ojcu”. Tak, należało mu się. Tylko dlaczego czuje taki gorzki posmak? Upiła łyk kawy. - Sprawa jest rozwojowa...

Po półgodzinie pożegnały się i Zosia wyszła z kawiarni, zostawiając Brigitte zapalającą kolejnego papierosa. Dziewczyna czuła, że przegrała, i to na własne życzenie. Czułaby się jeszcze gorzej, gdyby wiedziała, że stawka była podwójna.

Brigitte paliła i obserwowała, jak Zosia opuszcza lokal. Poznały się kilka lat wcześniej na Polach Marsowych, przez przypadek. Nie sądziła wówczas, że ta znajomość będzie aż tak owocna. Sprawą należy się zająć profesjonalnie.

Tymczasem jednak jej wzrok zatrzymał się na zgrabnych pośladkach kelnera. Tak, pomyślała, najpierw przyjemności.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz?! - ryknął do słuchawki Lipiński, gdy tylko usłyszał głos

Idzikowskiego. - Nastajesz na moich dziennikarzy?!

- Zaraz, spokojnie. O czym ty mówisz?

- Wiesz dobrze o czym! - Lipiński wciąż gotował się w środku. - Kurwa mać! Anka zbierała materiały na was!

- Odpierdol się, dobra? Nie mam z tym nic wspólnego! - krzyknął Idzikowski. Teraz przypomniał sobie, że słyszał o jej wypadku. - Mam większe problemy niż zajmowanie się byle pismakiem z twojej parszywej szkolnej gazetki.

Obaj mężczyźni przez chwilę dyszeli do słuchawki.

- Więc to nie ty? - spytał w końcu ciszej naczelny „Rzeczpospolitej”.

- Jak mówiłem. Nie. Przykro mi z powodu tego, co ją i ciebie spotkało. Naprawdę, jeśli mogę w czymś pomóc, to daj znać, ale nie mieszaj mnie w tego typu bandyckie porachunki, dobra?

- Przepraszam. Poniosło mnie.

- Okej, okej. Wszyscy mamy zszargane nerwy. - Idzikowski zamilkł na chwilę. - O czym chciała pisać Anna?

Lipiński zawahał się. Naczelny nie zdradza takich informacji, ale z drugiej strony rozmawiał z najlepszym źródłem.

- O tobie. I o ucieczce spółek z GPW. - Śmiech, jaki się rozległ w słuchawce, kompletnie zaskoczył redaktora.

- Co w tym zabawnego? - warknął.

- Naprawdę myślałeś, że Kałasz jest pierwszą, która coś wie na ten temat? - Idzikowski pohamował swój śmiech i mówił już normalnie. - Przecież za chwilę sprawa i tak wypłynie. A jeśli pójdzie w „Rzecie”, to podchwyci to i „Financial Times”, a to oznacza dla nas większy rozgłos i większe zainteresowanie ze strony inwestorów. Irek! - Idzikowski przeszedł na poważny ton.

- Obaj jesteśmy starymi wyjadaczami. Nigdy nie przepuściłbym takiej szansy.

- W porządku, przepraszam.

- Nie ma sprawy. Trzymaj się.

- Na razie.

Lipiński zamyślił się. Jeśli nie Idzikowski, to kto? Dostański? Nawet jeśli, to nie ma takich wpływów, żeby gościa przycisnąć. A może ktoś jeszcze? Zerknął na monitor i przyszła mu do głowy pewna myśl.

Anna należała do tego pokolenia dziennikarzy, którzy bardzo serio podchodzili do takich kwestii jak informowanie o miejscu pobytu. Wiedzieli, że nadmiar bezpieczeństwa jeszcze nikomu nie zaszkodził, zwłaszcza że zbyt swobodne podchodzenie do sprawy potrafiło skończyć się wążaniem kwiatków od spodu.

Odszukał w kalendarzu właściwy dzień i sprawdził jej notatki. O siedemnastej miała mieć spotkanie z Karaso- wiczem u niego w biurze. Wypadek zdarzył się między osiemną a dziewiętną. Ciekawe, ciekawe...

Podniósł słuchawkę.

- Rom, to jeszcze raz ja. Mogę cię prosić o przysługę?

- Tylko jeśli zapłacisz - odrzekł Idzikowski. Uff, znowu byli kolegami.

- Podesłałbyś mi listę spółek, które planują kapitałową emigrację? Tylko do mojej wiadomości - dodał szybko. - Bez udostępniania wewnątrz i na zewnątrz.

- Nawet Annie?

- Tak. Nawet jej.

- Okej - rzucił po namyśle Idzikowski. Im wcześniej rozbuja się ta huśtawka, tym większe będą obroty. - Ale jak wpadniesz na kolejny mistrzowski pomysł, to chcę być pierwszą osobą, z którą się nim podzielisz. Lista jest szkicem, ale tajnym.

- Masz to jak w banku.

Na faks Lipiński czekał kilka minut. Idzikowski nie zawierał e-mailom - ponieważ łatwo można zmieniać ich treść, uważał je jednoznacznie za najlepszy środek przekazywania danych dla przestępców, wymuszaczy i szantażystów. Redaktor wiedział, że działa na oślep, ale słowa prawnika niezupełnie go przekonały. To, co kancelaria traktowała jako reklamę, w spółce mogło wywołać kryzys. Nie każda firma chce szybko odkrywać karty - inwestorzy mogą zacząć sypać akcjami, klienci rezygnować z zamówień i zanim ktokolwiek się obejrzy, do firmy wchodzi syndyk. Tak, znał to aż za dobrze.

Gdy kartka papieru pojawiła się w jego drukarce, szybko przeleciał wzrokiem po nazwach firm. Trzecią pozycję od góry zajmowała Esco SA. Firma, której założycielem i prezesem był Mateusz Karasowicz.

Wiera Kierienko siedziała w swoim ciasnym pokoiku i gryzła końcówkę ołówka. Była dopiero piętnasta, a więc musiała tak tkwić jeszcze przez sześćdziesiąt minut. Prychnęła. Nie dość, że cały dzień siedzi w pracy beczynn timer, to jeszcze wyczekuje godziny wyjścia! Gdzie te lata, gdy praca wypełniała równą dobę! Przez całe życie walczyła o mateczkę Rosję, jak się okazuje tylko po to, żeby skończyć na zapomnianym piętrze nic nieznaczące- go działu.

Zapomniany był także cały jej wydział, niegdyś światło przewodnie rosyjskiej gospodarki. W ZSRR, podobnie jak w USA, istniał wyraźny podział wewnętrznej władzy. Na podwórku radzieckim działały dwa konkurencyjne ugrupowania: słynne KBG oraz mocno zakonspirowane Biuro Finansowych Analiz, w skrócie OAF. Podczas gdy KGB realizowało brudną robotę wyznaczaną przez kolejnych sekretarzy-wywrotowców, OAF dbało o dobrobyt swojego kraju. I to z jakimi skutkami! W najlepszym okresie lat osiemdziesiątych dysponowali milionami dolarów zgromadzonymi na kontach w państwach całego Układu Warszawskiego oraz w Szwajcarii. Ich rolę oraz znaczenie rozumiał i Breżniew, i Andropow, i Czernienko.

Wspierali i faworyzowali OAF, co oczywiście budziło bunt KGB. Wszystko się jednak zmieniło, gdy doszedł do władzy Gorbaczow. Dogadując się z Zachodem, z tą swoją *pierestrojką, głasnością i uskońnieniem*, najzwyczajniej w świecie wygadał się na temat działalności OAF. A potem już łatwo było zająć ich środki, zwłaszcza gdy kraje satelickie zaczęły dopominać się o niezależność. Po dojściu do władzy Putina, wychowanka KGB, było jasne, że OAF zostanie rozwiązane.

Tak się jednak nie stało. Sprawa byłaby zbyt prosta. Postanowiono zachować wszystkich „agentów” w czynnej służbie, polegającej na wykonywaniu nudnych i rutynowych prac, których waga była porównywalna z koszeniem trawnika przed gmachem Dumy. Jednakże trzeba im przyznać, że było to zagranie mistrzowskie. Niezwolnieni z obowiązków pracownicy OAF sami nie mogli ich zaniechać, gdyż zostaliby oskarżeni o zdradę stanu. Tak, tak, pod tym względem Rosja nie miała litości.

Ale nie tylko to bolało Wierę Kierienko. Wiele lat spędziła poza granicami, między innymi w Polsce i w Czechosłowacji. Widziała ludzi bojaźliwych, a mających na tyle silne zaplecze, że zdołali się przebić, przejąć rządy i co więcej - sprawnie rządzić. W Rosji, jeśli przywódca był charyzmatyczny i silny, to miał bardzo słabych pomocników. Co z tego, że wygrywali konfrontacje na arenie międzynarodowej, skoro w kraju wszystko się waliło? Bieda aż piszcziała, co było widać w oczach skulonych przechodniów. W Moskwie na co drugim rogu stała nastoletnia prostytutka, marząca o bogatym biznesmenie z Europy, który się w niej zakocha i wyrwie ją z tego kurwidołka. Bo Rosja była kurwidołkiem i należało się z tym pogodzić.

Pogodzić? Nigdy. Nie ona. Wiedziała, że Rosji są potrzebne pieniądze, a na nich znała się jak mało kto. Już ona by naprawiła państwowe finanse, gdyby ktoś jej tylko pozwolił. Dostanie kiedyś szansę. A wtedy jej nie przegapi.

Minęła szesnasta. Kierienko otworzyła drzwi starej szafy, wyciągnęła z niej znoszone palto i zebrała się do domu.

ROZDZIAŁ XI

Umizgi

Holding to ogólnie dziwny twór - organizacja skupiająca za pomocą mniej lub bardziej licznych powiązań niezależne pod względem prawnym podmioty gospodarcze, z dominującą pozycją jednego z nich. Wśród zalet holdingu wymienia się między innymi ograniczenie negatywnych skutków chwilowego braku płynności finansowej jednego z podmiotów dzięki wsparciu spółki-matki i jej pozostałych jednostek, dodatkowy dopływ kapitału i *know-how* do jednostek podległych dzięki wzrostowi odpowiedzialności spółki-matki za rozwój i wyniki finansowe całej grupy, większą skłonność inwestorów do wykładania swoich funduszy na rzecz podmiotów z solidnym zapleczem kapitałowym i technicznym oraz ograniczenie ryzyka. O wadach mówi się mniej, głównie z tego powodu, że jest jedna istotna, z której wynikają implikacje dla kolejnych. Holding pozbawia spółki podległe pełnej niezależności administracyjnej, organizacyjnej i/lub kapitałowej. Kierunek rozwoju zależy od stopnia integracji podmiotów oraz relacji międzyludzkich i jest pochodną decyzji zapadających najczęściej w spółce-matce. W przypadku rozwoju grupy kapitałowej holding jest więc rozwiązaniem umożliwiającym sprawowanie jako takiej kontroli i pieczy nad coraz silniej rozrastającym się biznesem. Spółki wchodzące w skład holdingu rozwijają się lub zamykają zgodnie ze strategią przyjętą dla całej grupy. Jest to proces w pełni naturalny i co więcej - w pełni akceptowalny.

Jednak w sytuacji gdy początkowo istniejące samodzielnie spółki decydują się na przystąpienie do holdingu, w którym większość ma jedna z nich, może dojść do znacznej rozbieżności interesów dotychczasowych partnerów. Spółka, której zdaniem holding nie spełnia stawianych mu wymagań, może zacząć działać na jego niekorzyść. Wszystko w celu wystąpienia z niezadowolającej struktury bądź przyłączenia się do innego partnera. Ponieważ sprawa jest delikatna, rozmowy na ten temat są zwykle prowadzone poufnie, a działania niezwykle ostrożnie. Większość planu powstaje w głowach, a nie na papierze. Wszystko zaczyna się od impulsu. Początkowe wnioski są zazwyczaj efektem mocnego ładunku emocjonalnego i sprowadzają się najczęściej do najprostszych rozwiązań. Pozostaje po nich pewien ślad, mówiący, że istnieje jakiś problem i należy go rozwiązać. Rodzi się pomysł, który rozkwita w najmniej spodziewanym momencie.

Ale obecni przy stole mężczyźni nie zdawali sobie nawet sprawy, że są na początku

tej drogi. Rosnąca frustracja i przejmująca wściekłość przesłoniły zdolność racjonalnej oceny sytuacji. Co więcej, nie wiedzieli, że mają popleczników, gdyż sytuacja ani okoliczności nie pozwalały okazać emocji.

- Czy ten pomysł jest aby na pewno bezpieczny?

- Drogi Tonda. - Von Schwartzchke rozsiadł się wygodnie w fotelu i spojrzał uważnie na szefa praskiej giełdy. - Żaden wizjoner nie podbił świata bez ryzyka. Ryzyko jest wpisane w charakter każdej działalności. Nie możemy go całkowicie wykluczyć.

- Tak, ale w tym wypadku może nas dodatkowo spotkać krytyka ze strony Unii - wtrącił Nagy.

Szef giełdy wiedeńskiej odwrócił się w jego stronę.

- A niby dlaczego? Bo zacieśniamy współpracę na rynkach kapitałowych? Poza tym rozmawiałem ze Smithem, nie będzie robił problemów. - Nie było to zupełnie zgodne z prawdą, ale pomysł jest dobry. Trzeba pogadać z komisarzem UE. Arpad ma łeb na karku.

- Co więc mamy zrobić? - spytał Savić. Dobry chłopczyk.

- Przygotować oferty. Zmobilizować biura maklerskie do aktywnego działania. Przeszkolić ludzi z języka polskiego - wyliczał von Schwartzchke. - Za kilka dni będziemy mieli pierwsze zapytania. Musimy być gotowi.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Poszczególne krańce dębowego stołu nigdy jeszcze nie wydały im się tak odległe.

- Nie podoba mi się ta cała sprawa - zaczął Savić, gdy weszli do windy.

- Co ty gadasz, chłopie! - krzyknął Vacek. - Tylko na tym wygramy.

Savić wyłapał lekki ruch głowy Węgra. Na dół zjechali już w ciszy. Zwykle po spotkaniach przywódców CEESEG odbywał się jakiś obiad lub chociaż wspólne picie. Tym razem jednak każdy wymigiwał się nawąłem obowiązków, co też i było prawdą, choć nie taką, jakiej spodziewały się szef Wiener Boerse.

Luksusowe limuzyny oczekiwały na podjeździe. Pierwszy wsiadł Vacek, pomachał współpracownikom i odjechał na lotnisko, żeby złapać ostatni lot do Pragi. Obaj mężczyźni popatrzyli za nim i po kolei wsiedli do swoich limuzyn.

Z okna obserwowani byli przez Von Schwartzchkego, który potem, zadowolony, wrócił do swojej pracy. Podobnie jak trzej pozostali, tyle że Arpad Nagy i Darinko Savić mieli odtąd prowadzić ze sobą coraz dłuższe rozmowy i coraz bardziej ożywioną korespondencję.

Jurij Tempienko zerknął zza framugi, ale zobaczywszy Krzysztofa pogrążonego w

pracy przy laptopie, ruszył w kierunku garażu. Nietrudno było zgadnąć, co tamten teraz robi.

Podłączenie zdalnego sterowania pod komputer było obecnie dziecinnie proste: wystarczyło ściągnąć z internetu i zainstalować jeden z kilkunastu dostępnych darmowych programów, które umożliwiają zdalny dostęp lub sterowanie własnym sprzętem. Jurij jednak stworzył arcydzieło. Nie tylko pokonał wszystkie zapory i ochronę Komisji Nadzoru Finansowego, ale jeszcze przepuścił połączenie przez komputer znajomej z Rosji. Ta myśl zawsze wywoływała uśmiech na jego twarzy. Dostał się na samą górę, a nikt nie miał o tym pojęcia. Stworzył zabezpieczenia nie do złamania. Gdyby nawet teoretycznie ktoś dopatrywał się podstępów, to i tak ślad urwałby się na nic nieznaczącej rosyjskiej obywatelce, jaką była Wiera Kierienko. Mogliby wystąpić o jej ekstradycję, porwać ją i poddać torturom, Tempiece było to obojętne. Gardził instytucją, w której pracowała ta kobieta. Najważniejsze jednak, że ponieważ siedziba jej pracodawcy była w tym samym budynku co dawna Łubianka, żadne siły nie pomogłyby w dalszym śledztwie.

Taka prosta rzecz, a tyle może zdziałać. Dzięki niemu Krzysztof zyskał narzędzie tak potężne, jak i niebezpieczne. Na szczęście facet ma łeb na karku, pomyślał Jurij, i ruszył w stronę auta. Trzeba przyszykować samochód na wieczór.

Zgodnie z polską tradycją znane osobistości, a w szczególności politycy, obchodzą przede wszystkim swoje imieniny. I tak na najbardziej znanej czerwcowej imprezie z tej okazji u byłego prezydenta Lecha Wałęsy bawiło się zazwyczaj kilkaset osób. Nie gorsze przyjęcia organizował inny były prezydent, Aleksander Kwaśniewski, czy też dyrektor Radia Maryja, ojciec Tadeusz Rydzyk. Jednakże okrągłe urodziny to rzecz szczególna, a wzorem kolegów zza oceanu postanowiono świętować je równie wyjątkowo.

Szczęśliwym solenizantem był premier Antoni Ksawery Riks. W dniu jego urodzin, a był to piątek, Trakt Królewski rozbłysnął tysiącami kolorowych lampek. Pałac Belwederski - udostępniony grzecznościowo na tę okazję przez prezydenta Mościckiego - oświetlono lampami halogenowymi, dzięki czemu wyglądał niczym świąteczna choinka. Liczbę gości ograniczono do stu pięćdziesięciu, lecz wśród zaproszonych znalazła się cała śmietanka polityków, artystów i biznesmenów z Polski i zagranicy.

Choć cała impreza została sfinansowana z prywatnych pieniędzy premiera, ludzie i tak kiwali głowami, krzywo patrząc na to całe widowisko. Przecież pensję i tak dostawał z budżetu państwa. I chociaż „Sto lat” premierowi nie śpiewała ani Marylin Monroe jak Johnowi Kennedy’emu, ani Beyonce jak Barackowi Obamie, całą imprezę i tak uznano za przejaw rozpusty i próżności.

Czarne bmw X6 skręciło w lewo i ustawiło się w kolejce za innymi autami

wjeżdżającymi na teren posesji. Po kilku minutach przyszła na nich kolej. Prowadzący Jurij Tempienko otworzył okno i wręczył strażnikowi dwa dowody osobiste. Ten przyjrzał się im dokładnie, a potem zerknął w stronę pasażerów.

- Panowie Piotr Mylczek i Robert Cavasky?

- Tak.

Strażnik porównał nazwiska z listą zaproszonych gości i po chwili zezwolił na przejazd. Tempienko zaparkował po prawej stronie, ale nie zgasił silnika. Szoferom nie wolno było pozostać na terenie obiektu. Mężczyźni wyszli więc z samochodu i ruszyli w stronę drzwi frontowych.

- Skąd pomysł z tym dziwnym nazwiskiem? - szeptem zapytał Piotr, gdy uszli kilka kroków i znaleźli się poza zasięgiem osób postronnych kręcących się na parkingu.

- Pamiętaj, mój chłopcze - rzekł Krzysztof, nie odwracając głowy. - Najlepszym narzędziem zaufania jest kontrola.

Weszli do środka pałacu, sięgając po drodze po aperitif. Po prawej stronie w sieni stała maszyna do prześwietlania toreb i bagaży, w tym wypadku upominków, które obsługa na bieżąco zносиła do gabinetów prywatnych. Pomimo stosunkowo dużych rozmiarów sali, w której zorganizowano przyjęcie, obecność licznych stołów, obsługi i zespołu muzycznego sprawiała, że zaproszeni prawie przeciskali się pomiędzy sobą. Nikt jednak się nie skarżył, mając na uwadze liczbę dziennikarzy i notabli. W tym towarzystwie każdy nakręcał się obecnością przyjaciela bądź konkurenta - dobre maniery zawsze były w cenie, a tym samym ich brak mógł słono kosztować.

Pomimo ciepłego dnia wieczór był chłodny, więc wystrojony tylko w galowy, służbowy mundur Michał Smoliński nie mógł się doczekać, kiedy zejdzie z warty i znajdzie się już w środku. Impreza zapowiadała się spokojnie i taka w rzeczywistości była. Zerknął na podjazd. Ostatnie samochody wyjeżdżały w Aleje Ujazdowskie, w drzwiach frontowych, jeszcze chwilę temu obleganych przez zaproszonych gości, było pusto. Dobrze, jeszcze dwa kwadransy i odtaje w środku. Ruszył dalej.

Premier Riks krążył wśród gości z kieliszkiem szampana, dumny, ale wesoły, z wrodzonym dostojeństwem i elegancją podejmując rozmowy i równie taktownie je kończąc. Jeszcze większy podziw wzbudzała jego małżonka, Hanna. Pomimo ukończonych pięćdziesięciu lat, w szkarłatno-błękitnej sukni i kremowych perłach wyglądała jak drogocenny klejnot, najszlachetniejsza ozdoba gospodarza.

Po chwili muzyka ucichła, rozmowy także, a na podeście pojawił się solenizant z żoną.

- Panie, panowie, zanim oficjalnie rozpocznę tę imprezę, pragnę podziękować wam

za przybycie. Cieszy mnie, że mogę świętować w takim gronie. Ponieważ w tym roku obchodzimy z żoną również dwudziestopięcioletcie naszego małżeństwa, z całego serca dziękuję jej za miłość, którą mi ofiarowała, oraz za to, że zawsze jest przy mnie. - Szarmancko ujął dłoń swej żony i ją ucałował. - Wznoszę toast za zdrowie swoje i mojej rodziny, wasze i Polski. Oby ten kraj miał tylko lepszych premierów! - Upił łyk szampana, a za jego przykładem poszli inni goście.

Rozległy się brawa, po czym sala rozbrzmiała pierwszymi taktami walca. Premier ujął dłoń żony i poprowadził ją na taras, który tego wieczoru pełnił funkcję parkietu. Pierwszy taniec należał do nich.

Piotr rozejrzał się. Wśród zaproszonych gości mignęły mu twarze Adama Małysza i Roberta Kubicy - te rozpoznał pierwsze. Po chwili dopatrzył się Jana Kulczyka. I Ryszarda Kalisza. I Kayah. Tylu niby znajomych ludzi, a wszyscy obcy. Dziwnie jest poruszać się wśród osób, które znasz z imienia, lecz które nie wiedzą nawet o twoim istnieniu.

Wyglądził marynarkę. Po raz pierwszy poczuł wdzięczność za dobry gust Krzysztofa i wysoki kunszt jego krawca.

- Dobrze leży - usłyszał mruknięcie. - Chodź! - Krzysztof klepnął go w ramię i ruszył na skos przez salę.

Przechodząc przez wąskie dębowe drzwi, które otworzył im jeden z oficerów, Piotr pomyślał, że nawet nie spróbował żadnej specjalności z przygotowanego menu. Szkoda.

Zaprowadzono ich do małego, przytulnego gabinetu. Co prawda nie było w nim biblioteczki ani wysokich okien, ale wygodne kanapy i pełen barek całkowicie wypełniały tę lukę.

- Panowie czegoś się napiją?

- Dwie kawy poproszę, jedną bezkofeinową - odrzekł Krzysztof za obu.

- Za chwilę kelner poda. - Oficer zniknął za drzwiami.

W środku było przyjemnie i ciepło. W jednym z przylegających do kuchni pomieszczeń premier kazał przygotować poczęstunek dla funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu i policjantów. Nie zabrakło więc gorących zup, pieczonej dziczyzny, kilku rodzajów mięs, smażonych i marynowanych ryb, sałatek warzywnych oraz sernika i szarlotki. Alkoholu, rzecz jasna, nie było. Smoliński nalał sobie okazałą porcję barszczu i usiadł przy jednym ze stolików. Rozgrzać flaka to podstawa, jak mawiał jego ojciec. Wziął się do jedzenia.

Drzwi otworzyły się po kilku minutach, a w nich pojawił się premier.

- .. .nie, Boguś, znasz moje zdanie... O, witam panów - rzekł, gdy ujrzał podnoszących się z miejsc Krzysztofa i Piotra. Podszedł do nich z wyciągniętą ręką. Za nim kroczył Bogusław Abrończyk.

- Robercie, dziękuję za przybycie. - Uśmiechnął się do Krzysztofa. - Piotrze, miło cię poznać. Pozwólcie, że przedstawię wam Bogusława Abrończyka, ministra finansów. Bogusław jest moim zaufanym współpracownikiem i wieloletnim przyjacielem. Nalegałem, żeby wziął udział w tym krótkim spotkaniu.

Mężczyźni podali sobie dłonie. Kolejna niespodzianka, pomyślał Piotr. Facet jest moim szefem, a nie ma o tym pojęcia.

- Czy możemy przejść od razu do rzeczy? - spytał premier, gdy usiedli przy kawie, którą chwilę wcześniej podał kelner. Razem z ministrem sączyli burbona, którego przynieśli ze sobą z sali.

- Naturalnie - odrzekł Krzysztof. Zwrócił się do Abrończyka, zastanawiając się, czy tamten go rozpozna. Nie przeszedł przecież operacji plastycznej, a jego rysy twarzy niewiele się zmieniły. Nie dostrzegł jednak w oczach ministra niczego poza uprzejmym zainteresowaniem. - Czy pan premier wprowadził pana w sprawę?

- Po części. Jak mniemam - zaczął wolno tamten. - Dysponuje pan pewną kwotą, którą chce przekazać na rzecz państwa polskiego.

Najczęściej popełnianym błędem jest wymiana spojrzeń przez osoby sprzymierzone. Krzysztof więc konsekwentnie wpatrywał się w swoją filiżankę, doceniając w głębi ducha przebiegłość premiera Riksa. Tajemnica, o której wiedzą dwie osoby, pozostaje tajemnicą, jeśli jedna z tych osób nie żyje.

- Zgadza się, choć nie do końca - odparł Krzysztof, podnosząc wzrok na przedmówcę. Facet nie wie, o co chodzi, pomyślał. I dobrze. - Fundusze, najprościej rzecz ujmując, otrzymałem w spadku. Wykorzystanie ich w Polsce to najlepszy cel, jaki mogę sobie wymarzyć.

- Ich legalność i własność...

- ... jest niepodważalna - przerwał z naciskiem Krzysztof. - Wszystkie dokumenty zostały już przesłane do kancelarii i ministerstwa.

- I czego pan oczekuje w zamian?

- Ja nie oczekuję, panie ministrze. - Oczy Krzysztofa zaczęły przewiercać spokojną, ale podejrzliwą twarz Abrończyka. - Wiem, że urzędami rządzi biurokracja i nie jest to wina ani pana, ani rządu. Dlatego zdecydowałem, że ten oto młodzieniec - wskazał na Piotra - zajmie się przygotowaniem operacyjnego planu wszystkich inwestycji.

- Inwestycji?

- Tak. Chcemy, żeby fundusze zasiliły gospodarkę. Stąd niezbędne jest przygotowanie harmonogramu inwestycji, terminarza przetargów, kosztorysów...

- Ale do tego niezbędna jest współpraca wszystkich resortów! - Abrończyk prawie wykrzyczał ostatnie słowa.

- Od tego jest Rada Ministrów, jak mniemam - rzucił niedbale Krzysztof.

Minister był wzburzony, ale nic nie powiedział.

- No to chyba się dogadaliśmy - rzekł po chwili premier. - Panie Robercie, poproszę

o *draft* listu intencyjnego. Po podpisaniu będziemy musieli upublicznić sprawę.

- Naturalnie - przytaknął Krzysztof.

Zaczęli już wstawać, gdy odezwał się minister finansów.

- To proszę mi jeszcze powiedzieć... Dlaczego właśnie tak?

Krzysztof wyprostował się i spojrzał mu w oczy.

- Z trzech powodów: po pierwsze, jestem Polakiem. Po drugie, miałem szansę dużo zarobić i mam komfort podzielenia się swoim bogactwem z innymi. Po trzecie, jestem innowatorem. Czy słyszał pan kiedykolwiek o funduszu inwestującym w państwo?

Abrończyk mimowolnie pokręcił głową.

- No właśnie.

Pożegnali się i powoli ruszyli do drzwi. Na sali najpierw pojawił się premier, a potem z drugich drzwi wyłonił się minister finansów, a z jeszcze innych - Krzysztof i Piotr. Ten ostatni od razu skierował się do baru. Bez względu na blichtr i powagę tego miejsca musiał wypić drinka. Żeby przekonać się, że jest trzeźwy.

Smoliński kończy! drugie kółko wokół sali. Razem z pozostałymi policjantami, wspierającymi dziś „borowików” w ochronie premiera i jego gości, przyjęli strategię częstych zmian. Dzięki temu mogli zauważać rzeczy niewidoczne dla innych, a poza tym - jak często bywa przy nudnych imprezach - zachowywali czujność. Nagle zauważył znajomą sylwetkę przeciskającą się przez tłum. Piotr? Ten to się umie wkręcić! Co on tu robi... Wychylił się bardziej. Tak, to on. Ale nie sam. Przyjrzał się towarzyszowi przyjaciela. Już gdzieś widział tę twarz. Tylko gdzie?

Zastanawiał się, czy do nich podejść. Mężczyźni pili koktajle i rozmawiali spokojnie. Nie, lepiej się nie wychylać. Poza tym był na służbie. Podreptał dalej.

Pierwsze takty tańca umożliwiły Idzikowskiemu zdobycie dobrej miejscówki przy barze. Stał samotnie, obserwując kołyszące się pary. Nie mógł dostrzec premiera, ale ten pewnie załatwia! swoje sprawy. Sprawy, no właśnie.

Sytuacja nie wyglądała różowo. Kancelaria była na minusie, a jedyną osobą, którą mógł za to winić, był on sam. Oddelegowany do pracy nad ofertami przenosin zespół prawników musiał zrezygnować z projektów wartych półtora miliona złotych, pewnych i płatnych w krótkim terminie. Ale czy mógł przewidzieć, że sprawy tak się przeciągną? Mógł, był doświadczonym prawnikiem i biznesmenem. Zbyt doświadczonym, żeby dać się tak... podpuścić?

Odpędził od siebie te myśli. Niemożliwe, żeby go wymanewrowano. To... to po prostu było niemożliwe! GPW wciąż ledwo ciągnęła, więc nic dziwnego, że w spółkach wszystko szło wolno. Przecież przejście na inną giełdę, choć zwraca się w dłuższym terminie, początkowo też wymaga nakładów finansowych. Ot, chociażby, żeby

wypłacić *fee* dla jego kancelarii. Musiał więc istnieć inny powód.

Może Dostański? Co prawda przychylił się do jego pomysłu, ale z tym typkiem nigdy nie wiadomo. Ciekawe, może bał się gadania i utraty stołka? Sięgnął po kolejny kieliszek szampana. Nie powinienem pić, zrugął siebie w myślach, ale z drugiej strony rzadko miał ostatnio okazję do odpoczynku. Chociażby w postaci szybkiego resetu mózgu.

Rozejrzał się wokół. Same znajome, blade twarze, uśmiechem kryjące obawę przed wykryciem trupów ukrywanych w szafie. O, marszałek Sejmu - spojrzał na starszego jegomościa, który uprzejmie skinął mu głową. Uważany za wzór cnót mąż i ojciec szóstki dzieci, kolejne ma w drodze z jedną ze swoich asystentek, która solidnie opłacona zgodziła się milczeć. A ten producent keczupu? Zarobił pierwszy milion na oszustwach, „optymalizacji” podatkowej, które to działania zyskały takie miano dzięki interwencji jego kancelarii. Jest i Karasowicz.

- Witam pana prezesa. - Idzikowski podszedł do Karasowicza, który właśnie nakładał sobie porcję owoców morza. - Kalmary mają rzeczywiście wyśmienite.

- To prawda, są niezłe. - Uśmiechnął się grzecznie.

Idzikowskiego kusilo, żeby spytać o papiery, ale nie

był to czas ani miejsce. Co nagle to po diable, tłumaczył sobie.

Rozmyślenia przerwał mu dotyk czyjejś ręki, która spoczęła na ramieniu.

- Cześć, Romku. - Z boku wyłoniła się twarz Lipińskiego.

- A! Cześć.

- Coś marnie wyglądasz. - Redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” zerknął z ukosa na przyjaciela.

- Zapracowany jestem - rzucił od niechcena. - Znacie się zapewne z panem Karasowiczem?

Mężczyźni podali sobie dłonie.

- Teraz już tak - odrzekł prezes Esco SA.

- Przykro mi, Irku, z powodu Kałasznikowej - zaczął Idzikowski po chwili. - Straszna sprawa.

- Coś się stało? - Karasowicz nie przerwał jedzenia.

- Tak. Dziennikarka miała wypadek - wytłumaczył Idzikowski. - W jej taksówkę wjechała półciężarówka. Straszna sprawa... Jak śledztwo? - Ostatnie słowa skierował do Lipińskiego.

- Facet zwał, szukają go. Ale Anka to twarda sztuka, wyliże się - rzekł beznamiętnie Lipiński.

- Znał ją pan? - spytał Idzikowski.

- Nie... słabo - odpowiedział spokojnie Karasowicz. Redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” drgnął. - Zdaje się, że poznaliśmy się kiedyś. Bardzo mi przykro. A teraz przepraszam. - Odstawił talerz i skierował się w głąb sali.

- Coś tu śmierdzi - powiedział po chwili Lipiński, odprowadzając wzrokiem Karasowicza. - Facet wyparł się znajomości z Anką, a przecież spotkali się w dniu jej wypadku.

- Rzeczywiście dziwne - przyznał Idzikowski. Jako prawnik uważał, że nawet jeśli się kłamie, należy robić to wiarygodnie. W tym wypadku facet równie dobrze mógłby mieć napisane na czole, że ściemnia. A jeśli tak, to musi mieć jakiś powód. Ale jaki?

Karasowicz wziął ze srebrnej tacy cygaro, obciął końcówkę i skierował się w stronę wyjścia. Mimo że znajdowali się w centrum miasta, tylko z daleka słychać było cichy odgłos samochodów dobiegający z Trasy Łazienkowskiej.

- Ma pan ogień? - spytał przechodzącego policjanta.

- Tak, proszę - odrzekł tamten, przypalił mu cygaro i ruszył dalej.

Na parkiecie wirowało kilka par, ale on stracił ochotę na zabawę. Co prawda nigdy nie narzekał na brak powodzenia u płci pięknej, ale bez partnerki czuł się jak łowca. W lesie trudno dostrzec pojedyncze drzewa. Poza tym nie chciał towarzystwa pań. Nie teraz.

Bo jak to się, do kurwy nędzy, dzieje, że przynosi kobietom takiego pecha? On, absolwent SGH i Oksfordu, założyciel i prezes największej firmy IT w Polsce, przystojny mężczyzna, sprowadzał na kobiety same nieszczęścia.

Jechała taksówką. Tak jak jego żona i dziecko sześć lat temu. Miał wyjechać po nie, ale nie zdążył. Gdyby wyjechał, jechałby szybciej niż taksówka, zawsze się śpieszył. Więc przejechałby znacznie szybciej skrzyżowanie Żwirki i Wigury z Hynka, uciekając tym samym przed pędzącą z prawej strony za wiaduktem kilkutonową śmiercią na kołach. Miały swoją rodzinę, pewnie nawet nie wiedząc, że tego dnia zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, spowodowany niesprawnym układem hamulcowym dwunastokołowego tira.

Zawsze uważał, że jeśli bliskim dzieje się coś złego, człowiek to podświadomie wyczuwa. Jak jakąś falę albo deszcz. Ma wcześniej złe sny lub coś go boli. Cokolwiek! Tymczasem on miał wtedy bardzo udany dzień. Wszystko szło lepiej, niż zaplanował, wszystkie rozmowy i negocjacje zakończyły się pełnym sukcesem. Tamtego dnia zarobił siedemnaście milionów złotych dla firmy i blisko półtora miliona złotych, grając na giełdzie. Tyle warte były jego żona i dziecko.

A teraz znów: kobieta, która siedziała chwilę wcześniej u niego w biurze, wpadła taksówką pod ciężarówkę. Dlaczego te babsztyle, które siedzą u niego w sekretariacie, nic mu nie powiedziały! A tak to wiedzą o wszystkim: kto z kim sypia, kto kogo obgaduje, kto oszukuje na benzynie. Kurwa mać!

Walnął ręką w pobliski murek, aż poczuł nerw w ramieniu. Jeden ze strażników odwrócił się w jego stronę, ale Karasowicz uśmiechnął się, tłumacząc się zdrewniałym

mięśniami. Nie pozwoli sobie, żeby przypadek rządził jego życiem i powracał nocami jak koszmarne sny. Pech czy nie - należy poznać przyczyny wypadku i ukarać winnych.

ROZDZIAŁ XII

Gruzy intuicji

KOŃ TROJAŃSKI GPW?

Jak dowiedział się dziennik „Le Figaro”, spółki notowane na GPW w Warszawie są prawdopodobnie współodpowiedzialne za olbrzymie spadki indeksów giełdowych, jakie miały miejsce w miniony wtorek. Według jednej z hipotez to lawinowe wyprzedaże własnych pakietów akcji przyczyniły się do załamania na warszawskim parkiecie oraz w konsekwencji na innych giełdach europejskich. Nadal nie wiadomo jednak, co było bezpośrednią przyczyną sprzedaży. Być może tłumaczy to fakt, że część notowanych w Warszawie przedsiębiorstw planuje przeniesienie na inne zagraniczne giełdy.

GPW ma jednak szansę na odbicie. Jak nieoficjalnie dodaje nasz informator, wejście do Polski z olbrzymim kapitałem planuje międzynarodowy holding funduszy inwestycyjnych, posiadający aktywa między innymi we Francji, Włoszech, Niemczech, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Zdaniem...

Premier Riks skończył czytać i rzucił gazetę na biurko.

- Co to ma być? - warknął do obecnych.

- Przeciek informacyjny gdzieś na wysokim szczeblu - odrzekł spokojnie Maciejewski.

- Nie pytam się o źródło, ale o treść. - Szef rządu spojrział na niego krzywo. - Skąd, do cholery, jakaś francuska pismaczka wie lepiej od nas, co się dzieje w naszym kraju! Dlaczego nic nie wiem o tych przenosinach?!

- To nic pewnego. - Maciejewski wzruszył ramionami. - Spółki ciągle narzekają, a to na zbyt wysokie opłaty, a to na słabą płynność. Nieraz już słyszałem podobne groźby i jak do tej pory nic z nich nie wynikło.

- Tak, tylko teraz sytuacja jest nieco inna! - wybuchnął Riks, ale zaraz po tym ściszył głos. - Ponieważ spółki zostały oskarżone o spowodowanie tej całej lawiny, to łatwiej im będzie przekonać rady nadzorcze i akcjonariuszy do zmiany giełdy.

- Mogę? - wtrącił się Dostański, który do tej pory siedział zamyślony. - Z punktu widzenia prawa nie można im tego zabronić. Ale jeśli postawi się konkretne spółki i ich zarządy w stan oskarżenia, to nic nie działają. Ani tu, ani tysiąc kilometrów dalej.

- No i co osiągniemy?! - spytał retorycznie premier. - Stagnację? Równie dobrze możemy darować sobie wszelkie reformy. Bo i tak za kilka miesięcy cała gospodarka runie na łeb, na szyję!

- Zgadza się, że niesie to ze sobą pewne ryzyko - odpowiedział szef KNF. - Ale lepsze to niż utrata kapitału. A inwestorzy prędzej czy później powrócą. Tak działa rynek.

Maciejewski drgnął.

- Czy ja dobrze rozumiem, że chcesz je pociągnąć do odpowiedzialności?

- Wyniki raportu są jednoznaczne i wszyscy o tym wiemy. Spółki miały swój udział w spadkach...

- Ale to nie znaczy, że je spowodowały! - Maciejewski poderwał się z krzesła. - Równie dobrze możemy zamknąć ich zakłady i zwolnić tysiące ludzi. Lub dać bilet w jedną stronę do Chin lub Indii. To samobójstwo! - Pokręcił głową. - Poza tym nie po to chowaliśmy głowę w piasek, żeby teraz się wychylać. Giełda straci płynność, gospodarka się zachwieje i runie!

- No, a ten fundusz? - spytał od niechcienia Dostański.

- Jaki fundusz?

- Ten, o którym napisała ta...

- Na razie pracujemy - rzekł spokojnie premier. - Zobaczymy. A tymczasem nie chcę podobnych niespodzianek. Nie tylko z prasy zagranicznej, ale i naszej. Macie mnie informować na bieżąco o wszystkim, jasne?

Obaj mężczyźni kiwnęli głową. Maciejewski jak zwykle zaczął już grzebać w swojej komórce. Riks nie wątpił w jego lojalność i oddanie pracy, ale mógłby się pozbyć tej swojej opieszałości. A Dostański? Trzeba go obserwować. Faceta zżerała ambicja. Tylko gdzie jest jej szczyt? Premier uśmiechnął się w duchu, widząc, jak szef KNF wygodnie rozsiadł się w fotelu i dopijał kawę. Może tutaj?

Nie podobał mu się ten człowiek. Będąc stuprocentowym realistą, minister finansów, który musiał myśleć tak trzeźwo jak chirurg na oddziale intensywnej terapii, nie umiał wytłumaczyć sobie dziwnej niechęci, jaką czuł do TEGO człowieka. Uznawał, co prawda, istnienie chemii, jaka potrafi wywiązać się między ludźmi. Ale żeby zaraz niechęć? Może kiedyś już widział podobną osobę lub osobę zachowującą się w zbliżony sposób? To mogło być racjonalne wytłumaczenie owej awersji, która sama w sobie była przecież irracjonalna. Przecież nie znalazł gościa.

No, może niezupełnie.

Zerknął na leżący przed nim plik dokumentów. Wśród papierów było także i dossier niejakiego Roberta Cavasky'ego. Wykształcony podróżnik, milioner, właściciel funduszu Costel Rossell Funds, którego aktywa były wyceniane na ponad 300

miliardów dolarów. Tyle. Skromnie i na temat. Normalnie nie wzbudziłoby to jego zastrzeżeń, ale w tym wypadku czuł, po prostu czuł, że coś tu nie gra. Czekał jeszcze na analizę z jednego z biur maklerskich, ale wiedział, że od tego beczynnego myślenia tylko krok do niezdrowego uprzedzenia. Sięgnął po telefon.

- Kancelaria Premiera, słucham? - odezwał się grzeczny, ale suchy głos po drugiej stronie linii.

- Cześć Kasiu, Abrończyk z tej strony. Czy premier znalazłby dla mnie chwilkę?

- Sprawdzę. Na kiedy?

- Na już.

- Chwileczkę. - Połączenie zostało zawieszono, a w tle usłyszał etiudę Chopina. Rządowy dział PR zaczął wreszcie dbać o drobiazgi. - Tak, przyjmie pana.

- Dziękuję. - Odłożył słuchawkę.

Dojazd ze Świętokrzyskiej 12, gdzie mieściła się siedziba Ministerstwa Finansów, do Kancelarii Premiera w Alejach Ujazdowskich zajął mu niespełna piętnaście minut. Wszedł głównym wejściem i ruszył od razu w kierunku gabinetu premiera.

- A, witaj Boguś. Proszę. - Premier podniósł głowę znad dokumentów, i wskazał mu miejsce naprzeciw siebie. Przełożył kolejny stos papierów, i nie przerywając pracy, zagaił: - Mam nadzieję, że chociaż w ministerstwie wszystko gra? Czytałeś „Le Figaro”?

- Taak... U nas w porządku. - Abrończyk nie chciał wdawać się w dyskusję na temat finansów, bo zajęłoby im dobrych kilka godzin. O ile premier po kwadransie nie wybiegłby na kolejne spotkanie. - Ale przyszedłem w innej sprawie.

- Słucham zatem.

- Ten cały Cavasky... - zaczął, siadając na krześle. - Zastanawia mnie, skąd wziął tak olbrzymie fundusze. Nie jest zbyt popularną osobą.

- Mianowicie? - Riks wciąż siedział z głową w dokumentach.

- Chodzi o to, że niełatwo ukryć taki majątek. Osoby bogate stają się z natury rzeczy osobami publicznymi. A jego nikt nie zna.

Premier przerwał czytanie i spojrzał na swojego rozmówcę.

- Nie przesadzasz? - zaczął lekko. - Celebrytą może zostać każdy, z moją córką włącznie. Konto w banku nie jest przepustką na bazar próżności, ale raczej otwartymi drzwiami. Jeśli ktoś nie chce z nich skorzystać, to jego sprawa.

- Tak, ale w kręgach finansowych też niewiele o nim wiedzą - zaripostował Abrończyk. Nie chciał nic mówić o swoich odczuciach, okazywanie emocji bynajmniej nie należało do jego najmocniejszych stron, nie mówiąc już o ich analizowaniu. - Facet po prostu wziął się znikąd i to mnie martwi.

- Martwi cię to - Riks uśmiechnął się z chytyim błyskiem w oczach - że inwestycje prywatnego funduszu w państwo nie są typową operacją finansową.

- Nie, ale...

Premier przerwał machnięciem ręki i wyprostował się na krześle. Kręgosłup bolał go coraz bardziej, ale nie tylko on rozpaczliwie wołał o więcej troski.

- Słuchaj, rozumiem twoje wątpliwości. Mnie też ich nie brakuje. Ale wierzę w jego szczerą intencję i chęć zarobku. A tego u nas mu nie zabraknie.

- A jeśli jego kasa, nie jest hmm... z legalnych źródeł?

- A sprawdziliście go? Ty to powinieneś mi powiedzieć.

Abrończyk poczuł, jakby dostał policzek. Należało mu się. Fakt, pytanie było głupie.

- Wszystko się zgadza.

- Więc, Boguś, z całym szacunkiem, ale ruszmy dupy do roboty! - Premier wrócił do dokumentów. Spotkanie zostało zakończone.

Abrończyk wyszedł szybko, nie oglądając się nawet na sekretarki, z którymi zwykł się żegnać. Należy z nimi dobrze żyć, potrafią otworzyć niejedne drzwi. Ale co tam! Najwyżej następnym razem nie wpuszczą go do premiera. I dobrze, nie będzie miał okazji się skompromitować. Praca w rządzie przypominała sztafetę. Dopóki biegniesz w rytmie innych, wszystko jest jak należy. Ale wystarczy, że skreślisz w bok lub zgubisz pałeczkę i wypadasz z drużyny. Czy coś osiągnie, grzebiąc dalej na temat tego funduszu? Co najwyżej straci stanowisko. Czy warto? Jasne, że nie. Ale...

Pomimo rosnącej złości i frustracji musiał zdobyć więcej informacji na temat tego całego Cavasky'ego. Był przecież szefem funduszu, ktoś musiał mieć nad nim jakiś nadzór. Nagle stuknął się głowę. Jaki ja jestem głupi!

Po chwili dzwonił już do przewodniczącego KNF.

- Więc chcesz, żebym sprawdził ten fundusz, o którym mówił premier. - Dostański nie był zaskoczony pytaniem.

- Tak. Na kiedy dasz radę?

- Zależy, ile tego masz...

- Prześlę ci skany szyfrowanym mailem.

- Dobra, spróbuję to komuś wcisnąć.

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy. Czekam na materiały.

Dostański odłożył słuchawkę. Nie miał zamiaru nikomu oddawać żadnych dokumentów. Instynkt mówił mu, żeby samemu się tym zająć. A instynktowi, jak każdy wie, należy ufać.

W tym dniu Karol Lewiński wiele by dał za możliwość wcześniejszego opuszczenia miejsca pracy. Podparł głowę. Boże, jak nienawidził mieć kaca. Wszystko przez tę cholerną zawieruchę na giełdzie. Człowiek nie śpi, mało je, a jak dorwie się do

alkoholu, to pije wszystko, nie zważając na skutki. I kończy tak jak on, gdy szybkie piwo z dawno niewidzianym kumplem zamieniło się w cztery piwa i kilka kolejek tequili popijanych colą z whisky. Czuł, że mózg dochodzi mu do wrzenia niczym gotująca się lawa. Może jego czaszka wybuchnie jak wulkan. Zrobiło mu się niedobrze. Pobiegnął do łazienki, skąd wrócił po kilku minutach. Nie czuł wyraźnej ulgi.

Ręce mu drżały i choć czuł chłód, nie mógł się doczekać osiemnastej, gdy wyjdzie na świeże powietrze. Boże, i te zawroty głowy!

Nie wiedział jednak, że kac potrafi być świetnym katalizatorem dla intuicji.

Intuicja, której nazwa pochodzi od późnołacińskiego słowa *intuitio* oznaczającego „wejrzenie”, jest tłumaczona jako podświadomy proces myślowy, w którym następuje szybkie dopasowanie danych zjawisk i sytuacji do poznanych już szablonów i schematów. Intuicja objawia się jako nagły przebłysk myślowy, dostarczający informacji na temat rozwiązania problemu czy odpowiedzi na dane pytanie. Niejednokrotnie intuicja jest utożsamiana również z szóstym zmysłem, czyli postrzeganiem pozazmysłowym. Obejmuje ono postrzeganie zdarzeń w innym miejscu i czasie, czyli jasnowidzenie, postrzeganie rzeczy niewidocznych dla innych ludzi oraz zdolność do komunikowania się bez użycia środków technicznych z ludźmi będącymi daleko, nieżyjącymi lub przebywającymi w innych wymiarach, jak również telekinezę i teleportację, czyli zdolność przenoszenia przedmiotów, ludzi i zwierząt w przestrzeni.

Lewiński jednak nie tylko nie zdawał sobie z tego sprawy, ale też nie ogarniał niczego, co się wokół niego działo.

O, nowy e-mail. Podniósł z trudem głowę, jak gdyby wszystkie kręgi puściły mu w plecach. No tak. Kolejna zdumiewająca prośba: o analizę jakiegoś funduszu. Cos- tel Rossell Funds... co to, do cholery, jest? Od szefa. Super, tylko to nie do niego. Fundusze to zupełnie nie jego działka. Poza tym NIE DZIŚ. I już miał wcisnąć w pełni usprawiedliwiony *forward*, gdy zawahał się. A niech tam, zrobi to, czas mu szybciej minie.

Elżbieta Górka wzięła do ręki kolejną szarą kopertę, otworzyła i wyjęła dokumentację. Która to już dziś? Piąta? Straciła rachubę. Dochodziła dopiero jedenasta, a ona już była urobiona po łokcie. W dodatku nic nie zapowiadało, że sytuacja się poprawi. Dostała co prawda do pomocy jeszcze dwie dziewczyny z księgowego, ale nadawały się bardziej do przynoszenia kawy niż analiz finansowych. Lub do salonu piękności, pomyślała, zerkając z ukosa i obserwując malujący się na ich twarzach zachwyty wywołany nowym odcieniem lakieru do paznokci. Rdzawa fuksja czy jakoś tam.

Westchnęła. Maleńki pokoi, który sobie wywalczyła, okazał się na tyle duży, że pomieścił jeszcze dwa biurka. Zakopana w papierzyskach zastanawiała się, czy

ktokolwiek doceni jej pracę. W urzędzie? Raczej nie. Płacą jej za to, żeby urząd nie musiał płacić inwestorom. Równie dobrze może zostać uznana za wroga publicznego. No przecież jest pierwszą zaporą, przed którą stają inwestorzy domagający się odszkodowania za straty poniesione na giełdzie. A że wszystko wynika z błędu ich samych... Nikt nie kazał im kupować ani sprzedawać. Nawet jeśli spółki są odpowiedzialne, to kary na nie nałożone są równoznaczne z odszkodowaniami przyznanymi inwestorom. Prawo dżungli panuje i na rynku finansowym.

Wyciągnęła dokumenty i już po chwili pochłonęła ją kolejna sprawa sądowa. Rzucona w wir pracy i obowiązków prawie zapomniała o tajemniczym strażniku oraz zdjęciu Dostańskiego, które znalazła w magazynku.

Umysł ma jednak to do siebie, że często gromadzi najróżniejsze fakty, nawet te z pozoru zbędne, aby przypomnieć o nich we właściwym momencie.

PIERWSZY WINNY

Spółka Mateusza Karasowicza jako pierwsza odniosła się do zarzutów stawianych wszystkim blue-chipom z WIG20. Jak stwierdził Mateusz Karasowicz, prezes spółki, w publicznym oświadczeniu: „Rzeczywiście istniał na rynku zbieg okoliczności, który sprawił, że podmioty notowane na GPW mogą być uznane za współwinne olbrzymich spadków, jakie miały miejsce dwa tygodnie temu na warszawskim parkiecie”. Dla przypomnienia, inwestorzy stracili łącznie blisko....

Karasowicz odłożył gazetę i zapatrzył się w okno. Nie był wściekły. Wiedział, że stwierdzenie o podobnej treści wywoła lawinę, na której stracą jego inwestorzy. Ale ktoś musiał to powiedzieć pierwszy. Zrobił to on, w imię zasad, którymi zawsze się kierował. Bez zaufania nie będzie mógł piastować swojego stanowiska. Nie żeby ktoś go od razu odwoływał. Po prostu sumienie drążyłoby w nim dziury dopóty, dopóki nie padłby jak pod ostrzałem z broni maszynowej. Uważał siebie za wytrawnego gracza i dobrego biznesmena. Także w kwestiach moralnych. Czy to jego wina, że nie zrealizowano transakcji? Nie. Z drugiej strony nie miał wątpliwości, że zostanie uznany za współodpowiedzialnego całego zamieszania. Więc czy rynek na powrót mu zaufa? To, że powiedział prawdę, niespecjalnie cokolwiek zmieniło. Wiedział, że media są mu nieprzychylnie. Był ostrzegany, że wystawia się na pożarcie dziennikarzy. Ale żeby tak pastwić się nad pierwszym sprawiedliwym? Czyżby wybrał sobie drogę męczennika?

Obsługa śmigłowców szturmowych dla doświadczonego lotnika jest prosta jak

prowadzenie samochodu dla kierowcy. Bez względu na to, w jakie auto wsiadał, wiedział, co należy robić: kluczyk w stacyjkę, sprzęgło, uruchomić, gaz i bieg. Światła, pas bezpieczeństwa i ruszamy w drogę. Można więc pokusić się o stwierdzenie, że piloci śmigłowców mają nawet łatwiej: szerszą „drogę”, ładniejsze widoki, naukę na symulatorach. A i za samo latanie jeszcze im płacono. Sztuka ta jednak wymagała wieloletniej nauki, a ponieważ wiązała się z dużymi kosztami, prawdziwych speców było niewiele.

W skład sił lotniczych Unii Europejskiej wchodziły oddziały z różnych państw. Najbardziej doświadczeni i najlepsi piloci zwykle szybko kończyli karierę kuszeni lepszymi zarobkami w sztabie. Nie oznaczało to jednak, że w pokazach i manewrach uczestniczyły same żółtodzioby. Wręcz przeciwnie - wszyscy członkowie oddelegowanej załogi zostali gruntownie sprawdzani na testach psychologicznych, a ich umiejętności i kompetencje były wielokrotnie potwierdzane i udokumentowane. Nie gorzej było z obsługą techniczną.

Hans Gestiland był z pochodzenia Niemcem, choć mieszkał i uczył się we Francji. Jego rodzice wyemigrowali z RFN nad Sekwanę w latach 80. Nauka mu nie szła, podobnie jak praca w ojcowskim zakładzie stolarskim. Czas spędzał głównie na kręceniu się po knajpkach i malowaniu nisko ocenianych obrazów. Ku rozpaczy matki nie miał również dziewczyny, a jego najdłuższy związek trwał zaledwie kilka... nocy. Nie rozumiał kobiecego myślenia, potrzeb i marzeń. Nigdy nie myślał też o sobie w kategoriach męża czy ojca. Nie mógłby opiekować się czymś, co było słabe i wątłe, gdyż w rzeczywistości sam czuł się taki. Chciał jedynie malować, a ponieważ to mu nie wychodziło, coraz bardziej się zniechęcał.

Traf chciał, że kolega ojca zaproponował, iż weźmie „młodego” na przeszkolenie do ośrodka wojskowego. Żadnych niebezpiecznych zajęć, ot zwykła szara, techniczna robota. Rodzice przyjęli pomysł z aprobatą, sądząc, że ich syn po takiej „szkole życia” wróci odmieniony. No i bardziej męski.

Był chyba jedynym z techników, który uwielbiał patrzeć na umorusane smarem i olejem dłonie. Brudny na zewnątrz, czuł się duchowo oczyszczony. Swoją pracę, polegającą głównie na oliwieniu części mechanicznych, wykonywał powoli, ale skrupulatnie. Jego precyzja, świadcząca wręcz o zamiłowaniu do tego zajęcia, nie uszła uwagi przełożonych.

- Hej, Hans, choć no tu! - krzyknął któregoś dnia kierownik.
- Tak?
- A na benzynie to się znasz?
- Jak na olejach. - Hans z rumieńcem rozłożył umorusane dłonie.
- To będziesz teraz dolewał paliwisko do śmigłowców. Awansuję cię. - Kierownik uśmiechnął się i wrócił do papierkowej roboty.

Przygotowując mieszankę paliwową dla szturmowców, Gestiland miał wrażenie, że

przygotowuje specjalne farby, które rozprowadzone po płótnie łączą się ze sobą, dając w efekcie kilkunastokolorowe kolory zdobiące obraz, jakiego jeszcze świat nie widział. Wprowadzone przez niego drobne ulepszenia w mieszankach paliwowych chwalili piloci i przełożeni. Jako uznany fachowiec i dobry pracownik nie miał sobie równych. Nic więc dziwnego, że gdy przyszło do manewrów wojskowych, także poproszono go o pomoc.

Wybór miał być dokonany pomiędzy dwoma nowymi typami śmigłowców szturmowych: Eurocopter Tiger oraz AH-64 Apache Boeinga. Choć były do siebie bardzo podobne, to jednak różniły się wieloma szczegółami. Oba dwumiejscowe i dwusilnikowe, zdolne do walki w dzień i w nocy. Tiger miał kadłub wykonany z odpornego na rozciąganie kevlaru i włókien węglowych, dodatkowo pokryty był farbą odbijającą ciepło, co zmniejszało ryzyko wykrycia śmigłowca przez czujniki termiczne. Odporny był także na skażenia chemiczne, biologiczne, promieniotwórcze oraz impuls elektromagnetyczny (EMP). Zainstalowane w nim silniki turbinowe MTV, Turbomeca lub Rolls-Roys MTR390, o mocy 860 kW były wyposażone w system chłodzenia gazów wylotowych. Oddzielone były pancerną płytą uniemożliwiającą uszkodzenie przez pociski obu silników naraz.

Konkurencyjny AH-64 Apache miał opancerzoną kabinę, w której obaj piloci siedzieli w kevlarowej wannie. Skonstruowany z włókien szklanych wirnik umożliwiał kontynuację lotu nawet z wielokrotnie przestrzelonymi łopatkami. System zakłócania radaru i układy wabików cieplnych chroniły przed zestrzeleniem przez rakiety przeciwlotnicze naprowadzane na podczerwień oraz radarowo. Śmigłowiec wyposażony był w dwa silniki turbo- wałowe T700-GE-701 o mocy 1265 kW.

Mieszanka paliwowa obu śmigłowców była podobna. Przy zwykłych przelotach wojskowych nawet złe proporcje nie miały znaczenia. Śmigłowce zaprojektowano w taki sposób, aby móc lecieć w warunkach wojskowych „na byle czym”. Jeśli śmigłowiec ulegał rozbiciu, sprzęt elektroniczny wyzwalał iskry, które w razie dostania się do rozszczelnionego zbiornika paliwowego powodowały zapłon i wybuch. Teoretycznie taka sytuacja mogła mieć miejsce, jeśli wysokooktanowe paliwo dostało się do górnych zaworów paliwowych w trakcie lotu. Ponieważ zawsze brano pod uwagę prawdopodobieństwo awarii, w nowych wersjach obu śmigłowców wprowadzono różnorodne zabezpieczenia: w tigerach były to solidne niemieckie klapy montowane u góry zbiorników; w apache'ach specjalne zapadki. Jako że nie było do tej pory żadnego wypadku związanego z wadliwą instalacją, nikt nie przykładął do tego większej wagi.

Manewry postanowiono zorganizować w pobliżu Provins, niedużego miasteczka w regionie Ile-de-France, którego jedyną zaletą okazała się lokalizacja: znajdowali się niecałe sto kilometrów od Paryża. Zapewne przyciągnie to wielu gapiów, pomyślał Hans Gestiland. Ale prawda była taka, że łatwiej też sprowadzić tam śmigłowce. A i niemieckie ekipy techniczne, takie jak ta jego, miały bliżej. W ogóle to było mu obojętne, gdzie będzie pracował. Oby nikt mu się nie pętał pod nogami. Osobiście nadzorował wlew paliwa. Jako szef zespołu składającego się głównie z niemieckich inżynierów, czuł się ważny i doceniony. Nieważne, że wykonywali proste czynności. Był kierownikiem, a ta funkcja zobowiązuje.

- Co się dzieje? - Podszedł od tyłu do jednego z apache'ów, przy którym stał beczynnie technik i trzymał coś w dłoni.

- Melduję, że wypadło to ze środka.

- Pokaż. - Gestiland wziął do ręki plastik. Był lekki, choć gruby, płaski o zaokrąglonym kształcie. Zmarszczył brwi. Wygląda na ułamany. Ale od czego?

Nagle rozległy się syreny i z głośników padła komenda: „Na stanowiska”. Okazało się, że jeszcze dwa tigery nie skończyły tankowania, co zaowocowało fochami pilotów i stresem techników. Gestiland biegał jak w gorączce od śmigłowca do śmigłowca, sprawdzając, czy wszystkie zawory zostały należycie zamknięte. Dopiero gdy wyprowadzono śmigłowce, uświadomił sobie, że wciąż w ręku trzyma plastikowe kółko. Pocieszał się jeszcze, że to może nic takiego.

Odprawa trwała krótko, po czym maszyny wyciągnięto na zewnątrz. Do obecności dziennikarzy, ekip telewizyjnych i widzów większość pilotów była przyzwyczajona. Ale to, co zobaczyli, przeszło ich oczekiwania. O ile wszelkie festyny i imprezy sportowe mają przygotowane trybuny, o tyle tu wszyscy tłoczyli się wzdłuż jednego pasa ogrodzenia pilnowanego przez kilkunastu policjantów i żołnierzy. Gęsty tłum ciągnący się wzdłuż jednej linii, między polem lotniska a lasem, przypominał raczej obserwatorów wyścigów samochodowych aniżeli pokazów lotniczych.

Piloci wsiedli do przygotowanych maszyn i kolejno wystartowali. Każdy z nich w pamięci powtarzał raz jeszcze scenariusz manewrów. Na wszelki wypadek mieli także wbudowany schemat lotu w system informacyjny komputera podkładowego.

Pomimo tego czuli podniecenie. Śmigłowce Tiger typu HAP - do walki powietrznej i bliskiego wsparcia - których zakup rozważała Unia Europejska, były wyposażone w system celowniczy Strip zamontowany na żyrostabilizowanej platformie na dachu. Miały także kamerę na podczerwień, kamerę cyfrową, laserowy dalmierz oraz bezpieczny celownik optyczny. Uzbrojenie HAP stanowiły: działka automatyczne Giat 30 mm AM- 30781 w obrotowej wieżyczce, czterdzieści cztery pociski niekierowane SMEB kalibru 68 mm oraz cztery pociski Stinger. Z maksymalną prędkością 280 km/h,

pułapem praktycznym 4000 metrów, a zasięgiem 800 kilometrów można zawalczyć, pomyślał pilot, uruchamiając pierwszą maszynę.

Popatrzył na apache'a. Wiedział, że nie są gorsze, jeśli nie lepsze. Dzięki rzutnikowi monookularowemu ich piloci mieli odczyty przyrządów pomiarowych podawane na wyświetlaczu zintegrowanym z hełmem. Maksymalna prędkość apache'a wynosiła 365 km/h, pułap 6400 metrów, a promień działania 482 kilometry. Na uzbrojenie śmigłowca składały się: działka M230 30 mm, działko automatyczne na 1200 naboii oraz pięć rakiet Hellfire lub Hellfire II, Hydra 70 i FFAR. I choć plan nie przewidywał strzelania, sam fakt dostępu do takiego uzbrojenia działał na pilotów jak środek pobudzający.

Maszyny powoli uniosły się w powietrze. Łącznie w manewrach wzięto udział osiem śmigłowców, po cztery każdego typu. Pierwsza formacja przypominała ustawienie bojowe - śmigłowce zawisły w dwóch rzędach, tigery i apache naprzeciwko siebie. Kolejno ruszyły na siebie i w ostatniej chwili, jak to mawiają dziennikarze, choć piloci mieli jeszcze sporo czasu na zmianę manewru - przechylały się na prawo i ku uciesze widzów obracały się do siebie spodami. Następnie śmigłowce połączyły się w pary, po jednym tigerze i apache'u, i początkowo lecąc rzędem niczym w tańcu dworskim, rozdzielały się na boki, ustępując miejsca kolegom z tyłu. Widownia biła brawo i wiwatowała.

Dla postronnych widzów manewry przypominały taniec. Na prawo od hangarów ustawiono specjalną trybunę, na której zasiedli eksperci z lotnictwa i wojskowości Unii Europejskiej oraz niezależni specjaliści. Już po kilku minutach pokazu wiadomo było, że to tigery gonią apache, a nie odwrotnie. Wolniejsze na skrętach i trudniejsze w wyprowadzeniu na prostą śmigłowce Eurocoptera wyraźnie ustępowały miejsca szybkim i zwrotnym kolegom ze Stanów. Obserwatorzy sporządzili notatki i powoli zaczęli rozglądać się za stolikami z kawą.

Jednym z ostatnich manewrów był skok do studni. Śmigłowce najpierw prawie pionowo wzbijały się, a następnie szybko wykonywały zwrot na dół, by znów podnieść się pod ostrym kątem nad ziemią. Zgodnie z przyjętym harmonogramem manewr miał być wykonywany dwukrotnie w trójkach: na przemian dwa apache i jeden tiger. Pierwsze dwa zejścia odbyły się prawidłowo. Tigery poradziły sobie nawet lepiej niż apache, co nie uszło uwadze ekspertów z trybuny dla VIP-ów. Przy trzecim zejściu z tyłu jednego z apache'ow zaczął wydobywać się dym. Początkowo wyglądało to fascynująco, ponieważ śmigłowiec leciał między dwoma tigerami, które też wyglądały jakby spadały. Wkrótce jednak wszyscy zrozumieli, że dzieje się coś niedobrego. Być może pilot zdążyłby się katapultować, gdyby wiedział, że w baku paliwa dochodzi do powolnego zapłonu i za chwilę cały śmigłowiec zamieni się w latającą bombę.

Publiczność wstrzymała oddech, eksperci wstali z krzesel. Wszystkie trzy śmigłowce poderwały się do góry, jednak apache zrobił to wolniej. Nagłe z jego tyłu buchnął płomień. Wszystko zatrzymało się w miejscu. Widzowie z niemym wyrazem twarzy

patrzyli, jak śmigłowiec zwalnia i prawie zatrzymuje się w powietrzu. Nagle się przechylił, i nabierając z każdą chwilą coraz większej prędkości, runął wprost na ziemię.

Prędkość rozchodzenia się dźwięku zależy od ośrodka i wynosi 340 metrów na sekundę w powietrzu, 1500 metrów na sekundę w wodzie i 6000 metrów na sekundę w szkłe. Prędkość światła jest stałą fizyczną równą 299 792 458 metrów na sekundę, podawaną w skrócie jako 3×10^8 metrów na sekundę. Dla prezydenta Monty prędkość rozchodzenia się informacji była wypadkową obu powyższych zjawisk, z których rozpowszechnianie się newsów na świecie było równe prędkości światła, a ich drukowanie w prasie - prędkości dźwięku.

Już kilka minut po wypadku pojawiły się pierwsze informacje w internecie i radiu. Obecni na pokazie reporterzy, najczęściej młodzi asystenci, dostali niepowtarzalną szansę, by zaistnieć. Korzystali z tego bez umiaru, pałętając się pod nogami policji, straży pożarnej i innym służbom. Na szczęście zginął tylko jeden pilot. Na szczęście?

Podczas gdy przybyli na miejsce doświadczeni dziennikarze rozstawiali swoje kamery i nagrywali pierwsze komentarze, internet pękał już od informacji, w dużej mierze pochodzących od obecnych na miejscu widzów, którzy wrzucali na Facebooka lub Twittera wszystko, co udało im się nagrać lub sfotografować. Studia telewizyjne momentalnie pozmieniały ramówkę, a radia i stacje informacyjne przerwały dotychczasowe programy, koncentrując całą uwagę na tragedii z Provins. Zaczęły urywać się telefony od emerytowanych generałów, oficerów na służbie i różnej maści ekspertów wojskowych. Bliżej popołudnia studia telewizyjne w całej Francji zaczęły przypominać sztab wojskowy. Na antenę zapraszano także polityków, psychologów, szkoleniowców, a nawet speców od komunikacji i PR. Każdy z nich wyrażał pogląd na sprawę z innej strony, kreując zgoła odmienne przewidywania politycznych, gospodarczych i wojskowych skutków tej katastrofy. Jedni uważali, że wypadek śmigłowca obnażył niesprawność systemu obronnego Unii i upośledzenie jej struktur obronnych. Inni, że śmierć pilota może być potraktowana jako incydent spowodowany przez Niemcy, które zapewniały obsługę techniczną śmigłowców. Nie było tajemnicą, że głównym pomysłodawcą ćwiczeń był premier Wielkiej Brytanii, a więc zdaniem wielu stał się współwinny tej tragedii. Jeden z zaproszonych do *France24* marketingowców stwierdził wprost, że prezydent Mont może zyskać drugą kadencję, jeśli należycie wykorzysta obecną sytuację i z wyczuciem pokieruje dalszym rozwojem wydarzeń. Ponieważ wiedza i doświadczenie owych ekspertów były zupełnie inne, z zebranych opinii wyłaniała się niezrozumiała mieszanina lęków, obaw, grózb i wszelkiego rodzaju rad.

Naiwny byłby ten, kto uważałby, że można zapanować nad powstałym chaosem

informacyjnym przez wydanie oficjalnego komunikatu. Problemy, które wiązały się z tego typu oświadczeniem, dotyczyły właściwie wszystkich jego aspektów. Po pierwsze, kiedy go wydać? Tuż po katastrofie, narażając się na zarzut wysyłania gotowca lub - broń Boże! - spekulacje, że całe wydarzenie zaplanowano? Czy dopiero wieczorem, ryzykując utrwaleniem się w społeczeństwie opinii ekspertów, niekoniecznie zgodnych z oficjalną polityką rządu? I w jakiej formie? Czy wystarczy wysłać do mediów komunikat prasowy, czy lepiej zorganizować konferencję? Wysyłka komunikatu może być skrytykowana za nazbyt lekkie potraktowanie sprawy i spotkać się z ostrą polemiką następnego dnia w prasie. W takim razie publiczne wystąpienie - tylko kto ma wygłosić oświadczenie? Prezydent, żeby pokazać, że w istocie zawinił i obawia się reakcji innych krajów, czy może naczelnik sił zbrojnych Unii Europejskiej? Przecież to dla nich miał być sprzęt...

Bez względu na wątpliwości co do sensu całej akcji prezydent Jaques Mont szykował się właśnie do wygłoszenia oświadczenia publicznego.

- Teraz twarz wyżej, poproszę - zaświergotała cicho Mary Pourbaix, trzydziestoletnia makijażystka i stylistka prezydenta Francji. Samotna, bezdzietna, niewysoka i niezbyt piękna, była odkryciem roku sztabu prezydenta. Swoim zmysłem estetycznym i umiejętnością doboru kolorów, strojów i dodatków zyskała pełną aprobatę nawet kochanki prezydenta, której również zdarzyło się korzystać z jej usług.

Mont posłusznie odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy, podczas gdy Mary strzepywała szerokim pędzlem nadmiar sypkiego pudru i różu oraz pyłki z jego twarzy. Po chwili zabrała papierowe ręczniczki wciśnięte za kołnierz koszuli prezydenta, delikatnie ustawiła jego głowę do pionu i popatrzyła uważnie na swoje dzieło.

Ostre światło lamp, które towarzyszą każdemu nagraniu telewizyjnemu, zamienia twarz normalnego człowieka w tłustą, świecąca, piegowatą bombkę. Aby wyjść naturalnie, niezbędny jest solidny makijaż, na który składają się warstwy podkładów, pudrów, korektorów i cieni. Typowy makijaż telewizyjny była w stanie wykonać prawie każda praktykująca kosmetyczka. Ale zdaniem Monty i ludzi z jego otoczenia tylko Mary Pourbaix potrafiła zamienić twarz w istne dzieło sztuki, dodając jej męskiej powagi, chłopięcej wesołości lub namiętności i pożądania, w zależności od potrzeb.

Nawet bardzo dobre efekty pracy Mary Pourbaix nie zmieniały jednak faktu, że prawdziwy mężczyzna uważał makijaż za chodzenie w spódnicy, a jego zmywanie za jednoznaczne ze skrobaniem skóry.

Kobieta ułożyła kilka niesfornych kosmyków na głowie prezydenta, spryskała lakierem jego włosy i twarz (nauczył się, żeby zamykać wtedy oczy i nie wdychać oparów) i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

- Gotowe, panie prezydencie.

- Dziękuję, Mary. - Prezydent przejrzał się w lustrze i pokiwał z uznaniem głową. - Jak zawsze jesteś nieoceniona.

- Dziękuję. - Kobieta skinęła głową.
- Trzymaj się. - Prezydent wyszedł i ruszył w stronę swojego biura.

O ile Pałac Namiestnikowski w Warszawie może wzbudzać podziw, o tyle Palais de 1'Élysée, czyli Pałac Elizejski, zapiera dech w piersi. Być może trafna byłaby uwaga, że Pałac Namiestnikowski w swej skromności był podobny do strojów Chanel, a Pałac Elizejski pyszny i kwitnący jak z pracowni Diora. Jednakże nikt na widok komnat warszawskiego pałacu nie dostaje zawrotów głowy, natomiast na pokazach Chanel i owszem.

Pałac Elizejski znajduje się przy wąskiej Rue du Faubourg Saint-Honoré 55, do której z Pól Elizajskich najprościej dostać się Avenue Matignon lub Avenue Marigny. Pałac Elizejski jest obecnie nie tylko oficjalną siedzibą prezydenta Francji, ale także miejscem posiedzeń Rady Ministrów. Jedną z bardziej pikantnych historii z przeszłości pałacu jest ta dotycząca Madame Pompadour: gdy Ludwik XV Burbon kupił dla niej ten pałac, na jego bramie wciąż wypisywano „Dom dziwki króla”. Mont wielokrotnie sobie myślał, ile prawdy tkwi w tym opisie.

Prezydenckie biuro zajmowało Salon Dore, który choć był niewielkim pokojem, bogactwem i przepychem mógł konkurować z najbardziej wystawnymi komnatami. Ociekający złotem, zdobiony kunsztownymi ornamentami, stanowił chlubę urzędującego prezydenta i epicentrum wszystkich ważniejszych wydarzeń. Do biura prowadziło czworo wysokich, podwójnych drzwi, umieszczonych naprzeciwko siebie. Przy jednej ze ścian zaaranżowano kącik kawowy; przy drugiej zaś stał kominek częściowo zasłonięty zdobionym drewnianym biurkiem. Cały pokój był fantastycznie rozświetlony nie tylko dzięki trzem wielkim podwójnym oknom, z których środkowe stanowiły drzwi balkonowe, ale także dzięki dużej liczbie wysokich luster, w których odbijały się wpadające do pomieszczenia promienie słoneczne.

Prezydent stał przy kominku w otoczeniu swoich doradców, i starając się nie słuchać kolejnych opinii i uwag, skupił się na czytaniu po raz kolejny oświadczenia. Trzej operatorzy kamer czekali już w pogotowiu, technik odliczał ostatnie minuty. Jeszcze przepłukać gardło wodą, głęboki oddech, przejechać ręką po włosach i wygładzić marynarkę. Doradcy usunęli się poza zasięg kamer. Po chwili zapaliło się zielone światelko.

Szanowni państwo, drodzy rodacy! - Mont wziął oddech.

Dzisiaj w okolicach miejscowości Provins odbywały się ćwiczenia z udziałem śmigłowców szturmowych Eurocop- ter Tiger oraz Boeing AH-64 Apache. Celem testów było zapoznanie zarówno żołnierzy, jak i ekspertów wojskowych z obiema maszynami. Ogólna ocena miała zadecydować o zakupie danych jednostek na potrzeby obrony i bezpieczeństwa Unii Europejskiej.

Wszystkie maszyny były prowadzone przez doświadczonych pilotów należących do

jednostek sztabów wojskowych Unii. Niestety, podczas jednego z manewrów śmigłowiec typu AH-64 Apache uległ awarii i spadł na ziemię. Pilot zginął na miejscu, próbując w ostatniej chwili wyprowadzić maszynę na pusty pas startowy. Był to bohaterski czyn, wymagający nie lada odwagi i poświęcenia. W imieniu własnym oraz swojego rządu składam najszczerze kondolencje rodzinie i przyjaciołom tragicznie zmarłego. Łączymy się z wami w bólu. - Krótka pauza. Policzył w myślach do trzech i zaczął znowu.

Obecnie trwają już prace wyjaśniające okoliczności tego zdarzenia. Zapewniam, że wszystkie informacje zostaną przekazane w formie raportu do wiadomości publicznej w ciągu najbliższych kilku tygodni. Jeśli jakiegokolwiek osoby zawiniły bądź przyczyniły się do tego wypadku, czekają je surowe konsekwencje zgodne z prawem karnym Francji i Unii Europejskiej. Bez względu jednak na przyczynę tego wypadku jeszcze raz wyrażam swój żal, że ta tragedia w ogóle miała miejsce...

- *Bullshit!* - prychnął Thomas Adams.

John Brown przeniósł wzrok z ekranu telewizora na swojego ministra obrony.

- Co o tym myślisz?

- Że cały ten wypadek jest Francuzom bardzo na rękę - odpowiedział Adams. - Gdy przycichnie wrzawa, podniosą krzyk o bezpieczeństwo armii i konieczność zakupu niezawodnych maszyn. Niezawodnych, czyli...

- ...francuskich - dokończył Brown.

Adams skinął głową.

- Dokładnie.

- A ty, Kelly, co sądzisz?

Sir William Kelly, minister spraw zagranicznych, należał do ludzi odzywających się rzadko, z których opinią jednakże wszyscy się liczyli. Jako najstarszy wiekiem i najwyższy stopniem naukowym członek rządu, będący jednocześnie jedynym potomkiem znanej i szanowanej rodziny arystokratycznej, zyskał sobie posłuch i powszechne uznanie w kraju i poza jego granicami. Dystyngowany, chłodny, z przenikliwym spojrzeniem i ciętym językiem, uchodził za wytrawnego polityka i bardzo skutecznego negocjatora. Co jednak nie oznaczało, że wszystko było mu wolno.

Zapytany przez premiera, odstawił filiżankę i wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem był to rzeczywiście tylko zbieg okoliczności, choć bardzo sprzyjający Francji. - Pochylił się w stronę Adamsa. - Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że problem może tkwić zupełnie gdzie indziej.

- To znaczy?

- Manewry odbywały się w dużej mierze z inicjatywy Wielkiej Brytanii. Niemcy, jako trzeci największy po nas i Francuzach płatnik na wojskowość Unii, mogą się burzyć, dlatego nie zostali dopuszczeni do dyskusji o śmigłowcach. A pilot, który zginął - Kelly nalał herbaty do filiżanki - był przecież obywatelem niemieckim.

Brown spojrział na Adamsa.

- Kto tam jest u nich w obronie? Wciąż Sholl?

- Tak.

- Ktoś już z nim o tym rozmawiał?

- My jeszcze nie. Francuzi pewnie też nie. Nie było potrzeby.

Brown odwrócił się na fotelu i wpatrzył w telewizor.

- *Fuck*.

- Ale jest wyjście. - Kelly nie odrywał oczu od ekranu. - Wybadaj Monta. Wciśnij mu swoich ekspertów.

Niech udowodni, że nie ma brudnych rąk. Wtedy i my będziemy czyści.

Brown upii tyk herbaty. Może i tak?

Przemówienie poszło gładko, a na wieczór nie miał już zaplanowanych żadnych wizyt, więc postanowił spędzić go ze swoją młodą kochanką. Jako wdowiec mógł pozwolić sobie na takie ekscesy, wiedząc, że nawet jeśli sprawa przecieknie do prasy, on zyska na tym więcej wyborców niż krytyków. Uśmiechnięty szedł do wyjścia, gdy zaczepił go jeden z asystentów:

- Przepraszam, panie prezydencie, premier Brown na dwójce.

Mont skrzywił się. No tak, zaczyna się.

- Dobrze, odbiorę. - Skierował się do swojego gabinetu.

Ekipa telewizyjna uwinęła się nadzwyczaj szybko i już nie było po niej śladu, a pokój stał pusty. Jedynym śladem nagrania, które miało miejsce przed kilkoma minutami, były zmięte kartki z treścią oświadczenia, leżące wciąż na biurku.

Mont podszedł do telefonu i chwycił słuchawkę.

- Halo? *Bonsoir*, John.

- *Good evening*, Jacques. Przepraszam, że niepokoję o tak późnej porze.

- Zapewne niektóre sprawy nie mogą czekać.

- Właśnie. Przede wszystkim przyjmij nasze wyrazy współczucia z powodu dzisiejszego wypadku.

- Dziękuję.

- Gdybyśmy mogli jakoś pomóc przy wyjaśnianiu przyczyn tej tragedii, jesteśmy do dyspozycji.

- Dziękuję. Mamy znakomity zespół dochodzeniowy, a wszystko wskazuje na to, że była to zwykła usterka.

W słuchawce na moment zaległa cisza.

- Rozumiem. Ale zginął człowiek. Dlaczego się nie katapultował?

- Tego nie wiem, John. Może pasy mu się zaklinowały.

- Oczywiście. W każdym razie zastanów się nad moją propozycją.

- Już podziękowałem - odparł grzecznie, ale stanowczo.
- Być może jednak warto rozpatrzyć sprawę na bardziej... hm, niezależnym forum.
- Czy ty mi coś sugerujesz? - Mont zaczynał się denerwować. Czego ten Brytol chce?

- Nie. Ale zwróć uwagę na wymiar praktyczny. - Brown zawiesił na chwilę głos. - Wiesz, urządzasz pokaz, żeby wybrać śmigłowiec, i dziwnym trafem konkurencyjny model ulega awarii. Ludzie gadają różne rzeczy, Jacques.

Mont był wściekły, ale musiał przyznać mu rację. Tylko co z tego, skoro on nie miał z tym nic wspólnego!

- John, może to brutalne, co powiem, ale może tak musiało się stać?

- Co...?

- Pamiętaj, że nie byłoby tej tragedii, gdybyśmy nie zostali zmuszeni do przeprowadzenia tego pokazu.

W słuchawce dało się słyszeć ciężkie dyszenie.

- Uważaj na słowa.

- Ale to prawda. Zmusiliście nas do tych przeklętych manewrów.

- Wielka Brytania nie zagroziła suwerenności Francji - odpowiedział dyplomatycznie Brown.

- I oby nie miała takich pomysłów. Dobranoc, John.

- Wszystko zawsze może się zmienić.

Połączenie zostało przerwane.

Arpad Nagy siedział w fotelu z podnóżkiem i mieszał łyżką w kubku z gorącą kawą zbożową, mlekiem i miodem. Nogi miał przykryte pledem, a w kominku przyjemnie trzaskał ogień, podtrzymywany przez dyskretnego majordomusa. Kilka dni temu Arpad mocno się przeziębził, a ponieważ nie mógł pozwolić sobie na dłuższe chorowanie, to kolejny już wieczór spędzał w ten sam sposób, dogrzewając to, co wychłodził za dnia.

Teraz jednak nie czuł ani opadających powiek, ani dreszczy. Całą uwagę skupił na prezydencie Francji na ekranie telewizora. Ciekawe, ciekawe. A może by tak...?

Podniósł zakupioną nie wcześniej niż dwa dni temu komórkę z nową kartą SIM i numerem na kartę pre-paid i wybrał prywatny numer prezesa giełdy w Ljubljanie, Darinka Savicia.

ROZDZIAŁ XIII

Zagęszczanie

Było jasne jak słońce, że wypadek trafi do działu ogólnokrajowego. Brigitte Le Brun - choć była laureatką najbardziej prestiżowych nagród dziennikarskich we Francji i za granicą, w tym również amerykańskiego Pulitzera - zawsze czuła niedosyt i żal, gdy przechodził jej koło nosa jakiś łakomy kąsek. A temat wydawał się stworzony idealnie dla niej: miała dojścia, znajomych, ekspertów. Wszystko to, co jest niezbędne, aby szybko i sprawnie poskładać pojedyncze elementy układanki i opublikować jeszcze przed „Le Monde”. Ponadto, popatrzyła na depeszę Reutera, sprawa dotyczy relacji międzynarodowych, które mogą ulec zmianom. Może to naciągana teoria, ale warto o nią powalczyć.

Kolegium redakcyjne trwało krótko. Większość tematów pochodziła z listy przygotowywanej przez asystenta redaktora naczelnego na podstawie depeesz agencyjnych z całego świata. Samodzielne inicjowanie tematów leżało w gestii bardziej doświadczonych dziennikarzy lub w naturze ich młodszych kolegów. Świeżo upieczeni absolwenci próbują zarobić na boku od PR-owców, nieświadomi, że podejmując się prób pisania tekstów reklamowych, wydłużają kolejne szczeble swojej kariery o całe lata.

- Ktoś do posiedzenia Banque de France? Carl? - Naczelnny odwrócił się w stronę młodego redaktora.

- Tak, z chęcią. Chciałbym się także zająć emisją akcji Société Generale. Moim zdaniem będzie to fantastyczne wydarzenie na rynku - zakończy! chłopak.

Emisja Société Generale została wymuszona przez Bank Francji w celu uregulowania rezerw gotówkowych. Cała operacja równie dobrze mogłaby zostać przeprowadzona w bankowych systemach komputerowych, tyle w tym strategii rozwoju. No, ale chłopak dał się podpuścić i właśnie pokazał, że ma pustkę w głowie.

Takie życie. Między dziennikarzami a PR-owcami zawsze iskrzyło. Głównie dlatego, że PR-owcy uważają, iż każdy temat dotyczący ich firmy/klienta/produktu był na wagę złota. A dla dziennikarza często oznaczało to stratę czasu, który mógł decydować o opóźnieniu w stosunku do konkurencji. Każdy chciał być pierwszy. Sęk w tym, żeby odróżnić ziarna od plew i umieć wyłuskać z bełkotu marketingowego prawdziwe informacyjne perełki. Brigitte pokręciła z niesmakiem głową. Niestety, młodsze pokolenie musi się jeszcze sporo nauczyć.

- I ostatni temat. Wypadek w Provins - zaczął naczelny. Franc-Jean Geoffrin zawsze zostawiał najbardziej smakowite kąski na sam koniec. - Charles, co myślisz?

- Bierzemy. Sprawa jest rozwojowa, a z tego, co wiem, Niemcy i Brytania zaczynają się już burzyć - odparł szef działu krajowego.

Kąciki ust Brigitte powędrowały w górę.

- W takim razie powinnam przejąć temat. - Jak zwykle mówiła wolno, wyraźnie i z uśmiechem. - Stosunki międzynarodowe to moja działka.

- Ale to dotyczy francuskiego podwórka! - zaprotestował Charles.

- Jak wszystko, co wiąże się z relacjami międzynarodowymi - odparła Brigitte.

- Ciiii... - Naczelny przerwał im machnięciem ręki i spojrzał w kierunku Le Brun. - Jesteś pewna?

- Jak zawsze. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- No dobrze. - Geoffrin zaczął zbierać materiały. - Koniec spotkania. Dziękuję i życzę owocnej pracy.

Brigitte Le Brun wstała i ruszyła w kierunku wyjścia za innymi. Jak dobrze mieć szefa, który darzy szczupłe rodaczki platoniczną miłością.

Zaparzyła espresso i usiadła przy biurku. Po pierwsze: wiedza. Na YouTube wyszukała nagrania z wypadku samolotu. Obejrzała kilka powtórek, a chwilę po tym wisiła już na słuchawce, rozmawiając z Marco Dippolitem, inżynierem włoskiego pochodzenia, który przyjechał do Francji na studia i już tu pozostał.

- Halo? Cześć, Marco, tu Brigitte z „Le Figaro”.

- *Oh, hi Brig!* Co u ciebie?

- W porządku. Wiesz, dostałam tę sprawę z wypadkiem śmigłowca. Pomyślałam, że podpytam eksperta, co o tym sądzi. - Trafiony...

- Ale słodzis! - Mężczyzna zaśmiał się do słuchawki. - No już dobrze. To w czym ci mogę pomóc? - ...i zatopiony!

- Chodzi mi o to, jak śmigłowiec spadł. Wiesz, latał, niby wszystko było okej, a tu nagle skok w dół i problem z poderwaniem do góry. Co o tym myślisz?

- Nie tylko myślę, ale mam dla ciebie już nawet gotową teorię.

- Dawaj.

- Co prawda nie poproszono mnie o konsultacje w sprawie ustalenia przyczyn tego wypadku...

- Marc!

- Dobrze, dobrze. Moim zdaniem to kwestia techniczna.

- Czyli...?

- Czyli usterka i to związana prawdopodobnie albo z układem sterowniczym, albo z paliwem. Apache, zwłaszcza te nowe, w jednym i drugim różnią się zasadniczo od

naszych tigerów. Zauważyłaś, że pilot zaczął mieć problemy ze śmigłowcem dopiero po wykonaniu tych przekombinowanych akrobacji? A ogień? Pojawił się jeszcze w powietrzu, a nie już po rozbiciu. Coś się ostro pochrzało w tej maszynie - zakończył swoją wypowiedź Dippolito z pasją godną kibica na stadionie San Siro.

- Sądzisz, że to była awaria czy raczej... umyślne działanie?
- Tego nie wiem. - Le Brun prawie widziała, jak Marco wzrusza ramionami. - Jednego i drugiego nie można wykluczyć, dopóki nie zbada się szczątków wraku.
- Na to nie mam szans ani czasu. - Westchnęła.
- Wiesz co? Jeśli mogę ci doradzić, to odszukaj mechaników i techników, którzy pracowali przy śmigłowcach. Ci faceci są skarbnicą wiedzy.
- Skarbem to ty jesteś. - Brigitte posłała mu całusa w słuchawkę. - Odezwę się jeszcze.
- Trzymaj się, mała.

Uzyskanie dostępu do bazy kontaktów sztabu Ministerstwa Obrony Narodowej zwykle graniczy niemal z cudem. Jednak w tym wypadku władze zawczasu poszły wszystkim na rękę. Ponieważ ćwiczenia dotyczyły bezpośrednio struktur Unii Europejskiej, ktoś z działu prasowego uznał, że należy podać do wiadomości opinii publicznej nazwiska osób odpowiedzialnych za przygotowanie całego przedsięwzięcia. Do informacji prasowej dołączono więc jednostronicowe zestawienie zawierające dwie kolumny nazwisk tych osób wraz z opisami pełnionych przez nie funkcji. Początkowo Brigitte Le Brun uznała to za dobry żart, ale teraz chwaliła się w duchu, że nigdy nie kasowała nawet najgłupszych e-maili.

Przefiltrowała swoją skrzynkę mailową i wyszukała właściwą wiadomość. Jest! Przejechała palcem po monitorze. Dowódca, piloci, instruktorzy, obsługa techniczna. Główny mechanik: Hans Gestiland. Niemiec? No dobrze, sprawdźmy.

Wpisała nazwisko w wyszukiwarce, ale strony nic nie wyrzuciły. Może facet nie istnieje, skrzywiła się. Podniosła słuchawkę.

- Luigi, wyszukasz mi gościa? - Przeliterowała nazwisko swojemu specowi od IT.
- Jasne, poczekaj chwilę.

Podobnie jak inne gazety, „Le Figaro” w ramach akcji marketingowych oferowała mailingi do bazy prenumeratorów. Kiedyś ktoś pomyślał, żeby rozszerzyć tę bazę o dane telekomunikacyjne i adresowe z całego świata.

Dzięki ciągłej aktualizacji danych marketingowcy zyskali świetne narzędzie sprzedażowe, a dziennikarze darmową wyszukiwarkę.

- Mam. Mieszka w Saint-Denis, przy rue Arthur Fontaine. To niedaleko bazyliki. Przesyłam ci zdjęcie i dokładne namiary.
- Dzięki, Luigi. Jesteś boski.

- Wiem. *Salut!*

Brigitte odświeżyła skrzynkę, w której po chwili pojawiło się blisko trzydzieści nowych e-maili, z zaproszeniami, press releasami i zapytaniem od firm, instytucji i rzeczników prasowych. Odszukała wiadomość od Lui-giego i wydrukowała ją.

Adres, numer telefonu, zdjęcie. Mało przystojny ten Gestiland, ale może błyskotliwy? Zadzwoiła na podany numer telefonu. Sześć sygnałów i nic. Może wyszedł z domu? Kolejne osiem. Nic. Spojrzała na wyświetlającą się na ekranie komputera mapkę dojazdu. Saint-Denis było na końcu świata, ale z drugiej strony tu nic więcej nie działo. Chwyciła torebkę.

Wielbiciel dzielnicy Saint Denis uważają, że jest ona dla Paryża tym, czym Brooklyn dla Nowego Jorku - zagłębiem kultury alternatywnej, sztuki ulicznej, kuźnią talentów. Jednak Brigitte Le Brun nie należała do fanklubu tej dzielnicy. Saint Denis była dla niej brudną, multikulturową wylęgarnią kolejnego pokolenia złodziei i bezrobotnych.

Odszukanie adresu okazało się całkiem łatwe, jak podejrzewała. Zaparkowała swojego peugeota 307 przy ulicy i wyszła na zewnątrz. Kamienica nie była stara, bo z lat sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych, ale dawno niere-montowana wyglądała smętnie i ponuro. O jej minionej świetności przypominały jeszcze tylko popękane gzymsy i metalowe koronki przy oknach. Pomimo ruiny i zapomnienia, w które popadała, chodnik i otoczenie wokół były czyste. Również klatka schodowa wyglądała schludnie. Owszem, pachniało biedą, ale nie towarzyszącym jej często wynaturzeniem, takimi jak alkoholizm czy przemoc domowa.

Mieszkanie numer 11 znajdowało się na drugim piętrze. Le Brun podeszła do drzwi i wcisnęła dzwonek. Nic. Może rzeczywiście nikogo nie było? Jeszcze raz. Zastukała. Raz, drugi. Nic.

Wyszła na zewnątrz. W przejściu na podwórko starszy mężczyzna zamiatał przejście.

- Dzień dobry. - Podeszła do niego i uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Dobry dobry. - Mężczyzna nawet się nie odwrócił.

- Szukam pana Gestilanda spod jedenastki. Nie wie pan, gdzie go mogę znaleźć?

- Samoleńca? - Spojrzał na nią.

- Słucham?

- Samoleniec. - Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem, ale nie przestał zamiatać. - Tak go nazywamy. Od samolotów i szaleńca. Palma mu odbiła po tym ostatnim wypadku, siedzi zamknięty, z nikim nie chce gadać, tylko ciągle bredzi o zamachu na jego życie...

- Ooooo... A nie wie pan, jak się mogę do niego dostać?

Mężczyzna dokładnie zlustrował ją wzrokiem.

- Wygląda pani na porządną kobietę. - Kiwnęła głową, nie wiedząc, jak zareagować. Boże, gdzie ja jestem?! - Madame Freron, która czasami mu nosi obiad – pochylił się

konspiracyjnie - powiedziała mi, że gdy nie chce jej wpuścić, mówi, że chce posłuchać o samolotach.

- I działa?

Mężczyzna kiwnął głową.

- Działa.

- Dziękuję panu. - Odeszła w stronę klatki schodowej.

- Do widzenia. - Schylił się lekko, chwytając za róg wyświechtanego kapelusza, i wrócił do przerwanej czynności.

Brigitte Le Brun stanęła pod drzwiami, wzięła oddech i zapukała.

- Halo?! Panie Gestiland?! Dzień dobry! Przyszłam, żeby posłuchać pana historii o samolotach... śmigłowcach! Halo?!

Znów pukanie. Nic.

- Jest tam pan?! Wiem, że tak... Nic panu nie zrobię! Chciałam tylko o tych śmigłowcach...

Cisza.

Już miała odejść od drzwi, gdy nagle klamka się poruszyła, a w wąskiej szczelinie między drzwiami a futryną ukazała się para wybałuszonych oczu i wielki kościsty nos.

- Czego pani chce? - padło szorstkie pytanie.

- Chciałam porozmawiać na temat wyp... śmigłowców. Jestem dziennikarką z „Le Figaro” i piszę artykuł na temat...

- Z dziennikarzami nie rozmawiam. - Drzwi zaczęły się zamykać.

- Proszę! Piszę artykuł, a pan jest ponoć najlepszy w swoim fachu. Kto inny miałby mi pomóc?!

Drzwi zatrzymały się. Mężczyzna odwrócił się, westchnął głośno i pokiwał głową.

- No dobrze - powiedział głosem pełnym rezygnacji. - Proszę.

Brigitte wahała się tylko przez chwilę. Ostrożnie przestąpiła próg mieszkania. Było małe i skromne, ewidentnie brakowało w nim kobiecej ręki. Sterta niepozmywanych naczyń w zlewie, który stanowił znaczną część aneksu kuchennego. Z korytarza, którym przeszła od razu do salonu, odchodziły jeszcze jedne drzwi, zapewne do łazienki. Całe wyposażenie saloniku stanowiły szeroka wersalka, ława, telewizor, fotel, szafa i komoda bez jednych drzwiczek. Okno wychodziło na podwórko i blok naprzeciwko.

Usiadła na skraju wersalki, a gospodarz w fotelu. Miał kościstą twarz i bardzo mizerną posturę. Podkrążone oczy i spierzchnięte usta świadczyły o odwodnieniu i bezsenności. Dobrze, że chociaż butelek ani strzykawek nie widać, pomyślała kobieta.

- Pomyłka.

- Słucham?

- Pomyłka. - Gestiland wzruszył ramionami. - Byłem najlepszy.

- Aha. - Dziennikarka poprawiła się na krześle. - Dlaczego już pan nie jest?

Cisza.

- Czego chce się pani dowiedzieć? - spytał po chwili.
- Co pan myśli o śmigłowcach szturmowych?
- Chodzi pani o ten zamach?
- Zamach? - Le Brun momentalnie zrobiła się czujna.
- No tak. To był zamach. - Hans Gestiland wstał i wrócił po minucie z małym czarnym krążkiem w ręku. - A to jest przyczyna.

Le Brun wzięła przedmiot do ręki. Zwykły plastikowy krążek.

- Skąd pan to ma?
- Z baku jednego ze śmigłowców. Z tego apache'a, co się rozbił. Technik przyniósł mi to chwilę przed startem.

- Rozumiem. - Wyciągnęła z torebki mały aparat cyfrowy. - Mogę?

Kiwnął głową. W pierwszej chwili chciała poprosić o wypożyczenie tego przedmiotu, ale dobrze wiedziała, że nigdy by go nie zwróciła. A być może był to jedyny dowód w sprawie? Bądź co bądź miała resztki moralności.

- Pokazywał pan to komuś?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie. Przeznaczenie mnie odnajdzie. Tak jak pani.

- I mówi pan, że to był zamach? Na kogo? - spytała, robiąc kolejne zdjęcia.

- Jak to?! Jest pani dziennikarką i nie domyśla się pani?! - krzyknął mężczyzna.

Le Brun odsunęła aparat od oka.

- Na mnie - odpowiedział poważnie Gestiland. - Byłem najlepszy, ale nawaliłem. To zemsta Indian za wojnę wywołaną przez moich przodków. Nie bez powodu nazywają się Apaczami.

Siadając za kierownicą swojego auta, poczuła ulgę, ale spokój powrócił dopiero wtedy, gdy wjechała na obwodnicę Paryża. W pierwszym odruchu miała ochotę uciec do domu, ale po namyśle skierowała się do redakcji. Jestem profesjonalistką, powtarzała w myślach, nie dam się ponieść emocjom.

- Halo, Marc? Słuchaj podeślę ci coś zaraz, rzucisz okiem? - Przytrzymała telefon ramieniem przy uchu, weszła do swojego boksu i podłączyła aparat do laptopa. - Dobra, już.. .Poszło!

- Mam. Czekał, czekał... I mówisz, że masz to od tego gościa?

- Hans Gestiland, główny mechanik. Lekko zbziko- wał, więc nie wiem, na ile to jest istotne. I wiarygodne. Odpowiadał za paliwo obu modeli śmigłowców.

- W porządku. I wypadło to z baku?

- Yhm, tak powiedział.

- Dasz mi kilkanaście minut? Wybadam sprawę i od- dzwonię.

- Okej. Czekam niecierpliwie.

Le Brun oparła się na krzesło i wyciągnęła ręce. Ciekawe, do czego tym razem dojdzie. Niesamowite, jak praca potrafiła ją wciągnąć. Jako dziennikarz współtworzy losy tego świata: kształtuje relacje społeczne, utrwała więzi gospodarcze, identyfikuje winnych i pilnuje, żeby ponieśli konsekwencje. Mogłaby jeszcze wpływać bardziej na stosunki międzynarodowe. Tak, tego by sobie życzyła.

Nieformalne spotkania wybranych szefów państw Unii Europejskiej są równie częste jak treningi drużyn piłkarskich przed oficjalnymi meczami, i tak w istocie są traktowane. Od spotkań oficjalnych różni je tylko to, że ich przebiegom bądź ostatecznym uzgodnieniom nie poświęca się rozkładówki w prasie, a co najwyżej junior page. Redakcje, zwykle wcześniej poinformowane o poruszanych podczas rozmów tematach, wysyłają praktykantów lub stażystów, którzy niczego nie rozumiejąc z toczących się sporów, piszą równie bezmyślne artykuły. Czasami zdarza się, że takim spotkaniem zainteresuje się doświadczony reporter - najczęściej, gdy odbywa się ono za zamkniętymi drzwiami. Bo należy wtedy pospieszować, dać w łapę, podsłuchać - czyli wszystko to, co dziennikarze lubią. A to zapewnia im dostęp do gorących newsów, a tym samym do dwóch „P”: premii i popularności.

Tym razem jednak było inaczej.

Oprócz Kelly’ego potencjalne roszczenia ze strony Niemiec zauważył również jeden z bystrzejszych francuskich ekspertów zaproszonych na rozmowę do kanału TF1. Określił on wtedy zakup nowego sprzętu dla Unii Europejskiej przez Francję i Wielką Brytanię jako „drogę po trupach do celu”. Hasło zostało natychmiast podchwyczone przez innych komentatorów i reporterów, którzy zastanawiali się, jak teraz będą się kształtowały relacje francusko-niemiecko-brytyjskie, i tak bardzo nadwerężone w ostatnich latach przez kryzys finansowy oraz wahania na rynku walutowym.

Drugim tematem, który dominował we francuskich mediach, była reakcja Stanów Zjednoczonych. Pomimo jasnego stanowiska amerykańskiego prezydenta, który uznał że wypadek dotyczy współpracy handlowej, do której rząd nie powinien i nie zamierza się mieszać, dziennikarze zastanawiali się, czy aby nie jest to zasłona dymna dla innych działań.

Tymczasem media brytyjskie i niemieckie ledwo odnotowały całe wydarzenie. Może więc gdyby spotkanie szefów rządów odbyło się w jednym z tych państw, niewielu dziennikarzy by przyjechało i cała sprawa szybko by ucichła.

Ale spotkanie to zaplanowano w Paryżu i tam się, niestety, odbyło. Niespecjalne znaczenie miał nawet fakt, że zwołano je w ostatniej chwili i przebiegało za zamkniętymi drzwiami. Pod wejściem koczowały ekipy dziennikarzy.

Wbrew obiegowej opinii Rudolf Clausen ani nie żywił nienawiści do Francuzów czy Brytyjczyków, ani nie pałał wobec nich żądzą zemsty. Jego kraj został przeproszony, rodzina zmarłego pilota miała otrzymać solidne odszkodowanie, a sam biedak pośmiertne odznaczenie. Cóż, wypadki się zdarzają. Nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz. Clausen nie miał zamiaru przekreślać wspólnej europejskiej przyszłości z powodu zwykłego nieszczęścia. Zwykłego? Ściągnął brwi. Im dłużej tu siedział, tym większe miał wątpliwości.

Coś poróżniło Monta i Browna. Tylko co? Od pierwszej chwili spotkania warczeli na siebie, a teraz to już prawie skaczą sobie do gardeł. O co im chodzi? Przekłęci Anglosasi.

- *Entschuldigung, Hen Brown* - zaczął po chwili. - Wspomniał pan o potrzebie powołania międzynarodowej komisji do przeprowadzenia dochodzenia w sprawie tego wypadku. Czy nie wystarczą siły francuskie? Przecież to nieszczęśliwy wypadek, a nie zamach.

- Zgadzam się z panem - wtrącił się Mont, wyraźnie zadowolony, że zyskał poplecznika. - Ponadto uważam, że stratą czasu byłoby stwarzanie takiej nadbudówki do już istniejących i w pełni sprawnych struktur. W końcu zginął tylko jeden człowiek.

- Mój rodak, panie prezydencie - uciał Clausen.

- Rozumiem pańską reakcję, panie Clausen - odrzekł szybko Mont. - Nie chcielibyśmy eskalacji emocji, które zawsze towarzyszą podobnym wydarzeniom. Dlatego uważam, że należy wybrać najlepszych ekspertów i skierować ich do gruntownego zbadania tego dochodzenia.

- Międzynarodowych ekspertów, jak mniemam - wtrącił Brown.

- To potrwa...

- Ćwiczenia potrafiliście zorganizować w kilka dni, a komisji nie?

Mężczyźni spojrzeli na siebie wrogo.

- Drodzy panowie - zaczął Clausen szybko, mając już serdecznie dość tej szarpaniny. O co tu chodzi? - Dziękuję za waszą ofiarność. Zależy mi na wyjaśnieniu przyczyn katastrofy, podobnie jak i wam. Ale przede wszystkim uważam, że do podobnego wypadku nie powinno więcej dojść już nigdy. Więc przystaję na propozycję powołania komisji, której kompetencje zostaną rozszerzone na cały tryb podejmowania decyzji.

- To znaczy? - spytał Brown.

- Na przykład, dlaczego i kto zdecydował o tym pokazie? Powinny być jasne procedury w takich sytuacjach. A tymczasem okazuje się, że nie ma odpowiedzialnych za śmierć człowieka.

- Co przez to rozumiesz?

- Mówię o większej kontroli Unii nad wojskiem i obronnością krajów członkowskich. Z jednej strony unikniemy podwójnych kosztów, jakie wiążą się z

utrzymywaniem struktur obronnych krajowych i unijnych. Z drugiej - Unia wstąpi na nową drogę współpracy militarnej.

Zaległa cisza. Mężczyźni mierzyli się wzrokiem, aż w końcu pierwszy odezwał się Mont.

- Francja nie zgadza się na taką propozycję. Jesteśmy związani współpracą wojskową nie tylko z Unią, ale i z NATO. Pańska propozycja oznaczałaby utratę suwerenności mojego kraju lub znacznej jej części.

- Ja również uważam, że ta propozycja jest nie do przyjęcia. Oznaczałaby pośrednie oskarżenie Wielkiej Brytanii o zorganizowanie tych trefnych manewrów.

- Ale przecież tak było! - krzyknął Clausen.

- To, że zrodził się taki pomysł, nie znaczy od razu, iż byliśmy jego inicjatorem - oświadczył Brown.

- Jak mam więc to rozumieć?

- Nie zgadzamy się na ingerencję Niemiec w nasze wewnętrzne sprawy i procedury.

- Ale sami w Niemczech z chęcią grzebiecie - warknął Clausen.

- Takie są zasady!

- Jakie zasady, no jakie?! - Clausen podniósł się z krzesła. - Mój kraj finansuje wasze długi, a gdy przychodzi co do czego, to dostaję figę z makiem!

- Nie tak ostro, panie kanclerzu! - krzyknął Mont. - Każdy ma prawo do swojej prywatności i tajemnic, nie róbmy z Unii europejskiej wersji Stanów Zjednoczonych! Tylko o to chodzi!

- To gdzie są granice tej Unii?! - warknął Clausen - Dążymy niby do integracji, a tak naprawdę każdy orze jak może i zagarnia wszystko na własne podwórko, tak?!

- No, niezupełnie... - Brown wstał, starając się uspokoić sytuację. - Chodzi jedynie o pewne obszary...

- No więc te obszary obejmują także wojskowość! Do cholery, śmigłowce miały być zakupione także za nasze pieniądze, i co?! Pierdolę taką współpracę! I taką Unię!

Wraz z ostatnim zdaniem Clausen wybiegł na korytarz, pozostawiając polityków i dziennikarzy osłupiałych, nie mających pojęcia, jak zinterpretować ostatnie słowa kanclerza.

Po chwili pokój opuścił premier Wielkiej Brytanii, a za nim prezydent Francji. Obaj nie pożegnali się, nie pozowali do zdjęć, odmówili komentarza i każdy z nich poszedł w swoją stronę.

W wieczornych wiadomościach po raz pierwszy mówiono o tak dużym rozłamie w Unii Europejskiej.

Czy było możliwe, żeby TO wreszcie się zaczęło? Moment, na który czekał całe swoje dorosłe życie? Właściwie to nie tak, poprawił się Dostański. Cekał tylko do

1994 roku. Później zaczął przygotowania, aczkolwiek inne od tych, których oczekiwano.

Już dawno zastanawiał się, jak zareaguje, co zrobi, gdy ta chwila w końcu nadejdzie. Odpowiedź wcale nie była taka prosta.

Powinien czuć uniesienie, radość lub chociaż satysfakcję. A tymczasem jego serce przepełniała gorycz, która ogarniała także umysł i duszę, niczym płomień ognia zajmujące suche brzozy. Pozbawiony marzeń, skazany na samotność, odsunięty na boczny tor pomógł skonstruować świat, w którym żyło mu się w miarę dobrze. I co ważne, trzydzieści osiem milionów Polaków uważało podobnie. Czy można było to niszczyć? Jego dzieło?

Ale z drugiej strony... może wydarzyło się coś niespodziewanego? Może ON nie mógł wcześniej wrócić? Byli kiedyś przyjaciółmi. A przyjacielom się wybacza. I znów zaczął się głowić, gdzie leży prawda, a za co odpowiadają nerwy i stres. Podświadomość podszeptowała mu skrajne odpowiedzi, z których jednak wypływało jedno pytanie: dlaczego telefon milczy?

Był przygotowany na wiele niebezpieczeństw, na ryzyko, i był w stanie zapomnieć wiele krzywd i przykrości, które mogłyby go spotkać. Ale dlaczego on nie zadzwoni? Przecież działali razem, byli przyjaciółmi i współnikami, mieli zakończyć to razem. Co się zmieniło? Boże, pomyślał, moje starania poszłyby na próżno. Poszłyby, bo już dawno uświadomił sobie, że został wystawiony do odstrzału. Na szczęście.

Nie był pewien, kiedy dokładnie uświadomił sobie, że jeśli jego nazwisko dalej będzie się przewijało w sprawie FOZZ, nie ma co liczyć ani na godną pracę, ani normalne życie w Polsce. Był wtedy biedny, jak wszyscy. Ale miał głowę do nauki i pamięć godną pozazdroszczenia. Zrozumiał, że Krzysztof o nim zapomniał. Nie dostał ani jednego telefonu, kartki, wiadomości. Niczego, co podtrzymałoby złożoną obietnicę. Poczul się z niej zwolniony. Tyle że niewiele zmieniło to w jego położeniu. Pozostawiony sam sobie, członek Rady Nadzorczej Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego musiał grać rolę podwójnego agenta: przemykać oko na działania przewodniczącego i innych osób chcących wyciągnąć kasę z FOZZ, jednocześnie chroniąc ją tak umiejętnie, jak tylko potrafił. Po wyjeździe Krzysztofa nie rozpętała się burza, którą obaj prognozowali. Co prawda szefostwo funduszu odkryło prawdę, ale po namyśle znaleziono rozwiązanie. I to jakie! FOZZ funkcjonował więc dalej, udzielał pożyczek i gwarantował kredyty. Po prostu fakt, że jego kasa była pusta, okazał się bez znaczenia, skoro rachunkowość całego państwa była w strzępach. Zwykle oszustwo, któremu z Krzysztofem chcieli zapobiec, przybrało formę narodowej grabieży. Powstała trąba powietrzna - ten, kto wiedział, zgarniał wszystko, co miał w zasięgu ręki. Ten, kto się głośno sprzeciwiał, szybko znajdował drogę na tamten świat. Przeważnie przez zawał serca lub wypadek. A on, Dostański? Jako zaufany członek przewodniczącego miał dostęp do informacji, dzięki którym część z tych papierowych transakcji udało mu

się spieniężyć i przekazać nowym partiom opozycyjnym. Mógł co prawda lepiej wybrać adresatów, ale wtedy... liczyły się chęci. Tyle mógł zrobić. A czyje to były pieniądze? Emerytów? Żołnierzy? PZPR? Miał nadzieję, że postąpił słusznie, choć wiedział, że zawsze będzie go gryzło sumienie. Teraz jednak nie ma to znaczenia, podobnie jak fakt, że to dzięki niemu Klamek wciąż gnije w więzieniu.

Najgorsze było to, że nie mógł nikomu zaufać. Nawet Joannie opowiadał, że pieniądze są nadal defraudowane, a on odgrywa rolę Piłata.

To, że Kawecki podjął właściwą decyzję, uciekając wtedy z funduszami, nie podlegało, zdaniem Dostańskiego, dyskusji. Pytanie, które coraz częściej powracało, mroząc go niczym wody Arktyki, brzmiało inaczej: czy jego dawny przyjaciel ochronił pieniądze, czy raczej postąpił jak inni, tyle że bardziej bezczelnie? Czy on sam był więc tylko marionetką w rękach przebiegłego złodzieja?

To by oznaczało, że kierując Falzmanna do zbadania PHZ Universal - pierwszej sprawy, która rozpoczęła tragiczny w skutkach ciąg zdarzeń - nieświadomie skazał go na śmierć. Człowieka, którego jedyną winą było to, że zbyt mocno uwierzył w stanowione prawo. Dostański postanowił więc, idąc drogą nieżyjącego inspektora NIK, dojść do prawdy. Ale mądrzej. Nie śpieszyło mu się do cementarnej kwaterki.

Współpracował z ludźmi, których znajomości i poparcie oczyściły go z jakichkolwiek podejrzeń związanych z aferą FOZZ. Trochę podróżował, gdzieniegdzie nawet rozpytywał dyskretnie o Kaweckiego. Na nic nigdy nie natrafił. Po powrocie dowiedział się, że Maria, żona Krzysztofa, nie żyje. Na tyle, na ile mógł, opiekował się jej dzieckiem. Cóż ono było winne? Tak, potrafił zadbać o jej materialną i polityczną przyszłość. Tylko co z tego?

Więc co go gryzło? Decyzja, którą podjął? Nikt nigdy nie postawił go przed ścianą, nie szantażował: zdradź nam, co się stało, a darujemy ci życie. Poszedł drogą, którą sam sobie wybrał. I chyba dobrze zrobił.

Bo że widział Krzysztofa na ostatniej imprezie u premiera, tego był pewien. Głupiec, sądził, że inne nazwisko albo dodatkowe dwadzieścia lat zmieni jego wygląd?! A przecież miał pieniądze, mógł sobie zrobić solidną operację plastyczną. Miał pieniądze, które gwoli ścisłości, ukradł, podczas gdy on, Dostański, każdy grosz zarobił swoją ciężką pracą. I gdzie tu sprawiedliwość?

Nie po to był jednak przewodniczącym KNF, żeby nie wiedzieć, jak ją zaprowadzić.

Usiadł przy biurku i otworzył teczkę, którą dostał od Ministerstwa Finansów i którą już wielokrotnie przeglądał.

Rzucił okiem na aktywa i przerzucił kartki. Choć sumy były kilkunastocyfrowe, nie miały żadnego znaczenia. Każdy głupi potrafi z miliona zrobić dwa. Gorzej, gdy trzeba zaczynać od zera.

Przeglądając dokument, szybko doszedł do wniosku, że wszystko jest czyste. Nie krystaliczne, bo to zawsze wzbudza wątpliwości, ale uporządkowane i klarowne. Tak jak być powinno. Znał się na rzeczy, pomyślał Dostański, przekładając kolejne strony. Tylko że... Na szóstej stronie zauważył zamieszczoną informację o wydzieleniu małego subfunduszu na początku tego roku. Ciekawe, może odkłada na emeryturę?

Właściwie to czego szukam? - zastanawiał się przez chwilę. No właśnie, czegoś. Punktu zaczepienia, czegoś, od czego można zacząć... dywersję? Nie, to brzydkie słowo. Lepiej: alternatywne działanie.

Powrócił do pierwszej strony. Zestawienie funduszy wraz z zasobami finansowymi zajmowało blisko trzy strony. W tabeli były uwzględnione nazwy funduszy, sumy i skrótowe numery kont.

Numery kont? Włączył komputer i wewnętrzny system informacyjny KNF. Wpisał skrót i po chwili na ekranie wyświetlił się wynik.

- Nie wierzę... - Jego oczy się rozszerzyły. Wpisał ponownie cyfry, ale wynik się potwierdził. Dostański gwizdnął i uśmiechnął się pod nosem. Mam cię, stary byku.

Napięcie wywołane oskarżeniem spółek z GPW o spowodowanie manipulacji na giełdzie - bo tak to powszechnie nazywano - sięgało zenitu. Początkową niepewność i poczucie krzywdy zastąpiła złość granicząca z wściekłością. Bo oto znalazł się winny! I co więcej, można było nie tylko wyładować na nim swoje rozgoryczenie, ale także żądać odszkodowania. Ze muszą zwrócić pieniądze, które zagarnęli, to pewne. Przecież ani „Rzeczpospolita”, ani „Gazeta Wyborcza” nie oszukiwałyby czytelników, nie? A że jako pierwsza doszła do tego jakaś francuska dziennikarka... Co tam, to tylko pokazuje prawdziwe oblicze szefów tych naszych spółek. Tu ludzie żyją od pierwszego do pierwszego, a oni sobie na Lazurowym Wybrzeżu tyłki smażą. Skończy się!

Tak, zwróć wszystko co do grosza, przecież prokuratura już bada sprawę.

Tak, zachłanni ludzie będą odtąd pracować na rzecz społeczeństwa, które bezmyślnie okradli.

Idzikowski zapłacił w sklepiku za drożdżówkę, wyszedł i ruszył wzdłuż Emilii Plater w kierunku Świętokrzyskiej. Przysłuchując się rozmowom starej sklepikarki z zapewne stałymi klientami, miał wrażenie *deja vu*. Przypomniały mu się lata transformacji: prywaciarz znowu był utożsamiany z wyzyskiwaczem, a państwo z burdelem, w którym nikt nad niczym nie panował. Dobrze, że chociaż sądy były niezawisłe.

Ale emocje się zmieniły. Ludzie teraz nie wyjdą na ulice z transparentami „Balcerowicz vel Maciejewski musi odejść”. O nie! Co inni by powiedzieli?! Wykształceni i obeznani ze światem prędzej zaszyją się w swoich domach, pisząc skargi i pozwы. A do tego potrzeba prawników. Uśmiechnął się. Świat jest piękny.

Ma wystarczająco pracowników, żeby zorganizować im *Chinese wall*. A tym samym

występować zarówno w imieniu spółek broniących się przed zarzutami, jak i ludzi żądających od nich odszkodowania. Tak, piękna sprawa. No i jego najmłodsze dziecko: przenosiny na rynki zagraniczne.

Zmarszczył brwi. Tak, trzeba przyśpieszyć sprawy. Kwestie prawne, co prawda, mieli przygotowane, ale wciąż brakowało im części danych ze spółek. Wiener Börse rozpoczęła już wstępne rozmowy z biurami maklerskimi, które rozpuściły wici wśród inwestorów. Tak, lada chwila ruszy lawina zapytań i propozycji.

Doszedł do skrzyżowania i skręcił w prawo. Muszą ruszyć z kopyta. NBP kupuje obligacje skarbowe, a Rada Polityki Pieniężnej obniżyła o pół punktu stopy procentowe. Nie uważał, że odkrył Amerykę, ale stwierdził jedno: chociaż wzrosła podaż pieniądza, rynek zaczynał cierpieć na posuchę. Ludzie, tracąc zaufanie do banków, gromadzą środki w pieniądzu, choć zjada im je inflacja. A spółkom brakuje kasy. Wyceny są niskie, więc i zdolność uzyskania kredytu mizerna. Pomimo niskich stóp procentowych, które powinny napędzać inwestycje! Tak, może Idzikowski nie był wytrawnym ekonomistą, ale wiedział jedno: dla dobra polskiej gospodarki spółki muszą szybko zdobyć kapitał. On je wybroni. W ten sposób odbudują też zaufanie inwestorów, którzy umieszczają swoje oszczędności w akcjach kolejnych przedsiębiorstw.

Wszedł do biurowca. Wezbrała w nim nowa wiara i nadzieja. Wreszcie czuł, że robi coś ważnego. Był nie tylko prawnikiem, ale także patriotą.

Świat zwariował, pomyślał Michał Smoliński, rzucając kaburę i czapkę na biurko i siadając w skrzypiącym fotelu obrotowym. Przed chwilą wrócili z pieszego patrolu. Ich praca - zwykle ograniczona do budzenia śpiących na chodnikach pijaczków i bezdomnych, bądź też „demonstracji siły”, jak określa! to komendant, święcie przekonany, że sama obecność mundurowych zapobiega przestępstwom - nabrała od kilku dni nowego wymiaru. Kłótnie, awantury, publiczne bijatyki, kradzieże i napady. I to w biały dzień! Przy świadkach! Jakby tego było mało, jajami obrzucono siedzibę PKO BP. Służbowe samochody kilku biznesmenów zostały całkowicie zdemolowane, a kilku innych przedsiębiorców wystąpiło z prośbą o ochronę z powodu anonimowych pogróżek.

Tak, społeczeństwo potrafi wyrazić swoje niezadowolenie, zwłaszcza gdy znaleźli się winni. Tylko że w mikro-świecie Smolińskiego wszystko sprowadzało się do jednego: przygotowania raportu. Chcąc nie chcąc, zabrał się do pracy.

Kiedy skończył, zerknął na zegarek. Pisał przez trzy kwadransy, a do spotkania z naczelnikiem i tak pozostało mu jeszcze pół godziny. Może coś do picia? Na robieniu mocno słodzonej herbaty z cytryną zeszło mu dokładnie siedem minut. Nic to, trzeba się czymś zająć.

Uruchomił wewnętrzny serwer policji z kartoteką osób poszukiwanych, która z

powodu ostatnich wydarzeń zaczęła rozrastać się w błyskawicznym tempie. Okazało się jednak, że przeglądanie twarzy według modelu „dresiarz z Gocławia: ogolona głowa, wystające kości policzkowe, długi nos i bezmyślne, ale złowrogie spojrzenie”, jest porażająco nudne. Po chwili zaczął ziewać, a dotleniony przebywaniem na świeżym powietrzu organizm domagał się drzemki. Powieki zaczynały mu powoli opadać.

Może więc coś z kryminalnego? Tak, dawne niewyjaśnione historie zawsze były jego konikiem. Po to przecież wstąpił do policji. Szkoda tylko, że największych mafiosów już wyłapano w latach dziewięćdziesiątych. Przeciągnął się, przetarł oczy i wrócił do komputera.

Był na piątej stronie, równie znudzony jak chwilę temu, gdy jego wzrok zatrzymał się na trzecim zdjęciu w ostatniej kolumnie. Przedstawiało ono mężczyznę przed trzydziestką, przystojnego, z uczesaniem modnym w latach osiemdziesiątych. Zerknął na podpis. „Dane - utajnione”. „Przyczyny poszukiwań - utajnione”. „Ważność - najwyższy priorytet”. Psiakość! Cmoknął. Nieźle gość narozrabiał. Przyjrzał się zdjęciu. Niby wszystko w porządku, takich jak on nie brakowało, choć utajnienie wszystkich danych jest dość niespotykanym zjawiskiem nawet w policji... Tylko to spojrzenie. Gdzieś już je widział. Tylko gdzie?

Zamyślił się chwilę. Poziom rozwoju jego fotograficznej pamięci był proporcjonalny do braku umiejętności zapamiętywania ludzkich imion. Kojarzył więc twarz, ale nie umiał nazwać człowieka. Super. A jednak te oczy... gdzie je widział?

Nagle usiadł jak rażony piorunem.

- Jezu! - wyszeptał. - Piotr!!!

- Halo?

- Piotr?!

- Tak. Cześć, Michał. - Nienawidził, gdy dzwoniący nie przedstawiał się, ale na niektóre typy, zwłaszcza te w policyjnych mundurach, nie było lekarstwa.

- Słuchaj, ten koleś z którym widziałem cię na imprezie u premiera...

- A, widziałeś mnie? Dlaczego nie podszedłeś?

- Nieważne - przerwał Smoliński. - Dobrze go znasz?

Piotr zawahał się przez chwilę.

- To długa historia, a co?

- Czyli NIE?

- Michał, co się stało? - Piotr zaczynał się niecierpliwić. Robota czeka, a ten tu bawi się w zgadywanki.

- Słuchaj, znalazłem jego zdjęcie w naszej kartotece. Facet jest ścigany. Nie wiem za co, bo sprawa jest tajna, ale ma najwyższy priorytet.

- Co ty...?

- No, mówię ci - odparł Smoliński scenicznym szeptem do słuchawki. - Zdjęcie co prawda sprzed jakichś dwudziestu lat, lekko licząc, ale to ten sam facet! Albo ma brata bliźniaka, który jest wieloletnim recydywistą!

- Mówisz serio?

- Słuchaj. Jestem policjantem. Nie ściemniam w takich sprawach.

Piotr zaczął gorączkowo myśleć. Krzysztof. Ścigany? Za co? Czy to ma związek z FOZZ? Musi dowiedzieć się więcej.

- Słuchaj... a masz datę nadania aktu? Nie wiem, jak to nazwać, aktu ścigania? - spytał na tyle spokojnie, na ile pozwalało mu łomoczące serce.

- Tak... czekaj. - W słuchawce dało się słyszeć kilka kliknięć myszką. - Dwunasty maja osiemdziesiątego dziewiątego. - Czyli jeszcze w komunizmie, odetchnął Piotr, ale nie powiedział tego na głos. - I kolejny - ciągnął Smoliński - z dwudziestego pierwszego października dziewięćdziesiątego czwartego.

A więc późniejsze władze też go ścigały. Za co? I dlaczego? Musi się dowiedzieć. A do tego potrzeba czasu...

- Michał - zaczął powoli i najgrzeczniej, jak potrafił - dasz radę wstrzymać się z tym wszystkim kilka dni?

- Piotr, czy ty się, do chuja, z choinki urwałeś?! - krzyknął tamten. - Facet mógł dokonywać rozbojów, mordować, okradać banki, a ty każesz mi się wstrzymać?! Pracuję w policji, zapomniałeś?!

Tak, policjanci mają określone wymagania i procedury, które trwają.

- Zrobisz to dla mnie?

Po długiej jak lata świetlne ciszy padła odpowiedź.

- W porządku. Coś jeszcze? - zapytał ironicznie.

- Tak... Byłbyś w stanie odtajnić te dane, o których mówiłeś?

- Oszalałeś!

- Wiem, co robię - rzekł Piotr.

- Zobaczą, co da się zrobić. Ale jeśli będę musiał identyfikować twoje zwłoki, to dopiero mnie wkurwisz!

I rozłączył się.

Piotr siedział przez chwilę nieruchomo, po czym wstał od biurka.

- Chyba powinniśmy porozmawiać - zaczął, wchodząc do salonu.

Krzysztof zerknął na niego. Nie nadprzyrodzone zdolności, ale wiek i doświadczenie uczą człowieka rozpoznawać emocje malujące się na twarzy.

- Usiądź - zaprosił go, samemu siadając po przeciwnej stronie ławy. - O co chodzi?

- Dzwonił do mnie przyjaciel. Policjant. Jesteś poszukiwany. Nakazy pochodzą z osiemdziesiątego dziewiątego i dziewięćdziesiątego czwartego roku. Wiesz coś o tym? -

Choć nie zdawał sobie z tego sprawy, wszystko powiedział na jednym wydechu. Rany, kiedy człowiekowi na czymś zależy, to się stresuje bardziej niż przed maturą.

- Myślałem, że przychodzisz z trudniejszym pytaniem. - Krzysztof uśmiechnął się.

- No to czekam na odpowiedź, skoro to takie proste - odburknął Piotr. Zaczynała go wkurzać ta pewność siebie Krzysztofa.

- I za PRL, i za trzeciej RP władze chciały odzyskać te pieniądze. - Krzysztof mówił wolno, ale spokojnie. - Choć warunki i klimat gospodarczy uległy zmianie, to cele pozostały te same: trochę na ratowanie rynku, a reszta do kieszeni. I tyle.

- A skąd wiedzieli, że to ty?

- Cóż, tylko ja zniknąłem bez śladu, a zbiegło się to w czasie z wyparowaniem gotówki z kasy FOZZ. Nie mieli pewności, ale też żadnych dowodów, że jest inaczej.

- To jak to jest, że cię nie znaleźli? Przecież działają służby wywiadowcze, Interpol...

- Piotrze. - Mężczyzna spojrzał na niego uważnie. - Po pierwsze miałem ludzi, którzy mi pomogli. Kilku zaufanych przyjaciół, z których część i tak koniec końców mnie opuściła. Lub zdradziła, jeśli wolisz mocniejsze słowo. Właśnie stąd jest ten drugi nakaz, wiesz? - Zamyślił się. - Ale co najważniejsze, zostawiłem tu wszystko, nawet nie pożegnałem się z żoną...

- Op... opuściłeś rodzinę, ot tak?

- A czy ty uważasz, że to było takie proste! - Krzysztof poderwał się, podnosząc głos. - Mówisz, jakbym zrobił to z zimną krwią!

- Nie, ja... - Przepraszam, pomyślał. Nie, wcale nie przepraszam. - Chcę tylko zrozumieć.

Mężczyzna uspokoił oddech i po chwili usiadł.

- Nie tylko ją... Zostawiłem całe swoje życie. Zrezygnowałbyś z własnej tożsamości, imienia i nazwiska, ludzi, których kochasz i środowiska, które cię ukształtowało, tylko dlatego, że w coś wierzysz? Lub masz jakieś ideały? Albo od drugiej strony: że musisz coś zrobić, bo czujesz się za to odpowiedzialny? - Krzysztof zawahał się przez moment. - I wiesz, co jest najgorsze? Ze w tej rozgrywce zamieniłem siekierkę na kijek. Jedne wyrzuty sumienia zastąpiły po prostu drugie. Tak jakby wszystko było zapisane w gwiazdach, Piotrze. Możesz zmieniać czynniki, ale efekt końcowy i tak będzie taki sam.,

Chłopak zamyślił się chwilę.

- A co z twoimi przyjaciółmi? Pomagają ci nadal?

- Kilku... tak. Dlaczego pytasz?

- To dlaczego któremuś z nich nie powierzyłeś tej funkcji, którą dałeś mnie? Przecież kompletnie mnie nie znasz.

- Pracowałeś nad raportem z tych całych manipulacji z jednym z moich współpracowników. Odnaleźliście właściwą ścieżkę, więc myśleliście podobnie...

- Zostałem więc... zwerbowany? - Piotr nie zdawał sobie sprawy, jak obrzydliwe

może być uczucie, gdy okazuje się, że był przez cały czas kontrolowany i manipulowany.

- Niezupełnie. - Krzysztof mrugnął do niego porozumiewawczo. - Ona o niczym nie wie.

- Ona?

- Tak. Zosia. Zofia Paul. Jest moją córką.

Piotr czuł, jakby znajdował się we wnętrzu szejkera. To było już zbyt zakręcone. Tymczasem Krzysztof kontynuował:

- .. .i jak zapewne wiesz, jest w Paryżu. Prosiłem, żeby wracała. Ta cała zawierucha na rynkach może nie przynieść niczego dobrego. A tymczasem...

W sieni dał się słyszeć odgłos otwieranych drzwi i kroki. Po chwili w korytarzu ukazała się twarz jakby znajomej kobiety.

- O jesteś! Joasia Stupińska w całej odsłonie, jak zwykle punktualna. Dobrze, kochana, że jesteś. Piotra już poznałaś, prawda?

ROZDZIAŁ XIV

Nowy układ sił

- Jesteś pewien, że to bezpieczne? - Szef gieidy w Ljubijanie był wciąż pełen obaw.
- A co jest bezpieczne, Darinko? To nasz człowiek, stanie za nami murem.
- Ale to premier...
- Nasz premier, do cholery! - warknął Arpad Nagy. Czasami miał wrażenie, że niańczy, a nie konspiruje. - Powiedział, że pomoże, to pomoże.
- W porządku.

BŁĘDNE KÓŁKO

Plastykowy krążek, który przypuszczalnie oderwał się z górnej części baku paliwa, jest najprawdopodobniej odpowiedzialny za spowodowanie wypadku śmigłowca typu Apache pod Provins, w którym zginął niemiecki pilot. Krążek oddzielał bak paliwa od górnych części systemu, pełniąc funkcję zabezpieczającą. Zdaniem Marco Dippo- lita, doktora inżyniera z L'Ecole Polytechnique, brak tego elementu spowodował...

Brigitte Le Brun z dumą patrzyła na pierwszą stronę „Le Figaro”. Jej dzieło, jej praca. Żadnych tajemniczych informatorów, żadnych niejawnych przecieków. Uwielbiała bawić się w szpiega, ale swoją pracę kochała właśnie ze względu na towarzyszącą jej kreatywność. Wystarczyło pomyśleć, podzwonić i rozwiązania same się znajdowały. Zwłaszcza gdy służyły dobru ogółu.

Odłożyła gazetę i wzięła do ręki torebkę. Czas przygotować się na spotkanie z Alfredem. Co prawda to tylko kelner, ale Sophie zawsze przynosiła jej szczęście. Więc może tym razem nie skończy się tylko na seksie, pomyślała z uśmiechem i wyszła do łazienki.

Pomimo rozwoju środków masowego przekazu, a w szczególności Internetu, prasa nie straciła na znaczeniu, choć zmienił się jej charakter i rola. Badania pokazały, że

internauci większość stron internetowych jedynie przeglądają. Gazety, nie mogąc konkurować z internetem, gdzie co sekundę pojawiają się nowe informacje, stały się polem dyskusji i rozszerzonych opinii. Podczas gdy Internet był jak kumpel z ławki opowiadający o nowych plotkach, prasa stawała się nauczycielem.

Tym razem było inaczej. Naczelny postanowił poczekać z publikacją informacji w Internecie, dlatego pojawiła się ona dopiero około godziny siódmej rano, już po ukazaniu się dziennika. To, co się później wydarzyło, przypominało oczekiwanie na przyływ. Uśmiechnął się i wygodnie rozparł w fotelu. Urzędnicy, przedsiębiorcy, dziennikarze i politycy siedzieli właśnie przy kawie, czytając poranne wydanie „Le Figaro”. O siódmej trzydzieści pojawią się pierwsze newsy na portalach informacyjnych, a o ósmej w porannych programach informacyjnych. Wieczór należał już do nich.

Gdy więc Brigitte Le Brun uwodziła w knajpie nowego znajomego, w mediach trwała już ożywiona dyskusja na temat realnych przyczyn wypadku. EADS, Eurocopter i wszystkie instytuty lotnictwa w kraju przeżywały oblężenie dziennikarzy żądnych komentarzy. O ile pierwszą część dnia wypełniły spekulacje na temat przyczyn wypadku, o tyle po czternastej któryś z trzeźwiej myślących ekspertów zauważył, że nadal nie wiadomo jednej rzeczy: jak zapadka znalazła się poza zbiornikiem paliwa. Ułamała się? Mało prawdopodobne. Może wada techniczna? Boeing zaprzeczy! - wszystkie śmigłowce przechodziły testy. Nieszczęście? Przypadki się nie zdarzają.

Około osiemnastej jeden z gości zaproszonych do studia *France24* nie wykluczył możliwości błędu inżyniera bądź technika. W tym samym czasie minister obrony Francji na pytanie dziennikarki o dalsze losy przetargu odpowiedział, że bezpieczeństwo Unii wymaga podjęcia szybkich decyzji w tej sprawie. Chęć do rozmów potwierdził prezes Eurocoptera.

O dwudziestej inny ekspert rzekł, że ten „incydent” kosztował ludzkie życie i ktoś powinien ponieść tego konsekwencje.

Następnego dnia niemiecki „Die Zeit” na pierwszej stronie wydrukował artykuł pod tytułem *Francuski pocałunek śmierci*, bezpośrednio wskazujący, że przyczyną śmierci niemieckiego lotnika były naciski prezydenta Monta na zakup śmigłowców szturmowych Eurocoptera.

Po obu stronach Renu rozdzwoniły się telefony.

- Witaj, Jacques, chyba musimy porozmawiać - prezydent Francji usiyszai suchy ton w słuchawce.

- Dzień dobry, Rudolfie. Zgadzam się, że sprawa wymaga wyjaśnienia.

- Więc słuchamy.

- Oczekujemy od „Die Zeit” odwołania tych insynuacji, jakoby Francja umyślnie

dopuszcza do wypadku, aby osiągnąć korzystny dla siebie cel ekonomiczny.

- Co?!

- Jak słyszałeś - kontynuował spokojnie Jacques. - Nie pozwolę na obrzucanie siebie, mojego rządu ani tym bardziej społeczeństwa takim gównem, które nam dziś zaserwowaliście.

W słuchawce przez chwilę dało się słyszeć jedynie ciężki oddech.

- Jacques - rzekł już po chwili opanowanym głosem kanclerz Niemiec - zadzwoniłem, ponieważ jestem zdania, że możemy się porozumieć co do wyjaśnienia tej niedogodnej sytuacji...

- Niedogodnej? - zripostował Mont. - Powołaliśmy tę pieprzoną międzynarodową komisję dochodzeniową, która ślęczy dzień i noc nad sprawą wypadku i kosztuje francuskiego podatnika pięć tysięcy euro dziennie! Jeszcze wam mało?!

- To wolne media! Nie możesz zabronić im własnego zdania!

- Nawet jeśli pogarszają stosunki międzynarodowe? - spytał z udawaną słodyczą Mont.

Przez chwilę na linii trwała cisza. Przerwał ją kanclerz Niemiec.

- Nie mam wyników waszego śledztwa, a okazało się, że pierwsza lepsza dziennikarka prowadzi je lepiej od was. Dla mnie to opieszałość i nie wiem, czy wynika to z procedur, czy zwykłej niechęci. Nigdy nie naciskaliśmy na media i nie mamy zamiaru tego zrobić. Takie jest stanowisko RFN.

- Inaczej mówiąc, uważasz, że jestem współodpowiedzialny za tę tragedię?

- Nie uważam, ale nie mogę tego wykluczyć do czasu uzyskania wyników śledztwa.

- Rozumiem. Stanowisko Francji w sprawie wypadku uzyskasz w ciągu najbliższych dni.

- Czekam więc i do usłyszenia.

Za kanałem La Manche dochodziła siódma czterdzieści rano, gdy premier Brown uderzył pięścią w stół, rozlewając na jedwabny obrus pokaźną ilość kawy. Przeglądał właśnie przygotowywaną codziennie przez zespół jego rzecznika prasówkę, zawierającą artykuły z kraju i ze świata, gdy jego wzrok padł na tekst „Die Zeit”.

Brown nie wiedział, czy wściekł się bardziej, że Mont go oszukał, czy że prawdopodobnie przyczynił się do śmierci niewinnego człowieka. Wiedział jednak, że Francuz zapłaci mu za to.

Niepokoili go jeszcze jedna rzecz. Zaczął rano od sprawdzenia, czy ma rację.

Dyplomacja to sztuka prowadzenia wojny za pomocą słów. W porównaniu jednak z tradycyjną bitwą inaczej się tu osiąga mistrzostwo: sprawność mięśni zastępuje

błyskotliwy umysł, a jakość broni - giętkość języka. Od lat kontakty międzyludzkie były nieodłączną częścią dyplomacji. Bo jak inaczej poznać rozmówcę i jego prawdziwe intencje niż podczas bezpośrednich spotkań, na których można coś usłyszeć na ucho, uśmiechnąć się znacząco, poklepać po plecach? Tymczasem współczesne elektroniczne środki przekazu, tak chwalone przez młode pokolenie, znacznie sformalizowały te kontakty. Po co bowiem szarpać język, gdy można napisać przemyślany, skonsultowany z prawnikami i specami od PR-u, e-mail? Ostatecznie można zadzwonić lub przeprowadzić tele-konferencję. Normą stało się korzystanie podczas takich rozmów z wszelkich pomocy dostępnych rozmówcom. Pytanie, czy rzeczywiście ułatwiały i przyśpieszały one pracę, czy raczej budowały nowe mury i podziały?

Choć premier Rijs nie miał wątpliwości co do tego ostatniego, niespecjalnie mógł cokolwiek na to poradzić. Premier Wielkiej Brytanii usiłował się z nim skontaktować i należało oddzwonić. Zlecił połączenie sekretarce i usiadł w fotelu w swoim gabinecie, czekając na wywołanie.

- Panie premierze, premier Brown na linii - odezwał się po chwili głos.
- Dziękuję, Kasiu. Halo?
- Dobry wieczór, Antoni - rozległ się znajomy głos.
Dobry Boże, to już wieczór! - pomyślał przez chwilę Rijs. Ależ mu dzień uciekł.
- Witaj, John. W czym mogę ci pomóc?
- Dziękuję, że oddzwoniasz. Chciałem z tobą porozmawiać o pewnych niepokojących pogłoskach, które do mnie dotarły.
- Mianowicie?
- Chodzi o fundusz, który ma u was zainwestować...
- Tak. Co z nim?
- To delikatna sprawa. - Brown ściszy! głos, jak przystało na Brytyjczyka lekko zawstydzonego zdaniem, które ma wypowiedzieć wprost. - Chodzi o to, że według informacji, które posiadam, ten fundusz ma aktywa również w Wielkiej Brytanii.
- Rozumiem. - Rijs zamyślił się przez chwilę. Inwestycje podejmowane przez fundusze są prywatnymi decyzjami ich szefów i członków. Czyżby Brown próbował ingerować w statut prywatnego przedsiębiorstwa? - Jednakże była to decyzja zarządu funduszu, wiesz o tym?
- Oczywiście. Zrozum jednak, że po wahaniach na GPW oberwały również i inne rynki, w tym nasz. Znaczny odpływ kapitału mógłby negatywnie wpłynąć na całą koniunkturę. Także na was.
- John, nie zrozum mnie źle, ale nadal nie pojmuję twoich intencji. Jeśli chcesz gwarancji, że inwestycje funduszu nie odbędą się kosztem utraconych korzyści Wielkiej Brytanii, to tak, jakbyś żądał oświadczenia Putina, że wprowadzi w Rosji prawdziwą demokrację. Przecież złotówka tylko zyska, kiedy pieniądze do nas spłyną! - Co za

bezczel! Tę uwagę Riks zachował dla siebie.

- Antoni, wiem, że dla was to dobra nowina, ale proszę jedynie o rozwagę. Nie możemy pozwolić sobie na większe straty.

- Popieram twoje zdanie. Ale czy to nie jest dobra wiadomość, że Polska przyciąga nowych inwestorów?

- Oczywiście. Ale ostatnio tyle się dzieje, że musimy brać pod uwagę wszystkie okoliczności, które mogą nam zaszkodzić - rzekł sucho Brown.

- Nam? - Riks zawiesił głos, zanim zaczął dalej. - Fundusz, który ma zainwestować w Polsce, nie robi tego, żeby zaszkodzić Wielkiej Brytanii. Ani komukolwiek. Tu nie czas na emocje, John, ale na rozwagę.

- Jasne. Będziemy w kontakcie.

- *Damn it!* Niech go szlag! - warknął Brown. Nie ma pojęcia, o czym bredzi! Gdyby wiedział, może by zmyślał i kazał temu funduszowi wracać do domu. Spojrzał jeszcze raz na analizę przygotowaną przez bank centralny. Dług publiczny niebezpiecznie rośnie, a spodziewany przyływ gotówki do państwowej kasy może być o wiele mniejszy, niż wcześniej prognozowano. Spółki wcale nie tak chętnie wracają do domu z pieniędzmi. W dodatku ten fundusz... Według szybko sporządzonej analizy, którą zlecił, jeśli chociaż jeden z dziesięciu największych funduszy przeniesie połowę walorów do Polski, to PKB Wielkiej Brytanii spadnie o 0,5 procenta. W efekcie końcowym, na który złożą się utrata miejsc pracy przez rzesze bankowców, mniejsze obroty i płynność na giełdzie, spadną nastroje w gospodarce, będzie mniej kapitału na inwestycje i zacznie się stagnacja. Do tego nie wolno mu dopuścić!

Ale jeśli się myli? Może niepotrzebnie tak się tym przejął? W końcu to tylko inwestycje.

We Francji prezydent może zostać odwołany ze stanowiska jedynie za zdradę stanu. W razie naruszenia prawa podlega odpowiedzialności konstytucyjnej. Nie ponosi odpowiedzialności politycznej za swoją działalność urzędową i nie odpowiada przed parlamentem. Zgodnie z konstytucją prezydent Francji to przede wszystkim strażnik konstytucji, arbiter narodowy i gwarant niepodległości.

Czy więc źle postąpił?

Po artykule w „Le Figaro” na temat wypadku w Provins zawrzało we francuskich mediach. Krzyk był zgoła w odmiennym duchu niż w Wielkiej Brytanii czy w Niemczech. Podczas gdy ci pierwsi na chłodno uzasadniali konieczność przeprowadzenia drobiazgowego śledztwa, a drudzy zadośćuczynienia za tragiczną śmierć - w domyśle morderstwo - pilota, francuscy dziennikarze bronili swojego

prezydenta niczym żandarmeria.

W udzielanych wywiadach Mont jasno przedstawiał stanowisko Francji wobec wysuniętych pod jej adresem zarzutów.

Francja nie dopuściła się żadnych zaniedbań w przygotowaniu śmigłowców do ćwiczeń ani tym bardziej nie spowodowała wypadku, w którym nieszczęśliwie zginął niemiecki pilot...

...Francja wyraża ubolewania z powodu wypadku i przekazała na ręce kanclerza Niemiec oraz rodziny zabitego kondolencje.

...Francja nie będzie tolerowała postawy roszczeniowej swoich partnerów politycznych. Dlatego też oczekuje przeprosin i uspokojenia zaognionej sytuacji.

Podzielone dotychczas etnicznie i religijnie społeczeństwo stało się murem za swoim prezydentem. Tego chyba nawet on sam się nie spodziewał. Rozpierały go dumą i radością nie tylko na myśl o kolejnej kadencji, ale także misji, jaką wypełniał. Oto zjednoczył cały naród. Z drugiej strony do jego serca coraz częściej wkradała się niepewność. Jeśli bowiem składa publicznie jasne deklaracje, nie będzie mógł się z nich wycofać.

W przypływie euforii powiedział nawet o „samodzielności gospodarczej i politycznej”, co natychmiast zostało wychwycone przez komentatorów z całego świata i rozłożone na czynniki pierwsze. Nikt co prawda jeszcze tego nie powiedział głośno, ale wisiało to w powietrzu jak zaraza.

Idąc na spotkanie, premier Wielkiej Brytanii czuł się postarzały o kilka dobrych lat. Nie tak wyobrażał sobie swoje rządy, o nie! Tymczasem przyszłość Unii Europejskiej, efekt pracy kilku jego poprzedników, być może spoczywała tylko w jego rękach. Jęknął. Tak, trzeba to powiedzieć na głos. Nawet podczas ratowania zagrożonej gospodarki Grecji nie było takiego rozłamu. Francja i Niemcy zgodnie współpracowały. A teraz? Bawi się w jakiegoś pieprzonego rozjemcę. A kto go ustawia do pionu? Polski premier! Jego jedyny sprzymierzeniec w tym domu wariatów. Polska! Państwo, które jego kraj zostawił na pastwę Hitlera w 1939 roku, i to pomimo podpisanych porozumień. Państwo skazane na pięćdziesiąt lat socjalizmu tylko dlatego, że Roosevelt, Churchill i Stalin tak zdecydowali.

Zastanowił się. Czy na pewno Polska jest jego sprzymierzeńcem? Może takim samym jak ZSRR dla USA w 1945? Ten fundusz nie dawał mu spokoju... Odpędził od siebie myśli o nim. Musi ratować Unię. Mont był człowiekiem o wielkiej dumie i obecnie nadwerżonej reputacji. Ale pójdzie na ustępstwa, jeśli Clausen wyciągnie rękę. Tak, pójdzie. A Clausen to spokojny człowiek, nie będzie szukał zwady. Przecież dlatego zgodzi się na to spotkanie. Na pewno dojdą do porozumienia. Z tą myślą przeszedł przez próg holu.

Kanclerz Niemiec nie lubił spotkań umawianych w ostatniej chwili. Był człowiekiem ponad wszystko rozsądnym, a rozsądek mówił mu, że co nagle, to po diable.

Ale premierowi Węgier nie wypadało odmówić, więc się zgodził. Piętnaście minut powinno wystarczyć na lampkę egri bikavera, prawda? Potem przyjmie Browna.

- Więc cóż pana do mnie sprowadza? - spytał uprzejmie. Nie znał zbyt dobrze człowieka, który siedział naprzeciwko. Wiedział jedynie, że tamten walczył w podziemiu i uwielbiał jeździć konno. Trochę skąpe dossier, ale jego sztabowi prasowemu w ciągu kilku minut nic więcej nie udało się znaleźć. Przyglądał mu się ciekawie, ale bez nachalności.

Papp Ferenc był człowiekiem niemłodym i lekko przygarbionym. Włosy miał siwe i przerzedzone, kontrastujące z bujną brodą i wąsami. Ubrany był w staroświecki garnitur z podwójnym rzędem guzików i kamizelkę. Spora nadwaga utrudniała mu poruszanie się, ale brak dobrych manier w jego wypadku jest chyba częścią wychowania, pomyślał Clausen.

- Sumienie - odrzekł wolno premier Węgier i podniósł wzrok skupiony dotychczas na filiżance, w której mieszał cukier. Jego spojrzenie było energetyzujące i twarde, jakże odmienne od wizerunku słabego staruszka!

- Nie rozumiem...

- No więc - westchnął Ferenc - dotarły do mnie informacje na temat działań, na które nie mogę pozwolić, ponieważ są nie tylko nieetyczne, ale zagrażają również bezpieczeństwu narodowemu poszczególnych krajów i stabilności gospodarczej Europy.

No, no, ale przemowa.

- Można jaśniej? - Kanclerz Niemiec stara! się nie tracić opanowania.

- Słyszają! pan o przejściach spółek z jednej giełdy na inną?

- Tak. - Clausen wzruszył ramionami. Nadal nie rozumiał, o co tamtemu chodzi. - Zdarzają się, ale chyba rzadko. I są mało spektakularne, jeśli dobrze pamiętam.

- Dobrze pan pamięta. - Ferenc uśmiechnął się, odsłaniając poźółkłe od tytoniu zęby, po czym zaczął już poważnie: - A gdyby tak blue-chipy z Deutsche Boerse zdecydowały się nagle przenieść na przykład na londyński parkiet? Co pan na to?

Clausen zeszywniał.

- Proszę mówić dalej...

Zerknął na zegarek w tej samej chwili, gdy w drzwiach ukazała się sylwetka kanclerza Niemiec. Zazwyczaj pogodne, tym razem jego spojrzenie było zachmurzone. Może nic nie jadł od rana, pomyślał Brown, wyciągając do niego rękę na powitanie.

- Panie kanclerzu, dzień dobry.
- Witam, panie premierze. - Usiedli.
- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać.
- Cała przyjemność po mojej stronie. - Clausen nie uśmiechał się.
- Ciesz się tym. Nie chciałbym, żeby nasze ostatnie spotkanie w sprawie wypadku w Provins miało negatywny wpływ na łączące nas relacje - zaczął bardzo uprzejmie premier Wielkiej Brytanii.

- Ciekawe, że użył pan słowa „wypadek”. To chyba jeszcze niepotwierdzone. - Oczy kanclerza zaświeciły się na moment.

- Cóż, z tego, co wiem, komisja nie skończyła jeszcze prac, a...

- ...a wszystkie inne dowody wskazują, że było to raczej umyślne działanie, nieprawdaż?

- Panie kanclerzu. Rudolfie. - Brown wziął głęboki oddech. Unia za wszelką cenę. - To prawda, że na ostateczne wyniki przyjdzie nam jeszcze poczekać. Ale czy nie zmarnujemy tych tygodni, czekając biernie na analizę, która może oczyścić Francję z zarzutów? Czy nie lepiej wziąć się do pracy? Francja nadwerżyła i nasze zaufanie. Proszę pamiętać, że na pokaz nalegała Wielka Brytania, i to po to, żeby dokonano niezależnego wyboru dostawcy... Ale czyż nie wystarczy już krwi się przelało? Czy mamy narażać wspólne bezpieczeństwo, bezpieczeństwo Unii dla wzajemnych niesnasek?

- Przykro mi, ale obawiam się, że nie mogę przystać na pańską propozycję.

- Proszę?!

- Jak pan słyszał. - Clausen uśmiechnął się smutno. - Nie wiem jak pan, ale ja mam wystarczająco dużo spraw do załatwienia na własnym podwórku. Może Mont ma rację, że każdy powinien skoncentrować się na swoim kraju? Przecież nie ma go tutaj... jest więc o krok przed nami. Może przez jakiś czas skupmy się na tym?

Kanclerz wzruszył ramionami, choć gest ten był całkowicie zbędny. Browna na chwilę zatkało. Dosłownie zabrakło mu tchu. Po raz pierwszy ten człowiek go zaskoczył. Gdzie jego logika, gdzie myślenie?!

- Panie kanclerzu - starał się umiejętnie dobierać słowa - żeby Unia mogła normalnie funkcjonować, musimy ze sobą rozmawiać, a nie zamykać się każdy w swoim gabinecie - zakończył zjadliwie.

- A musimy rozmawiać? - spytał retorycznie Clausen. - Niemcy więcej łożą na Unię, niż dostają. To też trzeba przemyśleć.

Wstał, lekko się uklonił i wyszedł.

Brown siedział jeszcze przez chwilę, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Oto spełniły się jego najczarniejsze sny. Korzenie Unii sięgające RFN zostały odcięte. Teraz tylko pozostaje czekać, aż i korona zwiędnie.

Premier Węgier wsiadł do limuzyny i kazał się zawieźć do hotelu. Nie sądził, że tak łatwo pójdzie mu z Clause- nem. Ten w końcu był Niemcem, a z nimi zawsze trzeba ostrożnie. Okazało się jednak, że cierpi na tę samą chorobę co ten piekielny von Schwaltzchke: ocierający się o skrajny nacjonalizm chory patriotyzm. Dobrze, że Nagy go uprzedził. Szkoda byłoby tej Polski. W końcu kupują nasze wino, prawda?

A tak, to niech się pali i wali, a nikt nigdzie nie pójdzie. Dobra robota, premier pochwalił sam siebie. Może to uczczę i zamówię kolację do pokoju. Skrzywił się. Robił tak za każdym razem na wyjeździe. Zejdzie więc do restauracji. Spacer do windy nikomu nie zaszkodzi.

ROZDZIAŁ XV

Wywiad

Wszystko zaczęło się w Bad Wildungen, siedemnasto- tysięcznym niemieckim miasteczku w Hesji, słynącym ze źródeł leczniczych, polecanych w szczególności chorym z problemami serca i układu krążenia. Brytyjka Eve Crown przebywała tam od tygodnia i bardzo cierpiała z powodu nieubłagane zbliżającego się terminu wyjazdu. Codzienne spacerowanie, masaże, kąpiele i zabiegi wprawiały ją w dobry nastrój, a co więcej - przestała mieć zadyszkę przy wchodzeniu po schodach! I to bez utraty na wadze. Co nie zmieniało faktu, że i to by się przydało. Może za rok wybierze się na specjalny wyjazd dla otyłych? Jęknęła. Musiała przyznać przed samą sobą, że jej kobiece kształty zostały zastąpione przez zwykłe wałki tłuszczu. No i na kolejny wyjazd będzie musiała czekać długie dwanaście miesięcy... Rok pełen harówki przy dwójce dorastających dzieci. Na szczęście mogła liczyć na matkę, która nie miała nic przeciwko zajmowaniu się wnukami przez siedem dni w roku. Może jej kupi jakiś upominek z tej okazji? Najlepsze będą jakieś ziółka, żeby się biedaczka nie pochorowała. Bo wtedy nici z kolejnego wyjazdu.

Pokrzepiona tą myślą podeszła do bankomatu. Gotówka już prawie jej się skończyła, a na bazarkach nie zawsze można było jeszcze płacić kartą. Wstukała PIN i kwotę do wypłacenia. Automat zaczął coś mielić, jednak po chwili zamiast wypluć banknoty, pokazał na ekranie komunikat, że transakcja nie może zostać zrealizowana. Dziwne, pomyślała, wyjmując z podajnika kartę kredytową. Może się zepsuł? Postanowiła podejść do jednego z oddziałów tutejszych banków. W miejscowościach wypoczynkowych liczba placówek instytucji finansowych była prawie równa liczbie hoteli. Zupełnie jakby ludzie przejeżdżali tysiące kilometrów, żeby otworzyć ROR.

Pan w okienku był uprzejmy, a jego angielszczyzna zrozumiała, choć mówił z paskudnie twardym akcentem. Poprosił o chwilę cierpliwości i zniknął za drzwiami. Wrócił po kilku minutach z podobnie sztywnym wyrazem twarzy jak wtedy, gdy wychodził. Czy ten człowiek nie okazuje żadnych emocji?

- *Frau Crown*. Pani wybaczy, ale niestety pani pieniądze nie mogą zostać pobrane z konta.

- A to czemu? - zdziwiła się. - Przecież rachunek nie ma żadnych obciążeń, a na pewno znajdują się tam odpowiednie środki.

- Temu nie przeczę. Chodzi o nasz system bankowy. Nie mamy możliwości

wypłacenia pani gotówki.

- Skończyła się wam?

- Nie, po prostu system nie pozwala na wypłacenie gotówki z zagranicznych kont. - Bankier był bardzo uprzejmy, ale w jego głosie dało się wyczuć irytację.

- Dobrze. Gdzie więc mogę to zrobić?

- Najlepiej w Wielkiej Brytanii.

Kobieta spojrzała na niego z nieukrywanym wzburzeniem. Gdyby nie fakt, że to ona tkwi w samym środku tego cyrku, może nawet by się zaśmiała.

- Ale jestem tu, a nie w domu! - warknęła. - Jak mogę wypłacić pieniądze tutaj?!

- Może pani założyć u nas rachunek i dokonać przelewu środków. Zajmie to kilka minut. - Bankier po raz pierwszy pozwolił sobie na uśmiech. Klient to klient.

- Dziękuję, ale chyba nie skorzystam. - Może w ambasadzie mi pomogą? - pomyślała i ruszyła do drzwi.

Bankier obserwował, jak kobieta wychodzi. Trudno, ale i tak wyrobił już dziesięć procent ponad miesięczny plan otwarcia nowych rachunków. I to w pół dnia! Nie wie, do cholery, co się dzieje z ich systemem, ale jeśli potrwa to dłużej, najbliższe ferie zimowe spędzi w Szwajcarii.

Ostatnie dni Piotr spędził, robiąc analizy. Nie żeby je lubił. Po prostu uważał, że zabierając się do jakiejś sprawy, należy dobrze rozpoznać teren. Najpierw musisz poznać problem, żeby móc z nim walczyć. Zabawne, przypominało mu to trochę polowanie na sarny, na które zabierał go wuj w Białym Dunajcu: musisz poznać jej charakter, wiedzieć, dlaczego się płoszy i kiedy nie czuje zagrożenia, wtedy podejdzie bliżej. Brutalny sport, ale także edukacyjny.

Od ślęczenia przed komputerem piekły go oczy. Czuł, że spojówki ma rozżarzone niczym węgle. Ale pracował dalej. Nieraz tylko robiąc sobie przerwę na kawę i kanapkę, zastanawiał się, czy na pewno podoła zadaniu. Bo góra wydruków rosła z godziny na godzinę.

Westchnął. Gdy dzień pracy pęczniał od nadmiaru obowiązków, powtarzał sobie w duchu jak mantrę to, czego uczono go w szkole: najpierw najpilniejsze sprawy. Proste, o ile ma się do wykonania kilka zadań. Problem powstaje, gdy okazuje się, że poszczególne sprawy różnią się między sobą - ba! są zupełnie odmienne, a każda z nich wydaje się najważniejsza w swojej dziedzinie. Podstawy zarządzania mówią, że należy podzielić pracę pomiędzy specjalistów w taki sposób, by mogli pracować równolegle.

Co jednak, gdy wszystko ma wykonać tylko jedna osoba? Był sam i musiał sam się do tego zabrać. Wstał wcześniej rano, wciąż oszołomiony rozwojem wypadków, podekscytowany i pełen euforii. Szybko włączył laptop i zaczął gromadzić dane. Dobrze, że Jurij zabrał go z mieszkania. Dobrze? - zastanowił się. Wcale nie! To

wszystko było takie dziwaczne! Przez kilka dni wydarzyło się w jego życiu tyle, ile innych ludzi nie spotkało przez całe dekady. Niektórzy całe życie pracują w urzędach, wykonując przez trzydzieści lat tę samą monotonną robotę. Jak na przykład taka Ela Górską, pomyślał Piotr. W głębi duszy jej współczuł. Co też ciekawego może się jej przydarzyć w pracy? A tymczasem on miał przesadzić całą polską gospodarkę do nowej ziemi i podlać taką ilością pieniędzy, jakiej świat jeszcze nie widział.

Zebrane dane szybko uświadomiły mu, jak wiele jest do zrobienia. Choćby w transporcie. Budowa dróg toczyła się powoli, to na pewno trzeba będzie przyśpieszyć. Kolejne... Polska miała ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów dróg kolejowych, z czego linie dużych prędkości stanowiły. .. zero procent. A w Europie było ich ponad pięć i pół tysiąca kilometrów w 2009 roku! Trzeba więc było tym się zająć. Ale czy w pierwszej kolejności? Uwagi wymagała przecież i opieka zdrowotna. Pieniądzy potrzebowały szpitale i przychodnie. Ludzie miesiącami czekali w kolejkach na wizytę u specjalisty. Za drogie były leki, zwłaszcza po tej nieszczęsnej ustawie refundacyjnej. Tak, potrzebna konkretna reforma.

Następny punkt: edukacja. Coraz niższy poziom nauczania w szkołach, coraz droższa nauka. Jeszcze kilka lat temu studenci studiów wieczorowych bądź zaocznych tudzież niestacjonarnych byli uważani za tych gorszych, bo nie dostali się na studia dziennie. Dobrze jednak wykorzystali swoją szansę: mając większe doświadczenie zawodowe, łatwiej im było odnaleźć się na rynku pracy niż studentom studiów dziennych, którzy dzień w dzień zakuwali. Normalne jest, że pracodawca bardziej ceni doświadczonego pracownika. Forma studiów przestała mieć znaczenie: liczył się dyplom z logo uczelni. Studenci dzienni stali się więc ofiarą własnej pracowitości. A przecież powinni mieć co najmniej równe szanse! Poza tym stypendia były tak niskie, że ledwo wystarczały na zakup książek, nie mówiąc już o utrzymaniu się. Co gorsza, najtęższe mózgi coraz częściej wyjeżdżały za granicę. Dziwić im się?

A obrona narodowa? Czy wojsko budziło jeszcze dumę i szacunek? Czy ktoś chciał robić karierę w armii? No, może w lotnictwie. Polatać na kilku egzemplarzach F-16, pokazać bużkę w reklamie. Ale tak naprawdę sławę można było zyskać jedynie podczas wątpliwej przyjemności, jaką są procesy sądowe za rozbicie maszyny czy ostrzelanie jakiejś wioski w Afganistanie. Wszystko dlatego, że brakowało pieniędzy na symulatory, szkolenia i sprzęt. I musi być wyższy żołd, który przyciągnąłby ludzi mających trochę oleju w głowie, pomyślał. Każdy obszar gospodarczy wymagał reformy. I on to miał zaprojektować. Sam.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. W ten sposób nic nie wymyśli. To nierealne. Wyszedł na korytarz.

Krzysztof siedział w fotelu, jak zwykle z laptopem na kolanach, zerkając co chwila na ekran telewizora. A ponoć tylko nastolatki nie rozstają się z komputerem. Na widok Piotra uśmiechnął się.

- Odpoczynek?

- Nie... - Piotr jęknął i zwałił się na fotel. Przetarł twarz rękoma. - Chyba nie dam rady. Nie dam rady tego wszystkiego ogarnąć. Brakuje mi czasu, rąk do pracy...

- Słuchaj. - Głos Krzysztofa był miły i spokojny. - Przecież nie oczekuję od ciebie, że przedstawiś mi tu plan desantowy. A chyba tak pomyślałeś, co?

Piotr kiwnął głową.

- No więc...

- Co masz zrobić? To moja wina, ale siedziałeś taki zapracowany, że pozwoliłem ci swobodnie myśleć. - Znów się uśmiechnął. - Przedstaw swój punkt widzenia na ten kraj. Jesteś młody i inaczej to widzisz. Co byś tu zmienił?

- Wszystko. - Wzruszył ramionami.

- Tyle że tak do niczego nie dojdiesz. Za bardzo się rozdrabniasz. Wypisz po pięć punktów z każdego obszaru. Resztę zostaw ministerstwu. W końcu to ich robota.

- Okej, chyba tak trzeba.

- A tymczasem odpocznij i obejrzyj to - powiedział znacznie poważniejszym tonem, pokazując głową w kierunku telewizora. - Zdaje się, że mamy poważny problem.

Ustawił głośniej telewizor. Na ekranie Piotr zobaczył Rudolfa Clausena. Podpis na pasku informował, że to oficjalne oświadczenie kanclerza RFN.

- ...dlatego wobec wyraźnego braku chęci podjęcia współpracy ze strony naszych europejskich sojuszników postanowiliśmy bronić naszego kraju i rynku przed ostrzejszymi ciosami. Niemcy są nie tylko najbogatszym krajem Unii Europejskiej, ale także krajem najbardziej obciążonym płatnościami na jej rzecz. Finansujemy budowę dróg, mostów, budynków, szkół, lotnisk i portów w całej Europie. Naukowcy ze wszystkich krajów dostają stypendia i granty, które są opłacane przez RFN. Siła robocza z większości państw Unii znajduje u nas zatrudnienie z pełnym pakietem socjalnym. Nasuwa się pytanie, co Niemcy z tego mają. Coraz częściej sami musimy oszczędzać, żeby nie tylko pomagać, ale i ratować inne gospodarki. Tak było w przypadku Grecji, Portugalii czy Włoch. Prognozy wskazują, że w najbliższych latach wskaźnik poziomu życia we wszystkich landach ulegnie obniżeniu. Gospodarce brakuje nowych inwestycji, ludzi i funduszy. Dlatego uważam, że wobec zaistniałych faktów stosowne staje się twierdzenie o spłaceniu zaciągniętego po wojnie długu.

Kanclerz przerwał na moment, żeby wziąć oddech. A może i zrobić lepsze wrażenie?

- Ponad wszelką wątpliwość uważam, że Niemcy nie mogą rozwijać się bez współpracy z innymi krajami. Jednakże coraz częściej padamy ofiarą manipulacji i wycisku finansowego, gdy zagraniczne instytucje finansowe korzystają na naszych wysokich stopach procentowych i lokują tu swój kapitał. Pobierają za to wysokie odsetki, których nadmiar inwestują w tańszych i mniej rozwiniętych krajach.

Dlatego postanowiłem wprowadzić środki mające zaradzić niewłaściwemu rozumieniu swobodnego przepływu kapitału. Osoby fizyczne i prawne niemające

obywatelstwa niemieckiego, jeśli zechcą dokonać operacji finansowych, zostaną poproszone o założenie rachunków w niemieckich bankach. Jednocześnie zostaje ustalony limit środków do przelewów z niemieckich kont posiadanych przez obcokrajowców oraz limit środków możliwych do przewiezienia przez granicę niemiecką w gotówce. Poszczególne limity wynoszą pięć tysięcy euro dla przelewów oraz tysiąc euro dla przewozu gotówki. Podkreślam, że nowe zasady dotyczą jedynie obcokrajowców. ..

Jednocześnie, aby zapewnić stabilny rozwój kraju, wprowadziliśmy specjalny program dla zagranicznych inwestorów, którzy będą chcieli przenieść swoją działalność do Niemiec. Oprócz redukcji podatków i mniejszych obciążeń rachunkowych obejmie on także bezpłatną pomoc prawną, urzędową, jak również...

- Co on, kurwa, wyprawia! - krzyknął Piotr. - Ograniczy inwestycje, wprowadzi gospodarkę w zapaść, spowoduje stagnację, rozbije Unię...

- I to chyba najważniejsze, co? Właśnie jesteśmy tego świadkami - stwierdził smutno Krzysztof. - Ograniczając swobodny przepływ kapitału, podważył jeden z fundamentów Unii Europejskiej. A to znaczy, że jej koniec jest już bliski.

Na reakcję Wielkiej Brytanii nie trzeba było długo czekać. Liczne skargi wędrujące do ambasady szybko wyciekły do krajowych mediów. Rozpętała się burza, w której w najłagodniejszym wystąpieniu oskarżono Niemcy o dyskryminowanie brytyjskich obywateli. Zewsząd dochodziły głosy o zawaleniu się stosunków międzynarodowych i rozłamie w Unii Europejskiej. Co z tego, że były to hasła ostrzegawcze, skoro nacisk opinii publicznej na jasne i zdecydowane stanowisko Londynu był tak silny, że nawet rozpoczęły się demonstracje wokół Downing Street, jakich nie widziano od czasów Margaret Thatcher. Zupełnie jakby społeczeństwo ogarnęła zbiorowa schizofrenia - z jednej strony cichym głosem mówiło się o końcu Unii, z drugiej domagano się obrony własnego kraju i rynku. Punktualnie o jedenastej czasu Greenwich parlament uchwalił dekret, na mocy którego przepływ kapitału zagranicznego z Wielkiej Brytanii został ograniczony. Tym samym rozpad Unii Europejskiej stał się faktem. Dzień po tym wydarzeniu podobne uchwały podjęto w Paryżu, Madrycie, Lizbonie i Rzymie. Nie od razu wprowadzono restrykcje w obrocie kapitałem zagranicznym w Grecji i krajach Beneluksu. Po kilku dniach jednak i te państwa odgrodziły swoje rynki finansowe od Europy.

- John, co wy, u diaska, wyrabiacie? - Premier Riks był już tak zmęczony, że darował sobie grzeczności. Źle, kurczę, że zacząłem od ataku, ale mówmy jak mężczyźni!

- Mianowicie? - Głos Browna był suchy i pozbawiony emocji.

- Idziecie w kierunku rozbicia Unii i Europy! Przecież to nie ma sensu, żeby blokować swobodny przepływ kapitału. Cofniemy się do lat pięćdziesiątych!

- Tobie łatwo tak mówić, prawda?

Riksa zaskoczyło to stwierdzenie.

- Co masz na myśli?

- Uprzedzałem cię co do tego funduszu. Naszym obywatelom blokujecie raje podatkowe, a sami ściągacie nasze pieniądze.

- Co ty wygadujesz? - Riksa zaczynały ponosić nerwy.

- Z naszego rynku wypłynęło kilkaset milionów euro... wiesz coś o tym? - Brown zaśmiał się w słuchawkę. - Na razie, Antoni.

- John, czekaj, to jakieś brednie! Wiesz, że ucieczka kapitału to rzecz normalna w takiej sytuacji! Przecież zamknęliście rynki dla finansistów z zagranicy! - Boże, to jakiś absurd! - To samo działo się na wszystkich giełdach. Inwestorzy wycofują się i wracają do domu. Chwilowy spadek, żeby za chwilę odbić się od dna.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Do widzenia, panie premierze. - Sekundę potem usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki.

Czy przyjaźń cokolwiek znaczyła? Cóż z tego, że znali się od lat? W polityce nie miało to najmniejszego znaczenia. Przypomniał sobie stare przysłowie, że zawsze można liczyć na starą żonę, starego pasa i pieniądze do wydania. Może jest w tym więcej prawdy, niż dotąd przypuszczał?

- Przykro mi, von Schwartzchke, ale my również musimy bronić swojej gospodarki - odrzekł spokojnie Leopold Wagner, premier Austrii.

- I w tym celu mamy ograniczyć jej rozwój?! - krzyknął tamten, wywołując grymas dezaprobaty na twarzy rozmówcy. A niech go, nie będzie się bawił w konwenanse, gdy sprawa jest tak poważna. - Na dłuższą metę wasza decyzja przyniesie same szkody!

- Albo ochroni nasz rynek przed stagnacją. - Premier czuł satysfakcję, że właśnie utarł nosa szefowi wiedeńskiej giełdy, ale jej nie okazywał. Nigdy nie lubił tego zadufanego w sobie arystokraty. Sam przecież był potomkiem Otta Wagnera, architekta i urbanisty, a nie patrzył na wszystkich z góry. - Przykro mi, jeśli pokrzyżowało to twoje imperialne plany, ale nic nie mogę zrobić. Rząd i parlament poparły dekret, podobnie jak społeczeństwo.

- Ale skąd ja mam pozyskiwać inwestorów? - Von Schwartzchke był bliski rozpaczy.

- Z Niemiec, drogi Ulriku. - Premier uśmiechnął się chytrze. Teraz von Schwartzchke pokaż, co potrafisz. Jak trzeba popracować, to już nie jesteś taki chętny, co? - Będąc blisko związani z niemiecką gospodarką, zostawiliśmy przecież otwartą furtkę dla ich

kapitału.

- Tak, prędzej wszystkie moje spółki wyciekną na Deutche Boerse!

- Jeśli im pozwolisz... - Premier rozłożył ręce.

Ulrik von Schwartzchke otworzył usta, ale nic nie powiedział. Wstał i ruszył ku drzwiom. Wypadł z pokoju jak strzała, wyładowując nadmiar energii na drzwiach, które zatrzasnął z całej siły, aż futryna zadrżała. I co on niby teraz miał zrobić?! Nie ściągnie tu nawet byle spółki-krzaka! Biura maklerskie poniosły koszty, na które sam je naraził! Podniosą prowizje i marże, zniechęci to inwestorów, którzy przejdą na Deutche Boerse... I co on miał począć? Nie był w stanie dopuścić do siebie myśli, że w ciągu najbliższych dni straci nie tylko stanowisko.

Premier Wagner uśmiechnął się po nagłym opuszczeniu pokoju przez gościa. Należała mu się nauczka. A gospodarka? Przecież te wszystkie blokady nie potrwają wiecznie, prawda? Zawahał się. A jeśli potrwają? Nie, niemożliwe. Niemcy dogadają się z Anglią i Francją. Nie są aż tak głupi.

Wszystkie pozwy były do siebie podobne - o ile oczywiście można mówić o podobieństwie między kilkoma tysiącami a kilkoma milionami złotych, bo takie były rozbieżności w roszczeniach inwestorów. Pozwanymi były różne instytucje: KNF, GPW, NBP, a nawet sam premier. Pozwy miały jednak pewien wspólny element, coś, co sprawiało, że wszystkie spływały na jej biurko.

Kto wymyślił, że KNF ma być filtrem arbitrażowym dla wszystkich poszkodowanych? Elżbieta Górka aż za dobrze знаła odpowiedź. Machina urzędnicza zadziałała w typowy dla siebie sposób: pierwszy pozew dotyczył KNF i trafił do niej, bo sama się zgłosiła do sprawy. Ktoś potem dostał podobny, zrobił wywiad i dowiedział się, że „zajmuje się” tym ktoś z KNF. Wsadził dokument w kopertę i wysłał na plac Powstańców. Tylko tyle.

I aż tyle, bo wszystko spadło na mnie, westchnęła Górka. Czy można się dziwić, że urzędnicy są mało kreatywni, ale za to bardzo przywiązani do procedur? Wychylisz trochę nos i od razu robią z ciebie robota na trzy zmiany.

Powiodła zmęczonym spojrzeniem po gęsto obłożonym segregatorami, teczkami i papierami biurku. Panował tu nieskazitelny porządek. Żadnych brudnych kubków po kawie, ogryzków jabłek, zaplamionych ubrań czy śmieci walających się po podłodze. Wszystko jak przed połączoną wizytą sanepidu i kontroli pracy.

Prawda była jednak taka, że tylko utrzymując porządek, Górka była w stanie jako tako we wszystkim się połapać. Zresztą trudno mieć bałagan, gdy sąsiednie biurka również są czyste i wysprzątane. Co prawda lwią część roboty odwaliała ona, ale panujący tu porządek był godny najlepszej kury domowej.

Dom. No tak: piętrzące się gaidy, w lodówce tylko mrożone frytki i keczup, a na

świadczeniach tróje. Taką jest matką. Ale wynagrodzi to chłopakom, zabierze ich na wakacje, może pokaże im wreszcie morze? Tylko niech ten burdel w pracy się skończy...

Wyprostowała się na krześle i sięgnęła po elegancko oprawioną granatową teczkę. Tytuł był wypisany białymi literami *Pozew zbiorowy złożony w imieniu poszkodowanych inwestorów indywidualnych w związku z manipulacjami na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie*. Poniżej logo kancelarii Idzikowskiego.

- Taak - mruknęła. - Improwizacji ciąg dalszy.

Przeczytała pierwszą stronę. Fachowy język, prawnicze zwroty. Przełożyła kolejne strony. Problem polegał jednak nie na terminologii, z którą była oswojona, ale na interpretacji, których w wersjach książkowych wciąż brakowało, jak oceniała Górską, zerkając na tytuły obszernych tomów stojących na regale po lewej. Choć Paweł wytłumaczył jej co nieco, to wciąż miała wrażenie, że gubi wątek gdzieś w połowie strony.

Nic to. Pozostaje Internet.

Jak większość ludzi ze swojego pokolenia Górską zawsze czuła lekki dyskomfort przy korzystaniu z nowoczesnych kanałów informacji. Co prawda rozumiała zasady działania sieci, ale... Ale. W szkole uczyła się liczyć na liczydło. W liceum nikomu nawet się nie śniło o przedmiocie „informatyka”. Z pierwszym komputerem, który dostała w pracy, oswajała się blisko pół roku. Z Internetem było nieco prościej, choć... te wyskakujące okienka, rozjeżdżające się strony, jakieś komunikatory! Oby znaleźć krzyżyk!

Z lekkim ociąganiem włączyła przeglądarkę internetową. Po chwili otworzyła się strona KNF. Zaznaczyła pasek i wpisała adres strony google.pl.

Na hasło „pozwy zbiorowe” wyskoczyło jej kilka stron. Zaczęła więc otwierać je kolejno, i jak zorientowała się po kilku minutach, w dużej mierze były to reklamy kancelarii i firm doradczych. Wróciła więc do strony google i przejrzała wyniki wyszukiwania. Poniżej zauważyła forum. Słyszała, że poszkodowani często skrzykują się na forach, aby złożyć pozew zbiorowy, jak to miało miejsce na przykład w sprawie mBanku. Może teraz też tak było? Kliknęła.

Dyskusja była dość długa, wątków sporo, dominowało kilka osób, które wypowiadały się regularnie. Ciekawe, czy wszyscy dołożyli się do tego pozwu zbiorowego, który mam przed sobą?

Wśród użytkowników na czoło wybijał się jeden, niejaki „cwal8”. Górską przejrzała kilkanaście jego postów i doszła do wniosku, że facet wiedział, o czym pisze. Doradzał, zwracał uwagę na niuanse, pomagał w formułowaniu zarzutów. Tak, to nawet zaskakujące, pomyślała, że tak dużo wiedział o funkcjonowaniu urzędów. Kobieta oderwała wzrok od monitora i zastanowiła się. Może to jakiś rozżalony urzędas od nas? Nie, niemożliwie. Za bardzo sprawdzają takie rzeczy. Prędzej prawnik. Idzikowski?

Tylko po co by się tak szarpał, skoro i tak działa w imieniu powodów? Więc jeszcze ktoś inny.

Zerknęła ponownie na dyskusję. Tak, jego pomoc byłaby nieoceniona. Może poprosi o kontakt? Już miała brać się do pisania, gdy nagle przemknęło jej przez myśl, że kiedyś ktoś może coś sprawdzać, a wtedy jej nazwisko pojawi się na takim a takim forum... A to może oznaczać problemy.

Więc jak go odnaleźć? Po chwili uruchomiła drukarkę.

Minęło kilka minut i stała już pod drzwiami działu IT. Zapukała i od razu weszła do środka.

- Cześć, Karol - zaczęła od wejścia. - Znajdziesz dla mnie chwilkę?

Chłopak około trzydziestki odwrócił się i obdarzył ją uśmiechem, którym maskował ziewnięcie.

- Długo? Mam tu huk roboty...

- To zależy. - Ela przysunęła sobie krzesło i usiadła obok niego. Strategia podejścia była zamknięta w trzech słowach: Informatycy Uwielbiają Zagadki. - Wyjęła kartkę i podała mu. - Chodzi o odszukanie tego człowieka z forum.

- Z forum? - Karol wziął do ręki kartkę. - Możesz zadzwonić do redakcji, udostępnią ci dane...

- Nie... Wiesz, ja chcę to zrobić dyskretnie. - Psia mać, chłopak jest bystry. Nie pomyślała o użyciu swoich wpływów jako pracownik Komisji, ale z drugiej strony... Lepiej nie robić szumu wokół całej sprawy.

- Okej. - Chłopak odwrócił się do monitora i wystukał kilka poleceń. Po chwili jego palce rozpoczęły bajeczny taniec na klawiaturze, który zawsze budził podziw u Eli, bo ona wciąż pisała kciukami i dwoma palcami wskazującymi, wlepiając cały czas wzrok w klawiaturę. Nagle ręce informatyka zastygły w miejscu.

- Jesteś pewna, że to forum i link są okej?

- Tak, a co?

- Znalazłem jego IP...

- No i...?

Chłopak przekręcił monitor w jej stronę i pokazał na wyświetlany numer.

- Numer IP jest przyporządkowany do każdego komputera. Ten cały cwał8 logował się przez cały czas tylko z jednego sprzętu. I to u nas, w KNF. A dokładnie - informatyk umilkł na chwilę i wystukał coś na klawiaturze - z komputera szefa.

Kobieta otworzyła usta. Po chwili odezwała się opanowanym głosem.

- A, w porządku. - Uśmiechnęła się i wstała. - Dopytam się w marketingu, pewnie to ich działka. Dzięki za pomoc.

- Jak uważasz. Trzymaj się. - Chłopak wrócił do pracy.

Dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi, poczuła drżenie kolan tak intensywne, że aż złapała się parapetu po przeciwnej stronie. Przewodniczący? Marketing? Dobrze sobie!

Pracowała tu tyle lat, żeby wiedzieć, że Dostański nikomu nie zezwala na korzystanie ze swojego laptopa. A to oznaczało tylko jedno.

Świadomość spłynęła na nią gwałtownie jak tsunami na plażę. Poczuła skurcz w żołądku. Irracjonalne? - myślała w duchu. Raczej przerażające.

Zwykła urzędniczka KNF odkryła manipulację niczym z powieści sensacyjnej. Nie była jednak pewna, czy sobie poradzi z tym ciężarem.

Grzebanie w policyjnej bazie danych przypomina szukanie szatynki o błękitnych oczach za pośrednictwem książki telefonicznej: niby wszystkie dane są, łącznie z najbardziej pożądanym numerem telefonu, a jednak trudno ruszyć z miejsca, nie wspominając już o jakichkolwiek postępach.

Dobrze, że chociaż z uzyskaniem dostępu nie miał problemu. Dzień wcześniej zaczął w korytarzu sierżanta. Pogawędzili chwilę o dupie Maryni, a potem jakby od niechcenia Smoliński zapytał go o hasło do bazy. Reakcja przełożonego go zaskoczyła.

- Bez problemu! - krzyknął tamten. - Jeśli ktokolwiek chce się jeszcze tym zajmować?! Wpadnij za kwadrans, dostaniesz wszystko.

I tak uzyskał login i hasło do tajnych informacji w centralnej bazie policyjnej zastrzeżonej dla oficerów wyższego szczebla. Dalej sprawa nie była już taka prosta. Okazało się bowiem, że baza „zamknięta” jest skatalogowana inaczej niż baza „otwarta”. Mając przed oczami kilkaset tysięcy rekordów, musiał znaleźć jednego gościa tylko na podstawie zdjęcia. Jakby tego było mało, baza „zamknięta” miała inny layout - poszczególne rekordy wyświetlały się inaczej, inna też była prezentacja zdjęcia. Smoliński zastanawiał się, czy ktokolwiek, implementując nowe systemy IT policji, pomyślał kiedykolwiek o ich praktycznym zastosowaniu.

Minęło kolejne półtorej godziny i nic. Niech to szlag, pomyślał. Zerknął na pusty kubek z kawą. Pora na kilkuminutową przerwę.

Nastawił wodę w czajniku i zamyślił się. Jak odnaleźć tego cholernego faceta?

- Cześć, Michał - zaświergotała wchodząca do kuchni Jola, sekretarka komendanta. Wyjęła kubek, wsypała dziwną mieszankę z własnej torebki, po czym pochyliła się nad czajnikiem. - Zapominałeś o filtrach - dodała z uśmiechem i wyjęła z szafki małe opakowanie siatek, chroniących czajnik przed kamieniem.

Smoliński spojrzał na nią i pacnął się w głowę.

- Ale ja kretyn jestem! - Pobiegł z powrotem do biurka. - Gdzieś to musi być....

W gęstej sieci funkcji znajdujących się na każdej pionowej i poziomej belce ekranu systemu (kto to projektował?!) znalazł w końcu ikonę odpowiadającą za filtrowanie danych. Wpisał po kolei dane: mężczyzna, wiek: około trzydziestki, nakaz aresztowania z lat: 1989 i 1994. Klik. Ponad dziewięćset rekordów. Dobrze, ale jeszcze za dużo. Co tu dodać? Popatrzył na laptop, na którym wyświetlało mu się zdjęcie z otwartej bazy.

Przyczyny aresztowania: tajne. Dwanaście rekordów. Jestem w domu, uśmiechnął się.

Po kilku minutach wpatrywał się w portret Krzysztofa Ferdynanda Kaweckiego. Biorąc pod uwagę zasoby baz policyjnych, jego teczka była nadzwyczaj skąpa. Urodzony w 1958 roku w Warszawie, absolwent Politechniki Warszawskiej. Kopie dyplomów z wyróżnieniem. Przyczyny aresztowania - tak jak podejrzewał - tajne. I jeszcze tylko jedno zdjęcie: bez daty, ale czarno-białe, więc pewnie z początku lat dziewięćdziesiątych. Przedstawiało Kaweckiego i jeszcze jednego mężczyznę. Podpis mówił, że zostało zrobione przez I. Lipińskiego. Zaraz, a czy to nie jest...?

Podszedł do półki na której gromadzą wszelką prasę i sięgnął po „Gazetę Wyborczą”. Adam Michnik... hmm, może coś mu się pomyliło? Zerknął na stopkę redakcyjną „Rzeczpospolitej”. Redaktor naczelny: Ireneusz Lipiński. Ciekawe, czy to ten sam facet, pomyślał Smoliński i wrócił do biurka. Może dałby się namówić na rozmowę?

ROZDZIAŁ XVI

Kochankowie i zdrajcy

- Obawiam się, że nic z tego nie będzie - rzeki niepewnie Abrończyk. Siedzieli w salce konferencyjnej w Kancelarii Premiera, która choć ciasna, była wyposażona w nowoczesny sprzęt audiokonferencyjny, miała bezpośredni dostęp do kuchni ze świeżą kawą i toalety przy wyjściu. - Ograniczenia wprowadziły prawie wszystkie kraje europejskie. Dla naszego budżetu nie jest to bezpośrednim zagrożeniem, ale w dłuższej perspektywie może spowolnić gospodarkę.

- Raczej całkowicie zdusić - odpowiedział spokojnie Maciejewski. - Przez najbliższy czas inwestorzy nie będą migrować między krajami, więc giełda będzie się kręciła jak koło u średniowiecznego wozu.

- Giełda to nie jedyny problem. - Minister finansów pokręcił głową. - Można właściwie powiedzieć o globalnej blokadzie środków. Z jednej strony sami nałożyliśmy na siebie ograniczenia poprzez ustawę o rajach podatkowych. Z drugiej zaś ludzie mają problem z pobieraniem w Polsce środków z kont zagranicznych. Może to doprowadzić do sytuacji, w której każde państwo będzie miało na kontach bankowych olbrzymie rezerwy gotówkowe, których nikt nie będzie mógł ruszyć.

Premier Riks drgnął.

- Kazimierz, a ty co myślisz? - spytał po chwili.

Minister obrony narodowej poprawił się na krześle.

- Bezpośredniego zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego nie ma. Jesteśmy przede wszystkim związani sojuszami wojskowymi z NATO, które zawsze krzywo patrzyło na ambicje militarne Unii. Więc nawet w najgorszym scenariuszu, przy rozpadzie Unii, mamy sprzymierzeńców.

Tak, w postaci Stanów Zjednoczonych, które pogrążone we własnym kryzysie finansowym, ograniczyły reakcję na wydarzenia w Europie do oświadczenia zawierającego prośbę o zachowanie spokoju i umówienie mediacji na najbliższe tygodnie. Międzynarodowa kaleka, nie sojusznik. Jesteśmy sami jak palec, uświadomił sobie premier i nagle poczuł się bardzo zmęczony.

- Dziękuję panom, informujcie mnie na bieżąco - powiedział i szybko wyszedł.

Ruszył w kierunku gabinetu, w którym oczekiwali już na niego dwaj goście.

- Dziękuję panie Robercie za tak szybkie przybycie - powiedział, ściskając dłoń mężczyźnie i jego młodszemu towarzyszowi. Piotr, wpatrzony dotąd w ekran telewizora, na którym pojawiały się coraz to nowsze informacje sygnalizujące rozpad Unii, pomyślał, że zaczyna grać w niebezpieczną grę. Po co to inne nazwisko? Zaraz potem jednak głowę zaprzątneły mu nowe sprawy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł uprzejmie Krzysztof. - W czym mogę pomóc?

- Chodzi o fundusz. Kiedy możemy z tym ruszyć?

- Kwestia kilku dni. Musimy przeprowadzić konsultacje i zastanowić się, które projekty mają pójść na pierwszy ogień - rzekł po chwili.

- Czy możemy w takim razie zwołać konferencję prasową? - spytał premier. - Ludzie nie wiedzą, o co w tym chodzi. Dziennikarze zasypują nas pytaniami. - Zawiesił głos. - No i taka informacja na pewno podbudowałaby rynek.

- Jeśli mogę? - wtrącił się Piotr - Nie rekomenduję spotkania z dziennikarzami. Dziwnie by to wyglądało, gdyby poszła w świat informacja, że inwestuje u nas zagraniczny fundusz, w sytuacji gdy wszystkie rynki zamykają się na zagranicę.

- Zgadza się. - Krzysztof kiwnął głową. - Lepszy będzie suchy komunikat. Lepiej się z tym nie obnosić. Efekty działań przyniosą poprawę nastrojów i gospodarki.

- W porządku - odpowiedział premier. - Każę mojemu rzecznikowi przygotować draft informacji prasowej i przesłać go wam do wglądu. I jeszcze jedno. - Ściszył lekko głos, a może Piotrowi się tylko wydawało. - Czy wobec blokady przepływu kapitału nie ma żadnego zagrożenia dla ściągnięcia kapitału ze Stanów?

Krzysztof uśmiechnął się szeroko.

- A kto powiedział, że fundusze są zgromadzone na Zachodzie?

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł z trzymaniem kasy w Rosji? - spytał Piotr, gdy wychodzili z budynku.

- A co pokazuje obecna sytuacja? To byt dobry krok.

- Mój współlokator jest policjantem. Często mi opowiadał różne historie o rosyjskich strukturach bankowych. Jeśli ktoś coś piśnie na temat pochodzenia tej gotówki, to przypadnie jak kamień w wodę...

Krzysztof uśmiechnął się i poklepał Piotra po ramieniu.

- Cieszy mnie twoja ostrożność. Ale mam dobre zabezpieczenia. - Przyśpieszył kroku. - Chodźmy, dużo pracy przed nami.

Informacja o rozpoczęciu działalności w Polsce Cos- tel Rossell Funds, który zamierza zainwestować „znaczące sumy” w różne obszary gospodarcze, była na tyle

lakoniczna, że doczekała się zaledwie kilku wzmianek w dziennikach. Spośród agencji informacyjnych jedynie PAP ją opublikowała w całości, zobligowana do tego umową z rządem o codziennym serwisie informacyjnym. Słowo „fundusz” zostało jednak zindeksowane w zagranicznych wyszukiwarkach, w tym w rosyjskim systemie OAF. Wiera Kierienko wyjęła wydruk i przeczytała. Znała kiedyś język polski, tak więc teraz, po tylu latach, nie potrzebowała tłumaczenia. Miłe, pomyślała. Może i kiedyś do Rosji przyjdą tak duże pieniądze?

Sytuacja przedstawiała się dla niego gorzej niż fatalnie. Idzikowski miał do wyboru dwie drogi: strzelić sobie w głowę lub skoczyć z mostu do Wisły. Właściwie to nawet preferował pierwsze rozwiązanie - mniejsze prawdopodobieństwo, że człowiek przeżyje i zostanie kaleką lub rośliną.

Uuuuuuch, zatkał uszy. Głowa mu pękała od nadmiaru myśli. Choć poprzedniej nocy nie zmrużył oka, czuł w sobie taki przyływ adrenaliny jak po zastrzyku dla sportowców. Siedział w swoim gabinecie już dobrych kilka godzin, całkowicie stracił rachubę czasu, na przemian spacerował i siadał za biurkiem. Jak mógł do tego dopuścić? Przecież wszystko było zaplanowane! Zaangażował swoich najlepszych ludzi, którzy przygotowali wszystkie papiery w najdrobniejszych szczegółach. Czekali tylko na podpisy. I wtedy co?! Okazało się, że nic z tego nie wyjdzie. Cała ta praca i pieniądze wyrzucone w błoto tylko po to, żeby któregoś popołudnia usłyszeć: „Sorry. Nie w najbliższym czasie”.

Początkowo nie brał poważnie doniesień mediów na temat blokad przepływu kapitału pomiędzy krajami Unii. Inaczej: rozumiał, ale nie podejrzewał, jak bardzo polityka storpeduje jego plany i podetnie nogi biznesowi. Dlaczego? DLACZEGO?!

Dlatego, że zablokowali przepływ międzynarodowego kapitału.

Oszukuję sam siebie, pomyślał po chwili. Kancelaria ciągnęła ostatkiem sił, w przyszłym miesiącu pewnie zabraknie mu kasy na wypłatę pensji. Czas zwijać manatki, przyznał gorzko. Ale nie to było najgorsze: nawet jeśli uda mu się wyrwać firmę z objęć bankructwa i wyprowadzić na prostą, zaraz wyjdzie sprawa przenosin spółek na zagraniczne giełdy oraz sprawa kancelarii, która je obsługiwała. O ile wcześniej uważał to za niezłą reklamę, o tyle teraz oznaczało to dla niego katastrofę. Któryś z tych zahukanych Lolków - chcąc mieć więcej cytatów w prasie lub bezczelnie podlizując się pismakom - palnie wreszcie, że to Idzikowski dla nich pracował. Co więcej - że to Idzikowski wpadł na ten pomysł. Bo o ile jemu nie wolno było rozmawiać o klientach, o tyle klienci mieli wolną rękę w „rekomendacji” swoich kancelarii i prawników. A gdy napisze o sprawie jakiś gryzipiórek, podniesie się wrzawa, że w obliczu załamania gospodarczego, on - Idzikowski - ON! wyprowadza spółki na konkurencyjne rynki. Nie dość, że bankrut, to jeszcze zdrajca. Bardziej „bosko” już być nie mogło.

Gdyby chociaż wcześniej dostał jakiś znak! Straty byłyby mniejsze! Gdyby na przykład KNF nie była taka otwarta na...

Nagle przez głowę przemknęła mu jak błyskawica pewna myśl, ale odrzucił ją szybko. Nie, to się nie uda. Nie uda? Oczywiście, że się uda! Z tego, co pamiętał, Dostański siedzi gdzieś za granicą i „dyplomatuje”, więc może...?

Nie! Tak nie można! Facet jest niewinny... Tak? To dlaczego nie zaprotestował? To ty miałeś wątpliwości, pamiętasz? On żadnych. Zgodził się od razu.

Usiadł. Wstał. Ale jeśli okaże się, że KNF, czytaj: urząd podlegający rządowi i państwu, był zamieszany w działania, które mogły pogrozić krajową gospodarkę w zapaści, to prawdopodobnie wyciszą sprawę. Czyż nie tak się robi wszędzie na świecie? Dostański wyleci po cichu i całej sprawie ukręci się łeb.

Tak, tyle że to nie będzie etyczne... Etyczne? Od kiedy biznes jest etyczny? Etyka ma tyle wspólnego z biznesem co zakonnica z pornografią: wie, że coś takiego istnieje. Teoretycznie.

Godzinę później zaczął zbierać się na dopiero co umówione spotkanie. Twarz miał pochmurną, mięśnie napięte, ale zmieniło się jego spojrzenie. Bezsilność i wściekłość zastąpiła determinacja.

- Więc i Dostański jest w to zamieszany? - spytał Lipiński.

- Nie mówię, że jestem święty - odparł Idzikowski. - I jeśli będzie trzeba, oddam się do dyspozycji prokuratury.

- Ale nie sam?

- To nie tak, Irek. Po prostu nie pozwolę zrobić z siebie kozła ofiarnego. Jeśli opinia publiczna ma poznać prawdziwą historię, to chcę rzucić nieco światła na ogólny zarys sytuacji, który chyba znasz, prawda?

Nerwowość ustąpiła miejsca zdecydowaniu i opanowaniu, wyćwiczonym do perfekcji przy wielokrotnym prowadzeniu rozpraw sądowych.

- A co na to te wszystkie spółki, które planowały wy- miksować się z naszego rynku?

- Z tego, co zauważyłem, powoli sami je już eliminujecie. Karasowicz ładnie od ciebie oberwał. - Idzikowski po raz pierwszy pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Eee tam. - Lipiński machnął ręką, choć z dumą przyjął pochlebstwo. To prawda, dowalił skurwysynowi. A że przy okazji próbował wyrównać rachunki za Ankę, to już inna sprawa. Choć nie miał żadnych dowodów, wiedział, że facet coś kręcił. I miał rację! Wystarczyło przyprzeć Karasowicza do muru i od razu zaczął śpiewać o manipulacjach na GPW. - Drobiazgi. Wiesz, że mi chodzi o dużą skalę.

- Firmy potrzebują kasy. Sam widzisz, co się dzieje na rynku. Zanim zaczęła się ta

zawierucha w Europie, istniała szansa, że zdobędą ją na rynkach zagranicznych. Szczerze mówiąc, braliśmy pod uwagę przede wszystkim giełdę wiedeńską. Ale do czego zmierzam... - Prawnik zdał sobie sprawę, że powiedział trochę za dużo. - Gdzie firmy zainwestowałyby te pieniądze? Tam, gdzie mają siedzibę, fabryki, gdzie zatrudniają ludzi. Żadna z tych spółek, Irku, nie wybierała się na eksmisję. Każda chciała tylko ściągnąć kapitał.

Redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” się zamyślił. To, co mówił Idzikowski, miało ręce i nogi. Sytuacja na warszawskiej giełdzie rzeczywiście była kiepska, dzienne obroty ledwo wyrabiały niegdyś godzinną normę. Poza tym Dostański rzeczywiście nie był wzorem urzędnika. Już od lat mówiono o jego szemranych interesach i różnorodnych powiązaniach. Ale nigdy nie natrafiono na żaden twardy dowód, ślad czy nazwisko. Podejrzewano nawet, że niektóre frakcje polityczne specjalnie rozpowszechniają plotki, żeby go zdyskredytować. On sam nigdy się do nich nie odniósł, ale też nigdy nie był bohaterem żadnej głośnej afery ani skandalu.

Z drugiej strony oczywiste było, że Idzikowski za wszelką cenę próbuje ochronić własny tyłek. Cóż, po publikacji wszystko będzie w rękach policji, ale jako dziennikarz miał przywilej wydawania opinii. Tak, potraktuje go delikatnie. W końcu był jego informatorem. Kurczę, szkoda, że to wszystko omija Ankę. To byt przecież jej temat.

Nagle drgnął, jakby coś sobie przypomniał.

- W porządku - rzekł po chwili. - Przyjrzę się sprawie i zobaczę, co da się zrobić.

- Dziękuję - odpowiedział prawnik, wstając z krzesła i zbierając swoje rzeczy. - Jakby co, wiesz, jak mnie znaleźć.

- Jasne. Dzięki. Trzymaj się.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za gościem, redaktor wstał i ruszył w kierunku szafy. Osobiste rzeczy rannego odbiera po wypadku rodzina. Z racji jej braku trafiły one w ręce Lipińskiego, który na czas niedyspozycji swojej dziennikarki zajął się również jej synem. Miał duży dom i tylko jedną córkę. Dzieciaki, właściwie już młodzież, znały się, więc jego Viola z honorami przyjęła młodszego „kuzyna”. I dobrze.

Stan Kałasznikowej był co prawda lepszy i przeniesiono ją z OIOM-u, ale wciąż była utrzymywana w śpiączce farmakologicznej. Lekarze mówili o planowanym wybudzaniu za dzień lub dwa. Lipiński nie miał jednak tyle czasu, a poza tym nie chciał od razu męczyć chorej kobiety sprawami zawodowymi.

Otworzył drzwi od garderoby. Na samym dnie, pod stertą brudnych koszul (dobrze, że jego żona tego nie widzi!), znalazł nieduży woreczek. Wrócił do biurka i wysypał jego zawartość na blat. Ponieważ według oficjalnej informacji torebka Anny uległa zniszczeniu podczas wypadku (lub może zdobi ramię jednej z pielęgniarek, pomyślał gorzko), ocalałych drobiazgów nie było dużo. Mały damski portfel, ulubiona szminka Chanel (może jednak ta torebka rzeczywiście została zniszczona?), notatnik, iPhone, apaszka... Wrócił wzrokiem. iPhone.

Wziął urządzenie do ręki. Lekko wyszczerbione, ale nie rozbite. Spróbował włączyć. Nie działa. A może się rozładował? Ruszył na korytarz w poszukiwaniu ładowarki i wrócił po kilkunastu sekundach. Nawet jego sekretarka nie korzystała z innego telefonu.

Podłączył kabelek do telefonu, drugi koniec do wejścia USB w laptopie i odczeka! chwilę. Ekran iPhone'a rozbliysnął, a na tapecie pojawiła się pozioma szeroka zielona kreska. Wcisnął jedyny klawisz w telefonie. Momentalnie pojawiła się roześmiana twarz Klaudiusza. Kto by pomyślał, że Anka jest taka sentymentalna? Dalej było kilkanaście ikon i napis: „Karta SIM zablokowana: OK/odblokuj”. Wcisnął okej i ruszył dalej. Jednak bez PIN-u znaczna część funkcji była zablokowana, łącznie z nagrywaniem... Zerknął na ekran laptopa. Wyświetlił się tam komunikat o nowym przenośnym dysku. Czyżby więc...? Pootwierał kolejne okienka, docierając do dyktafonu. Nie wiedział, co prawda, że dyktafon, jako darmowa aplikacja ściągnięta z internetu „na lewo”, nie podlegał blokadzie karty SIM, ale i tak czuł dumę. Z trudem radził sobie z wciskaniem poszczególnych funkcji na dotykowym wyświetlaczu, więc z radością przeszedł na tradycyjny komputer z myszką i klawiaturą. Starzeję się, co zrobić?

Jest. Ostatnie nagranie. Śmiech dziecka. Nie, to nie to. Kolejne, szum, rozmowa w klubie. I na koniec kilka słów Anny na temat rozmówców. Jak dobrze, że była pilną studentką.

Po kilku minutach rozparł się wygodnie w fotelu. Jak dobrze czuć się mądrzejszym od innych. Znalazł to... znaleźli. Dopisze Annę do artykułu, należy się jej. I kupi jej nowego iPhone'a. Może sobie też? Polubił to urządzenie.

Komisja Nadzoru Finansowego nadzoruje przejście spółek z Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie na giełdy zagraniczne.

Dziennikarze „Rzeczpospolitej” zebrali informacje i dowody, zgodnie z którymi Waldemar Dostański, pełniący funkcję przewodniczącego KNF, wiedział o planowanych przejściach spółek wchodzących w skład indeksu WIG20 warszawskiej GPW na rynki zagraniczne, w szczególności Wiener Boerse.

Lipiński odłożył pióro i rozmasował dłonie. Był zadowolony, że nie wyszedł z wprawy w pisanie, choć jego palce odzwyczyaiły się od długopisu.

Fakty wskazują jednoznacznie, że przewodniczący KNF był nie tylko poinformowany o całej sprawie, ale również popierał ten proces. Zebrany materiał dowodowy zawiera nagrane wypowiedzi Dostańskiego, który jednoznacznie pozytywnie wyraża się o całym pomysle.

Przypomnijmy, że francuski dziennik „Le Figaro” ujawnił, iż polskie spółki są prawdopodobnie współodpowiedzialne za manipulacje na GPW. Prezes GPW, Jerzy Maciejewski, nazwał wtedy całą inicjatywę „piątą kolumną” GPW Ponieważ ucieczka

blue-chipów z warszawskiego parkietu groziła całkowitym załamaniem się obrotów, a w konsekwencji marazmem gospodarczym...

Redaktor naczelny popatrzył z ukosa na tekst. Chyba za ostro? No i gdzie obrona oskarżonego? W tym szkopuł - Dostański przebywał za granicą, i szczerze mówiąc, nikt w KNF nie był w stanie powiedzieć mu gdzie. Komórki też nie odbierał. Może ktoś doniósł mu o „przecieku”?

Bez znaczenia. Trzeba to napisać.

Z przewodniczącym KNF nie udało się nam skontaktować. Wedle informacji uzyskanych w kancelarii KNF przebywa on za granicą w „ważnych sprawach urzędowych”.

I tytuł: *Rządy władzy KNF*

Odłożył długopis i wziął się do przepisywania materiału na komputer. Zawsze tak robił, gdy chciał napisać przemyślany artykuł. Nauczył go tego znajomy pisarz, który mówił, że aby tekst był spójny, gładki i dobry, musi być nie tylko przepisany co najmniej dwa razy, ale także redagowany różną techniką: najlepiej najpierw ołówkiem na brudno, a później na komputerze na czysto. No, chyba że ma się sekretarkę, to można dwa razy na brudno...

Skończywszy, popatrzył na swoje dzieło. Epitafium czy raczej akt oskarżenia? Dowody były bezsporne, wiedział, że żaden z jego dziennikarzy - a już na pewno nie Anna Kałasznikowa - nie posunąłby się do sfalszowania nagrań czy innych dowodów rzeczowych. A jednak czuł się niepewnie. Oto miał władzę, by kilkoma zdaniem zniszczyć człowieka lub tego zaniechać. Bo czy można mówić o realnej obronie w takiej sytuacji? Nawet jeśli się okaże, że facet był niewinny, to w społeczeństwie i tak pozostanie, że był malwersantem i spekulantem. Pamięć opinii publicznej, choć jest chłonna jak gąbka i elastyczna jak gumka w majtkach, nie ma dna. Ktoś zawsze będzie pamiętał, ktoś zawsze wypomni. Jego rozterki pogłębiał fakt, że zajmował się sprawą nie bezpośrednio, ale dostał ją w schedzie. Czy miał prawo pisać na temat, w którym nie grzebie od początku? Może czegoś nie wiedział?

Z drugiej strony, czy mógł tego nie zrobić? Jego redaktorka leży w szpitalu z powodu wypadku, do którego doprowadził szalenciec ścigany obecnie przez policję. I jest bardziej niż pewne, że zleciodawcą był ktoś inny. Lipiński zbyt długo siedział w branży, żeby wiedzieć, że takie „przypadki” się nie zdarzają. Naczelną zasadą dziennikarza jest informować. Nie wysłał tych wiadomości z palca, po prostu zwykły zbieg okoliczności sprawił, że trafiły do niego takie, a nie inne dane... Ale czy na pewno był to tylko zwykły zbieg okoliczności? Dobre sobie.

Kilka razy w karierze zawodowej zdarzyły mu się sytuacje, kiedy to najwyższe władze państwowe prosiły o wstrzymanie się z publikacją ze względu na bezpieczeństwo narodowe. Rozumiał to i zgadzał się. Ale czy tym razem ktoś do niego dzwonił? Czy premier poprosił o spotkanie? Wtedy było inaczej. Za pierwszym razem

wyjaśnienia, które otrzymał, tak nim wstrząsnęły, że posłusznie odpuścił temat. Jednak jako dziennikarz zarabiał na życie informacją. Kolejnym razem postawił warunki, które choć nie były łatwe do przyjęcia, zostały zaaprobowane przez władze. Publikował artykuły o aferach, przeciekach i knowaniach. Opinia publiczna poznawała coraz więcej mrocznych stron polskiej sceny politycznej. Musiała. Taką miał misję.

A swoją drogą ciekawe, jak załatwili sprawę z Michnikiem i „grupą trzymającą władzę”...?

Opinia publiczna ma prawo znać prawdę. A jego obowiązkiem jest przedstawić ją jak najbardziej obiektywnie. Wybrał „send” i wyszedł z gabinetu w kierunku działu graficznego.

Zwykle podstawowe wersje składu na kolejny dzień są zamykane o siedemnastej, inaczej dziennikarze nigdy nie zakończyliby pracy. Doświadczeni reporterzy wiedzieli jednak, że z bombą mogą wkroczyć do redakcji i o dwudziestej. A naczelny miał ten przywilej, że mógł wprowadzić zmiany nawet przed północą.

Dyżur w dziale graficznym pełnił młody chłopak, którego twarz Lipiński przypomniał sobie dopiero po chwili. Zatrudniony miesiąc temu, świeży absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, ale chętny do pracy i pomocny. Nie narzekał na nocne zmiany ani brak własnego kubka do kawy. Ideał pracownika.

- Dostałeś? - Naczelny przysunął sobie krzesło i usadowił się obok chłopaka.

- Taak. Wprowadzam zmiany. Jeszcze chwilę... - Chłopak nawet nie drgnął, całkowicie skupiony na tym, co robił. W jednym uchu miał słuchawkę do iPod'a, druga zwisała mu na kabelku. W maleńkich głośniczkach brzmiała jakaś rąbanka.

Lipiński chciał rzucić jakimś żartem, żeby nie wyjść na starego zgreda, ale już po chwili wpatrywał się w ekran komputera, na którym pojawiła się pierwsza strona „Rzeczpospolitej”. Zawsze był zdania, że gazeta w tradycyjnym formacie broadsheet 370 na 546 milimetrów wygląda poważniej niż tabloid. Artykuł zajmował dwie szpalty, tytuł może trochę pretensjonalny, ale prezentował się zgrabnie.

- Wydrukuj mi to - polecił.

W tekście znalazł dwie literówki, a ponadto w dwóch miejscach polecił przestawić szyk w zdaniu. Ponieważ całą makietę oglądał już wcześniej, zdecydował o zamknięciu numeru. Mógł zbierać się do domu.

Mimo iż skład gazety odbywał się w obecnych czasach w całości na komputerze, gdzie grafik tworzył makiety i przygotowywał cyfrowy plik dla drukarni - w druku stosowano nadal tradycyjną metodę offsetową. Wynikało to zarówno ze stosunkowo niskich kosztów wydruku dużej liczby egzemplarzy, lepszej jego jakości, jak i większej

możliwości produkcji wydruków wielkoformatowych. W druku offsetowym wykorzystuje się wzajemne odpychanie elementów drukujących, czyli tłustej farby, oraz elementów niedrukujących - wody. Do wykonania wydruku niezbędne jest przygotowanie matrycy. Zwykle jest ona wykonana z cienkiej zmatowionej blachy aluminiowej, pokrytej emulsją światłoczułą.

W oczekiwaniu na druk olbrzymie zwoje papieru są przechowywane w hali produkcyjnej, gdzie panuje stała temperatura dwudziestu stopni Celsjusza, a wilgotność sięga pięćdziesięciu pięciu procent. Stamtąd są transportowane przez zautomatyzowane i sterowane radiem wózki widłowe na olbrzymie szyny maszyn drukarskich. Energię wytwarzaną podczas zadruku można porównać z energią wywołującą wiatr o sile siedmiu stopni w skali Beauforta.

Drukarnia „Rzeczpospolitej” dysponowała maszyną Geoman o wydajności do siedemdziesięciu tysięcy egzemplarzy na godzinę, co oznaczało, że aby wdrukować cały dzienny nakład gazety sięgający blisko dwustu tysięcy egzemplarzy, potrzeba było około trzech godzin. Druk zaczynał się zazwyczaj około północy, tak, aby o czwartej rano ciężarówki mogły odebrać gazety i rozwieźć je do kolporterów oraz punktów dystrybucji.

Grafik sprawdził jeszcze raz całą makietę, a w końcu wysłał sygnał do drukarni. Dochodziła dwudziesta trzecia, czas zbierać się do domu. Był piątek. Zawsze wtedy myślał, że oto rozpoczął proces, który zmieni losy tej gazety.

Waldemar Dostański postawił kołnierz płaszcza i ruszył żwawo ulicą Lenina. Miał wrażenie, że w Moskwie zawsze panuje pogoda mająca strącić człowieka w otchłań beznadziei: padający deszcz zamieniał ulice w jeziora, a chodniki w rynsztoki. Zimowe śnieżyce całkowicie paraliżowały życie miasta, ograniczając potrzeby jego mieszkańców do zakupów w sklepie monopolowym. Latem palące słońce i stojące powietrze czyniły z codziennego znoju nieznośną, cuchnącą udrękę. Choć ZSRR przestał istnieć, człowiek w zderzeniu z jego epicentrum przegrywał na każdym kroku.

Z lotniska Szeremietiewo, oddalonego od centrum Moskwy o zaledwie trzydzieści kilometrów, jechał ponad dwie godziny. Nic to, miał spory zapas czasu. Tylko kto lubi stać w korkach? Zatrzymał się w marnym hoteliku, płacąc wyłącznie gotówką, a konkretnie dolarami. Nie znał Rosjanina, który gardziłby twardą walutą. O wpół do szóstej wyszedł, by na piechotę dojść na miejsce spotkania.

Nawiązanie kontaktu z pozostałością po OAF nie było wcale takie trudne. Słusznie założył, że skoro nie zlikwidowano całkowicie tej jednostki, to również nie zamknięto systemów ani skrzynek kontaktowych. Kto by się zajmował takimi duperelami, kiedy świat się walił?

Będąc jeszcze w Warszawie, odgrzebał stare notatki i ruszył na Dworzec Centralny.

I nie chodziło tylko o znalezienie jakiejś budki telefonicznej, które niegdyś rozsiane po całym mieście, obecnie były trudne do zlokalizowania jak amerykańskie bazy wojskowe na mapach Google. Skorzystanie z łącza telefonicznego na Dworcu Centralnym zmniejszało szansę wykrycia nadawcy - o ile ktoś podjąłby się tego trudu. Tym bardziej, że kręciło się tam tyłu przybyszów zza wschodniej granicy, iż rozmowa międzynarodowa do Moskwy nie powinna wzbudzić niczyich podejrzeń. Zresztą nawet szkolenie, jakie ostatnio mieli w KNF z zakresu infiltracji ze strony rosyjskich służb, nie brało pod uwagę możliwości takiego kontaktu.

Ku własnemu zaskoczeniu dodzwonił się w ciągu paru minut. Kilka starych banalnych zwrotów przeczytanych z notatnika i już pędził po bilet lotniczy do Moskwy. Na szczęście był weekend, więc jego nieobecność pozostanie przez jakiś czas niezauważona.

I teraz stał tu, w samym środku miasta, którego kiedyś nienawidził, a które teraz miało stać się jego sprzymierzeńcem. W imię zadośćuczynienia sprawie FOZZ korzysta z pomocy tajnej rosyjskiej służby, która przecież niemało przyczyniła się do całej afery. Życie bywa przewrotne.

Nacisnął kławkę i wszedł do środka ciasnej, cuchnącej, jak się okazało, knajpki. Zamówił herbatę i usiadł w rogu tak, aby móc obserwować wejście.

Zjawiała się po kwadransie, rozejrzała i machnęła do niego przyjaźnie ręką. Podniósł się i, trochę speszony, niepewnie przyjął jej uściski.

- Władimir, sto lat! - krzyknęła.

- Tak, Wiera...-Usiedli.

Dopiero teraz miał okazję przyjrzeć się jej twarzy. Postarzała się przez ostatnie dwadzieścia lat, efekt zapewne nie tylko wyczerpującej pracy w młodości, ale i stylu życia, z papierosami i alkoholem włącznie. Oczy straciły dawny blask, a upięte w nieładzie włosy pokrywały pierwsze pasma siwizny. Jak na zawołanie Wiera Kierienko wyciągnęła paczkę bielomorkanałów i zamówiła kieliszek wódki.

- To co tam słysząc w prowincji nad Wisłą? - spytała, wychylając jedną trzecią kieliszka. Boże, pomyśleć, że kiedyś szalał za tą kobietą! To przecież dzięki niej - a może nawet dla niej - dał się wciągnąć w działalność OAF w Polsce i delikatnie ją wspierać w czasach PRL i już po transformacji. Mocno zakonspirowany szpieg? Raczej zakochany bałwan. I przy okazji podwójny agent. Ale udało mu się zdobyć kilka znaczących informacji: ot, chociażby tę, że to Wiera jest agentem prowadzącym prezesa Universalu. Raz wciągnięty w machinę wywiadu, nie mógł się z niej wycofać, co najwyżej mógł minimalizować liczbę przesyłanych informacji, które w ostatnich latach zmalały do zera. OAF ledwo dychało, wiedział o tym, ale też nie miał zamiaru palić za

sobą mostów. Nie wiadomo, kiedy stare znajomości mogą się przydać. Może właśnie teraz?

- Malujesz jeszcze?-spytał.

- Nie... Brak mi natchnienia. - Westchnęła. - Kiedyś mogłam w ten sposób odpocząć, ale teraz nie ma po czym. - Popatrzyła smutno w kieliszek. - Wiele się tu zmieniło.

- Może niedługo znów zaczniesz - rzekł po chwili cicho.

- Co ty, Władi? - Oczy Wiery zabłyśły.

- Masz jeszcze dostęp do rachunków banków rosyjskich?

- Zablokowany... ale do obejścia - odpowiedziała szybko. Doświadczony agent może co najwyżej uśpić swoje reakcje i zdolności, ale na pewno ich nie zapomina. Zwłaszcza gdy jego życie znów może nabrać barw.

- Dobrze. Będiesz mogła wprowadzić mnie do biura? - Dopiero po chwili dotarło do niego, że nieproszony chce wejść do Łubianki. Boże, pomyślał, istne wariactwo.

- Mam lepszy pomysł. - Uśmiechnęła się. - Zapraszam do mnie.

Nie zamówili nic do jedzenia. Właściciel knajpy i tak miał zamiar zamknąć interes, więc nawet było mu to na rękę. Mniej gotowania, niższe rachunki za prąd.

Mieszkanie Wiery było małe, skromne, ale czyste. I miało tylko jednego lokatora, co Dostański, choć zdziwiony, przyjął z ulgą. Kobieta odgarnęła szpargały ze stołu i postawiła na nim laptop HP Pavilion dv7.

- Może nie szczyt techniki, ale na nic więcej na razie mnie nie stać - rzekła. Widać było jednak, że pęka z dumy, iż wreszcie może się pochwalić przed kimś tak nowoczesnym sprzętem. I nowym, dodał w myślach Dostański, patrząc na błyszcząca klawiaturę i folię ochronną pokrywającą ekran.

Wiera uruchomiła laptop i wzięła się do przygotowywania herbaty. Po chwili zasiadła wygodnie na krześle, otworzyła przeglądarkę i wpisała stronę startową OAF.

- Wiesz, za naszej młodości wystarczało, że znałam się na finansach - zaczęła, nie przerywając stukania w klawiaturę. - Teraz, aby coś zrobić w tej dziedzinie, muszę być również geniuszem matematycznym i specjalistą komputerowym. Bez zaawansowanej wiedzy technologicznej nie masz szans na przebicie.

Dostański miał już zapytać, jak się tego wszystkiego nauczyła, ale zamilkł, widząc okazałą biblioteczkę pełną książek. Stara szkoła.

- No dobrze... - powiedziała po chwili. - Jestem w centralnym systemie bankowym. Czego szukamy?

Dostański podszedł do niej i wstukał na klawiaturze długi, wyuczony na pamięć, układ cyfr. Na ekranie pojawiło się kilkanaście rachunków, z których najmniejszy zawierał kilka milionów dolarów, a na największym trudno było zliczyć zera.

- Co to jest...?! - Wiera nie mogła oderwać oczu od ekranu.

- Pieniądze. - Dostański uśmiechnął się szeroko. - A jeśli dobrze pogłówkujemy, to będą mogły być również nasze.

Wiera odwróciła się do niego. Patrzyła teraz tak, jak patrzyła ostatnim razem, gdy się widzieli. Kocie oczy przenikały go na wylot. Tak, w tej kobiecie się zakochał. Ale zaraz potem przeszedł go dreszcz. Wiera go rozumiała, tłumaczył się sprawami zawodowymi, a ona zawsze stawiała pracę ponad wszystko. Tylko że on, Waldemar Dostański, w gruncie rzeczy nie wybierał pomiędzy pracą a kobietą, ale między kobietą a przyjacielem. Wtedy razem z nim, tym parszywym zdrajcą, planowali, jak przywrócić kraj do życia. Tak, pomysł był prosty. Wyjechać, ukryć pieniądze, wrócić po kilku miesiącach, może roku, i napędzić gospodarkę. To nie byłby dobry czas na amory.

- Nielegalne? - dopytywała się Wiera, przenosząc wzrok na ekran. Nawet na niej, niegdyś wytrawnym szpiegu finansowym, kwota robiła ogromne wrażenie.

- Nie... - Urwał. Zaczął chodzić po pokoju. Jak mógł przewidzieć, że kilka miesięcy wydłuży się do tylu lat? Został sam. Sam musiał zмагаć się z codziennym szarym życiem na rynku, który ledwo dyszał, wśród ludzi, którym nie ufał. I teraz, gdy był już u szczytu swojej kariery, gdy Polska zaczynała sobie dobrze radzić, pojawił się on. Ja i tak jestem stracony, pomyślał gorzko. - Pamiętasz sprawę polskiego Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego?

- Tak. W Rosji też chcieliśmy to zrobić, ale nie mieliśmy już kasy.

- No właśnie. - Zawahał się. - A gdybym ci powiedział, że...

Tak musi być. Nie pozwoli Kaweckiemu być bohaterem i zbawcą. Po pierwsze, bo zdradził. Żył przez lata jak król za państwowe pieniądze, nie interesując się ani losem przyjaciół, którzy go wspierali, ani małoletniej córki, którą Dostański traktował jak pasierbicę, ani żony, która w końcu popełniła samobójstwo. Po drugie, kraj musi się w końcu dowiedzieć, że to Krzysztof jest odpowiedzialny za manipulacje i spadki na warszawskiej giełdzie.

Premier Riks przeczesał włosy i opłukał twarz zimną wodą.

Chociaż był poniedziałek i dochodziła dopiero dziewiąta rano, czuł, że twarz ma opuchniętą, a oczy zaczerwienione. Co więcej, odbicie w lustrze nie rozwiąło jego przypuszczeń. Wyglądał na zmęczonego i niewyspanego, na co mąż stanu, a tym bardziej premier, nie mógł sobie pozwolić. Tym bardziej, że zaraz miał występ przed kamerami. Jeszcze kilka razy lekko ochlapał twarz zimną wodą, a kiedy stwierdził, że nawet Margaret Astor nie pomogłaby bardziej, ruszył do wyjścia.

Przy drzwiach stali zajęci rozmową Abrończyk i Maciejewski, jak straż przyboczna, umożliwiająca premierowi odlanie się w spokoju. Wyglądali jak dwaj pomagierzy. Gdyby Dostański był taki jak oni... Właściwie to gdzie on był, do cholery?

- Idziemy - rzucił premier i ruszył przodem. Zaraz po tym, jak objął rządy, kazał

wydzielić osobny korytarz prowadzący do sali konferencyjnej w kancelarii. Kiedy człowiek ma coś ważnego do powiedzenia, to musi się skupić. - Jaka sytuacja w kasie? - spytał po chwili szefa resortu finansów.

- Unia przykręca kurek. Część dotacji już teraz zostało zamrożonych, nie wiadomo, co z innymi, bo sytuacja... - Abrończykowi albo zabrakło słów, albo prognoz, bo zakończył na wdechu.

Fundusze europejskie, o które tak zażarcie walczyły poprzednie rządy, były wstrzymywane. Fakt, nie tylko dla Polski, ale brak kasy oznacza mniej inwestycji. Krajowych inwestycji, poprawił się Riks. A biorąc pod uwagę, że również zagraniczni inwestorzy nagle wzięli na wstrzymanie, sytuacja zaczynała przedstawiać się nieciekawie.

- A u ciebie, Jurku?

- Radzę sobie - odrzekł prezes GPW bez przekonania. - Rozmawiałem z kilkoma osobami. - Zawahał się na moment. - Boją się. Boją się, Antoni, przyszłości. Kilkanaście firm boryka się z problemem zamknięcia zakładów. Wiesz, część robotników, oburzonych na całą sytuację, wypowiedziała umowę o pracę. Teraz może i chcieliby wrócić, ale nikt nie chce ich zatrudnić. Wszyscy czekają na to, co się stanie.

No tak, pomyślał premier. Kolejna masa Bezmyślnych Uniesionych zasilila szeregi i tak rosnącego, już ponad- dwunastoprocentowego bezrobocia. Nacisnął klamkę.

Sala, choć nieduża, pękała w szwach. Rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że dziennikarzy jest ponad trzydziestu, albo i więcej. Przez ułamek sekundy pomyślał jeszcze o przepisach przeciwpożarowych, ale zaraz potem oślepiły go błyski fleszy. Wszedł na podest, poprawił mikrofon i położył tekst wypowiedzi na blacie mównicy.

- Szanowni państwo, dziękuję za przybycie. - Starał się mówić wolno i spokojnie. Zgromadzeni ludzie byli jak bomba zegarowa, która wybuchnie wraz z wypowiedzeniem przez niego ostatniego zdania. Tak, dobra motywacja, żeby nie przyśpieszać. - W związku z dzisiejszą publikacją w dzienniku „Rzeczpospolita” na temat domniemyanych związków Przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego Waldemara Dostańskiego - go z procesem przeniesienia spółek z Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie na inne zagraniczne giełdy oświadczam, że do czasu rozpatrzenia i zakończenia sprawy przez prokuraturę pan Dostański zostaje zawieszony w swoich obowiązkach...

Pytania i krzyki wybuchły wcześniej, niż się spodziewał. Pierwszy rękę podniósł dziennikarz z TVN. Cóż poradzić? Wskazał ręką na pytającego.

- Panie premierze, czy to oznacza, że prokuratura rozpoczęła dochodzenie przeciwko przewodniczącemu Komisji Nadzoru Finansowego?

- Celem działania prokuratury będzie wyjaśnienie wszystkich okoliczności tej

sprawy. Równolegle będą toczyły się czynności mające na celu ustalenie, czy przewodniczący jako urzędnik państwowy nie przekroczył swoich uprawnień bądź nie dopuścił się zdrady stanu.

Znów wybuch.

- Proszę. - Premier wskazał na kobietę z mikrofonem Radia PIN.

- Panie premierze, czy przesłuchani zostaną również szefowie spółek, które zamierzały wy-e-mi-gro-wać?

Ładnie zaakcentowane, nie ma co.

- To zależy od sądu i organów ścigania. W kompetencji prokuratury jest dobór świadków i na tym poprzestańmy. Proszę. - Wskazał kolejną osobę.

- Czy planuje pan inne dymisje w związku z tą aferą?

- Nie nazywałbym tego aferą. - Premier się skrzywił. - Poza tym nie natrafiłem na żadne nieprawidłowości w pracy szefów innych resortów ani urzędów państwowych, więc dlaczego miałbym kogokolwiek odwoływać?

- Panie premierze, co z funduszem, o którym ostatnio zostaliśmy poinformowani? - padło pytanie z końca sali. - Czy to potwierdzone informacje?

- Oczywiście, że tak. Fundusz Costel Rossell Funds rozpoczął u nas działalność i planuje potężne inwestycje. W chwili obecnej przygotowuje plany operacyjne...

- To dlaczego cała sprawa jest owiana taką tajemnicą?

- Kto jest szefem funduszu?

- Czy to nie zaszkodzi naszym kontaktom z Europą?

- Czy rozpad Unii Europejskiej jest już faktem? Co z funduszami unijnymi?

- Czy możemy czuć się bezpieczni w obecnej sytuacji politycznej?

Premier Riks co chwilę brał głęboki oddech, starając się zachować spokój. Jednakże kostki zbiegły mu od ściskania krawędzi mównicy. Ale dziękował Bogu, że kazał ją tu postawić. W trudnych sytuacjach oparcie się na czymś stabilnym jest niezwykle ważne.

Początkowo nie mógł uwierzyć w pierwsze doniesienia, o których usłyszał z RMF FM. Jak to, przewodniczący KNF zamieszany w przejście spółek z GPW na inne giełdy? Tak, sam proces byłby bardzo szkodliwy dla gospodarki, nawet w obliczu inwestycji, jakie planowali... Ale żeby tak od razu zdrada stanu? Zdał sobie sprawę, że to, co widzi, to kamienowanie człowieka w trybie zaocznym. Czy nikt tego nie dostrzega? Spojrzał na Joannę. Odkąd pojawiła się w domu Krzysztofa, zamienili raptem kilka słów. Siedziała zamknięta na górze sama lub z Krzysztofem. Szkoda, na początku wydawała mu się bardziej towarzyska. Teraz siedziała wpatrzona w telewizor, oglądając konferencję premiera. Na twarzy malowała się jej bardziej analityczna ciekawość niż zdziwienie. Jediną pogodną osobą wydawał się Krzysztof.

- Nie martwi cię to, co widzisz? - Piotr przyjrzał mu się uważnie.

- Oczywiście, że martwi. - Czy Krzysztofa nie wyrażały żadnych emocji. - Martwi mnie, że są u władzy ludzie nikczemni. Dlatego - wskazał palcem na telewizor - odchodzą w taki, a nie inny sposób. Chcecie kawy?

Joanna pokiwała głową, więc Krzysztof wstał i ruszył w kierunku kuchni.

Piotr popatrzył za nim, a potem z powrotem na ekran. W głowie kłębiło mu się pytanie, na ile słowa Krzysztofa były informacją, a na ile prorocstwem.

Karol Lewiński patrzył zdumiony na ekran telewizora. Boże, pomyślał, szef KNF działający na niekorzyść giełdy! Pokręcił głową. Świat się kończy. Z jednej strony jakiś Costel Rossell Funds, który wchodzi i chce zainwestować u nas miliony, z drugiej cały system nadzoru rozłożony na łopatki jak dziewica w noc poślubną.

Naraz jednak uderzyła go inna myśl. A jeśli u Dostańskiego to nie wszystko? Jeśli facet siedział po uszy w jeszcze większym bagnie? Boże, cały system może runąć!

Ale właściwie to nie moja sprawa. Od tego jest prokuratura i w ogóle... Zastanowił się. W sumie i tak nie miał zbyt wiele do roboty.

Poruszył myszką, by uaktywnić ekran komputera. Może coś jeszcze znajdzie?

Redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” miał od rana urwanie głowy. Triumf, nie triumf - trzeba zrobić kolegium, rozdzielić pracę, klepnąć tematy, przejrzeć makietę. A w dodatku przygotować materiały dla prokuratury i odbyć wiele spotkań, które w tym wypadku zajęły mu prawie całe przedpołudnie. Już o ósmej widział się z premierem, który uprzejmie, ale bardzo stanowczo zażądał przedstawienia mu wszystkich okoliczności sprawy, o których Lipiński wiedział. Następnie rozmowa z Abrończykiem, Maciejewskim i kilkoma PR-owcami z Kancelarii. Do redakcji dotarł dopiero w porze lunchu i jeden rzut oka wystarczył, żeby powiedzenie „pańskie oko konia tuczy” nabrało realnego sensu. W takich momentach zastanawiał się, czy praca dziennikarza w latach, gdy faks był najnowocześniejszym środkiem przekazu, nie przebiegała aby szybciej i prościej.

Próbował właśnie otworzyć swoją skrzynkę e-mailową, która po raz raz kolejny w tym tygodniu całkowicie mu się zapchała, gdy do pokoju zajrzała sekretarka.

- Panie redaktorze, pan z policji do pana.

Proszę, jak wcześnie się uwinęli.

- Zaproś go.

Zdziwił się, gdy do pokoju wszedł młody mężczyzna, i to w dodatku jeden. Nic to, policja to policja.

- Proszę usiąść. - Wskazał gościowi fotel. - Coś do picia?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Dziękuję. Nazywam się Michał Smoliński - przedstawił się. - Jestem starszym szeregowym w Komendzie Stołecznej Policji. - Pokazał redaktorowi legitymację, po czym opadł na fotel. Jego czapka wylądowała na blacie biurka.

- Słucham. - Lipiński zerknął na czapkę. Cóż za brak wychowania u tego młodego pokolenia! - Co pana do mnie sprowadza?

- Jestem tu półoficjalnie.

- Półoficjalnie?

- Tak. - Policjant rozpiął kurtkę i wyjął z wewnętrznej kieszeni kopertę. Podał ją redaktorowi. W środku znajdowała się wydrukowana kopia czarno-białego zdjęcia.

- No i?

- Zbieram materiał na temat pewnej sprawy... dawnej sprawy. - Wskazał palcem na zdjęcie. - Poznaje pan?

Dopiero teraz Lipiński przyjrzał się uważniej fotografii. Pod zdjęciem widniał ledwo czytelny, ale jednak podpis autora.

- Podpis wskazuje, że pan jest autorem fotografii - ciągnął policjant. Siedział rozwalony na krześle, wyglądał bardziej na kibica piłki nożnej niż stróża prawa.

- Nadal nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną?

- Po pierwsze opublikował pan dziś artykuł, który wskazuje, że wie pan co nieco na temat jednej z osób obecnych na fotografii - powiedział Smoliński, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. - A po drugie, to zdjęcie nigdy nie zostało opublikowane.

Uśmiech zniknął, a mężczyzna poprawił się i pochylił nad biurkiem.

- Interesuje mnie to, czego miał dotyczyć tekst.

- Nie rozumiem? - obruszył się Lipiński.

- Proszę pana, jestem od pana młodszy na oko o jakieś dwadzieścia lat. Wiedzę o PRL czerpię z książek, ale trochę na ten temat wiem. - Głos gościa przestał być miły. - W 1989 roku, kiedy wykonano to zdjęcie, nie było w „Trybunie Ludu”, w której pan pracował, etatowego fotoreportera. Jeśli ktoś pisał artykuł i chciał go poprzeć zdjęciem, to musiał je wykonać sam. Lub jeśli je miał, to znaczyło, że...

- Przykro mi, ale nie pomogę panu. - Lipiński spojrział twardo na policjanta. - Fakt, może i zrobiłem to zdjęcie, choć słabo pamiętam całą sprawę. Może mi się wydawało, że to ktoś ważny, a okazało się, że nie?

- A jednak znalazło się ono w bazie gazety - drążył Smoliński.

- Nie umiem tego wytłumaczyć. Może ktoś uznał, że przyda się w przyszłości?

- Na przykład teraz?

- Na przykład.

- To jeszcze ostatnie pytanie - rzekł Smoliński po chwili. - Zna pan drugiego mężczyznę na tym zdjęciu?

- Proszę pana - odpowiedział Lipiński, wstając zza biurka i nie patrząc na zdjęcie - to, że jest tam Waldemar Dostański, wiem tylko dlatego, że mi pan powiedział. Nie

mam tak bystrego wzroku. Obawiam się, że nie pomogę panu w tej sprawie.

Policjant patrzył na niego przez chwilę. Nie powiedział mu, że na zdjęciu był Dostański. Pamięć redaktora nie była więc tak słaba, jak ten próbował mu wmówić.

- Dziękuję za poświęcony czas. - Wstał i zabrał czapkę. - Gdyby się coś panu przypomniało... - Położył na blacie wizytówkę i wyszedł.

Lipiński stał jeszcze przez chwilę, zanim doszedł do siebie. Maj 1989 roku. Aleje Jerozolimskie. Dwóch mężczyzn, z których jeden miał się okazać rozdającym karty na politycznej scenie finansowej kraju. On nie tylko zrobił wtedy zdjęcie. Także ich śledził. I dobrze wiedział, co się dzieje. Był nie tylko młodym i zdolnym dziennikarzem, ale miał nosa do wszelkich śledztw i afer. A inni wiedzieli, że on wie.

Pierwsza sprawa, na temat której miał milczeć. Sprawa, która miała zostać zakopana. Naczelny zabronił mu podejmować temat. A on wiedział, że Dostański i Kawecki coś kombinują, coś węższą w sprawie FOZZ. Udało im się?

Potem poznał Falzmanna, Lawinę, Pańkę. Dyskretnie skontaktował tego pierwszego z innym dziennikarzem, który prowadził własne śledztwo na temat defraudacji publicznych pieniędzy. A ten opublikował artykuł. Czy tym samym wykopał młodemu inspektorowi grób? Jak na zawołanie zaczęły pojawiać się trupy. Najpierw Falzmann, najbardziej zaangażowany w sprawę wyjaśniania afery FOZZ. Potem Walerian Pańko, prezes NIK. Zginął w wypadku samochodowym dwa dni przed odczytaniem raportu z kontroli FOZZ w Sejmie. Z jego sejfu zniknęły też tajne dokumenty związane z Funduszem, a świadkowie widzieli przed wypadkiem wybuch. Wkrótce potem śmierć poniósł jego cudem ocalały kierowca oraz policjanci, którzy jako pierwsi przybyli na miejsce zdarzenia. Ilu jeszcze? Lipiński nie chciał być następnym. Nie żeby się bał. Niebezpieczeństwo jest wpisane w zawód dziennikarza. Obecny redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” wiedział, że jego śmierć nikomu nie rozwiąże języka. A chęć wyjaśnienia sprawy do końca to druga najważniejsza cecha dziennikarza.

I teraz nagle zjawia się chłystek i bawi się w Bonda. Coś się więc zmieniło przez ten czas. Coś musiało pęknąć. Ale gdzie? I dlaczego?

Pamięta! publikacje „Gazety Wyborczej” z początku lat dziewięćdziesiątych na temat afery FOZZ. Ludzie związani z Falzmannem krzyczeli, że dziennikarze zostali kupieni, że zaniżają kwoty, które zdefraudowano. Tymczasem Lipiński znalazł prawdę. Pracował wtedy przez krótki czas u Michnika. Jego koledzy dokładnie zbadali dostępne rachunki i napisali wszystko zgodnie ze stanem swojej wiedzy. Pozostawało jednak pytanie o próżnię, jaka się wytworzyła w kasie FOZZ. Kto zgarnął całą resztę?

Nagle uderzyła go inna myśl. Rano opublikował artykuł. .. Czy na pewno ukarał właściwego człowieka?

ROZDZIAŁ XVII

Na wojennej ścieżce

Z każdą wojną bezpośrednio wiążą się problemy gospodarcze. Tradycyjne działania zbrojne oznaczają zazwyczaj ruinę kraju, na którego terenie są prowadzone: zniszczeniom ulegają miasta i fabryki, infrastruktura transportowa, ośrodki edukacyjne i rządowe. Współczesne „bezkrwawe” wojny biznesowe, jak wojny cenowe, również prowadzą do mocnego wyniszczenia gospodarczego. W skali masowej wojna prowadzi do obniżenia poziomu życia ludności. Jednakże wojna to także okazja do gigantycznych zarobków tych, którzy wiedzą, jak ją wykorzystać.

Na przykład Howard Hughes zarobił miliony dolarów na dostawie samolotów dla armii Stanów Zjednoczonych podczas II wojny światowej. Urabiając notabli alkoholem i oferując im młode prostytutki, Hughes potrafił wynegocjować milionowe kontrakty dla swojego imperium. Ale nie trzeba sięgać do tak odległej przeszłości.

Przez sześć miesięcy 2010 roku Wielka Brytania zarobiła dwadzieścia dwa miliony funtów szterlingów na eksporcie broni do krajów arabskich. W takim samym okresie w 2011 roku było to już ponad trzydzieści milionów funtów szterlingów. Największymi odbiorcami broni od Jej Królewskiej Mości były Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Brytyjskie uzbrojenie trafiało także do Bahrajnu, Jemenu oraz Egiptu. Służyło również tłumieniom demonstracji ludności cywilnej.

Jacques Mont wiedział bardzo dobrze o tych faktach. Zdawał sobie sprawę, że Francja boryka się z licznymi problemami związanymi z wojskowością. I to pomimo budżetu obronnego liczącego ponad sześćdziesiąt pięć miliardów dolarów, drugiego pod względem wielkości po Wielkiej Brytanii. Coraz trudniejsze stawało się ukrywanie słabego morale żołnierzy i nieudolności bojowej francuskich jednostek, których dobra reputacja, zbudowana na bazie sukcesów historycznych, coraz częściej była nadzarpywana.

Do tego dochodziły kwestie polityczne. Wbrew obiegowej opinii o stabilnym pokoju panującym w Europie, gotowość do obrony własnych granic była jednym z kluczowych czynników decydujących o znaczeniu tego państwa na arenie międzynarodowej. Terroryzm przesunął co prawda punkt ciężkości na walkę z ukrycia na polu finansowym i gospodarczym, ale to wojsko wciąż było wykładnią statusu obronnego kraju.

A z tym we Francji było krucho. Powodzenie planowanych reform w polityce obronnej nie było uzależnione od zakupu nowych śmigłowców. Z drugiej strony to Unia zapłaci pośrednio francuskim pracownikom za śmigłowce dla ich kraju.

Mont pochylił się nad dokumentem czekającym jak torcik na wisienkę. Niepokoiła go coraz bardziej sytuacja w Europie. Unia chyliła się ku upadkowi, wszelkie rozmowy i dyskusje były właściwie jałowymi wybiegami, jedynie opóźniającymi jej realny rozpad. Czyż tym bardziej nie powinien myśleć o bezpieczeństwie swojego kraju i jego mieszkańców? Ludzie oczekiwali od niego pewnych i jasnych decyzji. Pragnęli, aby Francja na powrót stała się potęgą militarną, centrum finansowym i enklawą artystyczną. Takiego kraju chciał i on.

Chwytał pióro i obrócił je w palcach. Po chwili czerwony atrament zaczął powoli wtapiać się w ciekłą warstwę papieru, pozostawiając na wierzchu ślad urzędowej sygnatury.

Informacja o zgodzie na zakup śmigłowców Tiger jeszcze tego samego dnia dotarła do siedziby Eurocoptera w Marseille Provence Airport.

Rudolf Clausen siedział w swoim gabinecie i przyglądał się wiszącej na przeciwległej ścianie mapie Unii Europejskiej. O rosnącej w nim złości świadczyła zaciśnięta pięść, z której wystawały resztki zgruchotanego ołówka.

- Jak to kupili te śmigłowce?! - wrzasnął do słuchawki. - Przecież nie było decyzji...!

- Tak donosi nasz człowiek - odpowiedział rzeczowo Leopold Sholl. - Dziś rano prezydent Mont podpisał odpowiedni papier.

- Przecież nie mają prawa! - krzyknął kanclerz. - To idzie z kasy Unii! Czyli również z naszej!

- Zdaję sobie z tego sprawę, Herr Clausen. Dlatego bezzwłocznie o tym donoszę.

Clausen milczał przez chwilę, próbując zapanować nad oddechem.

- Co jeszcze wiemy? - spytał już spokojniej.

- Planują jakieś manewry. - Minister obrony zawiesił na chwilę głos, po czym dodał: - Jest jeszcze coś. Nie podano żadnej oficjalnej informacji w tej sprawie.

- Jak to?

- Po prostu. Milczą jak kamikadze po udanej akcji. Kanclerz zamyślił się na moment. Czyżby Mont chciał

wszystko zamieść pod dywan?

- Dobrze. Informuj mnie o wszystkim.

- Oczywiście. *Auf Wiederhören.*

Kanclerz Niemiec odłożył słuchawkę. Co ten Mont kombinuje, do cholery?! Mało mu rozpadu Unii? Czego jeszcze chce? Wojny?

Lotnisko w Marsylii znajdowało się dwadzieścia siedem kilometrów na północ od miasta i było piątym największym pod względem obsługi pasażerów lotniskiem we Francji. Większość z siedmiu milionów pasażerów, którzy w ciągu roku lądowali w Marsylii, koncentrowało swoją uwagę na znalezieniu wyjścia lub drogi do dalszego transferu. Jednak co bardziej spostrzegawczy mieli wyjątkową okazję zobaczenia dwudziestu pięciu śmigłowców Tiger, ustawionych rzędem na bocznym pasie. Ci, którym zdarzyło się niedawno odwiedzić lotnisko, mogli nawet wyrazić zdziwienie, że maszyny wciąż tam stoją i to w coraz większej liczbie. Jednakże nikogo specjalnie to nie zainteresowało.

Inaczej było w gabinecie Patricka Boyera, prezydenta i CEO Eurocopter Group. Utrzymanie nowych maszyn w gotowości i ich konserwacja pochłonęły kilkanaście milionów euro. Borykająca się z problemem płynności finansowej spółka coraz częściej dostawała od centrali EADS sygnały, że jej działalność wkrótce może zostać zamrożona. Jak w każdej grupie kapitałowej działało tu prawo zysku - nierentowne jednostki zamykano, a decyzję o tym podejmował zarząd w centrali. Wśród czterech dywizji EADS, Eurocopter zawsze miał najniższe wskaźniki. Obecnie śmigłowce znajdowały się w polu zainteresowania również Airbusa, a EADS nie mógł sobie pozwolić na konkurencję wewnętrzną. Za duże ryzyko, zbyt wysokie koszty. Aby utrzymać się na powierzchni, musieli sprzedawać. Nie chodziło jednak tylko o śmigłowce.

Likwidacja Eurocoptera oznaczała wyrzucenie na bruk dwóch tysięcy pracowników oraz wstrzymanie zakupów od kilkuset dostawców, z których wielu utrzymywało się tylko ze współpracy z filią EADS. Uszczuplenie gospodarki w skali mikro, poszłoby w parze z problemami w skali makro. A na to prezydent Francji nie mógł sobie pozwolić.

Patrick Boyer rozumował logicznie, ale nie przewidział, że sprawy tak przeciągną się w czasie. Dobrze, że decyzja zapadła, ale czy to coś zmieni w przyszłości Eurocoptera? Trzeba było się sprężyć.

Zerknął na przysłane papiery. Francja zakupi pięćdziesiąt śmigłowców z możliwością dokupienia kolejnych pięćdziesięciu. Szybko przeliczył w myślach. Jeśli udałoby się sprzedać całą partię, załata dziurę i wyjdzie na *break-even point*. Tylko zanim na rachunku Eurocoptera pojawią się pieniądze, śmigłowce muszą przejść wszystkie testy. Oznacza to, że trzeba się pośpieszyć.

Sięgnął po słuchawkę. Połącznie z ministrem obrony zajęło mu kilka minut. Po kwadransie miał już ustalone szczegóły i zakończył rozmowę. Wstał od biurka i spojrzał na ciąg śmigłowców. Następnego dnia miały dołączyć do ćwiczeń wojskowych eskadr bojowych w Dijon.

Ćwiczenia rozpoczęły się z samego rana. Z racji braku czasu, gdyż śmigłowce dotarły do bazy dopiero poprzedniego wieczoru, zamieniono planowany scenariusz ćwiczeń na dość stary i powszechnie znany schemat polegający na starciu i odparciu ataku powietrznego przez bliźniacze jednostki. Piloci mieli nie tylko przetestować nowo dostarczone maszyny podczas lotu, ale także sprawdzić ich gotowość bojową oraz zdolność ostrzału.

Było pięć po dziesiątej, gdy zakończono ostatnie ustalenia i wszyscy skierowali się do przydzielonych im maszyn.

Richard Éluard był doświadczonym pilotem śmigłowców w stopniu sierżanta. Tigerem latał nie po raz pierwszy i choć znał sprawność tych maszyn, uważał amerykańskie odpowiedniki Boeinga za bardziej wytrzymałe. Ale to jego opinia, o którą nikt nie pytał. Może te nowe modele będą lepsze? Wykonał nawrót na wschód i zaczął wypatrywać wroga.

Na londyńskim lotnisku Heathrow panował gwar i zgiełk zdwojony wskutek mgły, która spowodowała liczne opóźnienia porannych lotów. Podróżni oblegali kawiarnie i bary, niektórzy układali się na fotelach, aby nadrobić zaległości w spaniu. Pasażerowie lotu BA513 do Nicei, zaplanowanego na ósmą piętnaście, podobnie jak inni stali kilka minut przed tablicą odlotów z wyciągniętą szyją, próbując odczarować czerwony napis „Delayed 10.20”. Po chwili, zrezygnowani, ruszyli w poszukiwaniu miejsc do siedzenia.

Boarding lotu BA513 rozpoczął się dopiero o dziesiątej pięć. Ostatni ze stu siedemdziesięciu pasażerów wszedł na pokład Airbusa A321 o dziesiątej czterdzieści. Dwadzieścia minut później samolot wzbił się w powietrze, by odbyć prawie dwugodzinny lot do Nicei.

Pierwsze ostrzeżenie o odbywających się w pobliżu manewrach wojskowych piloci otrzymali około jedenastej dwadzieścia od kontroli lotów w Paryżu. Lecieli w odległości kilku kilometrów od miejsca manewrów. Na wszelki wypadek zdwoili czujność. Stewardessy poprosiły pasażerów o zapięcie pasów. Pierwszy pilot zaczął zwracać baczniejszą uwagę na przyrządy pomiarowe. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że wiele to mu nie pomoże, gdyż w samolotach cywilnych nie instaluje się aparatury wczesnego ostrzegania.

Richard Éluard skręcił śmigłowcem na południowy zachód i wystrzelił kolejny pocisk ćwiczebny. Cel, choć namierzony, zdołał umknąć rakiecie. Dobrze, pomyślał Éluard, te zabawki robią się coraz lepsze. Łącznie wystrzelił już trzy pociski, został mu

jeszcze jeden. Rozejrzał się w poszukiwaniu celu, ale radar był pusty.

Może za bardzo się oddaliłem, pomyślał i dokonał zwrotu na zachód.

Nagle rozjarzyła się czerwona lampka sygnalizująca, że śmigłowiec został namierzony. Éluard podciągnął dźwignię i w mgnieniu oka zaczął zwiększać pułap. Kątem oka dostrzegł mały obłoczek pędzący za śmigłowcem, więc wbrew wyjącom silnikom jeszcze mocniej podciągnął dźwignię. Silniki przegrzewały się, ale w końcu ścigającej go rakiecie skończyło się paliwo, więc wyrównał na kilka sekund lot, po czym skręcił na prawo i dostrzegłszy w dole nieprzyjaciela, błyskawicznie wystrzelił ostatni pocisk.

Rakieta nie skręciła jednak w dół, a poszybowała w górę, na prawo. Dopiero wtedy pilot dostrzegł, że na ekranie radaru pojawił się jeszcze jeden obiekt. I nie był to śmigłowiec.

Komunikat o namierzeniu przez raketę nie dawał chwili czasu na zastanowienie. Piloci robili, co mogli, aby wyprowadzić samolot z pola rażenia. Gdy już wydawało się, że pocisk uderzy w kadłub, pierwszy pilot skręcił gwałtownie na prawe skrzydło. Zmiana jego trajektorii w ostatniej chwili naprowadziła raketę wprost na odsłonięty silnik pod prawym skrzydłem. Gdy piloci już myśleli, że cudem uniknęli tragedii, samolotem wstrząsnęła eksplozja. Wraz z ogniem na skrzydle wybuchła panika w środku kadłuba. Airbus mógł co prawda ulecieć na jednym silniku, jednakże wibracje spowodowane wybuchem wprawiły go w rezonans, który uniemożliwił dokonywanie jakichkolwiek manewrów. Samolot runął na ziemię.

Niechlubna historia tragicznych wypadków lotniczych z udziałem maszyn wojskowych i cywilnych jest stosunkowo bogata. W 1955 roku samolot L-199 Constellation linii El Al Israel Airlines został zastrzelony przez dwa myśliwce MiG-15 należące do bułgarskich sił powietrznych. Zginęło prawie sześćdziesiąt osób. W 1973 roku izraelskie myśliwce zestrzeliły nad półwyspem Synaj libijski samolot ze stu pięcioma osobami na pokładzie. W 1988 roku nad wodami Zatoki Perskiej amerykański krążownik USS „Vincennes” zestrzelił irański samolot Airbus A300. Zginęło dwieście dziewięćdziesiąt osób.

Pierwsze informacje o katastrofie lotu BA513 pojawiły się około godziny dwunastej. Przesycone rosnącym nacjonalizmem i świadome rozpadu struktur unijnych media domagały się zadośćuczynienia. Powiększająca się w społeczeństwie frustracja z powodu niewydolności Unii i jej polityków znalazła ujście. Domagano się krwi.

Punktualnie o godzinie trzynastej z oświadczeniem wystąpił premier Wielkiej

Brytanii John Brown.

- Dziś w okolicach Dijon we Francji doszło do tragicznej katastrofy lotniczej. Samolot British Airways, lecący z Londynu do Nicei, około godziny 11.40 został zestrzelony przez francuski śmigłowiec Eurocopter Tiger. Wskutek powstałych uszkodzeń samolot spadł, a śmierć poniosło sto osiemdziesiąt osób, wszyscy pasażerowie, obsługa i piloci. Bolejemy nad tą stratą. Wyrażam swoje najszczerze kondolencje dla rodzin osób tragicznie zmarłych...

Rudolf Clausen wykręci! numer ministra obrony.

- Odwołaj wszystkie przepustki - rozkazał.

- Śmigłowiec, który zestrzelił samolot pasażerski, został zakupiony przez Francję dla Unii Europejskiej i za jej pieniądze, ale bez zgody innych państw członkowskich. Wobec tak jawnej postawy wrogości reprezentowanej przez władze Republiki Francuskiej dzisiejsze wydarzenie odbieramy jako napaść na obywateli Wielkiej Brytanii. Jako premier rządu oświadczam, że żadne państwo nie ma prawa podnosić ręki na mieszkańców mojego kraju, a to, które tak uczyni, stanie w obliczu wojny z Wielką Brytanią...

- ..ogłosić pełną mobilizację i wzmocnić linię Renu...

- Dlatego w związku z zaistniałymi faktami zawieszam pełne otwarcie granic Wielkiej Brytanii dla ludzi, kapitału i towarów. Przejazd kanałem zostanie zamknięty do odwołania. Ogłosiłem również mobilizację sił zbrojnych Wielkiej Brytanii na terenie całego kraju...

- ..ściągnąć generałów. Zamykamy granice...

- W interesie Wielkiej Brytanii jest utrzymanie pokoju. Nie przemy do wojny, ale też nie pozwolimy w jakikolwiek sposób nastawać na życie lub wolność naszych obywateli.

- ... Boże... - szepnął w pewnym momencie Clausen. Czyżbyśmy popełniali błąd naszych przodków? Choć sprawa dotyczyła relacji francusko-angielskich, nie łudził się, że na tym się skończy. Dobrze wiedział, że oto w stanie wojny znalazła się cała Europa, gdzie po raz pierwszy w historii każdy miał walczyć z każdym.

ROZDZIAŁ XVIII

Blokady

Waldemar Dostański stał w oknie budynku i patrzył na plac Łubiański. Z daleka ciągnął się sznur aut z urzędnikami w środku, śpieszącymi zapewne do swoich domów. Inni biegli w kierunku stacji metra linii Sokolniczeskiej. Jakże mało rzeczy zmienia się na tym świecie, pomyślał. Marki samochodów, ubrania, wódka, którą pili - to i owszem. Ale to tylko rzeczy materialne. Zwyczaje i charaktery pozostały te same.

Wbrew opinii wielu znawców uważał, że ludzie się nie zmieniają. Owszem, ich poglądy ewoluują, ale w gruncie rzeczy ludzie pozostają tacy sami. Bolesna prawda zawsze uderza znienacka. Trzeba być gotowym na stawienie jej czoła. On nie był. I dlatego, ale tylko dlatego, żałował.

Czy mógł przewidzieć, że wydarzenia przybiorą taki obrót? Ze wszystko, co osiągnął i w co wierzył, nagle przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie? Był skończony jako Polak. Jako człowiek miał jednak zbyt wiele do zaoferowania, żeby ot tak, odejść. Zdobył już pewne doświadczenia w tych sprawach - na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych kontaktował się z nim agent odpowiedzialny w Londynie za handlowanie polskim długiem. Skąd miał wówczas wiedzieć, że facet jest na wakacjach za pieniądze publiczne? Ale kompromitacji nie było. Zmusił go do powrotu, oskarżył i z pomocą dobrych prawników wsadził za kratki. Tak też uczyni i teraz. Satysfakcja porównywalna, tylko stawka była o wiele wyższa.

- Jak ci idzie? - Sięgnął po kubek niedopitej letniej kawy.

- Powoli... ale... do... przodu... - odpowiedziała powoli Wiera Kierienko, nie odrywając wzroku od pudełkowatego monitora.

Tym różni się Rosja od Zachodu, stwierdził Dostański. Tu wszystko ma drugie dno, niczego nie widać od razu. Ten stary monitor nie wzbudziłby żadnego zainteresowania na CEBIT, choć jest przykrywką dla komputera tak potężnego, że nie powstydzilyby się go Apple, Pentagon i NASA razem wzięte.

Wejście do dawnej siedziby KGB zajęło im dwa dni. Zdjęcie, wyrobienie przepustek, przekupienie strażników, wreszcie włamanie się do komputera. Pomimo rozwoju techniki pewne sprawy musiały trwać.

- Jeszcze chwila i... - kobieta z impetem wcisnęła enter: - *Voilà!* Gotowe.

- Co? Już? - Dostański pochylił się nad nią i zerknął na monitor. Rzędy cyferek nic mu nie mówiły, ale pojawienie się pustego paska zasygnalizowało, że coś się

rozpoczęło.

- No nie, pewnie za jakieś kilkanaście godzin - odpowiedziała, nie bez satysfakcji patrząc na zegarek. To ona wpadła na ten szalony, ale genialny pomysł. Co prawda wynikało to w dużej mierze z jej znajomości rosyjskiego systemu finansowego - także od strony informatycznej - ale i tak czuła dumę. Zablokowanie przepływu środków z Rosji do Polski poprzez zamianę numerów kont bankowych było przedsięwzięciem karkołomnym nawet dla doświadczonego hakera. Potem mieli przelać fundusze w bezpieczne miejsce.

- Najpierw musi zadziałać blokada... Masz ochotę na przekąskę? - spytała po chwili.

- Co, ostatni posiłek w firmowej stołówce? - Ach ci Rosjanie, zawsze lubili smakować zemstę.

- Nie. - Jej głos nagle spoważniał. - Na tym piętrze.

Zofia Paul była całkiem zadowolona. Na szczęście podróż do Polski minęła jej szybko i spokojnie. Nawet godzinne oczekiwanie na boarding na lotnisku de Gaulle'a nie ciągnęło się aż tak długo. Zrobiła drobne zakupy: ot, butelka francuskiego bordeaux, kawałek roqueforta, szczelnie zapakowanego ze względu na specyficzny zapach, oraz puszka czekoladek. I maleńki flakonik perfum Fragonard.

Na Okęciu jej samolot wylądował pięć minut przed czasem. Potem powoli, gęsiego do podstawionego busa i truchtem po odbiór bagażu. Kiedyś, zmęczona po nocnym locie, poskarżyła się obsłudze na Okęciu, że czeka już trzydzieści pięć minut na bagaż. Odpowiedziano jej z uśmiechem: „To jest Warszawa”. Dzisiejsze piętnaście minut czekania na walizkę uznała więc za dobry omen.

Po wyjściu z lotniska złapała taksówkę i kazała się zawieźć na Saską Kępę. Gdy wyjechali na Żwirki i Wigury, dziewczyna z zainteresowaniem wlepiła oczy w szybę. Na ulicach panował umiarkowany ruch. Co prawda stali na światłach w kolejce, ale już na Hynka było całkiem przejezdnie. Na przystankach kilka osób czekało na autobus, na chodnikach zauważyła kilka matek z wózkami. Życie toczyło się swoim spokojnym rytmem.

Czy zatem nikt nie zauważył, że trwa wojna, w której i Polska bierze udział? Czy raczej każdy starał się zachować pozory normalności, mając nadzieję, że to chwilowe załamanie w stosunkach międzynarodowych wkrótce wróci do normy?

Francuzi byli bardziej bezpośredni. Bez skrępowania dawali upust emocjom. Już pierwszego dnia słyszała o zamieszkach pod siedzibą prezydenta, w których wzięli udział uczestnicy różnych demonstracji: nacjonałści, pacyfiści, antyglobaliści, a nawet faszyci. W obliczu niepokoju na scenie politycznej uaktywniły się wszystkie frakcje reprezentujące skrajnie odmienne emocje i siły społeczne. Ludzie domagali się wyjaśnień, działań, decyzji. Ale na lotnisku w Paryżu nie spotkała jej żadna przykrość.

Powiedziałyby raczej, że urzędnicy nadzwyczaj sprawnie przeprowadzili odprawę, choć bardzo dokładnie przeszukano jej bagaż podręczny.

W każdym razie tutaj było inaczej. W Polsce wciąż panował duch postkomunizmu: nie wtykaj nosa w sprawy władzy. Każdy zmykał do domu, ufając, że sprawy same się rozwiążą. To znaczy rozwiąże je rząd, no bo kto inny? Ja? My? Jasne, jeszcze obarczyliby nas odpowiedzialnością. Nie dość, że mamy głosować i wybierać, to jeszcze za nich rządzić? Nigdy w życiu!

Tak, odpowiedzialność ciąży człowiekowi najbardziej.

Wyrwała się z zadumy i wyjęła komórkę. Czas dać znać światu, że wróciła.

- Halo? Zosia? - po chwili odezwał się niepewny głos po drugiej stronie.

- Tak. Cześć, Elu, co tam u ciebie? Co w pracy?

- A nic - odparła słabym głosem. - Wszystko dobrze. Pochorowałam się trochę...

- Ty? - Zosia zaśmiała się. - Przecież ty nie chorujesz!

- A wiesz... ostatnio tak wyszło.

Dziewczyna spochmurniała. Ela Górka nie należała do malkontentów, a już na pewno nie chodziła na L4 bez powodu. Właściwie to nigdy nie brała zwolnień chorobowych. No, chyba że ze względu na dzieci.

- Co się stało? - spytała poważniej.

- Nic, naprawdę. Tylko chodzi o to, że ja... że on - zawiesiła głos, który stał się płaczliwy.

- Spokojnie, kochana, spokojnie. Jesteś w domu, tak? Przyjadę do ciebie, dobrze? Porozmawiamy.

- Dobrze. - Ela Górka wciąż łkała.

Mieszkanie Elżbiety Górskiej znajdowało się w bocznej uliczce przy alei KEN, więc z Hynka dotarła tam taksówką w niecały kwadrans. Zlokalizowane na trzecim piętrze pięćdziesiąt metrów było podzielone na cztery pokoje i w całości dostosowane do potrzeb dwóch kilkuletnich chłopców. Półki w dużym pokoju ugięły się od książek z bajkami i albumów ze zdjęciami. Telewizor był zastawiony konsolami do gier XBOX i Nintendo, wokół leżały płyty DVD z kreskówkami. W rogu stały półmetrowe puchy z klockami, rozsypanymi wokół nich jak puzzle. Na ziemi leżało kilka wywrotek, ubranek i podartych maskotek.

- Przepraszam cię za ten bałagan - powiedziała Ela, wchodząc do pokoju z tacą z filiżankami herbaty i talerzem ciasteczek. - Nie miałam siły posprzątać.

- No co ty. - Zosia uśmiechnęła się przyjaźnie, biorąc do ręki filiżankę. - Nic się nie stało.

Upiła łyk i spojrzała na swoją gospodynię. Ela miała podkrążone oczy i zwichrzone włosy. Wyglądała na zmęczoną. Ale chorą? Nie, chyba nie.

- No więc? - spytała ostrożnie - Widzę, że coś cię gnębi.

Ela wyciągnęła nogi i wzięła głęboki oddech.

- Tak. Po twoim wyjeździe zajęłam się pozwami zbiorowymi. Wiesz, inwestorów, którzy ucierpieli na giełdzie.

- Zosia twierdząco pokiwała głową. Prasa trzymała rękę na pulsie i na bieżąco informowała o przebiegu sprawy.

- No więc trafiłam przez przypadek na forum, gdzie rozmawiali ludzie piszący w sprawie tego pozwu zbiorowego. Nie miałam doświadczenia i chciałam się dowiedzieć czegoś więcej... - Zadrżał jej głos.

Zosia wyciągnęła rękę i położyła na dłoni koleżanki.

- Spokojnie. Co się stało?

- Był taki jeden. Pisał dużo ciekawych rzeczy, doradzał, wiedział, na co zwracać uwagę. Chciałam się z nim rozmówić. Karol... wiesz, ten nasz informatyk, wyszukał go dla mnie po IP. I okazało się, że... że to przewodniczący. Dostański!

- Co? - Zosia aż się odchyliła

- Tak. - Ela popatrzyła na nią smutno. - Dostański nie tylko pomagał inwestorom pisać pozew zbiorowy na KNE ale także sam im pokazał, jak to zrobić. Mam wszystko...

- Pokaż.

Kobieta wyszła i wróciła po kilku minutach z plikiem kartek.

- Tu jest cała dyskusja na forum - powiedziała, przekazując Zosi papiery. - Urwała się przed kilkoma dniami. Przed tym artykułem... wiesz o nim?

- Tak. - Zosia omiotła wzrokiem tekst, a głowa prawie jej eksplodowała od natłoku myśli. Sprawa nie trzymała się kupy. Skoro Dostańskiemu zależało, aby spółki przeszły z GPW, to po co jeszcze pakował się z pozwami? Działanie na kilka frontów? Bez przesady. Na przejściach spółek mógł zarobić, ale na tym? Można mówić o nim wiele dobrego, ale altruistą to on na pewno nie był. - Mówiłaś o tym komuś?

- Nie. Nie mogłam. Chciałam iść na policję, ale bałam się. - Ela znów zaczęła łkać. Z oczu popłynęły jej łzy.

- Spokojnie, pamiętaj, że nic złego nie zrobiłaś. Wręcz przeciwnie...

- Nie o to chodzi. - Otarła łzy. - Całe życie pracowałam w urzędach państwowych. Wierzyłam, że robię coś dobrego. Niewielkiego, ale dobrego dla siebie, dzieci i kraju. A tymczasem okazuje się, że mogłam pomagać jakiemuś zbrodniarzowi! Czuję się... czuję... - Ela zaczęła dygotać - ... skrzywdzona.

Zosia wyciągnęła rękę i przytuliła koleżankę. Po chwili płacz i drżenie ustały.

- Ciii... zajmę się tym - uspokajała Elę. - Czy coś jeszcze masz oprócz tego? Coś się jeszcze wydarzyło?

Kobieta usiadła, ocierając resztki łez.

- Właściwie to tak - powiedziała po chwili cicho. - Tylko ja nie wiem, czy...

- Spokojnie. O co chodzi? - Zosia uśmiechnęła się ciepło.
- To dziwne... kilka dni temu szperałam w naszej przechowalni. I znalazłam zdjęcie. Ale jakiś ruski facet przebrany za strażnika mi je zabrał. I zniknął. - Wzruszyła ramionami.
- A kto był na tym zdjęciu?
- No właśnie to jest dziwne. - Ela odetchnęła głęboko. Przestała już płakać, ale wciąż jeszcze od czasu do czasu wstrząsały nią dreszcze. - Był na nim Dostański...
- Dostański?
- Tak. Z kimś jeszcze. Bardzo stare, chyba z lat osiemdziesiątych lub początku dziewięćdziesiątych.
- A pamiętasz, jak wyglądała ta druga osoba?
- Nie za bardzo. - Ela pokręciła głową. - Zdjęcie było czarno-białe. Na pewno mężczyzna, wyższy od szefa. Ale pamiętam autora: Lipiński. Mam ciotkę na Lipinkach, więc łatwo było skojarzyć. - Pierwszy raz się uśmiechnęła. Twarz miała opuchniętą od płaczu, ale oczy znów były pogodne. - Chcesz dolewkę herbatki?

Zosia z uprzejmości posiedziała jeszcze kwadrans, choć nogi kazały jej biec. Gdy wychodziła, żegnająca ją w drzwiach Ela wyglądała znacznie lepiej niż godzinę wcześniej. Ale to była jedyna dobra wiadomość.

Wszystko inne śmierdziało na kilometr. Ruski kradnący stare zdjęcie, na którym jest Dostański i jakiś mężczyzna. Wyższy. To trochę za dużo jak na zwykły zbieg okoliczności. Zakładając, że miała rację i na zdjęciu był jej ojciec, to po co wysłał kogoś, aby je ukradł? Dlaczego to było takie ważne?

I w końcu dlaczego Dostański zaangażował się w pozwy zbiorowe? Miała zamiar wyjaśnić te sprawy. A pierwsze tropy prowadziły do człowieka, który zrobił to zdjęcie.

O pół procenta niższy od prognozowanego miesięczny wzrost PKB i wzrost inflacji o dwa procenty w skali miesiąca. Spadł także eksport i wysokość bezpośrednich inwestycji zagranicznych, znacznie zwiększając deficyt w handlu międzynarodowym. Do tego podrożała obsługa długu państwowego. Jak nic gospodarka traci impet. A co na to rząd? Bredzi o jakimś funduszu, który ma niby stworzyć z Polski eldorado, ale na razie cisza w sprawie inwestycji. *As w rękawie czy trup w szafie?* Tak, to dobry tytuł.

Lipiński zaznaczył mazakiem kółko i odłożył makietę strony na bok, sięgając po następną. Codziennie każdy złożony numer przechodził u niego autoryzację. Dzięki temu gazeta nie tylko trzymała jeszcze jako taki poziom, ale unikała wielu procesów o podanie nieprawdziwych informacji, przeinaczenie czy inne kosztowne bzdury.

Kolejne strony - wojna w Europie. Na granicy francusko-niemieckiej padły

pierwsze strzały. Tak, Reuter donosił o tym w południe. Bitwa to nie była, ale padło kilka trupów. Boże, w jakich czasach my żyjemy! Nabazgrolił kilka uwag i miał się brać do zaczytywania kolejnego tekstu, gdy zamigotał jego telefon.

- Halo - rzucił do słuchawki.

- Panie redaktorze - rozległ się niepewny głos sekretarki. - Pani... Paul chciałaby się z panem spotkać. Mówi, że to ważne.

- Nie mogę. Niech któryś z zastępców albo ktoś od newsów ją weźmie - rzucił, wpatrując się wciąż w tekst.

- Ona nie chce. Mówi, że tylko z panem.

- To umów ją na środę. Za miesiąc.

- Ale to pilne...

- Jolu. - Westchnął. - Spław ją. Zrób to, jak chcesz. Ja nie mam czasu na żadne pogawędki!

Zakończył rozmowę i wrócił do pracy. Przejrzenie całego materiału zwykle zajmuje mu około godziny. Ponieważ jednak musiał zastanowić się nad niektórymi tematami, postanowił zjeść coś na mieście.

Wyszedł z biurowca szybko i żwawym krokiem ruszył w kierunku Towarowej, gdy nagle usłyszał za sobą głośnie „Dzień dobry!”. Odwrócił się.

Tuż za nim szła młoda kobieta z walizką, patrząc na niego pogodnie.

- Czy ja panią znam? - spytał niepewnie.

- Nie. Ja pana też nie. Nazywam się Zofia Paul.

- Bardzo mi miło, ale śpieszę się i...

- .. i jestem córką Krzysztofa Ferdynanda Kaweckiego - przerwała mu. - Może jednak porozmawiamy?

Usiedli w małej knajpce przy wejściu do hotelu Hilton. Niczego nie zamówili, co kelnerka skwitowała wzruszeniem ramion. Trudno, nie będzie napiwku. Po jej odejściu Lipiński odezwał się pierwszy.

- Cóż więc ma mi pani do powiedzenia?

- Raczej pan mnie - odrzekła Zosia spokojnie.

- Nie rozumiem.

- Nazwisko mojego ojca zrobiło na panu wrażenie. Sądzę więc, że jest pan mocno nim zainteresowany i ma sporo do powiedzenia na jego temat. - Dziewczyna przez moment świdrowała mężczyznę wzrokiem.

- Niestety, nadal nie wiem, o co...

- No dobrze, już - zaczęła ze zniecierpliwieniem jak dziecko, które chce szybko poznać zakończenie bajki. - Otóż, dawno temu zrobił pan pewne zdjęcie przedstawiające mojego ojca i Waldemara Dostańskiego....

- Pani też?!

- Co ja też? - Lekko drgnęła, widząc nagle ożywienie redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej”. Ten jednak po chwili się uspokoił.

- Nie, nic. Proszę kontynuować.

- Jestem tu, ponieważ zaniepokoiły mnie ostatnie wydarzenia. Wie pan, ojciec i ja niespecjalnie byliśmy ze sobą zżyci. Właściwie to wychowywała mnie ciotka, siostra mojej matki. Chciałabym wiedzieć, dlaczego jakiś dziennikarz interesował się moim ojcem pod koniec lat osiemdziesiątych.

Mężczyzna przez chwilę lustrował dziewczynę wzrokiem.

- Badałem tę sprawę.

- FOZZ?

- Taaak. - Lipiński wahał się przez chwilę, czy mówić dalej, ale kontynuował: - Wiedziałem, że to lipa. Chciałem opublikować artykuł, nakryć kłamców i złodziei. Pani ojciec był skarbnikiem FOZZ, Dostański jednym z członków tak zwanej Rady Nadzorczej. I nagle coś gdzieś pękło. - Rozłożył ręce w teatralnym geście. - Urwało się. Ludzie, którzy klepali peerelowską biedę, nagle zaczęli zarabiać krocie. Zacząłem węszyć. Do nikogo nie można było jednak trafić. Pani ojciec zapadł się pod ziemię. A potem zaproszono mnie na miłe spotkanie i zakazano wypuszczać cokolwiek i kiedykolwiek na ten temat.

- Rozumiem.

- Natomiast teraz - redaktor zamyślił się na moment - Dostański dostaje w dupę, a w ciągu kilku dni zjawiają się różne osoby i pytają o to zdjęcie. Sam nie wiem, co o tym myśleć.

- Jacy ludzie?

- Nieistotne.

- A co pan sądzi o moim ojcu?

Lipiński wzruszył ramionami.

- Przez wiele lat podejrzewałem, że wyjechał gdzieś do Argentyny albo Chile. Nie wiedziałem, że miał dziecko - rzeki, patrząc na Zosię z lekkim współczuciem.

Zosia zamilkła. Po chwili pogrzebała w torbie, wydając z niej notes i długopis. Zajrzała do portfela, po czym wyrwała kartkę z notosu, nabazgrała coś na niej i podała mu przez stół.

- To proszę poszukać tutaj - powiedziała i podniosła się. - Muszę uciekać. Dziękuję za spotkanie. Do widzenia.

Zanim zdołał się odezwać, już jej nie było. Popatrzył na karteczkę. Widniały na niej inicjały K.F.K i numer telefonu. Warszawski numer.

Dziewczyna wyszła szybko, bojąc się, że zmieni zdanie albo, co gorsza, powie jeszcze więcej. Czowała jednak, że się dusi, tak jakby sznur, który przez wiele lat plątał się wokół jej szyi, zaczął się wreszcie zaciskać. Czy dobrze zrobiła? Przecież tak naprawdę

zdradziła swojego ojca. Ojca czyjego plany? Nie była już pewna niczego.

Wszystko miało ruszyć z kopyta. Rano spotkanie z premierem i konferencja prasowa. Po południu i przez najbliższe kilka dni rozmowy i ustalenia z resortami, które zbierały informacje na temat niezbędnych do wykonania prac i działań, wraz z pierwszymi wycenami kosztów. Po dwóch tygodniach miały zostać rozpisane pierwsze przetargi.

Odeszli od pomysłu tworzenia całościowego planu działań. Ogarnięcie wszystkich problemów trawiących Polskę okazywało się działaniem wręcz karkołomnym, zbyt czasochłonnym i biurokratycznym. Nowo powołany minister wdraża się w pracę swojego resortu nawet przez kilka tygodni. Spójrzmy na to realistycznie!

Nad rozdysponowywaniem środków miała czuwać komisja złożona z szefów Narodowego Banku Polskiego, Giełdy Papierów Wartościowych, premiera, prezydenta, ministra finansów, kilku niezależnych ekspertów, w tym m.in. Leszka Balcerowicza i Jana Krzysztofa Bieleckiego oraz jego, Piotra. Prawej ręki Krzysztofa vel Roberta Cavasky'ego.

Tak, zbliżali się do finiszu pierwszego etapu. Piotr powinien czuć dumę i satysfakcję. Tymczasem przepełniała go jedynie pustka. I determinacja. Był moment, że ogarnęły go wątpliwości: czy ma prawo bawić się w Pana Boga i lekką ręką rozdysponowywać środki wydarte z rąk milionów Polaków? Ktoś kiedyś przecież obarczy go winą za niegospodarność. To zawsze można udowodnić. A może inny zrobiłyby to lepiej. Tylko kto?

Czul, że przez ostatnie dni dorósł, dojrzał bardzo szybko. Nie bał się, nie myślał o konsekwencjach, jakie mogą go spotkać. Polegano na nim, pokładano w nim ufność, że zrobi wszystko, jak należy. Więc stanie na wysokości zadania. Tylko że...

Czy to wszystko było na pewno słuszne? Cała ta historia była dla niego coraz bardziej pokręcona, jak sen po libacji alkoholowej. Tym bardziej musiał nad wszystkim czuwać.

Z rozmyślań wyrwał go krzyk dochodzący z salonu. Ruszył do drzwi i w paru susach znalazł się na dole. Krzysztof siedział na kanapie, z całej siły waląc pięścią w blat ławy, która wydawała coraz to bardziej skrzypiące jęki, wołając o litość.

- Kurwa mać! Ja pierdołę!!! - Wstał i złapał się za głowę.

- Co się stało?

- A może to sieć... - Piotr dopiero po chwili zauważył stojącą obok Joannę. Miała założone za siebie ręce i bezradny, przestraszony wyraz twarzy.

- Ta, kurwa, sieć! - Krzysztof odwrócił się i spojrzał na Piotra. Ten jeszcze nigdy nie widział go tak wściekłego. Z czerwoną twarzą, ciężko dyszący, przypominał teraz rozszalałego byka na korridzie. Piotr powtórzył swoje pytanie.

- To się stało - rzekł Krzysztof, łapiąc oddech - że zablokowano nam pieniądze z Funduszu. W rosyjskim banku powiedzieli, że nie mają takich kont u siebie. A to oznacza - zamilkł na chwilę, a gdy znów spojrzął na Piotra, w jego spojrzeniu było coś przerażającego - że ktoś znów położył łapę na kasie FOZZ.

- Tak. Dobrze, panie premierze. Będę za kwadrans, może dwadzieścia minut. - Krzysztof odłożył słuchawkę.

- Jadę z tobą - zadeklarował od razu Piotr.

- Nie. - Krzysztof spojrzął na niego, dumając nad czymś. - Bardziej przydasz się tutaj na miejscu. Jest tu sprzęt i papiery - rzekł, po czym spojrzął na Joannę. Stała w milczeniu, patrząc na niego wymownie. - Joasia, ty na Saską. Zbierzesz dokumenty i rzeczy, może czekać nas mała wycieczka. Chodź, podrzucę cię do przystanku w Alejach Ujazdowskich.

Zebrali się szybko i po chwili już ich nie było. Piotr wziął laptop na kolana, gdy nagle usłyszał hałas u drzwi.

Właściwie to sama nie wiedziała, dlaczego tu przyszła. Torba, choć na kółkach, zaczynała jej coraz bardziej ciążyć. Może to zasługa wina, które zapakowałam do środka? - pomyślała Zosia. Czuła pot na czole i policzkach, który przyciągał chyba cały kurz z okolicy.

Doszła do końca ulicy i rozejrzała się w prawo i lewo. Numer 35. To na prawo. I po przeciwnej stronie. Odszukała wzrokiem budynek. Całkiem ładny i zgrabny, ale też niewyróżniający się niczym szczególnym na kilkuletnim osiedlu zwykłych domów jednorodzinnych. Już miała chwycić torbę i ruszyć dalej, gdy nagle kątem oka dostrzegła ruch w pobliżu bramy. Zatrzymała się.

Furtka się otworzyła i na ulicę wyszła para... Od razu poznała powabną figurę swojej ciotki. Wszystko jasne.

Stali i rozmawiali. Ot, zwykli przyjaciele wybierający się na miasto pozałatwiać sprawy. Zosia skuliła się za rogiem, drząc, by nikt jej nie dostrzegł, i po raz pierwszy dziękowała drogowcom, że ustawiają słupy na środku chodnika.

Po chwili z bramy wytoczyło się auto prowadzone przez drugiego mężczyznę. Joanna i Krzysztof wsiedli do tyłu i auto ruszyło w lewo. Na szczęście.

Dziewczyna odprowadziła samochód wzrokiem i po raz pierwszy od śmierci matki poczuła się bardzo samotna. Jakoś podświadomie wypierała to, co powiedział jej ojciec. Ufała Joannie. Uważała ją nie tylko za opiekunkę, swojego anioła stróża, ale też za przyjaciółkę i powierniczkę. Joanna wiedziała, jaki żal do ojca nosiła w sercu jej siostrzenica. Ile pretensji, płaczu i złości kosztowały ją lata życia jako sieroty. A teraz?

Są razem. Nagle poczuła przypływ dławiącego zmęczenia.

Usiadła na walizce, która lekko się zakołysała, ale ustala pionowo. Do oczu napłynęły Zosi Izy, które roztarta brudną dłonią. Nie, nie czas na uzalanie się nad sobą. Musi się wziąć w garść. Sięgnęła po torebkę, żeby wyjąć komórkę, i wtem jej ręka natrafiła na chłodny metalowy przedmiot. No tak, klucz. A może by tak, po cichu, weszła, umyła się, zebrała myśli?

Nie, bez przesady, to prawie jak włamanie.

Ale przecież klucz dostała od niego.

Zerknęła w stronę domu. Stał cichy, światła były zgaszone, ale też jeszcze nie pora na ich zapalanie. W maju dni są długie. Wstała i chwyciła torbę.

Na szczęście zostawili furtkę uchyloną. Dowlokła się do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Pchnęła drzwi. Cicho.

Weszła powoli do środka i ruszyła w głąb korytarza, gdy nagle usłyszała głos i kompletnie zaskoczona aż podskoczyła.

- Zosia?

Odwróciła się.

- Piotr! Boże, ale mnie wystraszyłeś. - Dotknęła piersi, gdzie serce łomotało jak armatka wodna. - Co ty tu robisz?

- Ja? Pomagam twojemu ojcu. - Chwycił jej torbę i wciągnął do środka. - Uprzedzał, że przyjedziesz.

- Tak? - Przez głowę przegalopowało jej milion myśli. ON TEŻ?! Z ojcem?! Od jak dawna?! A może już wtedy był podstawiony? Co to oznacza? Śledzono ją? Uciekaj! UCIEKAJ!!!

Piotr zbliżył się, a Zosia spojrzała na niego z rozpaczą, bo nie miała siły ani się bronić, ani mówić. Była głodna, spragniona i całkowicie pozbawiona woli walki. Dotknął jej ręki. Może jednak spróbuje choć trochę się obronić. Spojrzała w jego oczy, ale dostrzegła...

Tylko troskę?

Piotr delikatnie wyjął uchwyt torby z jej dłoni.

- Wyglądasz jak po maratonie. - Pokiwał głową. - Na górze jest prysznic, gdybyś chciała skorzystać. Chcesz herbaty?

- Taaak. - Ruszyła za nim bezwiednie. - Od dawna pracujesz z... z Krzysztofem? - Bardzo chciała, żeby pytanie zabrzmiało naturalnie, ale chyba jej nie wyszło, bo Piotr odwrócił się i spojrzał na nią uważnie.

- Nie - odpowiedział po chwili. - Właściwie to zwerbował mnie, i to w dość nietypowy sposób, po twoim wy- jeździe.

- Aha. - Zosia rozejrzała się. - Ręczniki w łazience?

- Tak. W szafce - wyjaśnił Piotr, nalewając wrzątek do dwóch kubków.

Dziewczyna ruszyła na górę.

Woda i mydło zmyły z niej nie tylko bród i kurz, ale też zmęczenie, a szum prysznica ukoił nerwy. Na razie jednak odpuściła sobie wszelkie myślenie o TYCH sprawach. Nadmiar emocji szkodzi obiektywnej ocenie sytuacji, a ta była dla niej teraz najważniejsza.

Zawinęła na mokrych włosach turban z ręcznika, wklepała w twarz krem nawilżający (właściwie to dobrze, że ciotka też tu była) i opatulona w czyjś szlafrok, który na nią był za duży, wyslizgnęła się na korytarz.

Obecność Piotra kompletnie ją zaskoczyła. Był mądry, zdolny, ale zajmował się rynkami finansowymi. Dobrze rozwiązał sprawę manipulacji na GPW, lecz na tym się kończyła jego rola. Po co go mieszać w sprawy, o których nie miał pojęcia? Stąpnęła na pierwszy schodek, gdy nagle przebiegł ją dreszcz. A jeśli... jeśli obie sprawy są powiązane. Tylko czy on wie? I co wie? A może właśnie przez to, że wie, to... ?

Jej rozmyślenia przerwał dźwięk telefonu i rzucone przez Piotra do słuchawki „Halo”. Zaciekawiona zeszła szybko po schodkach i przykucnęła na ostatnim.

W dobie internetu numer telefonu przestał być anonimowy. Łatwo można odszukać jego posiadacza: wystarczy, że ten chociaż raz podał go na Facebooku, Naszej Klasie czy pod jakimś internetowym ogłoszeniem. Z numerem stacjonarnym było jeszcze prościej - TP SA i inne firmy telekomunikacyjne miały własne bazy, które można było przeszukać za niewielką opłatą. Redakcja „Rzeczpospolitej” miała wykupiony abonament we wszystkich.

Lipiński najpierw sprawdził strony internetowe, potem obdzwonił wszystkie instytucje. Wyniki przysły po kilkunastu minutach i - co tu ukrywać - mocno go zaskoczyły. Tego numeru nigdzie nie było. Skrzywił się. Albo w „Tepsie” mają taki bajzel, że nie potrafią odszukać adresata, albo temu drugiemu zależało na dobrym ukryciu miejsca zamieszkania.

A może zamiast tracić czas na jałowe główkowanie, po prostu wybierze ten numer...? Taaak. Chyba jednak wyszedł z wprawy. Kiedyś od razu rzucał się na głęboką wodę. Teraz, skażony teoriami spiskowymi i ryzykiem podsłuchu, dogłębnie sprawdzał swoich rozmówców pod kątem potencjalnych prowokacji. Był przecież redaktorem naczelnym jednego z największych dzienników w Polsce.

Ale też dziennikarzem. Wybrał numer i czekał. Trzy sygnały, cztery, pięć. Już miał odkładać słuchawkę, gdy usłyszał po drugiej stronie „Halo”.

Cisza.

- Halo? Jest tam ktoś? Halo?!

- Taaak. Szukam Krzysztofa Kaweckiego.

Odpowiedź padła po dłuższej chwili.

- A z kim rozmawiam?

No tak, gdzie moje maniery, pomyślał Lipiński. I przypomniał sobie stare powiedzenie: tam twoja kultura, gdzie twój stołek.

- Nazywam się... - Skłamać, nie skłamać? Co mi to da? - Ireneusz Lipiński, jestem reaktorem nacz...

- Wiem kim, pan jest.

- No więc? Czy mogę prosić z Krzysztofem?

- Nie ma go w tej chwili. - Usłyszał cichą odpowiedź. - Dlaczego pan go szuka?

I jeszcze mam się tłumaczyć?! No, ale dobrze. Powoli.

- Chciałbym porozmawiać z nim na temat pewnych wydarzeń sprzed dwudziestu lat, których byłem poniekąd świadkiem.

- Może pan porozmawiać ze mną.

- A pan to kto, jeśli wolno się spytać?

- To nieistotne. Dlaczego pan tu dzwoni?

- Chodzi o jego córkę... i pewne zdjęcie, na którym jest on i ktoś jeszcze. Wiadomo panu coś na ten temat?

- Tak.

- Możemy więc porozmawiać.

Cisza.

- Halo?

- Odezwę się do pana.

- Jak to?! Halo?! Haaalooo!!!

Ale głos w słuchawce zmiłkł, a jego miejsce zastąpił przerywany sygnał. Lipiński ze złością rzucił słuchawkę. No i co teraz?!

Zadrżała mu ręka. Jakie zdjęcie, do cholery?! Może i zachował się jak szczeniak, rozłączając się, ale ten telefon tak go zaskoczył, że zupełnie nie wiedział, co robić! Co gorsza, nie miał pojęcia, co jeszcze powiedzieć... Dlaczego jakiś pismak interesuje się Kaweckim? Co tu się dzieje?! Piotr rzucił bezprzewodową słuchawką na kanapę, ale po chwili namysłu sięgnął po nią ponownie.

- Halo? Cześć, Michał, tu Piotr.

- Siema, stary! Kopę lat. Co, darowałeś sobie już zbawianie świata? - Głos przyjaciela był zjadliwie ironiczny.

- Nie... słuchaj. Dzwonię w sprawie Krzysztofa Kaweckiego. Udało ci się dogrzebać do czegoś nowego?

- A... tak. Wyszukałem go na jednej fotce. Jest na niej razem z Dostańskim. Zrobił je lata temu naczelny „Rzepy”, choć teraz facet jakby dostał amnezji.

- Chyba nie.
- Co?
- Dzwonił do mnie, ale nieważne. - Piotr myślał gorączkowo. - Kawecki był na zdjęciu z Dostańskim? Kiedy je zrobiono?
- Gdzieś pod koniec lat osiemdziesiątych. Ale co tam! Mam prawdziwą bombę. - Głos Smolińskiego stał się nagle cichszy, choć dało się w nim wyczuć podniecenie. - Sprawa manipulacji na giełdzie wciąż cię interesuje?
- Jasne. - Boże, prawie o tym zapomniał!
- Więc słuchaj, tylko ani pary z ust. - Teraz już szeptał. - Prokuratura ostro wzięła się do tej sprawy. I wiesz co? Okazało się, że jedne z ważniejszych operacji były realizowane z komputera szefa KNF!
- Dostańskiego?
- Tak! Facet jest umoczony!
- Mówisz serio...?
- Słowo! Tylko - Smoliński zawiesił głos - ani mru mru. Mówię ci to po przyjacielsku, bo wiem, że ślęczałeś nad tą sprawą.
- Jasne. Dzięki. Gdybyś miał coś jeszcze, daj znać. Ja też w tym siedzę po uszy.
- Ale na kasie, a nie w głównej. Na razie.
Rozłączył się. A Piotra ogarnął dziwny niepokój.
Stare zdjęcie... Krzysztofa i Dostańskiego. Byli na nim razem. Przyjaciele? Współpracownicy? Teraz jeden pnie się na szczyt, a drugiego pograża afera. Przypadek czy raczej...?
No właśnie, co? Początkowe lekkie ćmienie za uchem zmieniło się w wyraźne brzęczenie. Coś tutaj nie grało.

Zosia podeszła do Piotra, który wciąż siedział zamyślony na kanapie.
- Kto to był? - Pochyliła się nad oparciem.
- Co? Sam nie wiem...
- Nie wiesz, z kim rozmawiałeś? - spytała wesoło, ale gdy odwrócił się w jej stronę napotkał badawcze spojrzenie.
- Chyba musimy porozmawiać - rzekł po chwili. Kiwnęła głową. - Wolisz teraz czy może jesteś...?
- Nie, jest okej. Usiądźmy. - Zwinęła się w rogu kanapy.
Piotr wstał i po minucie wrócił z dwoma kubkami herbaty i kanapkami.
- Szynka, chleb i ogórek. Nie mam specjalnego talentu kulinarnego - rzekł usprawiedliwiająco i podał jej talerz. Dziewczyna rzuciła się na jedzenie, jakby nie miała niczego w ustach od tygodnia. Przez chwilę przeżuwali w milczeniu.
- Więc jak tu trafiłeś? - Zosia wreszcie przerwała ciszę.

Piotr przełknął i zaczął opowiadać. O przeszukanym mieszkaniu, o wściekłym pościgu, uderzeniu w głowę i pobudce w tym domu. Potem o balu u premiera i wreszcie telefonie od przyjaciela, który powiedział mu o zdjęciu. Zosia nie przerywała, kiwała tylko głową, jedząc kolejne kanapki.

- I teraz zadzwonił do ciebie Lipiński... - zagadnęła, gdy skończył.

- Jak słyszałaś. - Widząc jej zdziwioną minę, dodał: - Wiem, że słyszałaś. Te schody strasznie skrzypią, ale słyhać to tylko tutaj. Taka bezpieczna akustyka. - Uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz...

- Nie. Wiesz, mnie to wszystko trochę się nie podoba.

- Tak? - Spojrzała na niego uważniej. - To może zainteresuje cię, że Dostański był ponoć także zamieszany w przygotowywanie pozwu zbiorowego przeciwko KNF przez inwestorów.

- Facet bez przyszłości.

- Yhm. Zupełnie jakby ktoś się na niego wziął.

- Chyba że... - zawiesił na chwilę głos. Wirujące bez ładu myśli zaczynały się sensownie układać - ...rzeczywiście ktoś się na niego wziął.

- Ej, bez przesady. - Zosia się skrzywiła. - Doszukujesz się teorii spiskowej? Przecież czytałeś „Rzepę”, sam optował za przenosinami spółek z GPW na zagraniczne giełdy...

- Tak, ale to można jeszcze wytłumaczyć pieniędzmi. Pracowałeś z nim, wiesz, że nie byłby aż takim palantem, żeby tak łatwo się dać udupić.

Zosia zamyśliła się chwilę.

- Co planujesz?

- Jeszcze nie wiem. Ale ty - spojrzał na nią z ukosa - powinnaś się przespać. Nie ujmując nic twojej urodzie, ale wyglądasz na steraną czterdziestkę.

- Dziękuję bardzo - odpowiedziała z naciskiem, ale oczy miała wesołe.

Dzwonek telefonu wyrwał go z drzemki, w którą zapadł kilka minut wcześniej. Sięgając po słuchawkę, zerknął na zegarek. Druga czterdzieści osiem.

- Tu Robert, śpisz? - Kilka sekund zajęło mu oprzytomnienie, ale na szczęście nie spytał: „Co za Robert?”.

- Nie, chyba się tylko zdrzemnąłem. Jak u was?

- Słabo. Jest gorzej, niż myślałem. Zejdzie nam jeszcze z dzień. - Westchnął. - A u ciebie? Coś nowego?

- Nie, wszystko okej.

- To dobrze - rzucił dopiero po chwili Krzysztof. - Trzymaj się.

Piotr się rozłączył. Właściwie to dlaczego nie powiedział mu o Zośce? Spojrzał ku schodom na górę. Musiał sam przed sobą przyznać, że bał się. Głównie o nią. Ale z drugiej strony przecież była jego córką, nie skrzywdziłby jej...

Tak? Pierwszy raz od kilku dni poczuł się jak na obcym, nieprzyjaznym terenie.

Karol Lewiński patrzy! na wyciąg z rachunku Waldemara Dostańskiego i nie wierzy! własnym oczom. Ze też nikt wcześniej tego nie sprawdził! Wszystko się zgadzało, daty i kwoty: wtedy, kiedy należało sypać, po prostu sypał, pograżając w jeszcze większym chaosie warszawską giełdę. A może i go wywołując? - zastanawiał się makler, patrząc na pierwsze linijki listy. Skąd facet miał taką kasę? Prześledził wzrokiem prawą kolumnę i nagle zastygł w miejscu. Cyfry układały się w liczby, a te w olbrzymie wielozerowe sumy. Milion złotych... pięć milionów... półtora. .. dwanaście i pół... Już gdzieś to widział. Normalnie pewnie nie zwróciłby na to uwagi, bo pracując na co dzień z liczbami, niejednokrotnie ma się wrażenie *deja vu*. Ale od jakiegoś czasu nie cierpiał na nadmiar obowiązków, więc jakby łatwiej zawierzał własnej pamięci.

Zaraz, zaraz... Rozejrzał się wokół siebie i jego wzrok padł na raport z przeglądu funduszu Costel Rossell Funds. Sięgnął po spięte dokumenty i zaczął kartkować. Wydruk był w wersji roboczej, pełnej uwag, koślawych rysunków i wykrzykników.

Jest! Spojrzał na aktywa z jednego subfunduszu i porównał z wyciągiem z rachunku Dostańskiego. Wszystko się zgadzało prawie co do złotówki. I wtem poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Boże... Spojrzał na białą ścianę przed sobą. Co to ma być? Co to za fundusz?!

Odkrył... tylko właściwie co?!

ROZDZIAŁ XIX

Dzień pełen wrażeń

Mieli jeden dzień. Cały dzień. Aż tyle czy tylko tyle? Zdążą? Ale na co? Piotr coraz intensywniej zastanawia! się, co go właściwie dręczy. Do czego chciał dojść? Co udowodnić? Ze co, że wszystko, co ostatnio robił, to bujda, wymysł starego, szalonego człowieka? Czuł, że nie, że to coś innego. Ale co?

I właściwie dlaczego poczuł to dopiero teraz? Przecież szósty zmysł powinien zareagować od razu, czyż nie? Gdyby Krzysztof kłamał, to momentalnie zapaliłaby się w jego głowie czerwona lampka. Więc może... może to tylko efekt wyparcia? Zbyt dużo nowych faktów i zjawisk. Im człowiek robi się starszy, tym większy lęk czuje przed nieznanym.

- Dzień dobry. - Jego myśli rozpierzchły się, gdy usłyszał dochodzące ze schodów ciche, ale miłe powitanie.

- Cześć. - Odwrócił się w stronę, skąd dochodził głos. Zosia miała na sobie białą prostą sukienkę, dopasowaną u góry i rozszerzaną na dole. - Zrobiłem kawę.

Usiadła i sięgnęła po kubek.

- Śniadania nie ma, bo i kucharz nam wyjechał. - Uśmiechnął się. - Ładnie wyglądasz.

- Dziękuję. - Pociągnęła łyk gorącego napoju. - Tylko to mi zostało z czystych ubrań.

- Mnie się podobaś. - Wyszczrzył zęby w bezczelnym uśmiechu.

- Oj, daj spokój - obruszyła się na niby. Opuchlizna i szare cienie pod oczami odeszły wraz z kilkoma godzinami mocnego snu. I choć dochodziła dopiero siódma, wyglądała na świeżą i wypoczętą.

- Coś nowego? - spytała już poważniej.

- Tak. Mam dyspensę na jeden dzień pracy. Krzysztof zostaje u premiera.

- Tak?

- Yhm. - Popatrzył na nią uważnie. - I mam pewien pomysł...

Wyszli kwadrans później. Po drodze zahaczyli o piekarnię, w której zaopatrzyli się w drożdżówki, po czym ruszyli w stronę metra. Pomimo porannych godzin w wagonie było stosunkowo luźno. Nie mieli co prawda miejsc siedzących, ale też nie stali w ścisiku. Po kilku minutach wysiedli na stacji Centrum, by przesiąść się w tramwaj,

którym przejechali kilka przystanków Alejami Jerozolimskimi. Wyszli przy placu Zawiszy i już na piechotę ruszyli Towarową w stronę ronda Daszyńskiego. Po kwadransie skręcili w prawo i weszli do niewysokiego biurowca przy Prostej.

Pomysł nie był odkrywczy: zebrać jak najwięcej informacji. A kto może być lepszym źródłem niż...

- Dzień dobry. - Piotr uśmiechnął się uprzejmie. Stali przed recepcją główną „Rzeczpospolitej”. - My do redaktora Lipińskiego.

- Byli państwo umówieni? - Sekretarka spojrzała na nich podejrzliwie.

- Tak - rzekł pośpiesznie Piotr, zanim Zosia zdążyła zareagować. - Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem, ale uprzedzał, że spotkanie może nie zostać wpisane do grafiku. Proszę go zapytać.

- Chwileczkę. - Sekretarka sięgnęła po słuchawkę i wskazała gościom wąskie pufy pod oknem. Po chwili przywołała ich ruchem ręki.

- Niestety, szefa nie ma... Na pewno byliście państwo umówieni na tę godzinę?

- Tak... Może coś mu nagle wypadło?

- Będzie w redakcji za jakieś trzy godziny.

- A gdzie możemy go spotkać? To pilne.

- Nie mogę... - Sekretarka posłała mu wyniosłe spojrzenie i skrzywiła usta.

- To proszę zadzwonić do niego i spytać, gdzie go możemy zastać. Chodzi o sprawę KNF. Proszę mu przekazać, że jesteśmy od Kaweckiego.

Sekretarka zawahała się. Jeśli sprawa naprawdę jest ważna, to szef ukręci jej łeb, że zawraca mu głowę telefonami, zamiast działać. Z drugiej strony nie było dla nikogo tajemnicą, że rano, gdy tylko może, odwiedza Kałasznikową.

- No dobrze... - zaczęła niepewnie po chwili. - Prawdopodobnie będziecie mogli go znaleźć w Szpitalu Bielańskim.

- Uprzejmie pani dziękujemy.

Mateusz Karasowicz skończył wypisywanie karteczki z życzeniami powrotu do zdrowia i wpiął ją niezdarnie w folię osłaniającą kwiaty. Żałował, że nie znalazł na to czasu wcześniej, ale zawsze lepiej późno niż wcale. Kto wie, może niedługo zaczną ją wybudzać? Pięć czerwonych róż było już gotowych. Zwykle robiła to za niego poczta kwiatowa lub, przy ważniejszych okazjach, asystentka. On sam ostatnim razem pakował kwiaty, gdy... Potrząsnął głową, odpędzając od siebie złe wspomnienia. A jednak, pomimo upływu lat, pamiętał każdy szczegół z tamtego dnia.

Też pakował wtedy róże. Olbrzymi bukiet krwistoczerwonych róż, które jego żona uwielbiała. Wsiadł do auta. Buty miał wówczas ubłocone, ale postanowił nie tracić czasu na ich czyszczenie. Wyjechał z garażu. Od pierwszego skrzyżowania prawie do samego szpitala włókł się czterdzieści na godzinę za czerwonym passatem

prowadzonym przez podstarzałą blondynkę. Wyprzedzić nie było jak, a i trąbienie przynosiło efekt przeciwny do oczekiwanego. Może gdyby wyprzedził i rozbił się, byłoby mu łatwiej...? Na zewnątrz było ciepło, jakieś dwadzieścia stopni. Wiał lekki wiatr. Facet na portierni miał taki idiotyczny rudy zarost. Karasowicz poszedł prosto korytarzem w kierunku oddziału, na którym miały leżeć jego żona i córka. I wtedy z sali wyszedł lekarz. To spojrzenie, gdy ich wzrok się spotkał... Później padły i słowa, ale on już wiedział. Tego dnia cały jego świat się zawalił. Tuż po tym zapadł jakby w odrętwienie. Wszystko stało się magicznie nierealne. Świat się skończył. Została pustka, samotność i ból.

Drgnął i spojrzał na bukiet. Wziął go do ręki, otworzył stopą kubeł na śmieci i wrzucił kwiaty do środka. Chwycił z biurka portfel, kluczyki i ruszył ku drzwiom.

- Będę najpóźniej za dwie godziny - rzucił asystentce i nie czekając na falę protestów, wszedł do windy.

Dojazd do Szpitala Bielańskiego zajął im blisko pięćdziesiąt minut, z przesiadką na rondzie Radosława. Przynajmniej nie musimy szukać właściwego przystanku, pomyślał Piotr, zerkając na nazwę kolejnego: „Szpital Bielański”. Okolicę ulicy Marymonckiej zawsze uważał za dziką. I to pomimo, a może właśnie dlatego, że mieściły się w tej okolicy siedziby tak szacowne instytucje jak Akademia Wychowania Fizycznego czy Akademia Teologii Katolickiej, obecnie Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Absolwentów obu uczelni uważał za ludzi jakby lepszych od innych. A na pewno od niego. Jego znajomość sportu kończyła się na grze w piłkę i chodzeniu na siłownię, a do kościoła... no cóż. Trzeba mieć ciało jak cyborg lub być porządnie uduchowionym, żeby robić tam dyplomy.

Wysiedli i przeszli na drugą stronę ulicy. Byli w połowie drogi, gdy Zosia zauważyła Lipińskiego wchodzącego do szpitala. Ruszyli za nim.

Twarz miała wciąż bladą, ale spokojną, pozbawioną grymasu bólu. Regularny oddech świadczył o stabilnym stanie pacjentki, na bieżąco monitorowanym przez stojący na szafie kardiomonitor, który wskazywał pięćdziesiąt uderzeń na minutę. Nie tak źle, jak na stan śpiączki farmakologicznej, w który ją wprowadzono.

Zaraz po wyjściu pielęgniarki, opłacanej zresztą przez niego, podobnie jak osobny pokój, zerknął na kartę choroby. Złamany bark, pęknięta kość obojczykowa, uszkodzona trzustka, wstrząśnienie mózgu i rozległy - ale na szczęście już opanowany - krwotok wewnętrzny.

- Wyjdiesz z tego. - Delikatnie ujął jej dłoń, ostrożnie omijając wenflon, przez który powoli, ale miarowo, sączy! się do krwi z podwieszanej butli białawy płyn.

Nie potrafi! sobie wytłumaczyć, dlaczego tak bardzo przejął się wypadkiem ledwie poznanej dziennikarki. Na dole w sklepiku kupił czekoladki. Po co? Przecież i tak ich nie zje w takim stanie... Patrząc na jej zamknięte powieki, czuł się odpowiedzialny. Ale nie, nie za wypadek. O ile to był wypadek, poprawił się.

Czul się odpowiedzialny w innym sensie. Jak... jak za kogoś bliskiego?

- Chyba jednak błędzisz, chłopcze - mruknął do siebie i już zamierza! wstać, gdy drzwi pokoju skrzypnęły w charakterystyczny sposób.

W wejściu stanął mężczyzna z bukietem żółtych tulipanów, na którego twarzy najpierw odmalowało się zdziwienie, zastąpione po sekundzie pochmurnym grymasem.

- Pan tutaj? - Lipiński zaczął sucho. - Co pan tu robi?

Biznesmen odpowiedział dopiero po chwili, jakby próbował wyszukać w pamięci nazwisko niespodziewanego gościa.

- Dzień dobry, panie redaktorze. Zdaje się, że mamy wspólną znajomą.

- Taaak... - Nowo przybyły zawiesił na chwilę głos, podchodząc do łóżka pacjentki z drugiej strony. - To miło z pana strony, że tak pan zadbał o leczenie Anny.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzeki Karaso- wicz i sięgnął po teczkę. - Pójdę już.

Ruszył ku drzwiom, ale zatrzyma! się.

- Nie wiem, jakich ma pan informatorów - odwrócił się do Lipińskiego - ale ten paszkwil na moją firmę był zupełnie zbędny. I bezcelowy, tak przy okazji.

- Doprawdy?

- Naturalnie, inwestorzy nie pałali optymizmem. Ale powinien pan wiedzieć, że nie zrobiłem niczego, czego mógłbym się wstydić.

- Ach tak? - Oczy Lipińskiego prawie wwiercały się w rozmówcę. - A to? - wskazał na leżącą.

Biznesmen otworzył szeroko oczy.

- Słucham?!

- Spotkaliście się przed wypadkiem. A mimo to wyparł się pan tej znajomości. Wyrzuty sumienia nie mogą panu dawać spać, skoro Anna ma tak dobrze opłaconą opiekę lekarską.

Tamten drgnął, chciał coś powiedzieć, ale tylko wolno wypuścił powietrze. Popatrzył na redaktora ze smutkiem.

- Musi pan mieć albo bardzo ubogie życie, albo bardzo mało w ogóle o nim wiedzieć, skoro spotkał pan tak niewielu życzliwych ludzi.

I wyszedł.

Piotr i Zosia, skryci za framugą, przysłuchiwali się rozmowie. Gdy biznesmen pojawił się w drzwiach, chłopak wyskoczył i złapał mężczyznę za przedramię.

- Przepraszam pana. Czy mógłbym...?

- Nie! Spadaj! - warknął Karasowicz, wyszarpnął się i odpędził Piotra ręką jak brzęczącą muchę.

- Ale ja w sprawie tej dziennikarki! - krzyknął za nim.

Biznesmen zatrzymał się i odwrócił do nich.

- Co, wy też chcecie dobrać mi się do tyłka i powiesić za jaja na pierwszej stronie? Skąd tym razem? Z „Wyborczej”?!
I ruszył szybciej przed siebie. Jeszcze jakichś cholernych natrętów mu brakowało.

- Nie! Chodzi o giełdę! - Piotr nie zrezygnował i podbiegł za nim. - I manipulacje!

- Nie jesteśmy z prasy! - krzyknęła Zosia.

Karasowicz stanął.

- To kim jesteście? - westchnął, przecierając palcami oczy.

- Jak widać, ludźmi. - Tamten spojrzał na niego krzywo, ale Piotr mówił dalej spokojnie: - Staramy się dociec, o co tak naprawdę chodzi w tym całym bałaganie.

- Mówił pan, że spotkał się z tą dziennikarką. Ona pracowała nad sprawą KNF, prawda? - dodała Zosia.

- A teraz szef KNF jest oskarżony o pomoc przy przejściach spółek z GPW, manipulacjach i jeszcze tych pozwach.

- Boże, o czym wy... o pozwach? Jakich pozwach?

Spojrzeli po sobie. Była to informacja niejawna, ale z drugiej strony...

- No, prawdopodobnie pomagał inwestorom w pisaniu pozwu zbiorowego przeciwko KNF... - zaczął Piotr - Słyszał pan?

- Tak, ale... - Karasowicz pokiwał głową. - To jakaś pomyłka. Jesteście pewni, że chodzi o Dostańskiego?

- Tak.

- Niemożliwe. - Uśmiechnął się z politowaniem. Jego reakcja całkowicie zbiła ich z tropu. - Dostański nie doradziłby nawet matce, jak napisać umowę pożyczki. Jest kompletnym zerem w kwestiach prawnych. Jak myślicie, dlaczego w KNF pałęta się tylu prawników? Jego ułomność prawna jest już dobrem narodowym.

- I co teraz zrobimy? - Szli wolno w kierunku przystanku. Mateusz Karasowicz zaproponował, że ich podwiezie do centrum, ale grzecznie odmówili. Odpuścili sobie nawet Lipińskiego. Zawsze mogli go złapać w redakcji, a teraz musieli przede wszystkim spokojnie pomyśleć.

- Jeden punkt mamy. Trzeba zająć się kolejnym. - To mówiąc, Piotr wyciągnął komórkę. Jakaś myśl kołatała mu w głowie, ale miał problem z jej sprecyzowaniem. Po chwili w głośniczku rozległ się znajomy głos.

- Halo? Cześć, Michał, możesz? - Machnął ręką w stronę Zosi i odszedł kilka metrów. - Słuchaj, mam do ciebie prośbę. Ta sprawa KNF, o której mi mówiłeś...

Dziewczyna patrzyła w jego stronę, ale był zbyt daleko, żeby słyszała, o czym mówi. Po minie widać było, że usilnie namawia do czegoś przyjaciela. Wrócił po kilku minutach.

- Załatwione. O trzynastej mamy być w komisariacie.

- Ooo, stawiamy się na przesłuchanie? - Choć uśmiechnęła się, w jej głosie dawało się wyczuć niepokój.

- Tak jakby. - Piotr ponownie wystukał coś na telefonie. - Najpierw jednak zamówię taksówkę. Dwie przejażdżki komunikacją miejską dziennie stanowczo mi wystarczą.

Komisariat wyglądał na wyludniony. Większość funkcjonariuszy była na służbie, a reszta poszła na lunch. Smoliński przeprowadził ich przez wykrywacz metali i wpuścił do maleńkiej salki z boku korytarza.

- Nasz pokój szybkich przesłuchań. Jest dźwięko- szczelny - dodał.

- Masz wszystko? - spytał Piotr.

- Jasne. Tylko będziesz mi to później musiał solidnie umotywić. Nie można bezkarnie wnosić dowodów.

- Nie wносиłeś, tylko...

- ... skopiowałem. To to samo. - Michał wzruszył ramionami i wstukał kilka poleceń na klawiaturze.

Nagle z korytarza dobiegło jakieś poruszenie i gwar podniesionych głosów.

- Czekajcie chwilę - burknął policjant, wstał i wyszedł.

- O co tu chodzi? - Zosia była zdziwiona i zaskoczona całą sytuacją.

- Na razie nie wiem... - Piotr zamyślił się. Ze słów Karasowicza wynikało, że Dostański nie mógł być zamieszany w pozwy. A to oznaczało, że został wrobiony. Przez kogo i dlaczego? A jeśli biznesmen kłamał? No właśnie, tylko po co? Chciał kogoś chronić? Przecież spółki Karasowicza też oberwały... A jeśli mówił prawdę? Co ona właściwie oznaczała?

Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Michał.

- No, padniecie zaraz... - Uśmiechnął się i przesunął się na bok. W wejściu ukazał się młody mężczyzna. Miał na sobie lekko wygniecioną marynarkę i zapiętą pod szyję koszulę. Wyglądał na trochę zdenerwowanego, a na pewno przejętego całą sytuacją.

- Proszę usiąść - polecił Michał, wskazując na krzesło, po czym zwrócił się do Piotra i Zosi. - Jak usłyszycie to, co ja, zemdlejecie.

- Jeszcze raz - rzekł Piotr, starając się nie uronić ani sekundy z opowieści maklera. To, co usłyszał: że jeden z subfunduszy Costel Rossell Funds - funduszu Krzysztofa! - i rachunek maklerski Waldemara Dostańskiego miały identyczne wyciągi, było tak

niewiarygodne, że potrzebował kilku chwil na przetrawienie informacji.

- Tak to wygląda - powtórzy! Karol Lewiński. Przez całą noc myślał, co zrobić z faktami, do których dotarł. Koniec końców zdecydował się nie angażować w to przełożonego, bo przecież dostęp do rachunku maklerskiego Dostańskiego uzyskał niezupełnie legalnie, głównie dzięki znajomościom. Wpadł więc na pomysł, żeby pójść na policję i poprosić o zachowanie anonimowości.

- Nie ma co, ale jaja! - Smoliński pokiwał głową. - Zagraniczny fundusz finansuje przekręty szefa KNF. Takiego numeru jeszcze nie było.

Piotr patrzył na niego, ale nic nie powiedział. Nadal nie wszystko mu pasowało. Skoro było tak, jak mówił Michał, to dlaczego Dostański przerodził się ze sprawcy w ofiarę? Jaki interes miał w tym Krzysztof? Dlaczego szef KNF miałby zostać umoczone w sprawy manipulacji na GPW i przenosić spółkę na zagraniczne giełdy? A pozwy? Mogli z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że w to ostatnie nie był zamieszany. A to oznacza, że...

Policjant wstał i wyprowadził Lewińskiego na przesłuchanie i spisanie zeznań. Wrócił po kilku minutach.

- Michał... - zaczął wolno Piotr, gdy ten usiadł. - Jak zidentyfikowano Dostańskiego? No wiesz, w sprawie manipulacji.

- Po wyciągu z rachunku - odpowiedział rzeczowo Smoliński. - No i miejscu składania zleceń. Wszystko było robione online, nietrudne do wychwycenia.

- Po rachunku, którego historia pokrywa się z historią rachunku funduszu. - Piotr zawahał się. Czy jego teoria miała uzasadnienie? A z drugiej strony co miał do stracenia? - A gdyby ktoś się podszył...?

- Nie... niemożliwe - odparł policjant. - Trzeba by obejść wszystkie zabezpieczenia i systemy ochrony IT komisji. No i zrobić to tak, żeby nikt się nie połapał. Mówisz prawie o zdalnym sterowaniu!

- Chyba że ktoś miałby środki i informacje o operacjach, prawda?

Mężczyźni patrzyli na siebie przez chwilę, aż oczy Smolińskiego gwałtownie się rozszerzyły.

- Nie mówisz poważnie?

- A sprawdź. - Piotr usiadł i zaczął z niecierpliwości bębnić palcami w blat. Gdyby się okazało, że miał rację, to co? To by pasowało... podwójna tożsamość, podwójna gra.

- Stąd nie mam dostępu do wszystkich danych, ale wciąż... aktywne... kody... sierżanta... więc... - Policjant stukał na klawiaturze i mruzczał pod nosem: - Nie wiem, czego oczekujesz, ale... *Ofuck!*

Piotr i Zosia poderwali się jak na zawołanie.

- *Ofiick!* Ja pierdolę!!! - Smoliński opadł na krzesło.

- No i?! Mów!

Policjant wskazał palcem na jedno z okienek.

- Tutaj. Zobacz. - Rozgorączkowany wpatrywał się w monitor. - W systemie Dostańskiego jest ślad po obecności dwóch operatorów. - Widząc pytanie na ich twarzy, wytłumaczył: - Czyli sytuacja, w której przy komputerze pracuje jedna osoba i jednocześnie zdalnie druga. Jak oni to zrobili?! Cholera! Miałeś rację. Miałeś cholerną rację! Wrabiają go! Niesłychane, że umknęło to śledczym.

- Chyba że miało umknąć - mruknął Piotr i patrzył na okienko. Zawierało numer IP pisany cyframi arabskimi. Reszta była zapisana inaczej.

- Cyrylica? - spytał zdziwiony.

- Yhm. - Smoliński zmrużył oczy. - Sygnał pochodzi z Rosji. Z Biura Analiz OAF. A dokładniej... - Jego palce znów zatańczyły na klawiaturze. - Od Wiery Kierienko.

Wyszli z komisariatu po siedemnastej. W holu zaczynało się robić tłoczno, a i Smoliński musiał wrócić do swoich codziennych obowiązków, zbierając przy tym burę od przełożonego. Plus taki, że zdążyli jeszcze wyszperać coś niecoś na temat tego całego OAF... tyle że równie dużo mogliby dowiedzieć się z Wikipedii. Ot, tajna komórka działająca na polu finansowym, przeżywająca rozkwit w czasach ZSRR, obecnie zmarginalizowana. Tylko co miała wspólnego z Dostańskim i Krzysztofem? Dlaczego Krzysztof chciał inwestować w Polsce, skoro sam spowodował krach na GPW? Piotr miał wrażenie, że zamiast zbliżać się do rozwiązania, coraz bardziej pograża się w chaosie faktów i przypuszczeń. Musiał zebrać myśli.

Usiedli w Coffee Heaven przy placu Trzech Krzyży i zamówili po dużej cafe latte oraz czekoladowej muffince. Całkowicie pochłonięci informacjami, do których dotarli, nie zdawali sobie sprawy z tego, jak bardzo byli głodni. Po chwili kelnerka niosła im jeszcze wrapy i grillowane kanapki. Swoją drogą dziwne, pomyślał Piotr, przeżuując pszenną tortillę z kurczakiem, że zrezygnowali tu z samoobsługi. Może to efekt zlokalizowanego po sąsiedzku Starbucksa?

Po zaspokojeniu pierwszego głodu wrócił do swoich rozważań. Po kolei, tłumaczył sobie.

- Więc mamy - szepnął do Zosi - jakąś rosyjską jednostkę zamiesznaną w manipulacje na GPW lub wrobiecie w to Dostańskiego. Co na jedno wychodzi.

- Zgadza się. - Zosia pochłaniała wielki kawałek kanapki.

- Możemy przyjąć, że równie prawdopodobne jest wrobiecie Dostańskiego w inne sprawy. Przez... Krzysztofa? Tylko co do tego ma Rosja?

- Bo ja wiem. - Wzruszyła ramionami. - Krzysztof zna się na ruskich. Przecież sam mówiłeś, że zatrudnia jednego.

Piotr popatrzył na nią uważnie. Ruski. Pieniądze utknęły w Rosji. Czyżby więc...

- Masz numer do Eli, tej swojej koleżanki z komisji? - spytał po chwili.

- Jasne, a co?

- Dzwon. Musi coś nam szybko sprawdzić.

Luftwaffe miała za zadanie jedynie patrolować okolicę w pobliżu Strasburga, gdzie po stronie francuskiej zanotowano znaczną mobilizację sił lądowych i powietrznych. Strzelać - co pilotom zaznaczono wyraźnie na odprawie - wolno było w ostateczności, w obronie własnej. Żadnych popisów i prowokacji. Czysty profesjonalizm.

Jak wszyscy wojskowi, również niemieccy generałowie uważali, że politycy nazbyt emocjonalnie podchodzą do tematu wojny. Jak gdyby można było rozpocząć ją jednego dnia, a kolejnego zakończyć, jak partyjkę pokera. Tymczasem nie dość, że wojna trwała całe dni i tygodnie, to jeszcze, inaczej niż w karcianej rozgrywce, pochłaniała nie tylko pieniądze, ale przelewała prawdziwą ludzką krew.

Być może zareagowaliby jakoś, gdyby wiedzieli, że ich francuscy koledzy mieli zupełnie inne rozkazy.

Piloci Luftwaffe wsiedli w swoje maszyny i kolejno parami startowali. Niebo było ciemne, ale bezchmurne. Nów nie ułatwiał nawigacji, ale też dzięki automatycznemu wspomaganiamu pilotowania przez komputery nie stanowiło to poważniejszego problemu. Po przyjęciu szyku trzech dwójek odlecieli w kierunku północno-zachodnim.

Na pierwszy kontakt natrafili już po kilku minutach. Radar wskazał na *dassault* rafale. Były to dwusilnikowe wielozadaniowe myśliwce ze skrzydłami typu delta, nazywane często największym osiągnięciem francuskiego przemysłu lotniczego.

Pilot z pierwszego rzędu podniósł słuchawkę, by wywołać francuskiego pilota, gdy nagle na pulpicie zabłysła mu czerwona lampka sygnalizująca, iż samolot został namierzony.

- *Zieh Leine! Willst du eine gescheuert! Ich knall' dir gleich eine!* - Siarczyste przekleństwa były jego ostatnimi słowami. Po chwili samolot eksplodował, a lecący obok pilot nie zdążył zareagować prawidłowo i w skrzydło jego myśliwca uderzył wirujący w nieładzie wrak. Oba samoloty runęły na ziemię.

Pierwszy odezwał się telefon w sztabie niemieckim.

- *Bonsoir* - głos w słuchawce był pozbawiony jakichkolwiek emocji - przekroczyliście granicę francusko-nie- miecką. To było tylko ostrzeżenie.

- Ale to wasze myśliwce pierwsze nas zaatakowały! - ryknął niemiecki dowódca. - Bez ostrzeżenia! Zestrzeliliście dwa nasze samoloty!

- To było zaskoczenia, *monsieur*. Radzę podejmować rozsądne decyzje.

Francuski generał odłożył słuchawkę i zerknął na wschód. Jego dziadek zginął wiosną 1940 roku, broniąc okolic Renu, a ojciec wrócił z wojny bez nogi. Nie pozwolił żadnemu Szwabowi wejść na swoją ziemię.

- Przygotować piechotę - rzekł po chwili do oficera sztabowego. - I wyślij jakiś nieduży oddział na zwiad. Niech no sprawdzą, co tamci knują za naszymi plecami.

- Panie premierze, panie premierze!
- Tak? Hm? Co tam? Już, już... - John Brown podniósł się z łóżka, i biorąc do ręki podane przez asystenta kartki, pomyślał jeszcze, że premier powinien otrzymywać specjalny dodatek zdrowotny do emerytury.
- Zaraz, zaraz... Co to jest?!
- Chwilę temu przyszło z wywiadu, sir. Starcie powietrzne na linii francusko-niemieckiej.
- RAF w pogotowiu?
- Tak, sir.
- Dobrze. Niech oblecą wysepkę. - Usiadł na łóżku. Wciąż kręciło mu się w głowie. Boże, czy Churchilla też budzili w nocy? - A teraz ściągnaj mi tu ministra obrony. Włożył kapcie i ruszył do łazienki.

Pojedyncze wymiany ognia nie napawały optymizmem, ale też nie były powodem do ukrywania się w schronie. Wojna, nie wojna, obie strony będą się starały zachować minimum trzeźwości. Na horyzoncie oprócz obcych samolotów zwiadowczych pojawił się jeszcze inny problem. Finanse.

Brown przetaił okulary i wziął do ręki raport od Win- stona Clarka. Z chęcią sam by go tu ściągnął, ale czwarta trzydzieści to barbarzyńska godzina pracy, nawet jak dla szefa LSE. Blokada kapitału i rozpoczęte działania militarne na dobre odstraszyły inwestorów ze Stanów i z Azji, a rodzimi przedsiębiorcy woleli upychać funty w skarpetki, niż inwestować w niepewne interesy. Obroty giełdy spadły o jedną trzecią. A co gorsza, w sklepach zaczynało brakować niektórych produktów.

Wyjście floty francuskiej w morze nie oznaczało od razu blokady kontynentalnej Wielkiej Brytanii, ale znacznie ograniczało jej morską wymianę handlową. Eksport i import z Francji i Niemiec zostały zawieszony, a z Hiszpanii, Portugalii i innych państw docierały jedynie te jednostki, które należały do największych firm na świecie, albo które musiały otrzymać płatności. Wszystkie inne opóźniały dostawy lub je odwoływały. W końcu kto by się pchał na teren wojny? Kilkaset statków tkwiło więc w dokach, czekając na zakończenie konfliktu. Na to jednak nic nie wskazywało.

Jak tak dalej pójdzie, pomyślał zasmucony premier Wielkiej Brytanii, to cofniemy się do czasów Adama Smitha i bogactwa narodów. Niech no ktoś mocno uderzy wszystkich po głowie, bo zaraz zaczniemy grozić sobie atomówkami. Ale myśl tę zachował dla siebie.

Na głos powiedział to prezydent Francji.

ROZDZIAŁ XX

Byki i niedźwiedzie

Jacques Mont stał samotnie na tle wielkiego obrazu w sali konferencyjnej. Choć mówił spokojnie, wyraz twarzy miał beznamiętny, czuł, jak w środku mu się skręcają flaki. Boże, pomyślał, obym dobrze czynił!

- Żaden europejski kraj nie ma prawa nastawać na suwerenność innego państwa - mówił. - Agresja, jaka spotyka nas przez ostatnie dni ze strony niemieckiej, jest nie tylko nieuzasadniona, ale także, ze względu na ofiary w ludziach, godna potępienia. Jako prezydent Republiki Francuskiej oświadczam, że nie będziemy tolerować wrogich działań na swoim terytorium. Dlatego wobec widocznej eskalacji konfliktu ze strony Republiki Federalnej Niemiec, atakującej jednostki piechoty francuskiej, zdecydowałem się podnieść stan gotowości uzbrojenia wyrzutni pocisków z głowicami jądrowymi.

Gdy Mont wypowiedział ostatnie słowa swojego oświadczenia, w sali zapadła cisza. Nikt nie bił braw, ale też nie dało się usłyszeć gwizdów ani wyzwisk. Czy miał wybór? Ponoć każdy człowiek go ma. Tylko czy mógłby potem spojrzeć sobie w oczy? Czyż nie chodziło o przyszłość jego kraju i rodaków? O bycie pariasem albo mocarstwem?

Mont zszedł z podium i ruszył w kierunku drzwi. Przechodząc, usłyszał nagłe szepty montażystów i obsługi. Jedna z dłoni chwyciła go mocniej, a czyjeś usta prawie cmoknęły go w policzek. Już miał zaprotestować, gdy usłyszał.

- Panie prezydencie, mamy nowy problem.

Nagły i szybki zwrot na scenie politycznej zepchnął we Francji rynki finansowe na dalszy plan, a prawo i przepisy do rezerwy. Oczywiście giełdowi spece wciąż ślęczeli dzień i noc, doradzając klientom najkorzystniejsze inwestycje, a analitycy tworzyli coraz to nowsze formacje z układów indeksów. Choć wszyscy eksperci głowili się nad analizami, to, jak do tej pory niewielu dostrzegało główny trend. Trwała wojna, a wojna oznaczała znaczne przesunięcie priorytetów na rzecz produkcji. Informacje o spadkach inwestycji wtopiły się w tło innych zdarzeń.

Jednak któregoś wieczoru młody analityk z Ministerstwa Gospodarki dostał zadanie zweryfikowania danych inwestycyjnych we Francji z poprzednich okresów i porównania ich z danymi państw ościennych. Ponieważ był na stażu, wykonał swoją pracę tak starannie, że porównał dane nie tylko z sąsiadami Francji, ale ze wszystkimi

europijskimi krajami. Nie wiedząc, jaką bombę niesie, przesłał szefowi swoje wypociny.

Po godzinie wykresy analizował już prezydent Mont.

- Nie, nie może być.... - mrucał.

- Dane same na to wskazują - zauważył jeden z jego doradców.

- Widzę, ośle! - warknął prezydent. - Tylko że nie chce mi się wierzyć...

Ale wszystko układało się w jednolitą całość. Najpierw Polacy forsowali tę pieprzoną ustawę o rajach podatkowych, a teraz spijali śmietankę! - pomyślał. Nie tylko ściągnęli kasę z naszych kolonii, ale i od naszych inwestorów. A dlaczego? Bo inwestorzy uciekają przed wojną, która przecież rozpoczęta się właśnie z powodu tej ustawy!!!

Ostatnie słowa, które zakolatały mu w głowie, tak nim wstrząsnęły, że walnął z całej siły pięścią w stół.

- Niech to szlag!

Pierwsze zareagowały receptory węchowe. Zgrupowane w dwa obszary o powierzchni zaledwie 2,5 cm kwadratowego każdy, zawierają przeciętnie około 50 milionów komórek receptorowych. Z receptorów impuls nerwowy został przekazany do opuszki węchowej, będącej częścią węchomózgowia i dalej kresomózgowia nadzorującego większość czynności fizycznych i psychicznych człowieka. Doprowadziło to do pobudzenia neurytów, których kresomózgowie skupia ponad połowę, a te z kolei rozpoczęły przekazywanie informacji z ciał innych komórek do kolejnych neuronów i komórek efektorowych, w tym również mięśniowych.

Najpierw drgnął palec wskazujący. Po chwili z największym wysiłkiem otworzyła jedno oko, starając się zlokalizować zapach, który tak pobudził jej organizm. Jednakże film jak gdyby nagle przyśpieszył, zakręciło się jej w głowie i opadła wyczerpana na poduszkę, nie słysząc już krzyków: Panie doktorze, obudziła się!

- To ona.

- Odbieraj. - Miną zaledwie kwadrans, ale widać KNF potrafiło szybko pracować, kiedy było trzeba.

Zosia położyła telefon na stole.

- Tak, Elu? Jesteś na głośnomówiącym. Jest ze mną Piotr Mylczek.

- Taaak? Aaa - zabrzmiał zdziwiony głos. Kobieta jednak szybko wróciła do meritum sprawy. Na szczęście, pomyślała Zosia. - Nasz system działa rewelacyjnie. Słuchaj, tylko czy jesteś pewna, że mogę...?

- Do rzeczy, kochana. - W głosie Zosi dało się wyczuć zniecierpliwienie.

- Okej. Dostański jest w Rosji, a dokładnie w Moskwie.
- Jesteś pewna?
- Tak. Lot numer L04577. Rezerwacja potwierdzona.
- A ten drugi?
- No właśnie. W rejestrze nie ma kogoś takiego jak Cavasky.
- Czekaj. - Zosia zamyśliła się chwilę. Czy to możliwe, aby był aż tak bezczelny? - Spróbuj Kawecki. Przez K jak Krzysztof i W jak Weronika.
- Już... sekundę... Mam. Ooo. Też był w Moskwie. Według spisu tydzień temu. A odleciał...

- ... do Francji.
- Zgadza się. - Kobieta milczała przez chwilę. - Zosia, o co chodzi? Co się dzieje?
- Spokojnie, wszystko jest okej. Dobrze się spisałaś. Dzięki. Trzymaj się.
Rozłączyła się. Żałowała, że nie mogła powiedzieć więcej przyjaciółce, która była równie zaangażowana w tę dziwną historię jak oni. Ale chociaż dobrze, że Ela pozbiierała się i wróciła do pracy, pomyślała. Bezczytność jest gorsza od choroby. Tymczasem mieli kolejny punkt zaczepienia. Tak?

Spojrzała na swojego towarzysza. Piotr wpatrywał się w resztkę płynu na dnie szklanki.

- Co dalej?
Nie odpowiedział od razu. Pomyślał, że Krzysztof prawdopodobnie spowodował manipulację na warszawskiej giełdzie i zrobił w to Dostańskiego, a następnie mamił wszystkich wizją olbrzymich inwestycji, doprowadzając do konfliktu na skalę całej Europy, żeby wreszcie ukryć wszystkie finanse w Rosji, był zbyt bolesny, żeby go od razu zaakceptować.

- Musimy dostać się jakoś do premiera - rzekł po chwili.

W niedużej salce konferencyjnej było szaro od nadmiaru dymu papierosowego. Spece z lat dziewięćdziesiątych, którzy remontowali budynek, nie przewidzieli takich kryzysów politycznych, bo i klimatyzacja działałaby sprawniej, i pokój sytuacyjny mieliby z prawdziwego zdarzenia. A tak, to nie dość, że dusili się w smrodzie oparów z własnych płuc, to jeszcze czuli coraz dotkliwiej pot swoich sąsiadów. Może to i lepiej? Trzeba zrobić przerwę, a na świeżym powietrzu lepiej się myśli.

- Bogusław, to co jeszcze mamy? - spytał Antoni Riks. Oprócz niego w pokoju znajdowali się prezes GPW, minister obrony narodowej oraz minister finansów. Ten ostatni przyszedł chwilę wcześniej.

- Właśnie doniesiono nam o wyprzedaży polskich obligacji przez francuskie banki. - Mężczyzna usiadł i rozłożył papiery. - Z punktu widzenia rynkowego nic nie uzasadnia takich transakcji, więc...

- ...to kwestia polityczna. - Premier poczuł się nagle zmęczony. Wcisnął guzik na aparacie. - Kasiu, połącz mnie proszę z prezydentem Francji. Nie, odbiorę tutaj.

Jako jeden z nielicznych premierów starał się nie unikać prowadzenia poważnych dyskusji w obecności swoich ministrów. Dostęp do poufnych informacji był jednak transakcją związaną. Nie tylko dawał im dowód swojego zaufania, ale także obarczał współodpowiedzialnością za podejmowane decyzje. Dzięki temu, tłumaczył sobie, miał kolejne minimum pewności, że każdy z jego podwładnych będzie przykładał się do swojej roboty jak należy.

- Panie premierze - rozległo się po chwili w głośniczku - prezydent Mont na linii.

- Halo? - Premier sięgnął po słuchawkę. Przełączenie rozmówcy na tryb głośnomówiący byłoby przejawem arogancji.

- Witam, panie premierze. Z jakiegoż to powodu pan dzwoni? - Ton głosu Monta nie pozostawiał żadnych wątpliwości, kto będzie górą w tej rozmowie. A jednak sprawę należało rozgryźć delikatnie.

- Cóż, sezon zimowych wyprzedaży mamy już za sobą, a na letnie trzeba jeszcze poczekać. Chciałem się więc dowiedzieć, skąd ta nagła panika w kwestii naszych papierów...

- Zmieniamy portfolio - rzekł prezydent Francji. - Rozumiesz, że w obecnej sytuacji nie możemy sobie pozwolić na trzymanie zbędnych walorów.

- Ależ nasze obligacje mają dobre notowania.

- Pewnie dzięki kasie z rajów podatkowych, która nagle dziwnym trafem zaczęła sphywać tylko do was, Antoni.

- Nie rozumiem.

- Okłamałeś nas. Tylko wy odnosicie korzyści, podczas gdy moi chłopcy latają z karabinkami po polach.

- Jacques, rynki finansowe są niezależne. Nie mam wpływu na to, gdzie firma X zdeponuje swoje fundusze.

- Proszę się zdecydować, po czyjej jest pan stronie, monsieur Riks.

- Nie ma stron, panie prezydencie. Jest tylko jakieś nieporozumienie. - Głos polskiego premiera był spokojny i opanowany. - To, o czym pan mówi w sprawie funduszu Costel oraz rajów podatkowych, to czysta insynuacja. Nic takiego nie miało miejsca i obaj o tym wiemy. A obecne napięcie w sytuacji politycznej jest raczej efektem nieroztropnych decyzji aniżeli błędnych przepisów prawnych.

- Jak możesz! Riks, twoje państwo nie jest neutralne!

- Nie angażujemy się w WASZ spór.

- My widzimy to inaczej. Jesteście małym krajem, Antoni.

Riks odpowiedział po chwili.

- Sugerujesz zbrojną napaść na mój kraj?

- Trwa wojna.

- W której nie będzie ani wygranych, ani przegranych.

- Jak uważasz. Ale wiesz, jak na tym skorzystać. To się jednak zmieni. Do widzenia.

Riks rzucił słuchawką, aż trzask odbił się echem. Wstał i zaczął krążyć po pokoju, ciskając obelgami, gdy nagle wpadł jeden z asystentów z faksem, rozejrzał się i ruszył w kierunku ministra obrony narodowej. Smuka wstał i przeleciał wzrokiem tekst.

- Co to jest? - spytał premier.

- Według... według tej informacji znajdujemy się w stanie wojny z Francją. - Twarz ministra obrony nagle przybrała kolor czytanego przezeń papieru.

Droga do Alei Ujazdowskich dłużyła im się niemiłosiernie, chociaż mieli do przejechania zaledwie jeden przystanek. Wysiedli na placu Na Rozdrożu i resztę drogi przeszli pieszo. Weszli do kancelarii i po dokładnym sprawdzeniu przez ochronę ruszyli w stronę recepcji.

- Niestety, nie mogę państwa wpuścić - odpowiedziała po chwili młoda sekretarka. Wyglądała na dwadzieścia pięć, może dwadzieścia siedem lat, ale swoim zachowaniem i postawą przywodziła na myśl starą nauczycielkę: Nie, bo nie. Elastyczności to tu nie uczyli.

Podobnie jak myślenia.

- Pani nie rozumie, my musimy porozmawiać z premierem. Tu chodzi o fundusz Costel Rossell Funds...

- Mam polecenie, aby nikogo nie wpuszczać. Tym bardziej nieumówionych gości. - Kobieta przełożyła kolejne papiery na maleńkim biurczku.

- Ale przecież od wczoraj jest tam mój szef, Robert Cavasky. Może pani sprawdzić!

- Od wczoraj pan premier jest na spotkaniach z ministrami. Zapewniam, że nia ma tam żadnej osoby postronnej.

- Proszę pani...!

- Proszę się uspokoić albo wezwę ochronę. - Głos kobiety nadal był stonowany, ale jej ręka powędrowała pod blat biurka. Piotr kątem oka zauważył, że w ich stronę rusza jeden z umundurowanych strażników.

- Wszystko w porządku - usłyszał nagle za plecami. Odwrócili się jak na zawołanie. Z holu wejściowego zmierzał w ich stronę Krzysztof. - Oni są ze mną. Proszę zawiadomić premiera. Robert Cavasky z osobami towarzyszącymi. - Jego spojrzenie powędrowało w stronę córki. Uśmiechnął się. Ale Piotr miał wrażenie, że ten grymas był podszyty jeszcze innymi emocjami. Satysfakcją...?

Weszli w sam środek brzęczącego ula. Poziom decybeli po otwarciu dźwiękoszczelnych drzwi kompletnie ich zaskoczył i oszołomił tak, że stanęli jak wryci.

Kilku mężczyzn jednocześnie perorowało przez telefony, premier próbował ich przekrzykiwać, wydając polecenia lub zadając pytania.

- Na miłość boską, Kazimierz! - wrzasnął w końcu. - Do mojego gabinetu! Tutaj własnych myśli nie słyszę!

Minister obrony, wciąż ze słuchawką przy uchu, zgarnął ze stołu teczkę i ruszył w kierunku drzwi, nie zwracając uwagi na nowo przybyłych.

Premier za to zerknął w ich kierunku.

- A, to ty, Robert. - Podszedł do niego i uścisnął wyciągniętą rękę. - Dziś, widzę, w większym składzie?

- Tak, to moja...

- Wolałbym mieć lepsze okoliczności na nawiązywanie nowych znajomości. - Premier mechanicznie uścisnął dłonie Piotra i Zosi, po czym ruszył w kierunku swojego miejsca. - Co więc mamy? - spytał Krzysztofa, który zajął miejsce po jego prawej stronie.

- Ambasada rosyjska nic nie wie o sprawie i to jest oficjalne stanowisko ich rządu. A pieniądze utknęły na dobre.

- No jasne...

- Nie, panie premierze. - Krzysztof pokiwał głową. - Ja im wierzę. Gdyby było inaczej, kręciliby coś, grali na zwłokę. Oni naprawdę nie mają o tym pojęcia.

- Więc kto?

- Moim zdaniem to OAF.

- Co?

- Takie KGB zajmujące się finansami. - Piotr dopiero po chwili uświadomił sobie, że powiedział to na głos. Choć stali kilka kroków dalej, miał przez moment wrażenie, że Krzysztof spojrzał na niego. Usłyszał? Nie, może mi się zdawało.

- Więc nie ma sposobu, żeby to ruszyć?

- Uda się na pewno, ale potrzebuję czasu. - Piotr zdziwił się, słysząc te słowa. Krzysztof grał na zwłokę? Czy naprawdę zależało mu na wyciągnięciu tej kasy z Rosji? A może on wcale jej nie ukrył...

- Czasu, czasu. - Premier wstał. - Nie mamy czasu! Francja wypowiedziała nam wojnę. Wiesz, z jakiego powodu? Bo wszyscy inwestorzy ciągną do nas! A my nie mamy nawet grosza, żeby ubrać naszych żołnierzy, nie mówiąc już o ich uzbrojeniu. Jak myślisz, ile pociągniemy? Tydzień?! Nic nam po tym twoim funduszu!

- Może... może niekoniecznie - wtrącił się Piotr. Załazek pomysłu nagle zaczął przybierać bardziej realne kształty. - Skoro nie mamy przewagi militarnej, to możemy wykorzystać finansową.

- Proszę mówić.

Kilka minut zajęło mu wyjaśnianie wszystkiego. W sali ucichło, wszyscy słuchali z uwagą.

- Dobrze - zaczął premier, gdy Piotr skończył. - Robercie, co ty na to?

Kawecki siedział przez chwilę bez ruchu ze wzrokiem wbitym w stół.

- Dobrze - odpowiedział po chwili. - Zgadza się. To rozsądne wyjście. Rosjan biorę na siebie.

- Dobrze. - Riks pokiwał głową. - Abrończyk, odpowiadasz za kwestię prawną całej operacji. Maciejewski, finanse... Ty - wskazał palcem Piotra - zostajesz tutaj.

Wszyscy poderwali się z miejsc i ruszyli do drzwi. Krzysztof odciągnął Piotra na bok i wcisnął mu w dłoń małe zawiniątko.

- To są hasła dostępu oraz kody do kont bankowych z funduszami - powiedział, nie zważając na zaskoczenie malujące się na twarzy chłopaka. - Na wszelki wypadek - dodał usprawiedliwiająco i odszedł.

Piotr odprowadził go wzrokiem. Cholera, o co chodzi? Hasła? Kody?! Co ten Kawecki kombinował? Powierzył mu dostęp do całej kasy? Więc nie chciał jej dla siebie?! Zauważył, że Zosia patrzy na niego wymownie. W jej oczach była pretensja. Dlaczego tego nie zrobił? Dlaczego nie powiedział wszystkim, co knuje jej ojciec? Czyż nie po to tu przyszedł? Boże, ona, jako córka, miała mniej oporów przed skazaniem ojca niż ja, pomyślał. Dokonał jednak wyboru. Kraj był najważniejszy.

Nagle przez plecy przebiegł mu dreszcz. Czyż nie tak samo myślał Krzysztof?

- Panie premierze - zaczął, gdy zostali tylko we trójkę - jest jeszcze jedna sprawa. Chodzi o ten Fundusz...

Nikołaj Bakunin za dobrze znał moskiewskie realia, żeby nie wiedzieć, co się święci. Jako były agent KGB, a obecnie rosyjski ambasador w Polsce, wiedział o kraju nad Wisłą więcej niż ktokolwiek inny w Moskwie. I miał zgoła inne wyobrażenie na jego temat.

Siła Rosji nie tkwiła obecnie w jej potędze, ale historii. Ci, którzy jeszcze uważali jego ojczyznę za mocarstwo, byli albo szaleńcami, albo fanatykami. Jednych i drugich uważał za zagrożenie. Z tego, że jego kraj potrzebował pomocy innych, bogatszych państw, Bakunin zdał sobie sprawę na tyle wcześniej, żeby szybko i skutecznie reagować podczas rokowań w sprawie dostaw gazu czy nakładanych ceł. Były to jednak znikome zwycięstwa, biorąc pod uwagę skalę problemu. Z podobnymi kłopotami borykały się inne dawne kraje satelickie ZSRR, z których Polska była najważniejszym.

Polska. Kraj należący do byłej już Unii Europejskiej. Do NATO. Mur oddzielający Rosję od Zachodu. Takie było powszechne przekonanie panujące wśród wysokich moskiewskich dygnitarzy. Ale Bakunin wiedział swoje. Dostrzegł w tym murze coś. Ale nie wyrwę. Bramę. Rosja potrzebowała Polski bardziej niż kiedykolwiek. A może również odwrotnie?

Słowa Jurija wprawiły go w osłupienie. W pierwszej chwili chciał pogratulować

sobie roztropności, że nie zgodził się na całkowitą likwidację OAF w 1993 roku. Doradził mu to Tempienko, również agent KGB. Argumentował, że kto wie, co przyniesie przyszłość? I oto przyniosła. OAF pierwszy raz od dwóch dekad spełniło swoje zadanie.

Więc dlaczego nie skorzystać z takiej okazji? Miliardy dolarów zasiliłyby gospodarkę rosyjską, stawiając na nogi zakłady i przedsiębiorstwa.

Dobrze wiedział, dlaczego. Z tego samego powodu, z jakiego nie rozwiązał OAF.

Wszyscy przywódcy Rosji w ciągu ostatnich dwustu lat mieli ten sam problem. Nie potrafili ocenić, co w przyszłości - bliskiej lub dalszej - przyniosą ich działania. Lenin wywołał rewolucję, nie wiedząc, do czego doprowadzi za kilkanaście lat. Stalin był zbyt skoncentrowany na wieloletnich planach, żeby dostrzec bieżące problemy. Brak było spójnego planu operacyjnego i strategicznego. To doprowadziło do upadku.

Czy warto więc było rezygnować z miliardów gotówki?

- Dobrze - rzekł po długim namyśle ambasador Rosji. - Zajmę się tym. Jadę do waszego premiera.

Tempienko bez słowa odłożył słuchawkę i wybrał kolejny numer.

- Załatwione.

- Dobrze. Wiesz, co masz robić? - Głos Krzysztofa był pozbawiony jakichkolwiek emocji.

- Tak. Powodzenia. - Rozłączył się.

Ambasador zadzwonił do swojej sekretarki i nakazał podstawienie wozu. Zanim uda się w Aleje, musi jeszcze wykonać jeden telefon. Do Centrali.

Przeszli do gabinetu premiera, w którym miał do dyspozycji wszystko, by spokojnie móc zająć się pracą. Wojna nie wojna, pewne sprawy musiały zostać załatwione. Piotr zajął miejsce na krześle, oddając fotel Zosi. Przelewający się tłum hałaśliwych ludzi został za drzwiami, ustępując miejsca kompletnej ciszy, przerywanej jedynie szelestem papieru. Piotr miał wrażenie, że słyszy trąbienie aut na Trasie Łazienkowskiej. W oknie brzęczała jakaś mucha. Dzień był piękny, słoneczny, choć powoli zapadał już zmierzch. Dziwne, że zupełnie nie zwrócił na to uwagi.

Dźwięk telefonu wyrwał ich z odrętwienia. Premier sięgnął ręką w stronę aparatu, może zbyt gwałtownie, bo przewrócił kubek z ołówkami i długopisami, które spadły na podłogę. Piotr schylił się, żeby je pozbiierać.

- Tak? Tak. Dobrze. - Westchnął. - Nie prowokować żadnych starć. Wysłać ostrzeżenie. Tak. Tylko w ostateczności. - Odłożył słuchawkę i zwrócił się do obecnych: - To Smuka. Francuskie samoloty przekroczyły linię Odry.

- Ale jak to...? - rzekł Piotr, stawiając kubek na blacie biurka. - Oni są z Niemcami?

- Nie, ponoć zostali tam ostrzelani. Trudno. - Jego wzrok był pełen bólu. I napięcia. - Myślisz, że możemy mu zaufać?

- Krzysztofowi? Absolutnie nie. Ale nie mamy wyjścia. On jeden...

- Wiem, wiem... - Premier machnął ręką i wrócił do pracy. - Tylko że to gra o wysoką stawkę.

Piotr zastanowił się. Kilka minut wcześniej powiedział premierowi o swoich wątpliwościach co do Funduszu. To znaczy nie wszystko. Ujawnił prawdziwe nazwisko Krzysztofa, wspomniawszy o jego pobycie w Moskwie i możliwym scenariuszu gry, w którym blokada środków była z góry zamierzona. Tylko czy miał rację? Dostał przecież kody i hasła do kont bankowych. Ale nie powiedział o tym premierowi. Jeszcze nie. Grał na zwłokę? Będą mieli okazję się o tym przekonać jeszcze dziś. Z drugiej strony, jeśli się mylił, to i tak Kawecki był ich jedyną nadzieją. Wszystko zależało od idealnej synchronizacji w czasie.

- Panie premierze, ja... - Zabrzęczała jego komórka - Tak? Przełączam cię na głośnomówiący.

- Załatwione. - Usłyszeli głos Krzysztofa w słuchawce. - Ambasador wciąż uważa, że nie mają z tym nic wspólnego, ale jest do dyspozycji. Jedzie do kancelarii.

- Dobra robota. Wracaj do nas - rzekł premier.

- Do usług.

Piotr wyłączył przycisk i spojrzał na premiera. Czy wobec szansy zakończenia konfliktu europejskiego miało znaczenie to, czy się nie mylił?

- Więc działamy - rzucił premier.

Kancelaria Premiera Rzeczypospolitej Polskiej jest zlokalizowana w gmachu, którego historia sięga początków XX wieku. Wtedy to wybudowano go na miejscu obozu litewskiego pułku gwardii cesarskiej z przeznaczeniem na siedzibę Korpusu Kadetów im. Aleksandra Suworowa. Budynek, od 2002 roku uznawany za zabytek, był rzadko remontowany, jeśli nie liczyć napraw konserwatorskich. Tym bardziej więc wyposażenie sali konferencyjnej mocno ich zaskoczyło.

Przestąpili próg i stanęli jak wyryci. Po przeciwnej stronie wąskiego stołu zawieszony był olbrzymi monitor plazmowy, wokół którego zainstalowano kilkanaście ekranów umożliwiających - jak się później Piotr dowiedział - wideokonferencję z najważniejszymi przywódcami świata.

- Nie myśl sobie, że korzystali z tego też inni. - Premier mrugnął do niego, uruchamiając laptop. - To moje dzieło.

Piotr i Zosia patrzyli zafascynowani, jak ekrany rozbłysnęły, a po chwili technik zza odwróconego lustra weneckiego dał znak ręką, że wszystko jest w porządku.

Po chwili na trzech monitorach pojawiły się twarze polityków znanych im do tej

pory tylko z telewizji.

- Panie prezydencie, panie premierze, panie kanclerzu. - Premier Riks schylił lekko głowę w stronę każdego ekranu. - Dziękuję, że zechcieliście przyjąć moje zaproszenie. - Usiadł za stołem. Piotr i Zosia zajęli miejsca obok niego.

- Co to za sztuczki, Riks? - rzucił Mont. - Do czego zmierzasz?

- Panowie, zajmę wam tylko kwadrans, ale uważam, że sytuacja jest na tyle poważna, że zasługuję na chwilę uwagi. - Przerwał na moment. - Ponieważ wszystko sprowadza się do pieniędzy, postanowiliśmy się nimi z wami podzielić.

Na moment zapadła cisza, a potem jednocześnie posypały się pytania.

- Jak to?! - krzyknął Mont. - Pieniądze sprawy nie załatwią...

- Co to ma być? - wtórował Clausen.

- Przepraszam, że przeszkodzę - rzekł uprzejmie Riks, podnosząc rękę i wskazując na Piotra. - Mój młodszy doradca, Piotr Mylczek, wyjaśni wam całą operację.

Chłopak drgnął. Wszyscy trzej mężczyźni skierowali wzrok na niego. Przypomniała mu się Pierwsza Komunia Święta, gdy został nakryty przez księdza, jak wyrywał koleżance kwiatki z wianka. Do tej pory pamięta, jak straszono go ogniem piekielnym. Odpędził od siebie te myśli.

- Taki młody? - zauważył ironicznie Brown.

- Tak, taki młody. - Riks spojrzał na niego twardo, a później dał Piotrowi delikatny znak ręką, żeby zaczynał.

- Szanowni panowie - zaczął niepewnie. Wziął głęboki oddech. - Jak wiecie, w Polsce miał zainwestować fundusz Costeł Rossell Funds. Miałem przyjemność pracować z eee... szefem Funduszu nad ustalaniem harmonogramu inwestycji w Polsce. - Przerwał na moment, żeby uspokoić bijące szybko serce. - Wobec zaistniałej sytuacji w Europie zarząd zweryfikował swoje plany i podjął decyzję o rozszerzeniu zakresu inwestycji na inne kraje europejskie...

- Czy to oznacza dalszy odpływ kapitału z Wielkiej Brytanii? - Brown był wyraźnie zaniepokojony sytuacją.

- Nie, aktywa Funduszu nie są zgromadzone w żadnym z europejskich krajów - odpowiedział szybko Piotr. - Jest jednak kilka warunków. - Zrobił pauzę. - Inwestycje funduszu wiążą się z odbudowaniem struktur Unii Europejskiej i powrotem do *status quo ante bellum*...

Słuchacze zaczęli coś krzyczeć, ale Piotr nie przestawał mówić.

- Ponadto zarząd zdecydował, że nadzór nad wydatkowaniem środków z Funduszu przejdzie w ręce specjalnie powołanego międzynarodowego zespołu działającego pod kontrolą Komisji Europejskiej - zakończył. Uff. Odetchnął.

Na moment zapadła cisza. Premier Wielkiej Brytanii pokiwał głową i pierwszy zabrał głos.

- Jestem... skłonny rozważyć tę propozycję. Kto zostanie, hmm... zaproszony do

współpracy?

- My - rzekł Riks. Rozejrzał się po twarzach. - Polska, Francja, Niemcy i Wielka Brytania. Takie jest stanowisko Funduszu.

- To ja również usiądę do stołu - odrzekł Clausen.

- O jakich sumach mówimy? - spytał Mont.

- Kilkaset miliardów euro - odrzekł spokojnie Riks. - Moja sekretarka bukuje mi lot do Brukseli. Co powiecie, panowie, na szybkie spotkanie? Myślę, że linie lotnicze zorganizują natychmiastowe loty również z innych stolic europejskich.

Mężczyźni zaczęli kiwać głowami w zamyśleniu i powoli zaczęło się ustalanie szczegółów spotkania. Piotr odetchnął. Połowa akcji za nimi. Teraz wszystko w rękach ambasadora.

- A teraz - premier Riks uśmiechnął się do prezydenta Monta - czy możemy odwołać francuskie myśliwce z mojego podwórka?

- Pan Nikołaj Bakunin - zapowiedziała sekretarka pół godziny później i wycofała się w stronę wyjścia.

- Dobry wieczór, panie ambasadorze. Dziękuję, że zgodził się pan tu przybyć o tak później porze. - Premier Riks wstał zza biurka, za którym usiadł kilka minut wcześniej, i wyszedł na powitanie gościa. Piotr i Zosia nie musieli nawet siadać. Wciąż stali pod ścianą podnieceni wideokonferencją z szefami Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii.

- Rozumiem, że to sprawa niecierpiąca zwłoki? - Ambasador zajął miejsce w fotelu.

- Dobrze pan to ujął. Nasz człowiek wprowadził pana w sytuację?

- Dość pobieżnie - rzekł Bakunin zdawkowo. Jego oczy badawczo przyglądały się premierowi i jego gościom.

- Więc po kolei - zaczął premier. - Mamy powody przypuszczać, że na terenie Rosji działa zorganizowana grupa, której nadrzędnym celem jest popsucie stosunków polsko-rosyjskich i nie tylko.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - Być może ambasador chciał to ukryć, ale widać było, że słowa nie zrobiły na nim wrażenia. No tak. Rosja.

- W rosyjskich bankach jest zdeponowane i obecnie zablokowane około siedmiuset miliardów euro należące do subfunduszu Costel Rossell Funds, które miały zostać zainwestowane między innymi w Polsce. - Premier mówił lekko, zupełnie jakby opowiadał o ostatnim spływie kajakowym. - Chcielibyśmy prosić rząd Rosji o interwencję w tej sprawie.

- Rozumiem, ale nie mogę ingerować w poczynania naszych banków... - Sugestia dyplomaty była aż nazbyt oczywista.

- Pieniądze miały być nie tylko zainwestowane w Polsce, ale i w innych krajach Unii. Oczywiście zostanie to odnotowane jako pomoc Rosji w zażegnaniu obecnego

napięcia w Europie - rzekł premier. - Zdajemy sobie sprawę z kłopotliwej sytuacji, w jakiej znalazła się Rosja, dlatego chcielibyśmy dokonać niejako operacji LBO na tych środkach finansowych.

Oczy ambasadora się zaświeciły.

- Wykupu?

- Mniej więcej tak. Rosja stanowi nieodłączną część Europy. Wasz kraj zyska potężny zastrzyk pomocy finansowej, a my odzyskamy swoje fundusze.

- Dlaczego pan to robi? - Pytanie ambasadora padło ot tak, ze zwykłej ciekawości.

- Przyjmijmy, że to umowa barterowa. - Premier Riks rozsiadł się w fotelu. - Ktoś przecież i po stronie rosyjskiej zapłaci za ten bałagan, prawda?

- Myśli pan, że nie wyjdzie na jaw, iż oddaliśmy część pieniędzy Rosjanom? - spytał Piotr, gdy ambasador wyszedł na chwilę na korytarz. Riks się skrzywił.

- Pewnie nie. - Wzruszył ramionami. - Fundusz jest prywatny, nie ma informacji o dokładnych danych. Nikt się nie zorientuje. A jeśli nawet, jest to mniejsze zło. Wszystkie kraje na tym zyskają. A nasza „wielka czwórka” szczególnie. - Uśmiechnął się chytrze - A jeśli ta cała historia z FOZZ jest choć w połowie prawdziwa, to Rosji należy się również coś niecoś z tego, co im ukradziono.

W tym momencie Piotr uświadomił sobie, że Krzysztof miał już dawno wrócić.

ROZDZIAŁ XXI

Odpytywanie

Piotr wyszedł na korytarz i wybrał numer komórki. Abonent czasowo niedostępny. Spróbował ponownie. Nie ma takiego numeru. Wystukał numer domowy. Odczekał dwanaście sygnałów, nim zrezygnował. Cholera!

- Coś się stało? - Zza drzwi wychyliła się Zosia.

- Krzysztof. - Spojrzał na nią. - Twój ojciec...

- ...uciekł. - Nie było to pytanie, ale stwierdzenie. Słowa wypowiedziane ze zrezygnowaniem. Zastanawiał się, na ile ta dziewczyna zna swojego ojca, a na ile to pokrewieństwo genów pozwalało przewidzieć takie reakcje. Ruszył w stronę drzwi gabinetu premiera.

- Co robisz?! - krzyknęła za nim. Odwrócił się.

- Nie zostawię tego tak - odparł i wszedł do środka.

- Panie premierze? Przepraszam.

Antoni Riks siedział w swoim fotelu wyraźnie odprężony, choć daleko mu było do swobody charakterystycznej dla nieoficjalnych spotkań. Jednak pewna ulga była widoczna zarówno w spokojnym sposobie mówienia, jak i w pozbawionym napięcia wyrazie twarzy. Ambasador siedział nadal na tym samym miejscu, również znacząco podbudowany.

- Tak? - Premier był wyraźnie zaskoczony nagłym wtargnięciem chłopaka.

Piotr z otwartymi ustami patrzył na szefa polskiego rządu, ale kolejne słowa skierował do gościa.

- Panie ambasadorze... nasz człowiek, z którym dziś pan rozmawiał w sprawie funduszy... kto to był?

- Piotrze, doprawdy... - zaczął premier, ale ambasador powstrzymał go grzecznie ręką.

- Nie szkodzi. - Odwrócił się do Piotra. - To był stary znajomy z dawnych czasów. Nazywa się Jurij Tempienko.

- Nie Cavasky... Kawecki? - Tym razem premier ze zdziwieniem spojrzął na chłopaka.

- Zdaje się, panie premierze, że jednak nas wyrolo- wano - rzekł ze smutkiem Piotr.

Zarządzili alarm i poszukiwania. Piotr podał im adres domu na Mokotowie i numery rejestracyjne auta, choć wiedział, że na wiele to się nie zda. Samochód zawsze można było zmienić, a i nie łudził się, że w domu znajduje się cokolwiek cennego. Dokumenty, o których wspominał Krzysztof poprzedniego wieczoru, były mrzonką. Niczego nigdy nie widział, żadnych zapisów, notatek, aktów. Wszystko Krzysztof miał w tym swoim laptopie. Za to dom aż roił się od planów i rysunków Piotra. Właśnie jego!

O matko! Premier wyjechał na lotnisko, ale zostawił im ochronę. Ochronę... czy raczej straż? Nie brał tego wcześniej po uwagę. Tymczasem wychodziło na to, że jawnie pomagał zdrajcy. I był współwinny tego całego zamieszania, nawet jeśli robił to nieświadomie.

- Chodź, idziemy - rzucił do Zosi.

Podszedł do drzwi sali i otworzył je. Za drzwiami stał wartownik i patrzył na niego pytająco.

- Zbieramy się do domu. Musimy się zdrzemnąć. Panów pomoc nie będzie konieczna - starał się mówić spokojnie.

- Obawiam się, że nie mogę na to zezwolić. - Słowa strażnika nie zaskoczyły Piotra, choć poczuł się dotknięty. Jak to, najpierw ratuje świat, a teraz zamyka się go w jakieś celi?!

- Dlaczego? - To pytanie zadał mimochodem, bo dobrze znał powody, dla których miał zostać.

- Polecenie służbowe. Gdybyście państwo czegoś potrzebowali, proszę dać znać.

- Dwie herbaty. I ciasteczka proszę - rzucił i zamknął drzwi.

Cholera! Chooleeraa! CHOLERA!!!

Obudził go hałas na korytarzu. Pomimo że był to budynek rządowy, tylko nieliczne pokoje były wyciszane. Ten najwyraźniej do nich nie należał. Zerknął na Zosię. Usnęła jak on, opierając głowę na ręce wyciągniętej na stole. Poczłapał do drzwi i nadstawił uszu.

- Jak to, nie możecie! - Głosy były przytłumione, ale słowa wyraźne. Musieli stać tuż pod drzwiami.

- Taki mamy rozkaz. Chcesz dyskutować z komendantem?! Proszę bardzo!

Chwila ciszy.

- Otwieraj. Zabieramy ich na dołek.

Na co?!

W zamku zadźwięczał klucz, który jednocześnie uświadomił Piotrowi, jakim to zaufaniem darzyła go straż przyboczna premiera. Odskoczył na kilka metrów, ale było

już za późno, żeby udawać, że śpi.

- Zbierać się! - Pomimo tonu rozkazującego głos wydał się dziwnie znajomy. - Wychodzimy.

Dopiero na Trasie Łazienkowskiej Piotr poczuł się znów wolnym człowiekiem.

- Dzięki ci, stary... - rzeki, kiedy minęli zjazd.

- Nie pieprz, Piter, lepiej gadaj, co tu się dzieje! - Michał Smoliński wyminął auto, ale widać było, że jest zadowolony z tego, jak dał popalić „chłopcom od premiera”.

- Skąd wiedziałeś?

- Daj spokój! Na wszystkich policyjnych częstotliwościach trąbią tylko o was. Jednego szukać, drugiego pilnować. Nie wiem, w jakie gówno wpadłeś, ale ostro nadstawiam dla ciebie karku!

- Wiem, dziękuję. - Rozejrzał się. - Dokąd jedziemy?

- Najlepiej byłoby oczywiście na komendę...

- Nie.

- Tak myślałem, że masz jakiś inny pomysł. - Westchnął teatralnie. - Może przynajmniej zamkną nas w jednej celi? Będę miał się na kim wyżywać!

Zosia podniosła się z tylnego siedzenia.

- Na Francuską.

Piotr popatrzył na nią i kiwnął głową.

- Dawaj, Michał. Na razie prosto...

- Dobra, znam drogę - uciął Smoliński i dodał gazu.

Droga na Saską Kępę trwała kilka minut i to bez koguta na dachu, którego Smoliński nie chciał włączać, żeby nie zwracać na siebie uwagi innych wozów patrolowych. Zatrzymali się kilkanaście metrów przed kamienicą.

- Ciemno - oceniła dziewczyna po chwili, wpatrując się w okna mieszkania.

- Sprawdźmy to. - Piotr otworzył drzwi i zaczął wysiadać.

- Dołączę za minutę - rzucił Smoliński, biorąc do ręki nadajnik. - Wywołują mnie.

Do budynku doszli w kilkanaście sekund. Zosia wyjęła klucze i po chwili znaleźli się na klatce schodowej. Otworzyła drzwi. Jasne oświetlenie tak bardzo ich zaskoczyło, że przez chwilę oboje stali i mrużyli oczy. Z holu wzrok Piotra padł na zasłonięte masywne zasłony. Ciekawe, ile lat czekały na swój dzień, pomyślał gorzko.

Zastali ich w salonie. Joanna pakowała jakieś drobiazgi, Krzysztof siedział odwrócony tyłem do nich przy laptopie, ale na odgłos kroków się odwrócił.

- O, witam - rzekł z uśmiechem. - Spodziewałem się was.
- Tak? Dlatego uciekłeś z Kancelarii? - spytał Piotr bez zbędnych wstępów.
- Nie uciekłem. - Twarz Krzysztofa się zachmurzyła. - Dostałeś hasła i kody. Fundusze powrócą do kraju. Co w tym złego?
- TY!!! Po co to wszystko? Piotr zrobił krok w jego kierunku. - Po co te manipulacje giełdą, wkopanie szefa KNF, wreszcie ta sprawa z Rosją?!
- Majstersztyk, prawda? - Krzysztof uśmiechnął się lekko. - Widzę, że doszedłeś do wszystkiego. Choć Rosji nie planowaliśmy...
- Co wy robicie? - spytała Zosia raczej Joannę niż ojca. Ta spojrzała na nią.
- Wyjeżdżamy. Musisz zrozumieć...
- ...że co? Ze okłamywałaś mnie? Co za podwójną grę prowadzisz?! - To już było do ojca. - Na kim jeszcze chcesz się zemścić? Dostański ci nie wystarcza? Jeszcze ja?!
- Krzysztof popatrzył na nią smutno.
- Chciałem, żebyśmy na nowo ty, ja i Joanna byli rodziną. Zwłaszcza po tym, co spotkało Marię... Waldek był moim przyjacielem. Mieliśmy zrobić to razem. Ale on nie chciał poczekać. Wolał wygadać się komu trzeba i tym samym wydłużył cały proces o lata. Żył jak pan na włościach przez całe lata, podczas gdy ja byłem ścigany, musiałem się ukrywać...
- Co ty bredzisz? - pisnęła dziewczyna - Przecież miałeś kasę!!!
- Spokojnie, Zosiu... - Piotr dotknął jej ramienia i skinął głową. - Dlaczego w ogóle wróciłeś?
- Bo po to wyjechałem. - Wzruszył ramionami. - Ale sprawy nie potoczyły się tak, jak zaplanowaliśmy.
- Manipulacje giełdą też zaplanowałeś?
- To niezupełnie tak. - Krzysztof oparł się o poręcz krzesła. - Widzisz, to nie było takie złe zagranie. Większość spółek z WIG20 wyrosło na pieniądzach, które ich właściciele rozkradli w czasie transformacji. Należało im dać w kość. - Uśmiechnął się.
- Czyż nie tego chcą teraz ludzie okradzeni za komuny? Oczywiście stracili na tym i inni inwestorzy. Ale przewidziałem dla nich wypłatę rekompensat. Miałyby pochodzić z wypłaty dywidend z akcji, jakie zakupił fundusz Costel podczas tego całego zamieszania.
- A ty byś chodził w chwale. - Piotr pokręcił głową. - Jesteś szalony.
- Może tak, a może widzę wszystko w szerszej perspektywie.
- I dlatego zrobiłeś z Dostańskiego ofiarę?
- Z tego ruskiego szpiega? - Krzysztof uśmiechnął się, widząc zaskoczenie na ich twarzy. - Nie wiedzieliście, prawda? Nikt nie wie, że szef KNF jest wciąż zarejestrowany jako agent OAF. Oszukiwał ten kraj od samego początku. No. - Mężczyzna wstał z krzesła. - Na nas już czas.
- Wiesz, że zostaniesz aresztowany?

- Tak? - zadrwił. - Nie sędzę. Ty, Piotrze, choć jesteś bystry, musisz się jeszcze wiele nauczyć.

- Na przykład?

- Na przykład tego, że o zmarłych mówi się dobrze albo wcale.

- Piooooootr!!!

Chłopak usłyszał krzyk, ale wiedział, że na reakcję jest za późno. Odskoczył w bok, wpadając na rozsuwaną szafę. W pierwszej chwili pomyślał, że chyba mu się udało, ale potem usłyszał coś na kształt głuchego pluśnięcia. Potem jakaś ciecz przesłoniła mu oczy i dopiero po chwili dotarło do niego, że to jego krew. Słyszał jeszcze echa jakichś krzyków i szarpaniny, ale to już nie miało dla niego znaczenia.

A jednak żyje. Niewątpliwym tego dowodem był pulsujący ból głowy, który rozsadał mu czaszkę. Czy to się nigdy nie skończy? Ile człowiek traci szarych komórek przy uderzeniu w głowę? Tysiąc? Milion? Jak tak dalej pójdzie, to jego iloraz inteligencji spadnie poniżej poziomu homo sapiens.

- Moja głowa-jęknął.

Nagle usłyszał jakiś głos. Może to wszystko mu się śni? Może obudzi się na parkingu nieopodal Centrum Onkologii, a pościg, fundusz i wojna - wszystko pójdzie w niepamięć?

Otworzył oczy. Pochylające się nad nim pełne troski twarze natychmiast wyprowadziły go z błędu. No bo, co by tu robili Zosia i Michał. Michał!

- No już myślałem, że teraz to kompletnie po tobie - rzekł przyjaciel, podnosząc go do pozycji siedzącej. Klepnął go po ramieniu. - Lepiej?

Piotr wciąż miał wrażenie, jakby dopiero co zsiadł z wielkiej karuzeli, ale powoli zaczynał trzymać pion, choć głowa bolała go niemiłosiernie. Jego wzrok padł na patelnię.

- Tym dostałem?

- Ciesz się, że nie czymś gorszym - powiedział Michał i ruszył w kierunku kuchni. Piotr z pomocą Zosi wstał i poczłapał za nim.

- Co się stało? - Dosłownie opadł na stołek. - Gdzie Krzysztof i...?

- Zwiali. - Michał wzruszył ramionami i podał Piotrowi szklanekę wody oraz aspirynę. - Zaraz po tym, jak oberwałeś, zjawiała się pani Wiesia zaniepokojona hałasem w mieszkaniu. - Wskazał na staruszkę siedzącą na stołku, którą dopiero teraz Piotr zauważył. - Krzysztof, ta babka i ruski wybiegli w popłochu do auta. A ja ruszyłem tutaj.

- Więc już ich nie zobaczymy?

Michał niby się oburzył, ale dumny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- No co ty? Nakazałem pościg.

Piotr rozejrzał się w poszukiwaniu zegarka.

- Która godzina? Ile czasu tu jesteśmy?

- Niecały kwadrans. Zbierajmy się. Nasi uciekinierzy już pewnie na nas czekają.

Było jednak inaczej.

Informacja o wypadku dotarła do nich zaraz po tym, jak wsiedli do radiowozu, a Smoliński uruchomił policyjne radio. Ścigane przez policję auto przy wjeździe na most Łazienkowski wypadło z trasy wprost do rwącej rzeki. Chwilę pobulgotało, po czym samochód poszedł jak kamień na dno. Cały most został momentalnie zablokowany przez radiowozy, straż pożarną i pogotowie. Na brzeg ruszyły ekipy ratunkowe i policjanci z psami. Smoliński gdzieś się zawieruszył.

Po kilkunastu minutach nastąpiło pewne poruszenie. Piotr i Zosia spojrzeli na rzekę, ale w ciemności niewiele było widać. Piotr zauważył zarys motorówki, która przybijała właśnie do brzegu. Zbiegło się tam kilka osób.

- Chodź! - rzucił i pociągnął Zosię za sobą.

Zbiegali schodami tak szybko, na ile pozwalało im słabe światło latarni. Nie chcieli potknąć się i spaść na dół. Gdy dotarli do chodnika, zauważył grupkę ludzi.

- Tu nie można... - zaczął ktoś, ale stojący obok Smoliński przywołał ich ruchem ręki.

- Ja zezwalam. - Westchnął. - Podejdźcie...

Dopiero wtedy Piotr zauważył stojące za policjantem nosze.

Twarz, chociaż biała jak kreda, miała łagodny wyraz, jakby kobieta spała. Jedynym śladem, że było inaczej, wydawały się zastygłe, szkarłatne smugi krwi rozpostarte niczym rozgwieżdża na jej policzkach i czole. Z rany na skroni wystawały odłamki pogruchotanych kości. Leżące w nieładzie włosy tylko uprzytomniły Zosi, ile zawsze czasu poświęcała Joanna na ich staranne ułożenie. Podniosła jeden z kosmyków i ułożyła go bliżej twarzy zmarłej, tak jak ciocia zawsze lubiła.

- Tak. To ona - usłyszała swój głos. Był beznamiętny, całkowicie pozbawiony uczuć. Po co to powiedziała? Nie miała pojęcia. W głowie miała pustkę. Chciała zapłakać, ale nie miała czym. Wyszły jej oczy czy może odrętwiało serce?

Piotr stał tuż obok, patrząc smutno to na dziewczynę, to na nieboszczkę. Joanna nie żyła. A Krzysztof? A Jurij? Popatrzył w milczeniu na Wisłę. Czy tak to właśnie miało się skończyć? Wielki człowiek? Czy raczej maluczka karykatura kogoś, kim chciał być? Człowiek żyje tylko raz i musi to życie przeżyć tak, żeby być z siebie dumny. Nagle Piotra uderzyła jedna myśl. Co powiedział mu, zanim...?

Spojrzał na Zosię i objął ją ramieniem. Przytuliła się mocno, zaczęła pochlipywać, aż w końcu zanosła się łkaniem. Pocałował ją w czubek głowy i powoli odprowadził w kierunku drogi.

ROZDZIAŁ XXII

Wiatr ze Wschodu

Wstępne ustalenia przeprowadzono podczas tajnego spotkania, które się odbyło poprzedniego dnia. Do Brukseli zlecieli się reprezentanci wszystkich przyszłych beneficjentów funduszu: prezydent Francji, premierzy Polski i Wielkiej Brytanii oraz kanclerz Niemiec. Do porozumienia w sprawie podziału środków doszli w kilkanaście minut. Kto powiedział, że pieniądze dzielą, a nie łączą? - pomyślał wtedy Riks. Wspólnie z Rosją postanowili utajnić sprawę wynagrodzenia za odzyskanie funduszy. Europę nie zaboli, a co z oczu, to z serca.

Konferencję zaplanowano na następny dzień. Sala Komisji Europejskiej pękała w szwach, ale nie z powodu polityków i lobbystów, którzy zwykle zasiadali w lawach. Tego dnia z każdego kraju członkowskiego Unii przybył tylko premier bądź prezydent. Uprzedzeni przez rzeczników prasowych swoich rządów dziennikarze czym prędzej rezerwowali bilety na lot do Brukseli, chcieli być świadkami zakończenia pierwszej wojny europejskiej i odbudowy podwalin Unii.

Gdy na mównicę wszedł Antoni Riks, inicjator całego przedsięwzięcia, gwar jakby ucichł, choć gdzieś słychać było jeszcze stłumione rozmowy, będące w dużej mierze poleceniami rzucanymi operatorom przez reporterów i odpowiedziami tych pierwszych.

Z pierwszego rzędu obserwowali Riksa członkowie nowo powołanej komisji mającej nadzorować gospodarowanie środkami funduszu Costel Rossell Funds. W jego składzie znalazła się także Brigitte Le Brun, nominowana na to stanowisko przez prezydenta Francji. Ciekawe, pomyślał Riks, musiała mocno zależeć Montowi za skórę, skoro zdecydowano się wysłać ją aż tutaj.

- Szanowni Państwo, drodzy Przyjaciele! - zaczął wolno Riks. - Przez ostatnich dwadzieścia lat przyzwyczailiśmy się do pokoju jako naturalnego stanu relacji międzynarodowych w Europie. Zajmowaliśmy się naszymi gospodarkami, przemysłem i społeczeństwem, starając się budować więzi łączące nasze kraje na każdej płaszczyźnie życia. Umożliwiliśmy swobodny przepływ ludzi, towarów i kapitału przez granice naszych państw. Dążyliśmy do budowania wzajemnego szacunku i zrozumienia odmiennych potrzeb.

Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy z tego, że o pokój należy dbać. Rozprężeni i przeświadczeni, że nie powtórzymy bolesnych doświadczeń naszych ojców i dziadków,

uznawaliśmy wojnę za zamierzchłe dzieje. Tymczasem doprowadziliśmy do niej szybciej niż ktokolwiek do tej pory....

- Myślisz, że się uda? - spytała Zosia. Siedziała na kanapie w szlafroku i pogryzała popcorn.

- Powinno. Działania wojenne się zakończyły.

Odwróciła się do niego.

- Pytam o fundusz.

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Odzyskaliśmy pieniądze. Teraz wszystko zależy od dobrej woli polityków.

Zapatrzył się w okno.

- .. .odpowiedzialność za losy kraju to nie tylko dobre wskaźniki gospodarcze, ale także dbanie o jego przyszłość. Nasze dzieci muszą mieć pewność, że będą żyły w kraju, który będzie bezpieczny, a to oznacza, że pozbawiony także zagrożeń z zewnątrz.

Prawda jest bolesna. Skupiając się na sprawach Unii Europejskiej samej w sobie, bardziej aniżeli na problemach jej członków, pozwoliliśmy drobnym sprawom rozrosnąć się do rangi barier i murów, które w efekcie doprowadziły do wybuchu konfliktu...

Mądrze mówi, pomyślał Piotr. Nie sądził, że kiedykolwiek będzie dumny z rodzimego polityka. Właściwie to z jakiegokolwiek polityka. A jednak Antoni Riks budził jego szacunek. Riks przeprosił go za zamieszanie ze strażą i oczyścił z zarzutów, doceniając jego oddanie sprawie rozwiązania zagadki FOZZ. Zaproponował nawet Piotrowi posadę, ale ten poprosił o czas do namysłu. Pierwszy raz od bardzo dawna poczuł się wolnym człowiekiem.

Nic nie musiał. A jednocześnie mógł wszystko. Tak wygląda wolność. Czyż nie tego najbardziej brakowało Krzysztofowi?

Zdarza się, że miesiącami życie kręci się jak ubrania w pralce na programie „pranie ręczne”. A potem wyjeżdżasz na weekend i nagle tyle się zaczyna dziać: wojna, krach finansowy, morderstwa, zamachy, gwałty i rabunki. Idealne tematy dla dziennikarza.

Czy przez kilka dni mogło się aż tyle wydarzyć, zastanawiała się Anna Kałasznikowa. Do zdrowia dochodziła powoli, ale czuła się już lepiej. Zresztą w takim otoczeniu trudno chorować, pomyślała sobie. Codziennie, odkąd się obudziła, dostawała świeże kwiaty od Mateusza Karasowicza. Raz nawet wpadł. Był taki... zmieszany? Uśmiechnęła się pod nosem, ale zaraz potem się zaczerwieniła.

Ból znów zaczął pulsować w jej skroniach. Zamknęła otwarte wcześniej strony gazety. Nie była jeszcze gotowa na konfrontację z rzeczywistością. Coś lekkiego. Pudelek.pl.

Przeleciała wzrokiem strony i zatrzymała się przy zdjęciach z urodzin premiera.

Proszę, proszę, jakie szychy, mruknęła. Nagle jej wzrok zatrzymał się na szoferze jednego z aut. Ta twarz... Już ją gdzieś widziała. Gdzie... serce jej przyśpieszyło gwałtownie, a na skórze poczuła krople zimnego potu; wstrząsnęły nią dreszcze.

- Boże...!!!

- Jesteś pewna, że to on?

- Tak, Irku. Jestem tego pewna. Widziałam go, zanim... - Jej głos się załamał, oddychała szybko.

- Spokojnie. - Poklepał ją przyjacielsko po ręce. - Już dobrze. Zajmę się tym.

- Kto to w ogóle jest? - spytała po chwili. - No, kim są ci ludzie.

- Nikt taki, kim musiałabyś się w tej chwili przejmować. - Nie była to do końca prawda, ale coś innego miał jej powiedzieć. - Odpocznij. Ja już pójdę.

Zebrał swoje rzeczy, ale zatrzymał się w drzwiach.

- Anno? - Odwróciła się do niego. - Pięknie wyglądasz.

Uśmiechnęła się przez łzy. Ale to była prawda. Pomimo bladości i kilku straconych kilogramów, które uszły z niej wraz z kroplówkami, oczy miała błyszczące, a uśmiech radosny. To dobrze, bo już brakowało mu jej w redakcji.

Wyszedł ze szpitala i ruszył w kierunku swojego volvo, gdy nagle zauważył podjeżdżające na miejsce parkingowe auto. Po chwili wyszedł z niego dobrze zbudowany blondyn i ruszył w kierunku wejścia. Pomimo przyciemnianych okularów i sportowego stroju poznał sylwetkę Mateusza Karasowicza. Ten nie zauważył dziennikarza, zmierzając wprost do drzwi.

Lipiński chciał coś nawet powiedzieć. Przeprzeć? Nie, to za dużo. Pomylił się? Ale tylko we własnej ocenie. Na łamach prasy nie skłamał. A gość miał tyle klasy, że nie wyparł się faktów, które zostały podane do publicznej wiadomości. Jeden punkt dla niego. Lipiński będzie czekał na okazję, żeby mu się odwdzięczyć.

Odprowadził biznesmena wzrokiem i pomaszerował dalej w stronę swojego auta. Dopiero gdy wsiadał do samochodu, przysłała mu ta myśl i momentalnie wywołała szeroki uśmiech. Zawsze traktował Annę jak swoją protegowaną. Choć było między nimi trochę lat różnicy, to może ze względu na jej wybuchowy charakter, upór i fochy traktował ją opiekuńczo. W sumie czy mógł sobie wymarzyć dla niej lepszego faceta?

Na razie musiał zabierać się do pracy. Nie chciał dowalać rządowi, nie w takiej chwili. To zadanie brukowców. Ale musiał napisać prawdę. To był jego dziennikarski obowiązek. A potem kto wie? Może Pulitzer? Wróci do redakcji i wszystkim się zajmie.

- Ireneuszu, jesteś odpowiedzialnym dziennikarzem. Nie zabronię ci pisać tego, co

chcesz, tylko powiedz mi, co tym osiągniesz. - Głos premiera był bardzo spokojny.

- Moim obowiązkiem jest informować opinię publiczną...

- Proszę uprzejmie. - Riks uśmiechnął się lekko. - Ale on był tylko szoferem, którego nikt nie znał. Jeśli ktoś ponosił jakąkolwiek odpowiedzialność za działania tego człowieka, to jego szef. A on, jak wiesz, nie żyje.

- Czy aby na pewno? Nie macie ciała... - Redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” próbował uchwycić się innego argumentu, ale widział, że przegrał.

- Podobnie jak setki innych, którzy utonęli w Wiśle.

- A sprawa pozwów?

- Jest rozwiązana. Jak wiesz, z aktywów Costel Ros- sell Funds został wydzielony budżet na pokrycie strat inwestorów spowodowanych manipulacjami na GPW - premier uciał, a po chwili dodał z lekkim uśmiechem: - Sprawę prowadzi oczywiście Idzikowski.

- Więc nic się nie zmieniło - odrzekł z nieukrywaną goryczą dziennikarz.

- Niezupełnie. Polska zyskała potężnego inwestora. Europa oczyściła się z narosłych frustracji i niepokojów. A winni zostali ukarani. Czyż nie tak powinno być?

- Tak - zgodził się tamten. - Ma pan u mnie dług wdzięczności, panie premierze.

Riks uśmiechnął się tylko. Nie pierwszy raz.

Jurij Tempienko nie lubii Moskwy. Nie żeby nie czui się Rosjaninem - byi nim z krwi i kości zarówno z wychowania, jak i wyglądu. Nie lubi! tego miasta od samego początku, od czasów, kiedy, aby podnieść się z biedy, razem z rodzicami i siedmiorgiem rodzeństwa przeprowadzili się tam z dalekiej Syberii. Gdy rozpoczął pracę w KGB, czuł się dumny ze swojego pochodzenia. Nigdy nie patrzył na siebie jak na gorszego tylko dlatego, że pochodził z ubogiej rodziny. Gdy jako nielegal podróżował po świecie, usłyszał, że w Stanach Zjednoczonych każdy może dojść do bogactwa ciężką pracą. Dziwił się wtedy, gdy używano tego argumentu na podkreślenie przepaści między Wschodem a Zachodem. Przecież jego główną zaletą była właśnie pracowitość. Wytrzymałości zarówno psychicznej, jak i fizycznej nie brał pod uwagę - dla Tempienki była to naturalna cecha każdego jego rodaka. Tymczasem on odznaczał się ponadludzką sprawnością, a jego skuteczność w działaniu została szybko zauważona w jednostce, której wiernie służył przez znaczną część dorosłego życia. Szkolony przez samego ambasadora, nie tylko nabył umiejętności szpiegowskie na poziomie mistrzowskim, ale także jasną zdolność oceny sytuacji. I wtedy zaczęły się problemy.

Upadek ZSRR przewrócił mu życie do góry nogami. To wtedy po raz pierwszy spojrział na swój kraj innymi oczami. Brzydziła go wojna domowa, która rozpętała się wśród polityków na początku lat dziewięćdziesiątych. Dlaczego oni nie widzą, że kraj potrzebuje ich działania, a nie nazwisk? Jeszcze bardziej godne pożałowania było to, co

nastąpiło później: zebranie o każdy grosz z Zachodu. Nie dość tego - przejadali te pieniądze. Bolała go bieda i nędza rodaków, a jeszcze bardziej irytowała go ich bezmyślność. Jak mogli wierzyć, że kraj tak pogrążony w chaosie i niedostatku może kiedykolwiek jeszcze stać się na powrót mocarstwem?!

Z genialnie podrobionymi paszportami mógł swobodnie przemieszczać się po świecie i obserwować zmiany, które następowały. W przeciwieństwie do innych Rosjan nie łudził się, że jakiegokolwiek podboje są jeszcze możliwe. Nie dość, że Rosja była zbyt słaba, żeby bronić własnych granic, to jeszcze kraje sąsiedzkie za bardzo ceniły swoją niepodległość i nowy system, aby pozwolić na jakiegokolwiek manewry ze strony dawnej potęgi.

Na Krzysztofa Kaweckiego trafił zupełnie przypadkiem. Po kilku miesiącach znajomości, wtajemniczony w jego plany, w pierwszym odruchu chciał go zabić i zabrać to, co tamten ukradł jego krajowi. Bo przecież Polska kiedyś była częścią Rosji, prawda?

Potem jednak przyszła chwila refleksji. Po pierwsze, pieniądze były dobrze zabezpieczone. To nie skarbonka, którą można ze sobą zabrać, ani sejf, do którego można się włamać. Po drugie... no właśnie. Nawet jeśli udałoby mu się ukraść te miliardy, co miałby dalej z nimi zrobić? Oddać w ręce rządzących oligarchów, którzy jeszcze powiększyliby swoje majątki? Nigdy w życiu! Wyjechał właśnie dlatego, że nie godził się na uprawianą przez nich politykę.

Postawa Krzysztofa wzbudziła w nim szacunek. Czyż nie tak powinien postępować prawdziwy patriota? Zadbać o bezpieczeństwo finansowe swojego kraju? Słabo znał Polskę, ale idea wydawała mu się słuszna.

Zrobił więc inaczej. Poleciał Krzysztofowi rosyjskie banki jako miejsce złożenia depozytów. Nie dość, że miało ich to uchronić przed możliwymi przeciekami z rajów podatkowych, w których dotychczas przetrzymywano fundusze, a które miały lada chwila zostać zamknięte dla Europy, to jeszcze Rosja miała szanse na tym zyskać. Jednodniowe lokaty w zagranicznych bankach, międzybankowe pożyczki, szybkie i wysokooprocentowane kredyty - słabo znał się na finansach, ale wzbogacenie rezerw bankowych o kilkaset miliardów dolarów nawet na kilka miesięcy pozostawi na pewno pozytywny ślad.

Po ostatnich wydarzeniach zakończyła się jego współpraca z Krzysztofem, choć miała mieć inny finał. Skąd mogli wiedzieć, że tę biedaczkę w ostatniej chwili zacznie gryźć sumienie, że nie włoży skafandra i butli z tlenem na czas? Krzysztof chciał Joannę do tego zmusić. Zaczęły się krzyki, wywiązała się szarpanina. Któreś z nich pociągnęło go za ramię, on skręcił, samochód wpadł w poślizg i wylądowali w rzece. Wcześniej niż planowali. Kątem oka dostrzegł, że Joanna uderzyła głową w szybę i to tak mocno, że nawet on nie miałby czego zbierać ze swojej czaszki. Dobrze, że Krzysztof szybko się opanował, bo inaczej obaj pewnie dryfowałiby do góry brzuchami

niczym zdechłe pstrągi gdzieś w okolicach Włocławka. Ale to już przeszłość. Teraz czekało go jeszcze jedno zadanie.

Decyzja o likwidacji zapadła poza Warszawą. Oni zawsze za bardzo cackali się z takimi sprawami, pomyślał Tempienko. Pewnie nawet Krzysztof by się na to nie zdecydował. Może nawet będzie żałował? To nie miało jednak znaczenia. Polecenie ambasadora było jasne: ukarać winną manipulacji na GPW. Swoją drogą ci Polacy wcale nie są tacy przebiegli. Trzymają w centrum stolicy jednego z szefów byłego KBG i nawet o tym nie wiedzą. Choć z drugiej strony czy powinni? Przecież ambasador jest tam właśnie po to. Żeby sprzątać.

Spojrzał przez celownik optyczny, obserwując wejście do komisariatu. Zasłonięty murkiem mógł spokojnie czekać, siedząc na dachu budynku oddalonego o prawie półtora kilometra. Dzięki interwencji ambasadora mogli to idealnie zgrać w czasie. Oczami wyobraźni widział już całą sytuację. Kilka minut wcześniej pod siedzibę OAF podjechała furgonetka, z której wyskoczyło pięciu milicjantów. W kilka minut obezwładnili Wierę Kierienko i Waldemara Dostańskiego, oskarżając ich o manipulacje na warszawskiej GPW oraz nielegalne zajęcie aktywów Costel Rossell Funds. Potem zapakowali ich do środka i ruszyli, aby przyjechać tutaj. Są!

Przed głównym wejściem do komisariatu zatrzymała się stara łąda. Tempienko obserwował wychodzące z niej pośpiesznie postacie. Po chwili wyciągnięto zatrzymanych. Po zablokowaniu dostępu do kont zamiast uciekać, siedzieli bezmyślnie i zastanawiali się, co poszło nie tak. Teraz pozostał im tylko jeden ruch: śmiertelny.

Spojrzał jeszcze raz przez celownik, a potem delikatnie nacisnął spust. Nabój .338 Lapua Magnum pomknął ku celowi z prędkością 915 metrów na sekundę. Ciało padło na chodnik. Tempienko szybko złożył karabin, włożył go do torby i pochylony ruszył w kierunku schodów.

Wiera Kierienko musiała ponieść śmierć. Jako agentka od dawna była bezużyteczna, a jako przykrywka - spalona. Poza tym wiedziała o FOZZ, a ci muszą milczeć. Inaczej było z Dostańskim. Jurija niewiele to interesowało. Pewnie Polakom powiedzą, że został zastrzelony razem z Wierą. A tymczasem zrobią mu pranie mózgu, wyciągając z niego wszystkie informacje, jakie miał na temat polskich finansów i systemu nadzoru. Rosja nadal była Rosją.

Tymczasem Jurij był wolnym człowiekiem. Kto wie, może znów zostanie agentem? Przecież nie pierwszy raz awansują go za prawidłowe wykonanie zlecenia.

EPILOG

Dziwny facet, pomyślał André Breguet, patrząc na zalakowaną kopertę. Z dokumentu tożsamości wynikało, że właściciel jest Francuzem, ale sposób zachowania i rysy twarzy wskazywały na pochodzenie wschodnioeuropejskie.

W każdym razie zlecenie niczym nie różniło się od innych wykonywanych przez ten szwajcarski bank. Przelew dziesięciu milionów euro na nowo otwarty rachunek. Tyle że w prezencie. No i ten dziwny tytuł: „Wynagrodzenie”. Zerknął na nazwisko adresata. Piotr Mylczek. Ciekawe, pomyślał bankier, biorąc się do przygotowywania dokumentów. Obcokrajowiec. Polak?

KONIEC



Małgorzata Petlińska-Kordel - pisarka, dla pisania książek zrezygnowała z kariery w jednej z największych firm doradczych na świecie. Wcześniej pracowała w biurze maklerskim, zajmowała się także relacjami inwestorskimi. Entuzjastka podróży, miłośniczka mody, zapalona maratonka.

Rdzeń książki został oparty o sprawę Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych dochodzi do niespotykanych dotąd spadków, które doprowadziły do ruiny inwestorów, przedsiębiorców i gospocarkę. Piotr Mylczek, młody pracownik Ministerstwa Finansów, zostaje zaangażowany do specjalnego zespołu, który ma wyjaśnić przyczyny zamieszania. Podczas pracy odkrywa, że doszło do olbrzymich manipulacji, w które mogą być zamieszane spółki notowane na GPW. Odsunięty od sprawy, postanawia za wszelką cenę dowiedzieć się, kto stoi za spadkami na GPW, manipulacjami szefa KNF i tajemnicą FOZZ. Nie wie, że równolegle rozgrywa się inna bitwa, która może doprowadzić do rozpadu Unii Europejskiej i wojny w Europie.

